
V
B J
C
3758

HISTORYA TELEMAKA

SYNA ULISSESA KROLA GRECKIEGO ITAKU.

Ktory Oyca ſwoiego z pod Troi błądzącego ſzukał.

DROGI, EXPEDYCYE, AWANTURY JEGO,

DZIWNE Y ROZNE

Przez iednego wybornego Authora, w ięzyku Francuskim, mądrym Konceptem, ſolutè

WYPISANE Y DRUKOWANE

A zaś, Polskim wierſzem, w Kśiąg dźieśięć

PRZETŁUMACZONE.

Przez

JANA JABŁONOWSKIEGO WOIEWODĘ RUSKIEGO.

W Drukarni J. K. M. Collegium Sandomierskiego Soc: JESU Roku 1726.

Z Dozwoleniem Starszych.



Do Łaskawego Czytelnika

Nie wstydze sie, na starość bayki pisać. Y lubo to, temu wiekowi, często Puerilia *przypisuią, y w rozumach wystarzałych,* Tristisq; Senectus, *w baykach rozerwania szukać zwykła; Ia sie spodziewam, że nagany áni censury mieć nie bede, z takiey: ktora nie tylko iako owego Poëty:* Et partem veri Fabula semper habet; *ale ktora, cała iest prawdą. Nie pierwszy, ten to Author iest, ktoregom to Ia po Polsku przetłumaczył, ktory istney prawdy, dowćipney náuki, moralney admonicyi, śliczne y żywe kolory, albo zmyślonych akcyj, albo Imion ćieniami, oświećił, y odmalował. Zebym, nayważnieyszą ná świećie* Authoritatem, *y przykład, temu pisania zwyczaiowi dał: Podźmy do zrzodła Przedwieczney Prawdy; á obaczemy, że Chrystus* in Parabolis locutus. *Y kiedy owo w Ewangeliey słyszemy: Wyszedł Oracz y pośiał; Zaćiągnął Pan do Winnicy, Robotnikow; Sprawił Krol ieden wieczerzą wielką &c. Wszystko to są ćiemne rzeczy, y historyj niebyłych, orygínał, prawdy y nauki Chrystusowe obiaśniaiacy, y odmaluiacy. Y gdym sie nie raz z sobą biedźił, iako to być mogło! żeby w owym słońcu, prawdy nieskażitelney, Chrystusie, y w uśćiech iego, by naymnieysze podobieństwo, rzeczy niebyłey odezwało sie! iako to wtych Parabolach! Inszey nie znalazłem racyi, Tylko, że skażitelna natura nasza, y iadem nieprawdy zarażona,* Omnis homo mendax; *inaczeyby gorzkośći prawdy y nauki, náturze sie sprzećiwiaiącey, nie przyięła, tylko w postaći, y w podobieństwie nieprawdy; Y że z nami,* modicæ fidei, *iako sie Chrystus nie raz skarżył, postępować muśiał iak aptekarz, co pigułki złoći. Iuż tedy, mądre y moralney nauki pełne powieśći,* authoritatem *od samego Chrystusa maią. Dopieroż, kiedy do Pogańskiey stárożytności przyjdźiemy! Cała ich Thèologia, ná Bayce, iako nasza ná Biblii y Ewangelii stałá. Wźiąć Metamorphoses Owidyusza,* Magnorum facta Deorum, *nic, tylko bayka. Ale poyść znowu, do ich Mithyologiey? to iest Commentarzow y tłumaczenia baiek! wszystke nauke cnoty, y dobrych obyczaiow wyczerpniesz. Naprzykład: Bayka Bellerophonta, iest taka: Bellerephon, wygnany z Państwa swego, ućieka sie do dworu y Państwa Krola sąśiada Agenora; Ktorego Zona Stenobea, nie godźi-*

wemi zaięła ſię ku niemu zapałami; Ow zaś Bellerophon, nie chcąc Goſpodarza y Opiekuna ſwego cudzołożnym urażić afrontem, wzgardził nią, a w Corce, godziwą zakochał ſię na Małżeńſtwo miłością. Stenobea wzgardzona, czarownemi ſztukami, wyrobiła monſtrum chymerę, ktora miała zęby y przod Lwi, zad Kozła, a ogon ſmoczy. To monſtrum, gdy kray puſtoſzyło, radzono ſię Oraculum Bożyſzcza; A to z namowy ſamey Stenobey, powiedziało: Kray ſię nie uwolni od tego monſtrum, aż Krolewnę do skały przykuią, aby od chymery ziedziona zoſtała. Bollerophon, udawſzy ſię do cnotliwey Bogini Pallady y Apollina, otrzymał konia skrzydlaſtego Pegaza, ná ktorym Chymerę lataiąc z gory zabił, y Pánnę ſobie uwolnił. To bayka. Explikacya zaś iey taka: Chymera ta, ieſt niegodziwa cudzołożna miłość, ktora ma początek zawſze gwałtowny, wzapałach ſwoich, y to ſię głową Lwią wydaie; ſrzodek miłości ieſt łubieżność, ktorą ſymbolizuie Kożioł; á koniec wſzetecznych amorow, gadu, y iadu, y otrutey pociechy pełen; Ze ſię śmiercią, albo dziwnemi kończy nieſzczęściami. Ze tedy Bellerophon, miłość Stenobey nieućciwą zwyciężył! bayką zwyciężoney Chymery, to pokryto. Takich Mithyologie, pełne ſą baiek. Ale pięknieyſzey, y rozumnieyſzey, y poćciwſzey, ná naukę wſzelkim ſtánom znaleźć trudno, nad te, Telemaka Awantury. Ktorych Fundament, wziął z Odyſſey Homera, nayſtarſzego Pòèty Greckiego o woynie Troiańskiey, Wielki ieden y Swiątobliwy Człowiek, Pan y Xiądz Fenelon, Arcybiskup Cambreński, wyſokiego domu, náuki, y dowćipu. Ktorego, Krol Francuski, Ludwik 14. uczynił Nauczyćielem Wnuka ſwego ſtarſzego, Xięcia Burgundyi, Kroleſtwa Francuskiego Dziedzica. A ten Prałat, chcąc młodemu Krolewicowi, wſzyſtkie Cnot inſpirować ſentymenta, á oſobliwie naukę dobrego panowania, y poddanych ſwych kochania: te wykonceptował baykę, od naymędrſzych hiſtoryj pięknieyſzą; Ktorą Krolewic mile, iak baykę młody, czytał; á iak przyſzły Krol, mądrości ſię Krolewskiey uczył. Nie zálecam la tey Księgi; Bo ſię ſama záleca. Ani ſię z ſwoiey pracy chlubię, Bom nic ſwego nie przydał. Ieżeli Pòèzya moia zarobi ná cenſurę? nie przepraſzam, ani ſię z niey wypraſzam; Bom to w okropnym, y czteroletnym więzieniu ſwoim, piſał; przykry y długi czas eludendo, á iak Francuźi mowią: zabijałem czas. Sobiemem piſał, y ſobie errabam. Ieśli kto łaskawie przyjmie! dość będę miał nadgrody za pracę, kiedy przyzna: że mądre, y dobre rzeczy cudze, dobrze przetłumaczyłem. Zem zaś pozwolił drukować, y ſwoie Imię przydać? Niech ma czytelnik obligacyą, Przyiaćiołom moim, y Zacney iedney Krewney moiey; Ktora wyſokością rozumu, y pobożnością, upodobaniem w Księgach, tak ieſt znaczna, iako ieſt Zacna. A ći, y Ta, przymuśili mię, ábym zábawę, wraz y náukę, w tey Księdze, Polſzcze dał. Co czynię.

TELE-

TELEMAKA
SYNA ULISSESSOWEGO
Awantur y Expedycyi rożnych

XIĘGA
PIERWSZA.

SUMMARYUSZ XIĘGI PIERWSZEY.

TElemak Syn Ulissesa w Kompaniey z Minerwą pod Figurą Mentora będący, wyrzucony przez náwáłność Morską wchodźi ná Insułę Kalipsy, y iest dobrze od niey przyięty. Kálipso go prosi aby iey uczynił relacyą swoich awántur y przypádkow, co czyńi y poczyna od swego wyiazdu z Itáku. Telemak uchránia się w podkániu się z Flotą Troiańską, y przypływa do Sycyliy.

Prezentuią go Acestowi ktory, go chce zábić ná Ofiárę ná Grobie Anchizeſa. Mentor prorokuie Aceſtowi: że zá trzy dni dźikie Národy go nápadną, y radźi mu áby ſię dobrze pilnował. To Proroctwo ſalwuie żyćie, Telemakowi y Mentorowi, ktorzy wſiadaią ná Okręt Phenićeński ktory ieſt złapany od Egipcyanow, y do Egiptu poprowádzony. Obay ſą prezentowáni Krolowi Seſoſtris, ktory zábiera áffekt do Telemaká. Obay ſą zdrádzeni przez faworyta Krolewskiego Metophis, ktory Telemaka z Mentorem, w niewolą odſyła. Telemak bydło páśie, prowádźi miłe życie z drugimi Páſterzámi, ktorych rożnych rzeczy uczy. Zábiia Lwa, ktora akcya dochodźi aż do Dworu, y iego ſamego tam ſprowádzá. Przychodźi do łáski Krola Seſoſtris, ktory mu obiecuie Okręt ná continuacyą dalſzą iego drogi. Smierć Krola Seſoſtris. Bokoris Syn Krola Seſoſtris zamyka Telemaka w Wieży. Smierć Krola Bokoris. Telemak wypuſzczony przez iego Sukceſſora y poprowadzony do Tyru. Obyczáie Phenicyánow z opiſaniem Pigmalioná Krola Tyru, ktorego záiadłośći uchrania ſię przez ràdę Nárbalá y wyiezdzá z Phenicyi. Kalipſo tą relacyą áwántur Telemaka bardzo ſię kontentuie, odkłada oſtatek do iutra. Telemak, y Mentor od niey odchodzą. Náuka Mentora Telemakowi z ſtrony relácyi, ktorą czynił Kalipſie.

Kalipſo

KAlipſo * ták z odiazdu Uliſſeſa byłá
Smętná, że choć Bogini śmierć ſobie życzyłá,
Y groty iey zámilkły (co iey głoſem brzmiáły)
Y Nymfy iey posłuſzne przemowić nie śmiały,
Po murawie kwiat pełney choć ſię przechodźiłá,
Ná ktorey Wioſná wieczná iak y w wyſpie byłá,
Lecz te mieyſca iey żálu nie mnieyſzyły cále,
Ráczey pomniąc * Uliſſá wzbudzáły w niey żale,
Drętwiáła iáko kámień nád tym morzá brzegiem,
Z ktorego był Uliſſes uciekł zdradnym biegiem,
To mieyſce oblewaiąc ſwemi nie raz łzámi
Z ktorego Uliſſ z niknał przed iey był oczámi.
Ale gdy raz w tych myślach utopioná chodźi,
Y żále nie ſpokoyne tam ſobie rozwodźi,
Obáczy rozbitego kawalce okrętu,
Deſzczki, dyle, y wiosłá, złámane do ſzczętu,
Liny, żágle, y maſzty ná brzeg rozrzucone,
Lecz y dwoch ludźi widźi, idących w tęż ſtronę.
Z ktorych ieden był ſtárſzy, Drugi młodſzy twárzą,
W nim linie, Uliſſa podobieńſtwo żarzą
Przyiemność słodko miłá, w minie okázáły,
Wzroſt, ſtan, chod Uliſſeſa, w nim wſzystek wſpaniáły.
Poznáła to Bogini, że Syn Bohatyra
Był to tego, Telemak. * Ná ſtárca poziera
Co z nim idźie, ále go cále nie poznáie.
Bo lubo Bogom wſzyſtko poznáwáć ſię dáie,
Iednák wyżſi Bogowie niżſzym zákryć mogą.
Y tu pod tą figurą ſtáruſzka ubogą
Y Mentora * imieniem Minerwá ſię skryłá
A wſzędźie z Telemakiem w kompániy byłá.
Kalipſo záś ták z tego przypádku wesołá
(Ktory Syná Uliſſa podobnego z czołá
Ná iey brzeg wyprowádźił) Ku nim ſię przybliżá
Y nie pyta ktoby był. Ale ſię náieżá
Zkąd ta śmiałość (nań krzyknie) tknąc ſię Wyspy moiey?
Wiedz młody Cudzoźiemcze, że ſię kożdy boi,
Y bez káry nie wnidźie nikt, do Pańſtwa mego.
Ták pod słowy groźnemi weſelá znácznego
Paſſyą chciáła pokryć, ktorą w ſercu miáłá
Lecz nie mniey ſię ná iey twárz rádość dobywáłá.

* Kalipſo byłá Bogini niżſzego rzedu iednak nie śmiertelna.

*Uliſſes, z pod Troi powracaiący y błądzący na iey wyſpie był wyſiadł wzgardźiwſzy iey miłośćią uciekł.

*Telemak Syn Uliſſeſa

* Minerwa Grekow łaskawa pod Figurą y imieniem Mentora wſzedźie Telemakowi aſſyſtowała.

A ná to iey Telemak te odpowiedź czyni
O Ty czyś Ty śmiertelna, czy iesteś Bogini?
Nie wzruszyſz ſię nieſzczęśćiem Syná tákowego,
Ktory ná dyskrecyi wiátrow, Oycá ſwego
Szukáł, y widźiał Okręt o Twoy brzeg rozbity,
A ktoż Twoy Oćiec [ſpyta Bogini] ktoś y Ty.
Imie iego Uliſſes, Ieden z Krolow mężnych
Ktory dźieśięcioletnich po ſzturmach potężnych
Wywroćił Troie sławną. Imię ſwoie wsławił
Nie tylko męſtwem dźilnym, ále że wyſtawił
Mądrość rady przezorną. Lecz błądzący potem
Zbiegáł morze y Ziemię z niezmiernym kłopotem.
Oyczyzná iego zda ſię że przed nim ućieká;
* Penelope zás Zoná daremnie nań czeka,
Y ia Syn nie mogłszy ſię doczekác powrotu
Záżywam y dowćipu, y ſerca obrotu,
Biegam zá nim y rowne mam niebeſpieczeńſtwa,
Dla pewney o nim wieśći ponoſzę męczeńſtwa.
Zlituy ſię nád nieſzczęsnym (ieśli wieſz Bogini)
Powiedź Telemákowi Czy żyie? Co czyni?
Kálipſo nád wymową młodźianá zdumioná
Mądrośćią przy młodośći iego przerażoná
Nie mogłá oczu napáść ná niego pátrzeniem,
Paſſye pokrywałá ſwym długim milczeniem.
Wiemy (O Telemaku) co ſię z Oycem ſtáło
(Rzecze) Lecz czáſu ná to potrzeba niemało
Wnidź do mego mieſzkaniá, Synu godny; raczy
Czás ſpokoynie odpocząc po ták ćięſzkiey prácy
Przyimę Cię iáko Syná. Będźieſz mey puſtynie
Pociechá. Y Twe ſzczęśćie (byleś chćiał) uczynię.
Telemak zá Boginią poſzedł obtoczoną
Nymphami, ktora wzroſtem nie tylko Koroną,
Przewyżſzyłá ie, iáko dąb ow rozłożyſty
Inſze drzewá, gdy Phæbus świeći nań złoćiſty
Przy wyborney urodźie, bogatey Purpurze,
Ktora ślicznie wiśiala ná złotym iey ſznurze
Gracyi Iey dźiwił ſię y z oká byſtrego
Cichą ſwoią skromnośćią ztemperowánego.
Mentor zaś opuśćiwſzy oczy ſwe do źiemi
W skromney ſtárzec cichośći ſzedł tákże zá niemi.

* Penelope Uliſſeſa Zona, Mátká Telemaká.

Ták

Ták do groty przyszedszy Telemak się dumi,
Że y złoto y mármur tám widźieć rozumi,
Nie tylko w náturálney skromnośći znáyduie,
Lecz to wszystko dáleko oko kontentuie.
Bez kolumn y obrázow posągow wybornych
Tá grotá wyćiesána iest z sklepow przezornych,
Konchámi ustroiona, Winnicą obita,
Gáłęźią, y gronámi iákoby obszyta,
Miłe zefiry chłod w niey wieczny konserwuią,
Zrzodłá między fiałki wonne wypryskuią,
Y czyste iáko kryształ, muráwę źielona,
Y kwiáty ná niey zdobią śliczne káżdą stronę.
Ná koło tey murawy, lasek opáśuie,
Ktory to w złote iábłká pełno obfituie.
Pomarańczą ich u nas názwáć lepiey przyidźie,
Z ktorych kwiát przez rok cáły, y owoc nie zyidźie;
Ten lasek swą gęstwiną y we dnie noc rodźił,
Bo go promień słoneczny nigdy nie przechodźił.
Nic w nim słycháć nie było, tylko álbo ptaszki,
Albo z skał bieżącego strumieniá igrászki.
Ktory zpadszy z hálásem wprzod w lasku poczekał,
A potym pieniący się przez łąki ućiekał.
A tá grotá Bogini ták ná wzgorku stáłá,
Że z niey Morska obszerność dobrze się widźiáłá
Czy kiedy ćiche morze stáło, iák zwierćiádło,
Czy kiedy mu się pienić y szálec przypádło.
Z drugiey záś strony Rzeki rożne są widźiáne,
Ná gęste Topolámi wyspy, pokráiáne
Kánały tych Rzek, iákby po polu igráły.
Te lecą. A te płyną, iákoby to spáły.
Drugie záś obiegawszy krętem się wracáią
Ku źrzodłom [niby z żalem] że ie opuszczáią.
Ná końcu gory czynią śliczne perspektywy,
Y oko kontentuiąc, kończą tych mieysc dźiwy.
Bliższe lásy Grenatow, Oliwne, Figowe,
Y Winnych máćie groná dźwigáły. Że owe
Náturálne Gaiki, y Ogrod przechodzą,
Ktory ludzkie dowćipy z ćieszką pracą rodzą.
Te pięknośći nátury pokażę w ozdobie,
Kalipso (y rzecze mu) odpoczniże sobie.

Odmień ſuknie zmoczone. Obaczem ſię potem
Opowiem Hiſtorye, ktore nie z kłopotem
Usłyſzyſz. Y záraz go wprowadza z Mentorem
Do bliskiey groty, kędy mieſzkáłá z ſwym Dworem.
Służebne Nymfy ogień w kominie zniećiły
Z Cedrow, ktore zápáchem grotę nápełniły.
Telemak pátrząc że mu ſuknie zoſtáwiono,
Z ktorych ſpodnią naybielſzey wełny dáło runo.
A wierzchnią záś z Purpury złotem háftowáney
Kontent zoſtał z prezentu, oraz y zdumiány.
Mentor poznał poćiechę człowieká młodego
(Rzecze) Też to ſą myśli Uliſſeſſowego
Syná? Y tákże łátwo ſerceć delektuią,
Ktorego Oycá czyny gdźieindźiey wokuią?
Utrzymuy Oycá sławę. Y wiedz że kto lubi
Stroic ſię iák niewiáſtá, sławę z cnotą zgubi.
Bo tá tylko tym ſercom ieſt deſtynowána,
Od ktorych ieſt ćierpliwie fortuná zdeptána.
Telemak [mu odpowie] nie z máłym weſtchnieniem:
Niech mię pierwey Bogowie zgubią z mym imieniem
Niż ſię miękkość ſwobody chwyći ſercá mego;
Nie będźie zwyćiężony Syn Oycá tákiego,
Niewieśćiego żywotá słodkiemi czárámi.
Ale przyznay, że Niebá łáskáwe nád námi.
Ktore nas z morskiey toni rozbitych zbáwiły,
Y u tey ták łáskáwey Bogini ſtáwiły.
Ná co mu Mentor [rzecze] Boy ſię tych słodkośći
Bárdźiey, niźli Okrętu świeżey náwáłnośći.
Smierć nie ták niebeśpieczna, iáko tá ochotá,
Przez ktorą częſto ginie, y rozum, y cnotá.
Strzeż ſię tego coć powie, młodość skáźitelna
Siłá trzyma o ſobie. Káżda rzecz rzetelna
Zda ſię bydź iey. Y mniema, nie bać ſię niczego,
Lekko ufáć káżdemu. dokazáć wſzyſtkiego.
Y, ty co ći Kálipſo powie, ſtrzeż ſię raczey
Wkrádnieći ſię do ſercá, lecz będźie ináczey:
Boy ſię skrytey trućizny, y od śiebie zdrády,
A naybárdźiey poczekay, y słuchay mey rády.
Po tákowych rozmowách do Kálipſy idą,
Tám w białych ſzátách Nymfy służą im gdy przyidą.
Bán-

Bánkiet prosty, lecz w smáku, iák y w ochędostwie
Wyborny, y bogáty, choć się zdał w ubostwie.
Sámym ptástwem łápánym, stoł był zastáwiony
Od Nymf, y ich zwierzyną szczwáną okraszony.
Nád Nektar słodsze wino, w złotych czárách noszą,
Kwiátem stroynych, ktore pić wdźięczne ręce proszą.
Cokolwiek Jeśień z Wiosną ma w fruktách drogiego
W koszách srebrnych noszono, do stołu onego.
Cztery Nymfy naymłodsze ná końcu śpiewáły
Woynę Bogow z Olbrzymy, y iák się kocháły
Rożne Bostwá. Ná koniec Woyny Troi losy
Wywyższáiąc Ulissa mądrość pod Niebiosy.
Leucote pierwsza Nymfá, ná lirze zágráłá,
Ale gdy Ulissessa śpiewáiąc wspomniáłá,
Nie wstrzymał łez Telemak. Te lub gorzkie były,
Przećię iego Urodę bárdźiey okraśiły.
Co postrzegszy Kálipso przerwáłá te żale
Milczeć każe Muzyce. Bo nic nie iadł cále.
Zá tym Woynę Centaurow śpiewano z Lápity,
Ták się skończył wesoły bánkiet, y obfity.
Po ktorym ták do niego z wdźiękiem rospoczęłá:
To widźisz z iákim ćię Ja faworem przyięłá.
Otom ia nieśmiertelna. Y żaden [strzeż BOZE]
Smiertelny do tey Wyspy, wniść nigdy nie może.
Ni te wały by morskie ktore ćię rozbiły
Ochroniły od káry. Gdybyś nie był miły.
Twoy Oćiec rownie iák ty, miał tu szczęśćie u mnie
Ale [ách] źle go záżył, idąc nierozumnie.
W teyże Wyspie długi czás iam go tu chowáłá:
Zyćiem mu nieśmiertelne, y stan gotowáłá.
Ale ślepa tesknotá widźieć swa Oyczyznę,
Dáłá mu strácić szczęśćie, y Páństwo ták żyzne.
Te stráćił dla Itáki,* ktorey nie obaczy,
Bo wierz pewnie, że zginął, ták iest nie ináczy.
Okrutna pomstę z burzy, y fali mem wźiełá
Ze z tąd ućiekł, zá to go z Okrętem połknęłá.
Kay się z tego przykłádu. Y gdyś bez nádźieie
Oycá więcey obaczyć. gdźieć się dobrze dźieie
Tám zostań. Y poćiesz się przez zámian rzetelny,
Ze Páństwá y Bogini doydźiesz nie śmiertelney.

* *Itacus Wyspá ná morzu Oyczyzná y Páństwo Ulissessa.*

**Polyphem9 Neptuna syn iednooki upoiony od Ulissessá y oślepiony.*

**Circe czárámi wwieprzow poobracáłá towárzyßow Ulissessá.*

Postrzega Telemak że sie Kálipso wnim zákochała.

Do tych słow y dyskursy insze przydawáłá:
Jákie szczęśćie by Uliss, y oná z nim miáłá.
Z Polifemem * przypadki, z początku do końcá,
Y co się z Cyrce * dźiało z sławną Corką Słońcá.
Ná ostátek iák Neptun burze nań poruszył
Y że w oczách iey Okręt iák słomkę pokruszył.
Jednák ná Wysp Pheakow że záiechał, skryłá,
Y iák by go nie było żywo, się żaliłá.
Doszedł tego Telemak przeniknął te zdrády,
Uznał mądrość Mentorá przestrogi, y rády.
Przeto krotko iey rzecze. Odpuść o Bogini!
Niech twoiá łáská moy żal á nie serce wini.
Teraz nie mogę tylko płákáć Oycá mego,
Potym serce nábędźie wigoru większego.
Pod fortunę ták wielką duższey trzebá śiły,
Pozwol Oycá opłákáć, [wszák wiesz iák był miły]
Kálipso więcey mowić w tey sprawie nie śmiáłá,
Y owszem Ulissessa płákáć z nim się zdáłá.
Lecz szukáiąc sposobu tknięćia w serce iego,
Pyta go o przypadki rozbićia świeżego.
Długoby mowić, iákom nieszczęsny státecznie.
Oná zás (mowi) że chce wiedźieć to koniecznie.
Zbyć się tedy nie mogąc Telemak iey woli,
W te słowá zácznie czyny swe mowić powoli.

Relácya Telemaká drog y Awátur iego.

** Gáchowie ktorzy się o Penelope Mátkę Thelemaká stáráli, á oná ich zwodźiłá.*

Po sławnym wźięćiu Troi, gdy się powracáło
Ták śiłá Krolow. Co się z Oycem moim stáło;
Wyiáchałem z Itáku o nim się dowiedźieć,
A Gáchom moiey Mátki nie dałem nic wiedźieć.
Lecz ni Nestor, w Pilosie, ni ći co z nim byli,
Ani mię Menlas o nim nic nie náuczyli.
Tęskniący, y żyć nie chcąc, bez tey wiádomośći,
Chcę iácháć w Sycylią, z Synowskiey miłośći.
Bom słyszał, że tám wiátry Oycá zápędźiły,
Lecz się mi opponował ten Przyiaćiel miły.
Mentor (ktorego widźisz) Mowiąc z iedney strony,
Będźiesz Flotą Troiáńską zewsząd obtoczony.

** Cyklopi Olbrzymi byli, o iednym oku, co z Wulkanem w Etniegorze, w Sycy-*

Ktorzy przy támtych brzegách do tych czás żegluią,
Y ná krew Ulissessá łakomie pilnuią.
Z drugiey srogich * Cyklopow mieszkáńcow tey źiemi,
Krew ludzką iáko wodę záwsze piiącemi.

Powra-

Powracay do Itáku. A noż Oycá ſwego
Záſtánieſz, z łáski Bogow już powroconego.
A ieżli ták Bogowie nim ordynowáli,
Y miłey mu Oyczyzny widźieć zákazáli:
Przynamniey ſzukáć pomſty śmierći iego z Niebá,
Uwolnić Mátkę ſwoię, y ukazáć trzebá
Mądrość cáłey Grecyey. Ześ Syn nie odrodny
Y pánowáć w Itáku, iák Uliſſes godny.
Te słowá zbyt zbáwienne od Mentorá były,
Alem mniey miał rozumu żeby mnie skruſzyły.
Lubom go záś nie słuchał, y w tę drogę puśćił,
Mentor był ták łáskáwy że mnie nie opuśćił.
Gdy to mowił; Kálipſo z oká pozierálá
Ná Mentorá. Bo coś w nim Boskiego widźiálá.
Lecz nie mogąc dośieknąć nic w tym rzetelnego,
Bálá ſię odkryć przed nim pomieſzánia ſwego.
Y przeto nie podáiąc ſwoich mysli znáku
(Rzecze) mow nie uſtaway dáley Telemaku;
Więc (rzekł) Do Sycylii wiátry dobre były,
Ale nas w krotce chmury ták czarne okryły,
Y dźień ſię w noc obroćił; żeśmy wnet poználi
Od błyskáwic, piorunow, co koło nas grzmiáły;
Ják bliskośmy okrętow byli Eneaſzá,
Od ktorych, iák od burzy rowna trwogá náſzá.
Dopiero, ále pozno, poznałem młodośći.
Swey, error, nieposłuſzny Mentorá mądrośći.
Ktory w niebeśpieczeńſtwie tym, nic nie wzruſzony,
Weſelſzy niż zwyczáynie, w káżde dawał ſtrony
Porządne ordynánſe. Y kiedy ſię boi
Sam Szyper. On w tym ſtráchu ſam beśpieczen ſtoi.
Jam rzekł w tedy do niego: o Mentorze miły,
Czemuż mię twoie rády wprzod nie náwroćiły,
Ile w tym wieku, w ktorym áni przytomnego
Czáſu, áni doznánia w przeſzłym, ni przyſzłego
Przezornośći nie znaydźie. O ieżli mi dádzą
Bogowie wyniść zdrowo, y z tąd wyprowádzą,
Wyſtrzegáć ſię ſámego pewnie będę śiebie,
Y słucháć záwſze zechcę iedynego ćiebie.
Mentor rzecze z uśmiechem: Nie chcę ći wymawiáć
Błędu, ktorego ſobie ſam chćiáłeś obiawiáć,

lij kowál-ſtwo robili.

Niwál-ność pier-wſza ná Morzu Te-lemaká.

Dość ná tym że go czuiesz, y niech ći to służy,
Zebyś zá swym rozumem nie biegał więc dłużyi.
Lecz po niebeśpieczeństwie, wnet śmiáłość się wroći,
Strách nas tylko poki iest, á nie potym kłoći.
W ten czás niebeśpieczeństwá bać się nam potrzebá,
Poki go nam nie zeszlą správwiedliwe Niebá.
Lecz gdy przyidźie, w tedy go lekce trzebá ważyć,
Chćiyże tu Ulissessa synú w tym wyrázić.
Pokaż iák on, swe serce nád ten stràch mocnieysze,
Jego słowá prawdźiwie we mnie potężnieysze
Uczyniły wnet śiły. Gdyż niemim wzbudzony
A bárdźiey sztuką iego był wyprowádzony.

Wychodźi z niebespieczeństwa Telemak iuż prawie będąc w rękach Eneasza y Troianow.

Ják się obłoki po tey burzy wyiáśniáły,
Troiánie by nas bliscy do rázu poználi,
Lecz on widząc ich Okręt ieden oddalony,
A nászemu podobny, w kwiáty uwieńczony:
Położył záraz ná nasz kwiáty tego wzoru,
Y tegoż co Troiánskie proporce koloru.
Nászym zás łopátnikom nisko uśieść kazał,
Kryć twarze. y áby nikt z nich się nie pokazał:
Przez pośrzodek ich floty, w tym strojuśmy przeszli,
A oni od rádośći wielkie krzyki wznieśli,
Mniemáiąc, że ieden z ich szczęśliwie powraca,
Ale się z pomiędzy nich wymknąć, byłá praca,
Przećię kiedy się oni ku Afryce bráli,
Myśmy przy Sycylij z umysłu zostáli.
Jákoż tey Wyspy prędko chwytamy się brzegu,
Ale nam gorzey wyszło, w tym fátalnym biegu;
Bo tám się ieden Narod z Troiánow lokował,
Y tám stáry Acestes nád nimi pánował.

Acestes wszedszy z Troi Kolonią założył nieprzyiazny Grekom y Telemakowi.

Ci mieszkáńcy skoro nas w porćie obaczyli,
Jákbyśmy w nieprzyiáźni już odkrytey byli:
Záraz Okręt spalili, wyćięli kompány,
Tylko Mentor szczegulny y ia zátrzymány,
Y to ná to, ábyśmy prawdę powiedźieli,
Kto iesteśmy, y cośmy zá imprezę mieli.
Z rękomá związánymi stawam w Mieśćie bliskiem
Ludowi okrutnemu miłym widowiskiem.
Jeden nas Acestowi záraz prezentował,
Ktory się ná ofiáry swym Bogom gotował.

Ze złotym berłem w ręku, ſądźił ludu wiele,
Spytał nas ktośmy? y z kąd? Ná co Mentor śmiele:
Uprzedźi, mię y rzecze: Z Heſperyi płyniemy,
Oyczyzną náſzą, od niey bliską ſię ſzczyćiemy.
Tym reſponſem, żeśmy ſą Grecy, nie wyiáwił,
Ale ſię nic Aceſtes nád tym nie zábáwił.
Y mniemáiąc że náſze imioná táimy,
Zákrzyknie: przed kim inſzym te puſzczayćie dymy.
Niech ich prędko odeślą do láſu bliskiego,
Ták skazáni ieſteśmy iáko do wiecznego
Táráſu, y więźienia. A co nie słychano:
Páſterzom nas Krolewskim w niewolą oddano.
Com ia nád śmierć ſurowſzą rzecz u śiebie zważył
O Krolu? każ mię zábić (ná tom ſię odważył]
A ták mię źle nie tráktuy, Syná Krolewskiego,
Jam Telemak Syn práwy, Uliſſa mądrego.
Szukáiąc Oycá, Morzá wſzyſtkie pozbiegałem,
Gdy karzeſz, nád niewolą śmierć raczey obrałem.
Nie dano mi domowić. Wſzyſcy krzykną rázem,
Biy zábiy Syná tego, ktory ſwym żelázem,
Niemniey iáko y zdrádą (ách) Troię wywroćił,
Y nas tu w nieſzczęśliwe wygnáńce obroćił.
Zá tym [rzecze] Aceſtes: Krwi zacney Trojánow,
Muſzę ſákryfikowáć krew Was, ich Tyránnow,
Obá zginąć muśićie. Aż w tym ieden przydał
Stárzec; Ponieważ Pan BOG ſam ich Krolu wydał,
Ná grobie Anchizeſá pośćinay tę parę,
Bogowie y Eneaſz, przyimą tę ofiárę.
Ná tę propozycyą wſzyſcy ſię zgodźili,
Y tylko o nayprędſzym iey skutku myślili:
Dwá Ołtarze, y z ogniem świętym, wyſtáwiono,
Ná grobie Anchizeſá, gdźie nas przywiedźiono.
Głowy nam uwieńczyli [iák zwyczay] kwiátámi,
Y miecz błyſnął kápłáński, nam już przed oczámi.
Nic nas zbáwić nie mogło. Aż tu Mentor prośi
Z Krolem mowić; y rzecze: Jeśli ćię unośi
Krolu żal do rozlánia krwi náſzey mizerney,
Niechay ćię wzruſzy dowod mey przeſtrogi wierney,
Y twoy własny intereſſ. Bo mam dar od BOGA
Rozumieć przyſzłe rzeczy, nim náſtąpi trwogá.

 Y z tey

Y z tey to wiádomośći tobie prorokuię:
Ze od dźikich Narodow, woynáć śię gotuie.
Nápádną ćię zá trzy dni, y z tych Gor wypłyną,
Z Miástá twego y kráiu ostátnią ruiną.
Uprzedź ich, y ármuy śię, sprowadź wszystkie stádá
Bogáte twoich bydeł. Jeźli moiá rádá
Nie sprawdźi śię: y będźie proroctwo fałszywe,
Nászé głowy zá trzy dni, niech nie będą żywe.
A ieźli śię záś zprawdźi, to nam nászé życie,
Ze wászé sálwuiemy, w nagrodę wroćićie.
Acestes zádumiony w te Mentorá słowy,
Ktory przy swoiey prawdźie, umrzeć był gotowy,
Widzę ia (rzeknie) że gdy szczęśćia masz nie wiele
Przezorność masz od Bogow Prorocką w podźiele.
Y záraz tę ofiárę przedłużył gotową,
Kazał śię bráć do broni, pilno y surowo.
Rozruch śię stał po Mieśćie. Tu niewiásty drżące,
Tu stárcy ućiekáią, y dźieći płáczące.
Woły, Owce do Miástá pędzą nieźliczone,
Zbiegi zewszad obaczysz, y strách w káżdą stronę;
W huku y konfuzyi, ieden pcha drugiego,
Y krzyczy, y boi śię, choćiaż nie ma czego.
Niektorzy záś trzymáli, że te wszystkie trwogi,
Ná sálwowánie, wymysł był Mentorá srogi.
Ale: Aż dniá trzećiego, przy zachodźie Słońcá,
Gdy iuż cále nie wierzą tym wrożkom do końcá:
Obaczą wielki tuman ná bliższych gorách,
Y táki gmin Bárbárow, że y w sámych murách
Ledwo było bespiecznо. A ći co nie chćieli
Wierzyć mądrey przestrodze Mentorá, zginęli
W tedy mu Krol ták rzecze: Ześćie zápominam
Grecy Nieprzyiaćiele. Lecz śię upominam
Obiecáney wiernośći: y nie tylko męstwá,
Ale w rádźie pomocy, (zkąd wszystkie zwyćięstwá.)
W tym Mentor pełen ogniá w oczách Mársowego,
(By też nayodważnieyszy zlakłby śię ktorego)
Uszykował w przod Woysko, sám w żeláznym stroiu,
A potym poprowádźił przećiw nim do boiu;
Acest stáry nie mogł go, choć mężny nádążyć,
Ale ia lat nie máiąc, co mogą obćiążyć,

Tuż

Tuż przy nim biiący się, w kroku go ścigałem,
Lubo iego odwádze (przyznam) nie zrownálem,
Zbroiá iego, Egidźie nieśmiertelney była
Podobná; Z ktora niegdy Minerwa chodźiłá.
Smierć po szykach biegáła. Y gdźie ręke wyniosł,
Mentor, to nam zwyćięstwo, á im kleskę przyniosł.
Tak iako Lew w Numidźie głodem záiuszony,
Trzodę duśi, á Pásterz ućieka zdumiony.
Tak y ci Barbarowie, ktorzy rozumieli,
Napaść ná niegotowych, sami pogineli.
A Poddani Acesta, tym przykładem zdięći,
Bili się iak szaleni, y iako zawźięći.
Syn Krola Nieprzyiaćioł, wieku prawie mego,
Podkáł się wśćiekle zemną, miałem szczęśćie, iego
Przebić moim poćiskiem, y lub był w poł wyższy,
(Bo był rodu Gigantow) Lecz iam był szczęśliwszy.
Gardźił moią urodą, y chćiał mię zieść wzrokiem,
Ale duszę z krwią czarną, wytoczył swym bokiem.
Mało mię nie zgniotł lecąc, aż gory zagrzmiały,
Broni iego tent czyniąc, iak káwalec skáły.
Wrácam się do Acesta, z orężem dobytym,
A Mentor gonił w lasy, zá woyskiem już zbitym,
Ten sukcess nie spodźiany, tak Mentora wsławił,
Że go Bogi przysłali, aby ich był zbawił.
Acestes wdźięczny sam się boiąc Eneasza,
Przed ktorym ochronić się nie mogła, krew násza,
Dał nam Okręt ná powrot do kraiu nászego,
Udarował, Lecz nie dał nikomu z swoiego
Kráiu wśiaść w nászę náwę, lecz Phenicyanom,
Národom wszystkim świáta, przyiemnym y Panom.
Ci Okręt Acestowi názád przywieść mieli,
Ale z nászych zamysłow, Bogowie się smieli.
Bo Národ Pheniceński, Sesostra rozgniewał,
Egiptu Krola, ktory śiłą zwyćięstw miewał.
Nie dobyta forteca Tyr, w ktorey śiedźieli,
Y Bogáctwa niezmierne, ktore z handlow mieli,
Pysznymi ich ták czynią, że się odważyli,
Y Haraczu nie płácić, co go winni byli.
Náwet Bratu Sesostra, stáneli w pośiłku,
Ktory Krola chćiał zábić zdradą, w osob kilku.

Seſoſtris, zruinowáć ich moc, poſtanáwia,
Ná przeſzkodę ich handlow, y flotę wyſtáwia.
Tak że ná każdym morzu iego coś Okrętu
Było, ktore ſzukali gubić ich do ſzczętu.
Y tak z Flotą Egipską, y my ſię podkali,
Náśi *Phenicyanie*, zaraz ich poznali,
Chćieli ſię cofnąc, Ale zeſzliśmy ſię nágle,
Do tego Egipczanie mieli lepſze żagle.
Dopędzaią y biorą, z żadną ſwoią ſzkodą,
Y w niewolą nas wſzyſtkich, do Egiptu wiodą.
Darmo krzyczę, żem nie ieſt ia Národu tego,
Zeby poyzrzał kto ná mnie, nie maſz łaskawego.
Płyniem do Wyſpy Pharos, idźiem wgorę Nilu,
Proſto do Miaſta Memphis, przy pędzącym Chylu.
Gdybym żalu niewoli, nie miał tak ćięſzkiego,
Nie mogłbym nigdy, ználeść widoku milſzego,
Jako patrzyć ná brzegi Egiptu tak śliczne,
Wyſpy pełne zboż, y trzod, obfite y liczne,
Y kray słynący záwſze, obfitośćią drogą,
Y Ludźi, ktorzy zbierać, náſtarczyć nie mogą.
Widźieliśmy Paſterzow, co ná dudkach gráią,
Y miłe Echo im ſię niby przegárzáią.
O iąk to (rzeczę) Mentor, Národ ieſt ſzczęśliwy,
Ktorym rządźi Krol mądry, dobry y życzliwy.
Zyie w wſzelkiey fortunie wraz y obfitośći,
Kocha tego, komu ſwę winien ſzczęśliwośći.
Tak y ty Telemaku, kiedy maſz panowáć,
Poćiechę ſwym Poddanym, y pokoy maſz chowáć.
Jeśli cię przyprowadzą Niebá w Państwa twoie,
Kochay ſwoich Poddanych tak, iak Dźieći ſwoie.
Smakuy ſobie w tym, żebyś był od nich kochany,
Przez pokoy, ktory im daſz, będźieſz wſpominany
Od nich naywięcey. Bo to ci dumni Krolowie,
Ktorzy tylko to máią, y w ſercu y w głowie,
Aby ſię ich lękano, ſą ludzkiego bicze
Plemienia, y ia takich nieſzczęſnymi liczę.
Boiąć ſię ich, ale też ich y nie náwidzą,
Więkſzy ſtrach od Poddanych, niż ci od nich widzą.
Odpowiem Mentorowi; nie czas myśleć o tym,
Jako ſię ia mám rządźić, y krolowáć potym.

Niebá-

Nieobaczym Oyczyzny, ni Pańſtwá Itaku,
Nieobaczyſz Nieboże, Oyca Telemaku.
Ni Uliſſes mię widźieć, mieć pociechę będźie,
Ni ſię ćieſzyć od niego, gdy ná Thronie ſiędźie,
Ja będę mogł. A zatym myślmy umrzeć raczey,
Kiedy z woli Bogow, bydź nie może inaczey.
Lecz Mentor ná te wſzyſtkie, myśli mych troskanie,
Wiedząc wſzyſtkie przypadki, y niedbáiąc ná nie,
Nie godny Uliſſeſſa Synu, tak mądrego
(Rzecze) daſz ſię obalić, z nieſzczęśćia małego?
Wiedzże o tym, że byleś był tylko ćierpliwy,
To możeſz Oyca, Matkę, obaczyć ſzczęśliwy.
Tego nie złománego obaczyſz Uliſſa,
Ktorego to fortuná do tąd nie użytſzá
Obracá, á przełomać, iak ćiebie, nie może,
Ucz ſię męſtwá od niego, to wſzyſtko przemoże.
O gdyby on mogł wiedźieć, że Syn náśládowáć
Nie umie ćierpliwośći iego, ani chowáć
Umysł więkſzy nieſzczęśćiu, toby go trápiło
Bárdźiey, á niż nieſzczęśćie, ktore go okryło.
Potym mi obſerwowáć kázał weſołośći,
Rozſiane po tych polach, pełnych obfitośći.
Dwadźieśćia dwá tyśięcy, ſamych Miąſt ráchował,
Ale tych Miaſt rządowi, bardźiey ſię dźiwował.
Ubogim ſprawiedliwość rowną y bogatym,
Y Dźieći wychowanie. (Co naywięcey ná tym)
Iáko do posłuſzeńſtwa, pracy ich wuczáno,
Wſtrzemiezliwość, y miłość, do náuk wlewano,
Ceremonii Kośćielnych wykonanie pilne,
Y prágnienie honoru [á bez zysku] dźilne.
Boiaźń Bogom, á ludźiom wierność przyiaćielskie,
Wlewać w Dźieći, to było dźieło Rodźićielskie.
A wołał bez przeſtanku, Mentor moy poczciwy:
O ludźie rządem Krola, mądrego ſzczęśliwi?
Ale ieſzcze ſzczęśliwſzy, Krolu ktory robiſz,
Szczęśćie twoich poddanych, y cnotą ich zdobiſz.
Więkſzá to ieſt, kochanym, á niżeli banym,
Y z miłośći niż z kary bydź z Thronu słuchanym.
Táki Krol ieſt ſerc Krolem, y ſtráćić takiego,
Káżdy ſię lęká, y ſwą dałby śmierć zá niego.

Te uwági Mentorá, ſerce mi wróćiły,
Już mężność obálona, we mnie odrodźiły.
Skoro wnidźiem do Memphis, Miáſta bogátego,
Wiodą do Kommendánta nas ich nayſtarſzego,
Ten nas do Theb odesłáł, gdźie Seſoſtris mieſzkał,
Krol ktory w każdą ſprawę, weyzrzeć nieomieſzkáł.
Znowu tedy do gory okrętem żegluią,
Przyſzli do Theb, ktore ſto bram w ſobie ráchuią.
Niezmierney to wielkośći, nám ſię Miaſto zdáło,
Ale ſię rządem dobrym, bárdźiey podobáło.
Ochędoſtwo w ulicách, wody prowadzenie,
Po łáźniách, y w rzemiosłach wſzelákich cwiczenie,
Wolność y beſpieczeńſtwo towárow publiczne,
Nuż Kośćioły, Fontanny, bez liku tak śliczne.
Obeliſzki wyſokie, marmurowe gmachy,
Y Zamku Krolewskiego pozłociſte dáchy,
Wewnątrz ſrebrne kolumny, Piramidy długie,
Sam Zámek nám ſię zdáł bydź, iáko Miaſto drugie.
Ci co nas tám przywiedli, y ciż co nás wźieli,
Są do Krola w puſzczeni, y mu powiedźieli:
Ześmy ná Phenicenskim, ſą okręćie wźięći,
Y my przed Thron Krolewski, ieſteśmy przyięći,
Miáł Krol zwyczáy w káżdy dźień, opewney godźinie,
Káżdey ſprawie dáć ucho, ktorá ſię náwinie;
Czy skargę ktory przyniosł, przeſtrogę czy radę,
Czy zły iáki uczynek odkrył, czyli zdradę,
Nie odrzucáł nikogo, bydź Krolem rozumiáł,
Ná to iedno, áby im dobrze czynić umiał.
Cudzoźiemcow z dobroćią, y ludzko przyimowáł,
Záwſze od nich náuczyć, czego ſię znaydował,
Z rządu obcych zwyczaiow. Y z tey ćiekáwośći,
Záráz nás wprowádzono, iáko nowych gośći.
Był z kośći Thron słoniowey, w ręku Berło złote,
W twárzy ſtárey Máieſtát, nośił wráz y cnotę.
Z niezmierną ćierpliwośćią, co dźień ludźie ſadźił,
Y z przykłádną fatygą, káżdą rzecz rozrządźił.
Bez podchlebſtwa, wewſzyſtko, był Krol doskonáły,
Dáwſzy ſpráwom záwiłym, ledwo nie dźień cáły
Odpoczywał wieczorem, lub Mędrcow słuchániem,
Lub dyskurſem z poććiwſzych ſwych Dworzan wybraniem.

Ani

Ani by ſię co żądáć mogło w życiu iego,
Gdyby można zápomnieć tryumfu pyſznego:
Co Krolow zwyćiężonych, w ſwoy woz pozáprzęgał
Y duma nie słycháná, zbyt wyſoko śięgał.
A drugá; że ſię oddał, z ſwych Dworzán iednemu,
(Záraz ći go opiſze) tym czáſem ku niemu
Gdy przyidźiem. Tak ſię wzruſzył wzrokiem, mey młodośći,
Ze gdy mię pytał ktom ieſt? był pełen litośći.
(Odpowiem) Wielki Krolu wiem pewnie, że Troi
Oblężenie y zguba, wiadomośći twoiey
Nie uſzłá. Y iako ią Uliſſes wywroćił,
Oćiec moy, ktory do Páńſtw ſwoich nie powroćił.
On ználeźć ſwey Oyczyzny, iá nie mogę iego,
W tym ſzukániu widźiſz mnie, od twoich wźiętego,
Przywroć mię Oycu memu, odday mey Oyczyznie,
Wſzák ty ſam uczyſz Krolu, iáko kochać bliźnie.
Y ták ćiebie niech dźiećiom Bogowie chowáią,
Niech z Oyca ták dobrego, też poćiechę máią.
Pátrzył ná mnie Seſoſtris, okiem litośćiwym,
Ale chcąc mię doświadczyć, ieślim był práwdźiwym;
Do iednego z ſwych Dworzan, z rozkázem odsyła:
Pytać ſię ieśli w moiey, mowie prawda byłá?
Czyśmy Phenicyanie, czy Grecy práwdźiwie?
Bo go skárzę dwoiáko, ieśli rzekł fałſzywie.
Y zá kłámſtwo, y zá to, że nieprzyiáćiele;
Jeśli záś ſą Grekámi, uczynię im wiele
Ludzkośći, y odeſzle ich do ich Oyczyzny,
Bo náſz národ Egipski, y ten kray tak żyzny,
Siła Grekom powinien, máiąc od nich práwa.
Herkuleſa, Achilla, nam przykładna sławą.
Słyſzałem Uliſſeſa, mądrość nieſzczęſnego,
Podać rękę w nieſzczęśćiu, nie mam nic milſzego.
Ten Dworzánin, ktoremu byłem odesłány,
Jáko Krol był cnotliwy, ták on zepſowány,
Pełen ſztuki zdrádliwey [Metophis go zwáno]
Tam rożnie nas podchwyćić, w słowách náſzych chćiáno,
Aże Mentor odpowiedź, dał záwſze rzetelnie,
Poyrzał krzywo, y ná nas zá iadł ſię śmiertelnie.
Zwyczáynie zli ná dobrych, dármo ſię gniewáią,
Ták y nas [to náypierwſza] obu rozłączáią.

 Y odtąd

Y odtąd już Mentora, więcey nie widźiałem,
Smierć, nád to rozłączenie; nie ćiężſzą by miałem.
Dźiwy ze mną Metophis, á wſzyſtko zdrádliwie
Robił. To káreſſuiąc, łáskáwo fáłſzywie,
To grożąc; Chćiał dokázać, przez moie wyznánie,
Ześmy nie ſą Grekowie. Lecz Phenicyánie.
Jákoż, lubo nic ná mnie, iák chćiał nie wyćiągnął,
Przecie przed mądrym Krolem, tak iezyk poćiągnął,
Ze go przecie oſzukał, lubo oſtrożnego.
O Krolowie? iák mi ieſt, żál ſtánu wáſzego?
Jákimeśćie podlegli złych ludźi złym zdrádom!
Kiedy ich przypuſzczáćie, rządom ſwym y radom.
Dobrzy, ktorzy podchlebſtwá mowić nie umieią,
Czekáią záwołánia, przyſtąpić nie śmieią,
A Krolowie ich ſzukáć, y ználeść nie znáią,
Ná odważnych ſzálbierzow, prędzey nápádáią:
A ci ſię tylko ciſną do upodobania,
Y inſzego nie máią u Dworu ſtáránia,
Jeno służyć Krolewskim, złym paſſyom wiernie,
Choćby honor z ſumnieniem, podeptać mizernie.
Nieſzcześliwyś o Krolu? y będźieſz doſzczętu,
Jeśli przyſtęp podchlebſtwu, daſz y do wykrętu?
Jeśli kochać nie będźieſz, tych, coć rzeką śmiele?
Te miałem reflexye, tákich myśli wiele.

Ztym wſzyſtkim mię Metophis posłał ná puſtynię,
Páść ſwe trzody; y ták mię niewola nie minie.
Tu w mowie Telemáká, Kálipſo przerwáła,
Cożeś tam z ſobą robił, [pilno go pytáłá]
Ty ktoryś wolał umrzeć, niżli bydź w niewoli?
Ná co iey tak odpowie. Człowiek ſię powoli
Káżdey rzeczy przyucza, do tego ſpoſobu
Nie miałem ſobie obráć, z tego złego obu.
Ttrzeba było poyść zá złą fortuną; y złośći
Iey zmordować ku ſobie, wſzelkie záwźiętośći.
Y słoweczká przemowić, do ſiebie nie dáno,
Mentorá Ethyopom, z oſobná przedáno.

Ná puſtynię okrutne przyſzedłem, piáſzczyſte
Gory, wiecznie śnięgowe, á doły ogniſte,
Od słońca goreiące, z piáskow roſpálonych,
Między mrozem á ogniem, kráiow podźielonych.

A po

A po miedzy skáłámi, ćiemne y głebokie
Pádoły, niby łąki, pastwiská szerokie
Były, nie ták obfite, w tráwy iák w kámyki;
Y tám ludźie mieszkáli, dźicy, iák kray dźiki.
Wszyscy byli Pástuszy. Y iá miedzy niemi,
Chodźić w dźień zá stádámi, muśiáłem licznemi.
W nocy zaś opłákiwać nieszcześćie, czas miáłem,
A przed iednym hultaiem, w dźień y wnocy drżáłem.
Imie było mu Busus, ten szálbierstwy iáwnie,
Chcąc sie Pánu zálećić, skarżył nas ustawnie.
Y nászą sie niewolą, chcąc z swoiey wykupić,
Nie miał szkrupułu, nas zle tráktowáć y łupić.
Jużem nie mogł wytrzymáć, żálem raz przeiety,
Zápomniáłem swey trzody, z biedy niepoietey.
Ległem ná tráwie, podle okropney iáskinie,
Czekam cie śmierći (rzekłem) niechże wszystko ginie.
W tym momenćie postrzegłem: że gorá zádrzrżáła,
Zdało sie że moc debow, y sosen spádáłá.
A w tym wszystko ućichło, y sam sie wiatr chowa,
Gdy do mnie z tey iáskini, strászne idą słowa:
Synu cnego Ulissa, tak ći káżą nieba,
Wielkim sie przez ćierpliwość stać ći [iák on] trzeba.
Krolowie ktorzy záwsze byli szcześliwemi,
Y biedy nie zázyli. Niegodni bydź niemi.
Pychą sie opiiaią, rospusta ich psuie,
Swoboda y przyiemna swawola ich truie.
Jeżeli tych zápomnisz nieszcześć, y ich zbedźiesz
Cierpliwośćią? O iák ty wraz szcześliwym bedźiesz?
Doydźiesz Iráku, y twá słáwá, pod niebiosy
Doydźie. Ale też kiedy lepszeć pádną losy,
Pamietáy, żeś mizernym był iák ieden z ludźi,
Niech ćie do kompássyey, to samo pobudźi.
Kochay swoie poddáne. Podchlebstwa odrzucay,
Y w tym iednym, Krolewski umysł swoy, wyuczay.
Zebyś był wstrzemieźliwym. Passyi łámánie,
To słáwá, y to twoie niech bedźie stáránie.
Te słowa Boskie, wskruś mi serce przeráźiły,
Y wesołość, y mestwo, po żálu wroćiły.
Gdy Bogowie gádáią, to bywa z niemałem
Stráchem; lecz iá bynaymniey, tych słow sie nie bálem.

 Y owszem

Y owszem tuż spokoyny, ná kolána pádłem,
Adoruiąc Minerwę, ná ktorą nápádłem.
Że to z iey łáski było, iákbym się odrodźił,
Oświeconym mądrośćią, y iákbym dochodźił,
Słodkich śił, ná mych pássyi mocne utrzymánie,
Y młodośći impetu, potrzebne złamánie.
W momenćie wszystkim miły, Pásterzom się stálem,
Okrutnego Bususa ćierpiąc, zmordowálem.
Zeby iednák wytrzymáć, niewoli tęsknotę,
Zábrálem do czytánia, chwálebną ochotę.
Xiąg szukálem, ná pokárm, y pośiłek duszy,
Y to tylko (żem nie miáł xiąg) me serce suszy.
Szczęśliwi co się ucząc, sami rozrywáią,
Co w polorze dowćipow, szczęśćie zákłádáią.
Gdźiekolwiek nieprzyiázna, fortuna ich rzući,
Poćiechę z sobą nośi, ten co się sam uczy.
Y tesknić ták w nieszczęśćiu, naywiększym nie umi,
Jáko ten, ktory się w swych, delicyach tłumi.
Kiedym tak do czytánia tęsknił, y náuki
W ćiemny las wszedłem, łáiąc u siebie nauki.
Idę długo y myślę, (już tu sobie lęgę)
Aliśći uyrzę stárcá, ktory w ręku xięgę
Trzyma. Czoło szerokie ma, trochę márszczone,
Brodę, po sam pas białą, ustá ułożone.
Jágodą mu czerwoná, á oczy ogniste,
Słowa proste, głos miły, y wszystko. *Záiste*
Nigdymem Stárca bardźiey, czći ludzkiey godnego
Nie widźiał, Termosyris było Imię iego.
Był Káplán Apolliná, bliskiego Kośćiołá,
Od onych Krolow Egipskich, z marmuru do kołá
Budowánego. Xięga co miáł stárzec miły,
Hymny, Pieśni, y Chwały Bogow, wniey to było.
Postąpił ku mnie krokiem, z uśmiechem wesołem,
Witá mię, y poznáwa, z niezmarszczonym czołem.
Záráz mi przeszłe rzeczy, krotko opowiádał,
Nie zmordowálby mnie był, choćby y rok gádał.
Náwet y przyszłe rzeczy, z mądrośći głębokiey,
Wyiáwiał, iákoby miáł otwárte obłoki.
Przyiemny y wesoły, że od naymłodszego,
Nie było tylo wdźięku, iák od Stárca tego.

Iákoż on kochál młodźieſz, poiętną y chcącą,
Cnoty nábydź, y do niey, pięknie páláiącą.
Pokochál mię Stáruſzek, y ná mą poćiechę,
Użyczył mi ſwoich Xiąg. A zwáć miál ućiechę:
Synem mię ſwoim. Iam teſz,o Oycze mu mawiał:
Miálem y ia Mentorá, ktory wemnie wmáwiál,
Cnotę iak ty, y mądrość. Bogowie go wźięli,
Ale mi go, w oſobie twoiey, oddáć chćieli.
Częſto mi wierſze ſwoie, mądre pokázowál,
Y innych cnych Pòétow, ktorem w mysli chowál.
Kiedy zaś, w ſwoię biáłą ſzátę, ſię uſtroił,
Y lirę słodkobrzmiacą, w ręku ſwych náſtroił.
Zbiegáły ſię Tygryſy, Lwy, ſrogie Niedźwiedźie,
Y Sátyrow do táńcu, coś Boskiego wiedźie.
Rzekłbyś: że gory ſame, y okropne skáły,
Y Láſy ćiemne, gusty w tey muzyce miáły.
W tych pieśniach wielkość Bogow, y tych śpiewał ſprawy,
Ktorzy wſzelką roskoſzą, wzgárdźili dla sławy.
Często mi y to mawiał: [czego nie zápomnię]
Nieopuſzczą Bogowie, y że myślą o mnie.
Ná koniec mię pobudzą, y tak upominá:
Idź Synu zaprzykładem mego Apolliná.
Cwicz Pásterzow iáko on, ábyMuzy ználi,
O ktorym Historya, táką czyni daliy:
Apollo raz márkotny, że Jowiſz nayczęstſze,
Rzucál pioruny, wedni iáſno naygoręt ſze.
Ná Cyklopach ſię pomśćić chćiál, co ie kowáli,
Postrzelal do iednego, ſwoiemi ich strzáły.
Ták ustáłá robota, y Etna nie grzmiáła,
Co od młotow Cyklopow, z cáłą źiemią drżáła.
Wulkan wśćiekły wypáda, z pieca ognistego,
Kuláwy; do Olympu drze ſię wyſokiego.
Sádzą z potem okryty, przed Bogami staie,
Gorzko ná Appollina skarży ſię, y łaie.
Z czego Jowiſz roziadł ſię ſam, iak owo jędza;
I z nieba Appolliná, ná źiemię wypędza.
Woz iego prożny chodźił, ſwym biegiem zwyczaynym,
Dniom, Nocy, Zimie, Latu, Zygarem nie taynym.
A Appollin obdarty, ze ſwoich promięni,
Do Stad Krola Admeta, w Pasterza ſię mieni.

Gra ślicznie ná fuiarce. Pasterze ſię zchodzą,
Y czego niesłyſzeli, bardzo ſobie słodza.
Bo przedtym nic ludzkiego w dźiczyźnie nie mieli,
Y tylko doić, y ſyr wyrabiać, umieli.
Ale im moy Appollo, żywota wieyskiego,
Odkrył słodycz, y śpiewał im, roku całego
Miłe odmiany. To raz kwiat, Wioſny koronę,
Nocy letnie, á dni zaś, praca uwieńczonę.
Oraczom rekompenſę, Jeśień przynoſzącą,
Y Zimę u komina, iako starzec drżacą.
Dał im poznać; iaki to ſmak iest, w żyćiu takim:
Kędy natura, torem pewnym, y iednakim
Idźie: iakie ſię cuda, w iey náydą prostoćie,
Kiedy iey nie dla zbytku, zażyie kto w cnoćie.
W krotce, z ſwymi flutami, Pasterze ſię mieli
Szczęśliwſzemi od Krolow, ich tronu nie chćieli.
Proſte, ale prawdźiwe plezyry ſię ćiſną
Do nich, ktore przed wroty złoćiſtemi pryſną.
Gry, śmiech, wſzyſtkie gracye, Páſterki niewinne,
Wźięły dźiáłem, im záwſtyd przy urodźie, winne.
Káżdy dźień Swięto było. Ptaſzki przygrawały,
Zephiry po gáłęźiách, chłody ná nich śiały.
A Páſterze pioſneczki, do tego nućili,
Tych Muzy, Apolliná sługi, ich uczyły.
Ten Bog záś uczył ich: To, wzawod rączą biegać,
To ſtrzelać dźikie Sarny, Jeleni dobiegać.
Z ſzczęśćia tak ſpokoynego, zazdrość ſamych Bogow
Wźięłá; że Appollina, do Olimpu progow,
Przywroćili. Y tać to bayka, ći náuka,
Ma bydź Synu; ábyś ſzedł, Appollina ſztuką.
Ponieważ ćię wygnániem, náwiedźiły nieba,
Wychędożyć dziczyznę, y zakwitnąć trzeba.
Puſtynie y Paſterzow, przyucz do Muzyki,
Nie day w ſercach ich gośćić, ſurowośći dźikiey;
Lecz dáy cnoćie kochaney. O iakie poćiechy?
Przy cnoćie mieć bez paſſyi, niewinne ućiechy.
Będźieſz y ty, gdy wſpomniſz ná to, więc żałował;
Ták ſzczęśliwym nie będźieſz, gdy będźieſz Krolował.
Obſtąpią ćię kłopoty, y Krolewskie troski,
Będźieſz wzdychał, ná życie Páſterskie, y wioski.

To

To rzekſzy Termoſyris: flutę mi dárował,
Taką ze ledwom zagrał; głos iakby ſię chował
Dla mnie po gorach; wypadł, z ták roskoſznym pieniem,
Ze Páſterze ſię do mnie zbiegli, oka mgnieniem.
Głos moy ſtał ſię iak Boski, dźiwnie okraſzony.
O iak miły kray? kiedy náturą ſtroiony.
Y takeśmy weſoło wſzyſtkie dni trawili,
Ja śpiewaiąc, oni ſię, słuchaiąc uczyli.
Zaniedbali y bydeł, rzucali ſwe chatki,
Cwicząc ſię, w tey iedynie roboćie, im rzadkiey.
W czym, tak ſię ta puſtynia prędko odmieniła,
Ze ſię ſama kraina, nam zdała bydź miłá.
Częſtośmy do Kośćioła biegli, ná ofiary,
(Przedtym nigdy) gdźie mieſzkał Termoſyris ſtary.
Páſterze ná cześć Boga, laurem ſię wieńczyli,
Y bankiety polowe, zaraz tamże były.
Mleko od nas doione, od nas frukty rwane
Iedliśmy, darnie miętkie, nam zá krzesła miane.
Geſtwiná z drzew skrzywionych, taki ćień dáwáła,
Złotych dáchow wſpániałość, iákiego nie znáła.
Lecz, co mię miedzy niemi, sławnym uczyniło,
Było, że raz Lew nápádł, y z głodem y z śiłą,
Ná trzodę, y gdy pocznie tłuc, y zrzeć bez miary,
(Paſzczęka mu ogniſta, ſám żołto podżary.)
Szedłem śmiało ná niego, ſzuflę tylko maiąc,
A Lew krwáwe pazury, y ſzerść náieżáiąc,
U derzy ſię ogonem. A iá go o źiemię.
(Miáłem pancerz iak drudzy, to pomogło, że mię
Nie rozdarł) trzy ſię razy z rąk wyśliznął moich,
Alem go ia dotrzymał, y z wſzyſtkich śił ſwoich,
Udławiłem. Paſterze świadki mego męſtwa,
W skorę ſię ubráć każą, ná znak mi zwyćięſtwa.
Odgłos tego uczynku, y piękney odmiany,
W puſtyni, już odemnie tak przeformowaney,
Po całym ſię Egipćie (z mą chwáłą rozchodźi,
Y do Krola Seſoſtris ſamego dochodźi.
Dowie ſię, żem to iá był, za Phenica wźięty,
Ktory, złotym wiek przyniosł, y postępek święty,
W pustynie krajow jego. Y w tey ćiekawośći,
Chce mię widźieć. Iakoż mię, w dźiwney łaskawośći.

 Przyimuię

Przyimuie, y dochodzi, że to zdrada była
Metophisa, ktorego w więzienie odsyła.
O jakie to nieszczęście, kto siedzi wysoko,
Nie doyzrzy prawdy, ktora zakryta głęboko.
Ma tákich koło siebie, ktorzy przeszkadzaią,
Zeby Pan iey nie doyrzał. W tym interess maią,
Aby Pána oszukać, á swą pychę kryią,
Płaszczykiem życzliwości, iak nie sobie żyią.
Tylko iakby Krolowi, ktorego nie lubią,
Bo go swemi pochlebstwy zdradzaią, y gubią.
Dźiwnie, wielki Sesostris, dobrze mię tráktował,
Okręty ná moy powrot, z Woyskiem ofiárował;
Tylko co wśiadáć mamy, bo flotá gotowa,
Aż mnie rewolucya gotuie się nowa,
Gdy sobie myślę, co to tá fortuná robi:
Podnieśie, y obáli, pohánbi y zdobi.
Ták y mnie, kiedy szukam moiego Mentorá,
Y badam się o niego. Aż tu drogá spora
Odmienia się, bo nagle Sesostris umiera.
Y wrotá; do Oyczyzny moiey, mi záwiera.
Ægipt w żalu z tey stráty, był nieukoiony
Nie słycháć tylko żal, płácz, w ktore poyzrzysz strony.
Ják Oycá, Protektorá, Przyiaciela cnego
Płácza. Stárcy wołáią: już Krolá tákiego,
Nigdy Ægipt nie znaydźie. O surowe Niebá!
Albo go nam nie dáwáć, álbo bráć nie trzebá.
Zginęłá nam nádźieiá. Młodźi záś wołáli:
Szczęśliwi co czas dobrych, pod nim záżywáli.
Czterdźeśći dni, naydálsze Narody, zbiegáli,
Obrázy dla pámiątki, Wnukom swoim bráli.
Siłá záś w grobie iego, żywo się kopáło,
Ale moy żal nád żale: Co się ze mną stáło?
Bokorys syn y Dźiedźic, Krolá ták dobrego,
Ludzkośći nic, mądrośći cále nie miał iego,
Gárdźił Cudzoźiemcámi, cnotliwym się brzydźił;
Y chęć w sobie do cnoty mieć, cále się wstydźił.
Wychowány w niecnotách, y w pysze wierutney,
Zá nic sobie miał ludźie, ná nich był okrutny.
Jákby inszey nátury; nie iáko on byli,
Y, że ná to stworzeni, áby mu służyli.

Nie myślał, tylko żądze ſwoie kontentowáć,
Y zebráne od Oycá, skárby rozſypowáć.
Poddánych dręczyć, y krew wyſſać przez podatki,
Do rády wołáć młode, y płoche nieſtátki.
Mądrych Stárcow Oycowskich, oddalił ze wzgárdą,
Monſtrum to był, á nie Krol pod koroną hárdą.
Jeſzcze go cnoty Oycá, bárdziey wytykáły.
Ale że był kocháný, ow Krol doskonáły,
W Egipćie; toć y Syná, lub z żalem ćierpiano,
Y pod járzmem ták ſrogim, ćierpliwie ięczano.
Ale on zgubę prędką, wziął ſobie gotowáć,
Y nie mogł, ták niegodny Krol, długo pánowáć.
Metophis ow, miał ſzcześćie, wyiść z więźienia ſwego,
Y doſtąpić faworow, u Królá nowego:
Mſzcząc ſię ſwego nieſzczęśćia, com go był nábáwił,
Ze mię w wieżą wſádzono, to u Królá ſpráwił.
Tá wieża pod Peluzą ieſt, nád brzegiem Morskim,
Támem ſię ſtał ofiárą, záwźiętośćiom Dworskim;
Trawiłem dni y nocy, w niesłychánym ſmutku,
Z iáskini głos słyszány, zdał ſię bydź bez skutku.
I to co Termoſyrys, ſzczęśćie prorokował,
Wſzyſtkom to zá ſen ieden, y bayki ráchował:
Utopiony w tym żalu, pátrzyłem ná wały,
Ktore ſię o więźienie moie, obijáły.
Ná Okręty rzucáne, przez pieniące burze,
Y bliskie ich rozbićie, ná mey wieży murze.
Alem ich nie żáłował, y owſzem zazdrośćił,
O ich bliskim nieſzczęśćiu, tákiem myśli rośćił:
To ći ludźie, zakończą ſwe biedy, gdy zginą,
Albo doydą Oyczyzny, y ſtráchy ich miną.
A mnie tego oboygá, ſpodźiewáć ſię trudno.
Wádźiłem ſię z fortuną, y tesknotą nudną.
Ale gdy dni, y śiebie, dármo w żalach płácze,
Raz niezmierną Okrętow moc, y Woysk obaczę.
Máſzty iák lás, á Morze záś od żaglow białe,
Y od łopat bez liku, pieniące ſię cále.
Ze wſzyſtkich záś ſtron głoſy, słyſzę pomieſzane:
Jedne Egypcyány, cále záſtrácháne,
Co ſię mieli do broni. A záś drudzy w biegu,
Ku tey flocie, witáiąc ſię z nimi, ná brzegu,

Prędkomem poznał, że te Okręty, co przyszły,
Jedne od Phenicyey, drugie z Cypru wyszły.
Że byli Egipczanie rozdwoieni, znałem,
Y łátwo z tego miárę sobie, myśląc, brałem:
Że durny Krol Bokorys, okrucieństwy swemi,
Wzniećić Woynę domową muśiał, z Poddánemi.
Egipczánie co w sukkurs, Cudzoźiemcow wźięli,
Z sadźiwszy ich ná Ziemię, uderzyć się chćieli,
O drugich Egipcyan, ktorych sam Krol szyki
Prowádźił, w bystrey minie, surowy y dźiki.
Widźiałem iako swym Krol, pobudzał przykłádem,
Jáko Márs, krwi rynsztoki toczył, zdięty jádem.
Krwią zbroczone pryskáły, wozu iego, kołá,
Ledwo trupy przeyść mogły, zgniećione do kołá.
Ten młody Krol był hoży, wysoki, y skory,
Desperáckie błyszczały, w oczách mu furory.
Jáko koń wyuzdány, bieży do upadku,
Męstwá nie moderował, dźielność miał bez státku.
Nie mogł błędu popráwić, ni wcześnie rozkazáć,
Ni przeyzrzeć, czego się bać, ni ustrzedz się kazáć.
Nie z tąd to szło: iákoby nie miał dobrey głowy:
Miał y serce; ále że był, w nieszczęśćiu nowy.
Dobry umysł, źli Mistrze, podchlebstwy otruli.
Rozćiąga się w Fortunie, á w przypádkách kuli.
Że iego żądzom, wszystko podpada, rozumi,
Gniewu złośći zápałom, oprzeć się nie umi.
Zgołá: Pychá go, w Zwierzę srogie przemieniłá,
Dobroć iego rozumu, z tąd go odstąpiłá.
Ućiekli precz od niego, naypoczćiwśi Słudzy.
Nástąpili, głaszczący iego chući, drudzy.
Y gdy przećiwne rády, swemu dobru bierze,
Brzydzą się tym postępkiem, cnotliwi w tey mierze.
[Wroćmy się do potrzeby.] Jego same męstwo,
Támowáło dość długo, przećiwnych zwyćięstwo.
Ale mnostwu zbytniemu, ustąpić muśiáło.
W tym Krolá, Phenicowi, tráfić się udáło,
Poćiskiem w same pierśi, od ktorego z wozu
Zlećiał. A że nie trzymał nikt lec, ni powozu.
Konie go stretowáły. Wźiął mu życie z głową
Cypryiczyk. y twarz iego pokazał surową,

Ná tryumf zwyćiezkiemu Woysku; ktore licznie,
Zbiegło się, y wesoło krzyczy okolicznie.
Nie zápomnie przez wiek moy, żem te widźiał głowe,
Pływáiącą w krwi swoiey, y oczy surowe,
W niey zgásżone. y gębe ná poły otwártą,
Y tę minę grożącą, pyszną y záżártą;
Ktorey y śmierć w nim sama, nie mogłá zámázáć.
Nie przestáne żáłowáć, oraz y uważáć:
Jeźli mi dádzą kiedy, Bogowie krolowáć,
Nie przestáne, przykłádu tego, w myśli chowáć.
Ze Krol, nie iest do rządow, nigdy swych godnieyszy,
Ani nie iest fortuny pewien, státeczniey szey,
Tylko kiedy swe władze, pod rozum poddáie.
O! iák się nieszczęśliwym, Krol sámochcąc stáie!
Gdy będąc, ná publiczne szczęśćie, náznáczony,
Nieszczęśliwych Poddánych, swey czyni korony.
Kalipso z podźiwieniem, Telemaká słucha,
Uważa przy młodośći, ták mocnego duchá,
We złym nie złamanego; ktorym się on rządźił;
Iże náwet odkrywa to, w czym troche zbłądźił.
Jakby się sam oskarżał, y że swoich błądow,
Ná popráwę záżywał, doskonálszych rządow.
Mow dáley Telemaku (rzecze) jákim torem,
Wyszedłeś ty z Egiptu, zszedłeś się z Mentorem?
Mowi tedy Telemak: Co przy Krolu stali
Egiptowie, przegráną swą widząc, poddáli
Zwyćiezcom się swym Bráći. Krolá obieráią.
Phenicowie z Cyprámi, do domu wracáią.
Z Krolem nowym, zrobiwszy ligę nieprzerwáną,
Niewolnikow Narodu ich, dawnych oddano.
Ja w ich liczbie wychodzę, z wieży swey fatálney,
Ná Okręt wśiadam, pełen już otuchy wálney.
Już wiatr dobry dmie w żagle, y pieni się Morze,
Od łopat; kray ućieka, gdy się wodá orze.
Gory się coraz mnieysza. A z wod, ogniá Słońce
Dobywa, y pozłaca brzegi, zostáiące.
Niebo stroyne lazurem, a Morze źielonym,
Dáie nádźieie, dobrey drogi, uprágnionym.
Lubo zá Phenicaná, w tym śiadłem Okręćie,
Iednák mię nikt z nich nie zna. śiedzę iák w odmęćie.

Narbal, ktory Okrętem naſzym kommendował,
Spyta mię? Iák ſię zowieſz, y kędyś ſię chował?
Z Miaſt náſzych? Odpowiem mu: jam ni z Miaſt ni z ziemi
Wáſzey; Alem w Okręćie był, między Wáſzemi;
Kiedy nas Egipcánie, w kupie wſzyſtkich wźięli,
Y mnie zá Phenicaná, niewolnikiem mieli.
Siłám pod tym Imieniem ćierpiał, ledwo żywy,
Y pod tymże Imieniem, wychodzę ſzczęśliwy.
A z ktoregożeś kráiu? (rzecze) Narbal do mnie?
Iam Telemak Ulisſa Syn, (żeći go wſpomnię)
Królá Páńſtwá Itaku; ktory ſię w niedawnym,
Trojáńskim oblężeniu, ſtał po świećie sławnym.
Bogowie, do Oyczyzny, bronią mu powrotu.
Szukam go w rożnych kráiách. Iednegoż kłopotu,
Co y on, y fortuny, záżywam przeciwney.
Máley rzeczy ia ſzukam, ktorey mi BOG dźiwny,
Odmawia: żebym Oycá, do ktorego wzdycham,
Ználazł. y ſwą Oyczyznę, do ktorey uſycham.
Z tąd mię Narbal uważa, z podźiwieniem ſrogim,
Myśląc, że Bogom muſzę bydź miłym, y drogim.
Náturálnie był dobry, poczćiwy, otwárty;
Umyślił dáć mi rádę, ná moy los uparty.
Y rzecze mi: Nie wątpię nic, o Telemaku!
Zebyś ty nie był rodźic, y dźiedźic Itaku.
Bo żal y cnotá, ná twey máłowáne twarzy,
Wierzyć każą, y w niey ſię wielkiego coś żarzy.
Náwet, (niechay ſię w myślách skrytych ći nie dłużę.)
Widzę, żeś Bogom luby, ktorym ia rad służę.
Ci chcą, ábym ćię kochał, y rádą ſalwował,
Nadgrody nie chcę, tylko abyś ſekret chował.
Nie boy ſię [rzekę,] ábym ia milczeć nie umiał,
Rzeczy, ktore poufać, będźieſz mi rozumiał.
Lubom ia ieſzcze młody, [choć pochwalę ſię tu]
Stárałem ſię wyćwiczyć, dotrzymáć ſekretu.
A dopieroż, ochronić konfidentá mego.
Narbal rzecze: A iákże mogłeś przyść do tego?
Y iák ći nieuważna młodość pozwoliłá,
Doſtąpić? czemu zawſze nieprzyiázna byłá.
Sekret, wſzyſtkie oświeca poſtępki uważne,
Y bez tego przymiotu, u mnie nie ſą ważne.

Gdy

Gdy Uliſſes, (rzekę mu) ſzedł ná Woynę Troi,
Wźiął mię raz ná kolána, y twarz we łzách znoi.
Rzekł [iák mi powiedano] niech ćię nie obaczę,
Niech (Synu) przetną Párki nić, żywotá tkacze,
Niech ćię zetną iáko kwiát, Synu y kochánku,
Co dopiero ná łące pokazał ſię z ránku,
Niech ćię wprzod w oczách Mátki, me Nieprzyiaćiele
Zgniotą. [Y ták dokładał innych przeklęctw wiele]
Jeźli ſię maſz popſowáć, nie iść drogą cnoty.
Owy, wy Przyiaćiele! Wáſzey to roboty
Będźie, Syná wychowáć; wam go zoſtáwuię,
Kto mię kocha, niechayże dobrze go pilnuie.
Podchlebſtwo niech oddala, y łamáć ſię uczy
Sámego. niech mu gięćiem, iák drzewku dokuczy.
Sekretnym, ſpráwiedliwym, uczyć go bydź wiernym.
Kto ſię kłamſtwom raz podda, obrzydle mizernym,
To nie człowiek. Y nigdy pánowáć nie godźien:
Ktory ſekret wyiawiáć, przed kimkolwiek głodźien.
Y te słowá Oycowskie, oni powtorzyli,
Ták mi częſto, że aż mi do mozgu ie wbili.
Y ták mię częſto chćieli, w ſekrećie probowáć;
Ze ledwo comem gadał, umiałem go chowáć.
Owych Gáchow: Co z Mátką mą żenić ſię chćieli,
Y nie dyskretni gośćie, uſtáwnie śiedźieli,
Kiedy ſię ich zbydź chćiano, powierzano mi to
A iam ſię pyſzniąc milczał. Choćby mię zábito,
Nie podałem po ſobie. A ći konkurrenći,
Pátrząc ná me dźiećińſtwo, mniema że wykręći
Káżdy z nich y wybada, co wiem, co rozumiem,
Ale ia y bez kłamſtwá, táić wſzyſtko umiem.
Powiem ći (Narbal rzecze) ponieważeś táki:
Widźiſz moc Phenicanow, y Narod to iáki:
Y iák drugim Narodom, Okrętow mnogośćią,
Jeſt ſtráſzny, y bogáctwy! ktorych przezornośćią
Nábywa, aż do kolumn Herculis handluiąc.
Seſoſtris, nic ná źiemi nie wskorał woiuiąc.
Y iego Woyska, co Wſchod cáły zwyćiężyły,
Ledwo nam aż na Morzu, trochę dokuczyły.
Włożył on prawdá Hárácz, lecz go nie płáćili,
Nie ćierpliwie ná iego potęgę pátrzyli.

 Mocna

Mocna resistencya byłá tá, y trwáłá.
W tym śmierć Sesostra, skończyć tey Woyny nie dáłá.
Prawdá że bárdziey głowy, niźli mocy iego
Baliśmy się. Ale gdy moc, do Synowskiego
Przeszłá Tronu; gdźie żadney, nie było uwagi.
Zważyliśmy, że táka śiłá, iest bez wagi.
Jákosz Egipcyanie, miásto ná nas woyny,
Záwołáli nas w sukkurs. Gdy Krol nie spokoyny,
Bezbożny, y szalony, wźiął ich opprymowáć.
Aż my co się ich bali, szliśmy ich rátowáć.
O iáka nászá sławá! do złotá dostátku,
Droga wolność przyłączyć, y mieć ná ostátku.
Ale kiedyśmy drugich, są zbáwicielámi;
W domu sámi iesteśmy, záś niewolnikámi.
Boy się (o Telemáku) wpáść w okrutne ręce,
Krolá Pigmálioná, zá ktoreć nie ręczę.
Umoczył ie w Sychea krwi, Męžá Dydony,
Siostry włásney; ktoremu zazdrośćił korony.
Oná lub z strąchem wielkim, pomsty nań szukáiąc,
Ućiekłá z Tyru, śiłu z sobą zábieráiąc.
Co wolność y poczćiwość, naybárdźiey kocháli,
Ná brzegi Afrykáńskie, przy niey się wybráli.
Tám Miásto, Kárthágine przepyszna, funduie.
Pigmálion sam sobie, nowe męki snuie.
Bogáctw nienásyconym, y złotá prágnieniem,
Stáie się, swych Poddánych, zmierzłym pohánbieniem.
U nas w Tyrze kryminał, mieć iákie bogáctwá,
A náwet mizernego, boi się żebráctwá.
Łákomstwo w nim, ná wszystkich, podeyrzenie czyni.
Bogátych prześláduie, y ubogich wini.
Gryźie się niespokoyny, swego ćieniá boi,
Ni się w dźień, ni się w nocy, sam nie uspokoi.
Sąd Boski, konfuzyą w bogáctwách, go tłumi,
Im ich ma więcey, tym mniey záżywáć ich umi.
Y to sámo, w czym szczęśćie swoie bydź, zakłada,
Y szczęśćie mu, y pokoy, zdrádliwie wykrada.
Záłuie gdy co dáć ma, á gdy wźiąć, się suszy.
Nikt go nigdy nie widźi, z mieyscá się nie ruszy.
Sam ieden, smutny záwsze, w pálácu záwárty.
Ktory naypodufálszym iego, iest zapárty.

Warta

Wártá ſtráſzna, z gołymi koło drzwi mieczámi:
Piką gęstą opaſan páłác, iák láſami.
Trzydźieśći ma pokoiow u śiebie, przebitych,
Káżdy ma drzwi żelazne, w zamkach niedobytych.
W tych ſypia, lecz nikt nie wie, kędy dźiś ſpáć będźie,
Dwá rázy w iednym nie ſpi, przy wymyślnym zrzędźie.
Nie zna słodkich plezyrow, ktore przyiaźń rodźi,
O ućieſze ſię przed nim, y mowić nię godźi.
Jákoſz, choćby iey y chćiał, ućieka od niego.
Oczy ma pełne iádu, y ogniá dźikiego.
W káżde ſtrony latáią. Sam nádſtáwia uchá,
Blednieie, y truchleie, gdy ſię ruſzy muchá.
Kłopoty czarne, ná twarz iego pomarſzczoną,
Wyſtępuią, y śiedzą, pod oſtrą koroną.
Máło mowi, á wzdycha, raczyi częſto ięczy.
Poddanych ſwoich trapi, kiedy ſię ſam męczy.
Y nie może zátáić, ſrogiego zgryźienia,
Ktore mu ſerce ſuſzy, ze złego ſumnienia.
Nie ma ſmáku w potráwách. A w dźiećiách poćiechy,
Strách, y bol od nich czuie, zá miáſto ućiechy.
Zgoła, on ſzczęśliwego y dniá, nie záżywa,
Ná krew ludzką łakomy; tę, co dźień rozlewa.
Nie widźi, że ſzalone, iego okrućieńſtwo,
[W ktorym ufa] ieſt zgubą iego, y męczeńſtwo.
Pewnie go kto z domowych (ták zły iák on) zbáwi
Tego żyćia, á nas też od niego, wybáwi.
Co do mnie [iać ſię przyznam] że ſię Bogow boię,
Y w wierności, Krolowi moiemu, doſtoię.
Choćby mię kazał zábić, ieſtem nie wzruſzony,
Náwet bym nie omięſzkał, do iego obrony.
Ale ty Telemaku, ſtrzeż ſię mu powiedźieć:
Ześ ieſt Syn Ulиſſeſſa. Gdyby to miał wiedźieć;
W ſadźiłby ćię do wieży, kládąc, zá powrotem,
Ze ćię Oćiec okupi, nieźliczonym złotem.
Przyiechawſzy do Tyru, słucham iego rady:
Widzę, że co powiedźiał prawdá, bez przykłady.
Nie mogąc tego poiąć: Iáko ſamo chcący,
Pigmalon ſię uczynił, y ſtráſzny, y drżący.
Nowy to widok dla mnie (ſam rozkładam ſobie)
To ten Człek nic nie ſzukał, tylko żyć w ozdobie,

H 2 Y w

Y w ſzczęśćiu, y w bogáctwách, w mocy iednowładney,
Bydź tákim, okázyi, nie opuśćił żadney;
Czyni co chce, bo może; Przećię mizerakiem
Jeſt, przy władzy ták wielkiey, przy złoćie żebrakiem.
O gdyby był páſterzem! Jáko ia nie dawno,
Bez zgryzotby y troskow, był ſzczęśliwym iáwno.
Przy ućieſze niewinney, nie bał ſię truć zny,
Kochaiąc y kochány, nie ſtrzegłby ſię blizny.
Nie miałby w prawdźie, bogáctw ták wielkich, ktore mu,
Iák piaſek nie potrzebne, bo ſię ich tknąć iemu
Nie godźi. Ale by záś záżywał ſzczęśliwy,
Dobr Ziemi, ktorych ſmáku nie zna, iáko żywy.
Ten człek zda ſię że czyni, co ieno chce żywnie,
Ale nád nim páſſye, máią gorę dźiwnie.
Co one chcą, nie co on, ták ſię wſzyſtko ſtánie.
Suſpicye y skepſtwo, nád nim pánowánowánie
Máią. Y gdy ſię Pánem drugich ludźi zowie,
Iego chući ſą, káći iemu, y pánowie.
Ták o Pigmálionie, trzymáć mi ſię zdáło,
Lubom go ſam nie widźiał. Bo go nie widźiáło,
Oko ludzkie; y tylko ſtráſzne iego wieże,
Widźieć można, ktorych to, liczny Zołnierz ſtrzeże.
Do nich iák do więźienia, zámknął ſię ze skarby.
O iákom ia Seſoſtrá, przećiwnemi farby,
Sobie odmálowywał? Gdy tego Niewidę,
Kompárowáć z Seſoſtrem, tak przyſtępnym wnidę.
Támten miły, przyiemny, ná wſzyſtkich łáskáwy
Cudzoźiemcow, y prawdy dowiedźieć ſię żwáwy;
Ow Seſoſtris (mowiłem) nie bał ſię niczego,
Ni od kogo, iák Oćiec, od Potomſtwá ſwego.
Ten ſię záś wſzyſtko boi, y bać ſię powinien,
Bo Krol zły, y okrutny, wſzyſtkim wſzyſtko winien.
Ani go geſte Warty, nieśpiące uſtrzegą,
Zá Seſoſtrem záś ludźie, iák zá Oycem biegą.
W tym Pigmálion, Woyská do Cypru odſyła,
Według Ligi, ktora to z Cypryicámi byłá.
Narbal wźiął okazyą: kazał mi ſię z niemi
Popiſywáć, iákobym był z Cypryiskiey Ziemi.
Ináczyibym nie wyſzedł, ták był Krol nie wierny,
Y wielką ſuſpicyą miał, w rzeczy mizerney.

Zwy-

Zwyczay Krolow zámknietych, y w rządźie leniwych
Iest, wszystko dáć ná rece, Ministrow falszywych.
Ten záś, strzegł się, czy dobrych, czy złych, y nikomu
Nie ufał. A záś dobrym, nie dał y bydź w domu,
Zwłaszczá, że sie poczćiwi, tákich nie trzymáią,
Y pokoiu szukáiąc, Krolow sie zchrániáią.
On też przez czás nie máły, co śiedźi ná Tronie,
Ználazszy nie życzliwych śiłu, swey koronie,
Zdrádnych, frántow, przewrotnych: Ze są wszyscy tácy,
Mniemał, że poczćiwego, w świećie nie obaczy.
Jákby wszyscy, w mászkárze okryli sie cnoty,
Y że nie mász ná źiemi, szczerey nic ochoty.
Wroćiwszy sie záś do mnie: Cyprámim okryty,
Y w ich wyszedł szeregu. Narbal stał iák wryty.
Od stráchu, y drży, áby tám mie nie odkryto,
Jákby śmierć swoią widźiał, y moią wyryta.
Niezmierną niećierpliwość ma, byśmy iecháli,
Lecz nas w Tyrze przećiwne wiátry, zátrzymáły.
Wźiąłem sobie ia ten czás, ná ludźi przeyzrzenie
Phenickich, y zwyczáiow, ktorzy zálecenie,
Y znáiomość po świećie cáłym, máią z dawná.
Jest Wyspá ná śrzod Morzá, y piekna, y sławna,
Ná ktorey to Tyr leży. A brzegi ná koło,
Miast, Wśi, rol, pol, łąk, y Rzek, y żyznośći czoło.
Gory ią od południá, y wiátrow palących,
Zásłániáią. A z Morzá, ma dosyć chłodzących.
Wszystek kray sie wyćiągnął, pod Libáná boki,
Ktorego wierzch záźiera w Niebo, przez obłoki.
Lod wieczny, iáko wieniec, okrył iego czoło,
Z kąd Rzeki lecą grzać sie, swym biegiem ná koło.
Po tey gorze ma z Cedrow, Lásy nieprzebráne,
Stáre iák świát, gáłeźie w obłoki podáne.
A pod lásem po gorze, pástwiská są tłuste,
W Báràny, Woły, w bydłá, gęste á nie puste.
Sam záś doł, z szedszy z gory, iest ogrod iedyny,
Wieczne Wiosny, Jeśieni, noszący dániny.
Ni Aqwilon powárzyć, áni Eurus spalić
Ważył sie go. Nie można sie go y náchwalić.
We śrzodku tego kráiu, y Morzá bliskiego,
Stoi Tyr, raczey pływa. Iákby był całego,

 Krolem

Krolem Oceanu. Tám, ze wſzyſtkich ſtron świátá,
Kupczą Ludźie, kędy ich, nie potkálá ſtrátá.
Wſzedſzy w Miáſto. Nie zda ſię Narodu iednego,
Lecz ſię kramem, y miáſtem, zwáć świátá cáłego,
Y ſtek hándlow. Gor dwiemá, iák dwiemá rękámi
Siąga Morzá, mocnemi, po miedzy murámi.
Ktore port zásłániáią, obſzerny y ćichy,
Y na wiátrow wśćiekłinę záwárty, y ſztychy.
Nie przeyzrzyſz go od Maſztow, ktore iako laſy,
Okrywáią tam Morze, w każde roku czaſy.
Wſzyſcy Mieſzkańcy, w handle wielkie ſię udáią,
Y choć przy wielkich zyskach, w pracy nie uſtaią.
Lnow Egipskich, w dźiw ćienkich, Tyryiskiey purpury,
Dwa razy farbowaney, pełne wiſzą ſznury.
Ktore złotem y ſrebrem, po tym zaś haftuią.
Phenicowie, y w Gades dalekie handluią.
Przez Ocean, (co źiemię opaſał) przebyli,
Niewidáną Zeglarką. Ná Czerwonym byli
Morzu, y nie znáiome, gdźieś Wyſpy ználeźli,
Z ktorych złoto, perfumy, nie znáne przywieźli.
Nie mogłem nápáść oczu po Mieśćie ſzerokiem;
Ják mrowki ludźie w biegu, były mi widokiem.
Nie było tám (iák u nas) ludźi prożnuiących.
O nowiny, przychodniow z Morzá, pytáiących.
Meżczyzni ſą zábáwni, z Okrętow windowáć,
Y do sklepow obſzernych, ſwe towáry chowáć,
Przedawáć ie, układáć, y ráchunki zbieráć;
Niewiáſty záś prząść kądźiel, y wełny przebieráć.
Wzory robić ná háfty, y háftowáć potym,
Máteryom glandz dawáć, y ſrebrnym y złotym.

Z tąd ſię pytam Narbala: Co ſą zá obchody?
Ze przeſzli Phenicowie, w hándlách wſze Narody.
Widźiſz naprzod [mi rzecze] ſame położenie,
Jeſt ſpoſobne do hándlow, Port wiátrow więźienie.
A potym (ieźli dawnym będźiemy wierzyli)
Pierwśi ſą Phenicowie, co ſię odważyli,
Z Ludźi puśćić ná Morze. Ktorego to pychy
Podbili, y złych wiátrow, połamáli ſztychy.
Z Babilonu, Gwiazd, Niebá, zebrawſzy náukę,
Tą ſię rządźić ná Morzu, pierwśi mieli ſztukę.

Do

Do tego ſą wymyślni, ćierpliwi, roboczy,
Ochronni, trzeźwi, nád was [żeć to rzekę w oczy,]
Zgodni z ſobą. Szczerſzego Narodu nie było,
Cudzoźiemcom milſzego. To ich wywyżſzyło.
Y to ieſt, co im Morzá pánowánie dáło,
Y w ich porćie zákwitnąć handlom, rozkazáło.
Gdyby zazdrość między nich, trochę ſię wmięſzáłá,
Delicye y prożność, ich opánowáłá,
Gdyby Ekonomią, z pracą, porzućili,
Gdyby rzemiosłá Mieyskie, w honorze nie były,
Kiedyby Cudzoźiemcom, nie trzymáli słowa,
Wolność handlom uięli: To zgubá gotowa.
Proſzę ćię (rzekę ia mu) chćiey mi wytłumáczyć
Spoſoby. [Bo też chcę ſwoy Itak przeinaczyć]
Do podobnych tym handlom? Czyń rzekł, iák tu czynią:
Przyim dobrze Cudzoźiemcow, kiedy tam zawiną,
Znaydź im w Porćie twym wolność, opatruy wygody,
Niech łákomſtwo, nie wćiągnie ćiebie do ich ſzkody.
Jeden ſpoſob prawdźiwy, do zysku pewnego,
Jeſt: Nie chćieć ſię nápierać zysku zbytecznego,
Y wiedźieć kiedy łożyć. Nábyway miłośći
Cudzoźiemcow, ich błędy pokryi, w łáskáwośći;
Nie day im przez wyniosłość, ſtrzedz ſię ćię w oſtatku,
W Handlách poſtánowieniu, nie opuſzczay ſtatku,
Sam dotrzymay koniecznie, karz fránty ſurowo,
A nawet y niedbálſtwo, y pychę kupcową.
Ktorzy do dobr przyſzedſzy, zwykli ruinowáć,
Ták handel, iák y śiebie. Poddanym handlowáć
Trzebá, á nie Krolowi; ktory dość z profitem,
Jeſt wielkich bogáctw, choćiaſz z máłym od nich mytem.
Ieden zysk, á wygodá, obcych poćiagáią,
Iezli tego nie znaydą, gdźieindźiey ſzukáią.
A drudzy z nierozumu, profituiąc twego,
Nie będą, dla ich zysku, bronić portu ſwego.
Náwet, (że ći ſię przyznam) przez złe Krolá ſpráwy,
Iuż y náſz Tyr, do dawney, nie podobien sławy.
O gdybyś Telemaku, przed tym panowániem
Widźiał go? Więkſzym by ći było zádumaniem.
Tylko już reliqwie, widźiſz ná oſtátku,
Splendorow, ktore idą blisko do upadku.

I 2 W iákieś

W iákieś śię nieszczęśliwy Tyrze, ręce dostał?
Ktory Narod ná świećie? Coby tu nie postał?
Morzeć haracz nośiło. Pigmalion strászny,
Nie wybiega śię przed nim, y obcy, y własny.
Coby miał Cudzoźiemcom, swe porty otwieráć,
Odraża ich. Bo zda śię y ná grosz umieráć.
Okręty, ná nich ludźie, ćiekáwo spisuie,
Towary ich y zyski, z ceną regestruie.
Náwet brzydką napáśćią, każe ich szlákowáć,
Zá naymnieyszą przemytę, wszystko konfiszkowáć.
Kupcow drze naybogátszych, przez srogie wymysły,
Wkłada ná nich gabely, niż do portu przyszły.
Sam do tego handluie, y z sobą przymusza,
Do społki kupcow drżących. Aż mię boli dusza.
Y ták handle ustaią, y droga do Tyru;
Zápomina śię wszystkim, dla ćiężkiego zdźieru.
Pytam Narbala, wiedźieć chcąc wszystko y daliy:
Czym śię Tyryiczykowie, potężnymi stali,
Ná Morzu? Odpowie mi: Mamy ná Libanie,
Z Cedru las; aż do końcá świátá, nam go stánie.
A z tego ná Okręty, mamy drzewo śliczne,
Y tknąć śię go nie godźi; tylko ná publiczne
Potrzeby Okrętowe. Przy tym Rzemieślnicy,
Ták wyborni, że żaden kray, takich nie liczy.
Z kądże ich rzekę maćie? W kraiu są ćwiczeni,
Odpowie mi: Gdy ludźie, są dobrze płáceni,
Co są w sztukach Mistrzami, bądźże pewien tego,
Ze śię rozmnożą, ieden gdy ćwiczy drugiego.
Y ći co talent wyższy, niżli drudzy maią,
W drugich wleią, gdy dobrze, im to nadgradzaią.
Nie słychanym honorem, tych u nas tráktuią,
Ktorzy w sztukach żeglarskich, nad innych celuią.
Gwiazdmistrza, Geometrę, a Szypra naywięcyj,
Y honorem nakarmią, y złota tyśięcy.
Tudźiesz Cieśla, ma cenę, ma cześć, y zapłatę.
A nawet y gmin ludu, co dźwiga łopatę.
Karmią ich dobrze zdrowych, a chorych kuruią,
Gdy idą w drogę, żony z dźiećmi opatruią.
Gdy ktory w drodze zginie, dom nie bez nadgrody;
Tak w życiu, iak po śmierći, nie ma żadney szkody.
Oćiec

Oćiec rad do takiego, wyuczać rzemiosła,
Syna. Ledwo co chodźi, w prawia do wiosła,
Y łaźić po powrozách, y nie bać śię fali.
Tak to dobrym porządkdkiem, y nadgrodą, daliy
Zaprowadźi człowieka. Nie rozkaz surowy,
Ni ślepe posłuszeństwo, [wierz) u prostey głowy,
Nie pomoże. Trzeba ich, za serce poćiągnąć,
Yzyskiem dobrowolnie, do czego chcesz ćiągnąć.
Narbal mię, po dyskursach, w magazyny drogie;
Gdźie Okręty buduią, w Arsenały srogie,
Prowadźił; powiadaiąc rzeczy mi naymnieysze,
Ktorem pisał, aby mi były pamiętnieysze.
Iednak on, co znał dobrze, wskroś Pigmaliona,
Z przyiaźni, co ma dusza, z nim była złączona:
Nie ćierpliwie, wyiazdu mego, oczekował,
Boiąc śię, by mię szpiegow Krolewskich uchował.
Ale wiatry przećiwne wyiechać nie dały.
W tym raz, gdyśmy nad portem, lustruiąc go, stali:
Krolewski Officyer, przyszedł do Narbala,
Y rzecze mu: Iuż ta wieść, iest u Krola stała:
Ześ w twoim, Cudzoźiemca tu, przywiozł Okręćie,
Y za Cypra udaiesz, taiąc go, w odmęćie.
Krol ći go aresztuie, pod stratą twey głowy.
Chce wiedźieć z kąd iest? Ty go na sąd staw surowy.
Iam był odszedł w ten moment, od Narbala mego,
Dźiwney śię przypatruiąc fabryce, iednego
Okrętu, kiedy Narbal, z tym człowiekiem gadał;
Ktoremu, zdźiwnym strachem, w ten sens odpowiadał:
Poszukam Cudzoziemca, co iest z Cypru rodem.
Lecz gdy ow człek, od niego odszedł; iák zawodem,
Przybiegł do mnie z przestrogą, tam kędy ja stałem:
Moy miły Telemaku! (rzekł) dobrze widźiałem,
Ześmy oba zginęli! Iuż nasz Krol przeklęty,
Suspikuie o tobie, y chce byś był wźęty.
Y ieżli ćię nie oddam, y na sąd nie stáwię;
To zginę. A coż będźiem robili, w tey sprawie!
O BOZE, day nam mądrość! abyśmy w tym kroku,
Ucaleli obadwa, z twoiego wyroku.
Nie może, bydź inaczey: Ia ćię poprowadzę,
Do Pałacu. A ty mow: przy moiey powadze:

Zes z Cypru z Amalzonta, y Syn Statuarza.
Ia rzekę: żem znał Oyca twego. Ta potwarza,
Niechay ćię nie obchodźi. A y Krol też pono
Nie zechce, aby daley, w tę ſprawę wchodzono.
Odpowiem Narbalowi: Day mi nieſzczęsnemu
Zginąć, dawno z wyrokow, w to przeznaczonemu.
Umiem ia dobrze umrzeć; y nazbyt ćię lubię,
Bym, twoiey, ſwym nieſzczęśćiem, był przyczyną zgubie,
Kłamać, nie odważę ſię. Y co nie ieſt, tego
Smierć ſama nie wyćiągnie, z ięzyka moiego.
Bogowie moię ſzczerość, y cnotę widzący,
Ochronią mi [ieźli chcą] moy żywot ginący.
Narbal rzecze: To kłamſtwo, ieſt cále nie winne.
Nie ſzkodźi nic nikomu, nie ieſt Bogom winne.
Y dwom ludźiom niewinnym, gdy życie ſalwuie,
W tym Krola, że mu zgrzeſzyć nie da oſzukuie.
Dáleko to ty, miłość do cnoty, wyćiągaſz.
Y názbyt bárdzo, wiáry delikátność, śięgaſz.
Dość ná tym (ia mu rzekę) że kłamſtwo człowieká,
Nie godnym czyni Bogom. Od nich kárá czeka.
Ten kto prawdę uráźi, y Bogow uraża,
Nie mniey iego ſamego, tá czeka zaráza.
Przeſtańże o Narbalu! to mi proponowáć,
Jeźli zechcą, tráfią nas, Bogowie rátowáć.
Ieźli záś náſzey zguby chcą, y ich to rady!
Będźiem prawdy ofiárą. A z śiebie przykłády,
Damy ludźiom: Iák cnotę, przekładáć nád życie.
Ja moie, że nieſzczęſne, dam ná śmierć ſowićie.
Tylko mi ćię iednego żal, miły Narbalu!
Ty ſam ieden, łez moich przyczyna, y żalu!
Czy trzebáć było? abyć ma przyiaźń, fatalna
Byłá? Ták między námi trwała poufalna
Rozmowá. Aż wtymeśmy człowieká poſtrzegli,
Ták rączo bieżącego, iákby zá nim biegli.
Ten człek był, Officier, ktory [iáko słyſzę]
Od Aſtarby biegł do nas. (Y tuć ja opiſzę:)
Tá Dámá, ktora piękną, iák Bogini byłá,
Do urody, wyſokość dowćipu złączyłá.
Podchlebna y weſoła, w zmyśloney dobroći.
Okrutnym ſercem, pełnym złośći, wſzyſtko ſzpoći.

Ale

Ale te, iák trućizne, wybornie pokrywa,
Ták, że u Królá ſercá, y rządu nábywa.
Głos słodki, Harmonia, Królá bierze w łyki.
Záślepiony miłośćią gwałtowną, Krol dźiki,
Krolową Zonę rzuca Tapha názowiona,
A z wyniosłą Aſtarbą, dźieli ſie korona.
Miłość tey białeygłowy, iák łákomſtwo iego,
Są mu wielką, nieſzczęśćia przyczyna, y złego.
Bo choć on ją z paſſyą y ślepotą kocha,
Gárdźi nim, lecz pokrywa, Białogłowá płocha.
Y kiedy go wewnętrznie, ledwo ćierpieć może,
Inſzych gáchow záćiąga, w niewſtydliwe łoże.
Był w Tyrze ieden Młodźian, przedźiwney urody,
Malachon zwány. Młodość ieſzcze miał bez brody.
Niewieśćią był, w roskoſzách, miną utopiony.
Płćiby ſwołey nie mieniał, náwet dla korony.
Białe włoſy y długie, z umizgiem fryzował.
W ſukniách pyſznych y maſzkách, iák bábá ſię chował.
Do urody głos gładki, wyſtawiał go bárdźiy.
Aſtarbe go raz widźi, kocha, on nią gardźi.
Bo y śiebie ſam kochał, y inſzą dźiewczynę.
A Krolowi, do gniewu, bał ſię dáć przyczynę.
Aſtarbe, gdy wzgárdzona, od niego ſię czuie.
Miłość wśćiekła w iad ſrogi obraca, y truie·
Więc w tego Cudzoźiemcá, ktorego Krol ſzuka,
Obroćić Málachona pragnie. Y tá ſztuká
Uſzłá u Pigmalona. Wſzyſcy poświadczáią,
Zaden prawdy nie rzecze, choć go wſzyſcy znáią.
Zadnego cnotliwego nie maſz w iego Dworze.
Káżdy woli, Aſtarbie usłużyć, w tey porze.
Y Królá oſzukuią, dla iey podobánia,
Ktory ſerce utopił w niey, y wſzyſtkie zdánia.
Y ták młody Malachon, w cáłym Mieśćie znány,
Zá Tyryiczyká; ieſt w raz, Cudzoźiemcem zwány,
Ktorego to z Egyptu, Narbal przyprowádźił.
Wźięto go do więźienia. Ze ſię z máłpą wádźił.
Aſtarbe ſię záś boiąc, żeby Narbal prędki,
Nie odkrył to przed Krolem, co pokrył Dwor miętki,
Y co iey ták dowćipná, tái mánierá,
Zſyła (ktory mu mowi ták) Officyerá:

Aſtarbe, Cudzoźiemcáć odkryć, zákázuie,
Kto on ieſt. y ſekretu twego, potrzebuie.
Potráfi, że Krol kontent będźie, y w tym z ćiebie.
Spieſz ſię, uczyń ták prędko: Przyſzedſzy do śiebie,
Wypráwuy z Cypryicámi, Cudzoźiemcá ſwego.
Niech nikt więcyi nie widźi, już w Mieśćie onego.
Narbal rad, że nas obu wraz, ſalwuie zdrowie.
Sam milczeć obiecuie, y nie zgrzeſzyć w słowie.
Officyer záś kontent, z tey dáney przeſtrzeży;
Z reportem do Aſtarby, iák ſzalony bieży.
Narbal y ia zdumieni, z dźiwney Boskiey ſpráwy,
Że w tych konſerwácyi, punkt zákłada sławy,
Ktorzy dla prawdy Cnoty, umrzeć ſię nie boią,
Y bárdźiey o nią, niż o własne życie, ſtoią.
Myśleliśmy ze wzgárdą: Iak ten Krol w roskoſzy
Utopiony, w łákomſtwie, dármo ſię kokoſzy,
Bydź przezornym. Gdy ſię bydź ſtrzeże oſzukánym,
Ná ták grube odrwienie, ieſt iáwnie zkazánym.
Y ná to ſię poczćiwych, y prawdźiwych ſtrzeże,
Żeby zdrádnym oſzuſtom, ſpráwował odźieże.
Jákie ſobie igráſzki, niewiáſtá bez wſtydu,
Stroi z tego ludzkiego y ſwego, obrzydu.
Przećię BOG, ná cnotliwych zbáwienie, záżywa
Szálbierſtwá niecnotliwych, ktorym prawdy zbywa.
Gdyśmy w tych myślách; Aż też wiátry ſię zmieniły,
Y dobre ná Okręty, nam do Cypru biły.
Mowi Narbal: Bogowie już też przy nas ſtoią,
Y beśpieczność ná pieczy, pewnie máią twoią.
Ućiekay z ták okrutney źiemi, y przeklętey.
Szcześliwy, ktoby mogł bydź, w Okręt z tobą wźięty.
Szcześliwſzy, ktoby z tobą mogł żyć y umierác.
Ale dármo ſię tego ſzcześćia, mnie nápierác,
Zły mnie wyrok, do moiey oyczyzny przykował.
Y chce ábym w iey biedźie, nieſzczeſny wiekował.
Przyidźie pono z nią zginąć! Y coſz mam z tym czynić?
Byle Cnot nie odſtąpić. w prawdźie nie záwinić.
Zá ćiebie proſzę Bogow, iák cię do tąd wiodą,
Gośćińcem czyſtey Cnoty, ták niech nim dowiodą,
Aż do śmierći. Zyi, powroć do Itaku zdrowo.
Poćieſz Mátkę, ktora ſię rozumie bydź Wdową,

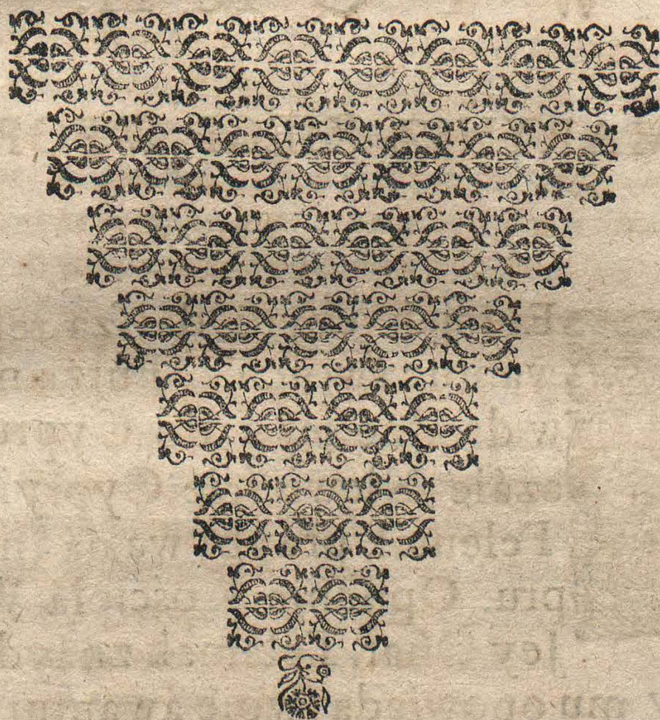
Uwolń

Uwolń od lekkomyślnych gáchow, ia zbyt smętna,
Miey pociechę, Ulissa uyzrzeć, nie poiętna.
Tego Mędrcá, co w tobie, już rownego Syná,
W mądrości y cierpieniu, widźieć ćię poczyna.
Ale w szczęściu pámiętay, o smutnym Narbalu.
Nie wspomniy bez przyiáźni, iego y bez żalu.
Kiedy skończył ták mile, y żáłosne słowá.
Mnie od łez, com wylewał, ustąpiłá mowá.
Y mowić mi nie dáły, głębokie wzdychánia.
Scisłe tylko w milczeniu, były obłapiánia.
Szedł zemną do Okrętu. Stał poty ná brzegu,
Poki mu áż nie zniknął z oczu, w prędkim biegu.
Kalipso, ktora zwielkim gustem, go słuchálá.
(Zeby sobie Telemak odpoczał) przerwálá.
Już czás (mowi) odpocząć, po ták wielkiey pracy.
Y przynamniey, z słodkiego snu, kosztowáć płacy.
Już tu nie masz czego się, Telemaku lękáć.
Wszystko ći tu uprzeymo. Nie masz przed czym stękáć.
Odday się pokoiowi, y rádośći cáły,
Y innym dárom Boskim, co ćię tu czekáły.
Jutro, kiedy jutrzenká, palcy rożowymi,
Wschod słoneczny otworzy, drzwiámi złoćistemi,
Y konie Phœbusowe, z Morza wychodzące,
Rozśieią dźienny płomień, y ognie gorące,
Dokończysz Telemaku, nieszczęść twoich dźieie.
Wierz mi, że przed twoiemi, ia czyny niemieię.
Odwagi twe y mądrość, przeszły Oycá twego.
Achilles, y Thezeusz, [od Pieklá ćiemnego,
Co powroćił] y cnego Alcydessa sławá,
(Co z monstrow uprzątł źiemię) już się mnieysza stawa.
Zyczęć áby sen smáczny, noc krotkąć urobił,
Zebyś moy Dom, twym wcásem, pięknie przyozdobił.
Będę dniá niećierpliwie, przez tę noc czekálá,
Abym dáliy, awántur twoich, wysłuchálá.
Już odeydź Telemaku, kiedy się dźień chyli,
Z twym Mentorem, ktoregoć Niebá przywroćiły.
Maćie Grotę wybitą, w niey wszystko znaydźiećie,
Do spoczynku. Záżyićie, poki go zechcećie.
Proszę ia Morfeuszá, áby ná powieki,
Sen zesłał, y przykował go, przez słodkie ćwieki.

Aby wapor Niebieski, ná członki zmorzone
Rozlał, y ie pokrzepił, fatygą zmożone.
Zeby wam lekki zesłał, sen w záwárte oczy,
Ten w naymilszych Obrázách, niechay się wam toczy.
Sny strászne niech odstapią, gdy zásniećie miętko.
Niech was nic lękliwego, nie obudźi prędko.
To wyrzekszy Bogini, do groty pieszczoney,
A nie bárdzo dáleko, z swoią rozdźieloney,
Prowádźi ich. Tám źrzodło, w iednym kaćie ćiemnym,
Pobudza do snu, szeptem miłym y przyiemnym.
Nymphy im łożká, ze mchu miętkiego, usłáły,
Lwią skorą y Niedźwiedźią, obiedwie odźiały.
Gdy oczy do słodkiego snu, záwierác chćieli,
Tákie, z sobą zámknięći, madre mowy mieli:
Mentor rzecze: Miałeś ty, gust nie ládáiáki,
Z twych relacyi. Y wielkieś spodobánia znaki,
W swych nieszczęśćiách pokazał. Zbyt się podobáłá
Twoiá godność Kalipsie. [táż myśl w tobie trwała]
Zapaliłeś iey serce, co bez tego gory,
Y sam idźiesz w niewolą, nie uważnie skory.
Jákosz chcesz, áby ćię z rąk swoich wypuśćiłá!
Tá, ktorą twych awantur cudność, zápaliłá.
Szukałeś prożney chwały, á tá bez uwagi,
Nábáwiłá ćię ceny miłosney, y wagi.
Kiedysz się Telemaku! uważnie náuczysz
Mowić? Y tych prożnośći, gadánia oduczysz!
Co się twoiey mądrośći? w tych lećiech dźiwuią
Drudzy? y do pochwały przyczyny znáyduią?
Jać ieden nie przepuszczam. y sam iestem táki,
Zeć twych błędow, przyiázne, ukázuię znáki.
O jákoś Telemaku, iest Oycá twoiego,
Przezornośći dáleki! Telemak do niego:
Y mogłżem ia Kalipsie, tych dźieiow odmowić?
Nie. (Mentor mu odpowie] Mogłeś y to mowić,
Coś mowił. Ale krocyj, y co do litośći
Należáło, á nie co, do prożney chlubośći.
Było mowić, żeś rożnych po kráiách, był błędny,
Niewolnikiem w Egipćie, w Sycylij nędzny.
Tym záś, coś więcyi nád to, obszernie wywodźił,
W iey sercu pałáiącym, nowyś ogień zrodźił.

Day

Day BOZE, by twe ſerce, tegoż ſię uſtrzegło,
Zeby zá iey płomieniem, tákże nie zábiegło.
A coż mam dáley czynić? Telemak ſię ſpyta,
Układnym tonem, ktory Mentor z niego czyta.
Y rzecze mu: Już nie czás, twych czynow oſtátku
Zátáić jey. Bo twemu, przypiſze nieſtátku,
Albo iákiey chytrośći, ktora ią rozżarzy.
Gdy tedy jutro ſtániesz w jey oczách y twarzy?
Dokończ jey opowiádáć, twoich nieſzczęść dźiwy,
Z ktorych ći BOG dał wybrnąć, y wyiść miłośćiwy.
Ale ſię potym náucz, powiádáć oſtrożnie,
To co ći może śiłá dáć chwały, á prożnie.
Telemak, zá tę ráde dźiękuiąc, ſię ſchyli.
Potym ſię w dobrey chęći, obá położyli.





TELEMAKA XIĘGA WTORA.

SUMMARYUSZ XIĘGI WTOREY.

TElemak czyni dálſza relácya Awantur ſwoich. Burza ná Morzu w drodze iego do Cypru. Obyczáie Niewieśćie Cypryiczykow. Telemák przybywa ná Inſułe Cypru. Opiſanie Kośćiołá Wenery y Jey Ofiar. Telemak znáyduie Mentorá, ktory mu opowiada ſwoie áwántury, y ſwoia niewolą. Hazael, ktoremu Mentor był przedány, bierze w áffekt Telemaká, ná Okręt ſwoy go przyimuie, y wyprowadza z Cypru. Przyieżdżáią do Crety. Obyczáie Creteńczykow. Hiſtorya tragiczna Idomena Krolá, ktory Syna ſwego zábił.

Skoro

SKoro pierwsze promienie, cny Phebus rozwinie,
Słyszy Mentor, bieżąca do lásu, Boginię,
Y budźi Telemaka: Iuż czás sen zwyćiężyć,
Idź [mowi] do Kálipsy. Ale śię uwięźić
Nie day słodkim iey słowom. Boy śię tey trućizny,
Pochlebnych chwał. Wczorá ćię Panegiryk żyzny,
Potkał od niey. Nád Oycá, y nád Achilessa,
Wyniosłá nad Thesea ćię, y Herkulesa.
Czułżeś? iáko zbyteczna, tá byłá pochwałá?
Wiedz, że y oná samá, iey wiáry nie dáłá.
Ze ćię prożnym bydź mniema, dla tego ćię chwali,
Oszukuie ćię chwała, gdy śię samá pali.
Po tey mowie szli do Niey, z przystoynym pośpiechem.
Ktora ich, lubo z wdźięcznym, przyięłá uśmiechem;
Ale pod tą rádośćią, strách nie pokoy nośi;
Bo wie, że dla Mentorá, Syná nie unośi
Ulissessa, Ktory jey, iák Oćiec, ućiecze.
Widźi to że jey ten żal, tylko śię przewlecze.
Kochány Telemaku, kończ záczęte dźiło,
[Rzecze] żeś z Phenicyey wyszedł, mi śię śniło.
Ześ do Cypru záiechał. Powiáday o drodze
Twey, y nie trać momentu, bo mię teskno srodze.
Ná źielonym kobiercu, Fiałkámi tkanym,
Trawy gládkiey, nátury ręka rozesłánym,
Pod ćiemnego gáiku, chłodnym baldechinem;
Siádłá z gośćmi Bogini, y swoich Nyph gminem.
Miłym okiem, y pełnym miłośći, rzucáłá
Ná Telemaká. A zás iákoby zieść chćiáłá
Mentorá, ktory ná nich pátrzáiąc, przeszkadzał,
Y miłosnym poyzrzeniom, surowo záwadzał.
Tym czásem, Nymphy w cyrkuł śiadáią y w koło,
Uszy do słow gotuią. A oczy ná czoło
Telemaka. Ktory też opuśćiwszy oczy,
Ták zácznie swoią mowę, y te słowá toczy:
Ledwo tchem swoim dobrym, wiátr nápełni żagle.
Phenicka záraz źiemiá, zniknęłá nam nagle.
Jam żem był z Cypryicámi, ktorych obyczáiow
Nie znałem. Umyśliłem doćiec ich zwyczáiow.
Y dla tego milczący, czym śię im podobác,
Uważałem. Y żeby w czym zás nie przeskrobáć.

Ale pod czas milczenia, ſen mię słodki zmorzył,
Oczy zámknął, á wrotá, w ten widok otworzył:
W ſercu wielką poćiechę, y z pokoiem nieći,
Sni mi ſię, że ná woźie Wenus ku mnie leći.
Záprzeżone gołębie, Boginią ćiągnęły,
Z iáſney twarzy záś wſzyſtkie, iey wdźięki płynęły.
Tak urodna, y w żywey młodośći mi ſtałá,
W iákiey niegdy, Jowiſzá z Niebem woiowáłá.
Byſtrym lotem aż do mnie, wſzyſtek obłok śiecze,
Rękę ná mnie położy, y z uśmiechem rzecze:
Wchodźiſz młody Greczynie; do moiego Páńſtwá,
Do tey Wyſpy fortunney; gdźie zámiaſt Poddáńſtwá,
Roskoſzy, gry, y śmiechy, co lubo ſię rodźi,
Y wſzyſtkiego ſię záżyć, młodym ludźiom godźi.
Palże ná mych Ołtarzách perfumy, (ći życzę)
A ia ćię, w regeſtr moich naymilſzych, policzę.
Otworz słodkim nádźieiom, umysł zalotnieyſzy,
A nie waż ſię, Bogini oprzeć, naymocnieyſzey.
Záraz potym, poznałem miłego iey Syná;
Y z lotu koło Mátki, znam zá Kupidyná·
Lubo wſzyſtkiey lubośći, ogień ſię w nim żarzy,
Przećię, coś okropnego miał w oczách y w twarzy.
To mi wſtręt z ſtráchem czyni. On ſtrzały dobywa,
Y, z drwiącym śmiechem pátrzy, (co mu go nie zbywa)
Łuk náłoży, wyćiągnie, aż gdy ſzyie ſtrzałą,
Pokaże ſię Minerwá, zásłania przez cáłą
Mnie Egidę. A tey záś Bogini twarz zacney,
Nie pieſzczoney urody byłá, ále znáczney.
Gládkośći Męskiey skromney, z Májeſtatu cerá,
Piekna byłá cnotliwie, nie ták iák Wenerá.
Strzałá Kupidynowá, tylko ſię obiłá,
O Egidę. A iemu więkſzym wſtydem byłá.
Y ták, gdy ſię Kupidyn zwyćiężonym widźi,
Wzdycha gorzko, y mocy ſwey ſię słábey wſtydźi.
Precz z tąd (krzyknie Minerwá) o Dźiećię zuchwałe!
Nie zwyćiężyſz ty nigdy, tylko te nie trwałe
Duſze miętkie. Co roskoſz cnoćie przekładáia.
A w tym Mátká y z Synem, w gniewie ućiekáią.
W złoto iáſnym obłoku, poki nie zniknęłá,
Długom widźiał Wenerę. Alec ſię tuż zdięłá,

Z oczu moich Minerwá. Tylko mi się zdáło,
Jákby mię w Elizeyskie polá, coś porwáło.
Iżem ná nich, Mentora moiego obaczył,
Ktory mi właśnie słowá te, wymowić raczył:
Ućiekay z ták okrutney źiemie, zárázoney
Roskoſzą y ſwywolą. W ktorey wſtyd ſtrácony.
Cnotá nayodważnieyſza, drżeć w tym kráiu muśi,
Y ieśli nie ućiecze, pewnie się uduśi.
Chćiałem skoczyć do niego, y ściſnąć zá ſzyię,
Alem poczuł, że tylko ſen się w oczách wiie.
Ani ruſzyć się mogłem, iákby skrępowány,
Łápam ręką Mentorá, ſnem będąc związány.
Páſſuiąc się ocknąłem, y záraz poznałem,
Że w tym ſnie práwie Boskim, ſwą przeſtrogę miałem.
Poczułem ná roskoſzy, iák záhártowánie,
Y żebym ſtrzegł się śiebie, náuki zesłánie.
Ale co mię naybárdźiey, w tym záfráſowáło,
Żem Mentorá utráćił, tym mi się ſnem zdáło.
Iże przez śmierć przeſzedſzy, czarne Styra wody,
Do Ráju ſpráwiedliwych, w świecie przeſzedł chłody.
To mniemanie, do ćiężkich płáczow, mnie przywiodło,
Pytáią mię kompáni: Co ieſt? co mię wiodło!
Do łez gorzkich. ále im ia prędko odpowiem:
Choćiay inſzey przyczyny, wam żalu nie powiem,
Tylko, żem Cudzoźiemiec, y ſwoich dáleki,
Doſyć áby mokneły we łzách, me powieki.
Tym czáſem Cypryiczycy, w ućieſze ſzaloney,
Czás trawiąc, ná Okręćie, práwili androny.
Fliſowie bárdźiey w kuflu, niżeli łopáćie
Báwią się, y nád wiosłem ſpią, gnuśni ná prace:
Szyper w kwiát uwieńczony, zá miaſt rządu rudlá,
W dzbánie winá pijány, wárgi ſwoie dudla.
Dymem Báchá záćmieni, ná cześć Kupidyná,
Spiewaią wſzeteczeńſtwá, co przynieśie śliná.
W tym záćmieniu, co Morze umie, zápomnieli;
A burze wraz powſtáły. Y wichry poczęły
Ják z łáńcuchow ſpuſzczone, dąc w żagle okrutnie,
Czarne wały bić w Okręt, y nośić go rzutnie,
Ze aż ieczał, od ſrogich ſzturmow, y táránow,
A my, to raz wypádniem ná grzbiet złych bałwánow,

To zátoniem áż do dná. A tu w oczách skáły,
O ktore ſię záiádłe ſzturmy rozbijáły.
Dopierom, (co mi Mentor mawiał) doświadczeniem
Doznał; że roſpuſtnicy drżą y przed ſwym ćieniem.
Y myśl w niebeśpieczeńſtwie naymnieyſzym upada,
Ktora iedną rozpuſtą zábawiáć ſię rádá.
Zálęknieni Cypryicy, płákáli iák báby,
Nie máſz nizkąd pośiłku, y owſzem ich słábi,
Nárzekánie nád ſtrátą, (że ią blisko widzą,)
Swych roskoſzy, o ktore ſzlocháć ſię nie wſtydza.
Chcąc czynić wota Bogom, ieśli ich w port ſtáwią;
Ale płáczem, chlipaniem, duſzą ſię y dławią.
Kiedy widzę, że ſię nitk, nie chwyta roboty,
I że ná ſwe zbáwienie, nie maſz nic ochoty;
Salwowáć cudze, y ſwe życie, umyśliłem.
Y naprzod nie proſzony, zá rudel chwyćiłem.
Záhukánych wnet fliſow, Szypra pijanego
Ośmieliłem. Rozſyłam do dźiełá káżdego.
Spuśćić żagle kazałem. A potężnie wiosłem,
Pcháć ſię: y ták z páſzczęki śmierći, ich wyniosłem.
Po między oſtre skáły, y śmierći boiáźni,
Wyſzliśmy, y do Cypru przyſzli, zdrowo raźni.
Ten przypadek, iáko ſen, Cypryiczycy bráli,
Z życia obligácyą, ná mnie ſię pátrzáli.
Przypływamy do Cypru, w ſame dni kwietniowe,
Wenerze poświęcone, ná Ofiry nowe.
Ze iáko ten to Mieśiac, náturę odnawia;
Ták y Wenus roskoſzy, iáko kwiáty wznawia.
Skorom wſzedł do tey Wyſpy, wnet mię opánował
Wiátr miętki, ktory gnuśne ćiáło, mi ſpráwował.
Nie chćiało ſię nic robić, tylko śmiać, y palić.
Grunt wyborny ná koło, y ieſt co pochwalić;
Bo z nátury ieſt żyzny, ále gnoyſtwem ſrogim,
Nie orány, ni śiany, w żniwo ieſt ubogim.
Mieſzkańcy, nieprzyiazną mierżą ſię tam praca,
Stroyne dźiewki, niewiáſty, czas na pioſnkach tracą.
Na tańcach, wſzyſtko na cześć, Bogini Wenerze,
Ktorey ſię poświącaią, w Kośćiele w ofierze.
Uroda, śmiech, roſpuſta, po ich twarzy biega,
Ale zbytnim wyćwierem, proſtey nie dośięga

Gładko-

Gládkośći, ktora świeći, purpury rumieńcem,
Fárbowána od wſtydu, y pod cnoty wieńcem.
Opuſzczona w nich cerá, powlekáne oczy,
W uſtách umizg, chod krzywy, zmyślna pleć wárkoczy.
Oczy, oczu Meżczyskich, prágną ułowienia,
Zazdrość zalotow, wśćiekłe czyni poroźnienia.
Wſzyſtkie te złych białychgłow, do świebod pobudki,
Wiodły mię żem ie zmierźił, y miał zá odrzutki.
Miedzy śiłą Kośćiołow, co Wenus w tey źiemi
Ma. Do tegom był wiedźion, ktory miedzy niemi,
W Cytherei sławnieyſzy. Wſzyſtek ieſt z mármuru,
Kolumny przewyżſzáią wyſokośći muru.
Ná czterech facyatách, nád gzemplami ſzczyty,
Ná ktorych obraz dźieiow Wenery, wyryty.
U drzwi kośćielnych, pełno ludu, bez przeſtanku,
Co ofiáry przynoſzą, z nocy do poránku,
Nie ták iáko gdźieindźiey. W Kośćiele nie biją
Bydeł, áni krwią Wiktym, Ołtarzow nie myią.
Tylko byki iáko śnieg, białe jálowice,
Prowádzą, przed ſam Ołtarz, y Bogini lice.
Dekami czerwonemi, z złotem okrywáią,
Złocą rogi, y w bukiet bydło przybieráią.
Ták ich koło Ołtarzá obwiodſzy z bąlety,
Wiodą ie rżnąć zá Kośćioł, wieſzczkom ná bánkiety.
Co może bydź pachniących wodek, y záprawnych,
Roźlewáią ná Ołtarz. Miſtow moc ieſt ſprawnych;
Długie białe delie, ze złotá u dołu
Frandzle, noſzą, A palą w Kośćiele u ſtołu,
Dźień y noc, wonne Ziemi Arabiey dáry,
Z ktorych obłok, pod Niebo wynośi ofiáry.
Kolumny, feſtonámi wewnątrz skrępowáne,
Złote wſzyſtkie naczynia, do Offiar nádáne.
Nikomu z obcych, dawáć offiar śię nie godźi,
Ni kádźidłá zápalić. Sámi tylko młodźi,
Y chłopcy, y dźiewczętá, ná to práwo máią.
Ale iáko bezecnie, w Kośćiele igráią?
Roſpuſzczona niewſtydność, ten Kośćioł wſpániáły,
Oſzpeca; y me oczy, ledwo dowierzáły,
Co widźiáły. Ale to z rázu tylko było,
W krotce śię (iák to bywa) tego przyuczyło.

Y naywiękſzy wyſtępek, ſtráchu nie zádáwał;
Kompánie ſwywolne, w ktoremem ſię wdawał,
Z niewinnośći, y ſtátku mego, ze mnie drwiły,
A potym do nierządu chęć, we mnie wznowiły.
Aby chući pobudźić we mnie, ſię ſtárano,
Rożną zdrádą w roſpuſtę, powoli wćiągano.
Czułem codźień, że cnotá we mnie osłábiálá,
Piękna edukacya, máło mię trzymálá.
Zacne rezolucye, trwáć w dobrym, zniknęły,
Złe przykłady, mi cnotę z rozumem odięły.
Jużem ſię wſtydźił cnoty. Y w tey to przygodźie,
Byłem iák człowiek, ktory płynie przećiw wodźie.
Zrázu śilnie nurt łamie, y byſtrość nie wadźi,
Ale gdy pod wyſoki brzeg, go przyprowádźi,
Powoli mocna śiłá, ták go odſtępuie,
Ze ſię puſzcza zá woda, y nic nie rátuie.
Ták y ia, com ſię z rázu, roskoſzom opierał,
Opuśćiłem ſię, ná nie oczum nie záwierał.
Ná złe miłe, ktorym to ſerce zárázone,
Mdlało, áni rozumu woła, ná obronę.
Sen, ktorymem Mentora umárłym oſadźił,
Wiodł mię, że (nie boiac ſię go) daliem błądźił.
Potaiemna goraczká, w kośći mi ſię w krádłá,
Już mi miła trućizná, z ktorey cnota zbládłá.
Z tym wſzyſtkim, mocnom wzdychał, y łzy gorzkie toczył;
Ryczałem iak lew ſrogi, widzac żem wykroczył.
O nieſzczęſna młodośći? [wołałem] o Boże!
Jáko nas ludźi, twoia łaska, nie wſpomoże!
Czemuż nam przez wiek taki, przechodźic potrzeba!
Z ktorego iak z goraczki, ledwo ſię wygrzeba.
O czemuż mię ſedźiwe, nie okryły włoſy?
Czemuż mi iak Laérta Dźiada mego loſy,
Zgrzybiałe już nie przyſzły? Smierć milſzaby była,
Niſz tá słabość ſromotna, ktora mię powiła.
Jednak ledwom to wyrzekł; aż znowu ſię mieni
Zal moy. ſerce pijane powroćić ſię leni,
Do cnoty, y do wſtydu. Y lubo ſię gryźie
Sumnienie. A przećię, tam gdźie narzeka liźie.
W tych myśli zawieruſze, po gaiku świętym,
Biegam koło Kośćioła. Jako kiedy z wźiętym,

Sárná lata poſtrzałem, y ulgę rozumi,
Ználeść w biegu bolowi; ktorego nie ztłumi.
Bo ſtrzały, ktora ſterczy, śmiertelna w iey boku,
Nie zbędźie ſię od biegu, ni chyżego kroku.
Ták y mnie, dármo biegáć, bez pámięći było,
Kiedy nic w słodkiey ránie, ſercu nie ulżyło.
Aż raz, bárdzo z dáleká, w ćieniu ſtrálznie ćiemnym,
Ukaże mi ſię Mentor, widokiem przyiemnym.
Ale iego twarz bláda, ſmutna, y ſurowa,
Zdáłá mi ſię. Z tąd żáłość záraz mi gotowa.
A tyżeś to kocháný? [krzyknę] Przyiaćielu!
Tyś to ſam? moich poćiech y nádźieie celu?
Czy nie obraz zdrádliwy, oczom wyſtáwuię?
Czy nie ćień ná fráſunki, y me biedy czuię!
Czyś nie w liczbie duſz Swiętych? z twey pracy nagrody,
Elizeyskie trzymáiąc, zá cnotę ogrody.
Mentorze żyieſz ieſzcze? Czy ſię twoy ćień ſtáwił?
A w tymem ſię wskok porwał, y ták lotnie ſpráwił,
Zem ſię zátchnął. A on ſię y krokiem nie ruſza.
O iákich poćiech moiá doſtąpiłá duſza!
Kiedym ſię go raz dotknął, y że nie ćień zważył,
Jákich guſtow, rádośći, z tym nálazkiem żążył!
Sćiskam go y cáłuię, u ſzyi mu wiſzę,
Tylko krzyczę; Mentorze? á ſam ledwo dyſzę.
A on ná mnie poglądá, z kompaſſyą ſmutną;
Ja mu rzekę; Wdałeś mię, wdał w ſtrátę wierutną.
Już nie wiem, iák bez ćiebie mam poſtąpić ſobie,
Z kąd przychodźiſz! Co robiſz? niechay wiem o tobie.
On mi ná to nie dáiąc odpowiedźi żadney,
Krzyknie: Precz z tąd ućiekay, [w głos ſtráſznie ſzkárádny]
Tá Ziemia ſámą tylko, tu truciznę rodźi.
Powietrze zárážone, zápala, nie chłodźi.
Ludźie także, zadaią śmiertelne zarazy,
Każde słowo ich ráchuy, zá morderskie rázy.
Nie zbedną roskoſz, ſztuczká naydorſza Pandory
Pudełká, (ktorą dotąd ſerce ludzkie gory)
Nie ćierpi żadney cnoty. Bież, drogi záczętey
Nie odwłocz, y ná moment, z tey Wyſpy przeklętey.
W tym, iáko gęſty obłok, w oczách ſię rozbija,
A jáſnośc záś, czyſtego świátłá, ſię rozwija.

Miłe w ſercu weſele, moim ſię rozpływa,
Nie tá rádość roſpuſtna, lecz weſołość żywa.
Bo támtá iák pijáná, y pełna zgryzoty,
Pomieſzána z fráſunkiem, z ſtráchem, y z ſromoty;
Tá záś rádość rozumna, z ukontentowániem,
Záwſze rowna, iednáka, niebieska mym zdániem.
Támtey ledwo ſię dotknieſz, w tesknoćie uſtáie.
Tey im więcey chceſz czerpáć, tym ſię więcey dái.
W ten czáſem ſię rozpłákał, y z płáczu onego,
Doznałem że nád te łzy, nic mi weſelſzego.
O ſzczęśliwy (wołałem) komu ſię, człowiecze,
Cnotá iák ieſt, ukaże! A w tym Mentor rzecze:
Bądź łáskaw, w tym momenćie, ia odiácháć muſzę,
Nię mogę ſię zábáwić y záraz ſię ruſzę.
A dokądże? odpowiem. Jeſtże ziemiá że ćie,
Ná niey mogę odſtąpić! Y ieſtże ná świećie!
Nie rozumiey ſię mnie zbydź; w przod umrę, zá tobą
Biegáiąc, niż rozłączyć przyidźie nam ſię z ſobą.
To mowiąc, że wſzyſtkich śił ściskam go, y trzymáć
Uśiłuię. Ale on nie da ſię poimáć.
Rzecze: Ow zły Metophis, Arabom mię przedał,
Ale BOG mi záginąć, żadną miárą nie dał.
Bo ziáchawſzy do Syry, ná człeká tráfili,
(Hazàél ieſt názwánym) ktoremu mię zbyli.
Szukał on bowiem człeká, Greckiego rodzaiu,
Ná náukę obrzadku, náſzego zwyczáiu.
Y kupił mię Hazàél, y co ieno u mnie,
Wyćwiczył ſię, aż więcey chćiał wiedźieć rozumnie.
Chćiał wiedźieć sławną Cretę, y Minoſa práwá
Náuczyć ſię. W drogę ſię, w támten kray udawa.
Gdy płyniemy, przećiwny wiátr nas przytrzymuie,
Tu w Cyprze. Ale teraz już dobry zkázuie.
Już Okręt odpychaią, już wydęte żagle,
Muſzę bieżeć, żeby mię nie odbiegli nagle.
Bądź łąskaw Telemaku. Kto ſię Bogow boi,
Y w niewoli przy Panu, nie odſtępnie ſtoi.
Więcey ia przez ten odiazd, w twey oſobie trácę.
Pomniy na Penelopy łzy, Uliſſa prace.
Y na Bogow pamiętay, ktorym ćię oddaię;
W iakie ćię złe! O Boże! zoſtawuię kraię.

Ey nie, (mowię.) Mentorze, nie twoiey to mocy,
Opuśćić mię. Pierwey się zamkną moie oczy,
Smiertelnym ćieniem, niż ćię opuszczę, w tey dobie.
Rozumiem, że nie Tygrys twoy Pan, y rzecz sobie
Pozwoli, że ia wolę bieżeć na zginienie,
Niż na nasze pozwolić więcey, rozłączenie.
Poydę do Hazâéla. Y kiedy się kocha,
Tak w cnoćie, toć go zmiękczy moia młodość płocha.
Upadnę mu ia do nog, y płaczu nie przerwę,
Aż się sam ulituie, y mnie nie oderwie,
Od twego Towarzystwa. Ia za niewolnika
Oddam mu się dla ćiebie, y w łańcuch y w łyka.
A ieżli to odmowi, y wolnośći strata,
Nie zbłaga. To zabiię sam się, zamiast kata.
W tym momenćie, Hazâél, zawołał Mentora,
A ia mu padnę do nog; Niechay ćię pokora
Rzeknę, moia poruszy. A tyś kto człowiecze?
Zdumiany w tey posturze widzący mię, [rzecze]
Czego chcesz? żyćia (powiem) bo ia żyć nie mogę,
Jeżeli mię z Mentorem nie weźmiesz, w też drogę.
Ulissessa wielkiego iestem syn, y Pana
Naymędrszego z Grecyey, z ktorego złamana,
Rąk Troja, na ostatnie Panstwa wyniszczenie.
Nie dla prożney odkryłem chwałyć urodzenie,
Ale żebyś się moim nieszczęśćiem zlitował,
Y w potrzebie ták nagłey moiey, mię rátował.
Tego bowiem ia Oycá, czás szukam nie máły,
A ten człek co go widźisz, Mentor doskonáły,
Był mi ná mieyscu Oycá, los szczęśćia surowy
Ná przydátek mey biedy, w práwia go w okowy,
Twoiey słodkiey niewoli; (rozłączywszy ze mną)
Pozwolże w też niewolą, y mnie poyść przyiemną.
Jeżeli słuszność kochasz. Y iedźiesz do Crety,
Dla náuki Minosa práwá. To wiedz że ty,
Już nigdy správviedliwszym, w życiu swym nie będźiesz,
Ják gdy nas nie rozłączysz, y obu nabędźiesz.
Widźisz mię Krolewicá? co ćię o niewolę
Proszę. Ja w Sycyliey mowiłem: śmierć wolę,
Niżeli iść w káydány. Lecz mię náuczyły
Nieszczęśćia, przećiw ktorym, támte cieniem były,

 że teraz

Ze teraz się obawiam, byś mię wźiąć nie raczył,
Między swę Niewolniki. O! iákoś náznáczył,
Boże ćieżką mi kárę! Pomniy Hazàélu
Ná Minozá Sędźiego, nas, y zmarłych wielu.
Hazàél z ludzką miną, rękę mi wyćiąga,
Pámięć moiá, Ulissa sławy (pry) dośięga.
Mentor mię nie raz uczył; co Ulisses umiał.
Ze się cáły kray Wschodni, iego czynmi zdumiał.
Idź zá mną Telemaku. Biorę ćię zá dźiećię,
Poki ćię nie sprowádzę z tym, co ći dał życie.
Y choćby Oycá sławá, mię nie pobudzáłá,
Sámá przyiaźń Mentora, me serceć by dáłá.
Prawdá że Niewolnikiem, ia iego kupiłem,
Ale w nim przyiaćielá mądrego nábyłem.
Pieniądze, co mię człowiek ták wielki kosztował,
Nábyły skárbow, ktore w nimem poznáydował.
Ználazłem w nim y mądrość, y miłość do cnoty.
Niechże będźie już wolny, z mey właśney ochoty.
Y ty z nim. A od obu was, się nie nápieram,
Tylko iedney przyiáźni, ná ktorey się wspieram.
W tym momenćie, przeszedłem z żalu nayostrszego,
Do wesela z rádośćią, w życiu nayżywszego.
Tu wyiść z niebeśpieczeństwá, zbliżyć się Oyczyzny,
Tu nábydź Przyiaćielá, zbydź od rospust blizny.
Bydź w opiece Człowieká, ktory mię z miłośći,
Jedney cnoty pokochał. Lecz nád szczęśliwośći
Wszystkie, było: żem ználazł me skárby z Mentorem.
Hazàél też tym czásem, idźie nie z oporem,
Do Okrętu. My zá nim. Wiosło wały depce,
A Zephir po Chorągwiách, y po żaglách szepce,
Okręt rusza iák żywy, letko go kołysze.
Hazàél (rzecze) Niech też twe zdánie usłyszę,
O Cypru obyczáiách: Powiem mu otwárćie,
Jáko się cnotá we mnie śpieráłá upárćie,
Z roskoszą. Y iák młodźi, co tám zostawáią,
W srogie niebeśpieczeństwo swoię cnotę wdáią.
Moiá wzgárdá rospusty, zbyt mu się podoba;
Y rzecze: O Wenero! Ty y z Synem oba
Iesteśćie w prawdźie Bostwem; znam moc, wásze dáry,
Ná Ołtarzách paliłem, y teraz Ofiáry.

Lecz,

Lecz, pozwolćie śię brzydźić złośćią, tych mieszkáńcow
Cypru, práwie z niewstydem bydlęcym, pohańcow,
Z ktorym swięcą cześć Wászę. Po tym dyszkurowáć
Z Mentorem poczną, o tey mocy, ktora chowáć,
Od wiekow świát poczęłá. O tym iednostáynym
Swietle, y nieskonczonym, w dobro nie przestáynym.
Ktore śię bez zmnieyszenia, káżdemu nágodźi,
O tey prawdźie wszechmocney, ktora nie záwodźi.
Y iáko słońce ćiáłá, ták oświeca dusze;
Kto tey czystey iásności nie tknął, [przyznáć muszę]
Jest ślepy sámorodny, y wiek wiedźie w nocy,
Iák ten Narod, ktory dniá, przez żyćie nie zoczy.
Rozumie że wszystko wie; á on nie wiádomy;
Iże doyzrzy wszystkiego; á on niewidomy.
Y umrze w swey ślepoćie. fałszywe ogniki
Biorąc zá żywe świátło, y prozne ćieniki.
Ták ludźie przykowáni do zmysłow roskoszy,
Uwodzą śię czárámi, y fortuny losy.
Nie mieć tákich zá ludźi. Tylko tych, co wieczney,
Náśláduią więc prawdy, przez umysł státeczny.
Zá iey ći to nátchnieniem, idą dobre mysli.
Oná sercem kieruie, w złym dobre obmyśli.
Od niey rozum iák żyćie. Ten Ocean słynie
Swiátłem, ktore iák źrzodło, ná nász rozum płynie.
Choćiem tego nie poiął, zbyt mądrego słowá,
Przećię tą wysokośćią, wzbijáłá śię głowá.
Y serce mi pałáło, y prawdá zbyt iáśnie,
Krępowáłá mi duszę, węzłem słodkim właśnie.
Potym, o wiecznym Bogow, gadáią záczęćiu.
Wieku złotym, Potopie, y Heroow wźięćiu.
O Mękách Piekłá srogich, y występcow karze,
O Polách Elizeyskich, o cnoty offiárze.
Kiedy o tym, y owym, Mentor z Hazáelem
Dyszkuruią, [iáko to bywa z Przyiáćielem]
Postrzeżemy Delphinow, łuską złotą lśniących.
Fále Morskie, igrászką swoią, podnoszących.
Trytonowie zá niemi tuż płyną, y głoszą
Ze ná wierzch Amphitryte, bliskie flukty niosą.
Konie Morskie, iáko śnieg białe, woz iey ćiągną,
Zá sobą szlák, pień przed śię, gdźie nogą záśiągną.

Woz Bogini, skorupá, z dźiwney konchy byłá,
Perł Máćicá, kość Słonia, w białość przechodźiłá.
Kołá złote, po wierzchu wod słonych, lećiały.
A Nymphy w kwiáty stroyne, koło niey pływáły.
Włosy iásne po plecách, wiatry rozrzucáią,
Bogini sceptrum w ręku; ktorego słucháią
Morskie wały y fale, gdy się rozigráły.
By się nád wolą Páni, więcyi nie wylały.
Druga ręką przy pierśiách, synà swego trzyma,
Palemona zwanego, ten ná łonie drzyma.
Twarz iásna, y Májestat, oczy oświecáią,
Przed ktoremi, buntowne wiátry, ućiekáią.
Trytonowie, zá cugle złote, konie wiodą.
Zagiel wielki z purpury. Ná woźie nád wodą,
Niezmierna moc Zephirow, koł się Páni trzyma,
Y żagiel tchem swywolnym, igráiąc poddyma.
Ná powietrzu Eolus strászny, nie spokoyny,
Zmarszczony iák furyat, y iákby do woyny,
Głos groźny, oczy iádem, rzuca zápalony.
A przed nim ćicho stoią, y drżą Aquilony.
Wieloryby y monstrá, ná dźiw wynurzone,
Fontánny nozdrzem leią, wysoko rzucone.
Tym pięknym dźiwowiskiem, násyćiwszy oczy,
Ieden z nászych, Creteńskie gory, pierwszy zoczy.
Aż y sami widźiemy, sławne Idy Czoło,
Ktorym tá, wszystkie Wyspy przewyższa, w około.
Ták właśnie, jáko Ieleń naystárszy, rogámi,
Miedzy młodszą zwierzyną znáczny, y łániámi.
Powoli dobrze, widźiem wszystkie wyspy boki.
A iáko był brzeg w Cyprze zárosły, szeroki,
Przez niedbálstwo mieszkáńcow, Ták Creteński śliczny,
Pracą Oraczá wszędźie, dáie zysk rozliczny.
Wśi budowne, Miásteczká, Miástom drugim rowne,
A Miástá záś wspániáłe, co obaczysz głowne.
Role czyli zásiáne, czy śieybie gotowe,
Nie znáiome w nich chwasty, kakole nie zdrowe.
Nuż dopiero padoły; bydeł tłustych pełne,
Łaki widźieć, iákby ie kto ustroił w wełnę.
Tu kłosy pływáiące, tu owce, bárány,
A tu gory w Winnicách żyzne, ná przemiány.

Tu

Tu dáry cney Cerery, ludzkie pożywienie,
Tu Báchuſa lekárſtwo z Win, ná utrapienie.
Mentor ktory tám w Crećie, nie raz przed tym bywał,
Ták nam ią dość obſzernie, w ten czás opiſywał:
Tey wyſpie, Cudzoźiemiec káżdy ſię zádźiwi.
Ma w ſobie ſto Miaſt wielkich, te wſzyſtkie wyżywi.
Mieſzkáńcow iey bez liczby; bo od źiemi Mátki,
Im ią częściey wywracaſz, częſtſze maſz podatki.
Y im więcey ieſt ludźi, byle prácowitych,
Tym ieſt więcey od źiemi, owocow obfitych.
Nie trzebá mieć zazdrośći, ieden do drugiego,
Tá mátká mnoży, według potrzeby, káżdego.
Y według liczby dźieći, ktore żywić trzebá.
Ale to pracą zárob, bo nie będźie chlebá.
Łákomſtwo z ambicyą, ſą źrzodłá nieſzczęśćia.
Człowiek chce mieć ſam wſzyſtko, nie udźielić ſzczęśćia.
Y tá go chęć zbyteczna, nieſzczęśliwym czyni;
Gdyby żył, iák náturá, ſtára goſpodyni,
Uczy go, y w roſpuſtách nie ſzedł drogą mylną,
Toby było wſzyſtkiego obfito y śilno.
Toć to z Krolow naymędrſzy, ow Minos przesławny,
Dobroći w ſwoich práwách, dał im dowod jáwny.
Cokolwiek przedźiwnego, w tey Wyſpie obaczyſz,
Iego Praw mądrym rádom, to przypiſać raczyſz.
Y naprzod wychowánie, co Dźiećiom nákazał:
Ze zdrowe ćiáłá czynią, y mocne uważał.
Zaraz ich wzwyczáiáią do życia proſtego,
Skromno prácowitego. Bo pieſzczotá złego
Y umysłu y ćiáła, zawſze zrzodłem bywa.
Igraſzki, y ućiechy, inſzey nie zażywa,
Tylko bydź nie złamanym w cnoćie, iść do sławy.
To wbijać młodym w głowę, y w te wuczać ſprawy.
Męſtwo ich; nie tak śmiercią gardźić, pod czas woyny,
Iak bogactwy, nie wſtydem, á żyć bogoboyny.
Te grzechy, ktore kary u inſzych nie znaią,
Niewdźięczność y łakomſtwo, u nich karę maią.
Nadętość y pieſzczota, nie maią nagany:
Bo ten defekt oboi, u nich nie ieſt znany.
Każdy robi, pracuie, a zaś nikt nie myśli
Zbogaćić ſię. Y iakby zapłaty mu przyſzły

Złote, kiedy żywot swoy prowadźi spokoyny.
Rząd iest pomiarkowany, y w co trzeba hoyny.
Nie ćierpią między sobą, ni stroyno wspaniałych;
Ruchomośći bogatych, y mod zbyt nie trwałych.
Bankietow delikatnych, Pałacow złoćistych;
W sukniach wełnianych ślicznych, y w pokoiach czystych,
Mieszkaią. Trzeźwe zawsze y skromne obiady,
Z chlebem mlekiem, fruktami, dla tego bez zwady.
Zawołany to bankiet, y coś iest rospusty,
Kiedy na stoł záwita baran, lub woł tłusty.
Y to, bydlę rosleysze zabić, za grzech maią,
Co w trzodźie naywiekszego, na prace chowaią.
Mieszkania ochędożne, wesołe, wygodne,
Sztuki Architektury, co są u nas modne,
Kośćiołom tylko Boskim, są destynowane;
Budynki ludzkie, Boskim nie są porownane.
Chcesz wiedźieć: Creteńczykow, w czym dobra zawisły?
Zdrowie, moc, męstwo, Pokoy, przy iednośći śćisłey,
Wolność, Rzeczy obfitość, á wzgárdá zbytecznych,
Nienawiść proznowánia, przy robotách wiecznych,
Ubieganie się w cnotách, Práwom posłuszeństwo,
Boiaźń Boża, to wieczne ich błogosławieństwo.
Pytałem się Mentora: w czym Królá powagá:
Odpowiedźiał: Jest wielka Páńskiey woli wagá;
Wszystko może nád ludem. Ale nád nim Práwo.
Czynić dobrze y rządźić z opisaną spráwą.
Jest absolut; lecz gdy chce przećiw Práwu broić,
Związáne ma nim ręce, muśi się ukoić.
Bo mu Práwá Poddánych, w depozyt oddáły;
Y poty w rękách iego, poki nie zuchwały.
Práwá chcą: by człek ieden, służył swą madrośćią,
Ná szczęśćie wielu ludźi. Nie ludźie przykrośćią,
Wszyscy swoią; iednemu, biedą y niewolą,
Tucząc Krolow swych pychą, roskosz y swawolą.
Owo zgołá, Krol, nie ma nic cále nad innych;
Tylko co mu służyć ma, do respektow winnych.
Ale ieszcze nád innych ma bydź Krol trzeźwieyszy,
Ták swiebodom pieszczonym, bydź nieprzyiáźnieyszy,
Ják dumnym nádętośćiom. Nie w ućiechách, w złoćie,
Ma pokładáć wysokość, lecz w sławie y cnoćie.

Zá

Zá gránicą, Oyczyzny obrońcą, z orężem,
W Domu Sędźia, przystępnym, Oycem, Pánem, Mężem.
Nie dla niegoć to, Krolem czynią go Bogowie:
Dla ludźi iest człowiekiem, dla nich łożyć zdrowie,
Im zábáwy, stárania, im áffekt swoy winien.
Y Krolem się ináczey, názwáć nie powinien,
Jeśli sakryfikowáć nie będźie Poddánym,
Wszystko co ma. Dla tego Minos w Práwie dánym,
Nie chćiał, áby Synowie, po nim krolowáli,
Tylko ći, ktorzy Práwá iego by chowáli.
Lud swoy nad Dom swoy kochał. Y temi sposoby,
Wniosł do Crety potęgę, szczęśćie, y ozdoby.
Tą ztárł moderácyą, sławę wojownikow,
Co dla pychy, z poddánych, czynią Niewolnikow.
Y żeby, cudzą sztukę kráju, záwojowáć,
Nie wstydzą się, kray cáły własny ruinowáć.
Ná prozność swoiey dumy, krew poddánych leią.
Y z biedy ich, w Tryumfách niesłusznych, się śmieią.
Ták On przez spráwiedliwość, czći u Bogow dostał,
Ze Sędźią wszystkich zmárłych, u Plutoná został.
Gdy nam to Mentor práwi; w tym Wyspy się tkniemy.
Tám ow sławny Lábirynt Dedala, widźiemy.
Ten kiedy gmách obszerny sztuczny oglądamy,
Ludu moc zebránego przy brzegu witamy.
Brzeg Crety dość nas bliski, tá ćizbá okryłá.
Pytamy Creteńczyká: Coby tám robiłá!
Nausicrates był zwánym, ktory nam powiedźiał,
To co idźie [bo wszystko co się dźiało wiedźiał:]
Idomen [práwi] nasz Krol, Syn Deukaliona,
Wnuk Minosa, rozumiał: że Grekow obroná,
Y do niego należy. Y przeto z drugiemi
Krolámi, szedł pod Troię, Grecyi mężnemi.
Wywroćiwszy záś Miásto, iák wiećie do szczętu,
Ná powrot do swey Crety, wśiada do Okrętu;
Ale go táka burza, w tey potyka drodze,
Ze Szyper zálękniony, puśćił Rudlá wodze;
Wszyscy zdesperowáni, śmierć przed sobą máią,
Ná przepáść patrząc. Monstra pászcze otwieráią
Na połknienie ich srogie; lamentuią iedni,
Ze ich nawet nie potka, żaden pogrzeb przedni.

Idomen oczy w Niebo y rece podnośi:
O wszechmocny Neptunie? [w te go słowa prośi]
Ty ktory wodom srogim, sam panuiesz żwawie,
Chćiey mie nieszczęśliwego wysłuchać łaskawie.
Jeśli mie w Crećie stawisz: (o co rzewnie płacze)
Będźie to, twa Wiktyma, co pierwey obaczę.
Tym czasem: Syn powźiąwszy o swym Oycu wieśći,
Bieży nad brzeg, uprzedźić o sobie powieśći.
Chce go pierwszy obłapić; A nie wie że bieży
Na śmierć. Oćiec wysiada, gdźie Syrya leży,
Dźiekuie Neptunowi, za modł wysłuchanie,
Nie wie, że to ná ćięższe, iego iest skaránie.
Jednak serce przeczuwa, w radośći troskliwe,
Widźi sam, że uczynił Votum, zbyt skwapliwe.
Boi sie wnijść miedzy swych, y chyli swe oczy,
Boiąc sie na miłego napaść; łzą ie broczy.
Ale darmo: Nemesis, ktora Krolow karze,
Wiedźie Syna za reke, ku straszney ofiarze.
Taż ręką niewidoma, y Oycá prowadźi.
(Tak złym Krolom, co im iest naymilszego, wadźi.)
Idomen, ledwie oczy spuszczone podniesie,
Syna widźi naypierwey, co mu ukłon nieśie.
W tym sie cofnie ze stráchu; á oczyma szuka,
Inszey głowy; ále mu nie uchodźi sztuka.
Syn Oycá w przod zá nogi, á potym zá szyie,
Zdźiwi sie: Oćiec płácze rzewnie, práwie wyie.
O moy Oycze (záwoła) z kądże tych łez strugi?
Witáiąc sie nam, po ták niebytnośći długiey.
Czy ći żal, widźieć Páństwá, swoie, y mnie Syná!
Odwracasz od nas oczy? Co łez zá przyczyná?

Oćiec żalem przeiety, nic nie odpowiáda.
Aż sie dość náchlipawszy, na te słowá wpada:
Cożem ći to Neptunie, ia obiecał głupi!
Co mie z ozdob y poćiech, twa ofiárá złupi.
Lepiey mie powroć salom, y wyrzuć ná skáły,
Ktoreby, lepiey żyćie smutne rozerwáły.
A pozwol żyć Synowi. O okrutny Boże!
Masz ma krew; Tać Synowska odkupić sie może.
Y to mowiąc, swym mieczem przebić sie sam, myśli.
Lecz go prędko zchwytáli, co do niego wyszli.

So-

Sophronim ſtárzec święty, tłumácz Boskiey woli,
Błaga go, y ziádłego upewnia powoli:
Ze Neptuná uśmierzy, á nie trácąc Syná.
Twoie Votum ieſt głupie, nie Synowska winá.
Nie chcą bydź okrućieńſtwem uczczeni, Bogowie.
Podrwiłeś obietnicą, bárdźiey podrwiſz, w słowie
Kiedy ſtánieſz; gdy złamieſz przyrodzenia práwo.
Sto Bykow białych raczey, z święta oddáy ſpráwą.
Uwieńcz Ołtarz Neptuná w kwiáty, obley juchą
Bydlęcą; kadź perfumy, y proś Bogá z skruchą.
Słucha z głową ſpulzczoną, tey Idomen mowy.
Zápala oczy jádem, niemieie bez słowy.
Twarz mu ſię coraz mieni, czerni y blednieie,
Trzęśie ſię cáłym ćiáłem, y ná poły mdleie.
W tym mu ſię Syn náraża, y mowi do Oycá:
Jam gotow ná śmierć; Choćiaż bedźieſz moy zaboycá,
Byleś mą krwią uskromił Bogá. Ia weſoły,
Poydę ſam iák Wiktyma, ná Ołtarzá ſtoły.
Y bylem śmierć odkupił twą, moiá mi miła.
Zem godny twoy Syn ukaż, á nie baw ſię śiłá.
W tym momenćie Idomen, nie będąc przy ſobie,
(Piekielna mu furya, wśćiekłe ſerce żobie)
Ukradſzy ſię przed temi, co go pilnowáli,
W ſerce Syná uderzy, ten ſię wnet obáli.
A on miecz krwą zbroczony, wyćiągnąwſzy z niego,
Chcąc ſię zábić, do ſerca przymierza go ſwego.
Ale go uchwycono, y śmierć mu nie dána,
Kiedy dźiećię przebite, pada ná koláná.
Y w ſwoiey ſię krwi kąpie, á śmiertelne ćienie,
Oczy mu pokrywáią, iák martwe kámienie.
Jáko kiedy kwiát śliczny, oſtra koſa zetnie,
Jeſzcze pachnie; lecz prędko uſycha, y wietnie.
Ták y Syn Idomena. iáko kwiatek młody,
Z okrutney Oycá ręki, żyćie, y urody
Utraca. A záś Oćiec, z żalu zbytecznego,
Kámienieie, nie czuiąc, co porobił złego.
Ani wie kędy ſam ieſt, zdumiony we wſtydźie,
Syná woła iákby żył, y do Miáſtá idźie.



TELEMAKA XIĘGA TRZECIA.

SUMMARYUSZ XIĘGI TRZECIEY.



Domen opuſzcza Crete. Przyiaćiele iego go wyprowadzáia. Cretá zoſtáie bez Krolá. Poſpolſtwo ſie gromádźi na obránie Krolá. Rożne gry wyſtáwuia, w ktorych zwyćiezcá ma otrzymáć Korone. Opiſanie tych igrzysk, y záwody wozowe. Telemak z iedney ćiekáwośći, y ná probe ſwey umieietnośći, tám certuie. We wſzyſtkich igráſzkách otrzymuie wygráną. Do zgromádzenia ſtárcow, ktorzy według Praw mieli Krolá obieráć, wprowadzáią go. Zádáwáią mu qweſtye, ná ktore odpowiáda. Chcą go Krolem obráć. Gdy ſie gotuie przyiąć korone, Mentor mu przekłada że ieſt w cudzym kráju, że ma ſwoie Oyczyzne, że ſie záchowáć powinien, y że ma obaczyć Uliſſeſſa y Penelope. Poddáie

ſie

ſię uwagom Mentora. Creteńczykowie proſzą go o Krolá. On skazuie ná Mentora, ktory ſię wymawia, wyſtawuie niebeſpieczeńſtwá krolowánia. Oni obieraią Hazàélá, ktory tákże ſię wymawia. Mentor im skázuie iednego ſtárcá z pomiędzy nich, ktory przyimuie pod kondycyámi. Nowy Krol Telemakowi y Mentorowi dáie Okręt ná powrot do ich kráju. Wychodzą z Crety. Ná Morzu nowa burza. Przychodzą do Kalipſy. Tu ſię kończy relacya Telemaká, á Hiſtoryk dáley o nim kontynuuie hiſtoryczną relácyą.

Venus chce ſię mśćić, że wzgárdźili w Cyprze jey Kośćiołem y ofiárámi, zſyła Kupidyná ná Wyſpę Kálipſy w poſtáći Dźiećięćiá, ktory z Telemakiem, Kalipſą y Nymphami igra, ráni ich wſzyſtkich, y z nich żártuie. Kalipſo zàkochuie Telemaká áż do ſzaleńſtwá. Telemak iey nie kocha, ále iey Nymphę Eucharis skromną, ſtáteczną y pięknieyſzą od drugich. Kálipſę zazdrość bierze. Mentor ukázuie niebeſpieczeńſtwo Telemakowi, ktory mu ſię broni ſtátkiem Eucharis. Mentor mu powiáda, że nie czuie ſwoiey rány, y że przyiał wolną trućiznę, ktora go zniſzczy. Kalipſo ná oddalenie Telemaká dáie ſpoſob Mentorowi do zbudowánia Okrętu, ná ktory, gdy Telemak ma wśiadáć, chce pożegnáć Eucharis, á tym czáſem Nymphy zápaláią Okręt. Nowe furory Kalipſy. Mentor wyprowadza Telemaká ná skáłę nád Morzem, zkąd widząc okręt, á nie máiąc ſpoſobu inſzego wyprowádzenia go od Kalipſy, zpycha go w Morze ze skáły, y ſam zá nim w nie wskákuie.

W Tym Pospolstwo, litośćią nád dźiećięćiem zdięte,
A ná dźiką Oycowską ákcyą, záwźięte,
Woła: Słuszni Bogowie, znáć furyey wśćiekłey,
Oddáli go; że mu myśl y serce oblekły.
Gniew orężá dodáie: Do kijow, kámieni,
Rzucáią się. Niezgodá wychodźi z swych ćieni.
Y śmiertelną trućizną, sercá ich záráża,
Że żaden z Creteńczykow, ná nic nie uważa.
Owi skromni Cretowie, zápomniawszy rády,
Y zwykłey swey mądrośći, chcą buntow y zwády.
Minosá Wnuká więcey, już nie uznawáią.
Przyiáźni Idomena, ukryć go szukáią.
A sposobu inszego, zbáwienia nie máiąc,
Biorą go ná Okręty, bronią ućiekáiąc.
Dźiękuie im Idomen, skoro przyszedł do śię,
Że go z kráju wyrwáli, ktory w ćięzkim losie,
Krwią Synowską pokropił. Y w ktorym ná wieki,
Mieszkáć nie chce, poki śmierć nie zámknie powieki.
Wiátry go do Hespery, prowádzą szczęśliwe;
Tám Páństwo z nim funduią, kompány życzliwe.
Y ták Páństwo Creteńskie owdowione było.
Ale że się bez Krolá, im bydz uprzykrzyło;
Teraz obráć iednego chcą, by im pánował,
Y Práwá Minosowe, w swoiey porze chował.
W tym sobie, tym sposobem, y ták postępuią.
Ze stu Miast, nayprzednieyszych, tu Mieszczan zwołuią.
Od wálnych Offiar Bogom, tę spráwę záczęto.
Naymędrszych naysławnieyszych Stárcow, ná to wźięto.
Ci godność Kandydatow, roztrząsywáć będą,
Jákby Krolow Sędźiowie, przed ludem záśiędą.
Już igrzyská publiczne, ná to zgotowano.
Bo temu, kto zwyćięży, ták śiłą wybraną,
Ják y mądrośćią, będźie należeć koroná;
Y temu ták wysoka godność, náznáczona:
Kto większą mocą ćiáłá, y dowćipu śiłą,
Zwyćięży konkurrentow. Ná to piękne dźieło,
Już się zeszli. Y sámych tákże przypuszczáią
Cudzoziemcow; nikogo zgołá, nie rzucáią.
Iźli się choć przychodźień, wybierze im táki,
Ktory ćiáłem y duszą, da godnośći znáki.

Y wy

Y wy [rzekł Nauſicrates] do tego też kołá,
Pośpieſzayćie. Ieźli was chęć korony wołá.
Będźiećie ſię z drugiemi, potężnie páſſowáć.
Komu BOG da zwyćięſtwo, ten będźie krolowáć.
My, lubo tey korony, nie mieliśmy w głowie,
Poſzliśmy z ćiekáwośći, zá nim, po tey mowie.
Przychodźiemy ná mieyſce, Cyrcus miánowáne,
Gęſtym láſem ná koło, w okrąg opáſáne.
We śrzodku wielkie mieyſce, piaskiem wywiezione,
Gorne Amphitheatra, w káżdą były ſtronę.
Z darniu łáwy iák ſchody; ná ktorych bez liku,
Tyśiącámi lud śiedźiał, iák Woysko do ſzyku.
Gdyśmy przyſzli, záraz nas przyięto z honorem.
(Bo ten lud, inſze ludźie ſwym ludzkośći torem,
Przechodźi) Y záraz nas, śiedźieć pięknie proſzą,
Zápraſzáią do bitwy, y że czás, donoſzą.
Mentor ſwemi látámi, Hazàél złym zdrowiem,
Wymowią ſię. Więc że ia, zá drugich odpowiem:
Iednák pierwey rzućiłem ná Mentorá okiem,
Pozwolił mi kiwnieniem. [co u mnie wyrokiem]
Przyiąłem tedy záraz, ich ofiárowánie.
Zrzućiłem do nágośći, wſzyſtko me odźiánie.
Oleiem ſmárowáne ćiáło ſwe rzućiłem
O piaſek, y ták miedzy Atletow wskoczyłem.
Iedni żem był Uliſſa Synem, powiádáli.
A co byli w Itaku, cále mię poználi.
Pierwſza byłá potyczká: w páſowániu ſztuká.
Wielka ieſt obrotnego, w tym ćiáłá náuká.
Ieden z Rhodu, trzydźieśći lat kilká máiący,
Sam káżdego zwyćiężył, y czekał ſtoiący.
Lecz ſię z nim żaden potkáć, ni oprzeć nie myśli,
Kiedyśmy ná plác bitwy, tey ták sławney przyſzli.
W ſámey porze lat y śił, ten Rhodyiczyk trwáły;
Widźieć mu było żyły, ktore po nim drgáły.
Nie ſądząc mię bydź godnym, od śiebie złamánym,
Mija mię. Ia mu w oczy, z ſercem nie z hukánym.
Dopiero ſię uchwyćiem; y śćiśniem ták słuſzno,
Ze iemu, iáko y mnie, cále było duſzno.
Rámię z rámieniem, nogá z wſpieráiącą nogą,
Rękámi ſię opaſzem, iák gádźiną ſrogą.

Káżdy ſwego, od źiemi podnieść, adwerſarzá,
Chce. To w tę ſtronę mnie pchnie; lecz mu ſię nie zdarza,
To w drugą; ále dármo· Aż ia, wſzyſtkie śiły
Zwarſzy, zwichnę go w krzyżách, ktore ſię zwáliły,
Z nim o źiemię. Ná ktorą ćiągnie mię, ſzkárádnie.
A potym mię pod śiebie podbić, myśli ládnie.
Ale ia mu iák skálá, ná pierśiách uśiadłem,
Y lubo mię trząsł mocno, z niego nie upadłem.
Poſpolſtwo krzyknie? Ze ia nád Rhodem wygrałem,
A ia záwſtydzonemu, wſtáć, rękę podałem.
Igrzysko drugie, Ceſte, od nichże názwáne,
To mi było trudnieyſze, jednák idę ná nie.
W tę grę bić ſię potrzebá, pod tarczy zákłádem.
Jeden duży Sameyczyk, był w tę grę przykłádem.
Wſzyſtkich pobił. Tylko mnie iednemu ſię zdáło:
Ze y z nim wygram. Aż mi ták ſię w łeb doſtáło,
Ze mi ſię czarny obłok, w mych oczách uczynił,
A krew gębą lunęłá. On dáliy przyczynił,
Raz po ráźie, y ná mnie ſzedł, bez odpoczynku,
Zem odetchnąć w tym nie mogł, cále pojedynku.
Aż głos słyſzę Mentorá: (gdy mię wźiął ćiemiężyć)
Tákże to Telemaku, daſz mu ſię zwyćiężyć?
Gniew mi nowych śił dodał. Iák piorun ſię matam,
To w ten bok, to záś w drugi, z uchyleniem latam.
Ze mię tráfić nie mogſzy, ſwym chybił żelazem,
Y ſam ſię też pochylił. A jam go pchnął rázem,
Y uderzył o źiemię. Ale miáſto rány,
Podałem mu ſam rękę. A on uwalány
We krwi, prochu, powſtáie, y bić niechce więcey;
A ia idę zwyćięzcá, iákby ſtu tyśięcy.
Záraz po tym, záczęto gonitwy wozowe.
Ktore ſię loſem doſtáć miáły, ſą gotowe.
Mnie ſię tráfił naylekſzy, y w kołá, y w konie.
Puśćim w zawod. Z tumánu Słońce iák w zasłonie.
Z kopytá, wſzyſtkich przed ſię puſzczam, w tym zawodźie,
Creanter Lacedemon, nas kłádźie w odwodzie.
Polikletes Creteńczyk, tuż tuż go doieżdża.
Hipponak Idomena krewny, ták poieżdża
Lotnie, że iego koło zda ſię bez obrotu;
Ják orzeł skrzydłem ſzyiąc, nie ruſza go z lotu.

A w

A w tym moie tchu pełne konie, śił nábráły,
Przed wſzyſtkiemi inſzemi rączo ſię wybráły.
Zoſtáwiam ich zá ſobą; Hipponak zbyt chćiwy,
Zátchnął koniá, że mu padł, ſam zoſtał w puł żywy.
Poliklet ſtał ná woźie, tnąc konie nád śiłę,
Lecz zá wozu ztrzęśnieniem padł, y zoſtał w tyle.
Piſyſtrat pełen żalu, że go tuż tuż blisko
Sćigam, to Bogom ſwoie oddáię igrzysko,
To konie animuie. Ná koniec w ćiáſnośći,
Złamał koło, y zadał mi nieco trudnośći.
Chćiał to on mnie przeſzkodźić, ábym go nie minął,
Ale łamiąc ſwe koło, z ſwym zwyćięſtwem zginął.
Bom go ia leżącego, z drugiey obiegł ſtrony,
Y ták ſię widźiał w piasku, gdy mnie u korony.
Poſpolſtwo znowu krzyknie: Iuż też oczywiśćie,
Bogowie, Telemaka ſpráwili tu przyjśćie,
Aby wygrał koronę. A w tym nayznácznieyſzy,
Wybor Cretow, nas bierze, w lás bliski ćiemnieyſzy,
Stáry y poświęcony. Gdźie ſtárcy wybráni,
Od Minoſa, ná ludu ſąd deſtynowáni;
Y ſtrożowie praw iego; tych nas brákowáli,
Ktorzyśmy, w tych grách wſzyſtkich, z ſobą certowáli.
Mędrcy, Kśięgi z Práwámi Minoſa otworzą,
A w przod ſię, przed Bogámi modląc, upokorzą.
Widokiem ſtárcow, reſpekt myśl mą opanował.
Ktoby był ták ślicznego wieku, nie ſzánował!
To w nich oſobliwſzego, zá cud, upátruię:
Ze im, wiek zbyt podeſzły, mocy nie uymuie
Rozumu y śił zdrowych. W porządku śiedźieli,
Siwe włoſy, á drudzy y włoſow nie mieli.
W poważnych twarzách, mądrość słodka y ſpokoyna.
Słow prożnych nie usłyſzyſz. Mowá bogoboyna.
Nie gadáli nic rázem. Lubo mieli rożne
Zdánie; lecz ſię zgodźili, ná iedno nie prożne,
Przeſzłych dźiey doświadczenie. W zwyczaienie w prace,
Mądrość w konkludowániu, dawáłá mi płace.
Ale, co ich naybárdźiey czyni doskonáłych,
Jeſt, że ogniow nie znáią młodośći nie trwáłych.
Sam rozum ich kierował. Ten owoc ich cnoty,
Ze do złego, nie czuli już w ſobie ochoty.

Ze już teraz bez trudu, ſam ſmák cnoty czuią,
Y rozumu dobrego, pożytkow koſztuią.
Patrząc ná nich życzyłem: by moy wiek ſię skroćił
Albo młody, w ták piękną ſtárość, ſię obroćił.
Nieſzczęſna mi ſię młodość, w ſwey goraczce zdáłá,
Ktora cnoty ſpokoyney, iáko tá nie znáłá.
Z tych Stárcow pierwſzy, wyniosł Księge Minoſową,
Chowáną w złotey skrzynce, świeżą, iákby nową.
Wſzyſcy ſtárcy, z reſpektem wielkim, ią cáłuią,
(Mowiąc:) że po cnych Bogách, nic czći nie znáyduią,
Godnieyſzego nád Práwo. Ktore cnotliwemi,
Ludźie czyni; á przeto trwále ſzczęśliwemi.
Ci co rządzą Narody, ſami ſię powinni,
Práwem rządźić. Bo Práwu, nie Krolowi winni
Posłuſzeńſtwo Poddáni. Ná koniec co śiedźiał,
Nád drugiemi Prezydent, ten do nas powiedźiał:
Zádam wam trzy Queſtye, ktore kto z was zgádnie;
Według zdánia Minoſa; Krolem będźie ſnádnie.
Pierwſza ieſt: Kto ze wſzyſtkich naywolnieyſzy ludźi?
Jedni mowią: [ktorych chęć do korony budźi]
Naywolnieyſzy ieſt ten Krol, ktory zwyćiężywſzy
Nieprzyiaćioł, ſwym ludem rzadźi, w dom wroćiwſzy.
Drudzy mowią: że człowiek ktory ſię nie żeni,
A z iednego ná drugi kray, ſwą bytność mieni.
Inśi mowią: Mąż dźiki, ktory żyiąc w leśie,
Ni ſtárſzemu, ni Práwu, reſpektu nie nieśie:
Ci trzymáią: że człowiek wyſzedſzy z niewoli,
Naysłodſzy ſmák znáyduie, ze ſwey nowey woli.
Byli y ći co rzekli: że człek przy skonániu,
Dopiero ieſt prawdźiwie wolnym, o ich zdániu,
Od nieſzczęść y kłopotow; y że nie zaſzkodźi,
Nikt mu więcey. Aż do mnie mowić też przychodźi.
Ja pámiętny, co Mentor nie raz mi powiádał,
Rzekę: Temu naywiękſzą, ſam BOG wolność nádał,
Ktory wolnym w niewoli, y w pętách bydź może,
Ktorego kondycya zła, nic nie przemoże.
A ten táki ieſt (rzekę) kto ſię Bogow boi,
Y o ich iednych reſpekt, á nie ludzki ſtoi.
Słowem; ten ieſt prawdźiwie, y iedynie wolny,
Ktory áni ſtráchowi, ni złym ieſt powolny.

Żądzom,

Rządom, y nie iest, tylko swym Bogom, poddány,
A cnoćie, rozumowi; wolnym ma bydź miány.
Stárcy poyzrzą po sobie, y głowy kiwániem,
Wyználi; żem się zgodźił z Minosowym zdániem.
Druga byłá questya: Kto też iest ná świećie,
Naynieszczęśliwszy z ludźi? Nie ieden tu plećie;
Ten mowi: że człek, ktory zdrowia, maiętności
Nie ma, ni czći. Ow mowi: Ten, ktory szczerości
Nie ználazł przyiaćielskiey. Drudzy záś trzymáią:
Ze ći ktorzy od dźieći swych, niewdźięczność máią.
Ktoś, z Wyspy Lezbu, rzecze: Kto się nieszczęśliwym,
Bydź sądźi? ten sam ginie, w nieszczęśćiu prawdźiwym.
Bo nieszczęśćie, mniey na tym co cierpiem záwisło.
Bárdźiey schnie, y trapi się człek, troskliwą myślą.
Tym słowom Lezbeyczyká, wielki applauz dano.
Y że weźmie koronę zá to, rozumiano.
Ale gdy mię pytáią! odpowiem rzetelnie:
Naynieszczęśliwszy, z ludźi, u mnie, y śmiertelnie:
Ten Krol; ktory się mniema bydź szczęśliwym, zwánym,
Ze się swoim náprzykrza, ubogim poddánym,
Dwoiáko nieszczęśliwy: Raz z swoiey ślepoty;
Ze nie zna w tym defektu, oraz y istoty
Prawdy, ktorey nie dáie pochlebstwo przystępu;
A druga: że nie dáie w serce swoie wstępu,
Poćiechom, ktore mnoży, dobre uczynienie,
Y łáskáwość, szczęśliwsza, nád naylepsze mienie.
Złe żądze mu Tyranki, ćieszyć się nie dádzą,
A Bogowie, ná pewną zgubę, go prowádzą.
Co słysząc zgromádzenie, żem wygrał przyznáło:
Y że moie się zdanie, z Minosem zgadzáło.
Trzećiey Questyi, táki sens, był położony:
Kto z Krolow pożądańszy? Czy nie zwyćiężony?
Y Wojennik? czyli też, nie znáiacy woyny?
Ale do rządu ludu, mądry, y spokoyny.
Wszyscy rzekli: że ten Krol, co woynę rozumi,
Y wszystkich, swych zawisnych Sąśiádow potłumi,
Bárdźiy Páństwom potrzebny. Cosz bowiem po tákim!
Ktory swych iest obrońcą Gránic, ládáiákim!
Choć dobrym rządźcą w domu. Bo gdy go zwyćięży
Nieprzyiaćiel; w niewolą lud iego zćiemięży.

Drudzy rzekli: Spokoyny Krol, lepszy dáleko.
Bo go dumy woienne, w Woynę nie záwleką.
Nie znaiąc, boi się jey, y strzedz się iey będźie.
Ná to znowu, ći mowią: ktorzy stali w rzędźie:
Krol woien, o sławę się, Narodu ubija.
Y Narody Poddánym, w moc swoim swoim podbija.
Krol domator, ich trzyma w miętkim prożnowániu.
W tym się, stárcy pytáią, o moim też zdániu!
Jam rzekł: Krol ktory tylko, zna się ná pokoju,
A cále nic nie umie, co trzebá do boju,
Jáko też ten, co tylko; ma wojenne sztuki,
A w swym rządźie, nie umie pokoiu náuki;
Jest z nich káżdy puł krolá. Jedno bez drugiego
Nic nie iest. Iednák; ieźli wźiąć trzebá iednego!
To wolę mądrość w Krolu, choć w Woynie nie zdolny,
Bo może y Generał, zwyćiężáć powolny,
Kiedy będźie potrzebá. Krol zás Woyny chćiwy,
Nie przestánie woiowáć, poki będźie żywy.
Dla swey sławy, Poddánych będźie ruinował,
Ktorym máła z tąd korzyść, że on opánował,
Cudze Páństwá, y obcym, że ná kárk uśiedźie,
Kiedy w domu poddány, nieszczęśliwy będźie.
A będźie pewnie w Woynie. A co w Woynie długiey,
Zá nieszczęśćia ponośi? y Zwyćiężcá drugi?
Pátrzayćie co nas Grekow, tryumfy kosztuią!
Otrzymáne nád Troją. Krolowie wojują,
Przez dźieśięć lat: w domu zás, gdy nie masz żadnego;
Nie mász rządu; á przeto, nie mász nic dobrego.
Kray, ogniem tym záięty, nie czuie ni práwá,
Z oráctwem y rzemiesłem, y żyzność ustawa.
Ták naylepśi Pánowie, gdy się w Woynę ruszą;
Często, y złych, rospustę ludźi, ćierpieć muszą.
Y Hultáiem, muszą się posłużyć, potrzebnym.
Tego w ten czas honorem, wynieśiesz chwalebnym,
Ktoregobyś w pokoiu, oddał kátu w kárę.
Zaden Národ, (choć poydźiem y w przykłády stáre)
Nie utył pod Monárchą, krwáwey Woyny chćiwym.
Y lubo pod zwyćięzcą, to nie był szczęśliwym.
Krol prożną chwałą zwyćięstw, kiedy się upije,
Ták ruinę swoiemu, iák cudzemu szyie.

Y gdy przymiotow mądrych, nie ma do pokoiu,
Nie da záżyć, nábytych fortun, swoim z boju.
Táki się ná to rodźił, żeby wszystko psował,
Swiát wywracał, ále go, w niwczym nie ratował.
Może lud nieszczęśliwym, szczęśliwym nie może
Uczynić. A spokony, coli też pomoże?
Prawdá, że nie podbije on krájow, w zdobyczy,
Lecz da szczęśćie poddánym, choć laurow nie liczy.
Y ieźli po Oycowsku, nád niemi kroluie!
Przećiw Nieprzyiaćiołom, bez woyn konserwuie
Swoy kray! tákim sposobem: Ieźli spráwidliwy!
Moderat, dobry Sąśiad, ich dobrá nie chćiwy!
Nie porywa się ná nich, w rząd się ich nie wdáie!
Dotrzymuie pokoiu, w słowie, lidze, ſtáie!
Kolligaći go lubią, y ufność w nim máią,
Nie boią się go, áni go nie záczepiáią.
Nie spokoynych y pysznych, ćierpieć nie podobna,
Ale żyć dobrze z dobrym, sławna y ozdobna.
Y kiedy spokoynego, zły Sąśiad záczepi!
Wszyscy z dobrym trzymáią, bo im z ćichym lepiey.
Rz telności, trzymánie, y poczćiwość Páná,
Czyni go Sędźią Krolow, gdy cnota doznana.
On Sąśiádow rozstrychnie, gdy co u nich zaydźie.
Tákiego záś kredytu, Krol woien nie znaydźie,
Gdy woien bez mądrośći. Owszem nie náwidzą,
Y wstáią ná tákiego, gdy pogodę widzą.
Te spokoyny od Sąśiad, Krol miewa wygody,
Ale większe, pożytkow w domu, ma dowody.
Naprzod ia supponuię: że on według práwá
Naymędrszego, sam żyie; toż y swym nádawa.
Wszelką pompę, nádętość, wspániáłość rospustną,
Oddala, y przez cáły rok, chwilę zapustną.
Rzemiosłá, ktore zbytkom, nie potrzebom służą,
Z swego kraiu wygania, y nielubi dużo.
Do oractwa, y wszelkiey, po ziemi roboty,
Applikuie poddanych, dodáiąc ochoty.
Przeto ludzie roboczy, gdy szukaią chleba,
Maią żyzność wszystkiego, czego im potrzeba.
W skromnośći żyiąc trzeźwo, kwitną y w dostátki,
Y w liczne się, zwyczáynie, rozkrzewiáią dźiatki.

Tym ſpoſobem, Krol, prędko, lud nie zrachowany,
Zdrow, mocny, nie pieſzczony, w cnoćie wychowany,
Na śmierć nie uſtraſzony, uczynić y zwabić
Może, ktory, za Pana ſwego, da ſię zabić.
Dla wolnośći przy Krolu, z ktorego zysk czuie,
Chętnie ginie, mrze sławnie, y mężnie woiuje.
Rzecze mi kto: (ia mniemam) że tám lud nie zdolny,
Do ſztuk woiennych, nieuk w mánierze polney,
Szturmow nie zna, y ſzykow, nie wie co skwádrony?
Ja záś mowię: że liczba, ieſt nie zwyćiężony.
Potym pracą y zdrowiem, przy ſercu gotowym,
Wyćwiczy ſię on prędko, ſam, w dziele Márſowym.
W ochędożnym uboſtwie, nie urodzonemu,
Nie wádźi głod, y niewczás, w roli zchowánemu.
Ná oſtátek Krol, woyny nic nie umieiący,
Dobrze ſię ná Hetmánách, może bydź znáiący.
Bez utráty powagi, ná ſwym mieyſcu, ſtáwi
Tákiego, ktory Narod iego, Woyną wsławi.
A Sąśiedźi, ktorym ieſt dobrze, z tákim Krolem,
Będą pátrzyć ná Woynę iego, z ćiężkim bolem.
Y żeby go, nie pośiadł, kto nieſpráwiedliwo,
Ná rátunek, z Sąśiádow, bieży mu co żywo.
Dopieroż lud poddány, boiąc ſię Tyránná
Zwyćięſtwá, nie odſtąpi nigdy ſwego Páná.
Bogowie ſami, ſtáną przy iego zwyćięſtwie,
Ták mądry y ſpokoyny Krol, w niebeśpieczeńſtwie,
Te będźie miał pomocy. Ztąd ia konkluduię:
Ze ſię imperfekcya, w tym Krolu znáyduie,
Ktory woyny nie umie. Zwyćiężáć álbowiem
Nieprzyiaćioł, funkcya Krolewska. Lecz to wiem:
Ze przećież lepſzy táki; niż ktory procz woyny,
Nic nie wie. Pożądáńſzy zátym, Krol ſpokoyny.
Poſtrzegłem w zgromádzeniu tym, y ludźi bráku,
Ze moy dyskurs przydłuzſzy, nie był im do ſmáku.
Ale ſtárcy powſtawſzy, rzekli iednym głoſem:
Ze moy dyskurs, zgodźił ſię cále, z ich Minoſem.
Pierwſzy z Stárcow záwołał: Otoſz ſię ſprawdźiło,
Oraclum Apolliná; co w tey Wyſpie było:
Minos Bogow ſię rádźił, poki iego plemię,
Według Praw, ktore podał ſam, tę rządźić źiemię

Będźie?

Będźie? Bog mu odpowie: Poty twoim przyidźie,
Pánowáć w tym tu Páństwie. Aż w tę Wyspę wnidźie
Cudzoźiemiec, y każe twym práwom krolowáć.
My się bali, áby kto cudzy opánowáć,
Nie ważył się tey Wyspy. Ale Idomena
Nieszczęśćie, Telemaka záś, mądrośći ceną,
Wyiawia wyrok Boski. Bo kto z nas ná świećie,
Lepiey práwá Minosa, nád ćiebie doćiecze?
A zá tym Creteńczycy? Czegosz się báwiemy!
Tego co chcą wyroki, czemu nie wieńczemy
Korona! A w tym stárcy z gájow świętych wyszli.
(Pospolstwo oczy ná nas obraca. y myśli)
Pierwszy stárzec, zá rękę wźiąwszy mię obwołał:
Ze mię BOG ná koronę, przez wszystkie powołał
Wygráne stopnie. Ale ledwo przestał mowić,
Lud ták huknął, że nie dał cále mu domowić.
Krzykiem srogim rádośći, gory nápełniáią,
Y brzeg Morski, áż czarne chmury rozrywáią.
Niech Telemak, Ulissa Syn, mężny, nadobny,
Pánuie Creteńczykom, w Minośie podobny.

Pod czas huku owego, ia głosu dobywam,
Y chcąc audyencyi, ręką ná nich kiwam.
Gdy się mowić gotuię: Mentor mi do uchá,
Szepce: Tákżeć to pychá, przewrośiłá duchá?
Ze się dla niey, Oyczyzny, już wyrzekasz swoiey!
Tákże o Penelopę Mátkę, Syn nie stoi?
Ktora wszystkę nádźieię w tobie záłożyłá,
Zápomniszże Ulissa, co ćierpi ták śiłá?
Te słowá, wskroś me serce zmieszáne przebiły,
Y chęć do pánowánia, gotową skruszyły.
Tym czásem po tumulćie, nástąpi milczenie,
Y ná moie czás dáie, do nich przemowienie:
Przezacni Creteńczycy. Jam Wászey nie godny,
Jest korony. Y ten sens, lubo iest dowodny,
Apollina! Ale go, ináczyi potrzebá
Rozumieć. Gdy on mowi: że nie dłużyi Niebá,
Obiecuią krolowáć, Minosa Domowi,
Tylko poki nie przyidźie, tu Cudzoźiemcowi,
Ziáwić się w wászey Wyspie, ktory iego práwá,
Ná rząd dobry odnowi. Prawdá. To się stawa,

 Y po-

Y pozwalam, żem ia ten Cudzoźiemiec zgołá,
Lecz Apollo nie mowi, że mię ná tron woła.
Ja mam ſpráwić, że práwá, będą wam pánowác,
Według Pheba proroctwá. Lecz nie mam krolowáć.
Jam ſzczęściem tráfił, ná ſens Praw Minoſa zacnych,
Jam ſzczęściem, we grze przeſzedł, konkurrentow znacznych.
Lecz te práwá, ktore iá mogłem przetłumaczyć,
Inſzego znaydą człeka, ktorego wy raczyć,
Będźiećie obrać Krolem. Ia ſwoią przekładam,
Małą Wyſpę Itaku, ktorą z Dźiadow władam;
Nad ſto Miaſt Crety, y nad tron w złoto wyłoki.
Puśććie mię tam, kędy mię prowadzą wyroki.
Nie nádźieia kroleſtwa, do tego mię wiodła;
Zem certował w igrzyskach, pycha mię nie bodła;
Ale żebym zasłużył na waſzą eſtymę,
Zebyśćie mię do domu záſłáli; to przyimę.
Bydź poddánym Uliſſa, Penelopę ćieſzyć,
Wolę, niż świátem rzadźić. Do nich chcę pośpieſzyć.
Ták ći ſerce otwieram, Creteńczyku miły.
Odjeżdżam ia, ále wiedz, że poki me śiły,
Nie uſtáną z mym żyćiem, chowáć wdźięczność wiecznie,
Nie przeſtánę, y Narod ten kocháć ſerdecznie.

Ledwom skończył tę mowę. Táki głos powſtáie,
Szemrzącego Poſpolſtwá, iáki odgłos dáie,
Powſtáiący ſzum Morski. Iedni drugim przeczą,
Czy to nie Boſtwo iákie, pod poſtáćią człeczą?
Drudzy zaś poznawáiąc mnie, przypomináli.
A wſzyſcy, bym koniecznie krolował, wołáli.

Alem ia, znowu o głos prośił, ich pochwili.
Umilkli (żem miał przyiąć) tym śię ućieſzyli,
Com odmowił był z rázu, to ieſt, krolowánie.
Rzekę im: Pozwolćie mi odkryć moie zdánie.
Jeſteśćie Creteńczycy, naymędrśi, przyznáię
Z wielu Ludu, ále wam, iedney nie doſtáie
Uwagi. Bo nie tego, wam trzebá obierác,
Ktory dobrze y mownie, zna w práwách przebierác,
Co ich umie ná pámięć. Lecz tego z ochotą
Szukayćie; co ich pełni, ze ſtáteczną cnotą.
Jam ieſt młody, á przeto ieſzczem bez uwagi.
Y burzliwym páſſyom, ieſtem iák cel nági.

Zdol-

Zdolnieyszy posłuszeństwem, uczyć się, iák rządźić!
Niźli rządźić sam teraz drugich, á nie zbłądźić.
Nie szukayćiesz tákiego: co ćiáłem y mową
Zwyćiężył [iák ia] drugich. Lecz tákiego z głową,
Ktory śiebie zwyćięża, y co Wásze práwá,
W sercu wydrukowáne, nie w mowie wydawa.
Zeby ie cáłym żyćiem, ná sobie wyrażał,
Y z was káżdy nie słowá, lecz czyny uważał.
Stárcy nowym dyskursem moim, poćieszeni,
Rzeką: Kiedy od Bogow my upośledzeni,
Zę się Krolem spodźiewáć nászym, ćię iuż trudno!
Dayże nam iákoś to zwykł, rádę nie obłudną.
Kogo Krolem uczynić? ktoryby krolowáć,
Dał práwom? Znaszże kogo, co ie umie chowáć?
Znam ia człeká (odpowiem) to wszystko od niego,
Mam z náuki, co we mnie widźićie godnego.
Jego to, á nie moiá, przezemnie gadáłá
Mądrość. Y w tych responsach mych, się odezwáłá.
Tom gdy mowił. Mentora zá rękę trzymałem,
Pátrzącemu ludowi, pálcem go skazałem.
Opisałem im wszystko, koło mnie stáránie,
Z dźiećińśtwá, z niebespieczeństw rożnych záchowánie.
Nieszczęśćia dźiwne, ktore ná mnie się zwáliły
Kiedy mię iego rády mądre, odstąpiły.
Z rázu nań nie pátrzano, dla prostych odźienia,
Dla skromnego ustáwnie, w uwadze milczenia.
Lecz gdy się przypátrywáć, w twarz iego poczęto,
Coś dźiwnie wysokiego, żywość niepoiętą,
W oczách widzą. Dopieroż, gdy go usłyszeli,
Záłuią że go dawniey, zá Krolá nie wźięli.
Zbránia się, nie wzruszony Mentor, y powiáda:
Ze szczęśćie wszystko, w życiu prywatnym zákłada.
Ze Krolow y naylepszych, w tym fortunę wini,
Ze Krol nie kiedy sam chce, ludźiom dobrze czyni.
Często przez złych Dworzánow, pochlebne udánia,
Złym dáry niechcąc dáie, á dobrym karania.
Jeżeli iest niewola, u prywatnych ćiężka,
Ale u Krolow nie mniey, wiekuie y mieszka.
Krol ile ma poddánych, tylom ma wygadzać
Wszystkie troski (żeby go słuchano) sprowadzáć.

Szczęśliwy, co się obeyść, bez tych mozoł może.
Jeźli moiey Oyczyznie, rząd moy co pomoże!
Winienem swoią wolność, ná dobro publiczne,
Jey łożyc. Nie ná cudze Krolestwo, choć śliczne.
Dopiero Creteńczycy dźiwnie zádumiáli,
Jákiego Krolá obráć! y kogo? pytáli.
Odpowie Mentor: Weźćie naprzod znáiomego,
Poniewaź was ma rządźić. A potym tákiego;
Ktoryby śię krolestwá bał. Bo kto go życzy,
Sam sobie, znáć że swoie nádźieie w nim liczy.
Kto záś chce bydź dla śiebie, nie dla was obránym,
Ten sobie, nie wam będźie szczęśliwy, poddánym.
Creteńczycy dźiw ná dźiw, w sobie pomnażáią.
Ze widzą to gárdzących, co drudzy chwytáią.
Pytáią się z kim przyszli? Nausykrates mowi:
Ze wyszedszy, przywiodł ich, z portu ku Cyrkowi.
Pokazał Hazàéla, z ktorymeśmy wyszli,
Z Wyspy Cypru. Dopieroż, dźiwne były myśli!
Kiedy się dowiáduią, że Mentor w niewoli
Siedźiał u Hazàéla, y że go do woli,
Y ná wolność wypuśćił, dla iedney mądrośći,
Ktorą uznał w nim, iáko, y z cnoty godnośći,
Z niewolniká go biorąc, między przyiaćiele,
Y ten Mentor, z korony wymowił się śmiele.
Ná koniec: że Hazàél, ták mądrośći chćiwy!
Ze do Crety przyiechał! áby święte dźiwy
Widźiał, praw Minosowych! Ieden rzecze pono:
Dármo ćię Hazàélu częstowáć koroną!
Kładźiemy, że iednegoś, z Mentorem iest zdánia.
Nie godniśmy są, twego, koło nas stáránia;
Názbyt gárdźisz bogáctwy, y korony bláskiem,
Nie chcesz kupić turbácyi, co zá tym obrazkiem
Chodzą, y krolow męczą! Hazàél odpowi:
Nie gárdzę wámi Ludźie, owszem Narodowi
Zacnemu się przysłużyć; ludźi poczćiwemi;
Uczynić; szczęśćie dźielić, między poddánemi;
Miałbym sobie za honor. Ale wielkiey pracy
Potrzebá, y często bráć kárę, miásto płacy.
Splendor Tronu fałszywy, y umysł dusz prożnych,
Może zácmić. Widźiałem w okázyách rożnych.

Zyćie

Życie krotkie Fortuná, długie chęći rodźi,
Tym śię bárdźiey chce tego, czego śię nie godźi.
Zebym śię mogł uchronić tego dobrá złego,
Nie żebym nábył, z kráiu płynę dálekiego.
Bądźćie tedy łáskáwi, do swego żywotá.
Wracam śię spokoynego, gdźie mądrość y cnotá,
Karmić będą mą duszę; ktoremi nádźieię,
Trwálszego y po śmierći szczęśćia, w Niebie śieię.
Gdybym sobie miał życzyć? Toby nie krolowáć
Było! Lecz żeby z temi, obiemá wiekowáć.
Krzyknęli Creteńczycy: O naymędrszy z ludźi?
Mentorze? niech ćię litość nád námi pobudźi.
Pokaż nam kogo Krolem obráć, ná ostátku?
Bo ćię pewnie nie puśćiem, od śiebie w ostátku.
Mentor rzecze: Kiedym śię wászym przypátrował
Igrzyskom, y ná rożnych ákcye pilnował!
Uważałem iednego, ktory bez chćiwośći,
Pátrzył ná nie, y w miłey rozmawiał skromnośći.
Był stáry, lecz dość mocny, y gdy śię pytałem
Kto iest? Arystodema imię usłyszałem.
Powiedźiano mu: że dwoch synow iego, było
W igrzyskách certuiących; Co go nie wzruszyło.
Tylko rzekł: Iest z nich ieden, ktoremu korony
Nie życzę, bo go kocham. Ale z drugiey strony,
Oyczyznę bárdźiey kocham, niż żebym drugiego,
Ná Páństwo życzył y rząd, cále niegodnego.
Zrozumiałem ia przez to; że on w iednym cnoty
Kochał. A w drugim gánił nie zdolne przymioty.
Pytałem z ćiekáwośći: Czym śię ten człek báwił?
Jeden mi odpowiedźiał: że śię woyną wsławił,
Długo służąc, nic w zysku nie miał, tylko rány.
Od Idomena, nie był rekompensowány.
Ze pochlebstwá nie umiał, dla szczerośći cnoty.
Nie wźięto go pod Troię, przez Dworskie wywroty.
Bał śię ten Krol. człowieká tego, mądrey rády.
Ktory wolał, pochlebcow swych, przyimowáć zdrády.
Náwet mu iuż zazdrośćił, żeby śię nie wsławił.
Zápomniał iego zasług, y tu go zostáwił
W ubostwie y kontempćie, ludźi ládáiákich,
Ktorzy cenią bogátych, á nie ważą tákich.

Lecz on kontent z ubliztwá, w tey Wyſpy kąćiku,
Orze ſwemi rękomá, weſoło bez krzyku.
Jeden Syn z nim prácuie. Wzáiem ſię kocháią,
Ochronnie, y ſzczęśliwie żyiąc, wſzyſtko máią,
Co trzebá do nátury. Ten ſtáruſzek zacny,
Rátowáć chorych czym ma, w ſwym uboſtwie, łácny.
A młodym záś w ſąśiedztwie, proznowáć nie dáie,
Uczy, ćwiczy y ſądźi, y głáſzcze y łáie.
Jeſt domow okolicznych wſzyſtkich, Oycem żywym.
Ale w ſwoim ieſt domu, przećię nieſzczęśliwym.
Bo ſyn młodſzy rad iego, iák ſtárſzy nie słuchał,
Szalenie poſtępował, y wyſoko dmuchał.
Oćiec go chcąc powśćiągnąć, dość go długo znośił,
Ale go potym wygnał, gdy go nie unośił.
Y toć ieſt Creteńczycy. Co mi powiádano
O tym człeku. Co u was ma bydź lepiey znano.
Alć przećię, ieżeli ten ieſt człowiek táki!
Ná coż igrzysk, y gonitw, wyſtáwowáć znáki!
Ná co bráć nie znáiomych? Gdy w pośrzodku maćie
Godnego, ktory was zna, y ktorego znaćie.
Umie woynę do tego. Y ſerce pokazał,
Ták ná ſtrzały, iák w biedźie, ktorey nie uważał.
Ktory wzgárdźił bogáctwy, dworſtwem nábytemi.
Ktory ćieſzy ſię pracą, iák y oráckiemi
Sztukámi, pompą mierźi. Y ślepo nie kocha
Dźieći ſwoich, y żadna ákcya, w nim płocha,
Nie znaydźie ſię. Y ktory, Oycem ludu zgoła.
Sam Minos, ná Praw Páńſtwo ſwoich, go już woła.
Wſzyſtek lud zá tym krzyknie tak, na wſzyſtkie ſtrony:
Jeſt táki Aryſtodem, y godźien korony.
Stárcy to potwierdźili. W ćiżbie go ſzukáią,
Y znáyduią, gdźie z ludu oſtatni, śiadáią.
Ogłaſzáią go krolem. On słucha ſpokoynie,
Y ná to odpowiáda, złożony przyſtoynie:
Ja pánowáć nie mogę, chybá mi trzy rzeczy
Pozwolićie? Ta pierwſza: [ktorą mam na pieczy]
Że mi wolno Kroleſtwo złożyć, zá dwie lećie
Będźie; Ieźli przez ten czás, znácznie nie będźiećie.
Poczćiwſzemi niż teraz. Druga: że mi będźie
Wolno, żywot prowádźić, iák był proſty, wſzędźie.

Trze-

Trzećia záś: że Synowie, poki bedę żywy.
Y po śmierći mey, żadney mieć prerogátywy
Nie będą: Ale wy, ich będźiećie tráktowáć,
Iáko będą swą cnotą, u was zásługowáć.
Po tey mowie, tyśiącne krzyki się podnoszą.
Diadema ná głowę kłádą, ná Tron proszą.
Byki biją cnym Bogom. A wprzod Iowiszowi,
Arystodem prezenty dáie, nie Krolowi
Zwyczáyne, wspániáłośćią; lecz w zacney prostoćie,
Y drogie w dobrey woli, y miłey ochoćie.
Hazáëlowi księgę, z Minosa Práwámi,
Dał iego własney ręki. Y Okręt fruktámi
Náłádowáć mu kazał, ktore są nie znáne
W Syryi, zá specyał, dla tego mu dáne.
My też strásznie, o odiazd swoy, mu się przykrzemy.
Aż prędko Okręt, w ludźie gotowy, widźiemy,
Do wioseł, y do broni. Tudźiesz dla nas dáne
Orężá, prowiánty, suknie złotem tkáne.
Záraz też y wiátr dobry, dla nas się podnośi,
Hazáël iesżcze został. [Ták twarz łzámi rośi]
Zegnam was Przyiaćiele; już się nie spodźiewam,
Widźieć was więcey. Ale, was Bogowie wzywam!
Ze tá przyiaźń, ná cnoćie będac záłożona,
Muśi bydź, w Elizeyskich ogrodách złączona.
Tám kędy y po śmierći, w szczęśćiu spráwiedliwi,
Ná wieki. Tám się y my obaczym szczęśliwi.
O gdyby? moie złączyć popioły, z wászymi!
Te lámenty on dáie, idąc z námi, y my.
Gdy wśiadamy ná Okręt, Arystodem idźie,
Mowiąc: Pamnieyćie (nim się nam z tąd rozeyść przyidźie)
Ześćie mię wy wpráwili, w krolestwá kłopoty!
Prośćiesz Bogow; áby mi mądrośći y cnoty
Użyczáli; y żebym, ták ludźie skromnośćią
Przewyższał, iák przewyższam w powadze godnośćią.
Ja záś, prośić ich będę, by was prowádźili
Szczęśliwie; Nieprzyiaćioł wászych potłumili.
Zebyśćie, powroćiwszy w pokoiu, uyzrzeli,
Ulissa z Penelopą, ná Tronie weseli.
Telemaku dáię ći Okręt, w ludźie zbroyny.
Możesz zbić, ieźli Mátkę kto tám nie spokoyny

Prześláduie. Mentorze, twą mądrość niczego
Niepotrzebna iest. Więc wam, życia szczęśliwego
Zyczę, prosząc o rekurs do mnie poufały,
Gotowem łożyć Páństwo, y żywot moy cáły.
Y ták się zobopolnie, z Krolem uśćiskawszy,
Ruszamy, w pełne żagle, rzewnie náplákawszy.
Wiátr dobry obiecuie szczęsne żeglowánie,
Już Gorá Idá ledwo, w oczách nam, zostánie.
Brzegi Crety, iák we mgle, od nas zostawáią.
Wyspy Peloponezu, zás się przybliżaią.
Aż rázem czarną chwilá, Niebo nam zákryłá.
A Morskie wały, strásznie, od gruntu wzburzyłá.
Dźień się iuż w noc obroćił, śmierć w oczy záyzrzáłá.
Twoiá to moc Neptunie, nas prześladowáłá.
Bo Wenus mszcząc się tego; żeśmy nią wzgardźili;
Kiedyśmy w Cyterei, z kośćiołá iey drwili;
Do tego Bogá poszłá, mowiac: (śliczne oczy,
Z wielkiego żalu, łzámi zmyślonemi moczy.)
Zćierpiszże to Neptunie? áby ći podrożni,
Bez káry, z moiey mocy śmieli się, bezbożni!
Ktorey Bostwo podległe, z tey się człowiek śmieie!
Y potępia, co w Cyprze, ná mą cześć się dźieie.
Chlubia się oni, státkiem swym, niezwyćiężonym.
Y miłość názywáią niestátkiem szalonym.
Czyś zápomniał? żem się w twym páństwie urodźiłá?
Czegosz czekasz! záley ich, ieżelim ći miła.
Ledwo Wenus to skończy. Aż Neptun do Niebá
Podrzuca wały czarne, że nam zginąć trzebá.
Wenus mśćiwa się śmieie. Szyper z stráchem woła:
Ze wiecey nie porádzi, ni kierowáć zdoła.
Wiátry srogie nas pędzą, z impetem na skáły.
Wicher rázem mászt skręći, y złamie go cáły.
A w ten moment słyszemy, że się Okręt porze
Ná skále, ktora ná poł, iák pługiem go orze.
Okręt tonie, y wody, już po gorze pełno.
Flisy wrzeszczą, y płácza nád zgubą zupełną.
Ia uchwycę Mentorá: Iuż tu umrzeć trzebá,
Y przyiąć śmierć z odwagą. Y ná tożto Niebá?
Z ták wielu nas przypadkow, y z zguby wyrwáły?
Zeby nas w te przepáśći ták strászne oddáły?

Ale

Ale wiedz o Mentorze! że się iedną wspieram
Pociechą, że dziś z tobą, spokoynie umieram.
On rzecze: Męstwo práwe, pomoc sobie znaydźie.
Nie dosyć, bydź gotowym ná śmierć, kiedy zaydźie.
Trzebá śił przećiwko niey, bez boiáźni dobyć.
Y záraz mi śiekierą, każe z sobą robić.
Nie trácąc ná lámentách, ták drogiego czásu,
Utniemy dwie ławice, dla pływánia wczásu.
A potym, maszt skręcony dotniemy u dołu,
Dźwigniem go, y zepchniemy ná wodę, pospołu.
To zrobiwszy, w śrzod ziádłych, rzući się báłwánow.
Mnie woła po Imieniu, Sam po wierzch taranow,
Znośi się ták spokoynie, iák gdy wielkie drzewo,
Wicher trzęśie okrutny, to w práwo, to w lewo,
A nie może go wzruszyć, procz ćienkiey gáłązki:
Ták y Mentor, gdy śiedźi ná tey deszczce wązkiey:
Zda się rządźić wiátrami, wałom rozkazywáć,
A mnie każe do śiebie wskoczyć, y przybywać.
Czynię to, y słucham go, widząc odważnego,
Ale ieszcze, co większa, ćicho spokoynego.
Wskoczyłem. A ktożby też, za takim nie wskoczył?
Gdyby takiey odwagi, wizerunek zoczył.
Na maszćie pływaiącym, beśpiecznie śiadamy,
Y wielką pomoc z niego, y pośiłek mamy,
Bośmy ná nim śiedźieli. A kiedyby przyszło
Ustawnie pływać, toby pewnie się nie wyszło.
Często burza, tym wielkim drzewem, obracała.
Pod czas nas, do samego aż dna, pograżała.
Słoną wodą, y nozdrza z gębą, napawaiąc.
Tośmy z nią wojowali, wierzch masztu łapaiąc,
To zaś bałwan, iak Gora, dźiwnie nas okrywa,
Z ktorey każdy, iak może, prędko się dobywa,
Aby nam maszt nie ućiekł, nadźieia iedyna.
A Mentor, y w tym stanie strasznym, tak poczyna
Do mnie mowić: Kładźieszże ty? że nasze życie!
Na wiatrow dyskrecyj! y Morza kredyćie,
Zawisło? Y bez woli że Bogow zginiemy?
Nie tak. Boska to sprawa, na Morzu y źiemi.
Y przeto, Ich się nam bać, a nie Morza trzeba.
Choćbyś na dnie był! to ći Iowisz, rękę z Nieba,

Podać może. Iako też; choć Olimpu wyżyi
Uśiedźiesz, y po wierzch gwiazd? Tenże ćie uniży.
Tych dyskursow Mentora, ia z dźiwem słuchałem,
Lecz, nic na tym powoźie, nie odpowiadałem.
W ćiemnośći nocney, ieden nie widźiał drugiego.
Drżąc tę noc przebyliśmy, od źimná srogiego.
W puł umárli z fatygi, sami nie wiedzący,
Gdźie nas flaga zánieśie. Aż też wicher dący,
Ustawáć z wolna począł, y ták się nam zdáło,
Że Morze rozruchánc, ták właśnie ryczáło,
Jáko człowiek, po długim, zmordowány gniewie,
Odpoczywa ieczący, y co robić nie wie.
Zmnieyszyły się báłwány, już ná kształt zagoná;
Dopiero wrotá złote, jutrzenká czerwona,
Kiedy Słońcu otworzy, dźień ná świát ogłośi,
Ogień zarzy ná wschodźie, y gwiazdy poznośi.
Uyzrzem źiemię z dáleká; ku niey nas wiátr pędźi,
Powraca się nádźieiá. Ale mię to swędźi,
Że żadnego kompana, nie widzę z pogromu;
Znáć zleknionym nie przyszło, rádźić z nich nikomu.
Gdyśmy się już ku źiemi, szczęśliwie zbliżáli,
Fale nas ná skał wierzchy, z impetem wracáły.
O ktoreby się rozbić, przyszło nie odwłucznie,
Aleśmy obracáli másztt, ku skáłom sztucznie.
Másztem Mentor kierował, iáko sternik Nawą,
Z prezencyą rozumu, z sercá dobrą spráwą.
Odepchnawszy od stráśznych przepáśći skálistych,
Nieśie nas sámo Morze, do brzegow piasczystych.
Rowny miálki grunt, nogą tykamy, w puł żywi.
Wychodźiem ná twą Wyspę, Bogini! szczęśliwi.
Támeś nas o Kálipso! naypierwey widźiáłá,
Y łáskáwie, z tey toni złey, przygárnąć chćiáłá.

Gdy Telemak zákończył swoy dyskurs ták długi;
Páni, oczy wlepione weń miáłá, y sługi.
Nymfy poyzrzą po sobie, y rzeką po chwili:
Cosz to zá ludźie? Bogom są wielkim ták mili!
Czy słycháneśz to rzeczy? ktore nam náprawił!
Dálekoć to nád Oycá, Syn się swego wsławił.
Wymową, mądrość, męstwo, Oycowskie przechodźi,
Ledwoć to, że iest człekiem, wierzyć się nam godźi.

Co

Co zá miná? uroda? co zá wdźiek w skromnośći!
Co zá wielkość przymiotow w nim! przy wſpániáłośći.
Gdyby ſię nie powiedźiał, wźiąć by go potrzebá,
Zá Phebuſa, Merkurá, álbo kogo z Niebá.
Ale coſz záś ten Mentor? proſtaczkiem bydź zda ſię!
Lecz kiedy náſze oczy, z bliská ſobą páśie?
Coś ſię w nim nádludzkiego, w godnośći znáyduie.
Kalipſo tym dyskurſom, uchá nádſtáwuie,
Mięſza ſię ſamá w ſobie, á pokryć to chćiáłá,
Więc oczy, z Telemaká, w Mentorá rzucáłá.
To chce, w dálſze powieśći Telemaka, w padáć,
To mu znowu, przerwániem ſwoim, nie da gadać;
Ná koniec ſię porwálá nagle, w las Mirtowy.
Y wźięłá Telemaka, ná examen nowy.
Tam go męczy: Iezeli Mentor w tey poſtáći,
Nie ieſt Boſtwem? Ná co jey Telemak ták płáći,
Ják ſam wie. Bo Minerwa, kiedy na ſię brała
Figurę Mentorową, utáić ſię chćiała.
Nie ufaiąc młodośći, ſwoiego Rycerza!
Sekretu, że Boginią ieſt, mu nie powierza.
W złych przypadkach go Oná, probować myśliła.
Gdyby wiedźiał Telemak, że Minerwa była?
Nie ſtrzegłby ſię złych razow, raczeyby biegł na nie,
Wiedząc że tą Bogini, ma o nim ſtaranie.
Nie miał w głowie, by Mentor był Minerwą kiedy,
Y darmo go, Kalipſo wodźiła, na zwiedy.
Tym czaſem do Mentora, Nymfy w raz ſię zbiegły,
Zadaiąc mu pytania. Na co człowiek biegły,
Umiał im odpowiedźieć. Ta o drodze pyta
Ethyopskiey? Ta, co ieſt z Damaſzku? zaś chwyta.
Ta znowu, iezeli znał, przed ruiną Troi,
Ulisseſa? Ták iáko, káżdey z nich ſię roi.
Z proſta, krotko, lecz wdźięcznie, káżdey odpowiáda.
Te dyskurſy nie trwáły, bo Kalipſo w pada,
Bierze z ſobą Mentora, iák ná nowe zwiadki,
(Nymfy ſię bawią pieśnią, y zbieráią kwiatki.)
Słodki, ſen wapor mżący, ták letko nie ſpada,
Ná zmrużone już oczy; ják słowá co gada
Kalipſo do Mentora. Co ieſt pochlebnego!
Wraz záżywa, ná ſercá omamienie iego.

Ale záwſze poczułá, że coś odtracáło,
Y czárownym iey słowom, uwieźć ſię nie dało;
Ják skáłá obćieſana, skrywſzy w chmurách czoło,
Żartuie ſobie z wiátrow, ktore dmą ná koło;
Ták Mentor nie wzruſzony, w mądrym przedsięwźięćiu,
Dáie gadáć Kálipśie, iákoby dźiećięćiu.
Pod czas poda nádźieię, że ſię coś wybáda,
Lecz gdy już chce, náſyćić ćiekawość! Upada
Wſzyſtko rázem, przez krotką odpowiedź Mentora,
Ktorą ſię skroćić muśi, tá Bogini skora.
Y ták, nic nie zwiedźiawſzy, czego duſznie chćiáłá:
To raz Telemakowi, ſztucznie podchlebiáłá;
To go już od Mentora oderwáć myśliłá,
To ſwych Nymf naypiekniey ſzych, urody záżyłá,
Ná ſercá zniewolenie Telemaka. Ná co,
Mocniey ſza ją Bogini, ſwą pośila praca,
To ieſt Wenus. Ktora ſię nie chcąc uſpokoić,
Zá wzgárdę, Telemaka chce pomſtą nápoić.
Widząc, że ich báłwány nie pożáry Morskie,
Umyśliłá ich zgubić, przez zaloty Dworskie:
W przod idźie do Jowiſzá, y gorzko ſię kwili,
Że tych dwoch, wały Morskie, ná dnie nie powiły.
Jowiſz nie chcąc Iey odkryć, że Minerwy śiły,
Telemaka, w poſtáći Mentora, zbáwiły,
Z uśmiechem, pozwala Iey pomſty, z tych dwoch ludźi.
A oná nowe jády, w ſercu ſwoim budźi.
Y wypada z Olimpu. Ofiar zápomina,
Ołtarzow ſwych Cypryiskich. A lećı do Syná.
Ciągna ią w ſzlách gołębie, miłym żalem krasi
Twarz, y ták mowi: (záwſze śliczna, choć ſię kwáśi)
O Synu! Widźiſz tych dwoch, ktorzy moią mocą,
Y twoią gárdzą obá? y nas dźiwnie ſzpocą.
Kto nas potym czćić zechce! gdy ſię tym przepiecze!
Poſtrzel ich, niech z nich żaden, twych ſtrzał nie ućiecze.
Widźiſz Wyſpę, gdźie mieſzka Kalipſo Bogini.
Idźmyſz z nią ſię rozmowić. Co Kupidyn czyni,
Syn posłuſzny. A Oná, ná obłok z nim wśiada,
Do śiedzącey nád zrzodłem Kalipſy, przypada.
Nieſzczęśliwa Bogini (rzecze) ow niewdźięczny
Uliſſes, tobą wzgárdźił. Toż Telemak wdźięczny
Gotu-

Gotuieć ſam, nád Oycá bárdźiey zátwárdźiáły.
Ale miłość w oſobie, moy Syn, z ſwemi ſtrzały,
Ná pomſtę ći przybywa. Iać go zoſtáwuię,
Niechay między Nymfami twemi, bieśiáduie.
Telemak go obaczy, iák dźiećię zwyczáyne,
Nie będźie ſię mogł ſtrzedz go. Lecz potym, nie táyne
Siły iego, mu będą. Y to wymowiwſzy,
Wśiádłá w obłok, y leći zápach zoſtáwiwſzy.
Weźmie w ręce Kalipſo, Dźiećinę Kupidą;
Lecz choć Bogini, ták iey, ogniow ſercu przydá,
Ze naybliżſzey ſwey Nymfie, Eucharis názwáney,
Oddá go, máiąc doſyć w ſobie, z ogniá rány.
O iák potym Kalipſo, nie raz żáłowáłá!
Ze go Nymfie Eucharis, choć ná moment dáłá.
Z rázu nic ſię ſzczerſzego, nic niewinnieyſzego,
Nád to Dźiećię nie zdało, y nic wdźięcznieyſzego.
W igráſzkách ſwych pochlebny, ná roskoſz zrodzony,
Zdał ſię bydź. Lecz gdy poſtrzegł umysł opuſzczony,
Obroćił ſwe pieſzczoty, ták záraz w trućizny,
Ze poczuł człowiek ránę, choć nie widźiał blizny:
Złośliwy, tylko głaskał, na iedyną zdrádę,
Y śmiał ſię, kiedy z męką, zádał ludźiom zwádę.
Do iednego Mentorá, nie śmiał y przyſtąpić,
Bał ſię, czuł że go zránić nie mogł, ni doſtąpić
Zwyćięſtwá. Ale Nymfy, ktore z nim igráły,
Prędko ogień, zdrádnego Dźiećięćiá, poznáły,
Lubo go mocno kryły. Telemak gdy widźi
Dźiećię, we grze z Nymfami, wźiąć ſię go nie wſtydźi,
Uwiedźiony pięknośćią skromną, ná koláná
Bierze go, y cáłuie. Lecz go skryta rána,
Y iákaś nieſpokoyność, bierze nie poięta,
Im gra z nim, nie winnieyſza, tym bárdźiey záwźięta,
Olpáłość w nim, y miętkość pánuie, z tesknotą.
Czy uważaſz Mentorze! [pry] urodę z cnotą.
Tych tu Nymf! y iáka w nich, z owemi rożnicá!
Co w Cyprze były, oczu niewſtydnych y licá!
Ale te nieśmiertelne, y czyſte urody,
Skromnośćią, ſwe niewinne, farbuią jágody.
A to mowiąc záwſtydzon, ſam ſię záczerwienił,
Y przyczyny nie wiedząc, ſam ſię w ſobie mienił.

Chćiał mowić nie domawiał. Czesto iakał słowá,
Przerwána, nie poieta, y bezsensna mowá.
Mentor mu rzecze: W Cyprze, twe niebeśpieczeństwo;
Ná twa cnote iest mnieysze; łátwiey z nich zwyćięstwo,
Mogłeś mieć, niżeli z tych, ktorych sie nie strzeżesz.
Grzech gruby wstret nam czyni, łátwo mu zábieżysz.
Ná niewstyd bestyálski, horror sie w nas rodźi.
Urode záś wstydliwa, że sie kocháć godźi,
Zdać sie; y tym kochániem, że poślubiasz cnoty;
Lecz nieznácznie sie w ćieżkie záprzatasz kłopoty.
Ktore wtedy postrzeżesz, gdy zbyt bedźie trudno,
Y gdy ták z possessyi, iák z skończenia nudno.
Unikay Telemaku Nymf, co ták dyskretne,
Zdádząc sie bydź, á ná twa zdráde umiejetne.
Strzeż sie twoiey młodośći. Lecz tego Dźiećiećiá,
(Jest to miłość, co Wenus, ze swego záwźiećia,
Tu wniosłá) strzeż sie bárdźiey. Tá dźiećiná płocha,
Postrzeliłá Kalipse, że ćiebie już kocha.
Nie przepuśćił y Nymfom. Y ty sam goreiesz,
Młodźieńcze nieszcześliwy, choć sie ná to śmieiesz.
Telemak już zrážony, moca ogniá tego,
Mentorowi odpowie, cále co inszego.
Raz mowi: A czemużby? w tey Wyspie nie zostáć!
Potym: Uliss nie żyie, kiedy o nim, dostáć
Wiádomośći nie można. Ná koniec dokłada:
Moiá Mátká, nie máiąc Oycá, bedźie rádá,
Poyść zá Gáchá ktorego. Sam ia przyniewoli,
Jey Oćiec Ikar, choćby nie chćiáłá powoli.
Y ia z inszym ia Meżem, mam widźieć w Itaku?
Ty bedźiesz, ná Oyczyzne pátrzył, Telemaku?
Już gdźieś nas zapomnieli! y z Oycem Poddáni
Chybá po śmierć, y po wstyd, w te śpieszyć odchłáni.
Owoż státek twych ślepych pássyi! Mentor [rzecze]
Ták wymyśla rácye, kogo miłość wśćiecze.
To, co sprzyia miłośći, łátwo sie wymyśli,
A co iey nie pobłaża, to potepiáć myśli.
Dowćipnymeś ná swoie, został oszukánie,
Y zgryźienia sumnienia, ná pohámowánie.
Tákżeś predkto zápomniał? co dla ćie Bogowie
Czynili? Y Oyczyzny swoiey, nie masz w głowie:

Jákoś wyszedł z Sykulskiey, Egipskiey niewoli?
Jákoś się do szczęśliwey, swoiey wrócił woli!
Ják ręká nie znáioma zbáwiłá cię w Tyrze!
Kto wie? co ci gotuie! Lecz ná coż się szerzę!
Iużeś się stał niegodnym. Y ia też precz iádę.
Y wyniść z tey fatálney Wyspy, znaydę rádę.
Odrodny Synu, Oycá, mądrze wspániáłego,
Wiedź żywot, w pośrzod niewiast, bez honoru cnego.
Czyń Bogom ná przekorę, y torem odrodnym,
Czyń, co Oćiec rozumiał, bydź śiebię niegodnym.
Te słowá, pełne wzgárdy, Telemaká bodły.
Do żalu, y do wstydu, trochę go przywiodły.
Bał się gniewu Mentorá, á bárdźiey odiázdu.
Ale że się nie ustrzegł, w serce swoie wiázdu,
Rodzącey się pássyj, ktorey nie uznawał,
Y co robił nie wiedźiał, ni sam się poznawał.
Z płáczem mowi: Mentorze! coż mię twa myśl wini!
Zá nic masz nieśmiertelność, ktorą mi Bogini
Ofiáruie! Ták, zá nic, (Mentor odpowiáda)
Cokolwiek przećiw cnoćie, wszystko to iest zdrádá,
Y przećiw woli Bogow. Do Oyczyzny cnotá
Woła ćię, y Rodźicow twych widźieć, ochotá.
Chućiom ślepym poddáć się, cnotá ći zábránia.
Bogowie, coś ich doznał, w nieszczęśćiách, stáránia,
Jednákową, z twym Oycem, sławę ći gotuią,
Abyś wyszedł z tey Wyspy, iáwnieć rozkázuią.
Jedná miłość, ow Tyran, trzyma ćię okrutny,
Jego słucháć, przećiw nim, iest excess wierutny.
Ná coż ći, nieśmiertelny ten się żywot przyda,
Gdy bez sławy! Tym gorsza, iż bez końcá biedá.
Ná to mu odpowiádał Telemak, z wzdychániem:
Zyczyłby już, by go z tąd, swym wyrwał stárániem;
A drugi raz by życzył: żeby już odiechał,
Y surowey przyiáźni, z opieką zániechał.
Ták się sobie przećiwne, w nim zpycháły chęći,
Zadney niemász státeczney, w sercu, y pámięći.
Ják morze poburzone, wre zewsząd wiátrámi.
Ták y on; to raz leży, nád Morza brzegámi,
To w lás ćiemny ućieka, á łzy gorzkie toczy,
To z niego, iák lew rycząc, okrutny wyskoczy.

Wyſechł, y oczy mu w głąb, dáleko zápádły,
Ják zbity, opuſzczony, zámyslon, wybládły.
Nigdyby go nie poznał, ni rzekł Telemakiem.
Y urodá przepádłá, ſtał ſię mizerakiem.
Weſołość uſtąpiłá, nie máſz piękney miny,
Niknął w oczách mizernie; ná kſztałt tey kwiećiny,
Ktora zráná, zápáchem cudna, y kolorem,
Ale uſchnie y więdnie, nád ſamym wieczorem.
Ták y Telemak wywiądł, iák ſuche rogoże.
Co widząc Mentor: że ſię iuż odiąć nie może,
Gwałtowney ſwey miłośći; mądrze przed ſię bierze:
Uczynić podeyzrzánym, w Kálipſy go wierze.
Poſtrzegł, że Telemaká Kálipſo kocháłá.
A że Nymfa Eucharis, iego ſerce miáłá.
Bo Kupidyn okrutny, dla tym więkſzey rány,
Spráwił, że tey nie kochał, co od niey kochány.
Dla tego Mentor, zazdrość wzniećić poſtánowił:
W Kálipśie nie kochaney, y ták ią w niey wznowił:
Eucharis Telemaka zápraſza ná łowy.
Mentor rzeknie Kalipśie: Coſz to zá dźiw nowy?
Że Telemak, co przed tym, nie znał polowánia,
Już inſzego nád łowy, nie ma ſpodobánia.
Wſzyſtkie rzuca roskoſzy, zá tą tylko bieży,
Iuż zdźiczał w borách ćiemnych, y po skálách leży.
Czy nie ty to Bogini? zmieniłáś w nim duſzę!
Kálipſo pełna jádu rzecze: przyznáć muſzę,
Że Telemak twoy inſzy. Ten co krotofiłą
Gárdźił w Cyprze, (o iák ſię ludzkie zdánia myla)
Iedney Nymfy urodźie, odiąc ſię, dość mierney,
Nie może. A iákoſz ſię tey sławie niezmierney,
Będźie chćiáło nam wierzyć? Y iák ſię pochlubi
Meżnemi akcyami? Ten co tylko lubi
Miętkie życie prowádźić, miedzy niewiáſtámi?
Mentor z guſtem zważywſzy, tę zazdrość z żalámi,
Iáko ſerce Kalipſie, wywroćiłá z gruntu,
Wiecey nie rzekł. (zádawſzy dość iey ſercu buntu)
Tylko iey twarz záłoſną, z weſtchnieniem pokazał,
Aby ją od ufności ſwoiey, nie odrażał.
Iákoż wskorał, bo mu ſię skárżyłá uſtáwnie,
Y już częſto płákáłá biedna, przed nim jáwnie.

Te łowy, o ktorych ią Mentor przeſtrzegł wcześnie,
Do wśćiekłego ią gniewu przywiodły, docześnie.
Odkryli iey ſzpiegowie, co ſię ná nich dźiało:
Jak Telemak z drugiemi, konwerſował máło.
Iáko ſię im wykradał, w krzewiny y chepty,
Ná miłoſne weyzrzenia, y zalotne ſzepty,
Z ſwoią Nymfą Eucharis. náwet ſię gotuie,
Ná drugie łowy. ktore Kalipſo tym pſuie,
Ze ſamá chce bydź ná nich. A potym záś rázem,
Wybuchnie gniew, y niechce wiecey już bić płázem,
Lecz iákby wſtyd y cnotá, z duſzy iey ućiekłá,
Ták rzecze: A tákże to? (záiádła y wśćiekła)
Ták młody lekkomyślcze! w moię Wyſpę wchodźiſz!
Y pomſty słuſzney Bogow, z Neptunem uchodźiſz!
W Wyſpę ludźiom śmiertelnym, do tych czas zámkniętą,
Abyś mą gárdźił mocą! y miłośćią wźiętą?
Ktorą mam do ćię. O was! cne Olimpu Bogi!
Y ſtráſzny Styxie, wzywam wáſzey pomſty ſrogiey.
Pokarzćie tego zdraycę, wraz y bezbożniká,
A twárdſzego nád Oycá, winniey niewdźieczniká;
Bodayżeś ćiężſze ćierpiał, niż twoy Oćiec męki!
Dłuższe y okrutnieyſze, z Bogow słuſzney ręki.
Byś Oyczyzny nie widźiał, Itaku biednego,
Nád moię nieśmiertelność, u ćiebie droższego.
A raczey, bodaieś go widźiał! lecz tonący.
Y inſzego pogrzebu, nád ten, nie máiący.
A ia żebym ſwe oczy, tym nápáſłá chćiwe!
Ze ſępy zrzeć twe będą śćierwo, nieſzczęśliwe.
Niech to widźi kochánká, co z nią biegaſz wſzędźie,
Twoią śmierć, á iey lámɛnt, moim ſzczęśćiem będźie.

To mowiąc, ze wśćiekłemi, Kálipſo oczymá,
Ktorych ná iednym mieyſcu, w bieǵániu nie trzyma,
Jágody ſię iey trzęſą, czarne pláty chodzą,
Co moment, inſze ná twarz farby, ſię wywodzą,
Raz czerwone, drugi raz bládość, iák śmiertelna,
Ukrywa ią. rzekłby, że śmierć przyſzłá rzetelna.
Náwet łzy, iáko przed tym, obfićie nie płyną,
Y z iádu zbyt ſuchego, ſchną w oczách, y giną.
Przerwáne słowá, iák myśl, y głos iey chrapliwy.
Mentor zważył ten wſzyſtek, iey ſtan nieſzczęśliwy.

A záś do Telemaka, y więcey nie gada,
Sadźi go tákim, że mu nie pomoże rádá.
Jáko więc ná chorego, co go odstąpiono,
Pátrzył z ulitowániem, z łáską nie zmyśloną.
Y Telemak czuł tákże, iák był śiłá winien,
Ják niegodny przyiáźni, ktorą mu powinien,
Nie śmiał mu w oczy pátrzeć. A ſamo milczenie
Mentora, było iemu, większe potępienie.
Pod czás, chćiał go zá ſzyię, ſerdecznie uchwyćić,
Wyznáć grzech, y prośić go, by go chćiał uleczyć.
Lecz go wſtyd nie potrzebny, od tego wſtrzymuie,
A po tym, ták ſię prędko uleczyć, żáłuie.
Słodkie niebeśpieczeńſtwſtwo, w miłośći ſię zdáło.
Ani ſię go zwyćiężyć, ták prędko mu chćiáło.
Bogowie y Boginie, Olimpu gornego,
Zeſzli ſię ćicho pátrzyć, co też będźie z tego!
Ná Wyſp Kalipſy, wſzyſcy obroćili, oczy.
Ják Kupidyn z Minerwą, poiedynek toczy.
Ten zápalił; á ta záś zelozyą gáśi,
Y co miłość osłodźi, to zazdrość pokwáśi.
Iowiſz, lubo bez niego, nic ſię nie obędźie,
Przyrzekł, że ſię nie mięſzáć, tylko pátrząć będźie.
A tym czáſem, Eucharis, ſzczegulnie pilnuie,
Utrzymáć Telemaka. Tyśiąc ſztuk gotuie,
Ná wieży iego. W drugie, woła polowánie.
Stroi ſię iák Dyáná wymuśniona ná nie.
Wenerá z Kupidynem, piękna przez ſię, ſtroi.
Ták, że przy niey Kalipſo, już zá nic nie ſtoi.
Poyzrzy ná nią Kalipſo, złośliwie, z dáleká,
Wczyſtym ſię przeyzrzy zrzodle, y z wſtydem ućieka,
W głąb ſwey groty, kędy ſię záiádła zámyka,
Ták z ſobą ſamá gáda; y w ten ſens nárzęka:

Y tákći! tych kochánkow, nie tráfię rozerwáć!
Ich ućiech, y tych łowow, Ia nie zdołam przerwáć!
Poydźli z niemi! To im, iák tryumfu dodam,
Y w oczách Telemáká, pięknieyſzey ſię poddam;
Ieſzcze ią bárdźiey (ná mnie pátrząiąc) polubi!
Nieſzczeſná: moiá właſna ręká, mię zágubi!
Nie ták. Otoſz nie poydę. Nie poydą y oni.
Zwołam ſobie Mentorá, Ten mię w tym ochroni.

Każę

Każe mu Telemáká odwieźć, do Itáku.
Ale coż znowu mowię! Iedźieſz Telemáku?
Co poczne? Co ia robię? Wenus! Wenus dźika!
Z ſwym zdrádnym mię prezentem, w iákieś wdáłá łyká.
Stráſzne dźiećię Kupido! jam ći otworzyłá
Serce, ábym ſzczęśliwa z Telemakiem żyłá!
A tyś wſzedſzy w me ſerce, nápełnił go iády,
Iuż ia Nymfom Bogini, nie mogę dáć rády.
Y me Boſtwo, ná nic mi, cále ſię nie zdáło,
Tylko żeby boleśći, ách! wieczne ćierpiáło.
O! gdybym śmierćią mogłá zákończyć me bole!
Lecz gdy umrzeć nie mogę, ćiebie ia zákolę,
Niewdźięczny Telemaku. Pomſzczę ſię ſowićie.
A Nymfa pátrzyć będźie ná twoie zábićie.
Ale nie wiem co gadam? Bo nie wiem czy żyię?
Ia czleká niewinnego, y tego zábiję?
Ktoregom w te przepáśći, dobrowolnie wdáłá!
Iam fatalną pochodnią, czyſtego zágrzałá!
Iaka cnotá, niewinność, w tym młodźieńcu byłá!
Ktorą, roskoſz nie wſtydna, w nim ma obáliłá!
Trzebáſz było, truć ſerce iego, ták poczćiwe!
Cierp ſerce czegoś chćiáło, słuſznie nieſzczęśliwe.
Odieżdżay Telemaku, przenoś ſię zá Morze.
Zoſtaw mię bez poćiechy, niech mię żal, iad porze.
Ni żyćia ztrzymam, ni śmierć znaydę nie użyta.
Zoſtaw w deſperácyi mię, wſtydem okryta.
Ták ſamá w ſwoiey groćie, gdy lámentowáłá,
Alić rázem z impetem, z támtąd wylećiałá.
Gdźieżeś ieſt o Mentorze? Mentorze! tákże ty?
Wstrzymuieſz Telemaká, od lubey ponęty!
On w miłośći upada, á ty ſpiſz leniwy!
Nie mogęć tey gnuśnośći zćierpieć. Nieżyczliwy!
Tákli będźieſz, ná iego dyshonor ſpokoynie
Pátrzał? Y iego cnotą, ták ſzáfował hoynie?
Ia, choć mi nic do niego, uleczyć go ſzukam,
A ty ręce záłożyſz, gdy do niego pukam?
Widźiſz ten lás, ſą w iego głębinie Topole,
Z nich Uliſſ zrobił Okręt, [lubo ná me bole]
Blisko nich ieſt jáskinia, w ktorey inſtrumentu,
Nie zbywa; do fabryki, wczesnego okrętu.

Ledwo to wymowiłá, áż tego żáłuie.
Ale Mentor nie tráći czáſu. Y znayduie
Inſtrumenta w jáskini. Niemi drzewo wáli,
W ieden dźień Okręt ſtawia, y ná wodę zwáli.
A ieśli tey robоćie kto, prędkiey nie wierzy?
Niechże w przod moc Minerwy, y dowćip iey zmierzy.
Kalipſo nie wiedźiáłá, iáko ſię rozdwoić,
Tu Mentota przeſzkodźić, tu ſię uſpokoić
Nie może w polowániu; y zoſtáwić parę?
A raczey ich miłośći, dáć z śiebie ofiárę.
Co poyzrzy, gdźie ow Mentor, młotem ſrogim bije,
To oczy wraca, ieśli Telemak nie ſzyie,
Oczymá do Eucharis. Rzekę owo zgołá:
Tam ſtrách uſzy, a tu zaś zazdrość oczy woła.
Eucharis, Telemaka, żartem zaczepiaia:
Wyiechałeś na łowy (rzecz to ieſt nie mała)
Bez Mentora, iakoś ſię nie bał o nieboże!
Iuż też nic ſurowſzego, znaleźć ſię nie może.
Mentor ſię nieprzyiaznym, ſzczyći bydź roskoſzy.
Y na nayniewinnieyſze rzeczy, ſię kokoſzy.
Pokiś ſię ſobą rządźić, rozumnie nie umiał.
Ześ go słuchał, temu ſię żaden nie zadumiał;
Lecz teraz, dawſzy proby rozumu! A przećię
Daieſz mu ſię powodźić, iak niemowlę dźiećię!
Te słowa Telemaka, ſztuczne przeraźiły.
Y już mu jarzmo ćiężkie, y Mentor nie miły.
Nic nie rzekł ſwey Eucharis. Na koniec też łowy
Skończyły ſię wieczorem, w zawadźie ſurowey.
Razem z Kalipſą, wyſzli z laſa, tam gdźie robił
Mentor Okręt, ktory już y ſpoił y pobił.
Co gdy uyźrzy Kalipſo, pot na nię uderzy
Cmi ſię iey w oczach; widząc, ledwie ſobie wierzy.
Aż ſię na iedną Nymfę, mdleiac potoczyła,
Eucharis z ręką do niey, lecz ią odrzućiła.
Z ſtraſznym na nią weyzrzeniem. Telemak gdy widźi
Ten Okręt, pyta czyi to? Bogini ſię biedźi,
Aż pomyśliwſzy (rzecze) jam to go kazáłá
Zrobić, abym Mentora, na nim odesłała.
Już ſię ten tak ſurowy Przyiaćiel, nie będźie
Przećiwiał twemu ſzczęśćiu, iako czyni wſzędźie.

Bo on

Bo on, nieśmiertelności, zazdrościł ći zgołá.
Jáko? Mentor mię rzuca? [Telemak záwoła]
Przepadłem! O Eucharis! Ieśli mię porzući!
Nie gdźieindźiey Telemak, pewnie ſię obrući,
Tylko Nymfo do ćiebie. Te mu ſię wyrwáły,
Niewolnemu z uſt słowá, iák w ſercu śiedźiáły.
Poſtrzegł ſię on, że wyrzekł to, ná zbyt otwárćie.
Lecz mu miłość, ná ięzyk uśiádłá upárćie.
Wſzyſcy ſię tym zdumieli. Eucharis rumieńcem,
Pokazałá, że ſię tym nie brzydźiłá wieńcem.
Kryie ſię zá drugiemi, ćieſzy ſię y boi,
Serce karmi rádośćią, á wſtydem twarz ſtroi.
Telemak w tym, co wyrzekł, ſam ſię nie poymował.
Ledwo wierzył, że mowy ſwey nie uhámował.
Jákby we ſnie był, ále we ſnie pomięſzánym.
A Kalipſo iák lwicá, z iádem nie słychánym,
Kiedy iey ſzczenię porwą, ták skoczyłá w láſy,
Z uſt iey biją pioruny, á z oczu karkáſy.
Przypada do ſwey groty, ſtał Mentor przed ktorą:
Wyidźćie z Wyſpy mey krzyknie, (ćiemna iádu chmurą)
Wy ktorzyśćie moy pokoy, tu wywrácáć przyſzli,
Y ſpokoyne, ſzaleńſtwem zárázili, myśli.
Precz z tąd młody ſzaleńcze, y nie mądry Stárcze,
Pokażęć co gniew umie? y ſamáć wyſtárczę.
Uznaſz impęt Bogini! Ieśli nie oddaliſz
Z tąd go záraz! ná głowę ſwą, pomſtę obáliſz.
Nie chcę go więcey widźieć, áni z my h Nymf żadna.
A dopieroż ta moiá wdźięczniuśiá, ták ładna.
Przyśięgam na Styx wodę, przyśięgą co ſame
Bogi, ná nią drżęć muſzą, y ktorey nie złamę.
Ale wiedz Telemaku: że ſię nie skończyły
Twe biedy. Gdy z tąd wyidźieſz, nowe wezmą śiły.
Gotuie Ci ſię pomſtá. Będźieſz ty żáłował
Kalipſy (ále dármo) już ći nágotował
Neptun, ieſzcze ná Oycá, z dawná zágniewány,
A teraz od Wenery, tąż prozbą zágrzany,
Nowe burze. Obaczyſz ći Oycá żywego,
Ale tobie, ni ćiebie iemu, znaiomego.
Doydźieſz ći go ty kiedyś, w mizernym Itaku.
Ale ha! Co záżyieſz w przod, bied Telemaku!

Ach! was mocy Niebieskie, o pomſtę záklinam,
U was ſię tez, y żalow gorzkich, upominam.
Sprawćieſz, áby on záwisł, ná wierzchołku skáły,
Piorunem oſmalony, zá ſwoy grzech zuchwały.
Aby wzywał Kalipſy, ktorą karmi złością,
Ták ią męką nákarmił ſwą, á iey rádością.
Te uſtá mowią słowá. A záś ſerce ſzepce
Co inſzego, y wznośi toż ſamo, co depce
Tu dopiero wygánia, tu chce zátrzymywáć.
Niech żyie, niech zoſtánie, ná coſz ſię go zbywáć.
Podobno też ná koniec, co ćierpię, poczuie!
Wſzák Eucharis mu nie da, co ia mu gotuię.
Aleś ſię o Kalipſo, zbyt ślepa, zábiłá.
Y przyśięgą zwiazáłá, ktoraś uczyniłá.
Wſpomniáne Styxu wody, nie dáiąc nádźieie;
Alec ich nikt nie słyſzał; Ták ſię rożnie chwieie.
A furye w Iey twarzy błyſzczą jádowite,
Płomienie zewnątrz, Kocyt wybucha, zákryte.
Telemak ſię jey zálakł. Co oná poſtrzegłá.
Bo zbyt byłá w miłośći, y zazdrośći biegłá.
Ten horror Telemaka, gniew Kalipſy mnożył,
Już ſię z myśli y z ſercá, wſtyd Iey cále złożył.
Pocisk w rękę porwawſzy, w lás wypada razem,
Ná Nymfy woła, grożąc, tę przebić żelázem,
Ktoraby ſię zoſtáłá. One záſtrácháne,
Biegą kupą zá Pánią, tą groźbą z hukáne.
Y Eucharis ią ściga, kápiąc we łzách oczy,
Gdy słow nie śmie, poyzrzenie w Telemaka toczy.
Uyzrzawſzy ią Bogini, zębámi zgrzytnęłá.
Ani ſię iey ukłonem, by naymniey nięłá.
Raczy, nowym ſię iádem, pátrząc zápaliłá,
Ze ią był żal okraśił, y ślicznieyſzą byłá.
Telemak zaś z Mentorem, ſam ieden zoſtáie,
Nie śmie mu w oczy pátrzyć, do nog ſię udáie
Łez ſtrumienie wylewa. Chce mowić, nie może.
Co ma czynić? y co chce? ſam nie wie. O Boże!
[Przećię ſię umocniwſzy] ták ćiężko záwoła:
Mentorze, Przyiaćielu, Ty moy Oycze zgoła!
Uwolń mnie od tak ćięſżkich nieſzczęść, znieś mą trwogę,
Ni ćię opuśćić, áni iść z tobą nie mogę.

Uwol-

Uwolniy moy kochany, od tego mię złego!
Zábiy mię, ták uwolnisz mnie, od mnie samego!
Tu go Mentor obłápi, ćieszy, animuie,
Nie każe głaskáć żądzy, czym się iednym truie.
Synu cnego Ulissa, ktorego Bogowie
Kocháli, y kocháią, y w opiece zdrowie
Twoie máią. Wiedz o tym: że to z ich miłośći,
Zesłáne ná się ćierpisz, te nieszczęśliwośći.
Kto się słábym nie poczuł, y mocy swych żądzy
Nie wyćierpiał? Niech ieszcze, mądrym się nie sądźi,
Bo się sam ieszcze nie zna, y strzedz się nie umie
Siebie, bo się na sobie nie zna, ni rozumie.
Ciebie dobrzy Bogowie, iákoby zá rękę
Sprowádźili nád przepáść, przez ták ćiężką mękę.
Ukázuią ći głębią, lecz ći wpáść nie dáią,
Niechże teraz twe oczy, toż samo poznáią.
Czegoby nie poznáły, gdybyś sam nie zmacał.
Dármoby ći miłośći, kto zdrády wywracał.
Ják głaszcze, by zgubiłá, y iák pod słodyczą,
Gorzkośćiámi nápawa, ktore w tobie ryczą,
W śmiechách, we grze, w rádośći. To dźiećię zuchwałe
Przyszło, serceć porwáło, boś ty sam chćiał, cáłe.
Sameś gust miał, zátáić te, coć zádał rány,
Sam sobie pochlebuiąc, kryłeś jad zádány.
Nie bałeś się niczego. Pátrzayże ná skutek!
Teraz biegasz iák wśćiekły, y ludźi odrzutek;
Prágniesz śmierći, w tey iedney, nádźieię zákładasz!
Coż na to mowisz synu? y co odpowiadasz?
Kalipso do piekielney furyi podobna,
Eucharis, nád śmierć, ćierpi gorzey, twa nadobna.
Wszystkie Nymfy, z zazdrośći, rádyby się żarły;
Otosz się ná to, wdźięki miłośći opárły.
Wzbudź ieno wszystkie męstwo; Zważ iák ćię kocháią
Niebá? Gdyć do ućieczki, wrotá otwieráią.
Od okrutney miłośći, do miley Oyczyzny,
Tá ći szczęśćie podáie, á miłość trućizny.
Okret nágotowáłá Kalipso, y sámá
Wygánia ćię, zazdrośćią upoiona Dámá.
Czegosz báwisz, w tym mieyscu? z kąd cnotá wygnána.
Y w tym go Mentor ćiągnie. On go zá koláná

 Chwy-

Chwyta, y obźiera się, ustawnie zá sobą.
Pátrząc ná swą Eucharis. Tá z wszystką ozdobą,
Twarzy swoiey, niknie mu, y tylko iey włosy
Widźieć może. Wzdychánia szle, nie mogąc głosy.
Slad iey radby cáłował. Gdy ią z oczu stráći,
Nádstáwia uchá, iákby iey głos nie w postáći
Usłyszał, odpowiáda. Mentorá nie slucha.
Ná koniec iákby ze snu, w te słowa wybucha:
Nie odstąpięć Mentorze. Alem nie pożegnał
Swey Eucharis, iákbym ią niewdźięcznie odegnał.
Wolę umrzeć Pozwolże (wszak nie szkodźi mowa)
Niech ná wieczne żegnánie, te iey rzekę słowá:
Nymfo! Bogi okrutne, y szczęśćia zazdrosne,
Każą mi z tąd odieżdżáć, przez męki nieznośne;
Ale mi w przod w mym życiu, przez złą śmierć uszkodzą,
Niż ćię kocháć, y pomnieć ná wieki, przeszkodzą.
Mentorze! albo pozwol, tę biedną poćiechę;
Albo mię zábiy, y miey w mey śmierći ućiechę.
Wyrzekam się tey Wyspy, y z sercá miłośći,
Ale mi nie zábronisz, z przyiaźnią wdźięczności,
W iednym słowku [żegnam ćię]. Záraz z tobą idę.
Mentor rzeknie: Iák mi żal gdy uważáć przyidę,
Twą ślepotę tym więksa, że nie wiesz co nośisz.
Zda ći się bydź spokoyna, á ty o śmierć prośisz.
Smiesz mowić, że ćię miłość Iey, nie zwoiowáłá?
A przećieć się oderwáć od niey, nie pozwala.
Ták frenetyk, w gorączce gada, nieszczęśliwy.
Tyż się to Penelopy, Mátki swey życzliwey,
Co ćię czeka, wyrzekasz! y Oycá Ulissa!
Ktorego widźieć, byłá poćiechá naywyższa.
Wyrzekasz się Itaku, w ktorym masz krolowáć!
Y sławy, ná ktorą ćię Bogi chcieli chowáć.
Miast tego, ći się Nymfa, bez czći, podobáłá.
Mowże teraz, że miłość ćię nie zczárowáłá.
Cosz ćię to tedy miesza? Czemu umrzeć żądasz?
Opłákuię twą zgubę, ná ktorą poglądasz.
Ućiekay Telemaku, Miłość coć ćiemięży,
Tylko iedną ućieczką, záwsze się zwyćięży.
Prawdźiwe męstwo, ktore śmierći się nie boi,
Temu adwersarzowi, plácu nie dostoi.

Przed

Przed nim, tylko uciekáć, ieſt sławá z ozdobą.
Ale ták prędko, żeby nie pátrzyć zá ſobą.
Jeźli pomniſz z wdźięcznośćią? iákiem miał ſtáránia,
Od dźiećińſtwá o tobie, rády y kochánia?
Ktoremim ćię rátował; Albo mię posłuchay;
Albo ćierp; Ia ćię rzucam, y ty mnie porzucay.
Gdybyś wiedźiał, iák ćiężko widźieć mi twe zguby?
Serce moię [gdym milczał] w iákieś wprawił kluby?
Mátká twoiá ćię rodząc, nie ćierpiáłá tylo,
Gdym pátrzył na twe błędy, iak mi ćieſzko było.
Rátuy ſerçe, o Synu! moie, moy kochany,
Przywroć mi me wnętrzności, ktorym daieſz rany.
Przywroć mi Telemaká, ktoregom ia zgubił,
Y ſobie ſam ſię przywroć, ktoregom tak lubił.
Jeźli mądrość, zwyćięży mocną miłość, w tobie?
Zyć chcę; Lecz ieżeli nie? Umrzeć życzę ſobie.
Gdy Mentor to rozmawiał, brał ſię ku Morzowi,
Telemak nie chćiał ſam iść, ále Mentorowi
Prowadźić ſię pozwolił; y bez oćiągania.
Mentor, (á w nim Minerwa) Egidą zasłania,
Y promieniem go Boskim, na koło okrywa,
Z kąd Telemak nowych śił, na niewſtyd nabywa,
W tym nowym ſtroiu, wyſzli na wierzch przykrey skały.
[Ktore poobćieſane, nad Morzem wiśiały.]
O ktorą bijąc fale, zawſze ſię pieniły.
Z tamtąd patrzą na Okręt, co ręce zrobiły
Cudne Mentora. (Ow cud prędkośći wierutny.)
Ale wnetże obaczą widok iego ſmutny:
Kupidyn żywo tknięty, że Mentor w tey mierze,
Sam nań nie dba, y ieſzcze Telemaka bierze.
Aż płacze ſam z załośći. Do Kalipſy idźie,
W ćiemny las, ią poćieſzyć, y radźić w tey biedźie.
Gdy go uyzrzy, weſtchnęła, biją na nię śiły,
Czuie, że ſię w niey rany wſzyſtkie odnowiły.
Jednak miłość tak do niey: Ty ieſteś Bogini,
A ieden ći śmiertelny, na przekorę czyni!
W twoiey Wyſpie ieſt więźień, na coż mu pozwalaſz
Wynić? Odpowie: Ba ty, czemu mię rozpalaſz?
Nowym ogniem, nieſzczęſny Tyrannie miłośći,
Nie chcę słuchać twey rady, ni znać życzliwośći.

Tyś, z miłego pokoiu, wyrwał moie duſzę,
Wepchnałeś w przepaść nieſzczęść, w ktorych ięczyć muſzę.
Już ſię ſtało. Przez Styxu wody żem przysięgłá,
Przysięga ta, Jowiſza ſamego powściegła.
Telemak z moiey Wyſpy, już zaraz wychodźi.
Wynidź y ty zle dźiećię, ktore więcey ſzkodźi,
Niźli mi ſam Telemak. Miłość łzy oćiera
Kalipśie, tak jey mowi, y z śmiechem poźiera:
Nie maſz ſię czym turbować Bogini prawdźiwie.
Dotrzymay twey przysięgi, puſzczay go ſzczęśliwie.
Lecz ia, y żadna Nymfa, Styxu nie wſpomniała,
Nam go wolno zatrzymać, twa przysięga cała.
Ja poradzę twym Nymfom, aby, [co zrobiły
Dźiwne ręce Mentora,] ten Okręt ſpaliły.
Dźiwnać była robota, lecz dźiwnieyſze będźie
Spalenie. Y Telemak, na wiek tu zaśiedźie.
Tak pochlebne te słowa, radość y nadźieię
Pobudzaią w Kalipśie, Jak gdy Zefir wieie,
Uźiaiane nad rzeczką, po gźie, chłodźi bydło;
Tak y ſerce Kalipſy, na moment oſtygło.
Poprawiły ſię oczy, y twarz wyiaśniała.
Myśl ćiemna, biedne ſerce żobiąca, uſtała.
Rozśmiała ſię na miłość, przez poćiechy iawne.
A tym ſamym, gotuie ſobie, troski dawne.
Kupidyn z ſwey porady kontent, od Bogini,
Idźie do Nymf, y táką imże ráde czyni.
One ſię były błędne, po gorách rozbiegły,
Ják gdy owce, przed wilkiem głodnym, w chaſzczách legły.
Zbiera ie miłość, y ták do nich, z wdźiękiem rzecze:
Telemak ieſzcze w Wyſpie; áni wam ućiecze,
Tylko ſię pośpieſzayćie, Okręt ſpalić cáły,
Ktory Mentor, ták prędko zbudował, zuchwáły.
Zaraz Nymfy do ogniá kwápią ſię, ná zbrodnię,
Lecą ná brzeg, á w ręku trzymáią pochodnie.
Zgrzytáią, ryczą wśćiekłe, ják Bachnaty, włoſy
Rozrzucaią, y palą. Płomień pod Niebioſy,
A Okręt w popioł idźie, bo ſuchy y ſmolny.
Co gdy widźi Telemak, choć już był powolny,
Przećież ieſzcze nie cále będąc uleczony,
Cieſzył ſię w duchu; y w te tám poźierał ſtrony,
Gdźie Nymf krzyk, á záś ogień wybuchał z Okrętu.
Mentor widząc, że w ſercu nie wygásł do ſzczętu,

Miłoſny iego płomień. (Bo tylko pokryty,
Zdrádliwymi popioły) pátrzy, że iák wryty
Stánie, mowiąc: To znowu, mnie w wieżę wniść przyidźie!
Y żaden z nas z tey Wyſpy, nigdy nie wynidźie.
Widząc to (mowię) Mentor; że Telemak, márnie
W pádnie w wiezy słábośći, ktora go ogárnie,
Nie chce trácić momentu; obaczy z dáleká
Okręt, [ktory nie śmieiąc wniść w tę Wyſpę, czeká,
Bo káżdy wiedźiał, że w tę Wyſpę wniść żadnemu,
Kalipſy, ſię nie godźi nigdy, śmiertelnemu.
W tedy, nád ſamym brzegiem śiedli, gdy on zoczył
Okręt) więc w Morze go pchnął, y ſam zá nim wskoczył.
Telemak ták gwałtownie, będąc pchnięty w Morze,
Nápił ſię słoney wody, y gdy słábo porze
Wały Morskie, Mentor mu rękę w pomoc podał,
On też chćiał ſię oddalić, y już mu ſię oddał.
Nymfy, co go już więźniem ſwym, bydź rozumiáły,
(Pełnym głoſem żáłośći) rzewnie zákrzyczáły,
Nie mogąc już przeſzkodźić ućieczki zwyćięzkiey.
Kalipſo bez poćiechy, ná ten raz, ták ćięzki,
Zámyka ſię w ſwey Groćie, jáko bydlę wyie.
Kupidyn, ſwoią ſpráwę przegráną ná ſzyię
Widząc, w gorę ſię wzbija skrzydłámi, ućieka
Do Idaliey, gdźie go Mátká gniewna czeka.
A dźiećię okrutnieyſze, z nią ſię rowno śmieie,
Ze w żal y w płácz obroćił, roskoſzy nádźieie.
Im ſię dáliy Telemak od Wyſpy oddalał,
Tym ſzczęśliwiy poznawał, iák dobrze ucalał.
Mężna miłość do cnoty, w nim ſię odnawiáłá.
Płynąc mowił: Doznáię, że to prawdá trwáła,
Coś mi mowił Mentorze, y czegom ia doznáć
Nie mogł, aż doświadczeniem, przyſzło mi to poznáć.
Nie można złych nałogow zwyćiężyć ináczy,
Tylko iedna ućieczka, przy ochotney prácy.
O! moy Oycze, ktorego Bogowie przysłáli,
Ná moie życie, y mnie, zá rátunek dáli.
Godnym ſię, żebyś mie był odſtąpił, bydź czuię.
Już ſię Morza nie boię, wiátry poſtponuię,
Ni inſzey burzy, tylko ktorą ſerce rodźi.
Miłość iedná ieſt ſtráſzna, ktorey nikt nie zbrodźi.

TELEMAKA XIĘGA CZWARTA.

SUMMARYUSZ KSIĘGI CZWARTEY.



Ommendánt Okrętu tego widząc dwoch ludźi płynących, wypráwuie łodź po nich, ktora ich przyprowadza do niego, poznáią śię wszyscy; ten był Phenicyanin, y brát Narbala. Ci, opowiádáią sobie swoie awantury. Telemak pyta śię o Pigmalioná, y o Astarbę. Nowe opisanie Pigmaliona, w ustáwnych suspicyách żyiącego, ktoremu nic nie pomogły áffekty do Astarby, ktora go zábiłá, y samá potym śię otruła. Ná osłodzenie ták strászney Historyi, Narbal Telemakowi dáie muzykę, Mentor gra ná lirze, y śpiewa awanturę, Narcyssa, y poránienie Adonisá. Telemak śię tym delektuie, ále boiąc śię poddáć roskoszom, nie

chce

chce ſwey poćiechy pokazáć. Z tąd Mentor bierze okázyą, tłumáczyć mu rożnie, roskoſzy ſercá y umysłu. Obyczáie mieſzkáńcow Betyki.

Wenus rozgniewána, że Syn Ulisseſa idźie do Itaku, wchodźi do zgromádzenia Bogow, skárży ſię przed Jowiſzem ná Telemaká, y prośi o zgubę iego. Jowiſz odpowiáda: że w Księgách wyrokow, nie nápiſano áby miał zginąć, tylko że ma długo błądźić, nim do ſwego kráju przyidźie. Zeby ſię do Neptuná udáłá rádźi, áby burze wzniećił, y błędow iego przedłużył; Wenus idźie do Neptuná, ktory dla jey upodobánia wyſtáwuie Obłok, y Szyprowi pokazuie zmyślony kray Itaku, do ktorego omylnie płyną. Poznawáią prędko fałſz, y że do Kráju Salantynow przypłynęli.

TEn okręt, ktory Mentor widźiał, skacząc z brzegu,
Y co ná wiátr czekáiąc zátrzymał ſię w biegu,
Był Phenicenski, á brał drogę do Epiru.
Gdy Mentor przebył Morze, bez wiosłá y ſtyru,
Podniosł głowę, y iák mogł głośno, wołáć ſtánie:
O wy! wſzyſtkim Narodom dobrzy Pheniczánie!
Dayćie żywot dwom ludźiom, ktorzy go czekáią,
Z ręki waſzey litoſney, y tey ſię oddáią.
Jeśli was reſpekt Bogow tknie, litość nád námi.
Weźćie w ſwoy okręt nas, my poydźiem wſzędźie z wámi.
Rzecze Stárſzy z Okrętu: przyimiemy was rádźi,
W nieſzczęśćiu, nieznáiomych rátowáć, nie wádźi.
Y záraz im, co było potrzebá, podáli,
Ná Okręt ich przyimuiąc, w gorę windowáli.
W ktorym ledwo ſtánęli, y wskroś przemoczeni,
Y przez Morze płynący, w śiłách wymożeni,

Bez śił y tchu polegli. Aż powoli, śiły
Nábyli, ktorą wały Morskie w nich zábiły.
Suknie im dano świeże. A po odpocznieniu,
Zbiegli śię wszyscy pytáć, o ich powodzeniu.
Ten co rządźił w Okręćie, w iáki sposob? pyta,
Wniść mogli do tey Wyspy? ktora niedobyta
Jest ludźiom? Wszák Bogini tám iedná pánuie
Okrutna, co nikogo żywnie nie przyimuie.
Do tego opasana skálámi strásznemi,
Trudno śię Okrętowi ucalić, przed niemi,
Żeby śię nie miał rozbić. Ták śię nam też stáło,
(Rzecze Mentor) rozbićiem wniść śię tám dostáło.
Myśmy Grecy, y Itak iest Oyczyzná nászá,
Bliskie Páństwo Epiru, dokąd drogá Wászá.
Y choćbyśćie nas, prosto w Itak, nie záwieźli,
Dość, żebyśćie w sąśiedzki Epir, nas dowieźli.
Tám máły przewoz, pewnie kogo tám znaydźiemy,
A wam zá rzecz naymilsza powinni będźiemy.
Iż swoich obaczemy. Ták Mentor rozmawiał,
A Telemak stał zá nim, áni śię w rzecz wdawał.
Bo błędy, ktore w Wyspie, gorę nád nim wźięły,
Już przyczyniáć w nim większey mądrośći poczęły.
Już śię sam strzegł, y widział, że mu náder trzebá,
Słucháć rády Mentorá, ják gdyby szłá z Niebá.
Y dla tego, gdy nie mogł o co pytáć usty,
Oczymá śię go rádźił, ná wszelkie dopusty.
Kommendant Phenicenski, oczy swe stánowi
W Telemaku, zda mu śię, że go znał. Y mowi:
Pozwol ábym ćię spytał, ieźli pámięć twoiá,
Nie przywodźi mię tobie ná myśl, iáko moiá
Przypomina, żem kiedyś, znał ćię; ták śię widźi
Twarz twoiá mi znáioma, myśl śię w sobie biedźi,
Iż nie wiem kedy. Ty sam, mey pomoż pámięći.
Telemak rzecze wesoł; tosz śię samo kręći,
W moiey myśli, co twoiey. Znam ćię y widźiałem,
Czy w Egipćie? czy w Tyrze? tego zápomniałem.
Dopiero Phenicyan (iák człowiek, co z ráná
Ocknięty, sen zniknionу do pámięći zgánia)
Rázem głośno záwoła: tyś Telemak, miły
Kompan Narbala, gdyśmy z Egiptu wroćili.

Jam iego Brát; á gdy ſię Egypska skończyłá
Tranſakcya, gdźie pierwſza nas znáiomość byłá,
W ręku iegom zoſtáwił ćiebie, moy kochány.
Sam do sławney Betyki, w drogem był posłány.
Zá wſzyſtkie ſtráſzne Morza, Herkulá kolumny,
Nie długom ćię znał, o moy przyiaćielu ſzumny.
Znam y ia żeś Aduan, Telemak odpowi,
Małom ćię widźiał; ále nie raz Narbalowi,
Wſpomnieć cię przychodźiło. O iákie weſele!
Słyſzeć o przyiaćielu/ktoremum ták wiele
Powinien ieſzcze w Tyrze. Czy nie ćierpi czego,
Tám od Pigmaliona, Tyranná dźikiego?
Przerwał mowę Aduan: wiedz, że ſzczęśćie miałeś,
Y w dobre Telemaku, ręce ſię doſtałeś.
Záwiozę ćię w ſam Itak, nie bywſzy w Epirze.
Ták ćię kocham iák Narbal, niech ſię z tym nie ſzerzę.
To rzekſzy, poſtrzegł, że wiátr ktorego on czekał
Ták długo, niż dobrego, w drogę ſię doczekał.
Przeto zbiera kotwicę, y żagle podnośi.
Telemaká z Mentorem, do pokoiu prośi.
Y ná nich pátrząc obu, ták záraz roſpowie:
Już nieżyw Pigmalion. słuſzni, świát Bogowie:
Uwolnili od niego. Jáko on nikomu
Nie wierzył; ták y iemu nikt nie ufał w domu.
Dobrzy, dość ná tym mieli, że tylko jęczeli
Pod járzmem, lęcz nic złego czynić mu nie chćieli.
Ale źli, nie mogli bydź pewni, ſwego żyćia,
Aż przez iego morderſtwá, y ſrogie zábićia.
Nie było Tyryiczykom, áni dnia iednego,
Aby przed ſuſpicyą, uniknął kto iego,
Y wártą. Ieſzcze bárdźiey, okrutnie ie tráćił,
Naymnieyſze podeyzrzenie, śmierćią prędko płáćił.
Gubił wſzyſtkich, dla iedney, beśpieczeńſtwá głowy,
A nigdy go nie ználazł, przez ſtrách, co raz nowy.
Ci ktorzy w depozyćie, iego żyćie mieli,
Uprzedźić ſuſpicye, śmierćią iego chćieli.
Tá niezbożna Aſtarbe, ktoreyś słyſzał dźiwy,
Pierwſza dekret wydáłá, ná śmierć iego chćiwy.
Joazar, Tyryiczyká iednego, kocháłá
Ták ſzalenie, że ná Tron wyſtáwić go chćiáłá.

Czego myśląc dokazáć, w Krolá łátwo wmawia:
Ze Syn iego Phadael ćiche bunty wznawia.
Fałszywych ná to świádkow, ná prozbę znáyduie,
Ze Krol nieszczęsny, Syná zábił, dokázuie.
Drugiego Syná Balkzar, w Samos odesłano,
Zeby się náuk Greckich uczył, pretext brano.
Prawdźiwie záś, Astárbę ná Krolu wymogłá,
Zeby się Fámiliey Krolewskiey zbydź mogłá.
Ledwo wśiadł Balkzar w Okręt, ći co prowádźili,
Ták, iáko przekupieni od Astárby byli,
Wrzućili go w głąb Morza, pod fáworem nocy,
Y káżdy (iákby okręt rozbito) z nim wskoczy.
Onisz mieli łodź blisko, do ktorey płynęli,
Ale iego prawdźiwie utopić myśleli.
W tym, amory Astarby, ták się rozgłośiły,
Ze Pigmalionowi, tylko táyne, były.
On rozumiał, że Iego iedynego kocha.
Ták go záwoiowáłá tá niewiástá płocha,
Ze wszystkim nie ufáiac, iey szczegulnie wierzy.
Swoią ślepą miłośćią, iey też miłość mierzy.
Ale rázem łákomstwo, serce mu poduszcza.
Ná złoto Ioazara, swe łákomstwo spuszcza.
Bo był ten Gách Astarby, niezmiernie bogáty,
Przeto Krol bierze pretext, prędkiey iego stráty.
Ale gdy suspicya, łákomstwo, z miłośćią,
Suszą Pigmaliona serce, ziádłe złośćią.
Astarbe się pośpiesza, życia mu przykroćić,
Y z Tronu go, dla swego Ioazará, zrzućić.
Podobno się iey zdáło, że się Krol dowiedźiał,
Ze ten gászek, niewstydne łoże iey, náwiedzał.
Y do tego wiedźiáłá, że było dość ná tym,
Aby go zábić kazał, że go znał bogátym.
Dla tego, y momentu nie tráćić, myśliłá
Zeby Krolá, okrutną śmierćią, uprzedźiłá.
Czuła Dworzan gotowych, we krwi ręce moczyć,
Krolewskiey, y życie mu rázem z krwią wytoczyć.
Iuż o conspirácyi ná śmierć iego słyszy,
Lecz się boi poufáć, y robi w poćiszy.
Ná koniec naybeśpieczniey, otruć się go zdáło,
W ten sposob: Tylko dwoie, z sobą ich iádáło:

Krol

Krol ſobie ſam, iedzenie mizerne gotował,
Y tylko właſnym rękom ſwoim konfidował.
W nayskrytſzym kącie, Zamku ſwego, ſię zámykał,
Krył ſię z dyffidencyą, lecz iey nie unikał.
Wſtydźił ſię bydź kuchárzem, y w iedzeniu ſmáku.
Nie miał, áni w potráwách podłych, czynił bráku.
Nie tylko, mięs opráwnych nie tknął, nieſzczęśliwy,
Ani win, chlebow, ſoli, mleká, ni oliwy.
Zgołá nie iadł, tylko frukt, ręką z drzewá rwány,
Kęs káſzy, y iárzyny, od śiebie pośiáney.
Wody inſzey, tylko tę, co z źrzodłá, nie tykał,
Y to ią ſam pod kłodką, y kluczem zámykał.
Lubo záś, ták Aſtárbie mocno ufał ſwoiey,
Przećię ſię y iey ſtrzeże, nie ufá y boi.
Cokolwiek ieść, álbo pić miał, w przod iey koſztowáć
Dał, aby nie myślálá, po nim ſię záchowáć.
Y byłá, bez żywotá dłużſzego, nádźieie,
Ale oná zdrádliwa, z tych ſochow ſię śmieie.
Byłá bábá w Páłácu, tá iey porádźiłá
Lekárſtwo, że trućizną po nim, nie wádźiłá.
Zła sługá, iák zła Páni, amorow zwodnicá,
Jey ráda ſię odważa, Krolá zbáwić żyćia.
Y ták przyſzłá do tego: Gdy śiedli do ſtołu,
Bábá we drzwi záſtuka, Krol pełen mozołu,
Że go chcą zábić mniema, zmieſza ſię, y słucha,
Bieży do drzwi, te máca, y nádſtáwia uchá.
A bábá záſtukawſzy, ode drzwi ucieka,
Ledwo ćień, w zálęknionym, zoſtáwiwſzy człeká.
Krol zámilkł, y ſam nie wie, co ma czynić dáliy,
Otworzyć nie śmie, już drży, y iádem ſię pali.
Aſtarbe pod ten ſam czás, gdy Krol u drwi ſtoi,
Wſypie w kubek Trućizny, effronteryi ſwoiey.
Nie każe ſię niczego bać, w puł umárłemu,
Y woła go do ſtołu, wdźięczy ſię ku niemu.
Wraca ſię Pygmalion, w zwyczáyney niewierze,
Każe w przod pić Aſtarbie, nim zá kubek bierze.
Oná pewna łekarſtwá, pije z kubká śmiele,
Po niey záś Pygmalion, choć wypił nie wiele,
Ale oczy wywroćił w krotce, y zemdlony
Padł. Aſtarbe, znáiąca humor zájuſzony,

Ze z słuszney suspicyi, zábił by ią pewnie,
Drze suknie, włosy tárga, krzycząc, płácze rzewnie,
Sciska Krolá gdy kona, y dźwiga rękámi,
Y co ią nie kosztuią, polewa go łzámi.
Ná koniec kiedy widźi, że już w Krolu śiły
Ustáły, y ostatnie poty, ná twarz biły;
Boiąc się, áby się mu nie wrociło życie,
[Záczym ią árcypewne czekáło zábićie]
Płácz w záiádłość obraca, y czyni co muśi,
Porwie konáiącego, y wśćiekła go duśi.
Potym sygnet Krolewski, z korona Krolowi
Zdźiera, y te oddáie swemu Ioazrowi.
Rozumiáłá, że wszyscy ktorzy przy niey stali,
Będą się iey passyom akkomodowali.
Iże te creatury, w ták strásznym odmenćie,
Jey Gáchá koronowáć będą, w tym momenćie.
Ale ći, ktorzy żądzom, kupieni służyli,
W przyiáznym obowiązku, nigdy z nią nie byli.
Y ták szczerey wdźięczności, iáko y odwagi
Nie mieli. A do tego, dla zbytniey powagi,
Pychy y okrućieństwá, tey máłpy bezbożney
Bali się, ley korony powierzáć, wielmożney.
Ráczyi dla swey pewnośći, o iey myśla kaćie.
Tym czásem tumult w Zamku, po ták nagłey stráćie.
Wszyscy krzyczą: Krol umárł, iedni się lękaią,
Drudzy co iest nie wiedząc, do broni się máią,
Wszyscy w stráchu. Lecz przećie, rádźi tey nowinie.
Ktora z ust do ust leći, nikogo nie minie.
Wielkie miásto nápełnia Tyr, káżdy bez bolu,
Słucha, że już po skąpym y okrutnym Krolu,
Smierć tá będźie poćiecha im, y uwolnieniem.
Narbal go płácze, iák człek z pobożnym sumnieniem.
Uważa, że sámochąc, ten Krol nieszczęśliwy,
Wydał się sam Astarbie, ná rzeź niepoczćiwey.
Y że wolał bydź strásznym, iák monstrum, Tyrannem,
Niż według powinności, dobrowolnym Pánem,
Zaraz Páństwo salwowáć myśli, iák nayprędzy
Zbiera ludźi poczćiwych, nie chćiwych pieniędzy
Astárby. Z ktoremi się opponowáć idźie
Panowániu, ktoreby, przeszłe przeszło w biedźie.

Balka-

Balkazar nie utonął, kiedy go wepchnęli.
Ták Astarbie udali, bo tak rozumieli.
Ale on płynąc dobrze, salwował się w nocy,
Y rybacy Creteńscy, pełnego śił mocy
Wźięli go ná swe łodźie. A on się pokazáć
Oycu niesmiał, y ná śmierć drugi raz nárażáć.
Ták okrutnych suspicyi, Oycá bał się swego,
Ják humoru Astárby, sobie zdrádźieckiego.
Długo błędny, nád Morzem Syryiskim, przebrány,
Muśiał, dla pożywienia, páść cudze bárány.
Ná koniec, ználazł sposob raz, dáć znáć o sobie
Narbalowi, o iego wiedząc cnoty probie.
Jemu żyćia powierzył, wiedząc nieszczęśliwy,
Że choć Oycá nie kochał, że mu był życzliwy.
On go też wźiął w opiekę, lecz przez święte zdánia,
Powstáć przećiwko Oycu, Synowi zábrania.
Y każe mu, fortunę złą znośić ćierpliwie.
Balkazar mu nákazał: ieżli już szczęśliwie,
Mogę stánąć u ćiebie? złoty pierśćień przyśliy,
A ia, że czás do ćiebie, tym doydę twey myśli.
Narbalowi, zá żyćia Oycá, się nie zdało,
Balkazara zwoływáć, y to się udało:
Bo ták ćięszkie szukánia, Pygmalona były,
Zeby się obu głowy, przed niemi nie skryły.
Ale kiedy swych zbrodni, wźiął Krol koniec godny,
Narbal już czás osądźił, ná powrot pogodny.
Y posłał złoty pierśćień. On też po nim wźiętym
Biegł. Stánął u Bram Tyru, biegiem nie záćiętym,
Wtedy właśnie, gdy tumult naywiększy panował,
Y Questya: Kto będźie nád Tyrem Krolował?
Łátwo zás Balkazara, y wielcy y mali
Poznawáią, bo go wprzod, y słusznie kocháli.
Ják Oycá nienawidzą powszechnie, dla złośći,
Ták tego mile widzą, dla iego skromnośći.
Náwet długie nieszczęśćia, co ná niego biły,
Dobre iego przymioty, bárdźiey okrásiły.
Te im go zálecáią. A Narbal, do kołá
Starcow Tyru, y Rządźcow, y Kápłánow woła.
Z ktoremi Balkazara już zá Krolá wita,
Proklamuie przez Woźnych, y kto nie rad! pyta.

Pospolstwo akklamuiąc, wykrzyka radosne,
Astarbe, ich z Páłácu słucha, y zazdrosne
Serce się z Joazarem icy, bez wstydnym, puka.
Gdy swoich złych creatur, wcáłym zamku szuka,
Ale owi źli ludźie, ktorych zá żywotá
Krolewskiego, do usług icy, trwała ochota,
Wszyscy ią odstąpili. Bo się źli, złych boią.
Y poty o nich, poki pomoc mogą; stoią.
Ale ich rząd gwałtowny, y Tyránski znáią,
Y iákby im był ćieszki, mądrze przestrzegáią.
Wolą záś záwsze dobrych; bo ich rząd iest skromny,
Y łáskáwszy, ná káżdy upadek ułomny.
Nikt tedy przy Astárbie z icy ludźi nie został,
Tylko ten ktory wiedźiał, że się ná śmierć dostał.
Kryminałow naygorszych zostáli kompany,
Tym czásem Páłác, szturmem wźięty, odebrány.
A owi sceleraći, nie broniąc ućiekli,
Astarbe się przebráłá, gdy wpadáią wśćiekli,
W niewolniczą odźieżą, y gdy się udáie
Wyniść z Zamku, áż ieden żołnierz ią poznáie.
Porwą ią záraz, y już káżdy się gotuie
Rozdźieráć jędzę. Ale Narbal ią salwuie.
Y práwie unurzána, z błotá ią wyrywa;
A oná w tym tumulćie, wdźięcznych słow dobywa,
Y prośi mowić z Krolem. Mniema że gdy błyśnie
Cudem swoiey urody, serce Páńskie pryśnie.
Zmyśla, że zbyt potrzebne sekretá odkryie:
Balkazar to pozwala, y mowi, niech żyie.
Kiedy przed młodym Krolem, ále mądrym stánie,
Urodą y skromnośćią, litość, w swoim stanie
Ták wymodz potráfiáłá, że serce surowe,
Y kocháć, y odpuśćić, już było gotowe.
Záczęłá od pochwały Krolá, delikátnie,
Ják ią kochał Pygmalon Oćiec! Ták udátnie
Wiodąc dyskurs, y zebrząc przez święte popioły,
Oycá, y swe dla niego podięte mozoły,
Wzywa Bogow pomocy, iákoby ich znáłá,
Dopieroż, z tákim wdźiękiem, strumień łez wylałá,
Ze kiedy się do Páńskich kolan, worem rzuca,
Puł gniewu, y puł pomsty, już z sercá wyrzuca.

Ale

Ale záraz niecnotá, naypoczćiwſzych ludźi,
Potwarza, y oskarża, y myśli że wzbudźi
Balkazara, iák Oycá, nie raz prowádźiłá
Do ſuſpicyi, przez ktore, ták śiłá broiłá.
Skárży y ná Narbala, że ná Krolá ſpiski
Ciche czynił, y myślał bydź korony bliski.
Że fakcye w poſpolſtwie, przećiw niemu czynił,
Y że Balkazárowi, moc rzeczy záwinił.
Podobne kalumnie, na Brátá Narbala,
Y ná innych Tyryicow, bezbożnicá zwala.
Czego Balkazar zćierpieć, nie mogſzy już dłuży,
Chcąc skáráć ták złość wielką, iák y wymysł duży,
Przerwał ią, y wźiąć zá kárk, tę kazał złośnicę,
Y Wárćie, wrzućić prędko, w głęboką ćiemnicę.
Naymędrſzych z ludźi ſtárcow, ná ſpráwę wybrano,
Od ktorych, z wielkim dźiwem, ná oczy uznano,
Że Krolá w przod otrułá, potym udusiłá,
Kryminałow, ják włoſow ná głowie, nośiłá.
Skazano ją ná mękę, śmierć w Tyrze zwyczáyną,
Ná wolne upieczenie. Co gdy jey nie táyno,
Gdy ſię dowie, że więcey nie pomogą ſztuki,
Wśćieka ſię ná kſztałt jędzy, álbo raczey ſuki,
Y trućiznę, ktorą to, ná ſobie nośiłá,
Długich ſię mąk boiąca, do rázu wypiłá.
Poſtrzegłá Wartá pożno, że ćierpi gwałtownie,
Porátowáć ią chćieli, lecz złość niewymownie
Wielka, gadáć nie dáłá. Y tylko skazałá
Znákiem, że już rátunku mieć więcey nie chćiáłá.
Mowiono jey o Bogách, y ich ſtráſznym ſądźie,
Ale oná grzech ná grzech, błąd kładąc ná błądźie,
Słuſznego żalu nie ma. Ráczey pátrząc w Niebá,
Deſperácko lży Bogow, bo ich jey nie trzebá.
Bezbożność z záiádłośćią, ná twarz konáiącey
Wyſtąpiły. Ani już urody słynącey
Widźieć było, co ludźi zgubiłá ták śiłá,
Wdźięk ſię zmázał, y oczy już śmierć pogáśiłá.
Trzęśie nią konwulſya, y uſtá rozdźiera,
Śćiąga twarz, ćiągnie język, y gębę rozpiera.
Sinia bládość wyſtąpi, już źiębniecie ćiáło,
Ale nie raz ják bydlę, ſrogo záryczało.

Ná koniec też skonáłá, ſtráchem z okropnośćią
Nápełniwſzy zdumionych, nád kárą, y złośćią.
Bez wątpienia jey duſzá, w owe mieyſcá ſmutne
Zeſzłá, gdźie Dánaidy, zá czyny okrutne,
Dźiurawemi naczyńmi, dobywáią wody,
Gdźie Ixion ná kole, Tantal wieczne głody,
Z prágnieniem w rzece ćierpi. Gdźie Zyzyph czołga ſię
Z kámieniem; gdźie Tycyusz, ſempy ſercem páſię.
Balkazar, uwolniony od monſtrum tákiego,
Ofiárámi bez liku, czćił Bogá ſwoiego.
Przećiwna mániera, záczął Panowánie,
Oycu ſwemu. Y ná to położył ſtáránie;
Zeby handel odnowił, práwie uſtáiący.
Lubo ſię bydź Narbala rádą zdał ſtoiący,
Przećię ſam wſzyſtko rządźi, y w káżdą rzecz weyzrzy,
Káżdego zdánia słucha, żadnego nie przeyzrzy.
A ſam ieden wybiera, co ſię zda lepſzego,
Kochany też, od wſzyſtkich poddánych, dla tego.
Będąc Pánem ſerc ludzkich, y skárbow ich Pánem,
Y więcey ma niż Oćiec, nád złotem zebránem.
Nie máſz tego, coby mu nie dał wſzyſtko co ma,
Gdy by mu trzebá było. Mniey tedy łakoma
Dracza Oycá zebráłá. Bo to co w ich skrzyni,
Bárdźiey iego, niźli ich, poſſeſſorem czyni.
Nie potrzebien wymyślnych, życia oſtrożnośći,
Wart inſzych nie záżywa, tylko ſwych miłośći.
Nie máſz tego, ktoryby nie bał ſię go ſtráćić,
Zá iego żywot, woli ſwoy własny, zápłáćić.
On ſzczęśliwy, y oni ſzczęśliwi wzáiemnie,
Miłość chodźi ná zamian, nigdy nádáremnie.
On ſię boi, żeby ich w dań nie przeładował,
Lud ſię boi, żeby mu, nie dość, ofiárował.
Gdy Krol ich, w obfitośći bogáctw, zoſtáwuie,
Sam nie tráći, áni ich, tą dobroćią pſuie.
Bo ſą zbyt prácowići, y im więcey maią,
W kupieckie tym ſię bárdźiey, Commercya wdáią.
Ták Phenicya, w ſtopniu nayzwyżſzym, ſwey sławy,
Y potęgi stánęłá, przez Krolewskie ſpráwy.
Temu młodemu Pánu, wſzyſtko ſzczęśćie winná,
A po nim Narbalowi, toż wſzyſtko powinná.

O gdy

O gdyby Telemaku, teraz ćię obaczył,
Jákiemi prezentámi, ćiebie by uraczył!
Z iákaby ćię rádośćią, odsyłał wſpániále,
Do Oyczyzny, y chćiałby tám ćię ſtáwić w cále.
Nie ieſtżem ja ſzczęśliwy? że co on nie może,
Wrocę ćię do Itaku, ieźli BOG wſpomoże.
Ulisſá Syná, ná Tron, ia będę lokował,
Zeby ták mądrze, iáko Balkazar, krolował.
Gdy Aduan, ten dyskurs zákończył, ták długi,
Obłápił go Telemak, y śćiſnął raz drugi.
Nie tylko zá fatygę, w tey mowie podięta,
Ale zá ludzkość, we złym ſtanie, nie poięta.
Aduan záś go pytał: Iákimby przypadkiem
Do Wyſpy wſzedł Kalipſy? ſzczęśćiem práwie rzadkim.
Telemak mu wzáiemnie, ják z Tyru wyiechał,
Opowiedźiał, ják znowu do Cypru záiechał;
Jáko ználazł Mentorá; ják z nim wſzedł do Crety;
Tám, jako przez obránie, máło ná Tron wźięty,
(Po zbiegu Idomenie) nie był; y o gniewie
Wenery; o rozbićiu; ják wyſzli ná drzewie,
Do Wyſpy Kalipſyny; ják przyjęłá miło;
Ják ſię jey z zelozyi, ſerce przewróćiło,
Dla Nymphy, ktorą on był zákochał ſzalenie;
Y mądre przez Mentora, ſercá uleczenie.
Ják go w Morze ſam wepchnąć, y z nim wskoczyć raczył,
Gdy okręt ná kotficách, Phenicki obaczył.
Po rozmowách, Aduan dał bánkiet wſpániáły,
Wſzyſtkich zmysłow, tám guſty, rázem ſię zebráły.
Młodźież w bieli Phenicka, w kwiáty uwieńczona,
Służyłá; y perfumow moc ſroga ſpalona.
Y łáwy łopátnikow, Muzyká záśiádłá,
Flutámi karmiąc uſzy, kiedy gębá iádłá.
Achitoas, pod czás ich, ſwym głoſem przerywał,
Ná lirze; tákich tonow, ow muzyk dobywał,
Że go Jowiſz u ſtołu, rad pewnie posłucha,
Y Apollo Boskiego, nádſtáwi mu uchá.
Trytony, Nereidy, Okrętu ná koło,
Morskie Boſtwá, y Monſtrá, ſwe wynurzą czoło.
Kupá młodych Phenicow, przedźiwney urody,
W bieli, w tańcách, náuki ſwey, dáli dowody.

W przod swego kráiu taniec, potym Greckim torem,
A trębácze, po wodźie, głośnym wrzali chorem.
Cichość nocy, spokoyność ná Morzu szerokim,
Xiężycá iásność, y Gwiazd, tym milszym widokiem.
Telemak, u ktorego, zbyt náturá żywa,
Rádá káżdey roskoszy, y gustu záżywa;
Lecz z wstydem doświadczywszy: iák się zaymie prędko,
Młodość! nie chćiał już sercu popuśćić, ták miętko.
Y niewinne ućiechy, záraz go lękáły.
Oczy iego, ják záżyć! Mentora szukáły.
Mentor kontent z owego iego pomieszánia,
Milczy jákby nie widźiał, áni miał stárania.
Aż ná koniec, skromnośćią zdięty Telemaka,
Z uśmiechem, temi słowy ćieszył nieboraká:
Wiem czego się ty boisz, tá boiazń chwalebna,
Ale ja ták dáleko ćiągnąć; niepotrzebna.
Nikt nádemnie nie życzyć, ábyś miał ućiechy,
Lecz nie passyonatow, ni miętkie poćiechy.
Roskoszy, ktoremibyś mogł sobie pánowáć
Tych ći życzę, nie ktore, nád tobą krolowáć
Mogą, y wlec zá sobą. Miłych y uważnych
Coć rozumu nie biorą, y Ludźi uważnych
Nie szpecą, záżyi mądrze. Teraz ći potrzebá
Odpocząć po ćierpieniu, y wesoło chlebá
Aduana skosztowáć. Bądźże, bądź wesoły,
Mądrość nie iest surowa, odgánia mozoły.
Oná dáie roskoszy, jedyna prawdźiwe,
Oná czyste y trwałe czyni ie, y żywe.
Umie gry, y śmiech mięsza, w poważne zábáwy,
Prace kraśi ućiechą, przez nią kończy spráwy.
Zgołá, mądrość, wesołą bydź, się nie zawstydźi.
To mowiąc Mentor, Lyrę bierze, ktorą widźi,
Y z táką sztuką gra, że, Achitas zazdrosny,
Zdumiáły, puśćił lyrę swą, ze złośći sprosney.
Jáko się zápalony zmienił, widźiał by to
Káżdy; lecz ná Mentorá oczy wszystkie wbito.
Zdało się, że pochwytał, słucháiących uszy,
Boi się kto odetchnąć, duszac się nie ruszy.
Z tey pieśni, práwie Boskiey, boi się co stráćić,
Zeby nigdy nie skończył, chćiało się, mu płáćić.

Nie

Nie były tám pieſzczone białogłowskie trele.
Lecz głos mocno obrotny, dawał páſſyi wiele.
Naprzod: śpiewał Jowiſzá, Oycá Bogow chwały,
Jáko iednym skinieniem, rozrządzał świát cáły.
Potym: iáko Minerwá, z jego rodna głowy?
To ieſt, cny dar mądrości, dla ludźi gotowy,
Lubo w Bogu zrodzony. Y te táiemnice,
Mentor śpiewał, ták jáśnie: że káżdy przed lice
Jowiſzá, zdał ſię ſtawác, ná Olympie ſamym.
Potym záś, o Narcyſſie śpiewał, oſzukanym,
Pięknośćią twarzy ſwoiey; ktora widząc w wodźie
W nurt wskoczył, y śmierć łowił, głupi, w ſwey urodźie.
Ná koniec Adoniſa, márną smierć wytyka,
[Y Wenery płacz o to] ćiętego kłem dźika.
Łez nie mogli utrzymáć, ći co go słucháli.
A we łzách, jákąś roskoſz miła znáydowáli.
Kiedy záś śpiewáć przeſtał, po ſobie poyzrzeli,
Z dźiwem, zá Orpheuſzá sławnego, go mieli.
Ten mowi, Orpheuſz to, y tak jego lira,
Ciągnie dźikie zwierzęta, y láſy zábiera.
Ták Cerbera ukoił, y od tákiey ręki,
Ixion, Danaidy, zápomniały męki.
Tym, nieużyty Pluton zmiękczon, ſię zapala,
Y wyniść Eurydyce, z nim, ná świát, pozwala.
Drugi woła: Lincus, ſyn raczey Apollina.
Trzeći záś: że Apollo. Swarka ſię poczyna.
Sam Telemak, ják drudzy, rośći w ſobie dźiwo.
Bo, że on grał ták dobrze, nie wiedźiał iák żywo.
Achitas zaś, (że miał czas, przyiść trochę do śiebie)
Kryie zazdrość, y chwały, choć nie ſpore, grzebie.
Chwali go, á wſtydźi ſię, y nie kończy mowy.
Mentor go záś przerywa, przez komplement nowy,
Y ćieſzy go, pochwały winne mu oddaiąc.
Lecz darmo, on ſię korzy, Mentora cześć znaiąc.
Rzecze po tym Telemak: Pomnię Aduanie,
O twey drodze Betyckiey; Mam ćiekawość ná nię.
Bo takie, o tym Kráju, cuda powiádaią!
Ze ledwo, z podobieńſtwem wiáry, ſię zgadzaią.
Raczże nam opowiedźieć to, co prawda iawna.
Bardzo rad (rzekł Aduan) Ta kraina sławna!

Co ieſt? powiem wam wſzyſtko, y iák to przechodźi!
Cośćie tylko słyſzeli? to ſię wierzyć godźi.
Rzeka Betys, przez żyżny kray, obſzernie płynie,
Niebem zawſze pogodnym, y łaskawym słynie.
A całemu Kraiowi, ſwe imie nadaie,
U kolumn Herculeſa, tam gdźie Morze kraie
Wielką Afrykę; z Tharſys, tam w Ocean wpada,
Zda ſię, że w tym ſię kráiu, wiek złoty zakłada.
Zimy wolne, ani dmą oſtre Akwilony.
Letni skwar, Zephirami zawſze, oſtudzony,
Co powietrze, w południe ſamo, dźiwnie chłodzą.
Wioſna, Ieśień, cały Rok, iakby w ślubie chodzą.
Ziemia buyna, każdy Rok, dwoie żniwa nośi.
Gora każda, trzod, owiec, mnogość, ledwo znośi.
Kruſzcow złotych y ſrebrnych, w tym Kraiu nie mało;
Ale ſię ich, mieſzkańcom, dobywać nie chćiało.
Nie z gnoyſtwa, ale z wzgardy; bo ſwoią proſtotą,
Szczęśliwi ludźie, cále nic nie dbaią o to.
Ani to skarbem zowią. Szacuiąc jedynie,
Co na ludzką potrzebę, im ſię zda, y słynie.
Gdyśmy z niemi naſz handel, z razu rozpoczęli!
To z złota, co z żelaza u nas, oni mieli,
Jak to lemieſz, y inne goſpodarskie ſprzęty.
Monety zaś nie znali, ni pieniądz tam wźięty.
Stan ludźi, ieſt Paſterski, álbo też Oraczy,
Mało co Rzemieślnikow, w ich Kraiu obaczy.
Rzemiosła, tylko ćierpią te, ktore potrzeba
Wyćiąga, koło wełny, albo koło chleba.
Niewiaſty wełnę przędą, tkaią ią, y wleką,
Jeść gotuią dla wſzyſtkich, y chleb ślicznie pieką.
Ta im łatwa robota, bo mlecznami żyią.
Z skorek dobrze wyprawnych, y obuwia ſzyią,
Dla mężow, dźieći, śiebie. Także y namioty,
Z woskowanych skor, albo z drzew, dźiwney roboty.
Piorą chuſty, y ſuknie, y bez sługi żadney,
Trzymaią ochędoſtwo w domu, y rząd ładny.
Sukien zaś, tam nie ſzyią, tylko obwijaią,
Sztuką ſię materyj, y wſtyd zakrywaią.
Daiąc formę iako chcą, tey ſukni tak modney.
Do mieſzkania zaś ſwego, ſtruktury wygodney.

Procz

Procz namiotow, nie maią. Za wſtyd by to brali?
Gdyby trwalſzą rzecz nád ſię, ná ziemi ſtawiáli.
Dość, áby od powietrza złego, ich zákryły.
Rzemiosł ſztukámi, (ktore ſą w cenie, y były,
U Grekow, y Egyptow) brzydzą ſię wſzyſtkiemi;
Prożnośći wymysłámi, zowiąc pieſzczonemi.
Kiedy im powiádáią: że inſze Narody,
Páłáce pyſzne w mury, przedźiwne w ogrody,
Ruchomośći ze złotá, máterye lite,
Haftowáne, kleynoty, potráwy obfite,
Perfumy ná kádzenie, y muzyki brzmiące,
Máią, y inne rzeczy, roskoſzy służące?
Zá ludźi nieſzczęśliwych, tych wſzyſtkich ráchuią:
Ze pracą, y dowćipem ſwoimże, ſię pſuią.
To wſzyſtko [mowią] ſwego Poſſeſſorá męczy,
Jáko ma to utrzymáć? Nie mniey tego dręczy,
Co nie ma, y żeby do tego przyſzedł złotá!
Do gwałtu y wydárćia, bierze go ochotá.
Możnaſz to! dobrym názwáć! co ich czyni złemi!
A ſaſz ći ludźie, nád nas mocni? y zdrowſzemi!
Zyiąſz dłużey? Y śiebie, czy lepiey kocháią?
Czy żyćie ſpokoynieyſze, y weſelſze máią?
Y owſzem, iedni drugim, muſzą tám zazdrośćić;
Zazdrośćią źrzeć ſię wzaiem, ambicye rośćić.
W iednych łákomſtwo, w drugich ſtrách, poznáć nie dáie
Proſtego, lecz pewnego ſzczęśćia, ktore táie
Przed niemi. Ták, dla zbytkow ſwoich, bydź im przyſzło
W niewoli! od ktorych, to ich ſzczęśćie, záwisło.
Ták ći ludźie gadáią, ktorzy mądrey cnoty
Uczą ſię, y czerpáią z nátury proſtoty.
Náſzą ſię polityką, káżdy cále brzydźi,
Ich záś milſza, mym zdániem, y náſzą záwſtydźi.
Bez podźiału rol, żyią. Y wſzyſtkie rodzáie,
Nayſtárſzego słucháią, ktory im rząd dáie.
Ten prawdźiwy Krol w domu. Káżdy Oćiec práwo
Ma, w rodzáiu ſwym, skaráć; iednákże tą ſpráwą
By zwołał wſzyſtkich krewnych. Ledwo ſię doſtáie,
Skaráć kogo niewinnie. Ták w nich obyczáie,
Poczćiwość, Posłuſzenſtwo, wiáry dotrzymánie,
Wſtręt grzechu, w tym tam kraiu, obráły mieſzkánie.

Y Sędźiow im nie trzebá, bo włáſne ſumnienie,
Y przeświadcza, y dekret da, ná potępienie.
Wſzyſtkie dobrá, ſpołecznię, y więdno zbieráią,
Ziemskie fruktá, y mleczną; potym rozbieráią.
Nikt nád to, co potrzebá, nie weźmie, ni krádnie,
Z iednego mieyſcá, w drugie, przenieśie śię ſnádnie,
Gdy paſzy mu nie ſtánie, álbo pozywienia.
Y z tąd, nigdy nie będźię, u nich powádzenia,
Bo ſię wſzyſcy kocháią, y nie máią o co,
Wádźić ſię. Boć to tylko bogáctwá, kłopocą.
Ktorych to oddalenie, y rokoſz omylnych,
Czyni pokoy, y zgodę w ludźiách, ile dźielnych.
Ci rowni wſzyſcy ſobie, y prawdźiwie wolni.
Stárſzeńſtwo tylko od lat, álbo kiedy zdolni
Młodźi, wielkim rozumem, y ſtárym zrownáią,
To tych iáko nayſtárſzych, posłuſznie słucháią.
W tym kráiu, miłym Bogom, nie słyſzano zdrády,
Przekleǳtwá, y pieniáctwá, gwałtu, woyny, zwády.
Krew ludzka, tey tam świętey ziemi, nie zmázálá,
Y chybá ſię jágnięca, kiedy zfárbowálá.
Gdy im, krwáwych bataliy ziadłośc powiádáią,
Jak Páńſtwá záwojują, ják ich wywracáią,
Smieią ſię y dźiwuią, mowiąc: To to ludźi!
Máło im ná ſwey śmierći! że ich wśćiekłość budźi,
Prędſzą ſobie zádáwáć. Nam ſię krotkie żyćie
Zda bydź, á tym záś długie, gdy ſobie zábićie
Wymyśláią. A ná toſz ſą ludźie ná ziemi!
Zeby ſię żárli, śiebie czyniąc nieſzczęſnemi.
Te Betyki Narody, ani poiąć mogą,
Ze wielkich Bohátyrow, ktorzy mocą ſrogą
Podbijája Kroleſtwá, u nas eſtymuią.
Chćieć pánowáć nád wielą, w ſzaleńſtwo ráchuią.
Bo ieśli niemi rządźić! rządźże ſpráwiedliwie.
To ieſt, bydź niewolnikiem poddánych, prawdźiwie.
Jeſzcze temu ludowi, ktory ſam obierze
Kroiá, y obránego chce słucháć, w ſwey wierze,
Może człowiek pozwolić, w miaſt Oyca, Páſterzá;
Lecz ſię tego dobijáć, y człeká iák zwierza,
Podbijać! y przećiwko woli ich chcieć rządźić!
Y to nazwać honorem! Muśi ten lud błądźić.

Krol

Krol woien, ieſt to człowiek, ktorego Bogowie
Rozgniewáni, zá grzechy, ná ich zeſzlą zdrowie,
Ná kroleſtw wywrocenie, y zgubę do ſzczętu,
Ná ludzką biedę, tego záżyć inſtrumentu.
Wolnych nás Bog potworzył. A Krol w niewolniki
Obráca, y ten Krol! ma bydź dobry! dźiki!
Człek, ktory słáwy ſzuka, azáſz niema drogi
Mądrze záżyć; co Bog dał! nie przez umysł ſrogi.
Mniema on, że inaczey pochwał nie zárobi,
Tylko kiedy co wydrze, y gwałt iáki zrobi.
Táſz to ieſt máterya słáwy, bydź Tyrannem!
Pyſznym! nieſpráwiedliwym! ſąśiádom bydź Pánem!
Ná wolnośći obronę, woyna ieſt godźiwa.
Ale kiedy, ſwą máiąc, á cudzey ieſt chćiwa
Wolnośći! to ieſt rozboy. Gdy będąc náwoli,
Bez potrzeby chce podbić drugich, do niewoli;
Ci, wielcy rozprzeſtrzeńcy ſwoich gránic, ſtráſzni,
Do rzek wielkich, z rownáni ſą podobnie właśni;
Ktore kiedy rozleią, háłás wielki czynią,
Ale iákiey záś ſzkody ubogim náczynią!
Gdy Betyki, Aduan, tákie opiſanie
Uczynił. Aż Telemak, rożne mu pytánie,
O tym Kráiu zádáie. Naprzod: Czy pijáią
Wino? Adwan odpowie, wgronách go iádaią.
Y lepſzego mieć trudno. Lecz robić nie każą,
Y brzydzą ſię nim ſtráſznie, iák ludzką zárázą.
Zá trućiznę go maią, z ktorey człek ſzaleie,
Choć nie umrze, ále iák beſtya, niemieie.
Záchowáć w prawdźie zdrowie; ále obyczáie
Dobre gubi. Telemak, pyta o zwyczáie,
Y práwá, o Małżeńſtwách, iák ie záchowuią!
Każdy iedną ma Zonę, y tę konſerwuią,
Aż do śmierći, (odpowie) Ják záś unás, żony
Honor, ná cnoćie iey, ieſt wſzyſtek, záwieſzony;
Ták u nich ná Męzczyskiey záwisł poććiwośći
Honor Zony; dla tego, Małżeńſtwa wmiłośći.
Y żaden Narod, czyſtſzey ni bárdźiey oſtrożney,
Pieknieyſzey, y weſelſzey, á bárdźiey pobożney
Płći nie ma. Mąż y Zoná, duſzá wiednym ćiele,
Goſpodárską, bez ſporki rzecz máią, wpodźiele.

Mąż wpolu, Zoná wdomu, prácuie y robi,
Pomaga mu, y iemu iednemu się zdobi.
Ufność spolna, nieták się urodą podoba,
Jáko wszytka z miłości, y pracy, ozdoba.
Skromność, miła społeczność, obyczáie czyste,
Zyćie im, bez choroby, spráwuie wieczyste.
Widźieć tám stárcow, polat stu więcey, máiących,
Czerstwych, zdrowych, wesołych, y wyskákuiących.
Jeszcze pyta Telemak: Czym się ochrániáią?
Ze z drugiemi Sąśiády, woyny niemiewáią.
Aduan (rzekł) Natura, ich precz oddźieliłá
Od drugich, tu ztąd morzem, tu, gory stáwiłá.
Lecz dla ich cnoty bárdźiey, sąśiedzkie Narody,
Szánuią ich, y nietkną, niż dla tey przeszkody.
Nie raz ich, y zá Sędźiow, między sobą bráno,
Y Miast (co o nich sporká byłá] powierzano.
Ze ten Narod ták mądry, nic gwałtem nie bierze,
Nikt się go też nie strzeże, ufáiąc ich wierze.
Słysząc, że są Krolowie, ktorzy pychą srogą,
O gránice swoich źiem, zgodźić się niemogą,
Strásznie się śmieią z tego. Mowiąc: czyli zbędźie
Ziemie, Ludźiom ná świećie! przy rostropnym rzędźie.
Gdy by się kto, y ńászey nápárł, w nápaść źiemi,
Byleśmy mieli drugą, y od tey poydźiemy.
Ze w nich zdrády, y pychy, ni cudzych Páństw chęći
Niemász, dla tego, Woyná u nich się nie kręći.
Niema się Sąśiad, odnich, nigdy bać niczego,
Ani też widźi, żeby ten lud bał się iego.
Gdyby przyszło do woyny, álboby opuśćił
Swoy Kray; álbo ten Narod, zábić się dopuśćił,
Niżby się dał mu podbić. Y iák on niemyśli
O drugich, ták by niedał się, gdyby nań przyszli.
Y ták wieczny im pokoy, od Sąśiad y wdomu,
Nieboią się nikogo, niewinni nikomu.

Aduan Dyskurs kończąc, słowy ćiekáwemi,
Przydał: kiedyśmy, hándel záczynáli z niemi.
Lud Betycki zdźiwił się, gdy widźiał, przez wody
Płynące zdala, cudze do śiebie národy.
Z ludzkośćią nás przyięli, y bez żadney płacy,
Záraz wszystko przynieśli, co z swey mieli pracy.

A coim

A co im pozostáło nád potrzebę, wełny,
Uczynili nam prezent, drogi y zupełny.
Niemász gustu większego im, iák podárowáć
To co im nád to zbywa, coby mogli schowáć.
Bez żadney nam trudnośći, kruszcow pozwolili,
Iáko im niepotrzebnych. Nádtym się dźiwili:
Ze rozumy, przez pracę, y moc kosztow srogą,
We wnętrznośćiách cney źiemi, tego szukáć mogą!
Co się niezda, ná życia potrzebę prawdźiwą.
Nie kopáyćie, [wołáli] tak głęboko, chćiwo,
Kopáyćie ią powierzchu, to wam ten skarb wyda,
Ktory, ná pokarm wászych ciał, użyć się przyda.
Częstośmy ich náuczyć myśleli żeglowáć,
Y dźieći ich z sobą wźiać, áby ie wychowáć;
Ale nigdy niechćieli, áby się uczyli
Ták żyć, iák z dźiwem ná nás, że żyiem, pátrzyli.
Poucza się (mowili) potrzebowáć tego,
Obeyść się może człowiek, wygodnie bez czego.
Będą chćieli, nábywáć obfitośći złotey,
Y dla oney nabyćia, postrádáią cnoty.
Będą temu podobni; ktory máiąc nogi,
Niechce chodźić, lecz się da nośić, w wymysł srogi.
Zeglarce dźiwili się, dla ták cudney sztuki;
Ale ták niebespieczney, bali się náuki.
Jeśli ći ludźie (rzekli) ieść co w domu máią,
A czegosz! ztákim stráchem, u cudzych szukáią!
Czego dosyć náturá ma, nie máią oni;
O iákby godni byli, złey ná Morzu toni!
Kiedy, w burzy pászczęce, szukáią ze stráchem,
Czym łákomstwo nápełnić. Máiąc pod swym dáchem,
Czym náturę nákarmić. Telemak do końca
To słucháiąc ćieszył się, że pod biegiem słońca
Jest Narod, ktory w mądrey, natury prostoćie,
Może wszczęśćiu opływáć, y trwáć wpiękney cnoćie.
O iák te obyczáie (mowił) cále rożne
Od nászych! ktore dumne, y wszystkie są prożne,
A, za mędrsze się máią. Ledwo się chce wierzyć:
By kto te ich zwyczáie, zá bayki mogł mierzyć.
Ráczyi násze zwyczáie, zdáć się im powinny,
Iáko sen, ále sen zły, Niebu, źiemi, winny.

Gdy Telemak z Adwanem, ták długo gádáią;
O śnie, y że już pułnoc, wraz zápominąją.
Moc Boska nieprzyiázna, obu oszukáłá,
Od Jtáku bliskiego, co raz ich oddala.
Neptun, lubo Phenikom, od wiekow łáskáwy,
Ale, ná Telemaka záwźięty y żwawy,
Znieść nie może, że wyszedł z burz, od się zesłánych
A nuż Wenus, że się śmiał z owych niesłycháuych
Mocy iey, y Kupidá; gdy ią wezmą żale
Rzuca Paphos, Cytherę, y Pańſtwo Jdale:
Iuż iey honor nie miły, co iey Cypr oddawał,
Gdy iey kontempt Telemak, wtym mieyscu zadawał.
Idźie ná gorny Olymp; gdźie w świátło przybrány
Tron Jowiszow, od Bogow wszystkich opásany.
Z tamtąd gwiazdy, ktore się pod nogámi kręcą,
Widzą, y świát nász ziemny, Niebem iák obręczą
Sćiśniony; lecz tak máły, iák káwáłek błotá,
Morza; iák kropla wody, wszystko iák lichotá.
Páńſtwa nayobszernieysze, iáko piasku ziárno,
Narody, Woyská, Mrowki bijace się márną
Osłomkę, álbo proszek. Y przetoć Bogowie
Smieią się tam z nászych spraw, co nam biorą zdrowie.
Násze kłotnie, zawody, Rády Woyn, y inne,
U nich są, iákby u nas igrászki dźiećinne.
Y co my wspániałośćią, bogáctwy, y sławą
Zowiemy, to u Bogow, ieſt naylichsza sprawą.
Wtym naywyższym, Tron sobie założył, mieszkániu
Iowisz; A oczy iego w nayskrytszym ſtárániu
Ludzkim, wskroś przenikáią, serca záźieráiac,
Y miły Pokoy ná świát, z świátłem rozśiewaiąc.
Gdy zás głową potrząśnie, drżą Niebieskie gmachy,
Sámi náwet Bogowie czuią kárne ſtráchy.
Wten czás, Boſtwá nákoło iego, się zebrály,
Kiedy Wenus ſtanęła, y znią orszak cáły
Wdźięków, ktore w iey pierśiach pieszczonych, się rodzą,
Náiey szczęśćie, więcey się kolorow wywodzą,
Niż ná Tęczy, kiedy się podczás chmur uſtroi,
Y koniec burz przynośi, ktorych się świát boi.
Pyszna szátá iey byłá, przewiązána pásem,
Ná ktorym, roskosz y wdźięk, haftowáne z wczásem.

Włosy,

Włoſy, złotą iglicą, iák niedbále zdięte,
Bogowie, w zadumięnia wpádli, niepoięte,
Dźiwow, y zákochánia Tey Bogini pełni,
Jákoby iey nieználi, y iákby śmiertelni.
Iák gdy po długiey nocy, Phebus świát oświeca,
Ták im w oczách ieſt Wenus, iáko iaſna święca.
Pátrzą ná śię, ále záś, w Nią oczy wrácáią,
Płácz iędnák w iey powiekách, y żal uważaią.
Oná iednák, do Tronu Oyca, poſtępuie,
Wdźięcznym krokiem, iák gdy Ptak z ćicha przylátuie.
Widźi ią z wdźiękiem Jowiſz, uśmiecha śię miło,
Powſtáie, y śćiska ią: Corko! coż to było?
(Rzecze) Y czegoſz płáczeſz? co twoie zá troſki?
Twoich łez, moy niemoże znośić umysł Boski.
Nieboy śię, otworz ſerce, wſzak znaſz me kochánie.
Odpowie Wenus, wdźięczne mięſzáiąc chlipánie:
Oćiec Bogow y ludźi, ktory wſzyſtko widźi,
Czy może tego nie znáć! co mię ná śmierć biedźi.
Minerwa, nie kontenta, że Troię zburzyłá
Z fundamentu, ktorąm ia przepyſzną broniłá,
Nie dość máiąc na pomśćie z Paryſa, co moię
Przełożył nad iey piekność; Tego, ktory Troię
Wywroćił Uliſſeſſa, Syná, y przez morze
Wodźi, y przez mą źięmię; Co mi ſerce porze.
Minerwa, Telemaka nie odſtąpi wſzędźie,
Y dla tegoć iey niemaſz, miedzy námi w rzedźie.
Zuchwałego Młokoſa, na moy Cypr záwiodła,
Zeby moię moc wzgárdźił, náto go przywiodła.
Nie ráczył, ná ołtarzu palić, mym kádźidłá
Feſt ná mą cześć ſprawiony, rzecz mu śię obrzydłá,
Zdała, y ſwoie ſerce zamknął ná roskoſzę,
Te wzgárdy y niecześći, odnich ia ponoſzę.
Darmo go, na mą prozbę, Neptun chćiał pokarać,
Wiátry, burze, nań ſpuśćił, umiała śię ſtárać
Zła Minerwá, o niego. Przez ſrogie rozbićie,
Wſzedł ná Wyſpę Kalipſy, kędy on ſowićie,
Z ſamego Kupidyna mego; tryumfuie,
Ktoregom tám zesłała, y zniego żártuie.
Ani tego Greczyna, Kalipſyne wdźięki,
Ani Nymph Młodość, áni ſtrzały z Syna ręki,

 Zniewo-

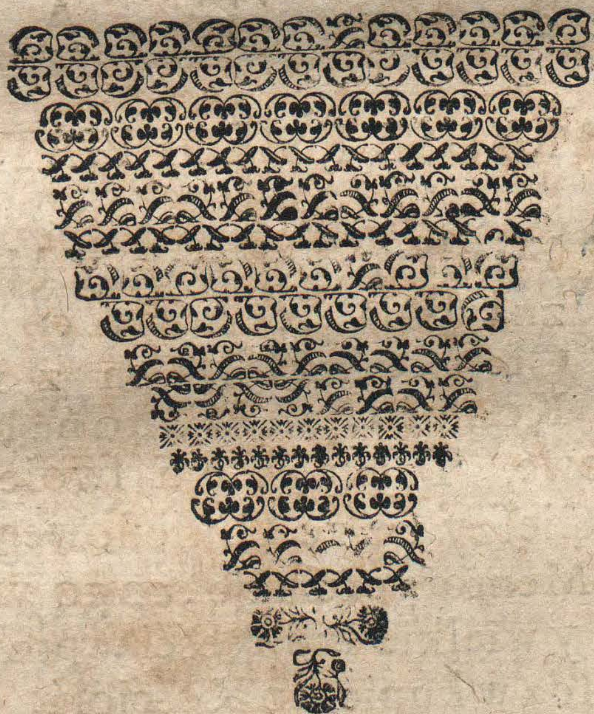
Zniewola! y Minerwy przewyższa nauki!
Wyniosła go z tey Wyspy. Drwią ze mnie iey sztuki.
Jowisz, cieszac Wenerę, rzekł, z pod Baldechina:
To prawda, że Minerwa, tego to Greczyna
Serca broni, od ciężkiey Syna twego strzały.
Ze mu sławę gotuie, ktorey niedostały
Młode láta, w kim inszym. Jać tego żałuię;
Ze wzgárdził twe ołtarze, że cię kontemptuie,
Ale go pod moc twoią poddáć, żadną miárą
Niemogę; Tą dla ciebie, náwiedzę go kárą:
Zeby ieszcze po Morzu błądził, y po ziemi,
Daleki od Oyczyzny, między nieszczęsnemi,
Ustáwnie przypadkami. Bo przedwieczne fata
Niechcą, áby go zguba potkała, y stráta.
Ni żeby iego cnotá, twoiey się roskoszy
Poddała, ktorey się człek żaden nie wyprosi.
Pocieszże się ma Corko, że ták siłá innych,
Y Bogow masz w okowách, iákby więźniow winnych.
To mowiąc, uśmiechnął się, z wdziękiem y powagą,
Jásność z oczu wybuchnie, y obtoczyła go.
Wenerę pocałował, y tákie zápáchy
Rozlał Ambrozyi, że się nią, Olimpu gmáchy
Napełniły. Pieszczota táka, Wenus zdięta,
Rumieńcem twarz farbuie, ktorym więc świát pęta.
Kryiąc iednak pociechę, twarz w Welum zasłania,
A Bogow zgromadzenie, Jowiszowe zdania,
Applauduiąc potwierdza. Więc czásu nie tráci,
Pobiegła do Neptuna, wswey gładkiey postáci.
Opowiada mu wszystko, co w Niebie słyszała.
Wiedziałem ia (rzekł Neptun) iáko moc iest trwáła
Fatum, y nie w zruszona. Ieśli nie możemy
Utopić Telemaka, to się zdobędziemy,
Czynić go nieszczęśliwym. Ani do Jtáku
Puściemy go. Będźiesz miał zá swe Telemaku!
Zeby Okręt Phenicki zginął, nie pozwolę.
[W ktorym on iest] inszego figla záżyć wolę.
Bo Phenicki lud, iest moy, ni narody żadne
W Páństwách moich handluią, ták iák oni, łádnie.
Przez nich, Morze stáło się, iák iákie związánie
Spolney Krolestw miłości, przez spolne poznánie

Są mądrzy, ſpráwiedliwi, pracowići z goła,
Ani ná me Ołtarze, żáłuią mi woła.
Wygodę y obfitość, po świećie roznoſzą
Y te ich to zasługi, wdźięczność moią noſzą.
Bogini! niemogł bym znieść rozbićia okrętu,
Ale zadam Szyprowi, tyle w głowie krętu,
Ze trákt zmyli, y będźie od Itáku dáliy.
Wenus z tego kontenta, ráde iego chwali.
Y złośliwie ſię śmieiąc, do wozu powráca,
W kwitnącą Jdalią, lot ſzybki obráca.
Tám wdźięki, gry, y śmiechy, z tańcem ią witáią,
Wonne kwiećia, ná przyiazd ſwey Páni rzucáią.
A Neptun, iedno Boſtwo śle, ná oſzukánie
Podobne do ſnu, ktore, choćiaſz y w nieſpánie
Zmysły ludzkie omamia. [Ten Bożek złośliwy
Orſzak miał koło śiebie wſzelkich kłámſtw, fałſzywy,
Látáiących.] Y zaraz, w Achamaſa oczy
Szyprá, liquor ſubtelny, lecz zdrádliwy toczy.
Wtedy, gdy gwiazd uważa iásność, y mieśiąca,
Stáwia mu ſię Itáku wyſpá, zbliżáiąca.
Niebo mu ſię y źiemia, obráca fałſzywie,
Y nic już ſam nie widźi, iák widźiał, prawdźiwie.
Zmyślony Jtak, w oczách tego Szyprá ſtoi,
Báwi go, umyka ſię, y żart z niego ſtroi.
A on, Itak prawdźiwy, w zádźie zoſtáwuie.
Kiedy do fałſzywego, zwiedźiony, żegluie.
Wtym, Obraz wyſpy, nagle, z oczu mu ućieka
Nie poymuie, co ſię to dźieie, y nárzeka.
Raz mu ſię zda, że w Porćie już, ſtukánia słyſzy,
Y przeto ſię gotuie, przyſtąpić w poćiſzy,
Do bliskiey máłey *wyſpy*; áby Telemaka,
Gáchom Mátki, utáić przyiazd, do Itáka.
To znowu bał ſię skáły, w ktorey ten brzeg ſtráſzny
Zdał mu ſię, gdy huk słyſzał fal bijących własny.
To rázem, źiemia mu ſię, dáleko u każe,
Y Gory iák obłoki, gdy ie słońce máże
Ciemną umbrą w zachodźie. Achamas zdumiony,
Od Bożká odrwićiela, w oczách omamiony,
Nieznáną dotąd, w ſobie, impreſſyą czuie,
Y śni mu ſię ná iáwie, nie ſpiący nocuie.

Tym czáſem Neptun, każe *wſchodniemu wiátrowi*,
Dać w Zagle, Heſperyi, pędźić ku brzegowi.
Posłuſzny wiátr, ták mocno dmuchnał, w owe żagle,
Ze nád brzegiem ſtánęli, gdzie niechćieli, nagle.
Iuż iutrzenká złoćiſta, dźień miły ogláſza,
Iuż Słońce, gwiazdy w Morze pędźi, y przeſtráſza.
Gdy Szyper krzyknie: Iuż teſz ia wątpić nie mogę
Telemaku, już Itak! kończ biedę, y drogę.
Cieſz ſię, bo zá godźinę, Cną Mátkę obaczyſz,
A pono, *Uliſſowi* do nog upáść, raczyſz.
Ná ten głos, ſnem Telemak dotad, iák zmorzony,
Ocknie ſię, y porywa, bieży iák ſpárzony
Do rudla, Szyprá śćiska; y wzrok wſzyſtek dáie
Ná brzeg bliski, lecz weſtchnie, y prędko poznaie
Ze nie iego Oyczyzny; Ach gdzieżeśmy (rzecze)
Myliſz ſię Achamaśie, áni to, człowiecze!
Kray ieſt tobie znaiomy! Nie. (Achamas mowi)
Omylić ſię nie mogę, ku temu brzegowi
Zbliżáiąc ſię. O iák ia! nie raz tám bywałem!
Y naymnieyſze brzegowe skáły poznáwałem.
Lepiey Tyru ia nie znam; á *widźiſz* te skáłę!
Iáko wieża kończata! Słyſzyſz huczną fale
Co ſię o nię rozbija! Minerwy kośćiołá
Nie widźiſz, aż pod obłok! Nie uważaſz zgoła,
Oyca twego Fortecy! Uliſſá Páłacu?
Ach! myliſz ſię (záwoła Telemak) ná plácu.
Tego coś mi ukazał, ia widzę Achmaśie,
Brzeg niski, y daleki, y coć Itak zda ſię,
Ieſt miáſto prawda, ále cále nie ieſt náſze.
O Bogowie! takieſz to żárty z ludźi wáſze!
Gdy to mowił, áż wſzyſtkie, w oczách omamienie
Uſtáło Achamaſa, y inſze widzenie
Stawia ſię. Iuż inſzy brzeg, y iáki ieſt: widźi,
Bład uznáie nie rychło, y z dźiwem ſię wſtydźi.
Uznáię Telemaku! [Woła] Nie przyiázne
Boſtwo iákies, ná oczy zasłony żelázne,
Włożyło mi, y kiedy widzieć rozumiałem
Jták, y iego obraz, w oczách żywy miałem,
Alić tego momentu, iako ſen ućieka,
Iuż inſze miáſto widźi, zmylona powieka.

Widzę

Widze że to Salenta. Co Idomen z biegły
Z Crety, robi w Hesperze, z tey świecącey cegły.
Widze mur podnieśiony, lecz ieszcze bez końcá,
Y forteca nád Portem, ieszcze nie broniąca.
Gdy Achamas, te nowe uważał roboty,
Rodzącego się Miástá; Telemak kłopoty
Opłákuie, z nieszczęśćiem swoim ták upártym,
Neptun okręt lokuie w kąćiku záwártym,
Nie dáleko od portu, gdźie weszli pełnemi
Zaglami, zasłonieni skałámi wielkiemi.





TELEMAKA XIĘGA PIATA.

SUMMARYUSZ KSIĘGI PIATEY.

WYśiádszy Telemak y Mentor, znáyduią Idomena co był z Crety ućiekł. Ten z swymi Kompánámi, Miásto ná brzegu funduie nowe. Telemak mu swoie Imie odkrywa. Ciefzy się że Ulissessowego Syná widźi. Mentora poznáie, co go widźiał pod Troią, y wielkie ludzkośći w przyiećiu ich czyni. Idą w kupie do Kośćiołá. Gdźie Kápłanicá Oraculum nie zrozumiáne Telemákowi głośi. Ktorego explikácyi on szuka. Idomen Krolestwá swego státum obiawia Mentorowi, y woyny w ktore się wpłatał z swemi Saśiádámi. Mentor rostrząsnawszy rácye, dla ktorych Krol ma Woyne podnośić, decyduie, że iego Woyná ta

iest

ieſt nie słuſzna, y że iey nie powinien, prowádźić, podeymuie ſię pokoy mu zrobić. Tym czáſem dáią znáć Idomenowi, że Nieprzyiaćiel podſtępuie pod Miaſto, y chce go ubieżeć. Mentor beſpieczny ſam z gałąską oliwną przećiwko niemu wychodźi z Miáſtá. Woyská Márſz záſtánawiáią. Mentor im pokoy ofiaruie. Neſtor z ſzykow wychodźi, ná tráktowánie z nim, y poznawa Mentorá, Neſtor ſię skárży, że Idomen nie dotrzymał słowá, y upomina ſię go, Mentor zá Idomená przyśięga, y w zaſtaw obiecuie dáć Syna Uliſſeſſowego. Nád tym Imieniem Neſtor ſię miękczy. Telemak nie ćierpliwy że ták długo Mentor nie powraca, wychodźi z Miáſtá, y przed Neſtorem ſtawa, ktory Oycowskie w nim podobieńſtwo poznáie, pokoy ſtawa, Publikacyą onego przed ſzykámi.

Potym Neſtor prośi Mentora, áby mogł poprowádźić Telemaka ná woynę ſpráwiedliwą przećiwko Adráſtowi Krolowi Daunienow. Mentor ná to zezwala, ále przed odiázdem dáie mu potrzebne informácye, iáko, Pan, ná woynie ſobie ma poſtępowáć.

MEntor, co dobrze wiedźiał, Neptuná okrutną
Pomſtę, z Wenery zdrádą złączoną, wierutną;
Ná ow błąd Achamaſa, uśmiechał ſię tylo,
Ták rzekł do Telemaka, w tym zaćiſzu, miło:
Jupiter ćię doświadcza, zguby niechce krwáwey
Y owſzem ći otwiera wrota, do cney ſláwy.
Na prace ieno pomniy, trwałe Herkuleſa.
Miey Oycá przed oczyma, ſwego Uliſſeſa.

Kto wyćierpieć nie umie, ten ſerca wielkiego
Nie ma, Męſtwem, ćierpieniem, wyłam ſię ze złego.
Zmorduy ćięſzką Fortunę. Co upodobánie
Wſzyſtko kłádźie, ná twoie (wieſz) prześladowánie.
Nayſurowſzy Neptuna gniew, niebył mi ſtráſzny,
Ták iáko u Kálipſy, twoyże humor właſny.
Nie bawmy ſię, wchodźmy w port, Ludu przyiáznego,
Iákby też do Oyczyzny, kiedy do Greckiego.
Idomen, od Fortuny, ták zle tráktowány.
Będźie nád nieſzczęſnemi, pewnie zlitowány.
Y záraz w port Salanty weſzli, bez trudnośći
Phenicy, z cáłym świátem, bo żyią w iedności.
Telemak z dźiwem patrzał, ná Miáſta, nadobne
Początki potężnego. Szczepowi podobne,
Co roſą nocną karmny, gdy słońce ogrzeie,
Wprzod ſię w pączki, toż w gáłąź zieloną odźieie.
A potym tyśiącnymi fárbámi máluie
Kwiatki, że co dźień nowy blask, w nim ſię znayduie.
Ták nowe Idomena Miáſto, kwitnąc rosło.
Co godźina, co w murách nowego, przyniosło.
Y zdáleka przychodniom, budownicze ſztuki,
Wynośi pod niebioſy. Cały záś brzeg huki,
Stukánia rzemieślnikow, młot gęſty w rąbániu,
Łoskot kol, przy kámieni, słycháć windowániu.
Stárſzyzna ánimuie Ludźi do roboty,
Sam Idomen od ránká, dodáie ochoty.
Ledwo Okręt Phenicki, do portu záwinie,
Káżdy Gośći przyimuie, kto ſię tam náwinie.
Dáć znáć Idomenowi o przyieźdźie ſpieſzą,
Syná Uliſſa, ktore wieśći, go ták ćieſzą,
Ze záwołał: Syn u mnie, Uliſſeſa mego
Przyiaćielá, y Męża ták wielce mądrego!
Ktory Troię wywroćił! Niechay mi tu ſtánie.
W nim pokaże, iákiem miał w Oycu podobánie.
Stáwiáią Telemaka. Krol iák gdyby go znał,
Choćbym nie wiedźiał ktoś ieſt, zárazbym ćię poznał.
Wżdyć to Twarz Uliſſowa; Oczy ognia pełne,
Wzrok meżny, co pokrywał w nim wdźięki ſubtelne.
Znam uśmiech ow dowćipny, y gęſta niedbałe,
Mowę słodką z proſtotą, krádnącą myśl cále.

Gdy

Gdy to mowił, wnet przydał: Tyś, tyś! Syn Ulissa.
Ale będźiesz y moim, iák ma krew nayblizsza.
Ale coż ćię, o Synu! na moy brzeg przyniosło?
Czy nie Oycá tu szukasz! o ktorym niedoszło
Nic mię wiedźieć. Nás obu Fortuná záwiodłá:
Iemu skryłá Oyczyznę, mnie tam ná śmierć wiodłá.
Gdy to mowił Idomen: Swe w Mentora oczy
Wlepił, że go znał kedyś, myśli sobie toczy.
Telemak záś odpowie: (zálawszy się łzámi,)
O Krolu przepuść, miey wzgląd, nad memi żalami.
Ze zátáić nie mogę, gdy się mam weselić.
Gdy ná wdźięczność y rádość, trzebá serce dźielić.
Winienem ia zá ten żal, że Oycowskiey zguby
Płáczesz, y mnie sam uczysz, płákáć go bez chluby.
Iuż to dawno, po morzách wszystkich, go szukamy
Od Bogow gniewnych, szczęśćia, znaleźć go, nie mamy.
Ni się pewnie dowiedźieć, czy utonął kędy?
My sami do Itáku, stáráiąc się wszędy,
Nie możemy powroćić; gdźie iáko w więźieniu,
Penelope, od gáchow, mdleie w obleżeniu.
Mniemałem, że ćię znaydę! w Crećie, ćie szukałem.
Tám o smutnym nieszczęśćiu twym, się dowiedźiałem.
Nigdym ia nie rozumiał, ná Hesperskim brzegu,
Y w twym nowym Krolestwie, znaleźć się w swym biegu.
Lecz Fortuna, co z Ludźi, gry sobie wyprawia.
Wodząc koło Itáku, ná twoy mię brzeg stáwia.
We wszystkich záś przykrośćiách, ktore mi wyrządza,
Tę naymiley przyjmuię; że mi to sporządza,
Lubo mię od Oyczyzny, co raz, mey oddála,
Ze Krolá ták dobrego poznáć mi pozwala.
Náte słowá, Idomen, serdecznie go śćiska.
Y idąc do Pałacu, pyta się go z bliska:
Coż to zá stárzec mądry, co idźie przy tobie?
Znam go, ále przypomnieć nie mogę go sobie.
Iest to Mentor. (Telemak onemu odpowie)
Com mu winien zá wdźięczność! kto ći to opowie!
Iemu Ulisses, młodość moią konfiduię.
W tym, Idomen mu rękę dáiąc, postępuie.
Ználiśmy się (rzecze mu) pomnisz gdyś był w Crećie!
Y gdyś, zdrowe mi rády dawał, w Gábinećie.

Ale płochość y młodość, ſmák roskoſzy prożny
Zwiodły mię. Trzeba było, by przypadek rożny,
Y nieſzczęſny wyuczył, to com niechćiał wierzyć.
Dałby to był Bog! żebym mogł ſię był uśmierzyć
Twą rádą, mądry ſtárcze. Lecz muſzę namienić:
Dźiwno mi że ták dawno, nie mogłeś ſię zmienić.
Y twarz w tobie tak czerſtwa, y ſtan proſty cale,
Taż rzeźwość, tylko głowá zśiwiáła pomále.

Wielki Krolu (rzekł Mentor) gdybym pochlebniczy
Miał ięzyk! tożbym mowił: że ſię młodość liczy
Ná twey twarzy iák przed tym, ále ćię urázić
Wolę, niżeli prawdę, ktorąć chcę wyráźić.
A przytym y twoy dyskurs, doſyć mię náuczył,
Że lubiſz ſzczerość, y żeś pochlebſtw ſię oduczył.
Zá tym, żebymći prawdę, w tey mierze, namienił:
Ledwobym ćię mogł poznáć, dużoś ſię odmienił.
Znam ći tego pryczynę; nieſzczęśćia ćierpiałeś.
Aleś śiłá záś nabył, gdy cnoty doſtałeś.
Może ſię konſolowáć, marſzczkámi na twarzy,
Gdy ſię ſercu, umácniáć w cnoćie, ćierpiąc, zdarzy.
Ale wiedz, że Krolowie, prędzey ſię ſtárzeią,
Iákiekolwiek obroty, fortuny im śieią.
W przećiwnośći fátyga, y Duſzy y ćiáła.
W ſzczęśćiu záś, ieſt delicyi pieſzczota, nie trwáła,
Bárdźiey ich, niżli praca woienna, wyćienczy.
Bo roskoſz zbyt zázyta, zdrowie z żyćiem męczy.
Z tąd idźie: że Krolowie, w pokoiu y w woynie,
Kłopoty, y fatygi miewaią ták hoyne;
Że przed láty im záwſze, ſtárzeć ſię przychodźi.
Zyćie skromne y trzeźwe, młodość co raz rodźi;
A ráczey konſerwuie, gdy troski oddala,
Y w żyćiu regulárnym, páſſyi nie pozwala.
Kto tego nie przeſtrzega, y żyie inaczy;
Ze młodość, skrzydły czáſu, uleći, obaczy.

Idomen tym dyskurſem, iákby záchwycony,
Słuchałby był Mentora; gdyby nie proſzony
Był ná feſt y ofiárę, Jowiſzowi winną,
Ktorą mu gotowáno, ze skruchą powinną.
Szli, Telemák z Mentorem, Ludem obtoczeni,
Káżdy ná nich y patrzy, y záraz ich ceni.

Wiednym

Wiednym (mowią do śiebie) żywość ieſt urody,
Wſzyſtkie wdźięki, ná iego z ſtąpiły iágody.
Lecz tá gládkość, nie má nic miętko pieſzczonego.
Ma coś, w kwiećie młodośći, rzeżwo zawiędłego.
Ten drugi, lub gdźie ſtárſzy, śił ſwych nie poſtradał.
Stanu mu ták rosłego, z wdźiękiem, Bog nie nádał,
Ale z bliská poyzrzawſzy, niby przy proſtoćie,
Mądrość, y zacność, w iego twarzy ſą, przy cnoćie.
Gdy Bogowie ná źiemię, kiedyś zſtępowáli.
Bez pochyby, iáko ći, táką poſtáć bráli.
Tym czáſem, do kośćiołá, Idomen przychodźił
[Aże śię ze krwi, Bogá Jowiſza, urodźił]
Wſpániale ten wyſtáwił Kośćioł, y bogáto.
Wę dwa rzędy, z jáſpiſu kolumn, świadczyłá to.
Gállerya, ſrebrnemi kápitelmi, lśniąca,
A tablice z marmurow, po śćiánách máiąca.
Ná ktorych, dźiwnym dłotem, wyrobione czyny
Jowiſza, kiedy bykiem pływał do dźiewczyny
Europy, gdy ią záwiozł, przez morze do Crety;
Z kąd śię Minos urodźił, świadectwem Poety.
Tenże Krol mądry, tam był ryſowány, ślicznie,
Iáko w Crećie ſwey, práwá nádawał, dźiedźicznie.
Ktoremi do tąd kwitnie. Tám wyobrážęnia
Były, rożnych Awántur; Troi oblężenia.
Pod ktorą to Idomen, wielkiey nábył słáwy.
Między tey potyczkámi, obſydyi krwáwey,
Szukał Oycá Telemák, y tamże doźiera:
Iák konie Rezuſowi, Uliſſes odbiera.
Potym, o broń dyſputę z Aiaxem, ták wálną
Achilleſa, y owę máchinę fatalną
Konia; z ktorey naypierwſzy, z żelázem wychodźi,
Y we krwi Troiáńczykow, ſam z Grekami brodźi.
Telemak, Oyca w czynách (ktore słyſzał sláwne)
Poznał; y nie mogąc śię ſtrzymáć, dawał iáwne
Zalu we łzach dowody. Lecz śię z niemi kryie.
Idomen, twarz zmienioną widząc, go zá ſzyię
Śćiska, [mowiąc] nie wſtydź śię, w oczách ludu tego
Pokázáć, iáko słáwá, y nieſzczęśćie twego
Oyca, ćię dotykáią. A tu pod Arkády
Obſzerne, lud śię zchodźi, mieſcząc bez záwady.

We dwoy rzad, ślicznych kolumn, tám dwie kupy ſtały,
Część chłopcow, y część dźiewcząt, co wierſze ſpiewały,
Ná chwałę Jowiſzową. Te dźiéci wybráne,
Długie włoſy ná plecách [á w biéli ubráne]
Miały, y z roż ná głowách wieńce, zbyt pachniące.
Idomen, ſto zábija wołow, y gorące
Modły czyni Bogowi; áby go łáskáwym
Ziednał ſobie ná Woynę; ktora przećiw żwáwym
Swoim podniosł Saśiádom. Ze krwi, Wiktym, pára
Kurzy ſię, w złotych ważach leie ſię ofiara.
Theophan ſtárzec Kápłan, y Bogom przyiázny,
Purpurą okrył głowę, y ieżeli ważny
Skutek ofiar! záglądał w pobite wnętrzności.
Potym wlazſzy ná Trypos: Coż to nam zá gośći!
Boże (krzyknął,) przyſyłaſz? gdyby nie ći byli!
Toby nás ná tey woynie, ſąśiedźi pobili.
Y Salentá, w przod niźli byłá zákończona,
Bez tych dwu, pewnieby wraz byłá obálona.
Młodego Bohátyra, widzę, mądrość wodźi.
Zá rękę; więcyj mowić, mnie ſię już nie godźi.
Gdy to mowił, wzrok dźiki, oczy biegáiące,
Y iákby, inſze przed ſię, obiekta máiące;
Twarz miał, zbyt zápaloną, iákby nie przy ſobie
Był, włoſy wſtały, ręce podnieśione obie.
Zgęby piáná ſię toczy, á lubo zátchnięty,
Głos śilnieyſzy nád Ludzki, miał on, niepoięty.
Duchá, nie mogł Bożego, w ſobie zamknąć zgołá.
Szczęśliwy Idomenie! [Iuż powtornie woła]
Co to ia widzę! y iák, uchroniſz ſię śiłą
Nieſzczęść w domu! náſtąpi ſpokoyność nam miła.
O! iák wiele otrzymaſz Zwyćięſtw, Telemáku!
W wyżſzym, sławy y proby, niźli Oćiec, znáku.
Ow dumny nieprzyiaćiel, w prochu, pod twym ięczy
Mieczem, wrotá żelázne obálić, náſtręczy
Fortuna, pod twe ſtopy. O wielka Bogini!
O młodźieńcze! obaczyſz! y więcey nie mieni
Nic; bo to słowo, w gębie práwie, mu zniknęło,
Y choć gádáć ieſzcze chćiał, ſamo ſię ućięło.
Wſzyſtek lud zięb nie z ſtráchu. A Idomen drżący,
Nie śmie mowić, tylko ſię zdumi, że nie kończy.

Telemak

Telemak ledwo wierzy, co słyszy ná uszy,
Wysokiemi Proroctwy, dziwi się y suszy.
Mentora iedynego, Duch Boży nie zdumiał.
Idomenie [rzekł] wolą Bogoweś zrozumiał:
Przećiw ktoremu ieno, Woynę, národowi
Podeymiesz, ná zwyćięstwo, bydą ći gotowi.
To, Synowi młodemu, ták sławnego Męża
Ulissa, będźiesz winien szczęśćie, twych oręża.
Nie bądź że mu zazdrosny; ráczey przyjm z ochotą,
Co ći, iego sporządzą Bogowie, więc cnotą.
Idomen przyjść nie mogłszy, z swego zádumienia.
Dármo język obraca, do słow wymowienia.
Prędzey przyszedł Telemák, y rzekł do mentora:
Ták wielka obiecána sławá, y ták spora
Szczęśliwość, mię nie tyka, bárdźiey ná te płácze
Słowá, ktorych nie skończył, że ia coś obaczę!
Czy to Oyca! czy Itak! ách! czemuż nie skończył!
Tylko mi bárdźiey głowę y serce zamąćił.
O Ulissie! o Oycze! ćiebiesz to obaczę!
Dármo sobie ia pono, w tym pochlebiać rácze.
Okrute Oráculum! pastwisz się ná demną!
Gdyby iedno rzekł słowo, iakby mi przyiemno,
Było! iákbym szczęśliwy! Mentor mu przerywa:
Respektuy co ći Boska łáskáwość odkrywa.
Nie chciey szperáć czego ći Bogowie raz taią.
Na zuchwałą ćiekáwość, z karą się gniewáią.
Mądrość Boska, Łásk pełna, słábym ludźiom kryię
Iákie będą wyroki, y kiedy, y czyie.
Dobra rzecz, bydź ostrożnym, y pátrzyć z dáleka,
Y wieść ná dobry koniec, co idźie ná Człeka.
Ale y to też dobra, spuśćić się ná Bogi,
Ani się dowiádowáć, przez kłopot swoy srogi.
Ledwo się temi słowy, Telemak uśmierzył.
Idomen przyszedł do się, y tym słowom wierzył.
Záczął chwalić Iowisza wielkiego, bez miáry
Że Telemak mu dostał się, y Mentor stáry.
Ná sławę y zwyćięstwo. Potym ich częstował
Po ofiárach, y z niemi ták záś dyszkurował:
Gdym powroćił do Crety, po woynie Troiańskiey,
Przyznáię, żem Krolowáć, nieznał sztuki Páńskiey.

Wy wiećie Przyiaćiele, co mię z Páństw zegnáło.
Bośćie byli w nich potym, kiedy się już stáło.
Y mam się zá szczęsnego, że Fortuny sztychy
Spráwiły wemnie mianę, zmieniaiąc y grzechy.
Przebyłem morza, Bogow przed pomstą, y ludźi,
Zbiegłem, y wielkość przeszła, żal mi większy budźi,
Ze spadku wstydliwego. Penaty mę Bogi
Schroniłem, ná ten pusty brzeg morski y srogi.
Gdźie źiemię nie oráną, buyną tylko w osty
Znalazłem, lásy stáre iák świát, ćiernie, chrosty.
Tu w skáłách nie dostępnych, mieszkam ze zwierzęty
Iednák y ten mię ćieszy, kray choćiay przeklęty.
Zem go mogł, z Towárzyszmi memi, opánowáć.
Co w nieszczęśćiach, nie chćieli mnie mych odstępowáć.
Z tey pustyni, Oyczyznę swą, uczynić przyszło,
Kiedy nie masz nádźiei, z ktorego się wyszło,
Kray ow widźieć, szczęśliwy, kedy się urodźić,
Dał Bog, y w nim krolowáć. Ták sobie rozwodźić,
Nie raz przyszło: O iákie to we mnie odmiany!
Iáki strászny ia przykład, ná zuchwałe Pány.
Trzeba by mię ukázać wszystkim, co kroluią
Uczyć ich mym przykłádem; Oni w myslách knuią,
Ze dla tey wysokośći, co nád Ludźmi stoią,
Nie máią się nic lękáć, y nic się nie boią.
A táż sama wyniosłość, ćieszko bać się każe.
Tym bliższy ia upadku, im nád drugich łążę.
Iam strászny nie przyiaznym? iam poddanym luby,
Woiennemu Ludowi panował, bez chluby.
Sława w dálsze národy zániosła me Imie.
W buyney y delikátney wyspie, Krol w stymie
Krolowałem, y sto Miast co rok mi hárácze
Płáciło. Y narody (czego bárdźiey płácze)
Wyznáwáły, żem ze krwi Iowisza Wielkiego,
A kocháły iák wnuká Minosa mądrego.
Ktorego wiekopomne, słyną do tąd práwa.
Coż mi nie dostáwáło! y czyiáby sławá,
Większa była! kiedybym umiał zázyć tego.
Lecz pycha y pochlebstwo, z Tronu dźiedźicznego
Zrzućiły mię. Y tákći káżdy, Krol upádnie,
Gdy zá żądzą swą poydźie y pochlebstwem, snádnie.

Iednákiem, twarz wesołą ludźiom pokázywał,
Y nadźieią, ich umysł, w troskách utrzymywał.
Zbuduymy (máwiałem im) iákie Miásto nowe,
Ná to, cośmy ſtráćili, poćiechy gotowe.
W okolicy Narody, wszák nam przykład dáią:
Oto mury Tarentu, blisko nás powſtaią!
Phálant z Lacedemony, to Páństwo funduie,
Philoktet, pod Petyli imieniem, muruie
Nowe miásto Metapont, tym wszystkim podobne!
A namże się niegodźi (iáko im) ozdobne
Wyſtáwowáć Krolestwa? Nie ieſt nam oſtrzeysza
Fortuná. Lecz myśl moia, w sercu załośnieysza
Byłá, choćiay poćiechy byłá pełná w mowie,
Co inszego ná uśćiech, co inszego w głowie.
Zá poćiechę więc miałem, dźienne świátło trácąc,
A w ćieniach powiniony nocnych, rzewnie płácząc.
Oczy łzy wylewáły, iáko dwie krynice.
Snu nieznałem, choćiay go iák naybardźiey życzę.
Y toć to ieſt, Mentorze! żeć się zdam ſtárzałym.

Gdy Idomen zakończył, z wzdychániem nie máłym,
Opowiadáć swe biedy, Telemaka prośi,
Z Mentorem, w sukkurs Woyny, co świeżo podnośi.
Skoro ią skończę (mowi) záraz wás odeszlę.
Tym czasem moc okretow, ná zwiády rozeszlę,
Po brzegách y naydalszych, po pewne nowiny,
Gdźie się Ulisſ obraca! czy żyie, co czyni!
Y pewnie go doſtánę, bylem wiedźiał kędy.
Czy burza, czy złe Boſtwo, ſchowáło go! wszędy
Znaydę go. Day mi Boże, áby żył, á tobie
Naylepsze zás Okręty wyſtáwię, w tey dobie;
Budowáne z onego drzewá, co ná gurze
Idá, rośnie; ná ktore y wiátry y burze
Reſpektuią; że rozbić nigdy się nie może.
[Bo się tám Iowisz rodźił] áni w te podroże,
Choćby się y wśćiekł Neptun, nie potráfi szkodźić,
Ani swoich bałwanow, przećiw nim rozwodźić.
Bądźćiesz pewni, że do dom záydźiećie, bez trudu,
Ani wás złość zátrzyma Bogá, áni Ludu.
Nie możećie też błądźić; bo łatwy y máły
Ztąd przeiazd, ilę gdy wás powiezie bywáły.

Odeśliyćiesz Phenicki okręt, y o sławie
Myślćie tylko; iáko mię, w dobrey ná Tron sprawię
Ugruntowáć, y moie nieszczęśćia nadgrodźić.
Ták Oycá Ulissessa ty możesz odrodźić,
W sobie Imie; ktorego, ieżeli wyroki,
Pod Tron Plutona ćiemny, zesłáły głęboki,
Zádumiona Grecya sławą, ktorą słynie,
Pátrzyć będźie ná Oyca wskrzeszonego w Synie.
Telemak Idomena przerywa, w te słowy:
Odeśliymy nász okręt; już umysł gotowy.
Nie bawmy się! do broni! gdźie nie przyiaćiele?
Iuż się stáli nászymi, idźmy ná nich śmiele.
Ieżliśmy w Sycyliey, zá Acesta, woynę
Podnieśli, y krew wylać myśleli ták hoynie,
Zá Troiana, y Grekom ták nie przyiaznego!
Ktoż wątpi? że się biiąc, zá Krolá Greckiego,
Co Miásto zniosł Pryama, tę Troię bezbożną,
Ze Bogowie poszczęszczą, tę chęć ták nabożną.
Mentor, przez wzrok poziera ná niego spokoyny.
Uważa ogień zacny, ták skłonny do woyny.
Radem, Synu Ulissa, (rzekł) że w tobie widzę,
Do Woyny chęć gotową; ále się nie wstydzę
Przypomnieć ći; że Oćiec twoy, po miedzy wodzy,
Greckiemi, z tąd naywięcy słynął, że ná wodzy
Umiał trzymáć pássye; y w tym naysławnieyszy
Zostáł, że był naymędrszy, y z nich nayskromnieyszy.
Achilles, niezwyćiężon, lubo był, y rány
Zadney nie mogł otrzymać, y iákby wybrány
Był, śmierć wszystkim zádáwáć, kędy się obroćił;
Przećie Troi nie dobył, y sam się wywroćił
Pod murem tego Miástá. Ktore tryumf miało,
Ze z Hektora zaboycy, pomstę odbierało.
Lecz Ulissesa, mądrość, co iego rządźiłá
Męstwem, miecz z ogniem, w miásto samo wprowádźiłá.
Y iego ręce, wieże pyszne obáliły,
Co dźieśięć lat, Grecyi sprzyśięgłey groźiły.
Iák Minerwa nád Mársem, ták uważne męstwo,
Niż wrzące serce, prędzey, przynieśie zwyćięstwo.
Zácznijmyż w przod od tego: żeby się dowiedźieć,
Przyczyn woyny! Ty Krolu rácz ie nam powiedźieć.

Iać się

Iać śię niebespieczeństwa nie wzdrygam, donoszę;
Lecz, iezli sprawiedliwa twoia woyna! proszę.
Potym, z kim! á ná koniec, iákie twoie śiły?
By śię końcá dobrego spodźiewáć. Moy miły
Mentorze, (rzekł Idomen,) gdyśmy w ten kąt wleźli;
Dźikiśmy Narod wielce, y táki znaleźli,
Ktory iednym myśliſtwem, w tych láſach żył srogich,
Y fruktámi, ktore miał zá miaſt potraw drogich.
Gdy uyzrzeli okręty naſze, śię lękali,
Y w gory nie doſtępne swoie ućiekáli.
Zołnierze zbyt ćiekáwi, y goniąc Jelenie,
Potkáli owe zbiegłe, y dźikie plemienie.
W tedy ſtárśi tych Ludźi, do náſzych mowili:
Mili Ludźie! Myśmy wam, brzegow uſtąpili!
Tylko nam, nie przyſtępne już gory zoſtáły.
Przynamnieyże, zoſtawćie w pokoiu, ten máły
Kray, y nás, przy wolnośći! Wy Lud błąkáiący;
Moglibyśmy wás pognieść, iák w więkſzey będący
Liczbię; y niktby otcy nie pytał śię ſtráćie.
Ale, lepſze my Duſze mamy, niż wy maćie.
Niechcemy rąk swych mázáć wekrwi wáſzych ludźi
Miłość bliźnich, y do wás, serca náſze budźi.
Idźćieſz, á pámiętáyćie, że náſzey ludzkośći
Winniśćie żyćia *wáſze.* Naukę skromnośći,
Od nás bierzćie wſpániałey; ktorych grubiany
Niesłuſznie názywaćie, godni ztąd nágány.
Náśi będąc puſzczeni, od Barbarow cáli,
Ze im żyćie powinni byli, śię wſtydáli.
Zebrawſzy śię dość liczno, ſzli ná polowánie,
Opátrzeni w broń; ráczyj ſzli ná woiowánie.
Potkáli śię z dźikiemi, y prędko, y blisko,
Uderzyli w nich; y ták zerwáli śię rześko:
Ze tá bitwá, z obu ſtron, zbyt okrutna była,
Y źiemię pociskámi, iák grádem okryła.
Przećie, dzicy uſtąpić w swe gory muśieli.
Gdźie, náśi śię zápędzáć *Zołnierze*, nie śmieli.
W krotce potym dwu ſtárcow naymędrſzych wysłali:
Aby nam pokoy z niemi, wyperſwadowáli.
Przynieśli nam prezenty, skory zwierząt bitych.
Y frukta. A ieden z nich, ták, że słow obfitych,

Miał mowę do mnie: Oto Krolu, w iedney mamy
Ręce miecz, w drugiey, gałąź oliwną trzymamy.
(Y ták było prawdziwie, w oboie był ſtroyny)
Obieray to ná pokoy, á to maſz do woyny.
My wolemy ſwoy pokoy, y pewnieć dla tego
Uſtąpiliśmy ſami brzegu ći morskiego.
Gdźie słońce żyzną czyni źiemię; bo odkrytą,
Y fruktow delikátnych rodźi moc obfitą.
Pokoy słodſzy nád wſzyſtkie te frukty ták śliczne.
Dla niegośmy woleli gory okoliczne,
Z ktorych śnieg nigdy, áni lod ſtráſzny nie ſchodźi,
Gdźie nieznano co Wioſná, y co ieśień rodźi.
Wzdrygamy ſię tey chuci, beſtyalskiey práwie,
Co w tytuł ambicyi ſtroiąc ſię, y w sławę,
Szalenie kráię pſuie; y krew leiąc, traći
Tych Ludźi, co iák śiebie trzymamy zá Bráći.
Ieżli ćię taka sławą wzbudza, iák widźiemy,
Nie záżdrośćiemći; ráczey żałuiąc, prośiemy
Bogow, by nás chowáli, od tego furoru.
Ieżli Grecy nie máią, inſzych, nauk wzoru?
Y inſzey, polityka ich, nie ma nauki!
Tylko, tákie, obmierzłey niesłuſzności, ſztuki!
Mamy ſię zá ſzczęśliwych, że ich nie umiemy.
Y sławę mieć bedźiemy, bydź záwſze dźikiemi.
Bárbarzy ále ludzcy, ſprawiedliwi, wierni,
Bez intereſu, w máłym kontenći, y mierni.
Delikátną prożnośćią dáremną gárdzący,
Zdrowie, wolność, y wigor ćiał, y myśł lubiący,
Boiaźń Bogow, y bliżnich ſwoich zákochánie,
Wierność wſzyſtkim, lecz bárdźiey przyiáźni chowánie,
Utrzymánie ſię w ſzczęśćiu, á w nieſzczęśćiách męſtwo,
Odwaga w mowie prawdy, á pochlebſtw zwyćięſtwo.
Tákie ći to Narody, my ofiaruiemy,
Zá Sąśiady y Bráćią (ieżli chceſz) daiemy.
Ieżli ćię, zágniewane ták záślepią Bogi,
Ze odrzućiſz ten pokoy, coć go dáiem drogi,
Uznaſz, ále nie rychło, że ciż co w pokoiu,
Z kromnośći ſię kocháią, ſą ſtraſznieyśi w boiu,
Nim mi rzecz ſwoią. ſtárcy ći, wypowiedźieli,
Nápátrzyć śiem, ich nie mogł. Brody długie mieli,

Głow záś śiwych, włos krotki. Brew gęstá, á żywe
Oczy, Męskie poyzrzenie; słowa záś życzliwe,
Poważne obyczáie, proste y rzetelne,
Y z sercem w uprzeymośći, cále nie rozdźielne.
Futra co zá miást sukien, u szyie wiśiáły,
Zyłowatsze ich ręce, nam ukázowały,
Niżli nászych Atletow. Ia odpowiedźiałem,
Tym Posłom: że w pokoiu żyć, z ich ludem chćiałem.
Szczerześmy kondycye podpisáli rożne,
Wźięli Bogow zá świadki, á ia im w oduzne
Dałem wielkie prezenty. Lecz też same Bogi,
Ktore Tron mi dźiedźiczny wydárli, moy drogi!
Ieszcze się nie zmiękczyli, w mym prześladowániu!
Náśi strzelcy, niewiedząc o zkonkludowaniu
Pokoiu, tegoż tam dnia, wielką moc potkáli,
Tych Bárbárow, co Posłow swych konwoiowáli.
Y uderzyli ná nich: część iedną pobili,
A drugą w ćiemne lásy, upárćie gonili.
Ták woyna się záczęła. Dźicy rozumieli,
Ze nászym, prożno ufáć przyśięgom już mieli.
Więc żeby nam zdołáli; ná pomoc wołáią
Lokrynow, Appulinow, y Brutynow maią,
Hukámi, Brucyani, Brydy, z Nertymi,
Lecz naygorśi Luerni, Proton między nimi.
Bo ći, wozy, ostremi nábite kosámi
Wiodą, á drudzy idą z srogiemi pałkami.
Są wzrostu olbrzymiego, á z pracy ustawney
Ták ćiáła wyćwiczyli, że strách pátrzy iawny
Z ich oczu. Lokrowie záś (ktorzy z Grekow poszli)
Nie stráćili sztuk dawnych, á wigoru doszli
Dźikich ludźi, tarcz letką, z mieczámi długiemi;
To ich práwie już czyni nie zwyćiężonemi.
Brutyni, iák sarn lekcy, ni szládu na trawie,
Ni ná piasku, zostáwią; á biją się żwáwie.
Iáko Piorun, ná szyki bijąc się rozśieią,
A w momenćie, nie wiedźieć, kędy się podźieią.
Krotoni, szybko strzały, z ták tęgich puszczáią
Łukow, że im puklerze nic nie wytrzymáią.
Nápuszczone ich strzały sokiem źioł, śmiertelnym,
Co nád brzegiem Awernu rosną. [to rzetelnym

Mam dowodcm] Drudzy záś bez woienney ſztuki
Tylko śiłą woiuią, á głoſy y huki
Stráſzne ſźlą pod Niebioſá, procy záżywaią,
Y kámieńmi, blask słonca y dnia, zásłaniaią.
Y toć to ieſt Mentorze, czego wiedźieć chćiałeś.
Z kąd Woyna wſzczętą! y z kim! już śię dowiedźiałeś.
Po tym záś obiáwieniu; Telemak gorący,
Iuż myślał śię do broni bráć, ná Woynę wrzący.
Lecz go Mentor zátrzymał; rzekł do Idomena:
Zkadże Lekrow (co z Grekow wyſzli tá złość wźięna!
Łączyć śię z Barbarami! ná was Grekow ſtratę!
Czem Greckie Colonie, przenoſza śię ná tę
Brzegi, iák wy! A nikt ich przećie nie woiuie,
Ani ich Coloniey ruſzáć uśiłuie,
Iák was! O Idomenie! ty mowiſz, że Bogi
Nieuſtáią ćiemiężyć ćię, przez ſwoy gniew ſrogi;
A ia mowię, że ieſzcze ćię nie dokończyli
Uczyć, przez twe nieſzczęśćia, ni ćię wyuczyli,
Nie słuſznych woyn nie wſczynáć. Z tey mowy, co czyniſz
O rzetelnym poſtępku ich; ſam śię w tym winiſz,
Pokázuiąc, że znimi mogłeś żyć ſpokoynie,
Gdybyć pycha żyć dała, z Ludźmi bogoboynie.
Mogłeś im był dáć w zaſtaw ſwoich, y w zaiemnie
Wźiąć od nich; Y to by ći nie było daremnie:
Gdybyś kogo z ſtarſzyzny, z ich wysłał Posłámi,
Zeby ich poprowadźił, zdrowo miedzy wámi.
A choć śię z nowu woyna, z wámi odnowiła!
Skończyć śię, ná początku zaraz, mogłá była.
Trzeba im było, wywieść: że ſtrzelcy nie byli,
Przy pokoiu zawartym, co ich záczepili.
Trzeba im beſpieczeńſtwa, było ofiárowáć,
Ktorychby tylko chćieli, od wás pretendowáć.
Kary ſtráſzne náznáczyć, tym, co nieſpokoyni.
Ale coż śię z początku dźiało [powiedz] woyny!
Idomen mu odpowie: Ia zá wſtyd mniemałem,
Tę wieść: że u Bárbárow, pokoiu ſzukałem
Ktorzy, zaraz do woyny zdolnych, popiſáli.
A do Ludow ſąśiedzkich, po ſukkurs posłáli.
Czyniąc nás podeyzrzanych; Przeto mi śię zdáło.
Za naylepſzą; áby śię te opánowáło,

Prędko

Predko w gorách przechody, slábo wartowane;
Bez trudu się to wźięło, y ufundowáne,
Zaraz wieże stánęły; z ktorych strzelać snadno
Dźikich, kiedy z gor, ná nasz Kray niski, się skradną.
My zaś w ich kray, kiedy chcem, zagony puszczamy,
Y Plon z ich pomieszkánia, záwsze sprowadzamy,
Tym sposobem, możemy, lubo w liczbie máłey,
Utrzymáć, niezliczony ten w koło lud cáły.
Ale pokoy nász z nimi, stał się przytrudnieyszy:
My wież niechcem odstąpić, dla tym bespiecznieyszey
Zasłony, ná ich zbiegi. Znich záś, nie pozwoli
Nikt, ná nie, sądząć, że ich, te wieże w niewoli
Iák Cytadelle dźierżą. Mentor ná te rády,
Ták odpowie: Tyś mądry Krol, y bez przysady,
Posłuchasz szczerey prawdy. Aniś, z owych Ludźi;
Co się iey widźieć boią. Táki sam się łudźi,
Kiedy serca nie máiąc, na swoie popráwę
W tym zákláda oponę, powagę y sláwę:
Zeby, błąd popełniony utrzymáć, koniecżnie.
Wiedz, że ten narod dźiki, uczył ćię statecznie:
Gdy ćię prośił o pokoy. Czy on to z słábośći
Czyni! czy mu śił, álbo w odwadze mężnośći
Niestáwało? Widźisz, że y sam iest woienny,
Y z sąśiádow odbiera sukkurs nie odmienny.
Czemuż moderácyi ich, nie náśláduiesz?
Czemu się prożną sláwą, y złym wstydem truiesz!
Bałeś się, zbyt pysznemi, Nieprzyiaćioł czynić!
A niebałeś potęgi! y śił im przyczynić!
Wieżąc tákie Narody, przez twą dumę z niemi,
Te wieże co ie chwalisz, z wálami mocnemi,
Przywodzą ich, (żeby się kaydan uchronili,)
Aby sami zginęli, álbo ćię zgubili.
Teś Wieże, dla większego stáwił bespieczeństwa;
A oneć okázyą są, niebespieczeństwa.
Naypewnieyszy wał Páństwom, skromność sprawiedliwa,
Dotrzymánie y pewność, Sąśiadać nábywa,
Y że mu nic nie wydrzesz. Naymocnieysze mury
Upáść mogą z przypadku. Y Fortuna fury
Rożne ma, y odmiány ćięszkie, w swym niestátku;
Ale przyiaźń sąśiádow, ufność twego státku,

Czynią, że twoy kray, rzadko będźie záczepiony,
Ale nigdy podbity, áni zwyćiężony.
Bo choć się znaydźie sąśiad, ktory ćię záczepi,
Drudzy, ktorzy doznáią, że im z tobą lepiy
Biegą ná twą obronę. Z tych Ludow pomocy,
Ktorzyby ćię bronili, ze wszystkiey swey mocy,
Miałbyś większą potęgę, niż z tych wież fortecy,
Ná ktore teraz, Dźicy przyśięgli, y Grecy.
Gdybyś się był, boiáźni tych Ludow, uchronił,
Twe Miásto się rodzące, szczęśćiembyś zásłonił.
A sam, tu w Hesperyi Arbitrem byś został.
Lecz daymy temu pokoy, czegoś już nie dostał.
Námieniłeś mi: że tu ná tym brzegu, śiłá
Już, Greckich Colonia Krolow, zászczepiłá.
Ci Ludźie, ná twoy sukkurs, máią bydź gotowi.
Y pomnieć, że ty idźiesz ze krwi Jowiszowey.
Dopieroż; Praca twoia, ktorąś wobleżeniu
Troi podiał, y cáłey Grecyey zbáwieniu;
Czemuż ich nie poćiągnie? ná twoią obronę?
Idomen mu odpowie: káżdy się ná stronę
Umknął. Onić by w prawdźie, rátowáć mię chćieli;
Ale zazdrość, z początkow mego miástá wźięli.
Y potęga ich moia, zgoła zastrászyła.
Ták Grekom, iák y Dźikim, iedna myśl się wbiła:
Ze ná wolność ich czuwam. Y ták rozumieli:
Ze podbiwszy Bárbarow, będźiemy ćiągneli,
Y ná nich, nászą pychę. Słowem, są przećiwni
Wszyscy nam, iákby wszystkim, byliśmy im winni.
Y choć woyny otwártey znami nie ztaczaią,
Ná násze poniżenie lecz wszyscy wzdycháią.
Dźiwne spráwy! (rzekł Mentor) chcąc śiły pokázáć
Też śiły y potęgę, muśisz psuć y mazać.
Gdy stráchem zá gránicznych napełniasz, swey zwády,
Ostátnie śiły w domu zwodźisz ná sąśiady.
O! dwoiako nieszczęsny Krolu, Idomenie!
Ktoremu, dość rozumu, nie dáło ćwiczenie.
Czy trzebászći drugiego, spadku! ábyś poznał;
Iáko źli Krole giną (ieśliś dość niedoznał)
Przećież, postoy! y spuść się ná mnie, Krolu miły.
Powiedz Miástá tych Grekow, co się tu stáwiły.

Nay-

Naywiękſze [rzekł Idomen] ieſt Miáſto Taranta.
Od trzech lat fundowáne, blisko od Phálánta.
Wieſz, że w Troiańską woynę, Białychgłow nie máło,
O Mężách, y o cnoćie ſwoiey, zápomniáło.
Zá powrotem záś Mężow, tym ich przepraſzaią:
Ze Dźieći, pod niebytność ſpłodzone, rzucáią.
Opuſzczeni od Mátek, Oycow nieznáiący,
Rzucaią ſię do ſwywol. Ale ſąd gorący
Nie ćierpiał ich exceſſow. Oni ſię zebrali,
Y Phalanta, zá głowę odważną, obráli.
Umiał ich ſobie zyskáć, y Mężne Lákony,
W te brzegi záprowádźił, y ośiadł w te ſtrony,
Tarant, Lacedemonom rowny, czyni práwie.
Drugi zaraz Philoktet, pámiętny ći w sláwie,
Co pod Troię nam przyniosł Herkuleſa ſtrzały,
Petyli mury ſtáwił; ſam mężny y śmiáły.
Neſtor mądry, z Pillami ſwemi, blisko nás tu
Metopontę funduiąc, dał to Imię Miaſtu.
Iáko! przerwie mu Mentor: Neſtorći w ſąśiady!
A tyś go na ratunek nie wćiągnął, twey zwady!
Neſtor! niegdy Przyiaćiel twoy! y ktory w boiu,
Pod Troią ćię znał! A ty, niemaſz go w pokoiu?
Stráćiłem iego przyiaźń (Idomen odpowi)
Ták ſię temu zdrádnemu, udało Ludowi,
Ktory tylko Bárbarow Imię, nie rzecz nośi,
Ze go uwiedli, mowiąc: że ſię moy wynośi
Lud, áby ſię uczynił Heſperyi Pánem,
A ráczey przez podbićie, ich wſzyſtkich Tyranem.
Wywiedźiem to inaczey. (Mentor rzecze) iemu:
Był u niego Telemák w Pilośie, nim ſię mu
Tu gnieźdźić przyſzło; gdyśmy z Domu ſię puſzczáli
W te długie drogi, byśmy Ulisſa ſzukali.
Znam tego Bohátyra; wie Ulisſa Imię,
Y w iákiey Syna łáſce chował, y w eſtymie.
Naypierwſza będźie, liczyć niedowiárſtwa iego:
Ze dla ſuſpicyj, trosku nábawił ćię tego.
Y ta woyná urosła; żeć Ludźie nię wierzą,
To im trzeba zgłow wybić! A ták ſię uśmierzą.
Ale daieno pokoy. Mey to zleć robоćie.
Ná te słowa, Mentora śćiska, w ſwym kłopoćie,

Idomen, y ſam mowić, gdy długo nie może,
Ná koniec to wymawia: O! moy wielki Boże!
Coś ſtárca ták mądrego zesłał, ná náprawę
Moich błędow, y czynow moich ná popráwę.
Przyznáię; że kto inſzy, jużby mię rozgniewał,
Ktoby mi ták odważnie, tę prawdę rozśiewał.
Y to przyznam: żeś mię ſam przywiodł do pokoiu,
Chcącego álbo zginąć, álbo wygráć w boiu.
Lecz lepiey mądrey rády, niż słucháć ſwey chęći.
Szczęśliwy Telemáku! choć Fortuna kręći,
Tobą; álc pobładźić nie możeſz, iáko ia,
Zá przewodnią Mentora, proſta droga twoia.
Mentorze! Tyś mym Pánem! Mądrość Bogow w tobie,
Minerwa, niebyłáby mędrſza, w ſwey ośobie.
Idź, obiecuy, konkluduy, y co ieſt moiego,
Nie żałuy, maſz záwádcę że mnie, iák z ſwoiego.
Kiedy ták rozmawiaią; áż tu słycháć rázem
Koni rżących tent, wozow, zbroionych żelazem.
Głoſy ludzkie, ryk ráczey, Trębaczow Fanfary,
Y co ſię liczyć może, między Marſa dáry.
Krzykną w Mieśćie: Oto już, Nieprzyiaciel mury
Opaſuie, y obległ Salentę, jak chmury.
Wieże obſzedł daleko, y ſtraże pominał.
Tu ſtarcy z niewiáſtámi drżą; iákby już zginął
Każdy, rzewnie nárzeka. Czyż nam kráie żyzne,
Rzucáć było potrzeba! y miła Oyczyznę!
Iść z Krolem nieſzczęśliwym, to Miáſto fundowáć!
Ktore, liczne przyśięgły Narody, zepſowáć.
Widáć było z tych murow, ták Polá okryte
Szyſzakami, zbroiámi, iákby były lite.
Piki, Dźidy, ták geſto, po polách ſterczáły,
Iák gdy obſzár Sykulski, w kłoſach pływa cáły,
Gdy pracy Oraczowi, Ceres płáći myto.
Widáć, że wozow kołá, koſami nábito.
Káždy Narod z ośobna, rozeznáć przez ſtroie.
Mentor wſzedł ná wierzch wieży, ná uwagi ſwoie,
Idomen z Telemakiem, tuż zá nim ſpieſzyli,
Neſtora, Philokteta, zkąd wnet obaczyli,
Idących. Neſtor łatwo, przez ſtárość, poznany.
Záwoła Mentor; Coż to? ow nie porownány

Neſtor,

Neſtor, z tobą woiuie? tyś nieboże mniemał,
Że on, z tobą prowádźić Woyny, nigdy niemiał!
A on idźie ná ćiebie! Philoktet z nim mężny!
A zdami ſię, ten w dobrym porządku, potężny,
Ieſt Phálánt! (co zá niemi ſzedł, z Lacedemony)
A widzęć to! od wſzyſtkich ieſteś odſtąpiony!
Niechcąc, wſzyſtkicheś zrobił ſam nieprzyiaćioły!
Y to mowiąc, wskok Mentor, zbiegł z wieży na doły.
Idźie proſto do bramy, ku ktorey ſzli z pola;
Każe ſobie otworzyć. Co iego zá wola!
Y myśl! nie śmie Idomen ſpytać; ták poważnie
Rzeczy ſwoie prowádźił Mentor, y odważnie.
Mentor kiwa, żeby nikt z nim z Miáſtá nie poſzedł;
Przećiw ſzykom, ſam idźie, do ktorych gdy doſzedł,
Wyniosł gáłąź Oliwy, *w* znák pokoiu ęnego.
A gdy go słycháć było; Prośił o káżdego,
Wodza w ſwoim Narodzie, ktorzy gdy ſię zeſzli,
Ták do nich mądrze záczął, kiedy w koło weſzli:

Ludźie zacni, z ták wielu Narodow, wybráni:
Wiem, źeśćie tu, dla iedney wolnośći, zebráni.
Chwalę wáſzą chęć mężną. Lecz mi pozwolićie,
Dáć wam ſpoſob, że wolność y sławę ſowićie
Utrzymaćie, krwi ludzkiey nie leiąc. O! zacny
Neſtorze! ktorego ia, w tey tu kupie znaczney,
Widzę; Ty ſam wieſz lepiey, iák woyna ſzkodliwa!
Náwet y ta, ktora ſię, zda bydź ſpráwiedliwa.
Woyná! ieſt to bicz Boży. Wſzák nie zápomniałeś
Nieſzczęść? w ktorych dźiesięć lat, Grekow żáłowałeś,
Pod Troią nieſzczęśliwą. Co tám zá rozruchy
Były, miedzy Wodzami! iák odmienne Duchy!
Inſzey co raz fortuny. Y co názbyt ſpora,
Grekow ręka záczęła zábiciem Hektora?
A nuż! co zá nieſzczęśćia, po Miáſtách tak śiła!
Długa Krolow nie bytność, w Domu nárobiła!
Powrácáiąc, iedni ſię ná morzu rozbili,
Drudzy, ná łonách ſwych żon, śmierć ponachodźili.
Pewnie *w* gniewie Bogowie, ná Grecyą byli,
Gdy ná expedycyą, tych woyn ią wzbudźili.
Heſperyjskie Narody! życzę, by Bogowie,
Niedali wam tego, co Zwyćięſtwem ſię zowie,

 A wsku-

A w skutku záś ieſt ſzkodą. Iuż Troia zgorżáłá;
Leczby Grekom z tym lepiey było! Gdyby ſtáłá.
Niechby Parys niewieśćiuch, z Heleną w pokoiu
Swych ámorow záżywał. Philoktećie! w gnoiu
Ná Wyſpieś Lemnos leżał! w biedźie opuſzczony;
Nie boiſz ſię podobnych nieſzczęść! z drugiey ſtrony,
Známleźć w tey tu ſam woynie! wy Lákońskie ludy!
Cośćie też ućierpieli! (mowćie bez obłudy)
Przez nie bytność, ſwych Pánow! ná woynie odległych.
O Grecy! ktorych widzę, w Heſperya z biegłych!
A dla czegoż! Oyczyzny ſweśćie porzućili!
Tylko dla złych przypadkow! Woyny to zrobiły.
Ták Mentor przemowiwſzy, ku Pelinom ma ſię.
Neſtor także ku niemu. Każdy z nich pozna ſię.
O Mentorze! rzecze mu, już to lat nie máło,
Gdy pierwſzy raz w Phocydźie, ćiebie ſię widźiało.
Tylkoś lat miał pietnaśćie, á ia już widźiałem:
Że mądrość w tobie, ktorey záwſze doznawáłem.
Iákimżeś tu przypadkiem! w te ſam záſzedł kráie!
Co zá ſpoſob, tey woyny twoia mądrość dáie,
Uchronić ſię! Idomen, do niey nás przymuśił.
My prágniemy pokoiu, káżdy ſię oń kuśił.
Ale żaden pewności, z nim ználeźć nie umiał.
Łámáć Páktá z ſąśiady, on zá nic rozumiał.
Dumne ſwoie zámysły, nam wſzyſtkim pokázał.
Y iákby już w niewoli nás miał! durno kázał.
Iuż nie mamy ſpoſobu, ná ſwoią obronę;
Tylko, iego obalić Páńſtwo, y koronę.
Ale, Ty záś, ieżli maſz, iáki ſpoſob iáwny!
By mu ufáć ſię mogło! y w przyiáźni dawney,
Dobry pokoy zgruntowáć! Te wſzyſtkie narody,
Broń porzucą, y chętnie, bez naymnieyſzey ſzkody,
Rozeydą ſię w pokoiu. Przyznáiąc z rádośćią,
Żeś nas wſzyſtkich, ſam ieden, ſwą przeſzedł mądrośćią.
Mentor mu odpowiedźiał: wieſz mądry Neſtorze:
Że Uliſs, Telemaka zoſtáwił, w dozorze
Moim, ſwoiego Syna. Ktory, nie ćierpliwie
Chcąc wiedzieć, o ſwym Oycu; záiechał ſzczęśliwie
Do ćiebie do Piloſu; tam wſzelkim ſtárániem,
Przyiąłeś go, y rownym iák Oyca kochániem.

Przy-

Przydałeś mu y Syná. Lecz on, w długie potym,
Puśćił śię drogi morskie, zniezmiernym kłopotem.
W Sycilij, w Egipćie, był w Cyprze, y w Crećie,
Wiátry go tu zaniosły, gdy błądźił po świećie.
A raczey cni Bogowie; ktorzy nás przysłáli,
Znáć ná to: ábyśmy *was*, w tey uhámowali,
Okrutney Woynie. Iuż to nie Idomen; Ale
Cny syn Ulissa, y ia, ręczyć doskonále
Będźiem: áby śię stáło, co śię tu umowi.
Gdy to Mentor z Nestorem, przed szykámi mowi;
Idomen z Telemákiem, y Ludźmi zbroynemi,
Pátrzyli ná nich, leżąc, nád murámi swemi.
Obserwuiąc, iák będą dyskursy Mentora,
Przyięte od mądrego, z innymi, Nestora.
Ktory záwsze, od Ludźi, zá mędrca był *wźięty*,
Zá naywymownieyszego, u Krolow przyięty.
Ten, podczas Troi *wźięćia*, Achillesa szumy,
Pychę Agamemnoná; y Aiaxa dumy.
Impet Dyomedesa, *wszystkich* moderował,
Słodką mową, iák mleká potokiem, hamował.
Iego ieden głos, między Rycerzmi *wszystkimi*,
Słycháć było; nikt nie thnął (przy nim,) między nimi.
On sam, dźiką ugłaskał, w obozie niezgodę.
Prawda, że czuł, w stárośći słábey, niepogodę;
Ale iego wymową, mocy y słodyczy,
Pełna była. Y ták on, gdy swe dzieie liczy,
Uczy młodźiesz przykłády, choć trochę leniwo,
Ale wdźięcznie, z wymową, y miłą y *żywą*.
Ten stárzec, od Grecyi cáłey, szácowány
Zdał śię bydź, przed Mentorem, cále zadumiány.
Wymowę y powagę, iákby przednim stráćił.
Starość iego zwiędniała, ktorey wdźięk utráćił.
A w Mentorze záś, látá, wigoru nie brały.
Iákby w nim komplexya, z ćiáłem szanowały.
Mentora słowa proste, lubo ták poważne,
Były, że Nestor *swoie* nieználazł ták rázne,
Co rzekł, to krotko z węzłem, nic nie powtárzáiąc,
Y rzeczy nie potrzebne, w mowie opuszczáiąc.
Ieźli muśiał powtorzyć, żeby w Ludźie w mowił;
To samo, rożnym sensem, obroćił y mowił.

Náwet, wchodząc w interes [w ktorym mowił] cudzy;
Miło to przyprowadzał, do tych, dobrá ludźi.
Ci dway ſtárcy czći godni, oczy ná ſię wźięli,
Tych Ludźi zgromadzonych; zá ſerce ich wźięli.
Ciſną ſię wſzyſcy w koło, káżdy ich rad widźi.
Idomen zgory pátrząc, ſam ſię w ſobie biedźi:
Co z ſobą rozmawiáią? Y co ma rozumieć!
Z jeſtow ich! bá y z twarzy! ktorych trudno umieć.
Telemak nie ćierpliwy, z tłumu ſię wykrada.
Bieży do bram, y zá ſwym Mentorem, wypada.
Idomen, ktory mniemał, że go miał u boku,
Iuż go widźi zá Miáſtem, w lotnym w polu skoku.
Neſtor go w net poznáie, lub leniwo, ſpieſzy,
Telemák go zá ſzyię, [y on ſię ták ćieſzy;
Ze przemowić nie może] Ná koniec ták woła:
O moy Oycze! niewſtyd mię názwáć ćię ták zgoła;
Bo ſwego nieznayduiąc, á twych łásk znáiomy,
Mogę ći dáć ten tytuł, iákbyś był rodzony.
Znam ćię Oycem, kochánym, y w tobie go widzę!
Niewidząc Uliſſeſa, czym ſię dotąd biedzę.
Ty ieden byś mię w żalu ták długim poćieſzył,
Gdybymſię tobą długo, iáko prágnę, ćieſzył:
Nie utrzymał łez Neſtor, ná ták miłe słowá
Telemaka ſamego, táż kwiliła mowá.
Uroda, zacne męſtwo, Młodźiana owego
Przez ſzyki, bez Konwoiu śmiele idącego,
Zdumiała Colligatow. Czy nie Syn Mentora!
Tego ſtarca! ktory tu chodźił do Neſtora.
Iedná w nich ieſt roſtropność, lubo w Wieku rożnym.
W tym kwitnie, w tym doyzrzáła, w owocu nie prożnym,
Mentor pátrząc, iák ludzko, Neſtor go przyjmował;
Z dobrey dyſpozycyi, dobrze profitował.
Y záwoła: owo ieſt, Syn, Uliſſa tego!
Cáła záwſze Grecya kocháła ktorego.
Otoż, zacny Neſtorze! tego ći w záſtáwę,
Ná drogą, Idomena, ofiáruię ſpráwę.
Sądź, że Oycá tákiego, ia nieśmiałbym, Syna,
Wyſtáwowáć ná ſtrátę, y żeby ta wina,
U Mátki Penelopy, ná Mentora padła:
Ze pycha, Salenckiego Krola, tu go ziadła.

Sam

Sam ſię wam ofiáruie. A ráczey Bogowie,
Tu wam go przyſyłáią, pokoiu Posłowie.
Narody zgromadzone! tylko mie słuchayćie!
Wieczny pokoy wam dáie; á wy ucho daycie.
Ná to Imię pokoiu: ſzemránie powſtáie.
Ieden rząd, głos drugiemu, po ſzykách podáie.
Wſzyſtkie rożne Narody, od gniewu zgrzytáły,
Y że im, chcą zwyćięſtwo wydźieráć ſię bały.
Naybárdźiey Manduczycy byli niećierpliwi,
Ze Idomen już ich raz, oſzukał zdrádliwy.
Chćieli przerwáć Mentora; bo ſię bárdzo bali,
By mądre mowy iego, drugich nie wſtrzymały.
Poczęli ſię ſtrzedz Grekow, co Mentor poſtrzegą,
Y rozrożnić ich wſzyſtkich, tym prędzey ubiega.
Przyznáię, Mentor rzecze: że máią przyczynę
Manduczycy, nadgrody chćieć, zá táką winę.
Ale też to nie słuſzna; żeby, Grecy sławni,
Zoſtáli w nienawiśći, u tych, ktorzy dawniey
Te tu kráie pośiedli; raczey między ſobą,
Zgodnymi bydź powinni, y drugim ozdobą.
Przy wſzelkim utrzymaniu, nieruſzyć cudzego.
Wiemći ia, że Idomen, tu tknął nie iednego.
Y w dał ſie w ſuſpicye; że nań ſię ſpiſuią;
Ale łatwo porádźić tym, co pokoy pſuią.
Oto ia, y Telemak, w zaſtaw ſię dáiemy,
Y w wáſzych, poty rękách, ſami zoſtáiemy;
Poki Idomen, tego nie wypełni cale.
Zá co ſię zápiſzemy, wiecznie wam y trwále.
Tyka wás Manduczycy! że Cretenczykowie,
Gory opánowali, nie ſtoiąc wſwym słowie;
Y że, tym procederem, w ten kray zágladáią,
A (że rzekę prawdźiwiey) zá ſwoy go już máią,
Ktoregośćie, z miłośći ku nim, wy odeſzli,
A oni, z Łáski wáſzey, weń ſpokoynie weſzli;
Wſzák mieyſca, co Getowie, wieżami zmocnili,
Y Ludem zbroynym, na was, tamże oſadzili,
Wſzák to ieſt, woyny zrzodło! odpowiedźćieſz ná to?
W tedy Wodz Manduczykow, rzecze: ták ieſt zá to
Podieliśmy tę woynę. Cośmy nie czynili?
Zebyśmy ſię tey woyny krwáwey uchronili!

Są nam Swiadki Bogowie, że w tedy, pokoiu
Przyszło się wyrzec, kiedy nás, pycha, do boiu
Przywiodłá, Idomená, y niesłowność tylo,
Ze ná ich się przysięgi, spulzczać trudno było.
Národzie nierozumny! co nás przeciw woli
Do rospaczy przywiodłeś! To nas samo boli:
Ześmy swey już całości, nie mogli znaydowáć,
Tylko w tym, by ich gubić, y ich prześladowáć.
Poki te swoie Forty, będą chcieli trzymáć,
Rozumiemy, że nász kray, y nás chcą poimáć.
Gdyby chcieli, w pokoiu známi żyć, prawdźiwie?
Mieliby dosyć ná tym, co im dobrotliwie,
Sámiśmy ustąpili; ániby szukali
Weścia w kray, ná ktorego wolność, czatowáli.
Nieznász ich, mądry stárcze! doználiśmy y my
Dopiero ich frantostwá, zdrády nieszczęsnymi.
Przestań y ty Człowiecze, od Bogow lubiony!
Oddalać słuszną Woynę, od niesłuszney strony.
Bez ktorey, Hesperya, pokoiu trwálego,
Spodźiewáć się nie może, od Ludu chytrego.
Niewdźięczna y okrutna, Nacyo obłudna!
Ná niepokoy, od Bogow, nász przysłána ludna!
Ná karę nászych grzechow. Ale wy Bogowie!
Skarawszy nás, y ná ich, pomśćiyćie się głowie.
Y iák ná nas byliśćie, tu sprawiedliwemi,
Nie mniey, też sprawiedliwość, sprawuyćie nád niemi.
Ná te słowa, cále się koło obruszyło.
Od Mársa y Bellony, po szykách toczyło
Hásło, ná krew y bitwę; ktore gáśić myśli
Mentor; y ták rzekł do nich, gdy do niego przyszli:
Kiedybym, obietnice sama, wam przynośił!
Moglibyśćie odmowić, to, o com wás prośił.
Lecz wam rzeczy przytomne, y pewne podáię;
Niechcećie Telemaka? y mnie! (co się dáie)
Dam wam dwunastu Cretow, pierwszych w urodzeniu,
W odwadze w męstwie znácznych, y w ich dobrym mieniu.
Dayćiesz y wy z swey strony, w záiemnie záſtáwy
Iák zwyczay iest wchodzących w zobopolne spráwy.
Idomen, wiem że prágnie szczerze, dźiś pokoiu.
Iednákże, nie boiąc się Woyny; áni boiu;

Prágnie iák *wy* prágneli; z iedyney mądrośći,
Ale, nie z pieſzczonego żywotá miłośći.
Ani z niebeſpieczeńſtwá, ktorym woyna grozi,
Y bied apprehenſyi, ktore z ſobą wozi.
On chce zginąć, lub wygráć. Lecz pokoy przekłada
Nád zwyćięſtwo. Bo milſza zgoda, niźli zwáda.
Wſtydby go, gdyby ſię bał, zwámi tu przegrániey;
Ale więkſzy, gdyby błąd nie był wetowány.
Boi ſię niesłuſzności, woyny ſię nie boi.
Ofiáruiec on pokoy, lecz przy broni ſtoi.
Niechce wam nádáć pyſzno; bo táki nieważy
Pokoy co ieſt przymuſzon, y dáie urázy.
Pokoiu z wſzyſtkich *wolą*, chce, co skończyć może
Boiáźń, gniew, ſuſpicye. Táki ia wam wiozę.
Ták ſię już y Idomen náklonił, rzetelnie,
Iákbyśćie ſami chćieli, by był nieśmiertelnie.
O nic więcey nie idźie, tylko, perſwádowáć
Wam, [co łatwo] tylko mi, chćieyćie podárowáć;
Abyśćie mey, ſpokoynie, posłucháli mowy,
Wy, narodow, mądrośćią z męſtwem, pełne głowy.
To maćie od Idmena: Niesłuſzna, by w kráie
Wpádał ſwoich ſąśiádow. Lecz y to, ſię zdáie,
Bydź niesłuſzna: by w iego, także, wolno było.
A dla tego; żeby ſię obom zábroniło,
Te wieże, co ná páſſach, ſą erygowáne,
Od woysk neutráliſtow, niech będą chowáne.
Ty Neſtorze, z Philoktem, Grecy z urodzenia,
Przećie zkolligowáni, tu ná Idomena,
Wy cośćie dla pokoiu, y iedney wolności
Heſperow, weſzli przećiw niemu, w záwźiętośći,
Wam te wieże powierza, tey *woyny* przyczyny.
Waſz interes: zábronić Salentu ruiny.
Nowego oſadzenia, iák wy oſadzaćie.
Wáſz interes: zábronić, iáko zabraniaćie,
Zeby krzywdy nie mieli, od chćiwych, ſąśiedźi,
Ale żeby ſpokoynie śiedźiał, iák kto śiedźi.
Trzymaycie miedzy niemi, iako mowię, wágę
Y Miáſto krwáwey woyny, cnych Sędźiow powagę,
Weźćie ná ſię. Rzeczećie: że te kondycye,
Byłyby dźiwnie dobre; Idomen gdyby ie

 Wypeł.

Wypełnił szczerze! Alec, pewność iest wzaiemna,
Gdy z obu stron záſtáwá, w rękách, nie dáremna,
Poty będźie, poki on, w trzećie ręce wieży
Nie odda. Kiedy cáłość Heſperyi, leży
W ręku wáſzych! Gdy Salent, y Idomen zgołá,
Ná wáſzą dyskrecyą, zdaie ſię, y woła!
Będźiećieſz już kontenći? kogoż ſię będźiecie
Więcey ſtrzedz! chyba ſami śiebie, ſię ſtrzeżećie.
Ufayćie Idmenowi; ktory wás oſzukáć
Nie może tym ſpoſobem. Ni ználeźć, ni ſzukáć
Zadney zdrády niemoże; kiedy wam powierza
Zyćie, pokoy, y wolność, dla tego przymierza.
Ieżli to była prawda! żeśćie wy prawdźiwie,
Szukáli znim pokoiu! oto go iſtliwie
Maćie. Ieſzcze powiadam raz: Nie rozumieyćie:
Ze to czyni z boiáźni; tchorzem go nie mieyćie.
Sprawiedliwość, y mądrość, naywyżſza miſtrzyni,
Sprawuie, że przez cnotę, nie przez ſtrách to czyni.
Z poczatku, on pobładźił; lecz w tym kłádźie sławę:
Ze tym co ofiáruie, złą poprawił ſprawę.
Prożność to śmiechu godná, y gruba proſtota;
Chćieć pokryć ſwoie błędy, iáko *w* worze kota,
Pychą ſię utrzymuiąc. Lecz kto błąd wyznáie,
Y tudźieſz, Adwerſarzom oblig ná ſię daie,
Ich ſzkody reparowáć! iáwnie pokázuie:
Ze chęći nowych pełnić, w ſobie nie znayduie.
Tákiego, Nieprzyiaćiel, niech ſię w zaiem boi;
Gdy miru nie przyimuie, y ták fochy ſtroi.
Strzeżćie ſię! o zebráni wielcy Ludźie y *wy*:
By nie był w záiem, w ſwoiey ſprawie, ſpráwiedliwy,
Ieżli pokoy y słuſzność, od ſię odrzucaćie!
Pomſty, od tych dwuch Bogiń, w zaiemnie doznaćie.
Idomen, co miał do tąd, rozgniewáne Bogi;
Przemieni ich gniew słuſzny, ná wás pewnie ſrogi.
Poydźiem przy dobrey ſprawie, y Telemak y ia,
Do bitwy. Wás o Boſtwo! [ktore nie przemija]
Niebieskie, y piekielne, ná świádectwo wzywam!
Ze słuſznych propozycyj, do miru záżywam.
To Mentor zákonczywſzy; Gałązkę oliwy
Podnośi, wſzem Narodom, pokoiu znák żywy.

Wodzo-

Wodzowie bliſcy, blaskiem Boskim otoczeni,
Z oczu iego idącym, ſtáli zádumieni.
Májeſtat y powaga, *w* nim ſię widzieć dała,
Ktora *w* żadnym z śmiertelnych, ſię nie pokázała.
Przytym, słodycz słow z mocą, taka ſię dobywa:
Iáka moc, czáruiących słow, gwaltowna bywa.
Ktorą, w nocney ćichośći, y Mieśiąc z *gwiazdami*,
Zátrzymąn bywa, morze, z burzone falami,
Głaſzczę ſię. Ták y Mentor, ſtał między dźikiemi,
Ludźmi, iák Bachus między tygryſy wśćiekłemi;
Ktorzy to, zápomniawſzy ſwego okrućieńſtwá,
Lizáły nogi, ná znák, dźiwnego zwyćięſtwá.
Naprzod, wielkie ſtáło ſię, po Woysku milczenie.
Wodzowie poźieráli, ná ſwe zgromadzenie;
Odiąć mu ſię nie mogąc, y ktoby był *zważyć!*
Co mocą *niewidomą*, ták ich umiał záżyć.
Woyska iák wryte, oczy w niego utopiły,
Nie śmiały y przebąknąć, by nie przeſzkodźiły,
Mowie iego, ktora im, ták ſię krotká zdáła,
Zeby byli woleli, áby dłużey *trwała.*
Co kolwiek im powiedźiał, *w* ſercu iák wyryto.
Iákby ſię kázał słuchać, mądrośćią obfitą.
Każdy z nich, był łákomym naymnieyſzego słowa.
Y cáła ſię zoſtałá u nich iego mowa.
Ná koniec, po milczeniu woyská, doſyć długim;
Podnośi ſię ſzemránie, od iednych ku drugim,
Lecz nie tákie iák przedtym; Iuż tu nie zgrzytáią,
Ale ſię, miłym ſzeptem, ná pokoy zgádząią.
Iuż uſpokoionego coś, wyſzło ná twarzy.
Y ſamym Manduczykom (w ktorych ſię iad żarzy)
Upada broń z rąk. Ná*wet*, ow Phalantus dźiki,
Dźiwi ſię, że ſię w ſercu pomieſzáły ſzyki!
Drudzy wzdycháć, ná pokoy, poczną pokázány!
Lecz Philoktet, w nieſzczęśćiách ſwych wyprobowány,
Utrzymáć łez nie może, Neſtor nic nie gádał,
Sćiskał tylko Mentora; bo uſty nie władał.
Tu wſzyſtkie wraz Národy, (iák hásło do boiu)
Krzykną: Dyzarmował nás Mentor; chcem pokoiu.
W tym, Neſtor chćiał coś mowić; lecz lud nie ćierpliwy
Bał ſię, áby trudnośći nie zadał, wątpliwey:

Pokoy! pokoy! wołáli. Ani ich możono
Uśmierzyć, áż ná pokoy wszystkim pozwolono.
Nestor widząc, że práwie byli iák związáni;
Widźisz (rzekł) o Mentorze! co człowiek wybrány,
Y w cnoćie y mądrośći, w rzeczách wielkich może!
Kiedy mu, iáko tobie, oboie pomoże.
Ugłaszczą się passye; y lub słuszne woyny,
Obrácáią się w przyiaźń, y w pokoy przystoyny.
Więc táki, iákiś nam dał, wszyscy pokoy głoszą.
Y záraz, cni Wodzowie, ręce w gorę wzoszą,
Ná znák, że pozwalaią. A Mentor wesoło,
Do miástá pobiegł, áby Idomena, w koło
Woysk, wprowádźił bespiecznie. W tedy Telemaka
Nestor śćiska: O miły! Wielkiego Iunaka,
(Mowi). Synu! y z Grekow, nayrostropnieyszego,
Życzę widźieć, w tey cnoćie, ále szczęśliwego.
Coż? niedowiedźiałżeś się, o iego obroćie!
Oyca twoiego pámięć, y że nam szło o ćię:
Zádusiło w nás woynę. Phálantus, choć srogi,
Miał litość, nád twoiemi nieszczęsnemi drogi.
Y nieszczęśćiem Oycowskim. Iuż byli poczęli
Badać o Awanturach; Alić w net uyzrzeli
Mentora z Idomenem, w kupię idącego,
Cretenska młodź wyborna, z sobą wiodącego.
Colligáći, Idmena uyzrzawszy, w osobie,
Poczęli ognie wzniecáć już woienne w sobie;
Lecz słowa ie Mentora, w záięću zgáśiły.
Zawoła: czegoż báwisz! o pokoiu miły!
Czemu ligi nie kończem! ktorą wieczne Bogi
Swiadczyć, bronić, y mśćić się będą, przez gniew srogi.
Ieżeli kto bezbożny, rwáć się ią ośmieli!
Niechże krola, od iego Poddánych, oddźieli.
Ná tego, pomsta Boża, y na iego głowę,
Spádnie nieszczęść okropność, á nie ná domowe.
Niech niewinni nie ćierpią, tylko wiárołamcą,
Ktory zdepce to práwo, iák bezecny kłámcą.
Niech będźie y od Bogow, y Ludźi zbrzydzony!
Niech y nie ma poćiechy, z szalbierskiey korony.
Niech Furye piekielne, w obrzydłey Maszkárze,
Iad swoy z desperácyą, zánioszą mu w twarze.

Niech

Niech padnie zdechły, y bez nadźiei pogrzebu,
Psom, y sępom, pastwiskiem będźie! zbrzydły niebu.
Wpiekle, w ogniach Tartaru, niecháy wieczne biedy
Z Tantalem, Ixyonem, ćierpi, z Danaidy.
Pokoy zaś nasz, niech będźie trwalszy od tey skały:
Gdźie nogi Atlasowe, Niebo więc dźwigáły.
Niech go w wieki potomne, Ludźie záżywáią!
Niech Imiona tych, co go zrobili kocháią.
Niech ie Wnukom podáią, y z uszánowániem
W spomináią, zá ktorych, on stánał stároniem.
Niech pokoy ná słuszności, ten ufundowány,
Bedźie drugim Narodom, ná przykład podány.
Wszystkie świáta Narody, co zgody szukáią,
Niecháy od Hesperyjskich Ludow model máią.
Po tey mowie, Idomen, y drudzy Krolowie,
Poprzyśiegli ten pokoy, stoiąc w dánym słowie.
Dwanaśćie zastaw, zobu stron, wzáiemnie dano,
Miedzy nimi Telemak. Mentora niechćiano,
Woląc, by u Idmena został, y pilnował:
Zeby skutku przymierza, zupełnie dochował.
Między Miástem y Woyskiem, sto Iáłowic białych
Zábito ná ofiarę, y Bykow nie máłych,
Tákże sto, y iáko śnieg; á w złoćiste rogi,
Y w kwiećie śliczne stroynych, od głowy do nogi.
Ryk srogi Swietych wiktym, w gory się rozchodźił,
Strumień krwi, biegł po dołách, y kurząc się zchodźił.
Z Win głownych Libacye, hoynie spráwowano,
Wieszczkow co nayprzednieyszych, do ielit zebrano,
Z ktorych prorokowáli. A święte ofiáry,
Zápalone, robiły obłok, Bogom w dáry.
A tu z boku Zołnierze, z obu stron zebráni,
Porzućiwszy nieprzyiaźń, záraz y kocháni;
Dźieie swoie wspomináć, miło poczynáią,
Y w słodyczy pokoiu, Woyn zápominaią.
Wielu tych, co z Idmenem, w Troi oblężeniu
Byli, ći się poználi, przy drzew ślicznym ćieniu,
Z Zołnierzámi Nestora. O! iák się śćiskáli!
Co po wźięćiu się dźiáło Troi, powiadali.
Ná miętkiey leżąc trawie, w kwiáty się wieńczyli,
Winem się częstowáli, y dźień ten święćili.

Wtedy Mentor rzekł Krolom: O wielcy Wodzowie!
Pod rożnemi imiony, Narodow Krolowie!
Od tąd, iednym Narodem, bądźćie, iedney trzody!
Ták Bogowie chcą związáć wás z ninieyszey zgody.
Bo cáłe plemie ludzkie, iedną Familią
Iest, po świećie rozbiegłą. Y ludźie co żyią,
Są wszyscy bráćią sobie; y kocháć się szczerze
Powinni, iák wyćiąga, Bráterstwa przymierze.
Niech, nieszczęść wszelkich, tácy bezbożni doznáią;
Ktorzy sławy okrutney, w krwi bráći szukáią.
Prawda: że woyna podczás, bywa y potrzebna;
Lecz żeby ustawiczna, ludźiom niechwalebna.
Niechćieyćie, o Krolowie! dla sławy nabyćia
Woyny; ále dla złego importuna zbyćia.
Prawdźiwa sławá Krolow, záwisłá w ludzkośći.
Kto swą sławę przekłada, nád dar uprzeymośći;
Iest monstrum pychy, nie człek; y tylko fałszywey
Prożnośći possesorem. Dank sławy prawdźiwey,
W dobrey moderácyi. Może kto pochlebnie,
Prożność iego pogłáskáć, ále niepochybnie:
Gdy szczerze spráwy iego, będą rostrząśnione,
Mowić będą o tákim: Te dźieie zchwalone,
Cále sławy niegodne, tym mniey iey zasłużył;
Im się iey dobijáiąc, większych pássyj użył.
Człowiek go nie powinien, cále estymowáć;
Bo on, ludźi nieważąc, ich krwią dostępowáć
Pyszney sławy rozumiał. O iák Krol szczęśliwy!
Ktoremu mił Poddány, y sąsiad życzliwy.
Ktory, nie tylko, że z nim, sam woyny nie zwodźi,
Ale woynie przeszkádza, y Sąśiádow godźi.
Tákiego, cudze Páństwá, iák szczęśćia trwáłego,
Niesłycháney ozdoby, y mienia dobrego,
Zazdroszczą ludźiom. Y wy! co Miástá potężne,
Hesperyjskie rządźićie! wy Páństw Głowy mężne!
Co trzy látá się schodźćie, w iedno zgromadzenie;
Odnawiayćie swe Pakta, lig postánowienie;
Nowemi przyśięgámi, Przyiaźni gruntuyćie,
Y w interesach spolnych, tám deliberuyćie.
Gdy ták z iednoczonemi wraz wszyscy będźiećie:
Pokoy, obfitość w Domu, z sławą posiędźiećie.

A ná obą ſtrách Ludy, y tylko niezgody
Piekielne utráćićie. Dar Boży, świebody.
Łatwość [Neſtor odpowie] z ktorą pokoy ſtáwa,
Że Woyny dla prożnośći niechcemy, wydawa.
Ni niesłuſzney chćiwośći: ſwe ſzárpać ſąśiády.
Ale iákże uniknąć? choćby niechćiał zwády!
Kiedy Bog skarze Pánem, ktory nieznа Prawa,
Tylko ieden interes, ná ktory ſię zdáwa!
Ktory, kiedy co urwáć może, wnet to czyni!
Nie myślćie: że Idmena, to me słowo wini.
Nie onim cále mowię. Mowię o Adráśćie,
Daunow Krolu z ktorym my, mamy słuſzne zaśćie.
On Bogow lekce waży, y o ludźiách mniema,
Że dla iego niewoli, ich cna nosi źiemia.
Niechce áby Poddáni, zá Oycá go mieli.
Ale iák niewolnicy, zá Bogá go wźięli.
Slepa dotad fortuna, rząd iego ſzczęśćiła,
Lecz w nas tá intencya práwowierna była:
Że przywiodſzy słábſzego, ná pokoy, Idmena:
Pycha mocnieyſza kárę, by w Adraśćie wźięna.
Niemáło, ſojuźnikom náſzym, Miaſt náłowił.
Dwá rázy bił Krotonow. Ledwobym wymowił,
Złość iego. Moc y zdrádá zárowno, byleby
Ogárnął ſwe ſąśiády, według ſwey potrzeby.
Wielki skarb, Zołnierz bitny, Hetman doświádczony,
Wto ufa, y że w káżde, ſam ſię doyzrzy ſtrony.
Naymnieyſzy błąd wnet karze, á nadgrodźi hoynie.
Naywiękſza, że ſam poprze, własnym męſtwem w Woynie.
Zgoła gdyby poććiwość, z cnotą, nim wládáła,
Rzadkoby Krol godnieyſzy. Coż umysł iák skáła.
Do Bogow, y ſumnienie náwet, zá nic miewa:
Reputacya, tchorzow fantazmem, názywa.
Rzetelne dobro iego ieſt, śiła pieniędzy
Stráſzyć świát, deptáć ludźie, y wieść ich do nędzy.
Iego Woyska, wnet w náſzey ukażą ſię źiemi.
Ieżli wſzyſcy oſtępem, nań wraz nie poydźiemy!
Wolność náſza zginęła. Y twoy Idomenie!
Ieden z námi Interes, tákiego znieśienie:
Ktory znieść w nás niemoże, ábyśmy wolnymi
Byli. Salent przepádnie, kiedy zginiem y my.

Uprzedzaymyż go w cześnie. W tym Nestor przestáie.
Kompánia się cała, ku Miástu udáie.
Iák ia Idmen záprośił, ná nocleg Stárszyne,
A pod mury, Woyskowa w namiotách Drużyne.
Ktore były przepyszne, y w kolory rożne,
Ziemie okryły; á w nich, woysko szło spáć nużne.
Krolowie wszedszy w Miásto, w nim, się dźiwowáli;
Ze wspániáłość, w ták krotkim czáśie, tám zástáli.
Y że woyna ták wielka, urość Miástu dáła.
Dźiwna im, Idomena mądrość, doskonáła
W ufundowániu Páństwa, iákby podczás boiu,
Ktoremu niedostáło tylko już pokoiu.
Ktory że stánął, Wszyscy, madrze osądźili,
Ze ligi z Idomenem, im potrzebne były.
Záczym go ćiągną do nich, ktore on przyjmuie,
Y Woyska ná pośiłek woyny obiecuie.
Ale Mentor co wiedźiał, ná czym Páństwo stoi
Y że Idomen niewie, sam o śile swoiey;
Wźiął go ná stronę, y ták śmiele mu przełożył:
Widźisz, że me stáránie, niedaremniem łożył.
Iużem Salent uwolnił. Y iuż to ná tobie
Samym tylko záwisło: by iego ozdobie
Zadne nieporownało, á ty sam, Minosa
Dźiáda swego wywyższył Madrość pod Niebiosa.
Smiem ći mowić odważnie, mniemáiac że y ty,
Chcesz tegosz, y niechcesz bydź miedzy hypokryty.
Kiedy twoia wspániałość chwalili Krolowie:
Postrzegłem twą z uchwałość. Alić ná tym słowie
Idomen się zápłonął, w oczách się zmieniło,
Ledwo mowy nieprzerwał, tak mu ćięszko było.
Aż Mentor rzekł z skromnośćią, lecz odważnie przećie:
Widzę, słowo, zuchwałość, kole ćię y gniećię.
Kto inszy, źleby czynił; bo Krolow ostrożnie
Upomináć potrzeba. Y prawda gdy grożnie
U nich stáwa przegráie. Alem ia rozumiał,
Zem ći błąd twoy mogł odkryć, temum się zádumiał.
Chćiałem ćię ia przyuczyć, ábyś bez ogrodki
Słuchał. Bo wiedz że drudzy, nigdy bez obwodki,
Swey ći rády niedádzą. Domyślić się tobie
Trzeba, kiedy cney prawdy, niedasz mowić sobie.

Y ia, ieżeli ták chcesz, me słowa uwinę.
Aż z wstydem, wziąwszy na się łagodnieyszą minę,
Idomen Mentorowi: To sam widźisz [rzecze]
Co to umie pochlebstwo! gdy się nim kto wśćiecze.
Iabym chćiał Páństwo zbáwić, y niemász tey rzeczy,
Zebym niechćiał usłyszeć! gdy mię masz ná pieczy.
Lecz nád Krolem się lituy, pochlebstwem otrutym,
Y z prawdęmowcych rádźcow, w nieszczęśćiach wyzutym.
Nigdym człeka nie znalazł, ták się rządzącego,
Zeby chćiał záwsze ćierpieć, prawdę mowiącego.
W tym mu łzy w oczách stáną, y Mentora śćiśnie.
Rzeknie mu: mądry Stárzec, kiedy mię przyćiśnie
Prawda, rzec ći co twárdo; z żalem to przychodźi;
Ale stań ná mym mieyscu! czy się táić godźi
Prawdę? Ieżeli przedtym, ćię oszukiwano!
Tyś sam chćiał; więc nie składay ná to, że ták chćiano.
A szukałżeś zá Rádźcow, tákich sobie ludźi!
Coć by się sprzeczyć mogli! y w ktorych nie wzbudźi
Nic prywatny Interes? Czyś szácował tákich!
O fawor niedbáiących! w postępkách iednákich!
A śmiáłych! żeby twoie chući potępili!
Y zdániu niesłusznemu, meżnie odmowili!
Gdyś postrzegł pochlebnikow; Czyś się ich wystrzegał!
Czyś od śiebie oddalić, tákowych nálegał?
Nie! nic nieuczyniłeś, co takowi czynią,
Co w kochániu cney prawdy, y w znániu iey słyną.
Pátrzmyż teraz: Ieźli masz, już więcey odwagi?
Uniżyć się przed prawdą, y poznáć iey wági,
Wrácam się iákom zácżął: Coć u drugich chwałę
Czyni? to záś ma umnie nagany nie máłe.
Kiedyś miał Nieprzyiaćioł, ná Páństwo záwźiętych,
Nie myślałeś nic, tylko, o murách zácżętych,
Y budynkách wspániałych; támeś skarb rozsypał;
Dla tego żadney nocy dobrześ nie dosypiał.
A záś lud twoy rozmnáżáć, cále nie myslałeś,
Ani żyzne te brzegi, chlebem odźiać chćiałeś.
A te przećie dwie rzeczy, fundamentá były,
Mnogość ludźi, y chleba, twey Krolewskiey śiły.
Ná ludźi rozmnożenie, pokoiu długiego
Trzeba było. Oractwa, á záś dla drugiego.

 Ambi-

Ambicya ćię zwiodła, máłoś nic zapłaćił,
Chcąc sie wielkim ukázáć, wielkośći nieſtráćił.
Spieſz się tedy popráwić, przeſtań budowania,
Porzuć pompy, ruiny Miaſt, przyłoż ſtárania,
Zeby ludźie w pokoiu twoi odetchnęli,
Pomoż do obfitośći; by mogli y chćieli,
Y żenić się, y mnożyć. Wiedz żeś Krolem tylo,
Im się więcey Poddánych, będźie ći liczyło.
Y że twa potencya, nie kráiu wielkośćią,
Mierżyć się będźie; Ale Ludźi ośiádłośćią.
Miey kray mierny, á niech go, gęſty lud ośiedźie,
Pracowity, posłuſzny; Gdy ćię kocháć będźię,
Mocnieyſzyś y ſzczęśliwſzy, y pełnieyſzy sławy,
Niż co Páńſtwá pośiada, ow Woiownik żwáwy.
A coż ia tedy pocznę, z temi tu Krolámi!
[Rzecze] Idmen. Czyż im się ták iáko przed námi,
Przyznáć ſwoiey słábośći! Prawdać żem oráctwa,
Dla budynkow zániedbał, y handlow bogáctwa.
Czy każeſz mi to wyznáć, przed Krolmi Mentorze?
Słábość odkryć, y śiebie ſtáwić w dyshonorze!
Ieśli każeſz? uczynię, choćiaſz záwſtydzony,
Wiedząc, że Krol; ten ieden, dla ludźi ſtworzony,
Ieſt prawdźiwym, co ſwego Króleſtwa cáłośći
Przekłáda nád ſwe pompy, y sławy prożnośći.
Iák godny Oćiec Ludu, mowiſz (Mentor powi)
Uznaię żeś Krol, z tákiey dobrotliwey mowy,
Bárdźiey niżli z twych Gmáchow. Ale ia piáſtowáć
Honor twoy chcę, gdy całość Páńſtwá, chcę rátowáć,
Wmowię ia w Krole: żeś się podiał do Itaka,
Uliſſa ieśli żywy, álbo Telemaka
Wprowádźić, y odpędźić, Gwałtowniki Gáchy,
Dla ktorych Penelopę wielkie znośi ſtráchy.
Łatwo poymą; że táka Woyna, Woyska śiła
Potrzebuie. Y przeto, dla tákiego dźieła,
Małym się, przećiw Daunom, będą kontentowáć
Pośiłkiem. Temi słowy, ták się porátowáć
Zdał Idmen, iák gdy ćiężar zdeymą z karku komu.
Rzeknie: Oycze! wyſtawiaſz y Miáſta y Domu
Honor, kiedy ſąśiadom, słabość mą zákrywaſz:
Ale iákieyże ſztuki, náto záś záżywaſz?

Powie-

Powiedźieć? że Ulissa rátowáć w swey biedźie,
Z Telemakiem chcę? á on zniemi Woyszczyc idźie!
Nie frásuy się, rzekł Mentor. Nic ia fałszywego,
Nie powiem. Poślesz Flottę, dla handlu nowego.
Ta poydźie ku Epiru, dwie wraz zrobi rzeczy.
Naprzod, kupcow poćiągnąć, niechay ma nápieczy
Obcych do ćiebie; ktorych zbyteczne Gabely,
Y cla, już od Salentu, były odepchnęły.
A druga: O Ulissie szukáć wiádomośći!
Ieśli żyie! ile bydź może, w odległośći
Tych Morz, ktore Grecyą, od Włoch rozdźieláią.
Ieżeli go nie znaydą; niech że się stáráią
Iták wźiąć, y Synowi uczynić przysługi,
Ogłośić go ze strachem, ktorego czás długi,
Miano zá umarłego. A tym Penelopy
Gacho wie przestrászeni, ućiekną iák chłopy.
Widząc, że z kolligatem, powroći potężnym,
Y Poddáni Itaku, przy ták dźiele mężnym,
Nie odważą się wierzgnąć. A oná swe nędze
Poćieszywszy, o Gáchu już myślić nie będźie.
Y ták, kiedy Telemak, woiowáć zá ćiebie
Będźie przećiwko Daunom, dozna ćię w potrzebie
Pomocnikiem. Tu krzyknie Idmen: O szczęśliwy
Krolu! co się ná rádźie wspieraż ták życzliwey.
Mądry, wierny Przyiaćiel, więcey Krolom stoi,
Niż Woyska tryumfalne, ktorych się świát boi.
Lecz iesżcze Krol szczęśliwszy, co to szczęśćie uzna,
Y przyjmuie tę rádę, ktora iest nie prozna.
My od konfidencyi często oddalamy
Cnotliwych, mądrych, ktorych cnot się obawiamy.
A uszy záś y serce, pochlebnym dáiemy,
Ktorych się zdrad nie boiem, áni się strzeżemy.
Ták się y zemną stało, iák ći powiem potem:
W iákiem ugrzązł nieszczęśćia, z niezmiernym kłopotem,
Przez zdrádę przyiaćiela ktory gláskał moie
Chući mowiąc: że przy nich ia chwalebnie stoię.
Ale już błąd moy widzę, y pochlebcow zdrády.
Twoiey szczerey y mądrey, wolę słucháć rády.
Mentor kontent że Krolá ná swe przywiodł zdánie,
Do Wodzow wraca, mowiąc: Idmen w swe stáránie,
Muśiał wźiąć Telemáka; Kiedy on zá niego
Idźie w zastaw ná woynę. Y przyszło do tego:

Ze ná nim dosyć mieli, y z nim sto młodźieży.
Cretenskiey, z ktorych w káżdym, Mars srogi się ieży.
Tych posłáć, Mentor rádźił sam, Idomenowi.
Niech się ludźie w pokoiu (mowił) mnożą zdrowi;
Ale żeby prożnuiąc się nie rozpieśćili
Trzeba, żeby też Szláchta, w Obcy kray chodźili.
Dość ná tych będźie; Ktorych, Narod widząc cáły,
Prac, śmierći, się nie zlęknie; ále chćiwy chwały,
Miłośći dźieł Rycerskich, z tey Woyny nábędźie,
Y sam też do sztuk woyny, ochotnieyszy będźie.
Ták Krolowie, z Idmena, á bárdźiey z Mentora
Rostropnośći kontenći ruszyli z wieczora,
Od Salentu; á rádźi że prowádzą onego
Telemaka, od żalu ledwo żyiącego,
Zegnáiąc już Mentora. Odchodząc Krolowie,
Utwierdzáią Idmena, w przyśiężonym słowie.
A Telemak, śćiskáiąc Mentora, łzy leie
Mowiąc: Chęć słáwy, Oycze, już we mnie máleie.
Ráczyj ten żal, co go mam z tobą się rozstáwáć,
Iest táki, że nie będźie mogł nigdy ustáwáć.
Ták mi się zda, że znowu ow czás nieszczęśliwy,
Wraca się; gdym w Egipćie z ręki twey życżliwey
Był wydárty. Mentor też ćieszy go iák może;
Insze to rozłączenie, szczęść ći Synu, Boże!
To krotkie, dobrowolne, ná tryumf ćię wiedźie.
Nie tak mię bystro kochay. Y kiedy przywiedźie
Fatum, że się roschodźiem! przyuczay się raczey
Niewidźieć mię, kiedy bydź nie może inaczey.
Niech ćię Mądrość y Cnota; co masz czynić uczy,
Nie Mentora przytomność, żeć to rzekę krocyj.
W tym Bogini, w Figurze Mentora będąca,
Egidą Telemaka okryła, świecąca.
Wláła weń Ducha męstwa, przezoru, mądrośći,
Moderácyi [rzadko co chodźi w iednośći]
Idźże ieszcze (rzekł Mentor) ná niebespieczeństwa,
Kiedy tego potrzeba. Bądź pewien zwyćięstwa.
Większy Krolom dyshonor, strzedz się złego rázu
Niż nie znáć niebespieczeństw, y Woyny, y rázu.
Co drugich kommenduie, odważnym, bez ále,
Bydź powinien. Y iáko, konserwowáć w cále,
Krolá ludźiom potrzebá; ták iest potrzebnieysza
By w nim reputácya, nád życie niemnieysza

Była.

Była. Záczym pámiętay, że kto kommenduie,
Przykład z siebie, cáłemu Woysku, wystáwuie
Náraź się Telemaku, y giń ráczey w boiu,
A niż się masz pokázać, w niepewności stroiu,
Odwagi. Ale także, niechćiey bez potrzeby
Szukáć niebespieczeństwa, y łowić pogrzeby.
Męstwo poty iest cnotą, poki nim kieruie
Mądrość, ktora skoro ćię, w bitwie odstępuie,
Głupim życia ważeniem, y z wierzęcym iadem
Stáie się, nic pewnego tym nie czyniąc składem.
Kto się w sprawie nieczuie, nie iest mężem u mnie.
Bo choćiay nie ućieka, lecz się nierozumnie
Mięsza, że rozum tráći, ktorym profitowáć
Mogł, y Nieprzyiaćiela złámáć, á salwowáć
Swą Oyczyznę. Ieżeli ma zápał Zołnierski,
Ale rozwagi nie ma, Hetmańskiey, Rycerskiiy.
A náwet, y Zołnierza Męstwa, słuszna wina,
Kiedy do posłuszeństwá, rozumu nie strzyma.
Zuchwale się náraża, Szyki woyska psuie,
Przykłádem złym szaleństwá, Woysko exponuie
Cáłe, w wielkie nieszczęśćia, y szaleńcy tácy,
Nie chwalebni powinni bydź, káráni ráczyj.
Nie szukáy sławy Synu, názbyt niećierpliwie.
Kto ią ználeźć chce! trzeba, czekáć, nie skwapliwie.
Cnota im iest prośćieysza, skromna bez przysady,
Tym mniey ma do respektu, od Ludźi záwády.
Im iest większa potrzeba, ná sztych się náráźić,
Z tym większa przezornośćią, przyjdźie się obráźić.
Ná koniec: Nie záciągay ná się nienawiśći.
Nie zazdrość, kiedy komu, wiedźie się y iśći.
Pierwszy chwal co godnego, ale chwal rozsądnie,
Y mow dobrze o káżdym, ochotnie y godnie.
Tay co złego y żáluy; á zás przed stáremi,
Nie decyduy z uporem, przed doświadczeńszemi.
Słuchay z deferencyą, ni się rádźić wstyday,
Gdy co robisz dobrego, że od nich masz przyday.
Ani słuchay dyskursow, kiedyby ćię chćiano
Podbudźić, przećiw Wodzom, złośćią záwikłáną.
Gaday z niemi z ufnośćią, rzetelnie uprzeymie.
A ieśli tákaż poydą drogą. Ci wzaiemnie!
Otworz serce im wcále. Co ieżeli znáią
Y godność procederu twego uznáwáią,

 Poćai-

Pociągnieſz ich zá Serce, znich co zechceſz zrobiſz.
Ieśli ſię ći ſprzećiwią, to ſię ſam uzdobiſz,
Cierpliwośći náuką. Co w nich niesłuſznego
Obaczyſz! To ći będźie nauka dobrego,
Ná to, że więcey z niemi, áż do końca woyny,
Wdáwáć ſię już nie będźieſz, y będźieſz ſpokoyny.
Ale, naybardźiey tym, co w obozie biegáią
Y niezgody plotkámi ſwemi, rozśiewáią,
Nie powiedz nigdy, co ćię od wodzow dotyka.
Niech kto chce, y iáko chce ſam ſobie nárzeka.
Dáley Mentor rozwodząc: Ia ſię tu zoſtánę,
Dla ſzczęśćia tych poddánych; Ale nie przeſtánę
Myślić o Tobie. Tu ćię będę oczekiwáć.
Pomniey! że nigdy temu, nic nie będźie zbywáć;
Ani ſię báć nie może, kto ſię Bogow boi.
Y ty wiedz, że Minerwa záwſze ztobą ſtoi,
We wſzech niebeſpieczeńſtwách. Telemák te słowa
Przyiał iákby Bogini, była mu domowa.
Ledwoby iey nie poznał, że to znim gádała,
Y Boską go ufnośćią, duſznie ná pełniała!
Gdyby była, twarz znowu Mentora Bogini
Nie odnowiła y słow, co do niego czyni:
Synu! nie zapominay moiego ſtarània,
Z Dźiećińſtwá podiętego, y uformowánia
W Męſtwie Oyca, w rozumie. Nic nie czyń lekkiego
Przykładom Oyca, y mym mowom przećiwnego.
Iuż Słońce ſię podnośi, y wierzch gor ſarbuie,
A każdy Krol z Sálentu, do woysk ſwych kieruie.
Wnet ſzyki koło Miáſtá, do kupy ſię ſchodzą,
Y Márſzem, pod Stárſzyzną, w pole ſię rozwodzą.
Pikámi y grotámi, wnet ſię pola ſtroią,
A blasku, tarcz y zbroi, oczy tknąć ſię boią.
Z tumanow pod Niebioſa, Obłoki ſię rodzą,
A Idomen z Mentorem, zá Krolmi wychodzą,
Z Miáſta wyprowádzáiąc. Kędy ſię żegnáią,
Y nieraz uśćiskawſzy, pewne proby dáią
Wzaiemnie, ſwey ſzczerośći. Y już Colligáći
Pewni śię z nim rozchodzą: że áffekt zápłáći
Affektem trwáłym; skuſzą pokoiu długiego;
Bo dopiero poználi, dobroć ſerca Iego.
Y że to, co pobładźił, nie z iego ſzło złośći;
Ale, z názbyt posłuſzney rádcom, powolnośći.

TELE-



TELEMAKA XIĘGA SZOSTA.

SUMMARYUSZ KSIĘGI SZOSTEY.

MEntor, ktory był zoſtał w Salenćie, dáie Idomenowi naukę, y reguły pewne do rządzenia dobrego. Pokázuie mu; y wywodźi potrzebę Oráctwá, y Goſpodarſtwa, zániedbánego w Páńſtwie Iego. Oraz mu czyni, miłe opiſanie ſpokoynego żyćia Goſpodárskiego. Uczy go budownictwa, y iák poſtáwić Dom wygodny, zdrowy, y niezbyt obſzerny. Idomen záś powiada Mentorowi hiſtorya ſwoią y nieſzczęść ſwoich; także y hiſtorya Prothezylaſa, y Philokleſa, Miniſtrow ſwoich.

SKoro woysko odeszło, chćiał Idmen Mentora,
Po cáłym Mieśćie wodźić. Y gdźie w pola spora
Rol obszerność odkryłá; Lecz wprzod Morskie śiły,
Chćiał widźieć Idomena, Mentor, iákie były.
Spisuymy [rzekł:] okręty, y obaczmy, iákie?
Ná woynę y ná hándel, máią bydź dwoiákie.
Zważmyż ie, y ztąd, twoia moc iáka! uznamy.
A wtym idźie do portu, y stawa u támy,
W káżdy wszedł okręt, y tám wybádywał pilno:
Dokąd nośił towáry? y iákie? iák śilno
Chodźił? y co ná odwrot przynośił do Domu!
Co zá koszt podczás drogi? y pożytek komu!
Wypytywał o wspołkách? Towárzystwie Ludźi
Kupczących? czy iest wierne, czy sobą nie łudźi,
Ná przypadki rozbićia, y nieszczęśćia, stráty!
Y iáko, w swoie káżdy, kredyty bogáty?
Zeby zábiedz chćiwośćiom, zysku zbytecznego:
Ktore ćiągnąc nad śiłę, do bankrudu złego,
Ludźie wiodą ktore on, chćiał karáć surowo.
Y zaraz tam popisał, Ná to y ná owo,
Mądre reguły. Tamże Magistrat postawił:
Zeby kupiec, w naymnieyszey rzeczy się tam sprawił,
Co zá towar! iáki zysk! co zá koszt podeymie!
Czyie rzeczy, ná okręt? w iakiey cenie przyimie.
Zeby się hazardowáć, cudzych niegodźiło;
A náwet y swoiego, tylko ná poł, było
Wolno tráćić towaru; á ná tych, surowe
Káry ponaznáczane, ktorzy, raz námowę
Uczynioną z Kompany, gwałćić się ważyli,
Y naymnieyszym zapisom, swym się sprzećiwili.
Wolność w handlach zupełna, tamże ogłoszono.
Nie tylko cła uięto, ále otrąbiono.
Nagrodę kupcom, ktorzy iáki Narod nowy,
Przychęcą, y Sprowadzą ná port Sálentowy.
Y tak zaraz národy, wnet zewsząd się zbiegły,
Kupcy, Port y Okręty, iák Morskie oblegly
Fale, ktore przychodzą y odchodzą razem
Skárby tam y dostatki, ćisną się obłazem.
Co wolno weszło, także odeszło, nie tayno.
A wszystko pożyteczno, dobre iednostayno

Sprá-

Spráwiedliwość, we środku Narodow ták śiłá,
Z szczerośćią y słownośćią, sobie założyłá
W porćie tron, á rzetelność (tak się ludźiom zdałá)
Ze zwież kupcow, naydalszych kraiow zwoływáłá.
Káżdy kupiec czy to on, ze wschodniego brzegu!
Zył bespiecznie, czy z tąd! gdźie słońce swego biegu
Kres, w Morzu założyło. Tak gdy Port sporządźił,
Do miástá Mentor poszedł, áby go rozrządźił.
Rynki, sklepy, y kramy, kupcow Magazyny
Przetrząsł. By zás zábronił w Mieśćie rospuśćiny:
Zakazał tych towarow, z cudzych páństw, przedawáć
Co w zbytki, w roskosz w miętkość, zwykły ludźie wdawáć.
Sukien, Potraw, y obeyść, regułę stánowi,
Y według urodzenia, káżdemu Domowi,
Wielkość naznacza. Z złota y srebra ozdoby
Zabrania, mowiąc: Krolu! Poki z swey Osoby.
Przykłádu niedasz, poty twoy żaden poddany,
W kosztach wszelkich, niebędźie sam pohamowany.
Ty zaś sam, noś Majestat, w twoiey własney twarzy,
Y powaga, z Gwardyi, kiedy co się zdarzy,
Z Páńskiey assystencyi, niech się pokazuie;
W stroiu! zwełny Purpura, niech ćię kontentuie.
Naypierwśi Páństwa ludźie, w nię się też niech stroią,
Znaką tylko roźnicą miedzy Ich á twoią:
Zeby brzegi haftami lśnęły twoiey szaty,
A ich zaś stroy Purpury, nie ták był bogaty.
Urzędow, y szlachectwa, poczyń też roźnice
Nie z złota ni kleynotow, lecz z sukien farbice,
Pierwszy rząd, w Mieyscu, w szatach, niechay ći trzymaią,
Ktorzy się znaydawnieyszych Familiey maią.
Ci zaś, ktorzy powagi, zurzędow dostali,
Nie będą się zacnieyszym ustąpić wstydali.
Niech zá niemi rząd maią bo mniey ludźie zacni
Ustępowáć zacnieyszym, bydź powinni łácni;
Byleś, Ich wywyższywszy, w wysokie honory,
Niedał się zapominać, przez zbytnie fawory.
Tákiemu zaś, sam głośne rozdaway pochwały,
Ktory w szczęśćiu moderat, y ná pychę trwały.
Roźnica w rzędźie, naymniey podległa zazdrośći,
Ktora z iedney szlachectwa pochodźi dawnośći.

Cnota się w zbudzać będźie rożnemi sposoby,
Y nieieden, Usługi páństwu, wyda proby.
Byleś státuy stáwiał, rozdawał korony,
Wzasługach, y kto godny, żeby był szlachcony.
Ludźie, rzadu pierwszego, co będą po tobie,
W Bieli y z frandzlą złotą chodzić będą sobie,
Złoty pierśćień ná palcu. A rzadu drugiego,
W błękitni z frandzlą srebrną, Metalu żadnego
Mieć niebędą; lecz pierśćień będźie się godźiło
Nośić Im, ná rożnicę, żeby drugim było.
Trzeći w źieleni, ale bez frandzlj, z Metalem.
Czwarći, w żołtogoracym. Piąći, w tym Nietrwałem
Rożowym, chodźić maią. Szośći wgriglinowym.
Siodmi, iák to pospolstwo, w pomieszanym owym,
Zołto zbiałym. Tak śiedmiu, kondycyey ludźi,
Siedm kolorow rozroznia, y do chwały budźi.
Lecz te wszytkie ná wolnych. A zaś niewolniczy
Ciemno szary iest kolor. Tak bez taiemnicy,
Y kosztu, rożność stánow, y zasług w Salenćie,
Wydawáć się, y drugich wzbudźać do cnot będźie.
A ći zaś rzemieślnicy, co to nadętośći,
Y pompie szat służyli, w zuchwałey prożnośći,
Poydą z miástá, á raczyj, rzemiosł potrzebnieyszych,
Imą się, to Oráctwa, to hándlow ważnieyszych.
Niechay áni koloru w sukniach, áni kroiu,
Odmiany już niebędźie. Bo co może w stroiu,
Bydź wstydu godnieyszego! iak że Ludźie godni!
Mogą głowę zaprzątáć, áby byli modni.
Czego Zonom by swoim ledwo pozwolili,
Myśleć, áby się co raz inaczey stroiły.
Mentor, Ogrodnikowi, tak się stał podobny,
Ktory, żeby miał owoc, w drzewach swych ozdobny;
Nie ćierpi niepotrzebnych, y suchych gałęźi;
Tak y on, zbytki pychy, y skracą y węźi,
Psuiace obyczaie. Co zletká prowadźi,
Do tey zacney prostoty, ktora wymysł gładźi.
Zordynował y stoły, Mieszczan y poddanych,
Panow y Niewolnikow (słow zażył wybranych)
Nie wstyd że to! Panowie! że naywyższa sławę,
Pierwśi ludźie pokládli, w swych potraw przypráwę!

Ktore

Ktore Umysł y Ciáło, pieſzczą bez potrzeby;
A zdrowie, wprowadzaią w choroby, w pogrzeby.
Nie prawdźiwſzeż to ſzczęśćie! żyć z pohamowaniem,
Bydź ludźiom pożytecznym, y ſwey gębie Panem.
Wſtrzemięźliwość, nayproſtſzy pokarm, czyni miły.
Daie ſmak trwały, mnoży y zdrowie y śiły,
Niechże waſze obiady, z mięs dobrych potráwy
Okrągło, y wymyślney będą bez przypráwy.
Ieſt ći to truć chćieć Ludźie, draźnić appetyty
Przyſmakiem nád Ich śiły. Idomenie? y Ty
Zleś uczynił, żeś ſwoim tu Mieſzczanom nowym
Pozwolił, obyczaie odmienić, y zdrowym
Minoſa práwom wierzgnąć; ktory wſtrzemięźliwie,
Zyć kazał. Y te práwá ponowić prawdźiwie
Trzebá. Lecz y to zá nic; Ieśli ſwym przykłádem,
Nie daſz powagi práwom, ich będąc zákłádem.
Zaraz ſwoy ſtoł Idomen, inaczey ſporządźił;
Chleb cudny, wino dobre, lecz mało rozrządźił.
Mięſa zproſta gotowne, by ná ſtoł dáwáli,
Y potráwy, iákie więc, pod Troią iádáli.
Uskarżyc ſię nikt nie śmiał, ná reguły tákie,
Iákie krol ſam dał ná ſię y ſtany wſzelakie,
Y ták ſię káżdy uiał, w zbytku, y popráwił,
Ktorym ſię delikatnie przedtym ſzczycąc ſłáwił.
Potym Mentor, Muzykę niewieśćią oddalił,
Y karczemną, od ktorey prędzey ſię obalił,
Zagrzany młodych umysł, niż z ſamego wina;
Tá ieſt grzeſznych zápálow zwyczayna przyczyna.
Przeniosł ią do kośćiołow, ná Niebieskie chwały,
Y Rycerzow, co nam cnot dáli przykład ſtáły.
Nawet, ozdoby w gmachach Portyki, kolumny,
Frontony, y co ieno, znalazł wymysł dumny,
Gdźie indźiey, procz kośćiołow; gani to y łáie.
Abryſy proſtey mody, lecz miłey rozdáie,
Ná wſzyſtkich: Aby w miernym mieyſcu, ludźi śiłá,
W domu weſołym wſzelka wygodá pokryłá.
Ná zdrowy widok ſtáwiał, nie ćiaſne mieſzkania;
Bydź mogło ochędoſtwo, bez koſztow ſtáránia,
Y Modele budynkow, według ludźi mnoſtwa,
Ku potrzebie niepyſzne, ſtáwione domoſtwa,

Cześć Miáſtá regularna prędko uczyniły,
A na drugiey, co ſtałá, nie był wzrok tak miły,
Choć wſpániałość tám większa, wpozor ſię świećiłá
Lecz ni ták regularna, ni wygodna byłá.
Malarſtwa y Snycerſtwa, Mentorowym zdaniem,
Porzućić ſię nie zdało; Ale nie ſtárániem
Zbytecznym ie rozkrzewiáć, *w* Salenćie. Y przeto,
Poſtáwił Szkołę, głownych Miſtrzow tych ſztuk; Gdźie to
Uczniow polerowano. Dokładaiąc słowy:
W Rzemiosłach, ktorych to kunſzt, ieſt bardziey świátowy,
Niż do żyćia potrzebny; wybornych nie wiele,
Mieć nam potrzebá Miſtrzow. Boć ſłuſznie y śmiele,
Rzecz ſię może, że nam ſą Malarze Snycerze,
Ná iedno tylko dobrzy: żeby nam Rycerze,
W Twarzach ich, z wyrażeniem czynow, wyſtáwiáli;
Y pámięći tych Ludźi, umieráć niedali.
Cokolwiek niezwyczayna, ich zrobiłá cnota
Y iaká dla Oyczyzny przysłużna robotá,
Wſzytko wGmachach publicznych, y grobach podźiemnych
Wyſtáwiać to potrzebá, dla wiekow potomnych.
Ztym wſzystkim Mentorowe te pomiarkowania,
Nie hamowały w Krolu, wyſtáwiáć ſtáránia
Wielkich gmachow z umysłu, álbo ná záwody,
To dla biegow wozowych, y Ludu wygody,
To dla, páſſuiących ſię utárczek, igrzyſká,
Y exercytowania Ciáłá, w cudowiſká;
Wſzytko to, dla cwiczenia, czynił tey Młodźieży,
Z ktorego wigor lepſzy, ieſt przy śile świeżey.
Tych zaś kupcow, co ſukien haft modny y nowy,
Ze zdaleká, zbyt cenią, ważą złotogłowy;
Y tych co przedawali likwory, perfumy,
Powyganiał, w pieſzczoty wiodące y w dumy.
Nakázuiąc, by ſprzęty domowe ſwe cáłe,
Skromne, mocne chędogie, ſpráwiáli y trwáłe.
Ták Sáleńczycy, co ſię w uboſtwie skarżyli;
Uználi, że w ſwych zbytkách, doſtátniemi byli.
A w ten czas gdy ná ſobie, zbydz ſię ich, przewiedli,
Dopiero, do práwdźiwych skárbow, ſię przywiedli.
Sámi ſobie mowili: To ieſt, ſię bogaćić,
Odrzucać tákie zbiory, ná ktore nam tráćić

Trzebá

Trzebá było; á ten koszt lepiey się nam zeydźie,
Ná to, bez czego w życiu człek się nie obeydźie.
Potym Mentor, lustrowáć poszedł, Arsenały;
Ieżeliby w rynsztunki, opátrzone stały.
Mowiąc: Trzebá bydź zawsze ná woynę gotowym,
Y niedáć się uprzedźić, nierządem domowym.
Zastał, że śiłá broni potrzebney nie miano
Y kazał, Rzemieslnikow, áby wnet zebráno,
Do żelaz, spiży, miedźi. Y juźći się wznoszą,
Z piecow ognistych dymy, co obłok przenoszą,
Y płomienie buchaią iák z Etny strászliwey,
Pod młotem y kowadłem, huczy głos wrzaskliwy.
Gory y brzegi morskie, napełnione huczą,
Iakby Wulkan, z Cyklopy, pioruny się uczą,
Kowáć Bogow Krolowi. Tak mądrze, przezornie,
W Pokoiu się ná woynę gotował, wybornie.
Za tym, z Miásta z Idmenem, Mentor poszedł wpole
Tam zástał żyzne, ále, niesprawiane role.
Obszerność wielka, ále ubostwo poddanych,
Zostáwiło puł pługiem práwie nie tykánych.
Mentor, ná spustoszałe grunta, zápátrzony
Rzekł do Krolá: widzisz ten grunt sam upragniony!
By oracza zbogaćił, Ludźi niedostaie
Ziemi, więc żebyś prędko te osádźił kráie,
Rzemieslnikow zbytecznych, y ktorych roboty,
Do zbytkow Ludźi wiodą, álbo do niecnoty
Zmiástá przenieś, tu osadz. Prawdáć Ludźie tacy,
Co śiedzą nad warsztatem, do oraczey pracy
Nie sposobni; lecz sprobuy! podźiel ich gruntami,
Oni nayma sąśiadow, z niemi pożytkami,
Niech się dźielą. Te same, choc obce národy
Widząc kray dobry, będąc y pewni nádgrody,
Ośiesć mogą twą źiemię. Y tak z nich poddanych,
Bez koszku, á z pożytkiem, będźiesz miał wybránych.
Páństwo tym rozprzestrzenisz, y przyjdźiesz do mocy,
A Rzemieslnicy, będąc, ku wielkiey pomocy.
Iuż Dźieći wychowuiąc, do pracy polowey,
Z ktorey Lud iest rzezwieyszy: niż w Mieście, y zdrowy.
Nie frasuy się! rozmnożysz; Będą niezliczeni,
Tylko niechay do wesel będą pociągnieni.

Ten zaś ſpoſob ieſt łatwy; Ludźie wſzyſcy práwie,
Maią chęć do ożenin, tylko ich wtey ſpráwie,
Ubostwo zráża. Więc ty poznoś im podatki,
A ták łátwiey pożywią y Zony y dźiatki.
Ziemia nie ieſt nie wdzięczna, y kto ią ſpráwuie,
Tego karmi, y ſtokroć, mu ſię oddaruie.
Y bogactw ſwych zábrania, tylko Ludźiom tákim,
Co źli ſą Goſpodarze, leniom, ladaiakim.
Oracz, im więcey Dźieći ma, tym doſtatnieyſzy,
Byle mu był od Krolá, podatek znośnieyſzy.
Bo z naymłodſzych lát zaraz, Oycu pomagaią
Dźieći; małe owce mu paſą, wyganiaią,
Starſze, bydłá więkſzego, maią mu ſtáránie,
A z dorosłych zaś Synow, káżdy z pługiem ſtánie.
Tym czáſem, Zona, Corki, obiady gotuią,
Y ſprácowanych Mężow, z Syny pośiłkuią.
Ona y krowy doi, z kad okráſy czyni,
Y ſmaczno Dom ſwoy kármi, dobra goſpodyni.
Ona ſery wpráwidłá; á frukta do dzieży
Składa, że ſię zda káżdy, przez rok, że ieſt ſwieży.
Paſterz nieśie Multanki, y czyni popiſy,
Nowey pioſnki, zábraney od trzody naybliżſzey.
Oracz pług składa, żenac, y leniwe woły,
Ktore kárki pochyłe, nioſą do ſtodoły.
Cieſzą ſię, że ich troski, ze dniem ſię skończyły,
Bogowie mak ná oczy, Ludzkie roztoczyli,
Stáránia ſen poznośił, y przez miłe czary,
Uſpił, że kłopot uſtał iutrzeyſzy y stáry.
O iák Ludźie ſzczęśliwi; nie podlegli pyſze,
Bez stráchu, y bez zdrady, żyiący w zaćiſze.
Byle im Bogi dali, Krolá ſpokoynego,
Zeby im nie pomieſzał życia niewinnego.
Z tad w nieś: iák złość nie Ludzka! dla dumy y boiu,
Zbáwiáć ich weſołości, oraz y pokoiu;
Wydźieráć źiemskie dáry, ktore z ręki hoyney
Natury, z potu maią, y z pracy ſpokoyney.
Natura, ze wnętrzności, ták śiłá dobywa,
Ze y ná niezliczonych ludźi, nic nie zbywa,
Ktorzy ſą wstrzemięźliwi. Lecz pycha roſpusta,
Przywodźi ich w okrutne, y ćiężkie ubostwa.

Ale coż (mowi Idmen) mam robić z tákiemi!
Ktorych, w żyznym oſadzę kráiu, á gnuśnemi
Będą, w ſpráwowaniu go! Mentor mu odpowie:
Uczyń przećiwnie, zwykli, co czynić Krolowie.
Ci będąc intrat chćiwi, ná tákich zwyczaynie,
Podatki ćięſzkie walą; ktorzy iednoſtaynie,
Prácą przyſzli do chlebá; y że więcey máią:
Więcey z nich drą, á tych zaś, bardziey ochraniaią,
Ktorych w uboſtwie trzyma, zániedbana źiemia.
Przemień ten rząd, y zwyczay; bądz słuſzny obiema.
Ten rząd, co dobrych gubi, á złych záchowuie,
Krolom, Páńſtwu, niedbalſtwo ſzkodne utrzymuie.
Raczey winy y taxy, y oſtrzeyſze káry,
Na tych kładz, co niedbaią, ná źiemiańskie dáry.
Kto ſwey roli zaniedba, y odſtąpi gleby,
Niech ma karę, iák żołnierz, co ućiekł z potrzeby.
Skończywſzy dzienne práce wſzyſcy już weſoło,
Spiewaiąc, oczekuią ſnu, pod nocy połą.
Nie záluy libertacyj, y Dobrodźieſtw innych,
Tym, ktorzy Domy mnożą, przy prácach powinnych.
Przyczyniay im y źiemi. A ták ſię rozmnożą,
Y do pracy ochotę, ták w ſobie pomnożą.
Ták rzemiosło Orackie, w kontempćie nie będźie,
Raczey pług we czczi, u ſwych, y poſtronnych wſzędźie.
Ták piekna będźie, role ſwe ſpráwiáć w pokoiu,
Iako, bronić ich w woynie, y we krwawym boiu.
Rozkwitnie źiemia, Ceres, uwieńczy ſię kłoſem,
Bachus z gor zleie winá, á doliny głoſem
Paſterskim nápełnione będą, brzmieć potoki,
Bydło ſię páść, kray płynąc będźie ten w pátoki.
Nie będźieſzże Idmenie! ty nader ſzczęśliwy!
Kiedy zrzodłem takich dobr twoy národ życzliwy,
Zwać ćię będźie! y kiedy pod twoim imieniem,
Miły pokoy ogarnie ich, iák wdźięcznym ćieniem.
Tá sławá, ázáż nie ieſt milſza niżli druga,
Ktora kráie puſtoſzy! Co ieſt, woyna długa.
Co lepiey! czy te słodycz rozśiewáć ná ſwoie?
Czyli ſtrach, zamięſzanie, głody, krwawe boie.
Szczęśliwy táki Krolu, od Bogow kochany,
Co delicyą Páńſtwa, woliſz bydz názwany;

Y ná wieki potomne, krolestwa miłego,
Wizerunek wydaiesz. Wierzże mi! tákiego
Káżdy kray radby znalazł; Nie! by mu się bronił,
Ale by pod rząd Iego, kark chętnie nákłonił.
Ale, gdy Ludźie będą w tákiey obfitośći,
Roskoszą się popsuią? y te same włośći,
Ktorem Iá erygował, ná mnie się obrocą?
Nie boy się, rzecze Mentor. Złe ćię myśli kłocą.
Ten prætext, Krolom chćiwym, zwykli proponowáć,
Ktorzy chcą podatkámi, Ludźie opprymowáć.
Práwá, cośmy pisali oraczom, y zwładzą,
Przy pracy ustáwiczney, prożnowáć nie dadzą.
Y lubo dość wszystkiego, nic ná zbyt nie będźie,
Y to, co mnoży roskosz, wszytko się to zbędźie.
Sámá nawet obfitość, y w tym się umnieyszy:
Kiedy sposob do Małżeństw, podasz im łátwieyszy.
Bo przez nie, familia káżda się rozmnoży,
Kawałek będźie źiemi cenić sobie droży.
Z tąd praca ustáwiczna; przez nie, prożnowanie,
Wyżeniesz, ktore robi, w páństwach buntowanie.
Będąc oni, obfićie mieli, dosyć chlebá;
Ale go potem ćieżkim skropić będźie trzebá.
A przeto, żebyś národ twoy trzymał w kárnośći;
Zárázże porozdźielay kray, źiemie, y włośći.
Naznacz, co Familia káżda, trzymáć będźie:
Aby rząd, y w nim rowność, mieśćiłá się wszędźie.
Wiesz, żeśmy ná śiedm stánow, Lud twoy rozdzielili;
Trzebasz tedy, ábyśmy káżdy opátrzyli
Ták, żeby niemiáł nad to, niż w nim Ludźi znaydźie,
Stan káżdy; y to prawo, niech ná káżdy zaydźie.
Szlachćie, niech się niegodźi, z uboższych nábywáć,
Ubogim tákże swego, niegodźi się zbywáć.
Choć małe, niech spráwuie káżdy role swoie;
Obaczysz, że pożytku znieśiesz tylo troie.
Y to bym też rozumiał: ábyś nie pozwalał,
Zbytnie krzewić winnice, raczey ie obalał.
Niech wino rzadkie będźie. Wiedz, że zrzodłem wino,
Wszytkich nieszczęść wpospolstwie, ktorym wszyscy giną.
Choroby, zwady, bunty, w pracy opuszczenie,
Prożnowanie z tąd płynie, y Domow zniszczenie.

Niech tylko wino będźie, Bogom ná ofiarę,
Albo dla zdrowia pod czas, ile kiedy ſtáre.
Zgołá; rzadko zażywać, chybá w wielkim feśćie,
Iest to rząd konſerwowáć, bá y zdrowie w mieśćie.
Ale ſię nie ſpodźieway, byś ták zacne práwo,
Miáł utrzymać, rozkazem tylko, y ustawą;
Przykłádu z ſiebie trzebá. Potrzebá do tego,
O wychowaniu dźiatek, Minoſa mądrego
Práwá wskrześić chwalebne, y ſzkoły publiczne
Wystáwić, y Duchowne wraz, y polityczne.
Tám boiáźni ſię Bożey, Oyczyzny miłośći;
Umienia praw Oyczystych, y wſzelkiey kárnośći,
Niechay uczą, y iáko, honor przełożony
Ma bydź, nad wſzelką roskoſz. Zdrugiey znowu ſtrony,
Magiſtraty, zwierzchnośći, nad familiami
Poſtanow, y day im moc, nad obyczaiami.
Ty ſam, coś ieſt y Krolem, y Páſterzem, twoich
Pilnuy, y ſtrzeż národow, iák owieczek ſwoich.
A przeto ty uprzedziſz, kryminałow śiłá.
Ktorych by zaś przezornośc twa, nie uprzedźiłá!
Karz ie ſurowo. Y wiedz, ze to część litośći,
Káraniem utrzymywáć, wpierwſzym skoku złośći.
Krwi troche rozlewaiac, ochrania ſię wiele,
Y bez Tyrańſtwa, reſpekt zwierzchnośći ſię ſciele.
Przećieſz, niech u poczćiwych maxymą nie będźie:
Chcieć z Ludzkiey oppreſſyi beſpieczeńſtwa w rzędźie,
Poſpolſtwa do wſzech náuk, do cnoty niewodźić,
A ni ich, do miłośći Páńskiey, nie przywodźić.
W Biedźie, w ſtráſzney potrzebie, trzymáć ich uſtáwnie
Niedáć im y odetchnąc? Ieſt to wieść ich iáwnie:
Zeby iárżmo Tyráńſtwa, zrzucić z ſię myśleli.
Coż to zá pánowanie? Nie tę drogę wźięli
Ci, co do sławy idą. Wiedz, że te tam kraie,
Kędy Tron, Abſolutom, moc ſtráſzliwą daie,
Są naysłabſze. Bo wnich Krol, bierze, ruinuie,
Sam wſzytko, gdy ſam ieden Páństwo obeymuie.
Ale Páństwo wyſſáne, że ták rzekę, mdleie,
Pustki we wśiach, y Miástach, wſzedźie źle ſię dźieie.
Krol, nie iest przez ſię Krolem; ále przez poddáństwo,
To niſzcząc, ſam ſię niſzczy, przez ſwoie Tyrańſtwo.

Pieniądze wyciągaiąc z ludźi, kray gołoći,
Niewolnikow z poddanych, czyni z zbytniey mocy.
Y zdadzą się go słuchać iákby adorowáć,
Drżeć, ná káżde weyzrzenie Tyranna, się chowáć;
Lecz naymnieyszey odmiany, gdy się doczekaią,
Z tą mocą, co ná ołtarz, dopiero stáwiáią,
Co się stánie! To: gwałtem co się podpieráło,
O źiemię wnet uderzą, iák rzeczą nietrwałą.
W sercach poddanych nie masz, owey to skarbnicy,
Ktora rewolucye naysurowsze liczy.
Zá pierwszym uderzeniem, Bałwan się obáli,
Y depce go tenże sam, co go teraz chwali.
Wzgarda, strach, y nienawiść, w ligę z sobą wchodzą,
Y przećiw tak obrzydłey mocy, woyny zwodzą.
A Krol, ktory w swym szczęśćiu, prawdy niechciał słucháć,
Odstąpiony od wszytkich, muśi w garść sam chucháć.
Po tych, ták długich mowach, Idmen przekonany
Racyami Mentora, ow kray zapomniany,
Y zárosły, miedzy Lud rzemieslny, rozdaie,
Y prawa umowione nowośiedlcom dáie.
W momenćie, polá w oset gęste y w zárosli,
W kwiat y zboża nadźieię, y owocow, rosły.
Ziemia łono otwiera ná rznące się radłá,
Y bliska oráczowi, nadgroda przypádłá.
Po pádołach y wzgorkách, owiec wielkie trzody,
Po trawie wybrykuią, z zbytniey pasz wygody.
Gory rykiem, wołowe stádá nápełniaią,
Ktore sztuką Mentora, ták się nabywaią:
Rzeczy bowiem, co ná zbyt w Salenćie ich było,
W zamian ná wszelkie bydło, się powymieniło.
Aż zaraz wśi, Miasteczká, Młodźieżą urodną,
Napełniaią się; Widząc porę ták wygodną,
Do Małżeństwa biorą się; ktorego się báno,
By większey mizeryi im nie przyczyniano.
Kiedy zaś obaczyli, że Idmen w Ludzkośći,
Przybiera się, y chce bydź Oycem, ná swe włośći,
Iuż się głodu nie boią, woyn y Boskiey káry;
Nieusłyszysz tylko głos, co młody y stáry,
Pásterz, oracz, podnośił; w ustáwne wesele,
Iákby Pan, Bożek, Nymfy y satyrow wiele.

Spro-

Sprowadźił, y przed niemi ſam gráiąc tańcował,
Y do ućiech niewinnych, ſam im Márſzałkowáł,
Iednak tá krotofila, ták pomiarkowana,
Iakby ná odpoczynek, nie roſpuſtę dána.
Podługiey pracy, żywſza roskoſz, záwſze bywá.
A ſtárzec zadumiany, tákich słow záżywa:
Wielki Iowiſzu! Krolá błogosław tákiego,
Co tobie, w ſwey Dobroći, ma coś podobnego.
Dla ſzczęśćia wzdyć to Ludźi, on ſię nam urodźił,
Moc z Dobroćią, y Męſtwo z ſzczęśćiem, wraz pogodźił.
Práwnuki, co ſię z Małżeńſtw, z iego łásk porodzą,
Niech sławę, niech y dobroć, głoſzą y wywodzą.
Młodzieńcy zaś y Pánny, rádośći niewinne,
Wychwalali, przez pieśni, y dźięki powinne,
Temu, ktory przyczyną, ich był ſam weſela,
Uſtá ich wraz y ſercá, ták rádość obieła.
Zá Krolem biega, ſzczęśćia, nie máią więkſzego,
Iáko ſwych weſel widźieć Autora dobrego.
Iuż o żyćie Iego, iák o ſwe włásne ſtoią,
Y boiąc ſię o Krolá, o ſwę ſtrátę boią.
Wtedy Krol Mentorowi przyznał ſię z wyznaniem,
Że nie maſz rownych ſmakow, iáko bydź kochaniem
Poſpolſtwa. Y uczynić modz ich ſzczęśliwemi,
Nigdym Ia nierozumiáł! Mowiąc miedzy ſwemi;
Iam moc Krolow zákłádáł, w iedyney boiáźni,
Niewiedząc, że tá więkſza pochodźi z przyiáźni.
Kładłem, że wſzyſcy Ludźie, od cnych Bogow dáni,
Dla Krolow tylko żyią, gdy im ſą poddáni.
To co mi powiadano, że byli Krolowie,
Ktorych zá delicye miewali Ludkowie;
Zá baykę y ſen miáłem. Lecz práwdę uznałem.
Trzebá ći wypowiedźieć to, co ſam doznałem:
Iák ſerce me otrute, tym Krolewskim błędem,
Sprowadźiło nieſzczęśćia, ná mnie wielkim pędem.
Był zá lát moich młodych, Proteżylas zwany,
Trochę ſtárſzy odemnie, nad innych kochany,
Dworu mego; Iego mi humor, żywy, śmiáły,
Przypadł do ſmaku, á w mych paſſyach, był cáły.
Był y drugi Młodźieniec, Philokles názwany,
Y ten takze odemnie, doſyć był kochany.

Tego mi śię kázał ſtrzedz; Lecz miał wielką duſzę
Y boiáźń Bogow [co ze wſtydem przyznáć muſzę]
Moderat był, y sławę w tym wſzelką pokładał:
Nie w ſzczęśćiu, ále żeby chuć łamiąc układał.
Odważnie mię ſtrofował; A gdy uprzykrzonym
Bał śię bydź, to pokázał, żalem nie mowionym,
Zem śię muśiał domyśleć, że bez słow ſtrofuie,
Kiedy pátrząc ná lekkość moia, śię fraſuie.
Zrazu mi było miło. Y twoiey ſzczerośći
[Rzekłem mu] słuchác będę, w zupełney ufnośći.
Kázał śię ſtrzedz pochlebcow; tą mię droga wodźił,
Ktorą Pradźiad moy Minos, ták wybornie chodźił.
Nie miał tákiey mądrośći, iak ty maſz Mentorze;
Ale Iego náuka, w dobrey byłá porze.
Aż pyſzny Protezylas, y łask mych zázdroſny,
Philokleſa mi brzydźił, przez iad ſwoy nieznośny.
Lubo ten mego Dobra, nie frotuny ſzukał,
Tam ten go, przez ſwe skargi, w ſercu mym zahukał.
Powoli, wbił mi w głowę: że coś na mnie knuie:
Akcye, pycha ſrogą, moie krytyzuie.
Ze mię o nic nie prośił? ieſt to pychy znakiem,
Y że bydź nad honory, ieſt to iego ſmakiem.
To zaś, że mię ſtrofował, w błędach mych poważnie,
Też ſame, przed drugiemi, odkrywał odważnie.
Więc że mię zá mało miał, áni eſtymował;
A przez to, do korony, plac ſobie gotował.
Zrázu wierzyc nie mogłem, by Philokla myśli,
Do Detronizácyi, ták zuchwale przyſzły.
W prawdźiwey bowiem cnoćie, tá rzetelność bywa,
Ze (byle wnię śię wpatrzyć) falſz śię w niey nie skrywa.
Lecz ſtátek Philokleſa, począł mię mordowáć,
A ſztuka Protezyla, nad nim tryumfowáć.
Y dowćip, ktorym nowe, mymyślał mi guſty,
Wźiął gorę nádeń prędko, y moy humor puſty.
Protezyl, znieść nie mogąc, żem mu niechćiał wierzyć,
Nie słowem ále skutkiem, chćiał tę ſprawę zmierzyć;
Y tą ſztuką mię podſzedł: Abym posłał, rádźił
Philokleſa ná woynę [Bom śię w tedy zwadźił,
Z Narodem Karpacyjskim] w te mi mowiąc słowa:
W tym ſamym uznaſz Krolu, że mą rada zdrowa.

Wieſz dobrze, że Philokla, przeciw ſobie, cále,
Że ieſt w woynie rozumny, y ſzczęśliwy chwalę.
Wypraw go z okrętami, nikt ći nie usłuży,
Lepiy nad niego, áni, w czaſie ſię nie zdłuży.
Nad interes, usługę twoią, moy przekładam.
Y zazdrość, przed twą sławą, w iego ręku składam.
Bardzom ſię tym ućieſzył, z Iego rzetelnośći,
A oraz z Iego iawney, tey ſpráwiedliwośći.
Śćiſnałem go z radośćią, applauduiąc ſobie,
Żem złożył poufałość, ná tákiey oſobie,
Ktora za nic Interes, y paſſyę kładźie.
Ale, O! iák Krolowie ſą podlegli zdradźie!
Ten człowiek lepiey mię znał, niżeli Ia śiebie:
Wiedźiał, że Krol zwyczaynie, nie miewa w potrzebie,
Applikacyi! Potym, pełen nieufnośći!
Nie zrozumi kalumniy, áni fałſzywośći.
Bo nieapplikacya Páńska ztąd pochodźi:
Że w roskoſzach, wſzystek czas trawić, mu ſię godźi.
A nie ufność, że często, bywaiąc zdradzony,
Zle trzyma y o dobrym, ktory oskarżony.
A zátym, poiął rázem, znaiąc mię tákiego;
Że łatwo będźię wprawić, ſuſpicyą w niego.
Y że czyny woienne, w ktorych będźie sláwny,
Kalumniy dą przedemną, dokument mu iáwny.
Philokles, gdy odieżdżał, co ſię znim stáć miáło,
Dobrze przeczuł, y rzekł mi: Kiedyć ſię ták zdało!
Iá iádę; lecz pamiętay, że nieobecnego,
Łátwo może oskarżyć; Y że ty iednego
Mego Nieprzyiáćielá słucháć tylko będźieſz,
A łáski y ufnośći, do mnie sługi zbędźieſz.
Y gdy Iá krew láć będę, przy twoiey oſobie,
Cenſury y niełáskę, u ćiebie zárobię.
Myliſz ſię [rzekłem Ia mu] Protezyl cię chwali,
Nie ták iáko, ty Iego, co mię trochę żali;
On ćię zá godnieyſzego, tey sláwy oſądźił,
Y żem ći dał kommendę, z cnoty ſwey ſporządźił.
Gdyby miał co przećiwnie, więc skarżyć ná ćiebie,
W łáſce mey y w ufnośći, wnetby zgubił śiebie.
Idź nie boy ſię y nie myśl, tylko służyć sláwnie.
Iachał, lecz w turbacyi zostawił mię iáwnie.

 Przy-

Przyznam ſię że widźiałem, iák potrzebá było,
Aby mi w rádźie, śiłu rozumnych służyło.
Y że dla intereſſow nie maſz nic gorſzego,
Iáko słucháć iák oślep, záwſze rad iednego.
Rad mądrych Philokleſa, doznałem że były,
Y że mię od tych błędow, nieraz ochroniły,
W ktore mię Protezyla pycha wprowadźiłá (
Y o włos (á to nieraz) ledwo nie zgubiłá.
Widźiałem, że Philokles, proſtſzą drogą chodźił,
Ale ſię z Protezylem, że nigdy nie zgodźił!
Bydź między przećiwnemi, to mię mordowáło,
Wolałem zbydź iednego, choć z ſzkodą niemałą.
Ták ſzpetney lá racyi, im nie powiedźiałem,
Lecz tey dyſpozycyi, tę w ſercu uznałem.
Pobił Nieprzyiáćielá, zbił, śiłá poimał
Philokles, y zwyćięſtwo zupełnie otrzymał.
Y chćiał do mnie ſię wroćić, wiedząc, Adwerſarze,
Że u mnie, ſwe wzniecali ná niego potwarze.
Lecz Protezyl, nie maiąc czaſu, mię ołzukáć!
Kazał mu przez liſt, w kráiu; Nieprzyiáćioł ſzukáć,
Y w Karpatu wniść wyſpę, popierać zwyćięſtwo,
Ktore dałá odwaga, y cne Iego męſtwo.
A tym czaſem, nieznacznie ták rzeczy ſporządźił,
Że dla nich, moy Philokles, koniecznie pobłądźił.
Co trzebá nie poſyłał, obárczył go zgołá
Że prędko ſię fortuny, obroćiły kołá.
Był u mnie ieden Dworzan, ktorego on zważył,
Że był wielki wykrętarz; y ná to go záżył.
Wſzytkich moich ákcyj ſzpieg, że wpokoiu bywał,
Wſzytko wiedźiał (w Imię ſię, Tymokret názywał)
A ten mi raz powiedźiał, (lecz w wielkim ſekrećie)
Że ſię ſpráwa ná Dworze, niebeſpieczna gniećie,
Ktorą odkrył: Philokles (rzekł) woyska Morſkiego,
Chce záżyć, by ſię Krolem zrobił, Karpackiego
Kráiu. Wſzyſcy wodzowie, barzo mu przychylni,
Zołnierze już uięći, ſą rozkázow pilni.
Pieniądze dáie, przytym wſzyſtkiego pozwala,
Y to ſwieże zwyćięſtwo, mocni go z niemala.
O to liſt, co do ſwego, przyiáćielá piſał,
Gdźie projekt, iák ſię Krolem, uczyni opiſał.

Czytam

Czytam List; y że ręki Philokla, się zdało;
Ták się Protezylowi, zmyśleć go udało.
Zdumiany nad tym listem! czytam go ustáwnie,
Tu widzę, że Charakter, Philoklesa iáwnie,
Tu zaś, pomniąc ná iego poććiwość y cnotę,
Niemogę poiąć, by mi tę chciał zrobić psotę!
Ale iákże niewierzyć, dowodom tákowym?
Tymokrat widząc, żem już wierżył kłamstwom owym:
Daliy zdradę poćiągnął (niby, z záiąknieniem)
Rzekł: pokáżę w tym Liśćie, lubo zprzymuszeniem:
Oto pátrz, że Philokles, to Przyiáćielowi
Pisze: By śmiele mowił, Protezylasowi.
Wpunkćie. Co! nie wyrażił. Lecz Cyfrą naznaczył.
Zda mi się że Protezyl, już się przeinaczył.
Y że z Philoklem trzyma. Przypomniyno sobie!
Iáko on, ná wyprawę tę, był ráda tobie!
Pátrz! ze od czasu tego, nań nie nástępuie,
Iák przedtym! Y owszem go chwali, estymuie!
Pewnie się już Protezyl z Philoklem zgodźili,
By Kárpácyą, między siebie podźielili.
Możeszże temu wierzyć? by Philoklesowi,
Mogł bydź darmo życzliwym! (niech kto chce co powi)
Iá mowię: że ći Ludźie, już nie o Karpaćie;
Ale myślą, ná Páństwo twe powstáć, y ná ćię.
Iá wiem, że gdyć to mowię, ná Ich gniew się dáię;
Ieżeli przećiw rádźie, ktorą ći podaię,
W Ręku Ich, rząd zostawisz! Ia zginę niemylnie,
Ale coż? byle prawdę Pánu odkryć pilnie.
Te słowa Tymokrátá, w głowę mi się wbiły,
Y zdrayca Philoklesa, rázem uczyniły,
Y że był przyiáćielem, wielkim Protezyla.
Tymokrat zaś mi mawiał, rázy barzo śilá:
Strzeż się ty Philoklesa, niż Kárpat podbije.
Bo gdy tám Pánem będźie, boty ći uszyie.
Zá szyię go gdy masz czas. Iám zaś opłákiwał
Ludzkie zdrády, niewiedząc, kogobym záżywał,
Widząc zdraycą Philokla, mniemałem że cnoty,
Iuż w Ludźiach żádney niemasz. Y pełen ochoty
Byłem stráćić go prędko. Ale się zaś bałem
Protezylá; lecz iák z nim postąpić! nieznałem.

Chciałem mu dowieść że zły? nieśmiałem mu wierzyć;
A wraz trudno w obudwu było Ich uderzyć.
A z tym wszystkim, niemogłem zátáić mu tego:
Ze Philoklesa, miałem zá podeyzrzanego.
On się zdumiał wrzekomo! y gdy go wychwala,
W skromności ták rzetelney, bárdźiey mnie zápala.
Wynoszac go w zásługach, opisuiąc czyny!
Mnie, że z nim był złączony, podeyzrzenie czyni.
A Tymokrat Philokla, nieprzestáiac psowáć,
Wbiłmi że Protezyla, mogę ieszcze chowáć.
Pátrz kochany Mentorze! Iáko to Krolowie!
Są poddani igraszce! niecnotliwey głowie!
Y iák Ich, cherchelami swemi, obrácáią!
Kiedy, u nog drżącemi, Ich się układaią.
Rozumiałem, że wielkiey sztuki tym dokáżę!
Gdy cicho, Tymokrata wyszlę, y rozkaże
Zábić Philokla; á bez żadney wiádomości
Protezyla, tym złamię Ich taiemne złości.
Protezyl dyssymulant odrwił mię tym snadniy,
Im (że był oszukány) pokázywał ládniy.
Iachał Tymokrát, zastał na brzegu Philokla,
Dobydź niemogł Kárpátu, bo go byłá zwlokłá,
Złośc Protezyla, że mu niedodał co trzebá:
Y tylko męstwem robił, á sukkursu z Niebá,
Czekał Hetman niewinny. Protezyl tym czasem,
Ná tym liśćie niemiał dość; Insze sztuki z wczasem
Gotował żeby winę ná Philokla zwalić,
Gdy Kárpátu nie weźmie, y tym go obalić.
Philokles zaś, y káżdy, tey wyspy dobyćie,
Lub zá tę większą szkodę, niż zysk y nábyćie,
Iednak męstwem y cnotą ták się o nią kuśił:
Zeby zázdrość u dworu, przećiwnych uduśił.
Lubo Iego żołnierze, y pod nim wodzowie,
Zgubę ćięszką widźieli, iednak Iego Głowie
Ufaią; że się wszędźie iák ná śmierć nárażał,
A naymnieyszą rzecz wszędźie, y mądrze uważał.
Káżdy bić się y umrzeć, zá szczęśćie rozumiał;
Ták Philokles, Ich miłość zyskáć sobie umiał.
Cięszko Tymokrátowi, y ze stráchem było;
Porwáć się ná Osobę u woyska ták miłą.

Lecz co pycha nieczyni? Podiął się; A zá tem;
[Protezyl się obiecał, dźielić z Tymokrátem,]
Uiął dwoch Pułkownikow, ktorzy Philoklowi:
Służyli ná skinienie, naymnieyſze gotowi.
Tym zdraycom przybiecał nágrodę, y dáry,
Byle mu dopomogli, wſadźić go ná Máry.
Po tym, Philokleſowi ſamemu, powiedźiał:
Ze ma od Krolá mowić; Y żeby to wiedźiał,
Ze wola moia ieſt: By ći dway Pułkownicy,
Znim świadkami tey byli, Iego táiemnicy.
Zamknął się znim Philokles, z temi co im wierzył,
A Tymokrat go w tedy, Puynałem uderzył.
Wywinął się mu Puynał, uderzył go płázem,
Philokles nieſtrwożony, wydárł puynał rázem.
Y broniąc się wſzytkim trzem, ná gwałt mocno wołá,
Wartá bieży, wybijá drzwi, broni go zgołá.
Połápáno záboycow; pewnie by ich było
Rozśiekáno, gdybybył Hetman twarzą miłą,
Sam zdraycow nie obronił. Potym Tymokrátá,
Pytał: Co go przywiodło! że go zgłádźić z świátá.
Chćiał zdrádliwie! A on się boiąc śmierći ſrodze,
Moy ordynans pokázał, ná śmierć iego, w trwodze.
Y wſzyſtko, Tchorz y zdrayca, odkupuiąc życie
Odkrył, iáko Protezyl ná iego zábićie,
Sztuki robił u Krolá, Y wſzyſtko wyiáwił,
Iáko go łáski moiey, y ufnośći zbáwił.
Zadumiony Philokles, nad tym iádem złośći,
Wźiął przed się drogę, pełną cnoty y skromnośći.
Zwołał woysko, y przed nim całym deklarował:
Aby nikt Tymokrátá, więcey nie winował.
Do Crety go odesłał, iáko niewinnego.
Oddał Polimenowi, kommendę. (Ktorego,
Iam náznaczył skoroby, było go zábito)
Y co w mym ordynanśie było ták wyryto;
Wſzytko woysko nápomniał, by mi było wierno.
Sam zaś wnocy wśiadł cicho, ná łodź, dość mizerną,
Płynął do wyſpy Samos; gdźie ſam ćicho żyie
W uboſtwie, y ſtátuy wyrabia, y ryie,
Z tey roboty chleb maiąc. O Ludźiach y wieśći
Niechce mieć, zdrady pełnych, ktora się w nich mieśći.

A tym bárdźiey o Krolach, zá nayzaślepieńszych;
Maiąc ich, y w passyi gniewu, nayszaleńszych.
W tym mieyscu, Idomena Cny Mentor zátrzymał:
A długo [rzekł] ten ćię błąd Idomenie trzymał?
Długo prawdy nieodkrył? Niedługo to było,
Odpowiedźiał mu Idmen, w krotce się odkryło.
Rzecz káżdą roztrząsaiąc, postrzegłem iá śiłá
Zdrad y sztuk Tymokráta, iák y Protezylá.
A náwet zwadźili się; iák to zawsze bywa,
Między złemi zła przyiaźń, nietrwała fałszywa;
Ich zwada ná się skarga: tá mi to odkryłá:
W co mię Ich zgodna zdrada, wprowadźiłá byłá.
A coż [Mentor mu rzecze:] niewźiąłżeś przed śiebie!
Zbydź się obu, y swoiey wygodźić potrzebie!
Ach nie! miły Mentorze! Azaż ći Krolowie,
Nieznaiomi! iák w sercu, słábi są y w głowie!
Kiedy się raz takowym Ministrom oddadzą!
Ktorzy im, potrzebnymi ná der, się bydź zdadzą.
Wybić się z tey niewoli nie mogą! y tacy,
Ktorzy Ich oszukuią! rekompensę raczyj
Odbieraią naywiększą. Y tak Protezyla
Nienawidząc, powaga wszystká przy nim byłá.
O cudna Illuzyo! kontent że go znałem,
A powagi ráz daney, wźiąc mu zaś nieśmiałem.
Z tym wszytkim był wygodny, y ná wszystkie żądze
Pozwalał, y dowćipnie pomogł mi w nierządzie.
A ták sam się przed sobą tym exkuzowałem,
Ze zdraycę wygodnego swym passyom miałem.
Prawdźiwey cnotym nieznał, bom nieznał y Ludźi
Wybrać, tylko tákiego, co zdradza y łudźi.
Nawet żeby ná świećie byli, nie wiedźiałem;
Y cnotę, zá zmyśloną Hymerę, trzymałem.
Myślałem: co mi potym! gdy się tego zbędę,
A drugiego tákiego, iáko ten nábędę:
Tym czasem woysko morskie, do mnie powróćiło,
Ani się o Karpatu, dobyćiu myśliło.
A Protezyl, zátáić niemogł, żadną miarą,
Ze żyćie Philoklesá, iest mu wielką kárą,
W tym Mentor Idomena, przerwał w takie słowa:
Widząc że ták przechyrna Protezyla głowa,

Y innych

Y innych pogubiłá, ćiebie zgubić chciałá;
Azaż przećie, u ćiebie rząd y wiárę miáłá?
Odpowiedźiał Idomen: Nie lubiąc prácowáć,
Ani śię do spráw moich, słusznie applikowáć.
Wolałem zdrayce ćierpieć, do dalszey pogody,
A niż wiąc choć ná czas, swey prożney wygody.
Zgoła przewieść niemogłem, y oczy wolałem
Zamknąć, ná zdrády iego; Tak go ia śię bałem!
W tym śię tylko wiec ćieszac, że swym poufałem,
Iż o Iego wiem zdradach, ćicho odkrywałem.
Tak mniemałem, że byłem, ná puł oszukány,
Żem znał franta, tymem był, od Bogá karany.
Z tym wszystkim, dosyć rzesko mu pokázywałem;
Ze Iego Pánowanie, nie znośnie ćierpiałem,
Częstom mu śię sprzećiwiał, y ganił publicznie,
Ták w rádach iák prywatnie, w twarz iego oblicznie.
Ale on, znaiąc gnoystwo me dobrze, y pychę,
Nie dbał ná to odećie, y kolery liche.
Swoie robił, rożnemi, sztuk rożnych drogami,
To nagleniem, to znowu, wraz układnośćiami.
A zwłaszcza, kiedy ostrość zbytnią, uznał we mnie,
To Intrygi záwiłe przyćiagał przedemnie.
Ze mi śię niechcąc pracy, miał czás śię pokazać,
Zyczliwym, iż prácował gdy śię miał urażáć.
Lubom śię go strzegł, iednak niemogłem uchronić,
Ani tey układnośći iego śię obronić.
Wiedźiał wszytkie sekreta, y gdym śię turbował,
Umiał mię wyprowadźić. Ták śię utrzymował.
Przez to moie niechluystwo, ktore dobrze zważył,
Wszytkim był strászny, nikt mu oprzec śię nieważył.
Niechcąc go á trzymaiąc, wszytkich odpędźiłem,
Poććiwych, gdy w Iednego, złego rękach byłem.
W radach moich nie słychać, ni głosu wolnego,
Prawda z dworu wygnana, ućiekłá moiego.
A błąd, ktory upadki Krolow, zwykł gotować,
Iawnię iął śię ná moim dworze, pokázować.
A nawet nayżyczliwśi (po srogim przykładźię
Protezyla) y moiey, ustáwiczney zdrádźie,
Kładli śię ná sumnieniu, bydź cale wolnemi,
By prawdy nie mowili, y byli niememi.

Ia ſam (miły Mentorze) prawdy ſię lękałem,
Importunowałá mię, lubo iey nie znałem.
Gora, co wźiął Protezyl, przy moiey słábośći,
Deſperowąć kazałá, o moiey wolnośći.
Tak *wſtydliwy* ſtan życia, ktory mię urażał,
Przeciem go niechćiał widźieć, nim świátu pokazał.
Wieſz prożną pychę Krolow, z urodzenia ſwego,
Że nigdy błędu uznać niechcą naygorſzego.
Ieden błąd pokrywaiąc, ſto błędow poczynią,
Niż, że ſą oſzukáni, wyznaiąc, ſię winią.
Y wolą, cáłe życie bydź oſzukánemi,
Niżeli oſzukánie, wyznáć przed drugiemi.
Iáki ſtan Krolow słábych, pracy nielubiących,
Y moy táki był, y dni nie applikuiących.
Tym czaſem (iáko ty wieſz) ruſzam ſię pod Troię,
Odieżdzaiąc, powagę z rządem, wſzyſtko moie
Składam ná Protezyla. On pyſzno, Tyrańsko,
Wyćiąga nad Krolewſtwem, władzą ſwoią Páńską.
Creta ięczy pod iárzmem, á nikt nie śmie przećie
Oznaymić mi, iáko on, *wſzyſtkich* ſrodze gniecie.
Wiedząc żem ſię bał, gdy mi, prawdę kto odkryie,
Y że prawdy odkrywcę przed złośćią nie skryię
Protezyla, áni mu nie podam obrony.
(Ale ogień tym gorſzy im bardziey táiony)
Przywiodł mię, żem odegnać muſiał Moriona,
Ktorego męſtwa, moiá doznałá Korona,
Y w Troi obleżeniu. A gdymem do Domu,
Powroćił, nie przepuśćił z zázdrośći nikomu.
Y ztąd, miły Mentorze! mę nieſzczęśćia wſzyſtkie
Poſzły, y náſtąpiły akcye, ták brzydkie.
Iuż wieſz żem ſyná zábił, zá co bunt podnieśli,
Creteńczykowie; y mnie że z życia nie znieśli,
Bogow to rozgniewanych ná mnie pomſta byłá.
Tá złość przez Protezyla, ná mnie w Ludźiach byłá,
Y kiedy zá krew ſyná, odemnie wylana,
Generalnie do buntow, y ná śmierć powſtano,
Pretext to był, y tylko, okazyą wźięto,
Aby mię z Protezylem z Kroloſtwa *wypchnięto*;
Y kiedy ſię, w oſtátniey Akcyi, porwali
Ná mnie, co w ſercu dawno, mieli pokazáli.

Tymo.

Tymokrat był przed Troią, boku mego pilny;
Myśli do Protezyla, mych ſzpieg nieomylny.
Widźiałem ſię w niewoli, lecz niemogąc rády
Dać, wolałem już ćierpieć, ich obudwu zdrady.
Kiedy zaś, iákom już rzekł, źli Cretenczykowie
Powſtáli ná koronę wraz y moie zdrowie,
Protezyl z Tymokratem, naypierwśi ućiekli,
Nieratuiąc wtym, w co mię wprzod byli oblekli.
Y pewnie by mię cale, byli odſtąpili,
Gdybym wraz nieućiekał, gdźie naprzod skoczyli.
Wieſz Mentorze, że Ludźie, wfortunie zuchwali,
Wnieſzczęśćiu drżą, niewiedząc, gdźie ſię udáć dálij
Gdy Ich moc odſtępuie, głowa ſię zawraca,
Czołgaią ſię za Krolem, gdy go Bog obraca.
Mentor rzekł Idmenowi: Co to ieſt tákiego!
Ze maiąc tych dwu Ludźi, ſerca tak podłego,
Ieſzcze ich aż po dźiśdźień, ty chowaſz przy ſobie?
Ia ſię im niedźiwuię, że śiedzą przy tobie,
Y chyba że maſz zá czyn iákieyś wſpaniałośći,
Ze miáſto pomſty, daieſz znaki łáskáwośći!
Lecz po probach okrutnych, ktorych doſwiadczyłeś,
Nie wiem żeby ich chowáć, dobrze to czyniłeś.
Azaż nie wieſz (rzekł Idmen) że naywiękſze proby,
Nic Krolom niepomogą; Tym w ktorych ozdoby
Cnoty niemaſz! W nich z pieſzczot, iedno proznowanie,
Czyni z tego wſzyſtkiego, ślepe nieuznanie.
Tyle lat, ile w ręku ſwoich mię trzymaią!
Tylo okow, łańcuchow, ná moy kark zbieraią!
Gdym z Crety ućiekł, y tu począł ſię fundowáć,
Do koſztow ná budynki, żeby wyſtawowáć,
Niepotrzebnie mię wiedli. Lud wſzyſtek wyſsali;
Y ieſzcze mię do woyny nie słuſzney wegnali.
Z ktorey gdyby twa mądrość niewyprowadźiła,
Salenta, w Cretęby ſię, byłá obroćiłá.
Lecz tyś oczy otworzył, y umysł wprowadźił,
Abym ſię z tey niewoli, kiedyś wyprowadźił.
Czuię ſię inſzym człekiem. Mentor pyta daliy:
Iak ſobie poſtępuie, czy gani czy chwali!
Protezyl te odmiany? Idomen odpowie:
Sztuk Iego ktore robi, nikt ći nie opowie.

Skoroście tu ſtaneli, nie ſam lecz z drugiemi,
Chciał mi wbić dyskurſami o was, to długiemi;
Że ſię tych cudzoźiemcow, ſtrzedz bardzo potrzebá;
Ten, ſyn zdraycy Uliſſa! Ten dowćip iák z Niebá,
Má ſtarzec! ze ſztuk skrytych, po kráiach błądzący!
Kto wie? ieśli y Twego Páńſtwa nie ieſt chcący!
Ci ſami [wſzak wyznaią] iákie porobili,
W *Páńſtwach* rewolucye, po ktorych chodźili!
Więc twoie w tymtu kraiu, by nowoſiedliny,
Przez ich ſztuki nie przyſzły do prędkiey ruiny!
Protezyl ſam nie mowił, lecz tylko námienił
Niebeſpieczność, żeś wſzyſtek, rząd Ludźi odmienił.
Chceſz [mowił] áby twoy Lud nábył obfitośći!
Ta droga, proznowania, do buntow y złośći.
Zarliwośći pretextem opierał ſię twoiey
Reformie, iáko by ſię, o mą władzą boi,
Mowił: Ludow twych folga, twey uięćie mocy,
A y ſamym poddanym, nie będźie pomocy,
Gdy Ich rozpieśćiſz. Wzdyć to, tylko iedna bieda,
Posłuſznym czyni. Głaskáć? ná co ſię to przyda!
Ná tom mu odpowiadał: Potrafię w kárnośći,
Lud posłuſzny utrzymáć, choć przy obfitośći.
Dźiećiom edukacya, kárność ſtarym dáiąc,
Mogę rządźić wſzyſtkiemi, nic nie obawiaiąc.
W pracy, trzeźwośći, Ludźie o tym nie pomyślą,
Brzydzę ſię tą nie Ludzką maxymą y myślą:
Zeby głodem poddańſtwo przymuſzać do tego,
Aby mię uznawali, zá Páná ſwoiego,
Beſtyalska náuką; A zaż nie widziemy!
U łáskáwych iák Pánow ſą zbyt posłuſznemi.
Bunt w poddanych to czyni: gdy słabi Krolowie,
Pozwalaią, áby ſię *wynieśli* Pánowie;
Ktorym kiedy moc zbytnią, w złe ręce oddaią,
Opprymuiąc poddanych, ná bunt wprowadzaią.
Pieſzczoty y roskoſzy, á znich proznowanie,
Zołnierzy moc wpokoiu, y ich niekaranie,
Słowem: złe traktowanie Ludu ubogiego,
Pycha y słábość Krolá, rządźić daiącego,
Pyſznemu Miniſtrowi, To to bunty czyni,
A nie chleb z potu czoła, ktory nie záwini.

Gdy *Protezyl* obáczył, żem był, nieprzeparty,
Wtym zdaniu, wnet odmienił *swoy* umysł uparty.
Y idąc zá mą *wolą* co niemogł przełamać,
Sam pomagał, y pychę muśiał swoią łamać.
A nawet y dźiękował, żem go iá oświećił,
Wdyskursach ktore nie raz, kontruiac mi wzniećił.
Nawet mię już uprzedza, y sam nápomina,
Ubogich nie rátować iáka *Panow* wina!
Koszty zbytnie przeklina, á ćiebie iák chwali!
Y iáko się podobać, myśli tobie daliy!
Sam widźisz. Co zaś pytasz, mnie o Tymokrata!
Tego się z Protezylem rozeszła pobrata.
Niechciał znieść Protezyla, wyższego przed sobą,
Wadzą się y nie żyią w cale dobrze z *sobą*.
Na to się wszystko Mentor w puł z złośćią usmiecha,
Takaż iest Idomenie, dusza w tobie licha!
Ze się dwom daiesz zdráycom, y w zdradach znaiomym,
Do tąd tyrannizować swym wrogom widomym!
Znać niewiesz (rzekł Idomen) co człowiek zdradliwy,
Może u Krolá! ktory miętki y leniwy.
Ile że Protezylas, dobra publicznego,
Zda się życzyć już wedle sentymentu twego.
Wtedy Mentor, wźiął ná się Twarz z miną poważną,
Y taką zaczął mowę do Krolá odważną:
Wiem lá, áż nazbyt, iáką gorę nad dobremi
Zli maią; iako chodzą z Krolami miętkiemi;
Tyś sam strászny iest przykład; ale niepoymuię!
Powiedasz, że moy rozum, ćiebię dyryguię!
Zem ći oczy otworzył, w zdradach *Protezyla*!
A ty mu rządow daiesz y mocy tak śiła!
Niegodnemu y żyćia, wiedz, że zły gdy trzebá,
Dobrym się pokázuie, iakby rodem z niebá.
Y byle do ambicyj pomogłá mu cnotá,
Zaraz się wnim pokáże do nieyże ochotá,
Lecz taká, co prawdźiwey, niema cnoty zrźodła,
Ze y dobrze wraz czyni, byle Ludźi zwiodła,
Zgołá; będźie y cnotę zły człek práktykował;
Lecz Bog hypokryzyą będźie wnim znaydował,
Ktorą z wszystkich występkow, iá naygorszą sądzę.
Protezyl! do twey woli wszystkie swoię żądze,

Obraca! Gdy ty dobrym bedźiesz sie chciał trzymać,
Y on dobrym też bedźie byle sie utrzymáć.
A skoro ćie do złego, powracać obáczy,
Wroći sie do gorszego, y wnet przeinaczy.
Możesz że żyć z honorem! gdyś wrekach u złego!
A Philokla ubogim ćierpisz poććiwego!
Sam wyznaiesz Idmenie; że franći przytomni,
Czynia co chca z Krolami, kiedy sa ułomni;
Wiedz że y to nieszcześćie, ktore onisz maia,
Iest; że wiernych y dobrych, wraz zápominaia.
Mnogość Dworzan to czyni, że im káżdy rowny,
Zda sie bydź. Co iest defekt, ćieszko niewymowny.
To im miło, co w oczach, co im pochlebuia,
A co daleko, y co dobrze nie szacuia.
Zwłaszcza cnota, ktora im gorzka, nie iest miła,
Y chca áby ta od nich, iák naydaley byłá.
Temu sie nie dźiwować, że Iey nie kochaia,
Gdy sie tylko o roskosz, y pyche stáráia.
Temi słowy Mentor go, w cale zkonwinkował,
By wygnał Protezyla, á zaś rewokował
Philokla. Iedna trudność, w nim wzniecalá żale:
Że sie bał Philoklesa, ostrey cnoty cale.
Przyznam sie [mowił] cnota iest Iego w szacunku,
Ale mi powrot Iego w strachu y w frasunku;
Z dźiećińſtwam iest w pochlebstwach, wszelkich *wychowany*,
Ná skinienie *wiec* oká, od *wszystkich* słuchany,
Tego sie nie spodźiewam, od *P*hilokla zgołá,
Ktoregom Ia doświadczył zmarszczonego czołá.
Ze rzadko to com Ia chciał, *w* oczy approbował
Zrespektem práwda przyiał, ále sie frasował.
Widźisz [rzecze mu Mentor] serca zepsowanie,
Iák obraca w surowość cney prawdy wyznanie.
Twoy humor rozpieszczony serce twoie ráni,
Kiedy ći nie pochlebia, lecz co iest złe gáni;
Lecz podźmy ieno daley, y że iest mruk daymy;
Czy lepsza ostrość Iego, daley uważaymy!
Czy pochlebstwo twych radcow, ze wszech miar zdradliwe!
Co z nich bardźiey iest ná twoy interes szkodliwe!
A gdźie znaydźie bez ále, y bez ułomnośći!
Lecz patrz ná insze Iego, cnot doskonałośći;

Ta

Ta wina, że ći prawdę, názbyt oſtrą powi,
Wiernemu nie powinna ſzkodźić człowiekowi.
Ba co mowię! tá skaza potrzebna ći lego,
Aby byłá náprawą defektu twoiego.
Smak do prawdy náprawić, pochlebſtwy zpſowany
Trzebá, y żeby táki do rad był obrany,
Ktory prawdę ſam kocha, co ćię kocha lepiy,
Niż ty ſam śiebie w pyſze, ktora ćiebie ślepi.
Zeby gwałtem do prawdy [mowiąc ią] przymuśił,
A zdrady y pochlebſtwa w twym ſercu uduśił.
Ná to człek tak potrzebny, ieſt Philokles cale.
Niechay ſię Krol ſzczęśliwym, kłádźie doskonale,
Kiedy ſię iák Philokles trafi w lego dworze;
A za naywiękſzą karę [przy ſwoim uporze]
Niech ma od Bogow, kiedy, nie umie tákiego
Záżyć, y ieſzcze zgubić chce, ták poććiwego,
Wadę ktora w poććiwych znaydźieſz popraw ſnadno,
Niedyskretny Ich humor, przez wymowkę ładną
Odmien, ále nie odrzuć słuchaiąc łáskáwie,
Moderuy, w czym Ich cnota wybucha więc żwawie.
Nie naśladuy tych Krolow, co złych lubo złemi,
Záżywaią, byle ſię ſtali układnemi.
A cnotliwych że chwalą, tym ſię kontentuią:
A urzędow y ſerca, Im nie konfiduią.

Aż dopiero Idomen żalem, z wſtydem zdięty,
Ze niewinnego karząc, zdał ſię bydź zawźięty,
A zdraycow oppreſſyą ćierpiał ták leniwo?
Záwołał Hegezyppa y kazał mu żywo,
Protezyla z Tymokrem wźiąć obu zá ſzyię,
Y záwieźć do Samoſu (ktory morze myje)
Ztamtąd przywieźć Philokla. Hegezyp zdumiany,
Z radośći zápłákawſzy (rzekł) Krolu kochany,
Teraz wſzyſtkich poddanych ſwych ukontentuieſz,
Gdy nieſzczęść Ich authorow, traćiſz; á gotuieſz
Godnieyſzemu, ich mieyſce. Lat dwadźieśćia miją,
Iáko wſzyſtkich poććiwych ięczy w iarźmie ſzyia,
Ledwo ſię ięczyć godźi, tákie Ich tyrańſtwo!
Ze zágubią kogo chcą. Zá nic twoie Páńſtwo.
Wtedy Hegezyp odkrył ich bez liczby zbrodnie,
Nieludzkie kryminały, poſtępki niegodne,

O tych Krol y nie słyszał, bo się skarżyć báno;
Odkrył y to, iák zábic, y Mentora chciáno.
Krol osłupiał; ále się, Hegezyp pospieszył,
Brać w domu Protezyla (czym się srodze cieszył)
Protezyl, śliczny *Páłác* miał, ktory choć mnieyszy
Coś by od Krolewskiego, lecz był dostatnieyszy;
Zbogacił go dostatki, z łez wyciśnionemi,
Kiedy zdzierał panuiąc sam nád poddanemi.
Na Sali marmurowey, po miedzy łaźniami,
Ná łożku purpurowym, miedzy kolumnami,
Y złotem tkánym leżał, oczy mu biegały,
Y coś mu fatalnego, prognostykowały.
A naypierwśi *Pánowie*, ná złotym dywanie
Siedźieli, obserwuiąc, ocz Iego ruszanie.
Byle gebe otworzył, applauz mu czynili,
Y jest Iego naymnieyszy z podźiwem chwalili.
Ieden exaggerował, co dla Krolá czynił,
Ze był synem Iowisza, drugi zaś przyczynił.
Pòéta śpiewał wiersze gdźie go z Apollinem,
Wdowcipie rownał. D ugi zaś był miedzy gminem,
Co go wszystkich zaś nauk, czynił Inwentorem,
Pospolstwa Oycem, y to wyśpiewywał chorem.
To zaś słuchał *Protezyl*, z miną wzgardzaiącą,
Y iakby wiekszych pochwał godnieysza, y chcącą.
Zdał się że łáskę czyni tym ktorych on słucha,
Ieden zaś záusznicżek przymknął się do ucha,
Ktory cicho, z Mentora reformy żartował;
Protezyl się uśmiechnął iákby approbował.
Aż się wszyscy śiedzący ná koło rozśmieli,
Chociay żartu, áni słow Iego, niesłyszeli.
Lecz Protezyl się znowu, ná nich predko skrzywił,
Każdy zamilkł, y smutno, ná niego zadźiwił.
Szlachty tam dosyć stáło, momentu czekali,
Zeby skargi, potrzeby, swe mu przekładali.
Postury ich znizone, zá nich prośić zdały,
Iak gdy w kośćiele Bogom modli się lud cáły.
Drudzy zaś, wesołemi, się pokázywali,
Y twarz swą, z *Protezyla* twarzą ukłádali.
Lubo iádem nań mieli serca nápuszczone,
Wten moment wszedł Hegezyp [gardząc pompe one]

Odiął mu miecz, y záraz, od Krolá ogłośił:
Aby ſię ná wygnanie do Samos wynośił.
Ná ten głos, *Protezyla*, pycha odlećiała;
Iák gdy ſię urwie ſtráſzna od wierzchołku ſkálá.
Drży, do nog Hegezyppa, śćieląc ſię upada,
Płácze, chlipa, y z ſmutnym záiąkániem gada;
Sćiska nogi pokorny, Hegezyppa tego:
Widźiećby przed godźiną nie raczył ktorego.
A ći widząc odmianę, co go ták chwalili,
W beſztanie y w przeklęctwa, pochlebſtwa zmienili.
Hegezyp nie dał czaſu, y żegnać ſię z ſwemi,
Ani wźiąć ſwych papierow, słał do Krolá z niemi.
Wten czas y Tymokrata, zárázem zchwycono,
Y obu do Sámoſu ná okręt wſadzono.
Przypłynawſzy wyſadźił (żeby zaś niebawił)
Ná więkſze ich karánie, w kupie ich zoſtáwił.
Tam záraz z iádem, ſobie poczęli wymawiać,
Iak *Páńſtwo*, iák y śiebie zgubili, wyiáwiać,
Y ták daliy od ſwoich Zon zoſtáli ládnych,
Nie mowię od *Przyiáćioł*, bo nie mieli żádnych.
Wtey źiemi nieznaiomey, ták ich zoſtáwiono,
Ze im żádney intraty, mieć nie pozwolono.
Tylko żeby z rąk pracy, co zárobią żyli,
Ci ktorzy cáły wiek ſwoy, *w* roskoſzach przeżyli.
To ſprawiwſzy Hegezyp; pytał pilno: gdźieby
Philokles mieſzkał? Gorę w ktorey on, z potrzeby
Loch wykował y mięſzkał, tę mu pokázáno,
Y záraz wielkie chwały, o nim mu przydano.
Mowiąc iák tylko do nas, ten, człowiek záwitał
Nikt ſię z nim nie powadźił, raczey wnim wyczytał,
Szacunek cnoty Iego, widząc iego prácę,
Cierpliwość, y ſpokoyność, káżdy nád nim płácze.
Chociay ſię on nie mięſza w żádne Ludzkie ſpráwy,
Dobrze czyni ſąśiadom, pełen w biedźie sławy.
Idźie tedy Hegezyp, w tę grotę wſtępuie,
Lęcz ią prożną, otwartą, z podźiwem znayduie.
Uboſtwo bowiem, y że, *Philokles* miał mało,
Ze groty niezamykał nigdy, w nim ſpráwiało.
Rogoż grubá u niego, Iednym łożkiem byłá;
Kuchnia rzadko ſię ogniem Iego rozſwiećiłá.

Bo lećie frukty świeże, źimie suche iadał,
Zá piwnicę mu zrźodło, bliskie Pan Bog nádał.
Nic w groćie on nie znalazł tylko kśiąg niewiele,
Ktorymi drogę sobie do cney cnoty śćiele.
Potrzebne instrumenta, wteyże groćie były,
Temi robił státuy ná swą żywność z śiły.
Hegezyp wszedszy w grotę, zdźiwił się nad temi
Státuami ták ślicznie, sztucznie záczętemi?
Stał Iowisz majestátu pełen, spokoynego,
Minerwa swey mądrośći, Mars humoru złego.
Iakby duszę wlał wkámień; á ćiesząc się z tego;
Uyzrzy Philokła blisko, w ćieniu leżącego.
Postępuie ku niemu; Philokles się dumi,
Hegezyppá poznaie, ále nie rozumi,
Co to iest! myśląc sobie: Hegezyp to, przećie,
Ktoregom iá ták dobrze y dawno znał w Crećie;
Lecz co on ma tu robić! ná tey tu pustyni!
Pono duch Iego z styxu wrocony to czyni!
Zámyślony widźi się. Lecz Hegezyp blisko
Schodźi go, śćiska mocno, y kłánia się nisko;
A on mowi? Tyżeśto! y co zá trafunek,
Przyiáćielu moy dawny! czy ná moy frasunek,
Gniew Bogow, iáko y mnie, w tym ćię kráiu stáwia!
Hegezyp odpowiada: nie gniew ćię wybáwia,
Ale łáská cnych Bogow. Y záráz przez długi
Dyskurs, mu opowiadá (dźień ieden y drugi
Ledwo by to wystarczył) on krotko Tyrańśtwa
Protezyla: Iák wyzuł Idomena z Páństwa;
Creta, iák zbuntowana, że Krolá wygnałá!
Iáko się Colonia Salentu nádáłá.
Iák Mentor z Telemakiem, do niego záwitał,
Iák przywiodł Mentor Krolá, ze zdraycow pochwytał!
Ze ich tu zásłał ná to obmierzłe wygnanie;
By toż co on niewinny, ćierpieli káránie.
Ze ma roskaz od Krolá, wziąć go do Sálenty,
Gdźie będźie rządźił wszystkim, y dobrze przyięty.
Philokles odpowiedźiał; widźisz tę Iáskinię,
Sposobnieysza dla zwierząt niż dla Ludźi skrzynię!
Wniey iá więcey pokoiu, miłych dni strawiłem,
Niż kiedy w złotych dachach, pyszno w Crećie żyłem.

Tu człek mię nie oszuka, áni pochlebnego,
Nie usłyszę dyskursu, rány sercá mego.
Ręce pracą ztwardniałe, tylko nad potrzebą;
Zywią mię, y to Im dam, co sobie wygrzebią.
W sukni prostey, niczego nie potrzebuiący,
Wszystko mam, lub nic w świećie, cale nie maiący.
W wolnośći bez stáránia, bez żadney zgryzoty,
Uczę się z tych ksiąg co dźień, doskonałey cnoty.
Czegoż mi każesz szukać! między zdradliwemi
Ludźmi, niestátku záwsze, z zázdrośćią pełnemi!
Day Pokoy Hegezyppie; áni zázdrość mego
Szczęśćia: Patrz! Protezylas, chcąc oszukáć swego
Krolá, y mnie chcąc zgubić! odrwił się y zgubił.
A mnie nic ztego złego; chociay mię nie lubił,
Y owszem wszystko dobrze uczynił, gdy zbawił
Dworskich subiekcyj, á mnie pokoiu nábáwił;
Y niewinnych delicyj, com nie znał u dworu,
Gdźie tylko są roskoszy zmyślone, z pozoru.
Wracay się Hegezyppie, y pomoż Krolowi,
Dźwigać rzadu ćiężarow, y to uczyń zdrowiy,
Co chcesz ábym Iá czynił; Niech y Mentor godny,
Iáko raz go oświećił, będźie mu wygodny.
Mnie zaś się już nie godźi, kiedym się salwował,
Zburzy wiatrow fortuny, y przed niemi schował:
Abym swoy port porzućił, puszczał się ná nowe
Obroty. O Krolowie! iáko wasze Głowę.
Opłákiwać potrzebá! y tych co wam służą!
Bo ieśli źli? to pewnie są karáni dużo,
Ieśli dobrzy! O iákiey, záżyią trudnośći!
Zeby uyść śideł mogli, złych Ludźi zázdrośći.
Ieszcze raz Hegezyppie, w ubostwie szczęśliwym,
Zostaw mię. To gdy mowił; Hegezyp zdumliwym
Pátrzył okiem ná niego, Pámiętał go w Crećie,
Chudym, bladym, chociay był, w młodszym ieszcze lećie
Srogą pracą ztarganym. Bowiem niemogł znośić,
Kiedy Krolá płochego, w złych sprawach uprośić:
Y występkow gdy kárác niemogł, gryzł się w sobie,
A teraz cale w inszey widźiał go osobie,
Tłustym, y zdrowym, zgołá, stárym odmłodniałym,
Przy wielkiey pracy, y przy pożywieniu małym.

Skromność w iedzy to wszystko, spokoyność zrobiłá.
Rzekł Philokles: *P*ewnie ćię cera zádźiwiłá,
Moia! lecz się nie dźiwuy; kto myśli ták mało,
Iáko ie, ten ma cerę przy wigorze trwałą.
Widźisz: iáko sprawili, mi nieprzyiáćiele?
Zem spokoyny ná duszy, y zdrowy ná ćiele.
Y chceszże ábym dobra te stráćił prawdźiwe?
A stáráł się u dworu, o płoche fałszywe!
Gorszym nad Protezyla, ćiebiebym znaydował;
Gdybyś mi to odebrał, co on mi dárował.
Znowu Hegezyp począł prośić (lecz daremnie)
Przynaymniy dla swych krewnych, ktorzy ćię przezemnie,
Z przyiáćiołmi czekáią, z tak wielkim wzdychaniem,
Uczyń to; Y dla Bogow, zá ktorych stárániem,
Krol ćię wraca, ábyś mu, Lud Iego szczęśliwym,
Pomogł czynić. Będźieszże, mu ták nieżyczliwym!
Dźiká Philosophia, ktorey się poddaiesz;
Gdy dla szczęśćia národow, z tego snu nie wstaiesz.
Swoy pokoy szczęśćiom Ludzkim, niechćiey Ty przekładać,
Gdy niemi ták szczęśliwie możesz rządząc władać.
Gdy do Krolá nie poydźiesz, będą Ludźie sądźić,
Ze to z zemsty uczynisz. Krol prawda pobłądźić
Mogł, że ćię ták utrapił bardzo, niewinnego;
Ale ćię w ten czas sądźił w cale zá inszego.
Teraz godność uznawszy, y ták trwałą cnotę,
Wszystkę wzbudza do twego widzenia ochotę.
Dawną przyiaźń odnawia, rece ná śćiśnienie
Wyćiąga, y w nadgrodę, wszelkim dobrym, chcenie
Będźieszże miał *w* uporze, twe serce ták twarde!
Byś Krolowi y Ludźiom, tę uczynił *w*zgardę
*P*hilokles ktory miłą Twarz, ná przywitaniu
*P*okazał, odmienił ią przy dalszym gadaniu,
Podobny skále, ktorą wiatr darmo y fale,
Biją, rozbijaią się, á oná iest w cale.
Ták y on, áni prozbą stánął nie wzruszony,
Ni racyą, ni płaczem, stał nie zwyćiężony.
A gdy już Hegezyppo wskorać desperuie;
*P*hilokles do swych Bogow rády przystępuie,
Pátrzy ná Ptákow loty, ná wiktym wnętrzności;
Ná insze presagia, zwykłey pobożności,

Zrozu-

Zrozumiewa: Ze iechać, z Hegezyppem trzebá,
Poddaie się, wyieżdza; widząc rozkaz z niebá.
Lecz nie bez żalu y skarg, nad tą swoią grotą,
W ktorey lat przeżył śiłá, z pokoiem y z cnotą.
Ach! mowił: tákże rzucam to mieysce kochane!
Gdźie dni wesołe żyłem, y nocy przespane!
Tu w ubostwie, me Parki, złote dni mi przędły!
Y wieniec ćierpliwośći, wiły nie uwiędły.
Potym: Nájáde, zrzodła swoiego Boginie
Adorował; y Nymphy ktorym kray ten słynie.
Echo, słow nárzekánie Iego wnet porwałá,
Y Boginiom támrych gor, od niego podałá.
A Potym, obá zeszli do miástá, już w drogę.
Philokles uważaiąc, sromoty ták srogie,
Protezyla, niechćiał go po drodze swey widźieć,
Lecz Protezyl, ktory to, nie umiał się wstydźić,
Sam mu zábiega drogę, y do nog upada,
Zebrząc, áby złość Iego, y ták dawna zdrada,
Nie szkodźiłá mu w łásce, y żeby przyczyny
Iego u Krolá, wszelkie zgłádźiły mu winy.
Philokles, iáko szczery, niechćiał obiecywać,
Ani ná iego powrot, instanty záżywáć;
Wiedząc, że to z ruiną, Krolestwaby było;
Lecz dwie rzeczy obiecał z Twarzą kniemu miłą:
Pierwsza: że zdobr niesłusznie nábytych od niego,
A zábranych od Krolá, uprośi dla Iego
Zony y familiey, ktora żyłá w biedźie,
Wzgardźie winney od wszystkich, y nieznośnym wstydźie;
Druga: że y samemu, uprośi pieniędzy,
Aby mogł się rátować, w teraźnieyszey nędzy.
Dotrzymał tego dwoyga; Przytym go żáłował,
Zeby znośił ćierpliwie kárę exhortował.
Y gniew Bogow, prostemi do cnoty drogami
Uśmierzał, w zdrowiu dobrym, długiemi latámi.
W tym żagle podnieśiono pod wiatr już sposobny;
Protezyl patrzy, sobie cale niepodobny.
Oczy w słup ná ich okręt, długo wlepie stały,
A okręt, dumne, porze neptunowe wały.
Gdy zaś ich stráćił, z oczu, dopiero się wśćieką,
O brzegi rzuca, włos rwie, ná Bogow nárzeka.

Wżywa śmierći daremnie, ktora nieprzychodźi,
Sam się zábić nie waży, tylko płacz rozwodźi.
Tym czasem okręt wiatrem, ktory nie ustawa,
Unieśiony, w Sálenćie samym prędko stáwa.
Ze w porćie stanął, dano znać záráz Krolowi,
Ten złożywszy majestat, ku Philekleśowi
Biegł z Mentorem, y záraz śćiskaiąc go mile,
Przeprászał zá złą daną niewinnie mu chwilę.
To wyznanie swych błędow, nic mu nie szkodźiło,
Y owszem, że poprawi, prognostykiem było.
Lud wszystek (co się tam zbiegł) płákał od radośći,
Ze powrot widźiał człeka pełnego miłośći
Ku pospolstwu. Philokles zaś pełen pokory,
Łaskę Páńską przyjmował (ná ktorą mrą dwory)
A przed akklamacyą Ludu chwalącego,
Radby się był już schronił. Aż go Krol do swego
Záprowadźił pálácu. Tam witaiąc z Dworem,
Poznał się, y pokochał, naypierwey z Mentorem.
Y lub się z sobą nigdy, ći dway nie widźieli,
Jákby się sto lat znali, ufność do się mieli.
Bo iáko źli, cnotliwych rzadko poznawaią,
Tak zaraz dobrzy Ludźie, z dobremi się znaią.
Philokles prośił Krolá, áby retyrować,
Mogł się blisko Sálentu. Tam ubogo chować
Chćiał się iáko *w* Sámośie. Pozwolił mu tego,
Ale codźień z Mentorem, Krol ieźdźił do niego.
Tam rády y sposoby, nowe ztwierdźić práwa,
Y ná szczęśćie publiczne, byłá co dźień spráwa.
Mentor nayosobliwsze, dwię rzeczy záłożył:
Wychowanie młodźieży, pierwszy punkt położył;
Mowiąc: Dźieći, krolestwa są zrzodło y śiłá,
Ktorą trzebá by mądrość Krolow wyćwiczyłá.
Nie czas ich popráwowáć, gdy się z láty zpsuią,
Ani szarźe odbierać, gdy się złośćią ztruią.
Lepiey Ich wychowaniem dobrym wystáwowáć,
Anizeli (gdy nie czas) darmo napráwowáć.
Krol będąc Oycem ludu, pospolstwa swoiego,
Osobliwiey młodźieży, bydź powinien iego.
Młodźież, iest kwiátem Páństwa, kto kwiat pielęgnuie,
Ten z owocu niechybnie, záwsze pożytkuie.

Niech

Niechże tedy niegardźi ſwoim tu ſtárániem,
Czuwać pilno, nad dźieći dobrym wychowaniem.
Wſzak Práwa Minoſowe ták nam nákázáły:
Aby w śmierći kontempćie, y by wpracy trwałey
Wychowywać Młodźiany, á wzgardźie roskoſzy,
Bogactw, Honorow, śmiać ſię ná fortuny loſy;
Czynić im wſtręt záwczaſu, nieſpráwiedliwośći,
Kłámſtwa, zdrády pieſzczoty, iák naygorſzey złośći.
Bohatyrow, od Bogow káżą ulubionych,
Spiewać im hiſtoryę, w cnoty uſtroionych,
Te czyny, ſalwowali ktoremi, oyczyzny,
A w bitwach niebali ſię śmierći áni blizny.
Taka muzyka dźiećiom, śiłá wiec pomoże,
Do dobrych obyczaiow, wieść záwczaſu może.
Wiernym bydź przyiaćiołom, uczyć tákże káżą
A y obcych zdradami niechay ſię niemażą.
Niech ſię mniey śmierći boią, y oſtrych męczenia,
Niż zgryzoty od grzechu, y ſwego ſumnienia.
Tákiemi młode ſerce náuki poione,
Chćiwośćią sławy, cnoty, bedźie napełnione.
Ná to (Mentor dokłádał) ſą potrzebne ſzkoły,
Gdźie cnota y náuka miſtrzynią napoły.
Bardzo, exercitia pracowite, ciáłá,
Zalecał, áby młodźież nic nie prożnowáłá.
Igrzyská też publiczne, ná Ludźi zágrzanie
Do męſtwa, y ná ćiáłá, mężne formowanie
Radźił; Emulacyą zaś wzbudzać darami,
Gdy zwyćięża chybkośćią, rozumem, członkámi.
Naybardźiey nákázywał żenic ſię im młodo,
Nie z Intereſu, ále z cnotą y z urodą.
Te ſpoſoby podawał, by młodź w niewinnośći,
Pracy, y do cney sławy, goracey chciwośći
Wuczać. A wtym Philokles, ktory kochał *woynę*,
Rzekł: Niedość, że młodź będźie przymioty przyſtoyne
Miáłá, w ſwych obyczaiach; praca to daremna,
Y w publicznych tych ſzkołach, robota nikczemna;
Kiedy w długim pokoiu gnić bedźie uſtáwnie,
Y męſtwa po dczas woyny nie ſprobuie iáwnie.
Serce ſię miękczy długim ſpokoynośći czaſem,
Obyczáie ſię pſuią, zá ták długim wczaſem.

Y narod osłábieie, przy pokoiu długim,
Łátwo ſię łupem ſtánie, narodom zaś drugim.
Tak chcąc ſię od ruiny przez woynę ochronić
Nie będźie od niewoli mogł mu ſię obronić.
Mentor mu odpowiedźiał: woyna *Páńſtwo* gubi,
Y choć zwyćięſtwo ſobie Lud iáki polubi,
Zawſze w niebeſpieczeńſtwie dobrego skończenia,
Y Fortuny woienney, bywa odmienienia.
W idźiemy, więkſzą śiłą potrzeby záczęte,
W ocemgnieniu przez ſtráchy, iákie niepoięte,
Ná zły koniec wychodzą, y z ręku zwyćięſtwo
Wydarte, choć go broni naycelnieyſze męſtwo.
A choćby y zwyćięſtwo było przykowane,
Ruinuiąc przećiwnych Páńſtwa popſowanę,
Widźiem dezolacyą, kráiu obfitego,
Zubożałość, z oráctwa, z handlu niedbałego.
A co więkſza! y práwa, y cne obyczaie,
Pſuią ſię, y rząd wſzyſtek, naylepſzy uſtáie.
Zolnierska wolność, ſtárſzych ſpráwiedliwość pſuie,
Y Krolowi, y prawom powagi uymuie.
Zgołá: Krol co krew Ludzką, dla ſwey sławy leie,
Y w cudzego wydarćiu, ſwe kładźie nadźieie.
Nie godźien ieſt oboyga, ále godźien ſtráćić,
To co chciáł z Ludu ſwego zgubą mieć, y płáćić.
Ale, ten zaś niech ſpoſob ná ćwiczenie męſtwa,
Będźie podczas pokoiu, bez woyn, y zwyćięſtwa.
Iużem exercitia ćiał ich opowiedźiał,
Nagrody Emulacyi; ále żebyś wiedźiał,
Ieſzcze ſpoſob dam inſzy: Gdy woynę ſąśiedźi,
Mieć będą między ſobą, niech Ich Krol nawiedźi,
Pośiłkiem ſwey młodźieży, zwłaſzcza brakowaney,
Y ná woyny naukę zgodney y wybraney.
Tak Krol reputacyi, u ſąśiad nábędźie,
Iego kolligacya, pożądana będźie.
Woyny w kray nie prowadząc, y młodź ſię wyćwicy,
Zá mężną y woienną, bez koſztu policzy.
A choć mieć pokoy będźieſz, czciy woiennych Ludźi,
Ktorych gdy woyna przyjdźie, do odwagi wzbudźi,
Cześć w Pokoiu świadczona. Drugich dla nauki,
Poſzliy do cudzych kraiow, y woienney ſztuki.

Tam

Tam nie tylko dźieł w woynie; lecz y maniery,
Rożnych uczą narodow, maiąc officery.
Ni woyn przez ambicyą ſzukać będźieſz chciwy,
Ni ſię ich bać nie będźieſz, poki będźieſz żywy.
Bo będąc gotow ná nie, gdy potrzebá przyjdźie,
Bez nich ſię, práwie bez wiek twoy, łátwo obeydźie.
Gdy ſąśiadow obaczyſz, między ſobą w woynie,
Bądź ich medyatorem godnie y przyſtoynie.
Trwalſza sławá, godźić ich, álbo ich rátować,
Aniżeli z ſwą ſzkodą, kray Ludźi woiowáć.
Poważny, miły ſwoim, á obcym ſztraſzliwy
Y ſwoich Krol narodow, y obcych prawdźiwy,
Gdy w takim ſtanie będźieſz. A kto ćię zaczepi,
Całego, gotowego, y niż ſam ieſt lepiey
Obaczy; á co większá od ſwych kochanego,
A od obcych ſąsiadow, pośiłkowanego.
Każdy pomniąc iákoś go, w woynie pośiłkował,
Za punkt to mą honoru, áby ćię rátował.
Y ten to ieſt wał mocny, od fortec mocnieyſzy,
Ten sławy, Panowania, ſtyl naybeſpiecznieyſzy.
Ale, o iak ieſt Krolow tych ná świećie mało!
Ktorym tą drogą w rządach, chodźić by ſię chciało
Za ćieniem zbyt falſzywym ſwey sławy biegaia,
A o prawa y trwała, ſzkodliwie niedbaia.
Gdy ták Mentor przed Krolem mądrze dyſzkurował,
Philokles zaś uważał, że to Krol przyjmował,
Y widząc Idomena, że tak godne zdania
Sercem práwie pożerał, [pełen zadumiania]
Cieſzył, ſię że tá rzeka mądrośći, płynąca,
Zuſt Mentora, zalałá myśl iego do końca.
Tak Minerwa, wpoſtaći Mentora gadałá,
Y w Salenćie rząd práwa z pożytkiem dawałá.
Niemniey áby Krolestwo Idmena kwitnęło,
Iáko, żeby ſię przykład dla ſwoiego wźięło
Telemaka. By widźiał, co rząd mądry może,
Iak ná ſzczęśćie narodow y Krolow pomoże.



Ccc TELE-

TELEMAKA XIĘGA

SIODMA

SUMMARYUSZ KSIĘGI SIODMEY

TElemak ktory ieſt ná woynie przećiwko Krolowi Daunienczykow, poſtepuie ſobie iáko lekkomyslny młodźian, y wadźi ſię prawie co dźień. Poiedynkuie z Synem Krolá Iednego, y tym cáłe woysko pomieſza. Ale błąd ſwoy uznaie, y słucha nápomnienia Neſtora. Przepraſza ſię z tym, z ktorym ſię zwadźił y wkupie poſtępuią ná woynę. Pierwſza bitwa przećiwko Adraſtowi, ktorego nie znieśiono zupełnie woyská. Neſtor wtey potyczce tráći Syna ſwego Phiſiſtrátá, żal Neſtora y lámenty z tey śmierći cáłego woyska. Pogrzeb wſpaniały Phiſiſtrátá. Druga pompá Pogrzebowa Hippiaſa zábitego wteyże potrzebie.

A tym

A tym czáſem Telemak, w akcyach woiennych,
Pokazywał odwagę, y w czynach codźiennych.
Iak ſię ruſzył z Sálentu, pierwſze były ſpráwy
Iego, áby pozyskać Wodzow pełnych sławy.
Neſtor ktory w Philośie znał go lub młodego,
A kochał Uliſſeſa bardzo, oycá Iego.
Wźiął go zá ſyná ſwego, dáwał mu nauki,
Y przykłády do Dworskiey, y woienney ſztuki,
Wſzyſtkie ſwoiey młodośći, y innych przypadki,
Iednych wielkie Fortuny, á drugich upadki.
Tego ſtárcá mądrego, pamięć wielce miłá,
(Bo lat trzyſta żył) żywą kroniką mu byłá.
Philoktet, Telemaka z razu nienawidził,
Iáko Oycá nie lubił, ták ſię Synem brzydźił.
A náwet już zázdrośćił, że temu młodemu,
Dali Bogi przymioty rowne w męſtwie Iemu.
Lecz Telemak, skromnośćią ten humor zwyćiężył,
Y kochać ſię przymuśił, y złość Iego zwężił,
Mawiał mu: O moy Synu! z twym Oycem przyznaię,
W ſrogieym był nieprzyiaźni; bá y to przydaie:
Ze po Troi dobyćiu, Ieſzcze ſerce moie,
Miáło iádu ku niemu, okrutne napoie.
Y ćiebie nie lubiłem; ále skromna cnota,
Przemogła, y rzetelna, w Ludzkośći ochota.
Potym Telemakowi, obiecał co było,
Opowiedźieć, co z Oycem, ich było zwadźiło.
Rzekł Trzeba z gory záczać: Wieſz żem Herkuleſa,
Przed ktorym źiemia drżałá, piekło y Niebioſa.
Ktory źiemię wyczyśćił, z monſtrow nie widanych,
Y do ktorego czynow, práwie nie słychanych,
Naywięksi Bohatyrze, rownać ſię nie mogą,
Iák ptaſzki z orłem, y iak trzćina z ſosną ſrogą?
Tegom Iá nie odſtąpił, á nieſzczęśćia Iego,
Y moie, wyſzły z zrzodła Kupidyna złego:
Herkules ſię pokochał, y ten Bożek mały,
Smiał ſię z ognia ktory mu zadał, przez ſwe ſtrzały.
Wſtydał ſię, pomniąc iáko, zápomniawſzy wiele
Spraw sławnych, uniżył ſię był, aż do kądźiele
Omphali, tey Krolowey Lidyjskiey, co z niego
Smiałá ſię, iak z człowieka nayrozpieſzczenſzego.

Sto rázy mi wyznawał, że to iedno dźiło,
Wſzyſtkiey sławy, za czyny, Iego odſadźiło.
Przećię znowu w padł w śidła, ták ſzpetney miłośći,
Zakochał Dejanirę; Dość by ſzczęśliwośći
Było mu, gdyby ſtatku, tey wiernie dochował;
Lecz młodośćią Ióli, Kupidyn zwoiował,
Mocarza tak wielkiego; niezmierną urodą
Ióli gorzał, á záś z Dejaniry ſzkodą.
Ktora ſię z złośći wśćiekſzy, ſobie przypomniałá,
Fatalną ſuknią, ktorą, od Centaura miáłá;
Y ktory umieraiac, upewnił ią o niey,
Ze z nieſtatku tá ſuknią miłość wroći do niey.
A tá ſuknia, Centaura, krwią byłá zbroczona,
Y iádem od ſtrzał z Hydry, byłá nápoiona
Ták, że iad nie zleczony, máiac w ſobie ſtrzały,
Ktoby ſię ukłoł o nie temuż z bolem daly.
Herkules, skoro ſuknią wźiał ná ſię fatalną,
Poczuł ogień aż w kośćiach, z boleśćią ták walną,
Ze ná gorze Oécie, rykiem nie słychanym,
Doliny ponapełniał, z Morzem zádumianym.
Przechodźił ryki Bykow, w bitwach zajuſzonych.
Lichas Iego konfident, ktory z rąk pieſzczonych
Dejaniry, tę ſuknią przyniosł, gdy ſię ważył
Przyſtąpić do Herkula, co go ogień ſmażył,
Zginął. Bo go Herkules, przerażony bolem,
Iak kamyk wrzućił w Morże, Lećiał z skáły kołem
Iak z procy. A Bogowie Iego w morżu ćiáło,
Aż po dźiś dźień, ſtoiącą uczynili skałą.
Po tey śmierći Lychaſa, iam ſię zaturbował,
Anim ſię do Herkula, blisko przyſtępował,
Wnayglębſzych kryiąc lochach, z daleka patrzałem,
Iak naywyżſze rwał ſoſny, z dęmby, uważałem;
Ktore od lat kilkuſet, wiatrom ſię oparły,
Iego ręce potężne, z korzeniem wydarły.
To iedną ręką robił; á záś ſuknią długą
Zdźierał z śiebie [Lecz darmo] umęczony, drugą.
Tak przylgnęłá do ćiáłá, że gdy ſuknię zrywał,
Skorę z mięſem od kośći ſwych, mocny odrywał.
Aż ná koniec, gdy cnota, bole zwyćieżyłá,
A krew Iego aż źiemię pluſzcząca skropiła,

Záwo-

Záwołał: Philoktećie! patrz iáko Bogowie,
Zá nie wiarę małżeńską, biorą z żyćiem zdrowie!
Tak srogich nieprzyiáćioł zwyćiężywszy śiłá!
Cudza uroda letko, zwyćiezce podbiłá.
Ginę! y iestem kontent, że Bogow przeproszę;
Ale ty Przyiaćielu, gdźieući ekasz proszę!
Bol zbyteczny przywiodł mię, żem nieszczęśliwego
Lichasa, srogo zábił, (a to mi żal tego)
Niewiedźiał, co mi za Iad, z rąk swych ofiarował,
Ani ná tę, com zadał śmierć mu, zasługował;
Ty zaś azaż rozumiesz! żem twoiey miłośći,
Zapomniał! y żeć żyćie wydrę bez litośći?
Nie tak sądz Philoktećie: Ty mego odbierzesz,
Ducha ná łonie, y ty me popioły zbierzesz.
Gdźiesz iesteś Philoktećie Przyiaćielu miły!
Te iedne me nadźieię, gdźieżeśćie się skryły!
Na te słowa skoczyłem, on wyćiąga rękę,
A boiąc się by y mnie wswą nie wprawił mękę,
Nie ścisnął mię iako chciał; rzekł: niechcę ćię tykáć,
Y bez żadney poćiechy, wolę w sobie sykać.
A to mowiąc, te drzewa, powyrywał ktore,
Skłádał ná kupę y stus, wyniozszy ná gorę
Sam wlazł nań, y lwią skorę, zwyćięzkie odźienię,
Posłał sobie, y wsparty maczugą, korzenie
Zapalić mi rozkazał; á ia wszystek drżący,
Ná widok tak okrutny, ogień pałaiący,
Zapalam, y usługę okrutną mu czynię,
Wiedząc Iego wtym dobro, kiedy prędko zginie.
Gdy obaczył, że się stus, zaiął już potężnie,
Záwołał: teraz widzę, że mię kochasz mężnie,
Y honor nad me żyćie; Niechći to Bogowie
Nadgrodzą, á iá com miał, tak drogie iak zdrowie,
Teć strzały zostáwuię, com we krwi nápoił
Hydry, temim bił monstra, á śiebie w nie stroił.
Wiesz dobrze że z nich rany, są nieuleczone,
A przeto, będą bitwy twe niezwyćiężone.
Pomniy! że przyiaćielem, umieram ći wiernym,
Lecz ieśli chcesz pokazać mi się miłośiernym,
Tę łáskę mi ostátnią wyświadz, á nikomu
Smierći mey y popiołow nie odkryj, dla sromu.

Obiecałem mu chętnie, łzą ſtus polewaiąc,
A on ſię uradował. Lecz płomień powſtáiąc,
Iemu głos á mnie widok odiął iego miły,
Znać było, że przemagał ogień, iego śiły.
Przećieſz z twarzy znać było, iuż gorejącego,
Radość, iák ná weſele z więzow ſpieſzącego.
Ogień prędko wytrawił, co śmiertelne było,
Z matki Alkmey, to ſię w popioł obróciło.
Ale co miał z Iowiſza Oycá, to zoſtało,
Y to ná gorny olimp, do Bogow lećiało.
Pod sklepami złotemi, nektarem poiony,
Y z Hebbą cną Boginią młodośći, złączony.
Tę Iowiſz dał mu Zonę, co Bogom lewałá
Nektar przed Ganimedem, ktory urząd miáłá.
Te zaś ſtrzały, ktore to, sławę dáć mi miáły,
Okrutnych nieſzczęść zrźodłem prędko mi ſię ſtáły;
Wieſz, iáko ſię Krolowie zá krzywdę uięli
Menelaſa, y pomſtę z Paryſa brać chcieli,
Odbierać cną Helenę, iák poſtánowili,
Y wywrocić Pryama páńſtwo, ſię ruſzyli.
Radzą ſię Appollina; tam odpowiedźiano:
Ze poki Herkuleſa ſtrzały nie doſtáną,
Tey woyny nie dokończą ſzczęśćiem, z żadney miáry.
Uliſſes twoy cny Oćiec [co dowćip iák czáry.
Miał, y Ludźi przewyżſzał] ten Im obiecuie,
Ze poyść z niemi ná woynę, mnie wyperſwaduie.
Y że ſtrzáły przynieśie, te ktore mnie dano.
Darmo mu wbijáć wgłowę rożne wieśći chćiano;
Iedni, że Herkul umarł, drudzy że głęboko,
Pod pułnocne niedzwiedźie, tám gdźie Ludzkie oko,
Nie prowadźi, ſzedł Sergow podbić, rozumieli;
Lecz prawdy doskonałey, o nim nie wiedźieli.
Uliſſes ſam ſię oparł, trzymał że nie żyie,
Y że mię przyprowadźi, ſtáwiał ſwoią ſzyię.
Przyſzedł do mnie, y záſtáł, w żalu ták okrutnym,
Zem ledwo po przypadku żył Herkula ſmutnym.
Od tey gory Oéty, gdźie legł Rycerz sławny,
Oderwać ſię nie mogłem, y znak żalu iáwny,
Dawałem; Ale Uliſs, uiąć dobrze umiał;
Płákáł ze mną, y iák mię dobrze iuż zrozumiał,

Łzami

Łzami ſwemi ták prędko, ſerce me zniewolił,
Zem mu przyiaźń y ufność odkrył y pozwolił.,
Wywiodł, iák ſię Krolowie, w ſpráwiedliwey ſpráwie,
Związali, że Ia ieden Ich pomogę sławie.
Iednak tego ſekretu, czyli Herkul żyię,
Wydrzeć mi nie mogł, chociay rożnie záwſze ryię.
Niewątpił on, że umarł, lecz lubo to wiedźiał,
Dla przyśięgi ſię moiey, przećie nie dowiedźiał.
Iednak, y tom nie ſtrzymał, przed ſztukámi Iego,
Mniemiałem że to uydźie, z perſwazyi Iego.
Gdźie popioły ſą Iego, ſam nie powiedźiałem,
Lecz nogą bijąc w mieyſca, te ſame wzkázáłem.
Nieſtrzymaney przyśięgi, Bogi ſię pomśćili.
A iá ſzedłem do Krolow, kędy w kupie byli.
Tak mię miło przyięli, iák Herkula onego,
Y iákby już ſtáneli, w mećie ſzczęśćia ſwego.
Przechodząc wyſpę Lemnos, chcąc ſię popiſywać
Strzałámi, począłem ich z kołczanu dobywać,
Chcąc ſarnę tráfić, ſam ſię ukłołem niechcący
W nogę, y w net poczułem, bol w niey, tak gorący!
(Ktory mię okaleczył, do tych czas biednego)
Ze ten bol moy, dochodźił Herkuleſowego.
Całam wyſpę nápełniał rykiem, y wołaniem,
Krew czarna, zárážálá powietrze wylaniem.
Táki ſmrod wydawaiąc, że w obożie całym,
Grecy wytrwać nie mogli, przed tym iádem trwałym.
Całe woysko zbrzydźiło mnie zkáleczonego,
Y mowiło do Bogow: To dobrze ná niego.
Uliſs ktory mię pierwſzy, w tę woynę ſprowadźił,
Ruſzyć ſię woysku prędko, y bezemnie rádźił.
Iać teraz to uznaię, że dobro przekładał,
Publiczne, on nád moie, y że rzeczy składał:
Szukać bardźiey zwyćięſtwa, niż mego zleczenia.
Gdy ſmrody, infekcya, gwałtowne krzyczenia,
Bogom ofiar nie dały odpráwiać; ruſzyło
Się woysko, á mnie w ſtánie wśćiekłym, zoſtáwiło.
Ktorem iá opuſzczenie, zá nayćięższą zdradę
Miał, y dźikość nie Ludzką y Uliſſa ráde.
Ták zoſtáłem bez człeka, nádźieię pomocy,
Nie mogąc ſię y ruſzyć, ſam o ſwoiey mocy.

 W bo-

W bolach áni poiętych, áni ustáiących,
W dźiczyznie, widok maiąc bałwanow huczących.
Morza w skáły strászliwie szturmem biiącego;
Co przez czas oblężenia, trwało Troiáńskiego.
W tey pustyni dwie skáły, nád Morzem znalazłem:
Tám gdźie się zwierz krył; w tę Ia sam, Iaskinię wlazłem.
Zrźodło śliczne mi przećie, w iedney się tráfiło,
Posłánie z liśći iednych zebranych, mi było.
Zá wszystkie ruchomośći, dzban został drewniany,
Y káwalce zostałe, z mey przeszłey sukmany.
Ktorą y śiebie odźiać, y ránę obwijać,
Trzebá było, ktora mię zdáłá się zábijać.
Krew ustáwnie z niey ćiekłá, ná ktorą gdym stękał,
Zwierza, áby mię nie ziadł, w dźień y w noc śiem lękał.
Od Ludźi odstąpiony, od Bogow skárány,
Kalectwom opłákiwał smrod, Głod, Bol, y rány.
Przećie, kiedy się Iáki ptak, koło mnie ziawił,
Zábiłem go swą strzáłą, y tymemśię báwił.
Ale się czołgać było trzebá, áż po niego,
Sam sobie nágotowáć, z ognia zkrzesánego.
To żyćie choć tak strásżne, y ták obmierźliwe,
(Zem nie pátrzył ná Ludźi, sztuki Ich zdradliwe)
Przyiemneby mi było, gdyby nie bol srogi,
K tory od głowy ćiało trzymał, áż do nogi.
Y gdyby nie dręczyły te mię były myśli:
Ze Grecy mię wyćiągnąć z mego kráiu przyszli;
Mowili że ia ieden, mam Grecyą zbáwić!
A oni y momentu niechćieli się báwić!
Y owszem, pod czas nocy snu, mię opuśćili!
Uważ iákie! ocknawszy, żale moie były!
Kiedym daremnie wrzeszczał, ná ich już okręty!
A bol nogi, y sercá, męczył nie poięty.
Tam ni portu nie było, á ni też mieszkania,
Zostáwiono mię, iáko winnego wygnania.
Lat dźieśięć, w głodźie w bolu, mey rány, przeżyłem,
Y goiąc, tylko w niey bol, iákoby kármiłem.
Aż y nádźieia ginąć gdy we mnie poczęłá:
Raz, gdy źioł szukáć ná lek, potrzebá mię wźięłá,
W weyśćiu moiey Iáskini, człowieká młodego
Obaczę, ślicznie, wdźięcznie, y náder miłego;

Lecz

Lecz kſztałtu Bohatyra, y tey męskiey cery,
Ktora znaczy práwdźiwe ſercem káwalery.
Iakbym widźiał Achilla, miał podobność twarzy,
Y że miał kompaſſyą, ták mi ſię coś marzy.
Iakoż nad mym czołganiem, z wrzaskiem z bolu, ſrogim,
Miał kompaſſyą, y nad odźieniem ubogim.
Zdalá wołam do niego: Cudzoźiemcze miły!
Co ćię tu zá nieſzczęśćiá, do mnie ſprowadźiły!
Po ſukni znam, żeś Greczyn, przemow tym ięzykiem,
Co go umiem, á mowić, w tym tu kráiu dźikim.
Iuż ták dawno nie mogę, nie boy ſię człowieká
Nieſzczęſnego! á ráczey żáluy, co nárzeká.
Y był to Neoptolem; ktory ledwo słowo
Wyrzekł, Iam Greczyn, záraz zdáło mi ſię zdrowo
Bydź, záwołam: O słodkie słowo! po ták długim,
Milczeniu! nie gadawſzy, przez dźieśięć lat z drugim!
Synu! coż zá nieſzczęśćie! wiatr! czy burze iákie!
Tu ćię záprowadźiły, w kráie ladáiakie!
Abyś skończył nieſzczęśćie. Ná to odpowiedźiał:
Iá do Schiros wracam ſię; Iákbyś wſzyſtko wiedźiał,
Ieſtem ſyn Achilleſſa. Te ták krotkie słowa,
Nie kontentowały mię, y tá skrytá mowa.
O ſynu! [w net mu rzekę] Oycá kochanego!
Zkadże, y iák tu ſtáwaſz, u mnie mizernego!
Rzekł: z Troi obleżenia. A iá mowię daliy:
Toś nie był ná początku, gdy ie záczynali!
Odpowie: A tyś gdźie był! Dopiero do niego:
Nieznaſzże Philokteta, áni nieſzcześć Iego?
Ach! widzę; że co moie nieſzczęśćia zrobiły,
Dokładaią, by ze mnie, y ieſzcze ſzydźiły.
Y ieſtże kto! Zeby mych utrapień nie wiedźiał!
Y dopierom mu wſzyſtko porządnie powiedźiał.
Co on zás wysłuchawſzy; y on ſwoie skárgi
Záczął ták: Gdy Achilles, przez śmierć záwarł wargi;
Przerwę mu: Umarł Achill! Niechże go zápłáczę;
Neptolem: łzy mię ćieſzą tákie, gdy ich baczę.
Gdy tedy (mowi) umarł moy Oćiec zábity,
Przyiechał Phemel po mnie, y Uliſſes skryty,
Łátwo mi táką woynę wyperſwadowali,
Kiedy złość, pomſta Oycá, mię opánowały.

Przy tym, iák po dźiedźictwo, po Oycowską sławę,
Idę pod Troię, wszelką puściwszy zábáwę.
A gdym stánał w obozie, káżdy witáć śięga,
Y żem istny Achilles ná twarzy, przyśięga.
Ia młody ieszcze nieuk, po pochwałach tákich,
Honorow spodźiewałem záráz się wszelakich.
O broń Oycá zostáłą, w przod się upominam,
Pretensyj moich, prozbą y groźbą dopinam.
Puściznę po twym Oycu masz, odpowiadali;
Ale broń, Ulissowi teśmy już oddali.
Gniewam się, płaczę, łáię, lecz to wszystko darmo,
Ulisses do mnie rzecze: Turbuiesz się márno
Młodźieńcze; Ty nie byłeś w ogniu ieszcze z námi,
Długiego oblężenia z stráśznemi trudami;
Ná teś broń nie zárobił, á ták gadasz dumnie!
Nie będźiesz iey miał nigdy; Trzymay się rozumnie.
Niesłusznie, Ulissessa sztuką oszukány,
Wracam się do Schirosu, bardźiey rozgniewany
Ná Grekow, niż ná niego; kto im nieprzyiáźny!
Ten Przyiaciel moy pewnie, (przyśięgam) iest ważny.
Spytam się Neptolema: Iakoż Ajax srogi,
Pozwolił Ulissowi wźiąć depozyt drogi!
Rzekł: Ajax umarł. Tu Iá záwołam boleśnie:
Ajax umarł! á Uliss żyie długo wcześnie!
A Patrokl y Antilok (pytam) ieśli żyią!
Odpowiada: że y ći dali garło z szyią.
Tu Iá płaczę ná Bogow: Ci poumierali
Tak godni! á Ulissa Bogi nie zábrali!
Gdym się ná Twego Oyca, Ia ták furyował,
Neptolem, sztucznie słowy, tak mię oszukował:
Ia daleko od woyska, chcę żyć już Greckiego,
Do Schirosu odieżdzam. Ciebie zaś nędznego.
Niech Bogowie uleczą: Iá wołam: o Synie!
Przez sławę Oyca twego, co nigdy nie zginie,
Nie zostawuy mię w tákiey, iáko widźisz biedźie!
Wrzuć mię w okręt swoy, w ktorym lubo umrzeć przyjdźie.
Miła śmierć między swemi, á zawieź nędznego,
Do twey oyczyzny, álbo, do Oyca moiego.
Pamiętay iák rzecz piękna iest, bydź miłośiernym!
Pomniey! że y ty kiedy, bydź możesz mizernym.

Te

Te w bolu iá y żalu wydawałem głosy,
Ktore to przebijały, wysokie niebiosy.
Obiecał mię wźiąć z sobą, á Ia zaś wołałem:
O Synu godny Oyca, teraz ćię poznałem.
A wy zaś Towarzysze, nászey przyszłey drogi,
Patrzćie com Ia wyćierpiał, w tey pustyni srogiey!
Nie zniosł by tego inszy, lecz człowiek gdy muśi,
Znieśie wszystko, kiedy go ostre fatum duśi.
Ci, co nic nie ćierpieli, tego nie poymuią,
Y Ludźi nieszczęśliwych nigdy nie rátuią.
To mowiąc, wźiałem swoy łuk, y fatalne strzały;
A Neptolem rzekł: Pozwol, abym doskonały
Ten dar Bogow, z twoich rąk, godnie pocałował.
Odpowiem mu: A coż iest! żebym ći żałował!
Ty mi życie dźiś daiesz, weź synu kochany.
Możesz się chlubić, żeś ty ieden, był wybrány
Z Grekow, ktoremu tych strzał dotknąć się godźiło.
W chodźi do mnie Neptolem; mnie zaś uczyniło,
Wraz ták się źle! y noga ták boleć poczęła!
Ze rozum się y pámięć, przez boleść odięłá.
Wołam miecza, urznąć chcąc, darmo śmierći wzywam,
Spal mię, iákom Ia spalił Herkula, dobywam
Prożno głosu. A w tym zaś zbytku, mych żałośći,
Przyszło mi do odeyśćia rozumu, y mdłośći.
Sen przyszedł, pot uderzył, czarna ropa poszłá,
Pofolgował bol, ktory już natura zniosłá.
Łátwo Neptolemowi, wźiąć me strzały było;
Lecz ná Syná Achilla, to się nie godźiło.
Kto inszy ie wźiął; á ia, skoro się ocknałem,
Ze był dużo zmieszany, záraz to poiąłem.
Nie mogł znieść tego, co się przećiw iego działo,
Pieknemu sercu. Iam rzekł: Coż się znowu stáło?
Odpowie mi: Iedź ze mną (kiedy káżą Niebá)
Ná Troi oblężenie iedź! bo tego trzebá.
Coż to mowisz! záwołam; wroć łuk powierzony!
Zginąłem! á on słowa, nie rzekł, zadumiony.
Pátrzy na mnie spokoyny; Ia się zá łeb chwytam,
O strzały, iák głuchego Neptolema pytam!
A kto moy żal opisze! Niebá! lásy! ziemie!
Zwierzęta! was iá wzywam! światłośći y ćienie!

Synże mię Achillesa, miał oszukać! Boże,
Tryumfuie z kaleki, co odiąć nie może
Iego się figlom! Y tak ukradszy mi strzały,
Do obozu ná Tryumf ćiągnie mię zuchwały!
Ey zlituy się, y stań się Oycu ty podobny!
Bądź na sercu tak piękny, iákoś iest nadobny.
Iuż tu mię zwierze ziedzą; y bez strzał, od głodu
Zdechnę; ách! muśisz ty bydź nie Ludzkiego rodu!
Skruszyłem Neptolema, że áż płákał łzami,
Y szeptał: Bodayiem był, tu nie iezdźił z wami.
Wtym krzyknę: coż to widzę! á oraz y słyszę!
Czy nie Ulisś to zrobił [z żalu ledwo dyszę]
Ulisś rzecze: Tak to iest; Iam to sam uczynił.
Alem mniy, niż ty sądźisz, przez to ći záwinił.
Gdyby piekło *Plutona*, mi się otworzyło,
Ná ktore patrzyć, Bogom samym iest nie miło,
Bardźieybym się był nie zląkł. O słońce! Ia ćiebie,
Ná świadka biorę, y to, co świeći ná Niebie;
Iak ćierpisz tego zdraycę! A Ulisses rzecze:
Iowisz tak chce; Co czynisz! y mowisz człowiecze!
Zawołam! śmiesz Iowisza, bezbożny wspominać!
Tego młodźieńca uczysz, sztuk swych zdrad dopinać!
Dopiero rzecze Ulisś: Nie ná szkodę Twoię,
Chcemy ćię z tąd wyćiągnąć, do woyska pod Troię.
Anić myślim co złego, raczyć ránę zleczyć,
Y między Bohatyry Greckie, ćię policzyć.
A potym, do oyczyzny Twey, ćię doprowadźić,
Coż ći to *Philoktećie*, ma szkodźić y wadźić?
Tyś sobie nieprzyiaćiel, á nie Ulisę raczey.
Ale mnie wszystko zdało całe się inaczey.
Co iad z śliną przynośił, wśćiekły mi do gęby,
Bluźniłem y łaiałem, zgrzytaiąc nań zęby;
Tyś mię na tey pustyni, w bolach mych zostawił,
Tyś żyćia mię y zdrowia, w strzałach moich zbáwił;
Czemu umrzeć mi nie dasz, w mey biedźie spokoynie!
Szukay szczęśćia y sławy pyszny sobie w woynie;
A mnie ćień y puł trupa, ná co ztąd poruszasz.
Iad, żal, desperacya, wszystko we mnie wzruszasz.
O wszystkich nieszczęść zrzodło! Ulissie zdradliwy!
Niech ćię Bog kárze mocny, Iowisz spráwiedliwy.

Ale

Ale mię y Bogowie, we łzach nie słuchaią,
Owszem nieprzyiaźnemu memu pomagaią.
Kiedym ták wrzeszczał, á twoy Oćiec, niewzruszony,
Patrzył ná mnie spokoynie, nic gniewem nie tkniony.
Raczey miał kompassya nad skargami memi,
Iak owa skáłá, bitá, falami hucznemi,
Iákby się śmiałá zpjany, co Neptun wyrzuca,
A skáły nie obala, áni Iey nie zrzuca.
Tak twoy Oćiec, milczeniem chciał przetrwać me słowa,
Y czekał áż spieniona ma ustánie mowa.
Wiedząc że Ludzkich passyj, kiedy są gorące;
Łamać nie można, áż gdy są ustáwaiące.
Y tak gdym się wypienił, Dopiero mi rzecze:
Gźieś rozum Philoktećie podźiał, cny człowiecze!
Gdźie mężne serce! Teraz masz czas zażyć obu,
Ieżeli podanego nie przyjmiesz sposobu!
Y nie poiedźiesz z nami: Toś honoru tego
Nie godźien; bydź obrońca, národu Greckiego,
Y Troi burzyćielem. Zostań Tu zuchwały,
A mnie honor ten dadzą twe co biorę strzały.
Byway zdrow, á my Idźmy spieszno Neptolemie!
Darmo z nim mowić, iak mur kować albo źiemię.
Iednego człeka, prożne, w nas politowania,
Nie powinno opoźniać, Grekow rátowania.
Wtedym się wśćiekł prawdźiwie, y już nakształt lwice,
Ktorey dźieći porwano, żyćia połowicę,
Miecza, noża, strzał, śmierći, daremnie wzywałem,
Ná Niebo, Morże, skáły, y lamentowałem.
Ná koniec, Herkuleśie! krzycząc, tak mowiłem:
Ieśli pomnisz! iáko ći miłym wżyćiu byłem!
Użal się nad mym żalem, w tak okrutney męce,
Nie dopuść łuku twego wźiąć w zdradźieckie ręce.
Albo zeszliy Bestye, by mię roszarpały,
Albo uderz piorunem, niech ná popioł spali.
Twoy Oćiec gdy nie może żalow mych ukoić,
Rozumiał że mię miał tak cale uspokoić:
Zeby mi wroćił strzały, rzekł do Neptolema;
Wraca mi ie, Ia chwytam rękami obiema;
Y mowię: Synu zacny! teraz już ożyię,
Gdy pozwolisz, Ulissa że niemi przeszyię.

 Y zá-

Y záráz łuk nakładam, y tylko co puſzczam;
Neptolem mię uchwićił, y rzekł: nie dopuſzczam!
Gniew ći głowę wywroćił, że nie widźiſz bidny,
Iak ſzpetney ſię akcyey dopuſzczaſz bez wſtydny.
A Uliſs ná me ſtrzały, iáko ná łáiania,
By naymniy nie pokazał w ſobie ſturbowania.
Tá ćierpliwość y ſtátek trochę mię wzruſzyły,
Y niegodnych mych akcyj wſtyd mi uczyniły.
Zabić chcieć! co mi wroćił ſtrzały pożądane!
Ale mię y to gryzło, że były oddane
Od Uliſſa. Aż wtedy, te Neptolem słowa,
Rzekł do mnie: Niech ſię twoia, tym ſpokoi głowa;
Helenus Syn Pryama, z natchnenia Bożego,
Wyſzedł z miáſta nas ucząc, co ma bydź przyſzłego.
Rzekł: Troia nieſzczęśliwa zginie y upadnie,
Lecz przez tego, co ſtrzałmi Herkuleſa władnie;
Ten człowiek w ſwey nie będźie, uleczony ránie,
Aż pod murami Troi, y z ſtrzałami ſtánie.
Wten czas, uczułem ſerce ná poł rozdwoione,
Rzetelność Neptolema, w iedną ćiągnie ſtronę,
Zawźiętość ná Uliſſa, wſtyd, y wſtręt czyniłá:
Iáko (myślałem) ręka ma będźie robiłá!
Ná sławę Uliſſeſa, u wiekow potomnych!
Gdy ſię Ia tak paſſuię, przy nich, tám przytomnych.
Uſłyſzę głos nád Ludzki, widzę Herkuleſa
A Iego świetny obłok, ſpuſzcza, od niebioſa;
Poznałem iego poſtać, y meżna poſturę,
Ale już majeſtatu więkſzego figurę.
Rzecze: Widźiſz y słyſzyſz Herkuleſa twego,
Ktory zſzedł tu do ćiebie, z Olimpu gornego.
Ten rozkaz maſz Iowiſza, wieſz iakąm Ia pracą,
Zárobił nieśmiertelność, takąż tobie płácą
Gotuią; Idźże z Synem Achilla, nie bawnie,
Idź pod Troię, y woiuy tam meżnie y sławnie.
Memi ſtrzały przebijeſz, Paryſa owego,
Ktory ieſt okazyą nieſzczęśćia wſzyſtkiego.
Ozdrowieieſz, Leczpomniy! byś po wźięćiu Troi,
Posłał łupy bogate, ták z wdźięczności ſwoiey
Peanu Oycu twemu, ná gorze Oećie.
A te łupy obadwa gdy z Oycem weźmiećie,

Ná grobie ie popiołow moich, położyćie,
Y strzały ná pámiątkę zwyćięstw záwieśićie.
A Tobie Neptolemie, co zaś prorokuię
Że Ty bez Philokteta, ktorego szacuię,
Ni Philoktet bez ćiebie, nie doydźiećie spráwy,
W nierozdźielnym zaś zwiazku, przyjdźiećie do sławy.
A iá zaś Eskulápa, wnet poszlę pod Troię,
Ktory ći Philoktećie, zleczy nogę twoię.
Wy zaś, o Grecy! Bogow czcić nie przestawayćie,
Religią w ofiárach y w sercach chowayćie.
Ten głos, wraz y ten widok, zawołáć kázáły:
O Dniu! ktoreś to Niebá, szczęśćiem mi ćię dáły!
Iadę, y słucham Bogow, żegnam ćię łáskinio,
Nieszczęść moich y bolow, ták upártych skrzynio.
Nymphy bądźćie łáskáwe, y lemnosu brzegi.
Wtym iedźiemy, y Morskie kończym prędko biegi,
Y pod Troią stáwamy. Aż tam nogi zdrowie,
Eskulapa [Podalir, Macháon] Synowie,
Wnet mi dali; że widźisz, lubo ná nią chromię,
Ale mię bol y ráná, więcey nic nie łomie.
Prędko potym, Párysa iáko sarnię młode
Zástrzeliłem swą strzałą. Tę zás cośmy szkodę
Uczynili w Ilium! iák Troię spálili!
Wiesz dobrze. A my przećie, z Ulissesem byli
Zawsze źle; y me bole, ktore pámiętałem,
Nie dáły z nim żyć dobrze, lub go szácowałem.
Lecz widząc w tobie Syná, iż ćię lubię; muszę
Y Oycu y Synowi pozyskać mą duszę.
Gdy táką Historyą, Philoktet powiadał,
Telemak, w lepił oczy w niego, y nie gadał.
Passye Bohatyrow, iák to Herkulesa,
Neptolema, Philokta, tákże Ulissesa,
Ná Twarzy Telemáka, ták się wyrażáły,
Że ie poznać káżdy mogł, iákby samę stáły.
A zwłaszcza Neptolema, rzetelność prawdźiwą,
Byłá mu miłá, iákby cnota Iego, żywą.
Pod czas tey relacyi, wzdychał zádumiony,
Czasem przerywał, ćieszył się, zaś uweselony.
Tym czasem, Kolligackie woysko, w marzu było,
Przećiwko Adrastowi, wszystką ćiągnie siłą.

 Ktory

Ktory to Bogow wzgardźać, cale ſię nie wſtydźił,
A Ludźi oſzukiwał, y z nich záwſze łzydźił.
W woyſku Telemakowi, żyć było przyćięży,
Kędy Emulacya, káżdego ćiemięży.
Tak śiłu Krolow było, ktorych pozyskanie,
Naturze Telemaka, było ſprzećiwianie.
Był otwarty, Ludzki, lecz nie pochlebiaiący,
Ani ſię o usługę Ich, ubiegaiący.
Nabywać on doſtatkow, ni chciał ni rozumiał,
Ale też Ich udźielić gdźie trzebá nie umiał.
Y tak maiąc dość ná tym, że ſam był cnotliwy,
Nie był łask, ni przyiaźni Ludzkiey, bardzo chćiwy.
Ani hoyny, ni wdźięczen, od drugich usługi,
Tak mu był miły ieden, iak przyiaćiel drugi.
Matka go Penelope, w pyſze wychowałá,
Ktorey mądrość Mentora, w nim nie przełomałá.
A tá wſzyſtko, co było w nim, by naylepſzego,
Pſowałá y wſtręt Ludźiom, dawáłá od niego.
Wynośił ſię nad Ludźie, myśląc dumny w ſobie,
Ze ná Iego usługę, y iego oſobie
Służyć wſzyſcy powinni, y dość ſzczęśćia mieli,
Kiedy mu przypochlebić, y służyć umieli.
Nic mu ſię bydź podobno od Ludźi nie zdało,
Coby ukontentowanie iakowe mu dało.
Ci co náturę Iego, taką zrozumieli,
Ze tylko śiebie kocha, łátwo to poięli.
Y że mu nic procz sławy własney nie ſmakuie,
Drugim ſię przysługiwać, go nie kontentuie.
W takich to on paſſyach, będąc wychowany,
Y od Matki o pychę, nic nie ſtrofowany,
Był przykładem nieſzczęśćia, tym co ſię wyſoko
Rodzą, á wkorzeniaią pychę zaś głęmboko.
Przećiwna mu fortuna, lub młodemu byłá,
Lecz go w moderacyi, nic nie poprawiłá.
Zawſze pyſzny, wyniosły, choćiay nie miał zczego,
Wygnany, prawie dal ſię z Imienia ſamego.
Y iák ſię Palma młoda, wznośi pod ćiężary,
Ták y on pyſzno kazał, ná fortuny káry.
Gdy Telemak z Mentorem, w kupie obá żyli,
Te nałogi ſię iáwnie, Iego nie odkryły.

Y *ow-*

Y owſzem, iáko zrzebca, łamał w nim nałogi,
Ktory kiedy ſię wyrwie, ni z iaskini ſrogiey
Skáły nic nie uważa, y zárowno maiąc,
Iednemu ſię da rządźić, głos iednego znaiąc.
Tak y on, gdy go impet wyniosły uwodźił,
Cichym ſię ſtáwał, iákby Mentor go odrodźił.
Iedno weyzrzenie, ktore między niemi było,
Wnaygorętſzym upale, do cnoty wodźiło.
Iáko Neptun Trydentem, uſpokaia fale,
Tak Mentor Telemaka ugłaskiwał cale.
A gdy go Mentorowe rády odſtąpiły,
Wſzyſtkie iego paſſye, wraz nań uderzyły.
Iáko rzeka ztrzymana, przez potężną tamę,
Gdy przerwię, bieży gdźie chce, rwie brzegi y łamie;
Tak on, Lacedemonow nie chcąc znośić pychy,
Y Phalanta Ich wodza, co był do tąd ćichy,
Odmienił ſię. Ale to widźieć, trzebá wprzody:
Że tá kupa ſwawolna, na kztałt bydłá trzody,
Tarentu brzeg powoynie Troiańskiey, okryłá,
Narodu Laceńskiego, odnoga to byłá;
Młodź ſpłodzona bez Małżeńſtw, y bez wychowania,
Pod czas długiego Mężow, w woynie zamieſzkánia.
Złe obyczaie, wſzelką licencyą dáły,
Y wſzyſtkie Ich poſtępki coś dźikiego miáły.
Podobni rozboynikom, bardźiey niż Zołnierzom,
A Greckim niepodobni, cale nic rycerzom.
Phalant Ich wodz, ſprzećiwiać ſzukał ſię uſtáwnie,
Przerywał Telemaká, y nápáśćią iáwnie
Szedł z nim, y rády Iego, cale lekce ważył,
Nawet y żarty ſtroić, z Niego ſię odważył.
Zá młodźiana bez proby, nośił go woienney,
Zá pieſzczone Paniątko, á w pyſze bezdenney.
Nawet y drugich wodzow, przećiw mu buntował,
Iakiey pychy Telemak! z łośćią pokázował.
Długo to między niemi, y wſercach Ich wrzało,
Aż iednego dnia, tak ſię z Telemakiem ſtáło:
Nabrał od Daunienow, niewolnikow śiłá,
Aż Phalant pretenduie że ta zdobycz, byłá
Lacedemonow, ktorzy tę Partyą znieśli,
A Ludźie Telemaká, w tedy w bitwę weſzli

Gdy Dauny uciekali, y że ći Iunacy,
Inszey nie mieli, tylko łupy zbierać, prácy.
Telemak zaś, to twierdźił, wywodząc przećiwnie,
Ze Phalant byłby zbity, gdyby z swemi dźiwnie
Nie nadszedł, y nie złamał wraz nieprzyiaćiela.
Ta sprawa poszła przed sąd Krolow, wodzow wiela.
Telemak się był zaiadł, groźił Phalantowi,
Pewnie by się pobili, gdyby zapałowi,
Pozwolono ich było. *P*halant miał iednego
Brátá, w Imię Hyppias, á zwoyská cáłego,
W męstwie, w mocy, w chybkośći, rownego nieznano,
Co w wielu Bohatyrach, w nim wraz wszystko miano.
W uięćiu broni Pollux, á Kástor ná koniu,
Herkules w mocy, mąż był, w kupie lub w ustroniu.
Wszyscy się go też strzegli, á drudzy y báli,
Y większym ieszcze zwadzcą, niż Rycerzem zwali.
Hyppias uważaiąc, iák pogromił Brátá,
Aby tych Niewolnikow, potkáłá go stratá,
Nie czekaiąc dekretu Krolow zgromadzonych,
Chćiał odesłać do domu, więźniow przywiedźionych.
Dowiedźiał się Telemak o tey Iego wadze,
W gniewie strasznym, y wśćiekłey kolery odwadze
Wyszedł zgrzytaiąc. Iak Dźik, tego szukaiący,
Od ktorego odebrał, raz zábijaiący.
*P*o obozie go szuka, poćisk wręku trzyma,
A práwie go już zjada, obiema oczyma.
Skoro go uyzrzy, wnet w nim, iad sroższy zápálá,
Ginie w nim modestya, y cnot wszelkich szala,
Ktorą w nim cna Minerwa, w Mentora postaći,
Ustánowiłá; wszystkie, w tym momenćie tráći.
Lwem dźikim, *P*hrenetykiem, ow ćichy się stáie,
Stoy tak! zdrayco niegodny! wołá nań y łáie,
Obaczym, ieśli wydrzesz tych, com Ia zwoiował!
Nie będźiesz do Tarentu, więźniow konwoiował:
Ale wprzod Styx nawiedźisz, brzegu piekielnego!
To mowiąc rzući poćisk, záiádły ná niego.
Ale iad nie dał miernie rzućić y uderzyć.
Chybił go y już mieczem, przyszło się Im mierzyć.
Miecz Telemak miał złoty, od Laerta dźiada,
Ná ktorym rysowana, nie iedna już zwada:

Ledwo

Ledwo dobył Telemak, áż Hyppias silny,
Uchwycić go y uiąć, był prędki y pilny,
Wydźiera go y łámie, y rzuca ułomek,
Wtym zá pierśi go porwie, Ulissa potomek,
Chwycą się obay iak Lwi, rozszarpać się chcący,
Ogień krwawy z Ich oczu, wybryzga bijący.
Zeydą się, to wyćiągną, chylą, podnaszaią,
Zá barki dźierżą mocno, wraz się przećiągaią;
Tu się ścisną, y nogą opierą o nogę,
Ręka z ręką, wnet czynią iedno ćiało srogie.
Lecz Hyppias, iák stárszy, miał nád młodszym gorę
Bo mocnieysze miał kośći, záwiedłą naturę.
Iuż śiły w Telemaku poczęły ustáwać,
Y nogi nie ták mocno poczęły się stáwiać,
Zginałby był Telemak, y odniosłby káry
Zawźiętey swey śmiałośći, ćięszką śmierć, y mary!
Gdyby Minerwa pilna, się nie użaliłá,
Y z rátunkiem dla niego, się nie pospieszyłá.
Zostáłá sama w Mieśćie Salentu, gdźie byłá,
Ale swą konfidentkę, Irys, wypráwiłá.
Boginią posługaczkę Bogow cnych ochoczą:
Ta letkim skrzydłem leći, á ztych, co się toczą
Zá nią Obłokow, drogą tak piękną się śćiele,
Iák kolorow ná tęczy, maluie się wiele.
Lotu nie zátrzymałá, w zábranym raz biegu,
Aż nad usłánym woyskiem; Y w obozu brzegu.
Z dálá ná poiedynek pátrzy, ten tak śilny,
Lęka się, że Telemak, już upada dźilny.
W obłok się obtoczywszy, nimże Telemaká
Zásłania, y ogarnia, młodego Iunaká.
Gdy Hyppias ostátnich śił práwie dobywa,
Egidą go dotyká, z kąd śiły nábywa
Telemak, á Hyppias niewie co się dźieie,
Miesza się, nie náćiera, owszem się już chwieie.
Telemak nie zásypia, z tąd owąd go bierze,
To w tey posturze, to w tey, to zás w owey mierze.
Ná koniec wszystką mocą, chwyćiwszy go wpaśie,
Uderzy nim o ziemię, ná nim legł w tym czaśie.
Záden dąb naystrasznieyszy, od stu śiekier śćięty,
Z tákim hukiem nie pádnie. Y ták ow záwźięty

 Poie-

Poiedynek kończy się. Ale to dźiwnieysza,
Zę w Telemaku wten czas, akcya skromnieysza
Stáłá się; Y ledwo go o źiemię uderzył,
Ze furor nie potrzebny, sądził y uwierzył.
Cne lekcyę Mentora, przypomniał w momenćie,
Wstydził się, że zwyćiężył, myślił w tym odmenćie
Popráwić to; Gdy Phalant ná rátunek bieży
Brátu, widząc że ná nim moy Telemak leży,
Nie śmie dźydą przebijać, by nie zábił Brátá,
Z kąd większa niżli pomsta, czekáłá go strátá.
Telemak miał czas dosyć, Hyppiasą dobić,
Ale gniew był już ustał, że nie będźię zdobić
Ta akcya już uznał; chcąc skromność pokázáć,
Niechćiał się leżącego, krwią więcey pomazać.
Wstał z niego (rzekł) o Hyppie! już mam dosyć, á ty
Naucz się y młodemi nie pogardzáć láty.
Zyj zdrow! A Ia szacuię twą śiłę y męstwo,
A że z ćiebie Bogowie, dáli mi zwyćięstwo!
Im chwałá, á nam zgoda, złączmy od tąd śiły,
Ná nieprzyiáćioł; by nam słáwę przynośiły.
Gdy to mowił Telemak, Hyppias okryty
Krwią, obraz zostawiwszy ná piasku wyryty,
Zwstydem srogim powstawał; A Phalant zdumiany,
Niechćiał pchnąć Telemaká, będąc iak związany
Ludzkośćią Iego wielka, że mogąc nie zábił,
Brátá Iego. Ten tumult, wszystkich Krolow zwabił.
Zbiegszy, ći Telemaká, ći Phalanta wźięli,
Ze zwyćiężon Hyppias, wszyscy się zdumieli.
Ktory z wstydu nie śmiał ocz, do gory podnośić.
Woysko całe nie mogło, wydźiwić się dosyć;
Ze Telemak tak młody, nie záwiędły w kośći,
Ten Kolos mogł obálić, olbrzymskiey wielkośći.
Lecz gdy Telemakowi, woysko się dźiwuie,
Całe on z tego, w sercu swym, nic tryumphuie.
Zaszedł do swych námiotow, y tám pełen sromu,
Sam się ćierpieć nie mogszy, nie dał się nikomu
Widźieć. Prędko gorączkę swoią opłákował,
Porywczość, że niegodną rzecz, w godnych znaydował.
Prożność y podłość sercá, uznawaiąc w dumie,
Prawdźiwą w urodzeniu, godność, y w rozumie

Sądźił,

Sadźił, bydź ták ćierpliwym, skłonnym, skromnym ćichym,
Iak przećiwnie bydź dumnym, bydź głupim y lichym.
To cnego Telemaká, naybardźiey bolało,
Ze ſię w nim to uznanie nic nie polepſzało.
Ze tak ſię wkorzeniło, iż ſię bez poprawy,
Bydź ſadźił, deſperuiąc, doyść prawdźiwey sławy,
Tak ſię z ſobą paſował, rycząc iak Lew ſrogi,
Y zá namiot przez trzy dni, niewyniosł ſwey nogi.
Sam ſię karząc ach! mowił, iakże ćię Mentorze,
Przyjdźie widźieć o wſzelki, cnot wſzelakich wzorze.
Iamże Syn Uliſſeſa! Ia nayćierpliwſzego,
Człowieka, y skromnośćią! Ia naysławnieyſzego!
Ná tożem Ia do woyska wſzedł, ábym tu zwady?
Zpoiedynki wprowadzał, miáſto woyn y rády.
Y miaſto krwi Daunczykow, krew Bráći rozliwał!
Rzućiłem poćisk darmo, głupiem ſię porywał.
Ná śilnieyſzego, y Iuż wſtyd z śmierćią mię czekał!
Bodayżem wiktoryi tey był niedoczekał.
Wſtyd mię teraz! już więcey nie będę ſzalonym.
Iuż ſię znam bydź tak śiło nieſzczęść, unizonym.
Poprawię ſię. Lecz pono nim ſię dźień zákończy,
Moy rozum znowu iaka paſſya pomąći.
Y zrobię co podobnie co ſam opłakuię,
O iák mi ćięzkie chwały! już Ich odſtępuię.
Gdy te myśli w nim mądre, z żalem nie uſtáią,
Neſtor go z Philoktetem, obá nawiedzaią.
Neſtor z tą Intencyą, ſzedł łáiąc, do niego,
Ale zaraz poſtrzegſzy żal niezmierny Iego,
Starzec mądry odmienił; w łagodneyſze słowa,
Y ćieſzenia nie łayki, byłá Iego mowa.
Panowie Kolligáći, przez ták znaczną zwadę,
Zátrzymali marſz y tę wźięli przed ſię radę:
Nie wprzod nieprzyiaćiela, ſzukáć powſzedniego,
Aż pogodźić roſterki, Rycerſtwa zácnego.
Bali ſię by Partya, Phalanta kommendy,
Na Cretow Telemaká, nie skoczyłá kędy.
Tak wina Telemaka woysko zamieſzáłá,
A iego ná śmierć prawie, w żalu ſturbowáłá.
Kolligáći zmięſzani, ruſzać ſię w marſz bali,
Bo y tak Creteńczykow, ledwo utrzymali.

W marſzu zaś niepochybnie, byli by ſię bili,
Ktorzy *w* obozie ſobie, uſtáwnie grozili.
Neſtor zaś z Philoktetem, nie żáluiąc potu,
Chodźili do Iednego, z drugiego námiotu.
*P*halant nie ukoiony tylko pomſtę myślał,
Ni rącye Neſtora, co mądrze wymyślał,
Ni powaga Philokta, nie mogły utrzymać
Serca dźikiego, co ſię nie przeſtáie zżymać.
Ile że go Hyppias, uſtáwnie poduſzczał:
Telemak ſię zaś w cale, ná Ich zgodę ſpuſzczał.
Gdy w tey agitacyi Kolligaci byli,
Zołnierze iakby głowę, y wodza ſtraćili,
Iako gdy z Oycem umrze nadźieia ſwych dźieći:
Aliści w tym momenćie huk ſrogi przyleći,
Tent koni, wozow hałas, y ſzczęt broni rożney,
Głos goniących przynośi, woboz ſtrach nie prożny.
Wprzod Tuman ſrogi, w Niebo wznośi ſię z kurzawy,
A po nim y Dym ſrogi, y już płomień krwawy.
Trwoga wielka, ſtrach więkſzy ſerca opanował,
A to Adraſt Impreze tę był nágotował.
Ten pilny Wodz y rzęski, ſwoy marſz pokryć umiał,
Nie ſpodźianie uderzył, kiedy ſam rozumiał.
Dwie nocy, gorę pewną, obſzedł bez przeſtánku,
Ktorą to oſadzono; á zaś ná poranku,
Woboz w padł ztąd, kędy ſię go nie ſpodźiewano:
Bo nawet tey przeprawy, dobrze pilnowano,
Przez ktorą wźiąć Adraſta, z tyłu gotowali,
Tylko ieſzcze ná pewne partye czekali.
Tak uprzędźił Ich Adraſt, bo już o tym wiedźiał,
Przez ſzpiegow ktorym płáćił, tego ſię dowiedźiał
Sekretu. W ſwoich radach Neſtor z Philoktetem,
Nie umieli ſię cale obchodźić z ſekretem.
Neſtor wprawdźie zbyt mądry, ále już zgrzybiały
Rad wymowił co mogło przynieść, mu pochwały.
Y częſto ſię wygadał. A Philoktet znowu;
Prawda nie tak rad gadać, áni prędki słowu,
Ale zaś nie ćierpliwy był, y zbyt gorący,
Y także ſię wymowił, chociay y niechcący,
Francia prędko znaleźli klucz, do ſerca Iego,
Tylko go było gniewać, ſprzeczać rádzącego.

To niewiedźiał co gadał, y ták ſię zaiadał,
Że twierdząc ſwoią radę, z niey ſię ſam wygadał
A iák ſię kto pokazał, że to rzecz wątpliwa,
To go w net kordyaká wźięłá zaś ták żywa,
Że wſzyſtkie Inwencye ſwego dokázánia,
Odkrył wraz, bez ſekretu ſwego záchowania.
Ták ſekret z Serca Iego, naywiękſzy wypływał,
Iákby liqwor z naczynia drogi ſię dobywał.
Co wiedząc zdraycy owi, pieniędzmi uięći,
Obu tych Panow głowę, zdradą Ich tak męći,
Że z nich wſzyſtko czerpali, Neſtora prożnemi
Pochwałami, A tego, słowy zaś ſprzecznemi.
Neſtorowi zwyćięſtwa przeſzłe wſpominali,
Káżdemu słowu Iego, w rádźie przyznawali.
A tam zaś uſtáwiczne zádaiąc trudności,
Z Serca wyprowadzali, naywiękſze skrytości.
Bo w tym ſię upieraiąc, że pewnie dokáże,
Zápomniał ſię, nie dáiąc, uſtom ſwoim ſtráże.
Telemak zaś, choć inſze, miał defekta w ſobie,
Ale był ſekretnieyſzy, bo był w dobrey probie;
Gdy gachom Penelopy, taić trzebá było,
By ſię mátki y Páńſtwa, było nie zgubiło.
Umiał on chować ſekret, á nie kłamiąc przećie,
Y co więkſza, układáć, choćiay w młodym lećie
Ták ſwą umiał poſtáwę, że ſię nic miſternym
Nie pokázał, y owſzem, otwartym y wiernym.
Iednak wypowiadaiąc co potrzebá było,
Nie znacznie co potrzebá, wzaiem ſię táiło,
Nawet y ſuſpicyi, że wie, nie pokázał;
Naywiękſzym przyiaćiołom, nic też nie wyrażał,
Tylko to, co z nich rádę dáć tey ſpráwie mogło.
Y co nie zaſzkodźiło, ále mu pomogło.
Serce Iego, iednemu, tylko Mentorowi,
Otwarte było; drugim ſwey oſtrożney mowy,
Udźielał według Ichże rozumu, wierności,
Zgoła co do Sekretu nic, nie miał płochości.
Poſtrzegł częſto Telemak, że wźięte ná rádźie,
Rezolucye, były rozgłoszone w zdradźie.
Przestrzegał Philokteta y Nestora, ále
Ci wodzowie niedbali ná tę czuyność cale.

Stárość się nie da rządźić y stáre zwyczaie,
Iak związaną ią maią; złomać się nie daie.
Owym drzewom podobni, ktorych korzeń twardy,
Przez wiek dawny nie da się nachylić, ták hardy,
Y w ftarych Ludźiach umysł, nie da się żadnemi,
Racyami nakłonić: defektu co z niemi.
Starzał się, żádną miarą, nie dadzą poprawić,
Y lubo widzą że zły, przećie się go zbáwić,
Niechcą. Iedna ieft młodość w ktorey się przełomać,
Może y nadchodzącym, paſſyom wyłomać.
Był w obozie ieden człek Eurymak Imieniem,
Niezrownany pochlebſtwy, y ſwym ułożeniem;
Wſzyſtkim Panow Paſſyom, ták się ſtáł przyiemnym,
Ze wláską Ich się wkradał, zmysłem nie daremnym.
W radach mu nic trudnego, gdy go się pytano,
Zgadł co się podobało komu, choć milczano.
Zartowny z tym co śćierpiał, kogo się obawiał,
Z tym ostrożny; á darmo słowa, nie wymawiał.
Pochlebił zaś ták krztałtnie, że co nie lubili
Pochwał, to ze słow Iego kontenći zaś byli.
Z poważnemi Poważny, z weſołemi śmieſzny,
Káżdą ná się brał postać, był wſzystkim poćieſzny.
Ludźie ſzczerze cnotliwi, y co cnoty prawo
Trzymaią, nie mogą bydź u Krolow zábáwą.
Znał się przy tym ná woynie, y ſpraw był wiadomy
Przy Nestorze się wiązał, wſzystkim był znaiomy.
Ten wskroź Nestora prożne, chlubne ſerce znaiąc,
Co tylko chćiał wyczerpnął, iego wychwalaiąc.
A Philoktet, lub nie miał, tákiey z nim przyiaźni,
Wywiedźiał się y z tego, gdy go w gniewie draźni.
Tego prożność, tego gniew, wſzystko mu odkrywał,
Tego chwaląc, tym przecząc ſekretu dobywał.
Ten Eurymak wſzelką brał, od Adrasta płace,
By myśli Kolligatow, obroty y place.
Obozow ich odkrywał. A ná to záś zbiegi,
Z ſwoich Ludźi posyłał, ktorzy mu zábiegi,
Z Eurymaká Instrukcyj, woyska odkrywali,
Y ſzpieguiąc o wſzystkim, pilno znáć dáwáli.
Z ustną mową bez listu, im wyſyłał ſwego,
Y ták się niebał, mądry, przeięćia żádnego.

Ták

Ták Adrast, Kolligatow zámysły uprzedzał,
Ledwo *w* rádźie stánęło, dobrze o tym wiedźiał.
Wszystko to czynił, co Ich zámysły przezkodźić
Mogło; A sam zaś czynił, co Ich mogło zwodźić.
Telemak ustáwicznie, zdrad przyczyny szukał,
Nestora, Philokteta, do uszy Ich pukáł,
Aby się strzegli szpiegow, lecz darmo prosżeni,
Urádźili ták byli w rádźie, zgromadzeni:
Ná liczne woyska czekać, ktore przychodźiły,
Y sto okrętow taynie, *w* nocy wypráwili,
Ná przewoz tego woyská, y ná wysadzenie,
Ná brzeg ostry, przy ktorym, oboz iák przy ścienie
Leżał, á był w zupełnym, z inad bespieczeństwie,
Osadźiwszy gorę w Lud poufały w męstwie.
Tám oboz Kolligacki, nád Galezem rzeką
Leżał, w kráiu obfitym w miod, w fruktá y w mleko.
A Adrast był za gorą. Mocno zaś mniemano,
Ze zá tą nie przebytą gorą, iák zá ściana,
Bespiecznie czekać mogą. Lecz on o słábośći
Woysk wiedząc Kolligackich, y tey gotowośći,
Okrętow czekaiących ná woyska idące;
Informowan, że zwady Phalanta gorące
Z Telemakiem, po woysku czynią rozrożnienie;
Bierze przed się Imprezę, y ták prędkim żenie
Marsem woysko, obchodząc nieprzebyte gury,
Ze stánął, gdźie okręty, skáły iáko mury
Okrywały. Zaraz Ich, nádedniem poimał,
Bo słuszney stráży ná nich, nikt nigdźie nie trzymał.
Swe woysko wsadźił ná nie, y wroćił się z niemi,
Wrzekę Galez, z znákámi, iák Kolligackiemi.
Stráże co nad Galezem, rozstáwione stáły,
Ze sukkurs oczekány płynie, rozumiały.
Przepuśćiły okręty, y owszem rádośći,
Krzyk wydały. A Adrast, záżywszy pilnośći,
Wyśiada wnet, y wten czas, poznawać się daie,
Kiedy strách z konfuzyą w Kolligatach wstaie.
Trafił ná niespodźianych, y oboz otwarty
Zastáie bez porządku, bez wodza, bez warty.
To zaś skrzydło, *w* ktore wpadł, Tarentynow było,
Zpod Phalanta kommendy; Ná to táką siłą

 Uderzyli

Uderzyli Daunowie, że Lacedemony,
Nie ſtrzymawſzy, we wſzyſtkie, ućiekáli ſtrony.
A nim do ſpráwy y broń przyjść mogli zmieſzani,
Adraſt oboz zápala, y Zołnierze ráni.
Płomień namioty obiał, wznośi ſię w obłoki,
Podobien, kiedy woda, z rzeki wiec ſzerokiey,
Wſzyſtkie pola oblewa, wśi laſy wywraca,
Y żywe, y budynki w niwecz wraz obráca.
Tak y tu, wiatr płomienie z namiotow przenośi
Iedne z drugich, á wſzyſtko połyká y znośi.
Wraz práwie oboz w ogniu ſtánął, iák w pożáry,
Gdy ſię las zaymie zewſząd, záwiędły y ſtáry.
Phalant widźi zdumiony, woysk niebeſpieczeńſtwo,
Zoſtáć w ogniu, naywiękſze nie pomoże męſtwo;
Wyprowadźić zaś woysko, wpuł z konfundowane,
Ieſzcze gorzey, iák ná śmierć, ucieczkę, y ránę.
Przećie ſwoy Lud y z ognia prędko wyprowadza:
Ale Adraſt ná drodze pilny, mu záwadza.
Piechota z łukow ſzyiąc, wychylić nie da ſię
A druga z proc kamieńmi, trzyma iáko wpráśie.
Sam Adrast z mieczem w ręku, nayśmielſzych przywodźi,
Y ſam śiekąc y rąbiąc, we krwi zbitych brodźi.
Ktorzy z ognia wyskoczą, co płomień ochroni,
Pewnie ſię mu nie skryią, od okrutney broni.
Tygryſy y Lwy ſrogie, gdy z bydłem Pásterze
Zrą, nie tak zajuſzeni, iák Iego Zołnierze.
Lecz Zołnierze Phalanta, wytrzymáć nie mogą,
Serce trácą, już bledną, przed śmierćią ták ſrogą.
Ktorą Furya z piekłá z ſobą w ſzyki wlecze,
A wężami, z ſwey głowy zdiętemi, Lud śiecze.
Krew ſię zśiadą w Ich żyłach, ták, że drżące nogi
Unieść żyćia nie daią, w konfuzyi ſrogiey.
Phalant, deſperacyą z wstydem stoi zdięty,
Ręce wznośi do Niebá, przez żal niepoięty.
Aż wnet o bok obáczy Hyppiaſa Brátá,
Ba u nog leżącego (o Iaka mu strátá)
Z ręki mężney Adrasta, o źiemię, przebity
Ten Rycerz padł, y źiemię krwią skropił zabity.
Krew czarną bokiem leie, á z nią duſzę mężną,
Wypuſzcza, ięcząc ćięſzko, przez ránę potężną.

Pha-

Phalant Brátnią krwią zlany, rátować nie może,
Obskoczony ze wszech stron. Tylko woła: Boże!
Obalić go nie mogą, lecz w kilká raz ránią,
Tarcza go śiłá broni, y nie ginie zá nią.
Lecz swych zebrać nie może, y wrocić do boiu,
Bogowie bez pomocy widzą go w tym stroiu.
Iowisz, w kole cnych Bogow, z Olimpu iasnego
Patrzy ná tę záiadłość woyska biiącego.
W Xięgach czyta wyroku, kto y iák ma zginąć,
Wyroku, co odmienić nie może, ni minąć.
Każdy z Bogow nań pátrzy, chce z niego zrozumieć
Ktore woysko dźiś będźie mogło drugie ztłumić.
Aż Iowisz głosem pełnym Majestatu swego:
Widźićie! Kolligáći przychodzą do czego!
Iak blisko już są zguby! iák Adrast wywracą!
Ale mylna nádźieia, y daremna praca.
Złych Ludźi krotkie szczęśćie, y Adrast bezbożny,
Nie będźie áż do końca, w tym zwyćięstwie możny.
Nieszczęśćie Kolligatow, ktore dźiś potkało,
Będźie Im ná náukę; że sekretu mało
Zwykli więc záchowywáć. Patrzayćie co czyni,
Dla swego Telemaka Minerwa Bogini!
Nową sławę gotuie swoiemu uczniowi.
Y tu wszyscy zdumieni, Iowisz nic nie powi,
Iuż więcey. A Philoktet, y z nim Nestor stáry,
Widząc oboz wpłomieniu, y ták czarne chmary,
Do nich się przybliżaią, że się woysko chwieie,
Z Phalantem iuż złomanym, wiedźieć co się dźieie,
Nie podobna, áni go sukkursem rátować,
Więc do broni się biorą, chcąc woysko salwować.
Wszystkim wyniść z obozu, ná gwałt rozkazuią,
Y wyszedłszy z bliskiego ognia, się szykuią.
Telemak, ktory w żalu śiedźiał, pod tę czasy,
Uwalnia serce, z swego frasunku, iák z prasy.
Zbroię y broń przybiera, od Minerwy dane,
Pod Postáćią Mentora, Iemu darowane.
Ktore, Mentor powiadał, że w Mieśćie kupione,
Lecz były od samego Wulkána robione.
Te oręża zaś były, iáko krysztal lśniące,
Y blask ták wydawały, iák promienie słońce.

A ná nich historya, Thebow oblężenia,
Y wszystkiego, Laiusa z Synem, obchodzenia
Edypem wyrazona. Ktory zá przestroga,
Że od Edypa zgubion miał bydź, śmiercią srogą,
Oddał go Pasterżowi, z tákowym rozkázem:
Aby dźiećię Edypa zgładźił z świátá rázem.
Ktory, y nád dźiećiną, będąc zlitowany;
Y Krolá się boiacy, by nie był kárány,
Przebił mu tylko pięty, y zá nie obwieśił,
A sam odszedł od Niego, y do Krolá spieszył.
Dźiećię zá nogi wiszac, tak długo krzyczało,
Że się Pasterza także, w krotce doczekało.
Ten się Forbas názywał, Krolá Koryncekiego,
Zdiął z drzewa, y ożywił Edypa małego.
Y Krolowey Neroppie, co dźieći nie miáłá,
Zániosł, á Tá się w Nim, iák w Synu, rozkocháłá.
Edyp dorozszy, gdy się o tym dowiaduie,
Że nie iest Syn Neroppy, mocno się frasuie.
Po rożnych kraiach ieżdźił, nigdźie nie pośiedźiał,
Aż by się o rodźicach swoich, był dowiedźiał.
Oraculum odbiera: Że Oyca w Phocydźie,
Znaydźie; záraz tam śpieszy, y wto Páństwo idźie.
Tam bunty, záiadłego Pospolstwa, znayduie,
Do ktorego się mięsza; y gdy tam woiuie,
Nie znaiąc Oyca swego Laiusa zábija,
Ktorego to proroctwo, od Syná nie mija.
Tenże w Thebach y Gadźie Sphinxa wytłumaczył,
Y iák się monstrum to Sphinx zábiło obaczył.
Z Matką swoią Iokastą nie wiedząc się żeni,
Bo się Synem Neroppy iák rozumiał mieni.
Tak obmierzłe Małżeństwo kárzą wnet Bogowie,
Y okrutne powietrze ná tyśiącney głowie
Ludu, szerzy się. A on widząc Bogow karę,
A nie wiedząc sam zá co, y nowe y stáre
Obchodźi Oracula, y Xięży się bada,
Kto winien! zá co przyszłá! tá morowa biada?
A ná końiec, strach wspomnieć! táki respons bierze:
Że zá niego Lud skaran iest, wtak srogiey mierze.
Iáki wstyd, stràch Iokasty, tak Edypa żale,
Ktorych znieść on nie mogąc, ni wyćierpieć w cále,

Oczy ſobie wyłupił, á Bogow y Ludźi,
Znieść nie mogąc, chęć w ſobie do puſtyni budźi.
Antygona go Corká, ślepym powoduie,
A dwom Synom z Iokaſty, Tron ſwoy zoſtawuie.
Eteokl y Polinic Synowie ſię zwali,
Rozkazał, by po roku oba panowali.
Ale go nie słuchaią, y ieden drugiemu
Uſtąpić niechce w roku, zły Brat bratu złemu.
Polinic oſzukany, wnet Adraſta wżywa,
Małżeńſtwem z Corką iego, ſukkurſu nábywa.
Z licznemi woyski ćiągnie, pod cne mury Theby,
Co dźień ſtáią potyczki, harce y potrzeby.
Rycerze Greccy nie mniey, tamże ſię zbieraią,
Tak, iáko kiedy Troi walney dobywaią.
Zdrada ſię Euryphili Zony pokázuie
Amphilanſa, ktorey to cnotę Adraſt pſuie.
Ta przekupiona złotem, męża zákrytego
Odkrywa, y pomaga ſrogiey śmierći iego.
Po miedzy ták siłoma Marſa furorami,
Nayſtraſnieyſza okropność, Bráći dwoch z twarzami
Widźieć zágniewanemi; Iák furye z piekłá,
Gore twarz Polinica z Eteoklem wśćiekłá,
Widźieć było tych Bráći, iáko ſię ſzukáli,
Ná miecze, ni ná rány, iáko nic nie dbali,
Káżdy życie ſwe łoży, áby wźiął drugiemu,
Y rázem ie wydźiera ten zły, temu złemu.
Y Iuż leżą ná placu, krew ránámi toczy
Każdy z nich, á ieſzcze iad wybryzguie z oczy.
Y oſtatniey, leżacy dobywaią śiły,
Zeby ręce ſwe we krwi goracey moczyli.
A woyska widowiskiem tym, ſię bić przestáły,
Y kończyć wiktoryi ſromotney niechćiały.
Ná koniec Ich záiádłość, áż do śmierći trwałá,
Y po śmierći ná stośie drew ſię dokończáłá:
Bo ná trupow pogrzebne włożeni ſpalenie,
Niezgodne ſię dźieliły, dym z nich y płomienie.
Y popioły pámiętne ran, co ſobie dali,
Pomieſzać żadną miarą z ſobą ſię niechćiały.
Tę ná zbroi Wulcanus ſztucznie wyryſował
Historyą; Iak żywey káżdy ſię dźiwował.

Ná puklerzu zaś były cney Cerery dźiećie,
Oractwa, tam naucza, tam orze, tam śieie.
Enne, Miásto Sykulskie, tá Bogini miłá,
Naypierwſze ſwym Kośćiołem w świećie ozdobiłá.
Lud Iego w polowaniu tylko, wzwyczaiony,
Zbiera z laſow do rádłá, y pługu, y brony,
Rznąć źiemie uczy. A zaś owoc tákiey pracy.
Geste kopy wydaie, niby z robot płacy.
Y żelazo, co do tad było iák ná ſzkode,
Pożywienia y Bogactw, przynośi wygode.
Nymphy w kwiećie stroione, tamże ſie widźiały,
Iákby przy dudkach Páná, Bozká, tańcowały.
Widźiany był y Bachus wſparty ná winnicy,
Prezentuie ſwe grona wiſzące z maćicy.
Z miłośna cera zbytnie, z oczmi ſpuſzczonemi,
Iak niegdy Aryadne potkał, y zwiodł niemi.
Tamże widźieć y ſtárcow było, dźwigaiacych
Pierwſze źiemi owoce, przed Bogi nioſacych,
Ná ofiáre decymy; tam Meżowie młodźi,
Od roli powracaia, á Zona wychodźi
Z Potomſtwem, ktore głáſzcze, á Meża pośiła.
Paſterze zdrugiey ſtrony (gdy Im służy chwila)
Leżąc, graia na dudkach, á ći ná multankach,
Ci skacza wyżey kozłow, á ći ná kolankach.
Pokoiu obfitośći, pełnie záżywaia,
Ani ſie Lwa y Wilka, nic nie obawiaia.
Ktorzy ieſzcze z trzodami, nie znaiąc to woyny,
Złoty wiek pierwſzy świata znaczyli wdźiek hoyny.
To wſzyſtko, com opiſał, Telemak ná broni
Swey wyryto miał cudney, robote cney dłoni.
Ná ten tumult w obozie, predko ie odźiewa,
A gdy go Mars zápala, y krew ſie rozgrzewa,
Irys Poſeł Minerwy, Tarcze odmieniła,
Samym Bogom Egyde ſtráſzna, podſtáwiłá.
Ktora zámiaſt ſwey własney, chciwy rycerz chwyta,
Wyrwawſzy ſie z płomienia, gdźie bieżeć ! nie pyta,
Lecz ſtánawſzy, ná Wodzow ſtrwożonych zawoła!
Głos y Twarz Iego w ſobie coś Boskiego zdoła.
Utwierdza zaleknionych, á wraz kommenduie,
Iak ſtárzec doskonały, y ſam exeqwuie,

Iáko

Iako młodzian ognisty. Iakby był rozlana
Rzeka, co rwie y brzegi, y łodz ładowana,
Niesie frukt pożyteczny. Bystrość przy rozumie
Mestwo w statku, pokázać, y pogodźić umie.
Philoktet, Nestor, y zaś Narodow Wodzowie
Zebranych, wszyscy patrza, y Manduczykowie,
Uznaia w Telemaku, coś ták poważnego,
Ze rządy swe składaia, przed kommenda Iego.
Iuż stárcow doświadczenie, przezorność, y ráda,
A nawet Naturalna zazdrość, Ich odpada.
Wszyscy milcza, y tego kommendy słuchaia,
Z ktorym pierwszy raz w boiu, y szyku stáwaia.
Idźie on ná Pagorek, z kąd recognoskuie,
Ze Nieprzyiaćiel oboz pali, y plondruie
Bez porządku, y zaraz skupić się nie daiac,
Uderzył w nich, momentu się nie rozmyślaiąc.
A co wieksza tył Im wźiał, gdy już rozumieli,
Ze płomieniem y dymem, naszych ogarneli.
Ten Attak nie spodźiany, Daunow zaraz zmieszał,
A Telemak naypierwszy szyki Ich pomieszał.
Pod srogim mieczem Iego, Iak w ieśieni liśćie,
Leca o źiemie ieczac, ná te strasżne przyśćie.
Usłana trupem źiemia, ktora gryza pyskiem,
Iphiklesa ich Wodza, sam przebił pociskiem.
Syn to był sam Adrasta, co Oyca zasłonił,
Ktory sie iedwo co, przed Telemakiem schronił.
Iphikles, y Telemak, obay młodźi byli,
Piekni, rześcy y meżni, ksobie sie rzućili.
Lecz Iphikles, podobien kwiatowi owemu,
Ktory głowe żelazu daie koszącemu.
Telemak Euphorona wnet potym wywroćił,
Meżnieyszego z Ich Wodzow. Potym miecz obroćił
W Klemenca nowożeńca, ktory był obiecał
Zdobycz Zenie, á on sam, o źiemie polećiał.
Adrast śmierćia Synowska, y Wodzow ták śiłá,
Bolał; Ale tá mu rzecz żałośnieysza byłá:
Ze Phalant umknał, u nog Iego obalony;
Iak bydle przed ołtarzem, gdy go noż świecony
Tylko rznać ma, ućiecze. Iuż o oka mgnienie,
Phalanta śmierć czekałá, y pewne zginienie.

Aż gdy głos Telemaka, w połżywy usłyszy,
Życie mu się przywraca, y Iuż lekcey dyszy.
Daunowie, Telemaká natarćie widzący,
Phalanta odstępuią, y tam gdźie gorący
Miecz śiecze, obracaią, odpor dać potężny,
Adrast się wśćieka, mata, zajuszony, mężny.
Iák kiedy Tygrysowi Bydlę połapane,
Odbijaią Pasterze, nie dba nic ná ránę;
Telemak go sam w hufcach, zewszad pomieszanych,
Szuka, y chociay wkupie żołnierzow wybranych,
Siąga po głowę Iego, y chce skonczyć rázem
Woynę, przez głowy zgubę tey, swoim żelazem.
Ale Iowisz sam niechciał, y Minerwa godna,
Zeby go ta wygrana prędka y wygodna
Potkałá. Chcąc tákiego, ná więcey záchować
Bied, y nieszczęść, by umiał, ná potym krolować.
Tak bezbożny był Adrast prędko záchowany,
Aby Telemak, lepiey był wyprobowany.
Iowisz zebrał obłoki, zakrył Daunow niemi,
Nawet wolą swą głośił, pioruny srogiemi.
Zdało się, że Olimpu sklepy, się rozśiedą,
Y że ná głowach Ludźi mizernych uśiedą.
Błyskawice zaś, chmury, od końca do końca
Rozdźieraią, promienia, y nie widźieć słońca.
Y co raz, to od gromow blasku, bolą oczy,
To wraz noc ćiemna ná świat, á wpuł dnia się toczy.
Do tego, deszczu powodź, ták sroga lunęłá,
Ze obu woysk wraz strona, wbitwie swey stánęłá.
Zázył Adrast tey Bogow pomocy zesłaney,
Lub Ich mocy nie uznał, w tym, zápamiętany,
Y przeto prędką kárę, bezbożny zásłużył,
Ale tym czasem, chwili tey tak dobrey użył.
Spiesżno swoich, przez oboz spalony prowadźi,
Y po między Ieziorem dobrze sobie radźi.
Po między Rzeką w błota, szedł sztucznie tak rzysko,
Ze już wyniść zupełnie, w pola, było blisko.
Kiedy go Kolligaći, Telemaka radą,
Gonić chcieli á deszczow, y błot wielkich wadą
Zátrzymani zostáli. Tak się Im wykręćił,
Iák ptaszek z szpary, czym się Telemak zasmęćił.

Dopie-

Dopiero Kolligaći w oboz się wroćili,
Y szkody reparować ták strászne myślili.
Wchodząc, co naygorszego woyna strászna rodźi?
Widźieli: Ten opalon, ten w swoiey krwi brodźi,
Tych ięczenie, y w Niebá podnieśione głosy,
Ostre lamenty śmierći, áż wstáwáią włosy.
Telemak ukázuie serce wskroś wzruszone,
Odwraca oczy, to wtę, to y wdrugą stronę,
Nie może patrzyć ná te wpuł żyiące trupy,
Ktore, lubo nie chybnie poydą w śmierći łupy,
Iednak w bolu gnić długo, nieszcześliwi będą,
Ktorego chyba przez śmierć pożądaną zbędą.
Nie mogszy łez utrzymać, záwołał płaczliwie:
Takież to rodźi woyna szkody nieszczęśliwie!
Iáki furor! záiadłe Serca wznieca Ludźi!
Czym się Ich ambicya nie potrzebna łudźi!
Y tak, máło żyć maią, á mizerne życie,
Przećie sobie skracaią, przez strászne zábićie.
Zyćie, ktore Bogowie, biedne uczynili,
Ludźie, ieszcze biednieysze, przez woynę zrobili.
Zwierzęta, nie ták ná się okrutne bywaią,
Lwy ná Lwy, Wilk ná Wilka, się nie porywaią;
Ludźie Bráćia są wszyscy, y lub przy rozumie,
Gorzey zwierząt, w swoiey się zábijaią dumie.
Lecz ná koniec; O cożto! woyna krwawa bywá!
Wszak o kray, y o źiemię! ázażże iey zbywa!
Y nie dośćże świat wielki! Niemaszże pustyni,
Ktoreby ośieść mogli, bez śmiertelney winy!
Coż! dla ćienia prożnośći, w sercu woiennika,
Po cáłym świećie, nieszczęść ták śiłá wynika.
By Tytułu Rycerza dostąpił y Páná,
Okrutnemi nieszczęśćmi, źiemia iest skáráná
Przez gniew Boski. Taki człek, ná świat nasz wychodźi,
Ktory wszystkich nieszczęśćia, iák ná smyczy wodźi,
Nasycaiąc swą dumę, chce, żeby psowało
Wszystko się Ludzkie plemię, y we krwi pływało.
Żeby mieczem y ogniem, wszystko się poiadło,
A co z woyny zostanie, żeby z głodu pádło.
Iak to strászne, ieden człek, igrzysko ze świátá
Czyni? ućiecha Iego śmierć, szkoda, y strátá!

Co zá sława bezecna? Kto się nią nie mierźi!
Y iák się táki człowiek, Ludźiom nie obmierźi!
Darmo się puł Bogami, tácy Ludźie zowią.
Darmo wiekow pamięćią, y chwałą się łowią.
Ani Ludźmi się názwać, tácy nie powinni,
Y wszelki, kląć nie chwalić, Tych Tyrannow winny.
O! iak Krolom uważać, gdy woyny wszczynaią,
Potrzebá, ieśli słuszność z swoiey strony maią!
Y to nie dość! Aż chybá niezbyta przyczyna
Przyćiśnie; wtedy woynę niechay Krol poczyna.
Krew poddanych wylewać, chyba wten czas trzebá,
Kiedy obronę, sáme nákázuią Niebá.
Ale rady pochlebne, wysokośći duchy,
Prożne emulacye, nábyćia potuchy,
W pretexty się ubrawszy, cney spráwiedliwośći,
Pędzą Krolow do woyny! ách nieszczęśliwośći!
Y puszczaią Ich ná los, strácenia wszystkiego,
Z nieszczęściem swoim, y wraz Pospolstwa cálego.
Ták Telemak rozmawia, y nie dosyć maiąc,
Opłákiwać woynę, chciał rátować, rozdaiąc
Lekarstwa, Prowianty, po między ránionych,
Sam biegał po sałászach chorych opalonych;
Hoyny, pieniądze dawał, ćieszył y rátował,
Posyłał, wszędźie znaki litośći skazował.
Między Kreteńczykami, á zpod władzy Iego,
Było dwu stárcow; zwano Transmophil Iednego,
A drugiego Nosophus; Pierwszy był pod Troią,
Tam się lekow náuczył; Ten náuką swoią,
Siłu pomogł, y w rany nayglębsze nálewał
Oleyki, nimi bole y puchlinę zbywał.
Nie zrzynaiąc ogniłe y puł trupie ćiałá,
Leczył, że się nie wiedźieć gdźie ráná podźiáłá.
Nosophus, Eskulapa, lub nie znał nauki,
Ale Księgę miał święta, tegoż Bogá sztuki.
A przytym, był nábożny, y cnym Bogom miły,
Hymny pisał ná cześć Ich, poćiechą Im były.
Co dźień Apollinowi báránká białego
Zárzynał ná ofiáry; często od ktorego
Natchnienia święte miewał, że ledwo obaczył
Chorego, poznał, y wnet uleczyć go raczył.

Wiedźiał

Wiedźiał on z komplexyi, czy mu dać ná poty,
Drugim dawał nápoie, Niebieskiey roboty.
Ze nie tylko on chorych, z chorob wyprowadźał,
Ale ſtárych, kaleki, iakby Ich odmładzał.
To zaś mądrze on twierdźił: że Ludzkie niecnoty,
Trzymaią w cenie wielkiey, Lekarskie roboty.
Dobre on obyczaie (mawiał) dobre zdrowie
Czynią, á zaś roskoſzy, ſą niby Posłowie,
Po chorobę y Leki, wſtyd Ludzkiey roſpuſty,
Ieſt choroba, do ktorey pedźi umysł tłuſty.
Rozpuſty, ile potraw miękkich wymyślaią,
Tyle chorob y kalectw, ſobie przyczyniaią.
Roskoſzy, więcey rodzą chorob niezliczonych,
Niż lekow, by naymędrſza głowa, wymyślonych.
Ubodzy co mniey iedzą, mniey też y choruią,
A Bogaći, roſpuſtni, ſami ſię zaś truią:
Bo nad potrzebę wźięta, każda rzecz z potrawą,
Szkodą ieſt śił natury, á nie iey poprawą.
Ale y leki ſame, náturze zaſzkodzą,
Dobrego nie zoſtawią, kiedy złe wywodzą.
Y tylko w nagłym raźie, w ſztychu nie odbitym,
Lekarſtwo bydź powinno, y Doktor zážytym.
Naypewnieyſze recepty, te trzy rzeczy mawiał:
Pierwſza, skromność w roskoſzach y potrawach ziawiał,
Druga ſpokoyność myśli, chući ſerca, trwałá,
Trzećia agitacya, y robota ćiáłá.
Te (rzekł) prezerwatywy, dobrą krew wnas rodzą,
Te humory przećiwne, z ćiał naſzych wywodzą.
Tak Noſophus roſtropny, więcey radą leczył,
Y w skromnośći, nie w lekach, zdrowie Ludzkie cwiczył.
Bo uprzedzał tą radą, wſzelakie choroby,
Ze zaś nie przychodźiło, y do lekarſtw proby.
Tych dwoch Ludźi Telemak, po woysku rozſyłał,
Wraz leki, iák y zdrowie, tym chorym poſyłał.
Bo więcey ſwą praktyką, niż leki, leczyli,
Ochędoſtwa y potraw zgodnych, Im życzyli.
Tak, że Im, nie lekarſtwom, powinno ſię było;
Iak ſię zaś Telemaka, tym Imie wsławiło!
Iak Bogom dźiękowali, Zołnierze zleczeni!
Ze tym pośiłkiem, z śmierći ſą wyprowadzeni!

Nie ieſt ći to ten człowiek (z ſobą rozmawiali)
Ale to nam w poſtáći, Bogowie przysłali
Boſtwo dobrze czyniące. Ieśli zaś człowiecze,
Ma iſtoty? to ieſt dźiw! Bo ieżeli śiecze
Nieprzyiáćioł nad drugich; To zaś y w hoyności,
Przechodźi Bohatyrow, y w ſerca litośći.
Gdyby go nam zá Krola, dobre dały Niebá!
Lecz go pono ſzczęśliwſzym, niźli my, potrzebá,
Ktorych bárdźiey Bogowie, niźli nas kochaią,
Ná odnowę złotego wieku, go chowaią.
Telemak, ktory ſtráże obchodzywał w nocy,
Słyſzał te chwały, droźſze przeto, że nie w oczy.
O iák to Iego ſerce, więc kontentowało!
Ani mu ſię pochwały Inſzey, kiedy chciało.
Wtey on ſobie ſmakował, ktorą cnota daie,
Y ktorey to niepráwość, złym poczuć nie dáie.
Ale ſię zápominać nie chciał, wtakim ſmaku,
Y nie tylko ztąd pychy, nie dáwał poznaku,
Lecz ſobie ſwoie błędy, ná myśli przywracał,
Zeby pychy paſſye, w ſercu ſwym wywracał.
Iáko gardźił więc Ludźie, iáko ſię wynośił,
Zdźiwem, że pyſzne ſerce, y łáskáwe nośił.
Raczey chwały, Minerwie, ſwoię przypiſował;
Tyś to wielká Bogini (częſto wykrzykował)
Ty, coś mi to Mentora, zá Miſtrza przydáłá,
Ktoraś krnąbrną náturę, we mnie poprawiáłá,
Mądrą Iego náuką. Tá teraz ſpráwuie,
Ze uznaię ſwe błędy, gdy ſię popráwuie.
Ty Impet y páſſye ſtrzymuieſz wodzami,
Ty litość nad ránnemi daieſz Zołnierzami,
Y ſmak w tákiey usłudze, y w tákiey pochwale,
Daieſz, Bo bym bez ćiebie, nienáwidzon cále,
W woysku wſzyſtkim zoſtawał, y bez ćiebie dawno,
Byłbym dźiećię bez Mátki, bez podpory iáwno.
Philoktet y z Neſtorem, bardzo ſię dźiwili
Odmianie Telemaká, gdy ná nią pátrzyli.
Ze ták prędko uprzeymym, ćichym, y uczynnym.
Łáskáwym, y usłużnym, widźieli go Innym.
Ták, że go, co był przedtym, y nie poznawali,
Ale naybardźiey nad tym, ći ſię dźiwowali:

Ze ták wielkie ſtáránie, o pieknym pogrzebie,
Hyppiaſa, ſam czynił, co zginął wpotrzebie.
Sam bowiem poſzedł ná plác, y z pomiedzy trupá,
Wyniosł udeptanego, krwawego tułupá.
Wylewał łzy nabożne, nad zábitym ćiáłem,
Wieſz [mowiąc] wielká duſzo! iák ćie ſzacowałem;
Prawda, że twoia pycha, nas byłá zwádźiłá,
Ale to były, młodych nas, Impetow dźiełá.
Wiem, iák śiłá wybaczyć potrzebá młodośći!
Zylibyśmy w przyiaźni byli, y iedności.
Zgrzeſzyłem y Ia, Czemuż! teraz go bierzećie
Bogowie! y w ták godnym, y ták młodym lećie.
Potym, kázáł Telemak, wonnemi wodkámi
Obmyć ćiáło, y ſwemi ſtáwiał Zołnierzami
Stos drew; już Soſny walą, Topole y Demby;
Te ſtáre borow dźieći, co ná wiatry zemby
Ukázuią; Te mowie; z gory obalone,
Nad Galezem, cną rzeką, w oboz ſą wnieśione.
Sztucznie ten ſtos skłádaią, y ná kſztałt budynku,
Dla wieczney chwały duſzy, á ćiáłá ſpoczynku.
Pokázuie ſie płomień, czarny dym wyniká,
Serce Lacedemonow, żal ſrogi przeniká.
Ktorzy to, małym krokiem, pod ſtos podſtepuią,
Spuſzczoną bronią żal ſwoy, ná twarzach maluią.
Y co dźikośći pełne były Ich wiec oczy,
Teraz káżdy z nich, łzami ćiężkiemi ſie moczy.
Ná końcu Ich Pherycyd ſzedł, nie mniey látámi
Przyćisniony, iáko ſie troſzczący żalami.
Nie mogł znieść ten to ſtárzec, że co go wychował,
Przeżył go, y że bedźie ſwego ucznia chował.
Od śmierći Hyppiaſa, ſnu nie znał, iedzenia,
Rece wznośił do gory, ledwo tchnął z łeczenia.
Drżącym krokiem, zá pompą cáłą poſtempował,
Sam nie wiedząc kędy ſzedł, á żal go hamował.
Uſt ſwoich nie otworzył, á ſercem ściſnionym,
Lamentu dopomagał ſzczerze woyskom onym.
Ale gdy już obaczył ſtos, już goreiący,
Wdeſperacyi wołał, tam blisko ſtoiący:
Y już ćie Hyppiaśie, nigdy nie obacze,
A ſam żyie, y tylko darmo twą śmierć płácze?

Iam ći to śmierć tę żądał, kiedym ćię náuczył
Lekce ważyć postrzały, y w woynęm ćię wuczył.
Iam się Spodźiewał, żeś ty miał ostátnie duchy
Moie zebrać, że zámkniesz oczy me! Otuchy.
O Prożne moie? O wy! okrutni Bogowie!
Zebym przeżył Hyppia, dáliśćie mi zdrowie.
O kochany moy uczniu! Iuż ćię nie obaczę!
Lecz Mátkę twoią uyzrzę! ná co biedny płáczę.
Ktora mi śmierć wymawiać twa będźie żáłosna,
Iáká nowina, Zenie twey, będźie nieznośna!
Mátká umrze od żalu! Zona od frasunku!
Kto mię poćieszy! w żalu tákiego trafunku!
O duszo wielka! racz mię nad styx wołáć z sobą!
Niżli żyć z Ludźmi, bardźiey wolę umrzeć ztobą.
Y to też tylko żyię, abym twe popioły,
Hyppiaśie! łzą skropił, y z woyskiem ná poły.
Ciało Hyppiasowe, ná marach pokrytych
Purpurą złotem tkáną, Rycerzow pobitych
Maniera, nieśiono. Smierć ktora zgaśiłá
Oczy Iego, cale mu wdzięku nie zmnieyszyłá;
Bladą twarz, czarne oczy dźiwnie ozdobiły,
Y nie mniey iák Ganimed, lub Atys był miły.
Ranę w boku znać było, ktora dusza wyszłá,
Y pod berło, ćiemnego Plutona, już przyszłá.
Smutny záráz Telemak, szedł zá godnym ćiáłem,
Y kwiáty nań wyrzucał, swym trybem wspaniałem.
A kiedy go ná stośie, zwykle położono,
Y stos pochodnią smutną, srogi podpalono,
Łez Telemak nie wstrzymał, y z płáczu postáwy,
Zawołał: Hyppiaśie! Badźże już łáskáwy!
Nie śmiem ćię przyiáćielem nazwać; lecz ty! duszo
Wspaniała! odpuść zwady, co mię dotąd suszą.
Ty coś tak wielkiey sławy, twą śmierćią nábyłá,
Zazdroszczę ći, żeś z życiem, biedy Ludzkiey zbyłá.
Nie mogłaś ty pieknieyszą, wyniść z świátá drogą,
Y Iá nie inszey pragnę, tylko przez śmierć srogą.
Niechayći styx twey drogi wiecey nie támuie,
Niechay Pol Elizeyskich gośćiniec toruie.
Niechay pámięć ná wieki trwa twoiego boiu,
A popioły niech leżą, we czci y w pokoiu.

Ledwo te słowa skończył, przerwane wzdychaniem,
Aż y woysko krzykneło, nie małym wołaniem.
Zal srogi, Hyppiasa czyny, do pamięći
Podaiac, mile wzbudzał do niego, Ich chęći.
Ale niczym zaś bardźiey sie nie poruszyli;
Iáko kiedy ná afekt Telmaká pátrzyli.
A tenżeto [gadali] Greczyn ták zuchwały!
Wzłośći, w pysze, w kontempćie drugich, sam tak smiały!
Oto teraz tak dobry, ćichy, Ludzki, stáie!
Znać Minerwa go mieniac, inszy umysł dáie!
Y co Oycá Ulissa iego ták kochałá,
Znać mu z mestwem y mądrość, y Ludzkość nádáłá.
Záprawdę nie masz daru, iák uprzeymość razem,
Y Ludzkość przyiáćielska, z mestwem y żelazem.
A gdy płomienie ćiało, y z stosem pożarly,
A popioł zostáwiły, kiedy kośći ztarly;
Telemak wonną wodką, popioły poliwa,
Y złotey urny, kwiátem wieńczoney, dobywa,
Wnią zebrane popioły iák depozyt drogi,
Do Phallanta odnośi. Ktorego bol srogi,
Zran y z żalu, położył ná śmierći pośćieli,
Tak, że go zá bliskiego zeyśćia z świátá mieli.
Iuż Transmophil, Nosophus do niego Posłani
Od Telemaka, dobrze opatrzyli rány;
Y duszę wychodzącą prawie, zátrzymali;
Nowe śiły y duchy w sercu odradzali.
Odwilżał te, ktore już w poł uwiedłe były,
Drogi balsam, przechodząc po krwi, y przez żyły.
Práwda, słábość śmiertelna już ustępowałá,
Ale boleść ostrzeysza, z żalu powitałá;
Dopiero strátę Brátá począł czuć mizerny,
Ktorey nie znał, z słábośći, do tych czas niezmierney.
Ach ná coż tym stáraniem, przywracać mi życie!
Ktorybym wolał prędkie, y letkie dobićie.
Chce sie iść zá mym brátem! Hyppiaśie bráćie!
Widźiałem śmierc twą w oczach! godźisz sie! po stráćie
Takiey, mi żyć! Ozdobo kochana y miłá!
Także woyna, ćie widźieć, już mię odsadźiłá!
Iuż ći swoich ia żalow, wiecey nie powierzę,
Ni twoich nie odbiorę, gdy mi ćię śmierć bierze.

 O Bogo-

O Bogowie okrutni! wźieliśćie mi Brátá!
Ale czy to nie ieſt ſen? nie! iáwna to ſtrátá.
Stráćilem Hyppiaſa; ále kiedy żyię,
Nie umrę, áż śmierć, we krwi twych záboycow, zmyię.
Twoiey duſzy ofiárę, z Adraſtą uczynię,
Albo on twą krwią zmyty, albo moia zginie.
Gdy Phalant temi słowy, gorzko lamentował,
Doktorowie go proſzą, by zdrowia nie pſował.
By żal alteracyi, ranom nie przydawał,
Y przeſzkody Lekarſtwom dobrym, nie zadawał.
Wtedy właſnie, Telemak przychodźi do niego,
Aż paſſye przećiwne uderzą ná niego.
Gniew zá to, co ſię ſtáło świeżo miedzy niemi,
Z żalem, że Brátá liczy między umarłemi;
Tu zaś wdźięczność, że żyćie był Telemakowi
Winien, kiedy go wydarł z rąk był Adraſtowi.
Ale kiedy obaczył urnę, w rękach Iego,
Wypuśćił cugle żalom, y łzom ſerca ſwego;
A nie mogąc przemowić, śćiſnął Telemaká,
Y chlipaiąc rzekł słabo: O cnota to iaká!
Twoia, Synu Uliſſa! ta gwałt we mnie czyni,
Ze ćię kochać już muſzę, zápomniawſzy winy.
Reſztę żyćia moiego, ktore to już gaśnie,
Winienem ći; lecz więcey, winienem ći właśnie,
Ześ wyniosł ćiáło Brátá z pobojowiska,
Że krukom ſię nie ſtáły, z onego paſtwiska.
Bez ćiebieby on nie miał pogrzebu słuſznego,
Y duſzą muśiáłáby błądźić wpiekłach, Iego.
Od Charona nad Styxem, byłby odepchnięty;
A teraz już rozumiem, między święte wźięty.
Czy trzebaſz, ábym winien był temu tak śiłá?
Ktorego mi oſobá byłá tak nie miła.
Bogowie mu nadgrodźćie á mnie uwolniyćie,
Kiedy mi tak obmierzłe już ſię ſtáło żyćie.
A ty zaś Telemaku, żebyś sławę pełną
Miał, pogrzeb mię iak Brátá, w uczynność zupełną.
Wte słowa Phalant umilkł, żalem przytłumiony,
Bolem y żalem słaby, prawie zwyćiężony.
Telemak nic nie mowił, áż ſobie odpocznię,
Stał tylko; alić Phalant Urnę nie odwłocznie

Wźiął

Wźiął od niego, łzami ią skrapia, y cáłuie.
O! wy drogie popioły! (znowu lamentuie)
Kiedyż moie, zwaſzemi ſię też pomieſzaią!
Czemuż mi Hyppiaśie! iść z tobą nie dáią!
Poydę, poydę, za Tobą! á nas obu Bráći,
Pomśći ſię cny Telemak, y zá nas zápłáći.
Tym czaſem, co raz lepiey Phalant ozdrowieie,
Co ſię wſzyſtko lekami tych dwu Ludźi dźieie.
Ktorych to animuiąc Telemak uczynny,
Nie odſtąpił od łożka, iakby był powinny.
Woysko zaś, tey dobroći w nim, ſię dźiwowało,
Nie mniey zá cud uczynność, po Ich zwadźie miało,
Nie mniey to, niż odwagę, y radę sławiono,
Ktora wygrał partyą, już prawie ſtrácona,
Przećiwko Adraſtowi. Telemak tym czaſem,
Z takim żył, nie ſtrudzony, w obożie niewczaſem,
Tak woienny Tryb znośił, że ſypiał nie wiele,
Y to ſnem przerywanym, bo w ubranym ćiele,
To przez tych, co uſtawnie nieśli wiadomośći,
To ſam y wdźień y w nocy, dla żywſzey czuyności,
Rewiduiąc kwatyry, y obchodząc ſtráże,
To gdy iednych ſam słucha, to gdy drugim każe.
Nigdy w Iedną godźinę, iednych nie nawiedzał,
Aby z nich, kiedy przyjdźie, żaden nie przewiedźiał.
Okryty prochem zawſze, powracał y potem,
Do námiotu ſwoiego, z trudem y z kłopotem.
Iadł mało, y po proſtu; á żeby Zołnierze
Cierpliwośći náuczył, ſuchar często bierze.
Bo y woysko, o male, tam maiąc żywności,
Trzebá było, przykładem wieść Ich, do skromnośći.
Ciáło iego tym żyćiem, áni osłabiało,
Ale raczey, męznego wigoru nábrało.
Delikatność już z Twarzy, práwie ustąpiłá,
Ale męska y twardſza płeć, w nim ſię czyniłá.
Y członki ſię zmocniły; z młodźiana ślicznego,
W męża ſię już obracał, hożo on, śilnego.
A tym czaſem zaś Adrast, nadtraćiwſzy Ludźi,
Zá gorę Aulon skrył ſię; Ieſzcze w ſobie budźi
Nadźieie poprawienia. Rożnych oczekiwa
Pośiłkow, y ſpokoynie ſobie odpoczywa.

Aby znowu uderzył ná nieprzyiaćiele,
Rożne robi koncepta, y Imprezy śćiele.
Podobien Lwu głodnemu, kiedy mu pasterze
Odbija łup porwany, znowu ſię doń bierze.
Y lubo w laſy ćiemne, idźie, y w iáskinie,
Zeby ostrzy, áż znowu zwyćięży, lub zginię.



TELEMAKA XIĘGA OSMA

SUMMARYUSZ KSIĘGI OSMEY

TElemak ſtráſznemi ſnami wzruſzony y pomieſzany, ktore go ſtráſza, iákoby Oćiec Iego umarł: Dowiaduie ſię, że ztamtąd gdźie był, nie daleko ieſt Iaskinia; ktorą wniść może do piekłow. Odważa ſię tam iść, y bierze z ſobą dwu Grekow w kompanią. Przybliźaią ſię do tey Iaskini, y odſtępuią Telemáka, lękaiąc ſię mieyſca tego. Sam Telemak wchodźi wtę Iaskinią, y przychodźi nad brzeg czarny, kędy záſtáie Charona, ktory go

przyjmuie

przyjmuie, maiąc w swoiey łodźi, Iednego okowanego Krolá Bábilońskiego. Telemak przychodźi do Piekłow w ten czas, kiedy Minos sadźił Iednego Krolá Philosopha, ktory nic złego nie uczynił, áni też dobrego, dla miłośći Bogow. Telemak potyká się z Pigmalionem y Astarba, ktorzy sobie wzaiemnie wymawiaią. Znayduie sławnych winowaycow, przy roznych Ich mękách. Przechodźi z tamtąd ná polá Elizeyskie, gdźie zástáie Sesostra w gaiu kwiátow, y Phisistráta swieżo zmárłego. Ná koniec, Arcesius Oćiec Làérta, á Prádźiad Iego, poznaie krew swoią w nim, y podobieństwo Familiey ná twarzy; zátrzymuie go, y powiada że Ulisses nie umarł, y że go obaczy y oyczyznę swoią. Cieszy go, y daie mu do podźiwienia, szczęśćia niektore pol Elizeyskich.

TElemak, *w* ten porządek, gdy woysko wprowadźił,
O pewney sam Impreźie, y myślił, y radźił.
Chcąc ią przywieść do skutku, tak ią w sobie chował,
Ze żadnemu z swych wodzow, iey nie rewelował.
Sam zaś, od nie małego, sturbowany czasu,
Przez sny o Oycu swoim, nie miał nigdy wczasu.
Bo Obraz Ulissesa, w káżdey nocy końcu,
Gdy Iutrzenka rozgania noc, przodkuiąc słońcu,
Záwsze mu, senna mara, roznie wystáwiáłá;
Pod czas mu go nágiego, wpuszczy málowałá,
Iak by ná łące Oćiec stáł, ow Oćiec miły,
A Nymphy go, sukniami swoiemi, stroiły.
Pod czas mu się zaś zdało, że w złotym páłácu,
Ludźie w kwiat uwieńczeni, maiąc go wpuł placu,
Zwielkim gustem y dźiwem, słuchali onego.
Czesto go widźiał przez sen, bankietuiacego,
Gdźie roskoszy, potrawy wyborne, czyniły,
Y muzyki dawały koncert, dźiwnie miły.

Telemak ſię ocknawſzy, ſnem ſię tákim ſmućił,
O moy Oycze kochany (tak ſobie z tąd nućił)
Wolałbym wſnach ſtráſznieyſzych, niż ćię wpięknych zoczyć,
Bo z tey muſzę poſtáwy, ſmutne myśli toczyć.
Rozumieiąc żeś umarł; y że twoię duſzę
Bogowie koronuią (czym ſię ſmęcić muſzę)
Y że tą chwałą, w ktorey, przez ſen ćię widuię,
Ieſt nadgrodą twey cnoty, y ztąd ſię fraſuię:
Ze ćię widźieć nie przyjdzie, o Oycze kochany!
Nie będźieſzże odemnie, więcey już widźany!
Y ściſnąć ćię nie przydźie, wierny Bogow sługo!
Z takim niebeſpieczeńſtwem, ſzukawſzy ćię długo.
Y jużże Ia z twoich uſt, nie usłyſzę słowa!
Z ktorych nigdy nie wyſzłá, tylko mądra mowa.
Y jużże! y twoich rąk nie będę cáłował?
Ktoremiś pyſzną Troię, walecznie zwoiował?
To już te twoie ręce, Mátkę mą ubogą,
Od Importunnych gachow, uwolnić nie mogą.
Bogowie! Oycu memu, cale nieprzyiaźni,
Te mi ſny poſyłaćie, dla więkſzey boiaźni.
Wydźieraćie nádźieię, życie wydźieraćie,
Iuz mię pono, o pewney śmierći, upewniaćie.
Więc poydę y do piekłow, choć zſtráchem zginienia,
Szukać będę tam Iego, y duſzy, y ćienia.
Thezeuſz, zła Imprezę, ná piekielne Bogi,
Lubo miał, y uraził Ich majeſtat ſrogi,
Przećie wyſzedł; Ia zaś tam, idę z pobożnośći.
Wyſzedł ztamtąd Herkules, ktorego dźielnośći,
Lubom nie rowien, iednak, zá iego przykładem,
Godźi ſię poyść, y kroku, Bohatyrſkim śladem.
Orpheuſz, przed Plutona, niezbłaganym tronem,
Wyśpiewał Eurydikę ſwą, płaczliwym tonem;
Iam bardziey, niź Orpheuſz, godźien zlitowania,
Bo ſtrátá ieſt więkſzego, moia ſzacowania.
Kto bowiem, młodą Zonę, może komparować!
Z Oycem moim, co go nikt nie mogł dość ſzacować.
A zátym, idźmy śmiało, mężnie go ſzukaymy,
Y ieżeli potrzebá, w prácy umieraymy.
Czegoż ſię śmierći mam bać! kiedy ćierpię! Zyćia
Dobrego, nic w młodośći nie znaiąc, zpowićia.
Pluto-

Plutonie! Proſerpino! Bogi wpiekłach skryći!
Sprobuię wnet, Ieśliśćie ſą tak nie użyći!
Oycze moy! ktoregom Ia ſzukaiąc, świat zbiegał;
Obaczę, czyś ſię Páńſtwa śmierći, nie ubiegał.
Ieżeli mi Bogowie odmowią, ná świećie
Widźieć ćię! To przynaymniey w ćieniu, obaczę ćię.
Tak mowiąc cny Telemak, pośćiel łzami rośi,
Porywa ſię, y troski ná świátło wynośi.
Rozrywa świátłem żale, co mu ſny nábiły,
Lecz darmo, tkwi iák ſtrzała, Oćiec w ſercu miły.
Nie daleko obozu, było mieyſce sławne,
Iaskinia Acheronta, maiąc Imie dawne;
Bo przez nią, ná Acheront, rzekę piekł, ſchodzono,
Ktorey y Bogow ſamych, wſpomnieniem ſtráſzono.
Więc tamtędy Telemak, ſpuśćić ſię zamyślił,
Kiedy o Oycu ſwoim, uſtáwicznie myślił.
Miaſto tam ná wierzchołku, zbyt wyſokiey skáły,
Iak kiedy ptak ná drzewie, gniazdo miewa máły,
Leżało; á pod ſpodem, tey gory ſtráſzliwey,
Iaskinia byłá, ktorey Lud ſię bał trwożliwy.
Paſterze odganiali ſwe trzody z daleká,
Bo dymy wypuſzczałá ſmrodliwa paſzczeká;
Dymy Styxu ſtráſznego. A w koło pieczary,
Nie rosł kwiat, áni trawa, przez wieczne pożary.
Zephiru áni pytay, Wioſny y Ieśieni,
Iak Powietrze okropne, ták źiemią niemieni,
Zawſze ſtraſzna y ſucha, tylko zćiernia krzaki,
Y Cypryſſy, śmiertelnych nie płodnośći znáki.
Y o podal, ni Ceres, ni Bachus obfity,
W darach ſwoich owocow, nic nie był użyty.
Smutne z źrzodeł Neiady, wody nigdy czyſtey
Nie láły, tylko mętny Potok, nie zroczyſty.
Ptak nie miał gdźie y uśieść, nátákich bodakach,
Ani śpiewał, przy takich, ſmutku, ſtráchu, znakach.
Na wolnieyſze powietrze, miłoſne ptáſzętá
Lećiały, tylko krucy wte biegli zákrętá.
Sowa, krzykow fatalnych, tam tylko dobywa,
Ani ſię Paſterz, z ſwoią piſzczałką, odzywa.
Gorzką trawą paśione, powracaią trzody,
Byk ſmutny, baran nędzny, y zwierz bez wygody.

Z tey to tedy Iaskini, dym czarny wychodźił,
Ktory często, o puł dnia, noc ćiemną przywodźił.
Ludźie, *w* koło mieszkańcy, ofiáry dawali,
Często Bostwom piekielnym, ktorych się zbyt bali.
Ale te, y ofiárą wżdy nie ubłagane,
Zarazę spráwowały, ná serc Ludzkich ránę.
Kiedy iedni mrzeć muszą, á ći, co zostali,
Strátę swoich, gorzkiemi łzami, opłakali.
*T*am tedy to Telemak, ćiemnego mieszkánia
Plutona, iął się szukać; do czego stáránia
Minerwa przyłożyłá, co go pilnowałá,
Y wprzod łaskę Plutona, iemu ubłagałá.
Y spráwiłá, że Iowisz nakazał do niego,
Przez Merkura, co bywa codźiennie u niego,
Wydaiąc pewną liczbę Ludźi, Achronowi,
Zeby nie bronił, y był rad Telemakowi.
Telemak się z obozu, wtym w nocy wykrada,
Po Mieśiącu swe kroki, ku Iaskini skłáda.
To Bostwo co mu świeći, iest *P*lanetą *w* Niebie,
Ná źiemi cną Dyaną, Hekatą zaś śiebie,
W *P*iekle zowie. Tey y to on, modlitwami wzywa,
Wysłuchany zostáie, choć to rzadko bywa.
Bo ta ná serce iego Bogini weyzrzałá,
Ktorym miłość Oycowska, pobożna władałá.
Ledwo doszedł Iaskini, áż zaraz usłyszał
Grzmot, ryk, y iakoby już, piekielny kray dyszał.
Ziemia drzy pod nim, *P*iorun, z Błyskawicą srogą,
Nie zwyczayną, Młodźiana nábáwiaią trwogą.
Zimny go pot oblewa, gdy ledwo nie mdleie
Męstwo go utrzymuie. Woła co się dźieie!
Wielcy Bogowie kończćie, zá dobry znak biorę,
Gdy z rąk waszych, bez szkody, strach mam y podporę.
To mowiąc, wskoczył chyżo, w chmarę dymu gęstą,
Od ktorey zwierz ućiekał, y z niey zdychał często.
Ten dym zniknął, y ow smrod ustał zaraźliwy,
A Telemak wszedł w Kryptę, ieden y szczęśliwy.
Dwu Cretenczykow było, z obozu znim wyszło,
Y z nim áż ku Iaskini tey Fatalney przyszło;
Ale w Kośćiele bliskim, połżywi zostáli,
Wota zá Telemaka, Bogom oddawali.

Tele-

Telemak, z mieczem w ręku, przez dym się przedźiera,
Y w ćiemnośćiach daleko, coś świátłá uźiera.
Uważa umbry, letkich dusz, tam latáiących,
Ogania się swym mieczem, mija nieszkodzących.
Aż w krotce y nad Rzeką smutną, zgniłą, stawa,
Gdźie moc dusz niezliczonych, ná brzegu zastawa.
Te to są, co pogrzebow ná źiemi nie miały,
Ktore Charon okrutny odgania zstarzały.
Ktorego wieczna stárość, czyni nie użytym,
Gdy ie odgania, stáwa Telemak zaś przytym.
Ale go zaraz Charon, do łodźi przyjmuie,
Tam się on iedney umbrze, dużo przypatruie.
Ktora to bez przestanku, á mocno wzdychałá,
Y okazya, o co! w spytanie mu dałá.
Tá umbra ták odpowie: Iam Krol Babilona
Był ná świećie, á Imie Nabopharzáona,
*Pysz*ne miałem, ná ktore, wszystkie wschodnie *Pa*ństwa
Drżały. A Pycha przyszła, do tego zuchwalstwa
Zem iák Bog, adorować kazał, w Babilonie,
W Kośćiele, w ktorym *Po*sąg moy, wzlotey Koronie
Stał; y przed ktorym kádźić muśiano, w dźień, w nocy,
Nikt mi się nie sprzećiwił, áby moiey mocy
Nie sprobował, y káry; káżdym dowćip śilił,
Aby nowa roskoszą, wiek moy był pośilił,
Ieszcze młody y śilny. Ach! com nie zamierzał
Zá roskoszy w mym żyćiu! Lecz tá, com iey *wi*erzał,
Y com ią kochał Zoną, żem nie Bog dowiodła,
Kiedy mię truiąc, o śmierć tak nagłą, przywiodła.
Wczoray mię, z Pompą wielką, Pańsko pogrzebiono,
Wzłotey Urnie, popioły y moie złożono,
Y wrzekomo płakano, y targano włosy,
Ale to nie prawdźiwe, y zmyślone głosy.
Nikt mię szczerze nie płácze, áni mię żáłuie,
A tu już od sumnienia, swe zgryzoty czuię.
Telemak, *widowiskiem* tákim, (rzekł) dotkniony,
Byłżeś kontent prawdźiwie, zá twoiey Korony!
Y Páństwem twym szczęśliwy? miał żeś pokoy miły!
Bez ktorego nic roskosz, wszystkie serca śiły
Ustáwaią, bez niego! Babilończyk rzecze:
Y niewiem co to zowiesz; To wiem, że ná świećie,

Madrzy, ten Pokoy wáża, iák dobro iedyne,
Alem go nie znał. Owszem (wyznawam mą winę)
Serce moie ustáwnie, pałało pragnieniem,
Tego zaś dostąpiwszy, prędkim uprzykrzeniem.
To, boiaźnią, nádźieią, ustáwnie się chwiało,
Y chociem go nasycał, záwsze mu się chciało.
Chciałem się już upoić, swemi passyami,
Stárałem się zábáwiać, dźień, noc, roskoszami,
Ale y moment ieden, kiedy ich nie było,
Chciwość, álbo tesknotę goretszą czyniło.
Tákiegom iá Pokoiu, ná świećie záżywał,
Inszy ia mam zá baykę, ánim ia go miewał.
Tych stráconych dobr płaczę. A to gdy powiada
Ow Krol, okrutnie płácze, y w łzach się rozśiada.
Iáko prożniak, roskoszą brzydką, rozmiękczony,
A ná nieszczęśćie, iák Mąż, nic nie utwierdzony.
Przytym Krolu zaś, kilku niewolnikow było,
Ktorych, ná Pogrzeb iemu, Tyrańską to śiłą
Porznięto. Tych Merkurus, z Krolem, Charonowi
Oddał; á táką daiąc moc Niewolnikowi,
Iaką Krol miał nad niemi, zá żywota swego.
Ci trzymali w łáńcuchu, już ukowanego.
Ci Nabopharzaóna, gdy się już nie boią,
Złośći mu wyrządzaią, y nie godnie stroią.
Ieden mowi: Azażże, my Ludźie nie byli,
Iak ty! y nie tąż drogą, ná świat przychodźili!
Ześ się Bogiem ty czynił! ná to nie pamiętny,
Co ćię teraz potkało! o biedny y smętny!
Drugi rzekł: Dobrześ trzymał, żeś nie był Człowiekiem;
Boś nie Ludzkie był monstrum, prożnośćią nie mlekiem
Karmiony. A zaś inszy: Gdźie zausznicżkowie
(Rzekł) twoi się podźieli! nikt Bogiem nie zowie;
Bo niema co wźiąć z ćiebie, anić dać nędzniku!
Nie ma co, niewolnikow twoich, niewolniku.
Bogowie byli troche, z kárą twą leniwi,
Ale teraz uznaiesz, że ią ná ćię żywi.
Ná te ćięszkie wymowki, ow Krol utrápiony,
Rwał włosy, wył, matał się, w káżde ćięszko strony.
Albowiem, Niewolnikom, Charon rozkázywał:
Trzymayćie go, by wstydu z żalem nie ukrywał.

Niech

Niech wszystkie umbry Styxu, ná to tu patrzaią,
Ze Bogowie, Tyrannom pysznym, kárę dáią.
Ieszcze to nic, y tylko początek, twey kàry,
Więcey ćię czeka, kiedy, Minos Sędżia stáry,
Sądźić będźie. Wtey mowie, Charona dźikiego,
Łodź do brzegu przybiłá, Pánstwa *P*lutowego.
Wszystkie umbry przybiegły, pátrzyć ná te dźiwy!
Ze, pomiędzy umbrami, płynał człowiek żywy!
Ale kiedy Telemak, z tey Łodźi wychodźi,
Iák ćień przed świátłem, przed nim, ták káżda uchodźi.
Charon, *T*elemakowi, już z weselszą miną.
Rzecze: kiedy Bogowie, co po świećie słyną,
Ták ćiebie ukochali, młodźieńcze *szczęśliwy*,
Ześ w ten, nocy kray wieczney, zászedł, y strászliwy,
Ktorego nikt z żyiących, ieszcze nie náwiedźił.
Idźże, gdźię wyrok każe, ábyś wszystko zwiedźił.
A podź tą drogą ćiemną, ná páłác Plutona,
Tam go znaydźiesz śiedzący, ná wierszchołku Trona.
A on ći sam, zupełne nada pozwolenie,
Ná mieysc táiemnych (Ia sam milczę) nawiedzenie.
Telemak rzesko poszedł, á ná wszystkie strony,
Lecące umbry mija, ktorych niezliczoney
Mocy, się przypatruie, piaskow przechodzące,
Morskich źiarna, y ktorych biegi lataiące,
Nabożny strach *w* nim czynią, á głuche milczenie,
Strászne temi mieyscami, czyni zadumienie.
Gdy do Rezydencyi strászney, przystępuie,
Nie ubłaganego Pluta, większy już strách czuie.
Włosy wstáią, y pod nim drżą dużo kolana,
Głos ustáie, y ledwo mowa zrozumiana.
Przećie wyrzekł te słowa: O! Ty Boże strászny!
Widźisz, iák tu z miłośći zszedłem Oycá własney,
Syn Ulissa nieszczęsny, bym się mogł dowiedźieć!
Czy umarłym już, w twoim *P*áństwie muśi śiedźieć,
Czy po świećie się błaká! raczże go pokázáć,
Y áby mię puszczono w twe *P*áństwa, roskázáć.
*P*luton, ná Hebanowym śiedźiał tronie, strászny,
Sam był blady, oczy miał ostre, diabeł własny.
Pátrzyć mu ná człowieká nie miło, żywego,
Ták iáko, ptástwom nocnym, wzrok świátłá dźiennego

Szkodźi; á Proſerpina o bok mu śiedzaca,
Oczy ná nią obraca, miłość goreiąca;
Urodą záwſze nową, od Bogow zdarzona,
Od Męża iey, ſurowość, byłá w niey złączona.
Pod Tronem śmierć zaiadła, w nogach mu leżałá,
Y oſtrzyć koſę ſtráſzną, ſwą, nie przeſtáwáła.
Koło niey zaś y Tronu, te monſtra latały:
Czarne fraſunki, y rząd ſuſpicyj niemáły.
Okrutne niedowiarſtwa, z niemi pomſty krwawe,
Nie słuſzne nienáwiśći, záiadłośći żwawe.
Sképſtwo, ſamo ſię żrące, y deſperacya,
Co ſię ſwemi rękoma drze, gryźie, zábija.
Pycha niezhámowana, co wſzystko wywraca,
Zdrada, ktorey usługą, we złe ſię obraca.
Zázdrość, co koło śiebie, rozlewa trućiznę,
Y zrze ſię, kiedy śiły nie ma, zádać bliznę.
Bezbożność, ktora ſobie ſama, przepaść robi,
Y nic, tylko Himery ſwoich myśli, robi.
Tamże były y ſpektra, okrutne ſtráſzydłá,
Phantaſmy, co ná żywych záſtáwiáią śidłá.
Sny okropne, y ſmutne, á gorſze nieſpania,
Te wſzyſtkie stráchy, Ludźi, biednych, y káránia,
Obtaczały Tron Pluta, iák pilni Dworzanie,
Napełniały okropne, Plutona mieſzkánie.
Ten tedy, Pluton stráſzny, Rzekł Telemakowi:
Ponieważ, co żadnemu ieſzcze człowiekowi,
Do tąd ſię nie godźiło, wyrok ći pozwala
Zgwałcić ten kray umarłych, y przyjść tu, z tak dala,
Iźdźże zá twoim ſzczęśćiem, nie dowieſz ſię u mnie,
Czy twoy Oćiec ieſt żywy! lecz postąp rozumnie.
Wſzak Twoy Oćiec, był Krolem; więc Krole z Kroláми
Kárę znoſzą; á zaś, co dobrymi Pánámi
Byli ná świećie! Ci ſą w Elizeyskim polu,
Dni trawią nie śmiertelne, nie znaiący bolu.
Lecz do tych pol nie przyjdźieſz, chybá przez Tártárá,
Spieſz ſię wyniść z Páństw moich. Ták mu rzekłá márá.
Wtym momenćie, iáko Pták, moy Telemak skoczył,
Leći przez dźikie pola, áby Oycá zoczył,
Y áby, złey Tyranna twarzy, był naydali,
Ktorego ſię umarli, iák y żywi báli.

Y Pręd-

Y Prędko u Tártárá stánał, sam czarnego,
Gęsty dym czarny, buchał záráz z ktorego.
A ten dym, strászną rzekę, płomieniem płynącą,
Pokrywał, w ktorey z ognia potoki się mącą.
Tá záś rzeká ognista, ták stráśznie huczałá,
Ze iey słuchać, nie można, ziemia od niey drżáłá.
Telemak, potáiemnie, od Minerwy swoiey
Ubespieczon, wtę przepáść, rzućić się nie boi.
Tę przebywszy, záráz moc Ludźi podłych widźi,
Z ktorych káżdy, uczynkow przeszłych swych się wstydźi.
Ci to byli, ktorzy to, Bogactw nábywáli,
Przez zdrady, y oszusty, ktorych záżywali.
Tamże widźiał, bezbożnych Hypokrytow śiłá,
Ktorym tylko pobożność, w swey postáći byłá,
Ale tey, iák pretextu tylko, záżywáli,
Zeby swą ambicyą, przez nią násycáli.
Ci Ludźie, ktorzy cnotę, dar od Bogow dány,
Zmyślali, áby nią Lud, bywał oszukány.
Támże byli kárámi, y tácy Synowie,
Ktorzy Oycom, y Mátkom, wźięli z żyćiem zdrowie.
Zony, co we krwi Mężow, umazały ręce,
Zdraycy swoiey oyczyzny, wiedney byli męce.
Ale Hypokrytowie, byli potępieni,
Y większą kárę, á to ztey przyczyny, wźięni:
Bo oni, że sami są złemi, nie dość máią,
Ale cnotą fałszywą, drugich oszukáią;
Ze się ufać prawdźiwey, niechce żádną miárą,
Dla tego Ich Bogowie, ćięszką męczą kárą.
Ze śię z nich, że ták rzekę, y zli naygrawali,
Ze ći cnotę naywyższą, w kontemp obracali.
Zá tymi, widźiał drugich, ktorych świát nie sądźi,
Bydź ták winnemi, bo się opinią rzadźi;
Ale Ich, Boska pomstá, karze bez litośći,
A ći są, ktorzy żyli przedtym w niewdźięczności.
Łgárze, szalbierze, tákże podchlebcy zdradliwi,
Co niecnoty chwalili, kiedy byli żywi.
Tákże y Censorowie, ktorzy złorzeczyli,
Y ná cnotę prawdźiwą, złym okiem pátrzyli.
Ktorzy sławę, niewinnie, Ludźiom odbierali,
Y ktorzy to, niewdźięczność Bogom oddawali.

Ci naygorzey męczeni; do tych Minos mawiał,
Kiedy Im Boską krzywdę, surowo wymawiał:
Kiedy kto, Oycu swemu, niewdzięcznym się ſtáie,
Zá monſtrum ten ná świećie, u Ludźi się dáie;
A czegoż godźien táki! ktory Bogom wiecznym,
Y wszyſtko nam dáiącym, ſtáie się niewdźięcznym!
Wszak Im więcey niż Oycu, ieſteśmy powinni,
A zá tym ći bezbożni, więkſzey káry winni.
Tam, ſędźiow trzech piekielnych, że blisko śiedźiało,
Przysłuchać Ich się ſądow Telmakowi zdáło.
A wtym, że Philoſopha ná ten czas iednego
Sądzono; ſpytał. Co zá kryminały Iego!
Obwiniony, wnet rzecze: Zá co ſądźić máią
Mnie! niewiem. Niech powiedzą wſzyſcy, co mię znáią,
Nicem złego nie zbroił, w tymem ſzczęśćie łożył,
Abym był wſzyſtkim Ludźiom, dobrze się ułożył;
Wſpaniały, hoyny, oraz, byłem ſpráwiedliwy.
Wſzyſtkim uczynny; zarzut wſzelki mnie, fałſzywy.
Aż mu Minos odpowie: Niemaſz co zarzućić,
Strony Ludźi, lecz Bogow, coś Ich śmiał porzućić,
Krzywdę, tu roſtrząśniemy. Byłeś ſpráwiedliwy
Do Ludźi, co nic nie ſą; lecz wiary prawdźiwey,
Y wdźięczności do Bogow, iák żywo nie miáłeś,
Wſzyſtko twoiey godności, nie Ich przypiſałeś
Łáſce, ktoraś od nich miał. Ich dárow záżywał,
A ſwoią to ſam cnotą, w ſercu twym názywał.
Zgoła ſam Sobieś był Bog, czego cni Bogowie
Znieść nie mogą, ktorzy nam y życie y zdrowie,
Ná ſwoią chwałę dáią, y ná to ſtworzyli,
Byśmy Ich, á nie śiebie, ná tym świećie czćili.
Szukayże (ieśli możeſz) ſam poćiechy w ſobie.
Zápomniałeś pokłádáć wſzyſtko w Ich ozdobie,
Otoż ćię zápomnieli Bogowie, y słuſznie,
Kiedyś się w ſobie, nie w nich, ſam kochał ták duſznie.
Ludźie, ktorym iedynie, podobać się chciałeś,
Rátować ćię nie mogą, od ktorych odſtáłeś.
Sameś ſobie bałwanem był, zoſtańże z ſobą,
A náucz się, y Ludźiom, bądź wprzykłádźie, probą:
Ze y práwdźiwey cnoty, wſpominać nie trzebá,
Gdźie, y miłości Bogow niemaſz, y czći Niebá.

Twa cnota, ktora Ludzkie, zámydlalá oczy,
Teraz ſię, słuſzna prawdą, ná wieki zámroczy.
Bo Ludźie, o wyſtępkach, y o cnotach ſądzą
Tak, Iak Ich dolegaią, lub ich głáſzcza żądzą.
Zyiący, ſą ślepemi; lecz tu światło inne,
Co oni chwalą, to tu ganią, káry winne.
Temi słowy Philozof, iák piorunem tknięty,
Dopiero śiebie poznał, z tąd żal niepoięty.
Owe mysli wſpaniałe, owo ſercá męſtwo,
Y żądzy y złych paſſyj, co miewał zwyćięſtwo,
Zgołá wſzystko, co mniemał bydź w ſobie dobrego,
Wſzystko to zá nic uznał, z rozumu ſwoiego.
Iuż ſądow Ludzkich prożność, ſam dopiero widźi.
Y co lubił kiedy żył, tym ſię teraz brzydźi.
Wſzystko ſię w nim wywraca, ſam ſię nie poznáie.
Sumnienie do tąd ćiche, ná niego powstáie.
Gryźie go, y iáko ſen, cnotę wystáwuie,
Ktora ſię, ná uczczeniu Bogow, nie funduie.
Zá tym ſię mięſza, wstydźi, ſwe deſperacye,
Zá naywiękſzą ma kárę, y zá złe furye.
Y ſerce, ktore do tąd, nic Bogow nie znáło,
Mśćić ſię Bogow poczęło, ſamo go kářáło.
Szuka mieyſc nayćiemnieyſzych, kryć ſię przed drugiemi,
Ale ſię skryć nie może, przed zmysły wláſnemi.
Swiátło prawdy znim chodźi, dokuczaiąc przećie,
Ze iey nie znał kiedy mogł, y gdy żył ná świećie.
To, co mu było miło, to go teraz mierźi,
A co przed tym odrzucał, teraz ſię go dźierży.
Ták wołał: Więc Ia iednych ſam Bogow nieznałem,
Ani śiebie, gdy w ſobie, wſzyſtko pokładałem.
Naywyżſze dobro, co ieſt Bog, lekce ważyłem,
Kiedy falſzywey cnoćie, głupie mądry żyłem.
Idąc daley, potyka wnet Pigmaliona.
W nieznośnych mękach wſtydu, że go chytra Zona
Aſtarbę uludźiłá, przez pochlebne zdrády,
Zá co wieczne w Tártárze, on z nią czyni zwády.
Z wśćiekłym gniewem, wzaiemnie, ſwoie ſobie złośći,
Wymawiaią, odkryte ſwe widząc brzydkośći.
Potym uyzrzał Telemak, owych Krolow w mękach,
Ktorzy, źle záżywali, władzy ſwoiey wrękach.

Furya z Iedney ſtrony, zwierćiadło trzymáłá,
Y w nim wyſtępki, żyćia Ich, wystáwywáłá.
W ktorym widźieć muśieli, prożność niecnotliwą,
Pochwał głupich, y pochlebstw śmiechu godnych, chćiwą.
Twardość ſercá, ná dobre Ludźiom uczynienie,
Y gnuśność w stárániu ſię, o ich dobre mienie.
Zádnych cnot nieznaiomość, boiáźń rzetelnośći,
Y práwdy, á zaś miłość, pochlebney chytrośći.
Uciekánie od prácy, złego pozwolenie,
Nie słuſzne, y niewinne dobrych ſię strzeżenie.
Pychę, zbytki niezmierne, zpoddanych ruiną,
Prożnych zwyćięſtw ſzukánie, choć poddani giną.
Ná koniec, okrućieńſtwo łzámi ſię paſące,
Y kármione przeze łzy nędznikow gorące.
Wto zwierćiadło uſtáwnie, pátrzyć ſię muśieli,
Od monſtrow ſtráſznieyſzymi, ſami ſię widźieli,
Niż hymera, zabita, od Bellerofona,
Niż Chydra śiedmiogłowna, iednego ogona,
Y niż Cerber troypyski, co rzuca z paſzczeki
Záráze, Ludzkie morząc duchy, y powieki.
Kiedy ták, ta Furya, zwierćiadło trzymałá,
Druga wſzyſtkie pochlebſtwa, w uſzy Im śpiewałá,
Co ná świećie słyſzeli, á zwierćiadło drugie,
Takze wręku trzymałá, w ktorym chwały długie,
Sztucznie ſię wydawały; y iak był fałſzywie
Chwalony wżyćiu, tak fałſz widźiał w nim prawdźiwie.
Tak przećiwne zwierćiadłá, y prawdy odkryćie,
Było tym prożnym Krolom, uſtáwne zabićie.
Ale to uważano; że ktory był gorſzy,
Ten z tych Krolow, miał zpochlebſtw, panegyryk ſporſzy.
Bo złego, niż dobrego, gdy ſię bardźiey boią,
Pochlebſtwy, uiąć łaskę iego, bardźiey ſtoią.
Tych to, w gęſtych ćiemnicach, tylko słychać było
Lament, ktorym furye, złośći, wſzyſtka śiła
Wyrządzały, á z nich ſię zawſze naygrawaiąc,
Y we wſzyſtkim ſię Ichże woli ſprzećiwiaiąc.
Y tak Ich konfunduiąc, iáko kiedy żyli,
Wſzyſcy Im poddanemi, názbyt ślepo byli.
Iak ſobie, zá żart życie Ludzkie, przedtym mieli,
Tak ſię igraſzką furyj, ná wieki ſtanęli.

Nie-

Niewolnikom, co przed tym Im, iak psy służyli,
Sami teraz ná wieki, poddanemi byli.
Służyć Im, z ćiężkim żalem, ći Krolowie muszą,
Ktorzy Im dźiwne męki zadaiąc, ich suszą.
Pod tą ręką Tyrańską, iak pod srogim młotem,
Lęczeć muszą kowalskim, krwawym zlani potem.
Uważał w nich Telemak, wyschłe, blade twarzy,
Gorzką melankolią, ktora się w nich żarzy.
Czarnym smutkiem spaleni, brzydźili się sobą,
Szpetność nośić muśieli, rowno z swą osobą,
Ani się iey zbyć mogli, iak swoiey natury.
Ich grzechy, Im są káry, łańcuchy y sznury.
Czyny Ich, iak maszkáry, Im się pokazuią,
Straszą Ich ustáwicznie, y Tyrannizuią.
Chcieliby skuśić śmierći, ná zbyćie powturney,
Y ná sukkurs, wzywaią Smierći, przez głos durny.
Zeby Im pamięć grzechow pełnionych odięłá;
Wzywaią y przepaśći, aby Ich połknęłá,
Chcąc uyść prawdy promienia, ktora ich tam páli,
Ale pomstá, po kropli, dogara Im daliy.
Prawdy, ktorey niechćieli, niezmiernie się *wstydzą*,
Gdy ią w oczach stoiącą, zawsze nędzni widzą.
Widok Iey, Ich przebija, *wzdłuż* y *wprzek*, rozdźiera,
Piecze áż do wnętrzności, á nikt nie umiera.
Iako kruszec, gdy wpiecu, będźie rostopiony,
Nie spali go, lub ogniem wszystek rozżarzony.
Tym ogniem pomśćićielem, Ich się dusza topi,
Duszy nie spala, lubo strásznie się toropi.
Wszystkie kluby żywota, z gruntu w nich *wywraca*,
Ale go przez śmierć przećie, nigdy im nie skraca.
Człowiek się sam rozdźiera, á ná ocemgnienia
Nie zna áni poćiechy, áni spokoienia.
Tylko się karmi złośćią, ná śiebie samego,
Co moment umieraiąc, bez końca żadnego.
Między tym widowiskiem, ná co włosy wstáią,
Telemaka, ćiekawe oczy, *uważaią*
Dawnych Krolow Lidyjskich, ktorzy nie myślili,
Tylko żeby wroskoszach, á bez pracy żyli.
Ci Krolowie, ustáwnie, ták ieden drugiemu
Wymawiáli, zły Oćiec, Synowi też złemu:

Azażemći w stárości, nie zalecał pilno!
Abyś moią nikczemność poprawił uśilno!
Odpowiada mu drugi: Oycze nieszczęśliwy!
Twoy mię zgubił ná wieki przykład niecnotliwy;
Wuczyłem się od ćiebie, pychy, nadętości,
Y ná poddanych nászych, srogiey surowości.
Widzac, żeś ták nikczemnie, w roskoszach panował,
Tyś koło śiebie, srogą moc pochlebcow chował.
Y mnie się też pochlebstwo, roskosz, podobało,
Y że zázywać ludźi iak zwierza, się zdało,
Tylko dla swey wygody. Takem Ia rozumiał,
Com się od ćię náuczył, tom nieszczęsny umiał.
Teraz ćierpię, dla twego, ach! złego przykładu!
Cierpię iak ty, bez końca, y żadnego ładu.
Do tych wymowek, ieszcze nieszczęśni się klęli
Y łáiali, iakby się pożrzeć sami chćieli.
Koło zaś głow tych Krolow; iak sowy latały
Suspicye, y stráchy, co żyiąc miewali;
Appetyt bogactw wielkich, w woynach prożna chwáłá,
Y nikczemność, ktora się, w żyćiu podobáłá.
Te się mszczą zá pospolstwo, niegdy utrápione,
Iako oni męczyli, męczą Ich koronę.
Widźieć tam także było, Krolá nie iednego,
Nie tylko za złe, co sam zrobił, karanego,
Lecz że dobrze nie czynił. Bo że nie karano,
Y że gnusnie to prawo, iest obserwowano,
Krolom to przypisywać. Iako gdy poddani,
Wzbytkach, od Krolow nie są nic pohamowani.
Y przeto prawa łamią, á Lud uciskaią;
Zá to wszystko, Krolowie odpowiadać maią.
Ale tych ieszcze bardźiey, tam Krolow karano,
Ktorych zá złych pasterzow, w żyćiu, rachowano.
Co poddanych, iak owce, karmić y strzedz mieli,
Oni Ich, y łupili że skory, y rżnęli.
Ale, to Telemaka, naybardźiey stworzyło,
Ze między karanemi Krolmi, śiłu było,
Ktorych zá dobrych miano, gdy żyli na świećie,
Wćiemnicach Ich Tártáru, widźieć było przećie.
A to za to: Ze się złym Ludźiom, rzadźić dali,
Ktorzy to Ich powagi, na złe zażywali.

Zá cudze, odpowiadać tam muśieli grzechy,
Y choć z ich łaskawośći, Lud miewał pociechy,
Byli iednak karani, że prawdy nie znali,
Ze w cnoćie sławy wszystkiey swey, nie pokładali.
Gdy *Telemak*, się wyrwał, z tych tam mieysc mizernych,
Poczuł, że był uwolnion z żalow, sam niezmiernych.
Iakby kamień zpierśi zdiął. Przećiesz uważaiąc,
Co oni ćierpieć maią, końca bied nie maiąc;
Zląkł się kary złych Krolow, y że Ich nad Innych
Karanemi bydź widźiał, Ludźi podłych winnych.
Iako? (mowił sam w sobie) Także to Krolowie!
W pracy, niebespieczeństwach, łożyć maia zdrowie!
Wtak wielu zdradach, od swych, prawdy szukać muszą!
A po tym wszystkim, ieszcze płaćić trzebá duszą!
Y przebywszy zązdrośći, y głową y ręką!
Tak okrutną, karani maią tu bydź męką!
O szalony! co szukasz ná świećie krolować!
Szczęśliwy, co w swym stánie, cnotę może chować.
Te reflexye gdy go, tak smutne; trzymaią,
Strach y desperacya, serce mu chwytaią,
Ze coś poczuł, z tych męczarń, świeżo widowiska.
Ale gdy już oddalon, nie widźiał ich zbliska,
Serce mu się wroćiło; y Im się oddala,
Tym smutek się zostáie zá nim, z stráchem z dala.
Iuż poczyna oddychać, y święte mieszkanie
Bohatyrow, coś błyszczy, y już śpieszy ná nie.
Tam zaś przećiwnie, dobrzy Krolowie mieszkali,
Ktorzy madrze nad Ludźmi, w żyćiu panowali.
A iáko źli Tyranni, co byli w *Tártárze*,
Większey, niźli prywatni, są podlegli karze;
Tak wpolach Elizeyskich, y dobrzy Krolowie,
Więcey od Innych Ludźi, roskoszy w połowie,
Odbierali zá cnotę. Sesostra zacnego
Y Phisistrata widźi tam, świeżo zmarłego.
Długo, z roskoszą patrzał, ná te wonne gaie,
W ktorych áni źieloność, ni kwiat nie ustáie.
Tam, ći byli Krolowie, á tyśiącne zdroie
Mrucząc, ptaszki śpiewaiąc, ćieszyły oboie.
Wieczna wiosna, pod nogi tych Krolow, kwiat śiałá,
A jeśień, nad głowami, owoce wieszałá.

Upałow, kánikuły, tam nigdy nie znano,
A dopieroż, ostrośći źimy, nie widźiano.
Tam woyna zajuszona, ni zazdrość okrutna,
Suspicya, ni boiaźń, áni złość wierutna,
Y przystąpić nie śmiáły, do tych mieysc szczęśliwych,
Nocy niemasz, dźień wieczny, w promieniach życzliwych.
Swiátłem czystym, ći Ludźie, są tam opasani,
Wpromienie, iák wpurpurę, wszyscy są odźiani.
To zaś świátło, nic nie iest nászemu podobne,
Są to chwały Niebieskiey, ozdoby nadobne.
Nie obraża, iák słońce, promieniem swym oczy;
Ale one utwierdza, kiedy ie obtoczy.
Dusze zaś náder karmi, y tą świetną sławą,
Karmią się ći Krolowie, iak łaką potrawą.
Z nich wychodźi, y znowu, świátłość w nich wstępuie,
Każdy ią przed się widźi, y w sobie ią czuie.
Ta w nich pokoy y radość, ustáwicznie rodźi,
Ta, iáko woda rybę, ustáwnie Ich chłodźi.
Gdy niczego nie pragną, wszystko zaś w niey maią.
Tym świátłem, serca swego, żądze nasycaią.
Pragnienie nasycone, pełnośći cudowney,
Wywyższa Ich nád Ludźi, ktorzy nigdy rowney,
Mieć nie mogą ná źiemi. Te zaś, ktore maią
Powierzchowne roskoszy, o te nic nie dbaią.
Bo szczęśliwość Ich wnętrzna, tak Ich dusze chłodźi,
Że do Inszych roskoszy, myśl się nie uwodźi.
Wszystko, co ná zmysł pada, nic nie delektuie,
Y za nic ma, w czym człowiek, szczęśćie swoie czuie.
Tak iako, gdy Bogowie, Nektar słodki pili,
Ná naylepsze napoie, ániby patrzyli.
Od tych zaś mieysc spokoynych, nieszczęśćia okrutne,
Ućiekaią daleko, śmierć, choroby smutne.
Ubostwo zaś, po stráćie, y strach ktory męczy,
Y nadźieia leniwa, ktora częsta dręczy,
Zwady, złośći, tesknoty, tych mieysc, tknąć nie śmieią,
Ná te monstra złych passyj, zdaleka się śmieią.
Y prędzey, gory Trackie, wyniosłe pod Niebá,
Poruszyć by się mogły, y większey by trzebá,
Mocy ná to, żeby ći Ludźie, się wzruszyli,
Albo się zamieszaniem iákim, zatworzyli.

Zaden

Zaden Ich nie tknie ſmutek; Iednych tylko Ludźi,
Załuią zaślepienia, lecz Ich to nie nudźi.
Załuią Ich bez ſmutku; nic Ich ſzczęśliwośći,
Nie odmienia, á żyią, *w ſwey* wieczney młodośći.
Ktora ná Ich ſię twarzach, y w Niebieskiey chwale,
Wydaie, y w radośći, z majeſtatem w cale.
Smak wysoki, w Ich cnoćie, weſołość zadaie,
Uſtáwiczną, y ktora, nigdy nie uſtaie.
Ták ſą záwſze weſeli, iák gdy Mátká owo,
Syná obáczy, po złych śmierći wieśćiach, zdrowo.
Ale y Mątki rádość, zá moment uſtáie,
Im záś, końcá rádośći, nigdy Bog nie dáie.
Zgołá záwſze ieſt nową. Co wino w podpićiu,
Weſołego uczyni, w ludzkim náſzym żyćiu;
Lecz odiawſzy ſzáleńſtwá, co pijáńſtwo rodźi,
Ich weſołość uſtawną, rownać z nim ſię godźi.
Miłą konwerſacyą, ći ſię Swięći bawią,
Ná wſpomnieniu ſwych akcyj, Miłe czaſy trawią.
Dáwnych ſwoich kondycyj, poniekąd ſię wſtydzą,
Krotkiemi láty, wieku ludzkiego, ſię brzydzą;
To że ſię ſami z ſobą, żyiąc paſowali?
Y to, że ſię złym ludźiom, popſować nie dali?
Mocy Boskiey przyznáią. Ktora ich do cnoty,
Prowádźiłá, przez rożne przeſzkody, kłopoty.
Coś Boskiego, przez ſercą ich, uſtawnie płynie,
Widzą że ſą ſzczęśliwi, że to im nie zginie;
Wſzyſcy w koley, pochwáły, Bogom ſwym śpiewaią,
Wſzyſtkie głoſy, w ieden głos, ich ſię obracaią.
Iedná Myśl, iedno ſerce, ktore ſię rozpływa,
Iedno ſzczęśćie, ktorego nigdy nie ubywa;
W tym Boskim záchwyceniu, ſtu lat wieki płyną,
Prędzey, niżli godźiny, u nas ludźi miną,
A przećie, y tyśiącne látá, ſzczęśliwośći
Nie uymuią, ſą nowe, y w iedney całośći.
Wſzyſcy rázem kroluią; Ich Tron ſię nie boi
Wywrotu ręki ludzkiey, ſwoią mocą ſtoi;
Ni mocy potrzebuią, od ręki mizerney,
Pożyczaney, poddanych; Dość mocy niezmierney,
Ducha ſwego właſnego. Niechodzą w koronie,
Pokrywce wſzytkich nieſzczęść, ále ich cne skronie,

 Bogowie

Bogowie włáſną reką, ukoronowáli,
Aby ſię żádney skazy, ná wieki nie báli.
Telemak, co ſię Oyca, ználeźć tam ſpodźiewał,
Kędy dźień Bohatyrow, ſzczęśliwy przebywał,
Ták ſię tą ſzczęśliwośćią, y świętym pokoiem,
Uiał, iákoby Boskim, Nektaru nápoiem;
Rádby tám Oyca záſtáł, á ſam ſię fraſował,
Ze ieſzcze czas z niemi żyć, ſię nie nágotowáł,
Tu to (mowił:) ieſt żyćie, á to co żyiemy.
Ieſt śmierćią, y boleśćią, w ktorey to gniiemy.
Ale, to go naybárdźiey, támże zádumiáło:
Ze Krolow śilá w piekle, á dobrych zaś máło,
W polách widźiał Eliżkich, z czego, to zrozumiał:
Iáko rzadko Krol żyiąc, rządźić ſobą umiał;
Iák trudno! ſwey ſię mocy odiąć, y ſprzećiwić!
Pochlebcow oſtro káráć, y poddáńſtwo żywić,
Ztąd, rzadko Krole dobrzy, á częśćiey ták złemi,
Zeby byli Bogowie, nieſpráwiedliwemi,
Gdyby Im, pozwoliwſzy ſzczęśćia, zá żywotá,
Nie byłá od nich, w piekle, karána niecnotá;
Telemák, nie znalazſzy Oycá ſzukánego,
Szukał pilno Láértá támże Dźiádá ſwego;
A gdy go miedzy niemi, tákże nie znayduie,
Stárzec pełen powagi, kniemu przyſtępuie;
Stár ość iego, ſtárośći nie podobná byłá,
Ludzkiey, ktoráby, wieku liczba, go skrzywiłá,
Ale było w nim, co má ſtárość poważnego,
Oraz y to, co młodość, má w ſobie miłego.
Bo y w ſtárcach, wſzytek dźwiek młody ſię odrodźi,
Gdy do pol Elizeyskich, ktory z nich przychodźi.
Ten Stárzec, Telemáká, z rádośćią uważáł,
Y iák by mu był miły, oczymá wyrážáł.
Telemak, co go nie znał, był ſam w zádźiwieniu;
Ale mu tak rzekł Stárzec: Twemu zádumieniu,
Nic ſię iá nie dźiwuię, y że nie znaſz tego,
Co Arcezy, Láértá Oćiec, Dźiádá twego.
Jam umarł, nim Uliſſes, á Wnuk moy, pod Troię
Poſzedł, á tyś u Mámki, wzczynáł życie twoie.
Iużem ia był o tobie, wźiął wielkie nádźieie,
Anim ſię nie omylił, ták ſię widzę dźieie.

kiedy

Kiedy ći, Cni Bogowie, zniść tu pozwolili,
Dla znayśćiá twego Oyca; Aby z toba byli,
W tey imprezie, proſzę Ich o Dźiećie ſzczęśliwe!
Rowną słáwę gotuiąc, Bogi ći życzliwe
Słáwie Oyca Twoiego. Nie mniey ſzczęśćie moie,
Ze znowu widźieć mogę, Twarz tak miłą twoię.
Uliſſeſa nie ſzukáy; bo ná świećie żyie,
Nieprzyiáćioły Domu náſzego, pobije;
Y Làért, lub zgrzybiáły, żyie y on przećie,
Y czeká, aż Uliſſes, pogrzebie go w świećie;
Tak ludźie, iáko kwiáty, rozwiną ſię ráno,
A wieczor już Ich niemaſz, kiedy ich zerwáno.
Y ludzkie pokolenia, iák rzeki przechodzą,
Czas iedne zrywá, kiedy drugie ſię zaś rodzą;
Y ty ſam, Synu miły, y w twoiey młodośći,
Pámiętáy, żeś ieſt kwiátem, pełnym odmiennośći,
Uſchnie, iák ſię rozwiło, to łat twoich grono,
Wdźięki miłe, roskoſzy, zdrowie, rádość, pono
Znikną, iáko ſen piękny, á tylko zoſtánie
Smutná pámięć dobrego, y ćięſzkie ſtáránie.
Słábá ſtárość náſtąpi, pomárſzczy ći czoło,
Skrzywi grzbiet, członki zsłábi, ſmutkiem ćię ná koło,
Obtoczy, y weſołość, w ſercu twym wyſuſzy,
Gárnąc wſzyſtkie zgryzoty, do twey ſmętney duſzy.
Mniemaſz, że to dáleko! myliſz ſię nieboże,
Spieſzy ſię ten czas ſrogi, ſtrzymać ſię nie może,
Ten moment, co gadamy, dáleko upłynął,
Ani ſię rewokować może, ten co minął;
Nie uważay przytomnych, ale przyſzłe rzeczy,
Trzymać ſię śćieſzki cnoty, miey záwſze ná pieczy.
Swiętą ſpráwiedliwośćią, w cnot wſzelkich ozdobie,
Mieyſce tu między námi, Synu, gotuy ſobie.
Urodzonyś ieſt ná to, byś po Oycu twoim,
Ktorego ty w Itáku, w *P*áńſtwie uyzrzyſz ſwoim,
Abyś po nim krolował; Ale, Synu miły,
O! iák ieſt Stan Krolewski ćięſzki y záwiły!
Bo patrząc nań zdáleká, pompá y powágá,
Ale z bliská, dáleko więkſzá, nieſzczęść wágá.
Prywátny Człek, może wieść życie, *w* proznowániu;
Nikt go w tym nie potępi; Lecz o wſzyſtkich zdániu:

Sss Krol,

Krol, bez wſtydu nie może, ták żyćiá prowádźić,
Zeby ſwym prożnowániem, nie miał Pánſtwu wádźić.
Nie ſobie, ale ludźiom, całe żyćie winien,
Naymnieyſzego wyſtępku, y ſtrzedz ſię powinien.
Błąd iego, y náymnieyſzy, cáłym Páńſtwom wádźi,
Y podczas, ledwo cáły wiek, z nich wyprowadźi.
Powinien, śmiáłość grzechow, ſam gromić odważnie;
Utrzymywać niewinność, potwarz karać ważnie;
Nie dość, aby nikomu, nic nie czynił złego,
Tym ſamym zły Krol, kiedy, nie czyni dobrego.
Ani doſyć ieſt, dobrym bydź, ſobie ſamemu,
Gdyby pozwalał, czynić złośći, Poddánemu.
A zátym, boy ſię Synu, ſtánu ták ćięſzkiego.
Uzbroy ſię męſtwem wczeſnie, na ſiebie ſamego;
Nuż przećiwko paſſyom, przećiw pochlebnikom,
Y że tak rzekę, przećiw, włáſney żądzy ſzykom;
Gdy mowił Arcezyuſz, twarz ogniem páłáłá
Boskim, y nád Krolami, litość skázowáłá;
Dokłádáł, że Kroleſtwo, gdy go kto záżywá,
Dlá roskoſzy, tákie ſię, tyráńſtwem názywá;
A kiedy kto Kroleſtwo, ná ſiebie przyjmuie,
Y poſpolſtwem, iák Ociec Synámi, kieruie;
To práwdá, że má słáwę; Lecz żyćie w niewoli
Wieść muśi; y náybárdźiey, dozná co to boli.
Y dla tego ći wſzyſcy, ktorzy iſtną cnotą,
Pánowáli, od Bogow, tu koronę złotą,
Máią z ſzczęśćiem zupełnym. W te Telemak słowá,
Zdumiány ſtáł, á w ſerce ſzłá ták madrá mowá.
Y tak ſię w ſercu iego godnym, ryſowáły,
Jáko kiedy ná ſpiży, dłot wybijá trwáły,
To, co chce dlá wieczności, ręká wyuczoná,
Wystáwić, by robotá, niebyłá skáżoná;
Te słowá iáko płomień, w Telemaku były,
Ktore umysł, y ſerce iego, zápáliły.
Czymśiś Niebieskim, ſerce iego, ſię topiło,
Y przez duſzę onego, iákby przechodźiło;
Ni utrzymać imprezy, mogł ſobie zádáney,
Ni icy w ſobie utaić, głęboko ſchowáney.
Zál słodki y ſpokoyny, y poćiechy żywe,
Czyniły rożny obrot, y męki prawdźiwe.

Ale

Ale w krotce Telemak, już wolniey oddycha,
Z twarzy Arcezyuſza, co ſię nan uśmiecha,
Twarz uznał Laërtego, á náwet widźi ſię,
Że obu podobieńſtwo, zamknięte w Uliſſie.
Ktore w nim pamięć Oyca, kiedy miło wzbudza,
Do łez słodko pobożnych, z weſtchnieniem pobudza.
Chciał ściſnąć tę oſobę, kochaną y miłą,
Ale mu zrąk zniknęłá, choć ią ściskał śiłą.
Iako ſen więc ſpiącego, omyliwa człeka,
Y ięzyk mu nie służy, gdy przez ſen nárzeka;
Y ręce, nadaremnie gdy ſię wyćiągaią,
Y utrzymać nie mogą, Im bardźiey śćiskaią.
Tak Telemak, nie może ſię ukontentować;
Widźi, słyſzy Arceza, nie może całować.
Ná koniec ſię go pyta, wybaduiąc z niego:
Iák ſię zowią, mieſzkańcy z tobą, mieyſca tego!
Odpowie mądry ſtarzec: Patrzay Synu miły,
Ci Ludźie ſwego wieku, ozdobą więc były,
Sławą y ſzczęśćiem pewnie, plemienia Ludzkiego,
Ale patrz iak Ich mało, ſtanu Krolewskiego,
Co powinność ſpełnili, y iako Bogowie
Żyli, przy mężnym ſercu, y przy mądrey głowie.
Tych zaś, co podle widźiſz, od nich odłączonych,
Wiedz, daleko Ich chwałą mnieyſzą, uwieńczonych.
Wprawdźie, y ći Heròés, tu ſię nazywaią,
Ale mnieyſzą nadgrodę, zá to odbieraią,
Że w woyn expedycyach, byli zbyt dźielnemi,
Niż ći Krolowie, ktorzy ſą ſprawiedliwemi.
Bo dobroć Krolow, Bogom, bardźiey ſię podoba,
Niż męſtwa w Bohatyrach, woienna ozdoba.
Po między Rycerzami, co Ich widźiſz, temi,
Patrz Theſea, z oczami, trochę ſpuſzczonemi.
Ieſzczeć ſmutny, y dotąd, nie kontente ćienie,
Że oſzuſtney uwierzył, y zdradliwey Żenie;
Z ktorey poſzła, Neptuna pomſta, nieużyta,
Gdy śmierć wymogł, ná Syna ſwego, Hyppolita.
Szczęśliwſzy by był, gdyby prędko nie uwierzył.
Tak wielkiego by wſtydu, y żalu nie zmierzył.
A widźiſz Achilleſa! na włoczni ſię wſpiera,
Ranny w piętę, od ręki Paryſa, umiera.

Z Ręki słabey, pieſzczoney, ten Bohatyr ginie!
A iako męſtwem ſwoim, y odwagą słynie,
Tak gdyby moderatem był, y ſprawiedliwym,
Więcey by był panował, dłużeyby był żywym.
Nad narodem Dolopow przedwieczni Bogowie,
Zmiłowali ſię, że tey rządy wźięli głowie.
Niechćieli aby rządźił temi narodami,
Ktory władać nie umiał, ſwemi paſſyami.
Ktory ſię prędzey wzburzył, niż naygorſze morze,
Parki mu, nić przećięły życia, w ſamey zorze.
Y ledwo ſię iako kwiat, na roli rozwinął,
Zaraz, od orzącego lemieſza, ſam zginął.
Bogowie, ktorzy burze, na karę zſyłaią,
Ná wywrot murow Troi, Achilla chowaią,
Y ná karę Paryſa, niesłuſznych miłości,
Zażyli, Achilleſa ręki, y dźielności.
A tę pomſtę ſprawiwſzy, nic ná łzy niedbaiąc,
Thetydy Matki, dłużey, *w* życiu nie chowaiąc,
Młodo tego Rycerza, że świátá zebrali,
Aby Ludźiom nie ſzkodźił, ſwym Impetem daliy.
Patrz tego z dźiką twarzą! Ieſt to Ajax dźilny,
Wielki *w* sławie y w męſtwie, y w boiach mąż śilny.
Wieſz, po śmierći Achilla, iako broni Iego,
Pretendował dźiedziczyć, y iak Oyca twego,
Przez ſąd Grekow, to ſzczęśćie, y bronie potkały;
Za co ſię Ajax zabił, deſperat zuchwały.
Widźiſz, iako iad z gniewem, do tąd w Iego twarzy,
Nie przyſtępuy do niego, bo ieſzcze ſię żarzy.
Mniemałby, że nieſzczęśćiu Iego, inſultuieſz,
Lubo wiem (iak należy) że go ſam żałuieſz.
Patrz, że widźieć nas niechćiał, y wſzedł w chaſzcz ten ćiemny.
Widźiſzże! To on ſtoi, ten Hektor przyiemny,
Tenby, nie zwyćiężonym był, zá czaſu ſwego,
Gdyby Achilles nie był, co zabił onego.
Lecz oto Agamemnon, ktory ieſzcze znaki,
Zdrady ſwey Klitemneſty, nośi Rycerz táki.
Synu! drżę gdy nieſzczęśćia Tantaluſa domu,
Wſpominam, á tę ſą tam nie tayne nikomu.
Atreus y Thyeſtes, złe Potomki Iego,
Krwiawią ſię. Tak grzech ieden, rodźi ſię zdrugiego.
Agamem-

Agamemnon Wodz Grekow, tylko co zpod Troi
Zwyćieżoney powraca, y nic się nie boi,
Ni pokoiu, ni chwały, iak mniemał, nie zażył,
Kiedy był, co go *w* domu, zabić się odważył.
Taki koniec, woiennych Bohatyrow, bywa,
U ktorych, mało mieysca, ma rzecz sprawiedliwa.
Ktorzy straszni są Ludźiom, ale nie kochani,
Ci w polach Elizeyskich, niżey lokowani.
Ci zaś tu są *Pierwszemi*, co zawsze życzliwie,
Narodom panowali swym, y sprawiedliwie,
Są z Bogami złączeni. Ci zaś w to ubodzy,
*K*torzy żądzy nie mieli, iak Ajax, ná wodzy.
Ieszcze pamięć zwad, y bitw, w sobie konserwuią,
Y koron potrąconych, z swym życiem, żałuią.
*L*ecz Krolowie spokoyni, Niebieską światłośćią
Oczyszczeni, karmią się Boską spokoynośćią.
Nic nie pragną, á Ludzkich chęći, niepokoie,
Dla ktorych się cały *świat*, wkrwawe wćiąga boie;
*Z*a igraszkę dźiećinną, zá żart, sobie maią,
Ktorych w cnoćie, y w prawdźie, serca tylko trwaią.
Nic nie ćierpią od śiebie, potrzeby, boiaźni,
Y pragnienia nie maią, y nic Ich nie draźni.
Wszystko się Im skończyło; lecz poćiechy one,
Chwałá, radość, y pokoy, są Im nieskończone.
Uważay, o moy Synu! Inacha stárego,
Co fundował Krolestwo, Argosa sławnego.
Widźisz starość tak miłą, y iak rosną kwiećie,
*P*od nogami! á co iest rownego ná świećie!
Lirę złotą, patrz, trzyma, y iak w zachwyceniu,
Spiewa cudy y chwały, Boskiemu Imieniu.
Y z serca, y z ust Iego, patrz, zapach wychodźi,
Głos iego, delicye Bogow, Ludźiom rodźi.
*Z*a to zaś ma nadgrodę, że kochał narody,
Y podawał Im prawa, do cnoty y zgody.
Tu zaś miedzy Myrtami, widźisz Egipskiego
Cekropsa, Fundatora Miástá Atheńskiego.
Cekrops przyniosł z Egiptu, tam, tak mądre prawa,
Z ktorych całey Grecyi, zrzodła cnoty, stáwa.
Nauki, obyczaiow, Attyckie narody,
Dźikie przed tym, nabyły, przez Iego dowody.

Ludzki, y miłośierny, Lud swoy w obfitośći,
A potomstwo zostawił, w ubogiey skromnośći.
Niechćiał, áby synowie, po nim Krolowali,
Lecz by od się godnieyszym, tron zostáwowali.
Pokazęć Erynchtona; widźisz go w dolinie,
Ten to pierwszy, pieniędzy Inwencyą słynie.
Ten srebro ná monetę, dla handlow obroćił,
Lecz się boiąc, żeby był cnoty, nią nie zkroćił;
Tak uczył te narody: O te się stárayćie,
Naturalne dostatki, y te pomnażayćie,
Orzćie mocno, y śieyćie, mieyćie chleba śiłá,
Win, Oliwy, owocow, y moc aby byłá,
Bydeł, owiec, ktore was karmić, y pokrywać
Będą, a nie będźie wam, na niczym tak zbywać.
Im więcey mieć będźiećie, Synow pracowitych,
Tym więcey sług, będźiećie mieć, do prac obfitych.
A źiemia tym hoynieysza, ná karmienie bywa,
Im więcey, mieszkaiących ná sobie, nabywa.
Płaći dobrze tym, co ią, pilno opatruią,
A gnuśnośćią prożniacką, darow iey nie psuią.
Tych tedy szukać Bogactw, z źiemi wam potrzebá,
Lecz nad wszystkie potrzeby, dobywayćie chleba.
A pieniądze z monetą, należy záchować,
Ná woynę, kiedy się ley, nie można uchować.
Albo też, ná towarow takowych, skupienie,
Ktorych wam iest potrzebne, choć zdaleka mienie.
Ale się takich rzeczy, nie ważćie kupować,
Ktore mnożąc więc zbytki, mogą cnotę psować.
Mądry Erynchton mawiał: O to Ia się boię,
Zebyśćie ná złe kiedy, Inwencye moie,
Nie obroćili Ludźie; żeby te pieniądze,
Nie wzniecały ambicyj, skępstwa, zbytkow, żądze.
Y widzę że moneta, rzemiosła szkodliwe,
Ná skazę obyczaiow, zrobi, nieszczęśliwie.
Ze dostatki was zbawią szczęśliwey prostoty,
Co życia bespiecznego, iest zrzodło, y cnoty.
Widzę Ia, że pieniądze, oractwo wam zbrzydzą,
Dobro życia Ludzkiego; Lecz Bogowie widzą:
Y ná serce me patrzą, żem nic szkodliwego,
Nie zamyślał, kiedym wam, dał konceptu mego,

Monetę.

Monetę. Ale kiedy Erynchton obaczył,
Ze pieniędzy appetyt, Ludźi przeinaczył,
Ze Ich ná złe zażyto; maiąc z tego żale,
Ná ubogie ſzedł żyćie, y ośiadł ná skale.
Tam, daleki od Ludźi, aż do lát zgrzybiałych,
Zył, á Miaſt rządźić niechciał, ſwych więcey zuchwałych.
A po nim zaś Tryptolem náſtąpił, z pochwiłą,
Ktorego żyzna Ceres, orać nauczyłá.
Iuż po troſze śię Ludźie, y ná zbożu znali,
Ale w ſztukach oractwa, nie tak doskonali
Byli; Y ták Trypolem przyſzedł do nich zpługiem,
Ofiáruiąc dar chlebá, z źiemi, pewnym długiem,
Tym, co koło niey z pracą, chodzą uſtáwiczną;
Y przyięli od Niego, tę robotę śliczną
Grecy, ktora Im bardźiey, kto źiemię otwiera,
Tym więkſze iey owoce, y dary odbiera.
Zeńcy nie zmordowani, oſtremi śierpami,
Záráz pola okryli, złotemi kłoſami.
Dźikie národy, ktore, po puſtyniach były,
Y leśnemi Owocy, iák źwierzętá żyły,
Zludczáły, y chętnie śię dały, pod te práwa,
Ktore chleb, lub zá ćięſzką pracą, Ludźiom dawa.
Tak Trypolem ſmak Grekom, do tąd nie znaiomy,
Uczynił, nábydź bogactw, z rąk prácy widomey.
Y naleźć ſwe Bogactwa, ná roli oyczyſtey,
Mieć pożytek nie chybny, y frukt oczywiſty.
Tá obfitość tak proſta, idąca z oractwa,
Obrzydźiłá w nich pieniądz, monetę, bogactwa,
Ktore zgłowy pochodzą, y wymysłow rożnych,
A Ludźi zaś przywodzą, y do zbytkow prożnych,
Y od pracy odwodzą, dobrych obyczaiow
Zbawiaią, przyczyniaiąc żądz, y złych zwyczaiow.
Zgołá wſzyſcy poięli, że Im rola żyzna,
Ieſt skarbem nie przebranym, co nieśie oyczyzna.
Szcześliwemi by Grecy, y do tych czas byli,
Gdyby śię tą maxymą, tak mądrą rządźili.
Szczęśliwi, co kochaią, y wolność y cnotę,
Lecz pieniędze, zániedbać oracką robotę,
Wnich ſpráwiły; y kiedy pieniędzy ſzukaią,
Práwe bogactwa, razem cnotą, utracaią.

 O Synu!

O Synu! kiedy będźiesz w twym Pańſtwie Krolował,
Pamiętay, byś oractwo, w cenie wielkiey chował,
Ratuiąc tych, ktorzy ſię bawią tą robotą,
Nie ćierpiąc Inſzych rzemiosł, woiuiących z cnotą.
Uważay tych dwoch Ludźi, co byli mądremi,
Iako ſą nadgrodzeni, więcey nad drugiemi.
Y iak chwała od Bogow, Im tu zá to dana,
Z Achilleſa, y Innych chwałą, nie zrownana,
Ktorzy woyną słynęli: Iak wiosna nad źimą,
Iak słońce nad Xiężycem, ći nad temi słyną.
Gdy Arcezy dyskurſy, z Telemakiem toczy;
Uważa, iż w Ieden gay, ſwe obracá oczy.
Ten był wſzyſtek Laurowy, rzeczką opaſany,
W Lilie, roże, fiałki, y w kwiaty ubrany.
Ktore blask wydawały, z farby dźiwnie śliczney,
Iako tęczy ná Niebie w kolorach niezliczney.
Tam Telemak, Seſoſtra godnego poznaie,
Wſpaniałſzego, niż kiedyś w Egipćie, uznaie.
Z Tronu iego złotego, iaſność wychodźiłá,
A w oczy, Telemaka zdumianego, biłá.
Nad Ludzki umysł, duch go Boży opanował;
Y tym, cnoty wſpaniałe iego, kompenſował.
Telemak rzekł: O Oycze! znam Ia Krolá tego;
Sesoſtris to, Krol mądry, Egiptu żyznego.
Widźiałem go nie dawno. Tak ieſt, [mu odpowi]
Lecz patrz, iak Bog nagradza, dobremu Krolowi.
Lecz y to wiedz, że więkſzą, iego mądrey głowie,
Naznaczyli nadgrodę, byli mu Bogowie;
Kiedyby był ná świećie, w zbytney ſzczęśliwośći,
Zażył moderacyi, y ſprawiedliwośći.
Wźięła go chęć hardośći, Tyryjcow zwojować,
Wźiąwſzy Ich miáſto, nie mogł, ſam śiebie hamować.
Zá chćiwośćą woienną, Pańſtw cudzych nabywać
Poſzedł, kráje plondrować, y Miáſt ich dobywać.
Podbił Azyą, raczey, cała Ia wywroćił,
A ſwe Páńſtwo, wzłym ſtanie znalazł gdy powroćił.
Zaſtał Brátá, ktory Tron iego, opanował,
Y przez rząd ſwoy niesłuſzny, cne práwa popſował.
Y tak to woiennicy, gdy zá cudzym, zpracą
Biegaią, ſwoie własne Páńſtwa gubią, tracą.

Y toć

Y toć to, Iego chwały, u nas umnieyszyło;
Lubo Królá ná świećie, lepszego nie było.
Widźisz tego drugiego, co ma w boku ránę!
A zniey, chwały zdrugimi, ma nie porownane!
Iest to Krol Dyoklites nazwany, Karyjski,
Z ktorym, kiedy woiował wiec, narod Licyjski,
Oraclum powiedźiało: że ktory Krol zginie,
Tego narodu, zá to, zwyćiestwo, nie minie.
A on, żeby swoy narod, swą śmierćią salwował,
Szukał śmierći, y życie swe sakryfikował.
Ten zaś, co przy nim stoi, iest to człowiek sławny,
Y národu Greckiego, práwodawca dawny;
Ktory Im popisawszy, pełne cnoty práwa,
Tak z niemi mądrze sobie, y cudownie stáwa:
Kazał Im przyśiądz: Iz z nich, poki się nie wroći,
Nikt prawa, co Im nadał, nigdy nie wywroći.
A sam zaszedł daleko, nigdy się nie wraca,
Tak prawo wieczne stáło, y Iego cna praca.
Ten drugi, iest Krol Pyli, ktory, gdy grasuie
Powietrze w Iego páństwie, sam się ofiáruie
Umrzeć, ieden zá wszystkich; w tym go wysłuchali
Bogowie, y koronę, tu mu wieczną dáli.
Tego stárca, co widźisz, w kwiát uwieńczonego!
Iest to sławny Krol Belus, Egiptu wielkiego.
Ten miał Syna Danaus, á Egipt był drugi,
Wielkie Ich przed Bogami, y Ludźmi zasługi.
Ale Belusa wiekszc; że swoich poddanych,
Wolał widźieć obfitych, niż zruinowanych.
W Miłośći Ich, dostatki swoie, on pokładał,
Ani żadnych haraczow, ná nich nie nákłádał.
Zgołá, Ludźie co mniemasz, że są umarłemi,
Są żywi, á co żyią, ći nie są żywemi.
Day ći Boże, o Synu! abyś to zásłużył,
Abyś tego żywota, tu sam z nami użył.
Spiesz się szukać sam Oyca, ále nim go znaydźiesz,
W iak wielkie krwi rozlania! w Iakie bitwy zaydźiesz!
Ná polach Hesperyjskich, cna ćię sława czeká,
Słuchay záwsze Mentora, mądrego człowieká.
Iego mądre náuki, y rády rzetelne,
Dadzą ći u Národow, Imię nieśmiertelne.

To rzekſzy, Telemaká, do Forty słoniowey
Prowadźił, ktorą wyſzedł, z Páńſtw Plutona zdrowy.
Telemak, z płaczem żegnał, nie śćiskaiąc Dźiada,
Wyſzedł z ćiemnic; á z tego, duſza Iego rádá.
Powraca do obozu, potkáwſzy ſię daliy
Z Creteńczykámi, ktorzy o niego ſię bali.

TELEMAKA XIĘGA DZIEWIATA

SUMMARYUSZ KSIĘGI DZIEWIATEY

TElemak powraca, do woyská. Druga bitwa z Adraſtem. Bije ſię ſam ná ſam, znim. Adraſt obálony, prośi o życie; Telemak mu go dáie; Ale zdráyca powſtawſzy, do Niego ſtrzela, Lecz ſtrzálá go chybiła. Telemak ſię ná niego rzuca, y obáliwſzy go, zábija. Y ták ſię woyna skończyłá. Po ktorey, z Colligowani Krolowie przychodzą do Salentu, ogladać rząd dobry Mentora, y uczyć ſię z Iego przykładu, dobrze pánowáć u śiebie.

Tym

TYm czaſem Colligaccy, zebrani Wodzowie,
Zeszli ſię radźić z ſobą, nie o Iedney głowie.
Ieśli miáſtá Wenuzy, by nie opanować,
Ktore Adraſt, Apulom wźiąwſzy, konſerwować
Umiał. Ci Apulowie, weſzli w ligę z niemi,
Zeby ſwe odebrali, śiłámi ſpolnemi.
Adraſt Ich chćiał ukoić, y miáſto Lukánom
W ſeqweſtr oddał, by potym, ſwym wroćili Pánom.
Apulowie, ná Lukan gwarnizon, ſię dáli,
Ale prędko poſtrzegli, że ſię oſzukáli.
Bo Adraſt Ich przekupił, iák y kommendanta,
Y ták ſam wſzyſtkim rządźił, ſwoią ſztuką franta.
Tego Miáſtá, Wenuzy, mieſzkaniec odważny,
Imieniem ſwym Demophant, człek we wſzyſtko rázny,
Podiął ſię Colligatom, iednę bráme, w nocy
Poddać, ktorzy uznali, wielkie z tąd pomocy.
Bo Adraſt blisko w zamku, tak żywnośći złożył,
Iak y Ammunicyi Magazyn záłożył.
Ten zamek, całeby Ich mocy nie wytrzymał,
Gdyby Wenuzę, Zołnierz Colligacki trzymał.
Philoktet y z Neſtorem, tego ſię chwyćili,
Y záżyć okázyi tákiey, ſię zgodźili.
Wſzyſcy Inśi wraz poſzli, zá poważnym zdániem;
Lecz Telemak ſię oparł, aż z uśiłowaniem.
Nie wątpię (rzekł) że, ieśli oſzukać ſię kogo
Godźi! to pewnie tego, ktory zdradą ſrogą,
Nie iednego oſzukał. Tákże Ia wiem y to,
Ze gdyby od nas miáſto, Wenuzę podbito,
Swebyśmy odebrali, kiedy Apulowie,
Co tu z nami woiuią, ſą Miáſtá Pánowie.
Przyznaię, że racyą, odebrać to, maćie,
Co przekupem doſtąpił Adraſt, przy zápłáćie.
Także ią zá ſwą! może ten zdrayca rachować!
Zgadzam ſię, że y Zámek, prędko opánować
Możećie, y zábrawſzy Inſtrumenta boynę,
Zákończyćie w ieden raz, tę z Adraſtem woynę.
Ale nie uważaćie, że gdy kto chce słynąć!
Niż zwyćiężać ſpoſobem tákim, lepiey zginąć.
Azaż zdradę, przez zdradę, wypłacać ſię godźi!
Niech ſię o nas, w Kronikach, táká wieść nie rodźi;

Ze ták śiłá śię Krolow, z sobą zligowali,
Aby zdrady Adrafta, zdradami károli.
Ieśli śię to nam godźi, co y Adraſtowi!
To on nic już nie winien (wżdyć to káżdy powi)
Y darmo go zá zdrady, my Iego karzemy,
Kiedy go náśladować, nową zdradą chcemy.
Iak! cáła Hesperya, ták śiłą Grekámi,
Wsparta, y Troj pyszney, temiż zwyćiezcami,
Inszego mieć oręża, nad zdradę, nie może!
Na zdrady Adraſtowe! nie day tego Boże.
Wszakeśćie Apulowie, przyśięgli ná Bogi,
Ze odebran nie będźie, ten depozyt drogi,
Z rąk Lukánow! Y lubo, twierdźićie nie wczas to,
Ze przekupny Gwarnizon, ma Adraſt y Miásto;
Iednak przećie Lukánow, ten Gwarnizon słucha,
Y choć Adrastowego, ma już w sobie ducha,
Przećież, áni sam w Mieśćie postał, ni człek Iego,
Toć tráktat y przyśięga, waloru swoiego,
Nie trácą. A zaż tylko, godźi śię záchowáć
Przyśięgę, poki pretext nie przyjdźie, ią psowáć!
Y tylkoż, w dotrzymaniu, wiernym bydź náleży,
Poki śię okazyjki, do pożytku świeżey,
Nie tráfi! Ieśli Bogi, przy swoiey boiáźńi,
Nie są u was, w odmienie tey Imprezy, ważni!
Niech was reputacya, dotknie w waszey sláwie,
Y odradźi nie męski przykład, w tákiey sprawie.
Przyśięgę łamać, swego, nie dotrzymać słowa,
Nigdźie pokoy nie pewny, á woyna gotowa.
Ktory sąśiad wam ufáć! kto śię nie bać będźie!
Kto bespiecznie ná słowie, wżdy waszym uśiędźie!
Iákim potym sposobem, wyperswaduiećie
Szczerość wasza y wierność! kiedy ią łamiećie.
Uczyńićieli tráktat! nie będą wam wierzyć;
Przyśiężećie! to z tego potym będą mierzyć,
Iák ią teraz łamiećie. A ták, ni pokoiu
Nie będźiećie bespieczni, ni woyny y boiu.
Cokolwiek od was przyjdźie, zá pokoy pokryty,
A zá woynę otwartą, w nieszczerośći skrytey,
Mieć to będą sąśiedźi; Y rzec mogę śmiele:
Ze zá wieczne mieć będą was nieprzyiáćiele.

Y co reputacyi będźie się tykáło,
Lub wam konfidencyi nábyćby się zdało,
Nigdy nie otrzymaćie, áni dokáżećie,
Ni żeby wam ufano, wyperswaduiećie.
Wostatku (rzekł Telemak) iest Interes inny,
Ktory wam do uwagi, chcę Ia podać winney:
Ten proceder zdradliwy, ligę nászą psuie,
Rozrywa, y z niey pewnie, Adrast Tryumfuie.
Ná tákie słowa, wszystko zgromadzenie wstáło,
Y iák to on rozumi! zgniewem się pytało:
Zeby ákcya, ktora dać może zwyćięstwo,
Miáłá ligi rozerwáć, Swiete społeczeństwo.
Ták: (odpowie Telemak) kto ieden drugiemu,
Z was ufáć będźie! chociay, záprzyśiężonemu!
Gdy przyśięga, ktora iest, łáncuchem u Ludźi,
Nie trzyma was, lecz owszem, do zdrady was budźi,
Kiedy się tá Maxyma w sercach wászych rodźi:
Ze się wam dla pożytkow, wiárę łamáć godźi;
Tákże y wam, wtey Lidźe, kto słowa dotrzyma!
Kiedy iáki Awantaż, łamiąc ią, poima.
Co się z wami dźiać będźie! kto się nie pospieszy,
Uprzedźić tám drugiego, gdźie zdrada ućieszy!
Odstępuiąc swey Ligi. Co mi to zá Liga!
W ktorey ieden drugiego, do zdrady wyśćiga.
Ktora, co iest naygorsza, teraźnieyszą ráda,
Sądźi zá rzecz bydź słuszną, zwyćiężać y zdradą.
Wierzćie mi, záráz się w was, nieufność zákrádnie,
Z suspicyj z niedowiarstwa, Liga ta upádnie,
Bez Adrasta stáráńiá; Gdy káżdy z was, szukáć
Będźie chciał, żeby prędzey, drugiego oszukáć.
Zdrádom Adrástá sami, ták dopomożećie;
Nie on was zruinuie, wy się rozerwiećie.
O wy! mądrze wspaniali, zebráni Krolowie,
Ktorych się cne národy, tu poddały głowie,
Nie raczćie postponowáć, moią rádą młodą,
Upewniam, wásze czyny, nią się nie záwiodą.
Gdyby was [choway Boże] fortuna odmienna,
Przywiodłá o przegraną; To dźielność woienna,
Rátowáć by was mogła, choćbyśćie przegráli,
Męstwem byśćie się poprzeć z nowu spodźiewáli.

Zgruntu, dźielność prawdźiwa, nie da ſię potłumić.
Ale honor ſtráćiwſzy, náprawić go umić!
Y zgwałcone raz słowo! to rzecz niewidźiana,
Y odyskać ſtrácona ufność, niesłychana.
Dopieroż, Ludźi, iáko! z nowu przywiedźiećie!
Do ſzacunku cnot, kiedy, ráz Ich odwiedźiećie.
A czegoż ſię boićie! azaż ſerca máło
Maćie! żeby zwyćiężać zdradą, wam ſię chciáło!
Nie maćie doſyć męſtwa! y woysk ludnych tylo!
Woiuymy, nie zdradzaymy; Umrzeć raczey z śiłą
Niż zwyćiężać konceptem. Ow Adrast bezbożny,
Wrękach náſzych iest pewnie; y Bog z námi możny,
Dopomoże, byleśmy, nie náśladowali,
Iego zdrad, ále męstwem, złość Iego kárali.
Gdy ták skończył Telemak, postrzegł, że z ust Iego,
Słodka ſzła perſwazya, do ſercá káżdego.
Uważył, że tych Wodzow, cále zgromadzenie,
Approbowáć poczęło, przez długie milczenie.
Ktoremu, nie ták słodycz słow, ſię podobáłá,
Iáko moc prawdy godney, Ich záwoiowáłá.
Zádumienie ná twárzy, już káżdego znácznie,
Potym ſzemrać poczęło, zgromadzenie zácne.
Ten pátrzy ná drugiego, nikt ſię nie ośmieli,
Pierwſzy mowić, bo wſzyſcy, ná stárſzych pátrzeli.
Od tych pátrzą początku, ledwo utrzymuią
Słowa, ktore Im honor, y sława, dyktuią.
Ná koniec, zácny Nestor, ták w ſwey począł mowie:
Godny Synu Uliſſa, ták przez ćię Bogowie,
Przemowili; Minerwa, Oycem twym władałá,
Y przez ćiebie taż teráz, Bigini gadáłá.
Onáć to dáłá rádę, mądrą, y cnotliwą,
Nie pátrzę Ia, ná młodość twoią, iáko żywo,
Lecz ná zdánie Minerwy; Tyś cnotę obronił,
Y nas Iey obráženia, wyznaniem ochronił.
Bez niey wſzystkie pożytki, zwać ſię stráta mogą,
Bez niey pomsta nas kárzą, nieprzyiáźni ſrogą.
Bez niey, y Colligatow ufność, wraz upádá,
Nabywa ſię gniew Boski, Ludźi dobrych zwádá.
Zá tym, w rękach Lukánow, Wenuzę zostawmy,
Y bić męstwem Adrástá, więcey ſię nie bawmy.

Zgromadzenie, tak mądre utwierdźiło zdánie,
Káżdy zaś Telemaká, iák iákie zesłánie
Boskie, sobie uważał; y wlepiał weń oczy,
Ze z niego cna Minerwa, swoią mądrość toczy.
Prędko potym, Insza się qwestya tráfiłá,
Wradźie Krolow, co sławy, nie mniey mu nábyłá:
Okrutny, y zdradliwy Adrast, sztuki záżył,
Y zbiega, do obozu Ich się posłać ważył,
W Imie Akant; A ten, miał wszystkich potruć Pánow,
Telemaka naypierwey, Krolow y Hetmanow.
Telemak, z náturalney swoiey poććiwośći,
Nic złego w nim nie sądząc, przyiął go w ufności.
Umiał Akant się udać, á gdy nieszczęśliwym
Opowiadał się bydź mu, czynił się życzliwym.
Iak go Adrast ukrzywdźił, y z obozu wygnał,
Y szukáć protekcyi, przymuśił y przygnał.
Ze Oyca Ulissesa, w Sycyliyskich kráiách,
Widźiał, y práwił zaráz, mu o rożnych baiach.
Tak uwiodł Telemaká, że go przyiął, żywił,
Nie wiedząc, że zá nadrzem, węża sam odżywił.
Wtym zbiega, Aryona Imieniem, złápáno,
Ktorego do Adrastá, wypráwił był ráno
Akant, dáiąc o wszystkim znać obozu stánie,
Aże prędko potruie (iego rozkázánie
Wypełniaiąc) Hetmanow, na iednym bankiećie,
Gdźie Telemak, częstować będźie, w swym namiećie.
Aryon, się złapany, przyznał do wszystkiego,
Padła myśl ná Akanta, że o zdradźie Iego
Wiedźiał dobrze; Bo bardzo, y wprzyiaźni żyli,
Wielkie porozumienie zdrady, więc czynili.
Lecz Akant niestrworzony, pokryć umieiący,
Tak go mądrze sam bronił, ná ow sąd gorący,
Ze ni conspiracyi doćiec nie możono,
Ani go konwinkowáć, żadną mogli stroną.
Siłu Krolow, to zdanie, ná Akanta było,
Aby się przez smierć iego, tey boiáźńi zbyło,
Ktorą czynił, swą zdradę, upornie trzymaiąc,
Lepiey Krolow salwowáć siłu, zábijaiąc
Iednego, choć niewinny, choćby dla postrachu,
Od zámysłu rownego, y drugich zámachu.

Www 2 Odpo-

Odpowiedźiał Telemak: Coż to zá maxyma!
Y okrutna was teraz, polityka trzyma!
Tákżeśćie ſą, krwi Ludzkiey hoyni, o Rycerze!
Nie pomniąc, żeśćie Ludźi, ſą iáko Páſterze!
Ze niemi nie rządźićie, chcąc ich konſerwować,
Ale, abyśćie mogli tráćić Ich, y pſować.
Tośćie wy Wilcy, á nie Paſterze, oſzczędni!
Ná zgubę trzody ſwoiey, nie ná żyćie zrzędni.
To według was, ten winien! co ieſt oskarżony!
Y kto ieſt w ſuſpicyi, już nie ma obrony!
Ták, dobrzy, ná zázdroſnych dyskrecyi, będą,
Y kálumniy złych Ludźi, nigdy ſię nie zbędą.
Im więcey ſuſpicya, was ták opánuie,
Tym więcey, choć niewinnych Ludźi, zruinuie.
Telemak, te ſam słowa, z taką mowił wagą,
Ze ſię każdy zdumiewał, nad Iego odwagą.
Wſtyd obracał ná tych, co zábićie radźili,
Y rády niebeſpieczney, Authorami byli.
Potym ſię uſpokoił, dokładaiąc słowa:
A mnie nie ieſt ták miłá, moia z żyćiem głowa,
Abym ią okupował, głową niewinnego,
Wolę widźieć Akanta, niż śiebie ſamego.
Y żeby mi wźiął żyćie onże, choć zdradliwie,
Niż, żebym go umorzyć miał, nieſpráwiedliwie.
Ale wy, o Krolowie! y národow Sędźie!
Niech moia reflexya, wam przyiemna będźie;
Oſtrożnie wraz y mądrze, y náder ćierpliwie,
Sądźić trzebá, kto zechce, ſądźić ſpráwiedliwie.
Pozwolćie mi, Akantá, w oczach waſzych ſpytać,
Może ſię pono, w moich ſam qweſtyach zchwytać.
Tak záráz wźiął Akántá, ſam examinować:
Przeco miał z Aryonem, wielką przyiazń chować!
Mądrze circumſtáncye rozſtrząſa wſzelakie,
A qweſtye, co raz mu, zádáie inakie.
Raz mowi: że odeſzle, już go Adrastowi,
Pátrzy czy ſię nie zlęknie, y co ná to powi!
Lecz Akant, áni głoſu, ni twarzy nie mieni,
Ták, że go już Telemak, bydź niewinnym mieni.
Ná koniec, ieſzcze ieden ſpoſob, mu przychodźi,
Ktorym kſztałtnie, ták z niego, ſwey prawdy dochodźi:

Rzecze: Day mi twoy pierśćień, co go Adrástowi
Poſzlę od ciebie; Aż ſię oczy Akantowi
Mienią, y twarz blednieie; niewie co rzecz ná to,
To posłanie pierśćienia, ſądźi ſwoią strátą.
Wnet to postrzegł Telemak, y pierśćień ten bierze,
Mowiąc Doydźiem tu prawdy ſzukaney, wtey mierze,
Poſzlę go Adrastowi, ſekretnie od ćiebie,
Przez tákiego, co bywał w tákowey potrzebie;
Ten, ieżeli postrzeże, żeś tu iest posłány
Od Adrastá, by oboz náſz, był ſzpiegowany,
Wiedz że śmierći okrutney, y męki nie uydźieſz;
Ieśli zaś wolno przyznaſz, to też wolno poydźieſz.
Y tylko, iáko zdraycę, tym ćię pokarzemy,
Ze ćię ná puſzczą pustą, żywo odeślemy.
Wnet Akant wſzyſtko przyznał. Telemak otrzymał,
Ze go żywo puſzczono, y słowa dotrzymał.
Ná wyſpę Echinadę, zdraycę odesłano.
Wkrotce, Ieden Daun, co go Dyoskorem zwano,
Wſzedł w nocy do obozu, ten brał ná ſwą ſzyię,
Ze Adrasta, w ſwym woysku, zdradliwie zábije.
Y pewnie mogł to zrobić; bo kto życia ſwego
Nie ſzacuie, ten Pánem, może bydź cudzego.
Ten człowiek chciał ſię pomśćić, maiąc krzywdę bidny,
Że mu Adraſt wźiął Zonę, zbyt piękną, bezwſtydny.
Miał zaś pewne ſpoſoby, do namiotu wchodźić
Adráſtá, w każdą chwilę do niego przychodźić.
Y z nim trzymać, Dauneńskich kilku Wodzow, miáło;
Lecz żeby wtey ſię lepiey, Impreźie udało,
Prośił on Colligatow, áby wten czas, wpadli
W oboz, kiedy Adráſtá rznąć będą, zajadli.
By pod czas zamieſzania, mogł lepiey onego,
Zábić Krolá, y pomſty, uyść od Ludźi Iego.
Kiedy ták Dyoskorus, Intencyą ſwoią,
Krolom wyexplikował, wſzyſcy milcząc ſtoią,
Patrząc ná Telemaká, y nikt decydować,
Przed nim nie chce; A on ſię chciał tak explikować:
Bogowie, co od zdraycow, nas dźiś zachowali,
Niech bronią nas, abyśmy, takich záżywali.
Choćbyśmy tylo cnoty, ná zdrad obrzydzenie
Nie mieli, to dla ſamych nas, ieſt odrzucenie

Tey Imprezy potrzebne; Bo gdy przykład damy,
Zabijać zdradą Ludźi, sami bać się mamy.
Kto z nas będźie bespieczen? A nuż Adrast śmiáły,
Nie zginie w tey Impreźie, y zostánie cały!
Nie woyną, lecz zaboystwem, náśza woyna będźie,
Kiedy cnoty poboźney, u nas się pozbędźie.
A zátym konkluduię: Związać zdraycę złego,
Adrástowi go posłać, lub niegodźien tego.
Grecya z Hesperyą, niech tę od nas maią
Sławę, że Colligaći Ich, cnotę kochaią.
Tośmy czynić, y dla swey Estymy, powinni,
Y Bogom, złym się brzydźić, my iesteśmy winni.
Tak zaraz Dyoskora, słáno Adrastowi.
Ktory nie mniey się zdumiał, swemu przypadkowi,
Niż cnoćie Colligatow. Zá wielkie miał dźiwy,
Zeby, sam będąc zdraycą, zdraycy uszedł żywy.
Ludźie źli, cnotę szczerą, zá rzecz dźiwną maią,
Ale, iáko y Adrast, iey nie uznawaią,
Lubo się ley dźiwuią. A ten Ich postępek,
Przywodźił mu ná pamięć, Iego zaś występek.
Ze wstydem przypominał, swoie oszukania,
Y okrutne akcye, niegodne stárania.
Y z tąd myślał, iákoby tę poniżyć sprawę;
Wstydał się bydź niewdźięcznym; Niewiedźiał iák sławę
Odiąć tey Ich akcyi. [Bo Ludźie co w złośći
Zabrnęli, bardźiey twardźi są, w swey záwźiętośći,
Gdy Cnoty dobrych widzą] Ze Ich pomnożoną
Widźiał sławę tym czynem, á swoią zniżoną;
Myślał, inszym sposobem, swoy honor pomnożyć,
Y ná nowe zwyćięstwo, swoią głowę łożyć.
Nie mogąc cnotą zrownać, chciał Ich śćigać męstwem,
Y złe spráwy nadgradzać dźiełem, y zwyćięstwem.
Przeto się rezolwował, bić się prędko z niemi.
Gdy dźień przyszedł potrzeby; A jutrzenka swemi,
Ledwo wrota rękoma, słońcu otworzyłá;
Aż Telemak, ktorego ostrożność, tak byłá
Wielka, iáko y dźielność; ze snu się porywa,
Y wszystkich przełożonych woyska, z sobą wzywa.
Szyszak białym buńczukiem, lśńił ná głowie Iego,
A zbroia blask czyniłá, w oczach zaś káżdego.

Tá Wulkana robotá, iáko cene miáłá,
Ták z Egydy Niebieskiey, dźielność swoia bráłá.
Wiedney ręce miał włocznią, á drugą skázywał
Mieysce szyku káżdego, gdźie kogo zażywał.
Minerwa, w oczy Iego, ogień Boski wláłá,
W twarz powagę, zwyćięstwo, juz obiecowáłá.
Ták szedł; A zaś Krolowie, iakby zápomnieli
Lát stárszych, y mieysc wyższych, zá nim się ćiągnęli.
Zwykłá záżdrość, z ich sercá, cále ustępuie,
Minerwa go prowadźi, y z nim postępuie.
Iego akcya nie ma, nic popędliwego,
Cicho, ćierpliwie słucha, spokoynie káżdego.
Przyjmuie wszelkie rády, sam z dźiwną pilnośćią,
Y nie mnieysza, ná wszystkie rzeczy, opátrznośćią,
Dysponuie iák trzebá, y wszystko układá,
By z konfuzyi iáká, nie byłá záwádá.
Błędy cudze wymawia, mile poprawuie,
Sam trudnośći uprzedza, á nie pretenduie
Nic ćiężkiego od drugich; ufność w sercá wlewa,
Roskazuiąc, rzetelnych słow, do nich záżywa.
Dla poięćia lepszego, ordynans powtarza,
Ni się ná niepoiętnych gniewa, ni zachmarzá.
Zrozumiawszy, Ieśli go, kto dobrze zrozumiał,
Poufale wyraźić swe zámysły, umiał.
A poznawszy, że poiął, co mu roskázował,
Nim go puśćił od śiebie, wprzod go karesował.
Y ták ći, co Ich posłał, od Iego miłośći,
Zábierali do męstwa, sercá y dźielnośći.
Choć by się nie udało, nic go się nie bali;
Bo, że wszystkich wymawia, już go dobrze znali.
Horyzont się zápálał, od słońca, czerwono,
Od dnia się rodzącego, morze swoia stroną,
Gorzało iák płomieniem. A morskie zaś brzegi,
Okryte bronią, Ludźmi, y koni szeregi.
Wszystko się rusza; á tent, podobny bałwanom
Morskim był, y płynącym, Neptuna táránom.
Mars zaś, hukiem zbroy y broń, apparatem woyny,
W sercach wzbudzał jad z gniewem, furor niespokoyny.
Po polach piki gęste, y włocznie sterczały,
Iak kiedy kłosem, bywa okryty, świát cáły.

Iuż ſię tuman podnośi, y źiemię od oczy,
Zákrywa; á okrutna śmierć, już ſię tam toczy.
Ledwo pierwſzy Harcownik, ku ſobie ſię bierze,
Telemak, ręce wzniośſzy do Niebá, w tey mierze.
Záwołá: Oycze Bogow Iowiſzu, y Ludźi!
Niechay Cię, ſpráwiedliwość náſza, dźiś pobudźi!
Wſzak pokoy ofiárować, my ſię nie wſtydźili,
Y teraz, gdyby można, byśmy ſię nie bili,
Radźibyśmy, krew Ludzką, y życie ochronić!
Ale ſię okrutnemu zdraycy, muśiem bronić.
Patrz, y rozſądz między nim, ty y między nami!
Ieśli umrzeć potrzebá! twoiemi rękámi,
Dyſponuy życiem náſzym; Ieślić uwolnienie
Heſperyi, potrzebne! Tyranna zniſzczenie!
To twey mocy, y Corki Minerwy, mądrośći,
Zwyćięſtwo przypiſzęmy, nie náſzey dźielnośći.
Tobie sławá ztąd będźie; Bo ty iák na ſzali,
Bitwy ważyſz, do niey ſię, zá Cię, będźiem brali.
Tyś ſam Sędźia, y Adraſt tobie nieprzyiaźny,
Bardźiey niż nam, gdy w wſzyſtkie, niecnoty odważny.
Ieżeli ſtrona naſza, dźiś wygra ſzczęśliwá!
Sto wołow zarznie ręká, wdźięczna y życzliwa.
To rzekſzy, puśćił cugle, koniom zápálonym,
Puśćił ſię ku ſzerogom, naybardźiey śćiśnionym.
Naypierwey, Peryandra potyka, ſtráſznego,
Lwią skorą (iák Herkules) całe okrytego,
Ktorego ſam był zabił; A w ręku maczuga,
Poſtać ćiáłá, iák olbrzym, rozrosła y długa.
Iak uyzrzał Telemaka, wzgardźił młodość Iego,
Czy nie ty nam przeſzkodźiſz! do zwyćięſtwa cnego!
Idź Dźiećie (rzekł) y Oyca ſzukay, między ćienie.
A to rzekſzy, Maczugę wzniosł, ná uderzenie
Smiertelne Telemaka. Lecz on ſię umyka,
Y iak orzeł tak byſtro, rzuca ſię y zmyka.
Maczuga Peryandra, ná ſtronę upádłá,
Chybiłá Telemaka, tá ręka záiádłá.
Telemak zaś nie chybił, lecz wgarło poćiskiem,
Uderzył Peryandra, aż krew lunął pyskiem.
Tá w nim głos udusiłá, konie, iż nie czuią
Lecow w woźie, bez rządcy, po ſzykach ſię ſnuią.

Spada

Spada z wozu, z oczyma, życiu zámknietemi,
Blada śmierć, już uśiadłá, z kolorami swemi,
Ná twarzy z trupieszaley. Telemak żałuie,
Lwia sobie skore, ná znak sławy, zostawuie.
A ciało oddał sługom. Sam zaś w wielkim pędźie,
Szuka w kupie Adrasta, y ściga go wszędźie.
Gdy końca woyny szuka, w tym nieprzyiaćielu,
Przesyłá przed nim do piekł, Bohatyrow wielu.
Zginął Hyze; postradał wozu, z czterma koni,
Chowanych nad Lauzydą. Darmo się do broni
Porywa Demoleon; ktory Sykulskiego
Eryxa, w poiedynkach zrownał, odważnego.
Krantor leży, co niegdy, Herkulesa chował,
Gdy w Hesperze Kákusa, ten mocarz, zwoiował.
Hypokòón, cny Ieźdźieć, rowny Kástorowi,
Cny w myślistwie Erymed, ktory niedźwiedźiowi,
Y Dźikom się opierał, w gorze Apenninie,
Krwią oblany zwierzęcą, teraz w swoiey ginie.
Y ktory był ták miły, Bogini Dyanie,
Że go sama uczyłá, strzelać w biegu Łanie.
Nikostrat padł, ktory to, zwoiował Olbrzyma,
Co ná gorze Garganie, stráśznie się nádyma.
Padł Eleand, ktory był Filoę zrękował,
Corkę zrzodłá Liryssa, Co ią ofiárował
Pierwszemu, ktoby zábił, Skrzydlastego węża,
Zesłánego od Bogow, Filoy zá męża.
Ten Eleand, miłośćią, śliczney dźiewki zdięty,
Podiął się zábić monstrum, przez cud niepoięty.
Ale swego zwyćięstwa, nie zażył nadgrody,
Bo kiedy się Filoe, gotuie ná gody,
Y czeka Eleanda, biedna, niećierpliwie,
Przychodźi wieść, że zginął w boiu, nieszczęśliwie.
Wzdychaniem, lásy, gory, nápełnia y głosy,
Y oczy topi we łzach, targa śliczne włosy.
Zrzuca wieńce, y kwiáty, skárzy się ná Bogi,
Ktorzy pátrząc ná żal Iey, w dźień y w nocy, srogi,
Zakończyli Iey żale, w rzekę przemieniaiąc
Ciało iey, ktora płynie z zrzodłem się złączaiąc,
Oyca swego. Lecz woda, gorzka do tąd płynie,
Y nad smutnym Iey brzegiem, kwiát się nie rozwinie.

Z swoiey strony też Adrast, gdy się dowiaduie;
Ze Telemak rozgania, bije, y woiuie,
Y wszędzie, strách przed sobą posyła, y śieie;
Y on go też sam szuka; maiąc wtym nadźieię:
Ze młodość Telemaka, Iemu nie wytrzyma,
A trzydźiestu Daunczykow, koło śiebie trzyma.
Ktorzy męstwa, y śiły byli niezrownaney;
Tych ujął, przy nadgrodźie, łáski obiecaney,
Zeby na krok go w boiu, nie odstępowali,
A Telemaka zábić, dusznie się stáráli.
Gdyby go wtym momenćie, dośćignęli byli;
Y ná woz iego, ze wsząd, byli uderzyli,
Iużby zginął Telemak. Lecz Minerwa zwiodła,
Y w Insze mieysce Ichże, uderżyć przywiodłá.
Ze ná iedney dolinie, słyszał Telemaka,
Zdało się Adráſtowi; tam szuka Iunaká.
Gdźie wpadszy, Hufiec zmieszał; ale miásto niego,
Záſtáie w tym szeregu, Nestora stárego.
Ktory ręką już drżącą, rzuca swe pociski,
Lecz od Adrástá, śmierći, wśćiekłego, był bliski.
Gdyby mężnych Piliow, Pułk nie okrył Dźiádá.
Chmara strzał, y poćiskow, od ktorych upádá,
Zobu stron moc Rycerzow, powietrze zákrywa,
Huk broni, głos ginących, srogo się dobywa.
Ziemia drży, trupy lecą, krew strumieniem płynie;
Bellona y Mars pátrzy, ćieszac się, iák ginie,
Lud gęsty. Postroieni, rázem, wbarwę krwawą,
Wzbudzaią, iák ná nowe, záiadłość w nich żwawą.
Te Bostwa, nieprzyiaźne plemieniu Ludzkiemu,
Odięły kompassyą, tam sercu káżdemu.
Zniosły moderacyą; Owszem, już zaiadłym,
Szaleńszą pomstę radzą, nieco podupadłym.
Záżarći, żaden swemu, y krty nie folguie,
Wszędźie śmierć, strách, morderstwo, po szykach się snuie.
Sama Pallas, tak mądra, uięta litośćią,
Odchodźi, y brzydźi się, taką záiadłośćią.
A tym czasem, Philoktet, idźie ná rátunek
Nestora, (niosąc strzały, ow cny podarunek,
Dźielnego Herkulesa) Zły Adrast, ktorego,
Doyść nie mogąc, od Pilow swoich okrytego,

Bije

Bije ná nich, y śiłu, przez miecz, trupem kłádźie,
W tey poległ Euzylias, sławny mąż, záwadźie.
Co tak szybki był wbiegu, że żadnego śladu,
Nie zostáwiał ná piasku, gdy biegał z zakłádu,
Y rowno biegał z Euphaty, y Alphy, rzekami.
Myśliwy Entyphion, leży pod nogami.
Pretleas, kompan Troi, z Nestorem, zburzenia,
Co go kochał Achilles, z męstwa doświadczenia.
Padł y Arystogiton, co nábył z nauki
Achelloisa zrzodła, sekretu y sztuki;
W rożne się tak przemienić, iako chciał, postáći;
Ale mu nie pomogły, y on życie tráći,
Od pocisku Adrasta, áni drgnał, przebity.
Nestor, patrząc iák gęsto, Lud iego pobity,
Leći zręki Adrásta; Iak od płytkiey kosy,
Ziemię więc okrywaią, złotolśniące kłosy;
Zápomina stárośći, y mądrość go razem,
Odbiega; á on się pnie z swym słábym żelazem,
Do Syná Phisistrátá; * Ktory utrzymywał,
Męstwem boy, y tym Oyca słábego okrywał.
Ale moment fatalny, zszedł ná Phisistrátá;
Dała to Nestorowi poczuć, Iego strátá:
Ze często ná nieszczęście, my długo żyiemy,
Gdy ná nasze nieszczęścia, pátrzyć się muśiemy.
Phisistrat, śilnie pocisk, ná Adrástá rzućił,
Tak, że się sam, z impetu, ledwo nie wywroćił.
Ale Adrást się schronił; á tak dobrze zmierzył
Phisistrátá, że w sam brzuch, swą włocznią uderzył.
Wyproł mu wnet ielita, gdy pocisk wyćiąga;
A ten już blednie nędzny, y rátunku śiąga.
Ale darmo; Więdnieie, iáko kwiát rozliczny,
Urwany zręki Nymphy, urodźiwie śliczny.
Gasną oczy, głos niknie, y gdy się już chwieie,
Alić Iego Uczyćiel, lub już bez nádźieie,
Podpiera go, y ledwie, tylo czasu zbywa,
Ze go przywlokł do Oyca; Tam darmo dobywá
Głosu, y gdy ostátnie, swey miłośći, znaki,
Chce pokázáć, zádáie śmierćią żal dwoiaki.
Gdy Philoktet, z swey strony, śiekł, rąbał, woiował,
Y Impety Adrástá, mężnie utrzymował;

** Phisistrat Syn Nestora; inszy od Egipcyanina owego, ktorego Dusze widźiał Telemak w Polach Elizeyskich, z Sesostrem.*

 Wtym

Wtym Nestor nędzny, Syná, ściska zmarłe ćiáło,
Y tak woła, kiedy mu żyć śię już nie chciało:
Nieszczęsnym Ia, żem Oycem, y żem żył tak długo!
Czemuś mię Kálidońska nie ziadła Iarugo!
Ná dźikim polowaniu; lub w Cholersu drodze!
Lub gdyśmy woiowali, przed tym Troię srodze.
Tambym poległ był z sławą; co teraz w stárośći,
Bolow y wzgardy pełny, y ćięszkiey słábośći,
Dożyłem śię nieszczęśćia; y to tylko czuię,
Ze, bez żadney poćiechy żyiąc, śię frasuię.
Synu moy Phisistráćie! kiedym twego Brátá
Antylocha, był stráćił, tobą Iego strátá,
Nadgrodą przećie byłá; Teraz ćię nie maiąc,
Będę żyiąc umierał, á żył umieraiąc.
Náwet sama nadźieia, ktora nędznych ćieszy,
Ginąć z tobą, prędzey mię, do grobu pośpieszy,
Synowie! mi wydarći! ktorych słusznie lubię!
Zdami śię, że was w iednym dniu, obudwu gubię.
Smierć Iednego, odnawia, zguby dawney ránę,
A ktoż mi oczy zámknie! o dźieći kochane!
Phisistraćie! zginąłeś! iak twoy Brát, walecznie!
A Iá umrzeć nie mogę, co mi żal serdecznie.
To mowiąc chciał śię przebić, lecz go uchwycono,
Ciáło Syná wydarto, stárcá zánieśiono,
Do námiotu, we mdłośći. Gdy przyszedł do śiebie,
Nápierał śię, lecz darmo, ginąć w tey potrzebie.
Tym czásem, z Philoktetem, Adrast śię szukáli;
Iáko Lwu z Leopardem, oczy Im pałały;
Gdy obá rozdrażnieni, z sobą śię ztykáią,
Y ći furor y pomstę, w oczach swoich maią.
Smierć nie chybna tam leći kędy ktory rzući;
Wszyscy ná nich pátrzaią, gdźie śię kto obrući.
Iuż śię widzą; Philoktet, Herkulesá strzáły,
Trzyma w ręku, dotknięćiem, ktore zábijały.
Chybić nigdy nie mogą; ále Mars zábronił,
Zeby Adrást nie zginał; y tak go ochronił,
Iak y bitwę przedłużył; Bo w krwi záiuszony,
Ieszcze ten Bog, záboystwy, nie był násycony.
Do tego; Sprawiedliwi, Adrástá, Bogowie,
Nie iedney zostáwili, ná strácenie głowie.

Wmomen-

W momenćie, gdy Philoktet rzuca ſię ná niego,
Ranny od Amphilaka, ſam zoſtał młodego.
Ktory to młodźian, ták był wybornie nadobny,
Tylko Achillesowi, że ſam był podobny.
A Philoktet zaś ranny, ná młodego rzućił
Strzałę, ktorą go tráfił, że ſię wnet wywroćił.
Oczy czarne mu zgasły, uſta śliczne z bladły,
Rowne dźwięki Iutrzence, z tego ſztychu ſpadły.
Tak, że go ſam Philoktet, zábiwſzy, żałował,
Kiedy krwią ſwoią, źiemię, nieborak farbował.
Włoſy piekne, iak Pheba, w prochu ſię mataią,
Ná co ſzyki, z obu ſtron, wzaiemnie wzdychaią.
Philoktet, Amphilaka położywſzy trupem,
Nie mogł ſię ſam ućieſzyć, tym zwyćięſtwa łupem.
Krew go z rany zadaney, poczełá uchodźić,
Y nowe bole, z ſtárey rany, nań przychodźić.
Iuż lećiał ná ſtos trupow, co ná koło były;
Aż Archidam, dobywſzy, ná ratunek śiły,
Ow Thebeyczyk, z byt zręczny, chwyta go, porywa,
Y z rąk práwie Adráſtá, y z śmierći wyrywa.
A tak Adráſt, już nie ma, co by ſię oparło,
Y zwyćięstwo tak pewne, co by mu wydarło,
Wſzystko leći, ućieka, rowien rzecze oney,
Co wśi znośi, rwie laſy, bez żadney ochrony.
Telemak, krzyk zwyćięzcow, usłyſzał zdaleka,
Że wſzystko przed Adrástem, gwałtownie ućieka;
Iáko stádo Ieleni, kiedy wiec z hukane,
Przez rzeki płynie, drze ſię w skáły nieprzebrane.
Telemak, náprzod westchnął, potym gniewny ſrodze,
Rzuca micyſce gdźie ſię bił, á tam, wpilney drodze,
Bieży tych utrzymywać, ktorzy ućiekali,
Krwią okryty nadchodźi, co go ubryzgali
Zbići Nieprzyiaćiele; á zdaleka woła,
Tak, że go obie woyska, usłyſzały zgołá.
Minerwa, w oczach iego, coś zbytnie stráſznego,
Pokazálá, y nie mniey, w cudnym głośie Iego;
Ták, że gory przyległe, od niego zadrżały.
Nigdy ſam Mars, nie wyniosł, straſzniey głoſu śmiáły;
Kiedy Furyj piekielnych, owo wywoływa,
A śmierći, ran, záboystwa, do woyny więc wzywa.

Głos dźiwny Telemaka, śmiáłość swoim wraca,
A męstwo Nieprzyiaćioł, w Ieden raz wywraca.
Sam się Adrast zawstydza, że go coś zmięszało,
Y iakby coś nieszczęśćia, w krotce go czekáło.
Iuż do desperacyi, ow mocarz przychodźi,
Drżą mu trzykroć kolana, gdy daley nadchodźi.
Y trzy rázy się cofnął, nie wiedząc co czynił,
Mdły bledniele, poći się, iákby co záwinił.
Głos zchrypiały nie dáie, wymowić mu słowa,
W oczach, czarne mu płáty, kręći mu się głowa.
Podobien Orestowi, z furyi wśćiekłemu;
A co większa, że Bogow słyszał, zdało się mu:
Iakoby, ćichym głosem, wpiekłá go wołáli,
Y iákby, strászną rękę, już nad nim trzymali.
Nie widząc, coś strasznego, nad swą głową widźi,
Nádźieię z męstwem tráći, sam się sobą brzydźi.
Niknie mu już zwyćiestwo, y z rąk mu uchodźi,
Iáko dźień, kiedy słońce, pod źiemię záchodźi.
Nazbyt długo, bezbożny Adrast, záchowany,
Ná to, aby był człowiek, przez Niego kárány.
Adrast (mowię) już kresu dochodźi swoiego,
Bieży iednak przymuszon, do zgonu danego.
A zgryzotę sumnienia, wśćiekłość, z sobą wiedźie,
Torem desperacyi, nie idźie, lecz iedźie.
Ledwo co Telemaká uyzrzał, że go czeka,
Zdało mu się, że piekłá, otwarta paszczęka,
Czarne dymy wypuszcza, śmiertelne płomienie,
Ná pożarćie, y Iego, ostátnie strácenie.
Chce wołać, lecz otwarta gęba, nie wydaie
Głosu, áni słow cale; y ták się znim stáie:
Iáko, gdy kto sen strászny, zespały, maiacy,
Wymowić nic nie może, niemy choć mowiący.
Drżącą ręką, y śpieszną, rzuca poćisk z ręku,
Ná Telemaka, ktory, mężny bez zalęku,
Iak od Bogow chowany, tarczą się zásłánia,
Wiktorya go, skrzydłem okrywszy, ochrania.
Wieńce nad głową Iego, już się zda, że trzyma,
Spokoyne męstwo w oczach, nic go nie nadyma.
Y zá sámą Minerwę, wźiacby go możono
Z miną, w niebespieczeństwach, cale nie strworzoną.

Poćisk

Poćisk Adrastow, utkwił, w Telmaká paiży,
Y záraz się, do miecza porwał, Adrast chyży.
Nie daiąc czásu, aby Telemak mu oddał,
Swym poćiskiem, zá poćisk, prędko miecz mu podał.
Telemák, gdy Adrástá widźi z mieczem, złego,
Porywa się, w momenćie tymże, do swoiego.
Gdy ták, ná bijących się, tych Wodzow pátrzáły
Z obu stron woyská, bić się, zdumione przestáły.
Ućichli, patrząc ná nich, y końca tey woyny
Czekáno, ktory mocarz záwoiuie zbroyny!
Oba miecze błysnęły, iáko łyskáwice,
Krzyżuią się, á potym, zbroie y przyłbice
Tną y śieką daremnie; broń dźwięk tylko dáie,
Tłucze się darmo zbroia obu, á nie kráie.
To do śiebie przyskoczą, to się wyćiągaią,
To się chylą do śiebie, to znowu powstáią.
Ná koniec się chwyćili, y ták się ścisnęli
Iako wići więc z blusczu, albo z gęstych chmieli,
Kiedy drzewo naywyższe, gęsto opásuią;
Tak mocno się wzaiemnie, w kroku dotrzymuią.
Adrást, nic był nie strácił iesczce, swoiey śiły,
Nie miał zupełney swoiey, lecz Telemak miły.
Adrast go strząsnął nie raz, y miecz zchwytać myśli,
Ale sztuki, do swego skutku, mu nie przyszły.
Bo w momenćie, gdy złápać miecz, mu uśiłuie,
Telemak go z nienacká, ták pod pas uymuie,
Ze go podniosł, y záraz o źiemię uderzył,
Ták, że ten się zgubionym, bezbożnik uwierzył.
Y ten, co lekce ważył do tąd, wszystkie Bogi,
Pokázáł, że się boi, iák tchorz, śmierći srogiey.
Wstydźi się żebrać życia; iednak ukázuie,
Ze go prágnie, y zmiękczyć litość, uśiłuie.
Mowiąc mu: Telemaku! widzę Boskie sądy,
Ze czas przyszedł już, kárác moie przeszłe błądy.
Tylko iedno niesczęśćie, oczy nam otwiera,
Ná prawdę, ktore záwsze Fortuna záwiera.
Widzę ią; Lecz y ty wiedz: że Krol niesczęśliwy,
Godźien litośći; Wszak twoy Oćiec táki, żywy.
Telemak, co go ćisnął, ná pierśiach, kolanem,
Wyniosł miecz w gárło wrażić, będąc życia Pánem,

Ták mu záráz odpowie: Nigdy Iá niechćiáłem,
Tylko pokoiu. Ná to krew swą wylewałem.
A cudzey krwi nie pragnę; żyjże o Adraśćie
Ná záwsze; niech nauczy, przypadek teraz ćię.
Popraw się, wroć coś wydarł; pokoy przy słuszności,
Przywroć cney Hesperyi, ktorą twemi złośći
Zámięszałeś, y zdrády; żyj inszym człowiekiem,
Uznay, że ćię Bog słuszny, do źiemi iák ćwiekiem
Przybił; Y że ten ieſt Bog, záwsze spráwiedliwy,
Yże oszust y zdrayca, zawsze nieszczęśliwy.
Ze się myli, kto w gwałtach, bydź szczęśćie rozumie;
Ze ten tylko szczęśliwy, ktory szukać umie,
Státeczney, prostey cnoty; Dayże Syna swego
Metrodora nam w zastaw, y narodu swego,
Dwunastu nayznacznieyszych. A to rzekszy, wstáie,
Y o ktore go prośił, rad mu życie dáie.
Ale skoro wstał, Adrast, drugi poćisk ćisnie,
Ná niego, wnet zdradliwie, á sam chybko przyśnie.
Ten poćisk tak był ostry, tak szybko puszczony,
Zeby przebił Telmaka, gdyby uzbroiony
Nie był. A w tym zá drzewo, zwyćięzcy się chroniąc,
Umknął. Ale Telemak, záwoła nań, goniąc:
Daunowie! już widźićie, żeśmy zwyćiężyli,
Ze nam tylko tá zdrada, do krotkiey tu chwili,
Bezbożnego przedłuża; Bogow się nie boi,
A przed śmierćią ućieka, y o życie stoi.
Mowiąc, ku Daunom idźie, swoim pokázuie,
Ieden Hufiec, idź zá mną, ten niech zástępuie
Ućiec mu z pozádrzewa. Adrast się boiący,
Aby go nie opasał Lud nástępuiący,
Prosto ku nim się ruszył, y przebić się tedy,
Myślił przez Creteńczykow. Lecz Telemak, wszędy
Maiąc oko ná niego, sam mu mężnie w oczy,
Iak piorun, od Iowisza wystrzelony, skoczy.
Chwyta ręką zwyćięzką, y o źiemię wali,
Iak, wichrem obalony leży, kłos dostały.
Y lubo, już powtornie, zmiękczyć usiłuie
Pobożnego! Nie słucha, áni go záłuie.
Miecz ostry w nim utapia; y w czarne Tártáry,
Pędźi duszę bezbożną, po między złe máry.

Ledwo

Ledwo Adrast tam zginął, zaraz Daunczykowie
Nie żáłuiac, ni płacząc nic, po tey złey głowie,
Owszem się, z uwolnienia od niey, rádowali;
Ná znak pokoiu, ręce naszym wyciągali.
Metrodor, Syn Adrastow, sam źle wychowany,
Ná nie słuszność, przykłádem Oycá, wyuzdany,
Uciekł z pola; Lecz tamże, w net od niewolniká
Własnego, śmierć okrutna, y Iego potyká.
Ktorego był wolnością, y złotem dárował,
Przed zdradną ręką Iego, sam się nie uchował.
W ucieczce, z tyłu przebił tego bezbożnego,
Uciął łeb, y przyniosł go, do woyska nászego.
Zá ten czyn, woyny koniec, chcący mieć nadgrodę;
Ale każdy uważał, wierności, wtym szkodę.
Y brzydził się tą złością; zá czym go zábito.
Telemak, Metrodora Głowę, we krwi zmytą,
Widząc, ktory młodzieniec, urody wyborney
Był, y w dziwnym dowcipie, cudownie przezorny;
Gdyby był przykład Oycá, zły, go nie popsował;
Zápłákáł, y to mowiąc, rzewnie go żáłował:
Ták to młodych, fortuna zbytnia, Pánow psuie!
Im więcey w swym dowcipie, wysokości czuie,
Tym się bardziey oddala on, od cnoty drogiey!
Iabym pono nie uszedł przepáści tak srogiey,
Kiedyby mię nieszczęścia, com się w nich urodził,
Nie wrociły na ścieszki, co mię Mentor wodził.
Daunowie zgromadzeni, pokoy ofiáruią,
Lecz tudziesz, kondycyą iedną proponuią:
Aby Im wolno było, z swoiego národu,
Obrać Krolá, lepszego cnot wszystkich dowodu.
Y ktoryby, przeszłego, zniosł Krolá, niesławę;
Dziękuiąc Bogom zá tę, śmierci Iego sprawę.
Szli kupami, Telmaka rękę chcąc cáłować,
Krwią Tyranna zbroczoną. Co mieli żáłować
Swey przegraney, zá tryumf sobie poczytali,
Ze pokoiu nábyli, gdy bitwę przegrali.
Y tak w iednym momencie, owa dumna siłá,
Co wszystkim Potencyom, Hesperskim groziłá,
Przed ktorą, ták národy wielkie, bardzo drżały,
Ze od stráchu, Ich sercá, iák w ogniu gorzały,

 Upádłá;

Upádłá; á podobna, owemu gruntowi,
Ktory się zda bydź mocnym, áni upádkowi,
Nie zda się bydź podległym, lecz gdy go podbierze,
Rázem w przepaść upáda, w swoiey strászney mierze.
Często się z prácy śmieiem tákowey, podźiemney,
Co nie widząc roboty, głębokiey y ćiemney,
Rozumi że grunt stoi, że go nic nie wzruszy,
Aż rázem, w przepaść srogą, cáły się grunt kruszy.
Tak moc nie spráwiedliwa, gdy sobie gotuie,
Przez zdrády, czą fortunę, sama wykopuie
Przepáść, ná zgubę swoią; y nie Ludzkość, z zdradą;
Wywraca fundamenta, przećiwną Iey rádą.
Drżą przed nią, boią się Iey z rázu, y dźiwuią,
Aż gdy pod swym ćiężarem spádnie! náśmiewuią
Zniey śię. Bo śię nie może podnieść, żádną miárą.
Zniosszy fundament Tronu, ktory stoi wiárą.
Wzyscy Wodze woyskowi, w kupę śię zebrali,
Aby Krolá Daunczykom [iák prośili] dáli.
Z wielkim gustem, pátrzaią obozy przećiwne,
Niespodźianie złączone, y wprzyiaźni dźiwne.
Mądry Nestor przyiść nie mogł, ná nową Ich rádę,
Z stárośći, y ze smutku, miał mocną záwádę.
Oczy Iego, we zrzodła łez, śię obróćiły,
Sen, lekarz wszystkich nieszczęść, odstąpił go miły.
Nádźieia, życie sercá, naynieszczęśliwszego,
Zgasłá w nim, áni Stárzecz, pokármu żádnego
Mogł przyiąć; żyćia świátło, już w sobie obrzydźił,
Y że żył lát tak śilá, gniewał śie y wstydźił.
Pragnał nocy już wieczney, w niey swe pokryć żale,
Ani żadney poćiechy, od przyiáćioł cále
Przyjmował; Iak żałądek potraw, zepsowany;
Co mu kolwiek mowiono, nie słuchał ftroskány.
Tylko między chlipaniem wołał: Phisistrácie!
Ty mię wołasz o Synu! Iam miał zginąć zá ćię!
Idę zá tobą, y Ty, słodką śmierć mi czynisz!
Kto do śmierći pomożesz, nic mi nie záwinisz,
Abym Syná nayprędzey, mogł obaczyć swego;
To potym, y godźinę, ni słowa żadnego
Nie mowił, tylko ięczał, á ná ulgę męce,
Oczy z łzami podnośił do Nieba, y ręce.

Tym

Tym czasem, *Telemaká*, ná rádźie czekano;
Bo ćiáło *Phisistrátá*, iák duszę kochaną,
Łzami, y perfumami wonnemi, oblewał.
O miły Towarzyszu! (tákich słow dobywał)
Nie zápomnię! że mi ćię, poznawszy w Pilośie,
W Sparćie y w Hesperyi, widźieć dostało śię;
Iam ćię kochał, y Tyś mię kochał, *Przyiáćielu!*
Znałem męstwo, ktoreby przeszło Grekow wielu.
To, że sławą tak wielką, nam ćię umorzyło,
Y cnoty Achillesa, w tobie, nas zbawiło.
Statek twoy, y wymowa, byłyby zrownały!
Y tyś, iak ten Bohatyr, był mądry y śmiáły.
Miałeś táką przyiemność, ktorey trudno było,
Odiąć śię; Twey śię cnoćie, wszystko dobrze wiło.
Z ust wymowa, y twoie, w mowieniu sposoby,
Moderacya w zwadach, wielkie twe ozdoby.
Powaga przy mądrości, y rády styl śilny,
Spráwiáły, że ćię słuchać, káżdy był zbyt pilny.
Káżdy stárał śię, twoie approbować słowa,
Sercá y myśl chwytálá, bez prożności mowa.
O iák śiłá dobrego! cośmy w tobie mieli!
Fata nam, przez śmierć twoią, wszystko *wraz* odięły.
Y Phisistrat? ktoregom, dźiś ráno cáłował,
Nie zostáwił mi, tylko, ábym go żáłował?
Bodayżeś ty był zamknął oczy Nestorowi!
Nie byłby okrutnemu, podległy żalowi.
Po tych słowach, Telemak, kázáł obmyć ćiáło,
Y ránę srogą w Boku. A to zaś leżáło,
Ná łożku purpurowym, w śmierśelney bladośći.
Podobien on, pieknego drzewa, látorośći,
Co dopiero, nad drugie, ku Niebu śię pięłá,
Lecz śćięta od śiekiery, zwiędła y uschnęłá.
Tak Phisistrat, okrutney, stáł śię śmierći łupem.
Iużći, do fatalnego stosu, idą z trupem,
Smutni Pyliyczykowie, y z pełnym łez, okiem,
Y z bronią wywroconą, ćięzkim idą krokiem.
Ciáło prędko gorcie; Telemak popioły
Zbiera w Urnę, y mięsza że łzami nápoły.
Y iák skarb drogi, dáie z rąk, Kálimakowi,
Ktory był uczyćielem, *wżdy Phisistratowi.*

 Scho-

Schoway, [rzekł mu] ostátki, twego Páná drogie,
Ktore nam zostáwiły fata Iego srogie.
Oddasz Ich Oycu, ále nie wprzod, poki żale,
Nie zmnieyszą się, y stárzec, nie zmocni się cále.
To zrobiwszy *T*elemak, wszedł do Krolow kołá;
Gdźie záraz uczyniło, milczenie się zgołá.
Wszyscy go chcą wraz słuchać, czym się on zápłonął,
Y żadnego, przed nimi słowa, nie wyźionął.
Z Akcyi, ktorą zrobił, publiczne pochwały;
Wpublicznych chwałach, ten głos, y okrzykach trwały,
Ieszcze wstydu większego, Iemu przyczyniły,
Skryłby się był, gdyby mogł, ow Káwáler miły.
Ná koniec, iák o łaskę prośił, by przestano.
Mowiąc: Iest w prawdźie u mnie, chwałá, dość kochaną,
Ile kiedy pochodźi, od tych co się znaią,
Iako wy, y co cnotę, z szacunkiem kochaią;
Więc kocham chwałę od was, y dość o nią stoię,
Ale, żebym iey zbytnie nie kochał, się boię.
Bo chwały, psuią Ludźie, gdy Ich nadymaią,
*P*rożność Im, z prezumpcyą, rodzą, y zadaią.
Trzebá ná nie zásłużyć; ále Ich się chronić,
A bardźiey Ich się chronić, niżeli Ie gonić.
Nie rozeznać práwdźiwych, między fałszywemi,
Y naygorśi Tyranni, naybardźiey się niemi
Cieszą, przez swych pochlebcow. Coż zá gust, chwalonym
Bydź iak oni! A zátym, Ieślim zásłużonym!
Chwalćie nie przytomnego. Ieśli mię prawdźiwie,
Dobrym bydź rozumiećie! mniemayćiesz to żywie:
*Z*e się brzydzę prożnośćią. Ieśli szacuiećie!
Chwalić mię, iák prożnego człeka, przestániećie.
To rzekszy, już Telemak, nic nie mowił daliy,
Choć go przećie, aż w Niebo práwie, wywyższali.
Y tym sámym niedbaniem, zamknął *w*szystkim ustá,
Ze tá Scena ustálá, komplementow, pustá.
Nawet go się urazić, dłuzey chwaląc, bano,
Lecz się dźiwić záczęto, gdy chwalić przestáno.
Miłość, co Phisistratu, po śmierći pokázał,
Każdy z wielkim szacunkiem, y dobroć uważał.
Więcey woysko poćiągnął, łáskáwośći znaki,
Niż przez dowod dźielnośći w woynie, kilkoraki.

Wszyscy szepcą po ćichu: Y dobry, y mężny,
Y mądry, y cnotliwy, skromny y potężny.
Kochanek ći to Bogow! y Heros prawdźiwy!
Coś nad Ludźi maiący! w cudach o sobliwy.
Człek dobry, y Przyiaćiel, y pełen litośći,
Dobrotliwy, y przykład przyiaźney miłośći,
Roskosz tych, co z nim żyią, y już pozbył pychy,
Iak był ostry káżdemu, tak teraz iest ćichy,
Te są cnoty powabne, co sercá tykaią,
Zyćie zańbyśmy dáli, tak się podobaią.
Po tych mowach skończonych, mowić zaś poczęto:
Aby ná Tron Daunczykow, Krolá mądrze wźięto.
Większa część się zgadzałá: żeby kray podźielić,
Iáko záwoiowany; Y záráz udźielić,
Chciano Telemakowi, Arpos, zyzną źiemię,
*K*tora dwakroć do roku, káżde znośi śiemię,
Cerery, y Bachusa, z Minerwy oliwą.
Wymień (mowili) Iták, z kráiną szczęśliwą,
Dobrzeć się y Dulichy, y Zákántu skáły,
Będą, tego żyżnośćią kráiu, nádgradzały.
Oycá twego nie szukay; ktory pewnie zginął
*P*rzez pomstę Nausithoa, * Neptun go nie minął
Gniewem swoim. Y Mátká, ná co ći się przyda!
Oblężona od Gachow, pewnie się Im wyda.
Oyczyzna twa, od Bogow, ták dawno skárána,
Nie ma ći ták bydź miłá, iak tá od nas dáná.
Słuchał tych mow ćierpliwie, moy Telemak, ále
Słowa miłośne, prędzey, ná Thessalskiey skále,
Przylgną, niźli ná sercu, Telemaká cnego;
Ná te ofiárowania Ich, cále głuchego.
Odpowie: Delicye, y żadne dostátki,
Mnie nie wzruszą; mizerne te, prożnośći śiatki.
Zá nic mam lepsze kraie, y nad więcey *Ludźi*,
Przekładam mą Oyczyznę, do niey mię chęć budźi.
Więcey trosku, przy większym Pánstwie, się znayduie,
Wolnośći y pokoiu, á z tąd się uymuie.
Dość, Ludzkie życie, pełne trosku, y kłopotu;
Zeby sobie, nowemi Krolestwami, potu
Przydawać! Y dość z sobą iest co samym czynić!
Aby chćieć, złemi Ludźmi, bied sobie przyczynić.

* *Nausithous Syn Ulissesa z Kalipsy, ktora Ulisses porzućił.*

 Kto

Kto prágnie, zostać Pánem dla swoiey osoby,
Nie dla Ludźi pożytku, tylko swey ozdoby!
Ten iest *Tyran* bezbożny, bicz národu swego;
A kto zaś, chce Krolować, dla dobra Ludzkiego,
Według práwa cnych Krolow! ten w pracy niezmierney,
Nie Pan, ále opiekun, iest poddanych wierny.
Y nie dla swey roskoszy, záżywa powagi,
Lecz áby pracą, cnoćie, práwom, dodał wagi.
Pasterz, co swey nie ziada powierzoney trzody,
Ale broni od Wilká, iey szuká wygody,
*P*asąc ią; táki nie dba, áby owiec śilá
Miał, przez co większa praca, mu śię przymnożyłá.
Iam ieszcze nie Krolował, (*T*elemak dołożył)
Ale práwa czytaiąc, iużem śię tym strwożył:
Ze ćiężko, kto chce dobrze, poddanym pánować,
Národami, y Miásty, słusznie powodować.
A zá tym, z ubogiego, kontent Ia Itáku,
Szczęśćie moie y słáwá, będźie mi bez bráku,
Gdy pobożnie, y słusznie, wnim Krolować będę.
A choć tego *K*rolestwa, nie záráz nábędę,
Day Boże, y uchoway śmierći, Oycá mego,
Abym śię rządząc sobą, rządźić sam od niego
Náuczył, swych poddanych. Niech w nayftarsze látá,
Oćiec moy tam Kroluie; To moy zysk, nie strátá.
Przydał potym: Krolowie! dla śiebie, sluchayćie,
Dla was samych, Dauńczykom, Krola, zrąk swych dayćie.
Krola sprawiedliwego, ktory Ich nauczy,
Ze zaczepka sąśiadow gwałtowna, nie tuczy.
Czego ten, pod Adrastem, Národ nie poymował,
Ktory záwsze bezbożnie, z sąśiady woiował.
Krol zaś mądry y skromny, tak Ich poprowadźi,
Ze was nic nie záczepi, ani wam záwádźi.
Y będą wam powinni, zá *K*rolá dobrego,
Zá pokoiu dar miły, od was Im danego.
Nie tylko was nie rusza, lecz pobłogosławią,
Krola, rąk *w*aszych dźieło, gdy sobie wystawią.
A ieżeli przećiwnie, kray Ich podźielićie,
*T*e nieszczęśćia (przyrzekam) sobie przyczynićie:
Ten Lud, z desperacyi, znowu woynę zácznie,
Bić śię będźie o wolność; y od Bogow znacznie,

Y słu-

Y słuſznie, pomoc weźmie; ktorzy ſię Tyrańſtwem
Brzydzą; woyną nabytym, przez miecz, y krew, Pańſtwem.
Ieśli Bog zá nich ſtánie! prędko, czy powoli,
Iáko dym, ſzczęśćie waſze zniknie, we złey doli.
Rada Wodzow opuśći, á męſtwo Zołnierze,
Obfitość waſze kraie. więcey ſię nie ſzerze.
Mądrych rad, ſzczerey prawdy, słuchać nie będźiećie,
Lekkomyślna odwaga, ná ſzyki poydźiećie,
Zginiećie, y potym z was, tak będą żartować:
A te to ſą Narody? co świat záwoiować
Cáły chćiały! á teraz, przed nieprzyiaćioły,
Ućiekaią, iak owo, przed zbroynemi goły?
Bogowie to ſprawili, y tey kary godni,
Ktorzy ſię domagaią Pańſtw cudzych, w złym zgodni.
Uważayćie Panowie! Że gdy rozdźielićie,
Ten kray, po miedzy śiebie, wnet wſzyſtkie złączyćie,
Przećiw ſobie Narody. Wyśćie ná tym ſtáli,
Abyśćie Adraſtowi, Pańſtw waſzych nie dáli:
A ſami maćie czynić! co chciał ten niezbożny?
Uważćie! Co o Lidze, trzymać tey pobożney,
Będą waſzey ſąśiedźi? Daymy że wygraćie,
Z Daunienow, y z Inſzych, co Ich zá nic maćie?
Poſtáremu zginiećie; Bo waſze zwyćięſtwo,
Ktore, nie ſpráwiedliwość, ále dáło męſtwo,
Sprawi w was pretenſya, y więcey mieć chcenie;
A tak z takich pretenſyj, prędkie powadzenie.
Bo każdy, pretendować, będźie chciał, bez miáry,
Każdy według ſwey śiły, nie boiąc ſię kary,
Będźie ſzukał nadgrody; żaden z was tak śilny
Nie będźie, áby podźiał Iego, nie omylny
Był, po między drugiemi. Zgoła, co zrobićie,
Ná tym ſię ſami z ſobą, prędko powadźićie.
Y w woynę tak okrutną, niechcący wnidźiećie,
Ktorey ſię, aż do śmierći waſzey, nie zbędźiećie.
Nie lepiż! ambicyą, słuſznie moderować?
A niż przez nią nieſzczęśćia, tak wielkie gotować.
Więkſze dobro ieſt pokoy, roskoſzy niewinne,
Co z nim chodzą, obfitość, y cne dary Inne.
Tak to słáwá, przy práwie, u ſąśiad eſtyma;
Kto ſię słowa danego, y słuſzności trzyma.

Wſzyſtkie te, gruntownieyſze ſą, ſzczęśćia dowody,
Niż podbijać niesłuſznie, Państwa y Narody.
Patrzćie! bez Intereſu że mowię, Krolowie!
Że was kocham, gdy práwdę odkrywam, wtey mowie.
Gdy tak, zawſze Telemak, ſwe mowy rozwodźił,
Z powagą niewidaną! Wſzyſtkich tam przechodźił,
A Pánowie zdumieni, mądrość Iego rády,
Uważali, niewiedząc, ná ktore iść ślady?
Szmer ſię w kole uczynił, á w obozie całym,
Wprzod bywſzy, dał ſię słyſzeć, y Wodzom zdumiałym,
Daiąc znać: Cudzoźiemiec iakiś, ná te brzegi
Wyśiadł, pewnie nie iedne, wytrzymawſzy biegi.
Z kupą Ludźi zbroionych; A ten nie znaiomy,
Heroiczney ieſt miny, godnośći widomey.
Łatwo czytać ná twarzy, że ćierpiał nie mało,
Że nieſzczęśćiom, Iego ſię ſerce, nie poddało.
Ludźie, co brzegow ſtrzegą, wyśiąść mu nie dáli,
Bo, że wpaść chce gwałtownie, y pośiąść, mniemali.
Lecz on miecza dobywſzy, ſam nie uſtraſzony,
Rzekł: że ſię bronić będźie, od nich zaczepiony.
Mowił, że nic nie pragnie, tylko tu pokoiu,
A Ludzkiego przyięćia, nie myśląc o boiu.
Y wnet dobył gałązki, przy prozbie, oliwy;
Tak był od nich przyięty, iako gość cnotliwy.
Prośił, aby go do tych, zaráz prowadzono,
Co kraymi Heſperyi rządzą, y koroną.
Więc go do Krolow wiodą, razem zgromadzonych,
A nad tą relacyą, bardzo zádumionych.
Po ktorey, nieznaiomy ten, do koła wchodźi,
W każdym, miną wſpaniałą, podźiwienie rodźi.
Ledwoby go, zá Marſa przyiąć, nie potrzebá,
Gdy ná gory Theſſalskie, do woysk zchodźi z Niebá.
Wſzedſzy Rycerz, tak zaczął: Narodow Paſterze!
Krolowie, y Wodzowie, y dźielni Rycerze!
Ktorzyśćie, bez wątpienia, tu ſię zgromadźili,
Abyśćie tey oyczyzny, przećiw złym bronili,
Albo, żebyśćie kwitnąć, świętym prawom, dáli;
Proſzę, ábyśćie mnie tu, krotko posłuchali.
Człowieká, co fortuna zła, prześladowáłá,
Day Boże, áby nigdy, was ták nie tykáłá.

Iam

Iam Dyomed, Etholi Krol ow nieſzczęśliwy,
Com pod Troią, Wenerze, ránę urodźiwey
Zadał; A tey Bogini, pomſta zá mną chodźi,
Y po całym mi świećie, nowe męki rodźi.
Neptun, ktory odmowić niechce, tey Bogini,
Wiatrow, Morza impetow, igraſzką mię czyni.
Ktore, nie raz, o skáły, me okręty zbiły,
Ledwo tylko, przy żyćiu biednym, zoſtáwiły.
Wenus nie ubłagana, nadźieię mi wźięła,
Wroćić ſię do Oyczyzny moiey, y weſela,
Abym widźiał ſwe Páńſtwo, światłem ſię ochłodźił
Oyczyſtym, pod ktorymem, ſię niegdy urodźił.
A ták, zdeſperowawſzy, co mam naymilſzego,
Widźieć! Chwytam ſię brzegu, tu nieznaiomego.
Po tak gęſtych rozbićiach, odpoczynku ſzukam,
O pewne przytulenie, do ſerc waſzych pukam.
Ieśli Bogow kochaćie! á Iowiſza ile!
Ktory zwykł Cudzoźiemcow, ſam przyjmować mile;
Ieśliśćie litośćiwi! udźielćieſzmi iáki,
Kąt źiemi, ná ktorym Ia, oyczyzny mey znaki,
Y ſmutny obraz, miáſto, zoſtáwię funduiąc,
Puſtey, nie zyzney źiemi, od was potrzebuiąc.
Będźiem żyli w pokoiu, do niego ochoczy,
Ani żaden z nas, przećiw wam, nic nie wykroczy.
Będą Nieprzyiaćiołmi nam, Nieprzyiaćiele
Waśi, pod práwem waſzym, żyć będźiemy śmiele.
Gdy Dyomed ták mowił, Telemak, weń oczy
Wlepił, á rożne myśli, y paſſye toczy.
Bo kiedy, ſwe nieſzczęśćia długie, rozpowiadał;
Mniemał, że był Uliſſes; Ale iák dogadał,
Y názwał ſię Dyomed, twarz Telmaka zbladłá,
Iak kwiat od Aqwilonu, że ták myśl nie zgadłá.
Też skárgi Dyomeda, ná prześladowania
Bogini, w Telemaku dobyły wzdychania.
Przypominaiąc, Oyca troski, y fraſunki,
Przez takież, z nienawiśći Bogini, tráfunki.
A w tym łza, y rádośći, y żálu, wypryśnie
Y śćiſnąć Dyomeda, Telemak ſię ćiśnie.

Iam (rzekł) Syn Ulissesa, tobie znaiomego,
W Rezusa * poimaniu, tobie potrzebnego
Gdyś konie sławne zábrał. Także bez litości,
Ulissa Bog tráktuie, w swey nieszczęśliwośći.
Ieśli Erebu wyrok, ma bydź mi práwdźiwy!
To żywy ieſt moy Oćiec; lecz nie dla mnie żywy.
Porzućiłem moy Itak, teraz ni Itaku,
Ni Iego widźieć, nie mam szczęśćia, áni znaku.
A ták, przez me nieszczęśćia, sam osadź niebożc!
Iak do ćię kompassya, bydź w mym sercu może.
Ten my tylko pożytek, z nieszczęść odbieramy;
Ze my, nad nieszczęsnymi, kompassya mamy.
Lubom tu Cudzoźiemiec, y pełen frasunku,
Mogę iednak, coś u tych, dać Pánow, rátunku.
Bo lubo, w srogiey biedzie, moiey, wychowany,
Oyczyzny! Przećiem nie był, aż tak zágrzebany,
Aby mi byłá, twoich boiow, sławá tayna,
Z niezmiernym Achillesem, práwie iednostayna.
O! z Grekow niezwyćiężon! bądźże pewien tego,
Ze z tych Krolow, co widźisz, nie masz tu żadnego,
Zeby dobrze nie wiedźiał, co w nas ludzkość umi,
Ze bez niey, męstwo, sławá, y cnota się tłumi.
Nieszczęśćie, wielkim Ludźiom, splendoru przydaie,
A gdy go nie doznali, coś Im niedostáie.
Y gdy w nich, ćierpliwośći, nie znaydźie przykłádu,
Ieſt godność, Ieſt y sławá, lecz nie bez zawadu.
Sercom dobrym panuie, gdy ćierpiąca cnota,
Y do rátunku dobrych, wnet bierze ochota.
Dayże nam, ćiebie ćieszyć w nieszczęśćiu, stáránie,
Ponieważ iesteś naszym, przez Bogow zesłánie.
Ieſt to dar Boży, y my, zá szczęśćie mieć mamy,
Kiedy ći y rátunek y pośiłek damy.
Gdy to mowił Telemak, Dyomed zdumiony
Patrzył w niego, á w sercu, ná wskroś przerażony,
Wźiął go śćiskać, y tak się, oba obłapiali,
Iakby się już to z dawna, dobrze z sobą znali.
Godny Synu Ulissa! Dyomed mu rzecze,
Poznaię Oycá godność, w tobie młody człecze.
Nie tylko twarz w twey twarzy, lecz w słodyczy mowy,
Moc stylu, godność sensow, znak mi Ieſt gotowy.

*Rezus Krol Thracyi; pod Troią od Ulissesa y Dyomedesa, szpieguiacy oboz Grecki w nocy, poimany, y zabity.

Nieba-

Niebawem, y Philoktet, Dyomeda wita,
Sciska ieden drugiego, y o swoy traf pyta.
Ten temu, swe nieszczęścia, wzaiem rozpowiada;
Aż Philoktet, Nestora nieszczęścia, powiada.
Pewnie będzieśz rad widział Stárca, tak madrego,
Lecz śmiercią Phisistrata, nader strápionego.
Rzekł: strácił ostátniego z swoich Dźieći Syna,
W nim nádźieia ustálá, y poćiech przyczyna,
Y już nic nie zostáło, po tym miłym Synie,
Łzami, do grobu kresu, swemi, stárzec płynie.
Idź go ćieszyć. Przyiaćiel, kiedy iest życzliwy,
Naylepiey ćieszyć może, gdy sam nieszczęśliwy.
Poszli wnet do Nestora, ktory Dyomeda,
Ledwo poznał; tak zmysły odięła mu bieda.
Zrazu płakał Dyomed, y przydał frasunku;
Lecz po chwili się Starzec ućieszył z trafunku,
Widźieć w nim przyiaćiela; y gdy opisuie
Swe nieszczęśćia Dyomed, to żalu uymuie.
Dopieroż zawieszone, Iego były żale,
Gdy swe biedy Dyomed wymowił, mu w cale.
Gdy się z sobą bawili; Zebrani Krolowie,
Z Telemakiem radźili, myśląc: Iego mowie!
Y radźie, iaki koniec skuteczny dać maią?
A tak kiedy uważnie, wszystko rostrząsaią,
Telemak zaś Im radźi, y prośi uśilnie,
Aby Dyomedowi dać kray Arpos pilnie.
Zá Krola zaś Daunczykom, Onże proponuie
Człeka, co Polidamas, w Imie się mianuie.
Ten był, z Wodzow Adrasta, Zolnierz naysławnieyszy,
Lecz przeto Adrastowi, nie był naymileyszy.
Bo Adrast zazdrośćiwy, sobie przypisywać,
Chcac wszystko, Iego w woynie niechciał nic zażywać.
Często go Polidamas, taiemnie przestrzegał,
Zeby ná los fortuny, puszczać się wystrzegał,
Zyćia y Pańśtwa swego, teraźnieyszey woyny;
Ze się Lud wielki sprzyśiągł ná niego, y zbroyny.
Chciał go przywieść, áby szedł z Ludźmi, prostą drogą;
Ale Ludźie, co prawdę maią zá rzecz srogą,
Y tych co prawdę mowią, także nienawidzą,
Y ani Ich szczerośći, ni affektu widzą.

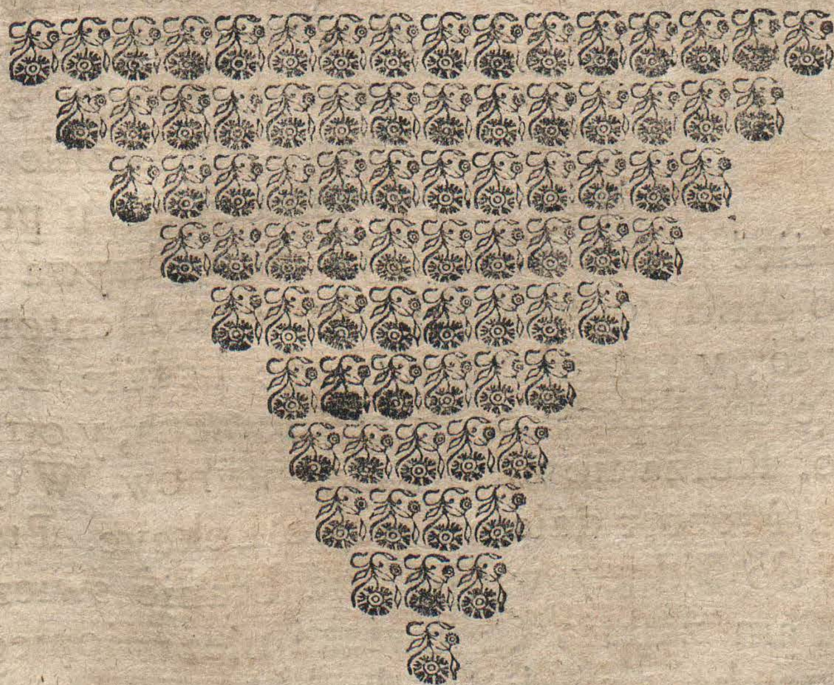
Ták fortuna zdradliwa, ſerce zatwardźáłá
Adráſtowi, y zdrowey bráć rady, nie dáłá.
Zá ktorą lubo nie ſzedł, że ſię mu udało,
Zwyćiężać nieprzyiaćioł, ztąd mu ſię tak zdało;
Ze zdrada, gwałt, niesłuſzność, ſekunduiąc męstwo,
Lepiey mu, niźli cnota, ſprawiały zwyćięstwo.
Ale że te nieſzczęśćia, co mu przepowiadał
Polidamas, nie przyſzły, kiedy ſzczęśćiem władał,
Adrast, z iego żartował mądrośći trwożliwey;
Nieznośny ſię Polidam zdał, y nie życzliwy
Wſzystkie odiął mu rzady, w ubostwie wpustyni,
Zostáwił go. Co z razu, Polidama, czyni
Smutnym, ále nieſzczęśćie, ktore go potkało,
To mu darzyło, czego mu, nic dostáwáło.
Oczy mu otwieraiąc, nad fortun mylnośćią,
Nabył mądrośći, gdy to uważał, z pilnośćią.
Ućieſzył ſię z nieſzczęśćia, milczeć ſię náuczył,
Skromnie żyć y kármić ſię cnotą, prędko wuczył.
Y ćwiczył ſię w taiemnych cnotach, w ſamym ſobie,
Y w droższey niżeli tá, co w oczach, ozdobie.
Pokázuie ſię świátu. Uczył ſię y tego,
Aby nie potrzebował, człowieka żadnego.
Mieſzkał pod gorą Gargan, gdźie skáłá sklepiona,
Dach mu czyniłá tylko, á rzeczka ſpuſzczona
Zgory, byłá piwnicą; A ſpiżarnia z drzewa,
Z ktorych śliczne owoce, ná ſtoł proſty miewa.
Miał przy tym, gruncik pola, ktory ſam rękámi,
Spráwował, y ze dwiema, żył niewolnikámi.
Z niemi, tákie ponośił, koło roli prace,
Ze mu źiemia wracáłá ſtokrotne ztąd płáce,
Nie tylko leguminy, lecz y wonne kwiáty.
Tam opłákiwał, Ludzkie, y złych Krolow ſtráty,
Do ktorych, Ambicya nie pohamowana,
Ich wiedźie. Tamże czekał, że y Iego *Páná*,
Słuſzni, choćiay leniwi, Bogowie uderzą,
Ktorym ni on, ni Iego ſzczęczkowie, nie wierzą.
Im więkſze ſzczęśćie widźiał, tym pewnieyſzą ſtrátę
Widźiał Tyrańſtw, y niecnot, niechybną zápłátę.
Nieuwaga, w ſwym ſzczęśćiu, y moc nayſtraſznieyſza,
Ieſt upadku prognoſtyk, to rzecz naypewnieyſza.

Kiedy

Kiedy zaś się dowiedział, że Adrástá zbito,
Y że sámego, w teyże potrzebie, zábito,
Nie pokázał wesela, ni, że go uchował
Bog, od Tyranna, ni że, to co prorokował,
Stało się bezbożnemu, tylko się frasuie,
O Daunczykow. Tego to Telmak promowuie,
Zá Krola Colligatow. Bo znał dźielność Iego,
Y wiedźiał, y o cnoćie, y męstwie onego.
Miał bowiem to z Mentora; y tego się chwytał,
Ze o wszystkich cnych mężach, ćiekawie się pytał.
Nie tylko, co ná woynie tey, w kupie służyli,
Ale co w nieprzyiaźnym woysku, godni byli.
Y wiedźieć Ich przymioty, naypierwsze stáránie
Miał, á to, ná zupełne, cnych náśládowanie.
Colligaći Pánowie, z rázu skrupuł mieli,
Aby Polidamasa, ná tron Daunow wźięli.
Doznaliśmy, iáko Krol Daunczykow, strászliwy,
Gdy woyny umieiętny, y oney Iest chćiwy.
Niebespieczna, tym mężnym Ludźiom, dáć zá Pánâ,
Tákiego iak Polidam dźielnego Hetmaná.
Ale Im zaś Telemak, mądrze odpowiedźiał:
Lubi woynę Polidam, dobrzem to Ia wiedźiał;
Ale lubi y Pokoy, y to nam oboie,
Powinno bydź przyiemne. Kto przez życie swoie,
Doznał woyny nieszczęśćia, niepewność, trudnośći,
Prędzey się Iey uchroni, niż Krol bez mądrośći,
Y experyencyi. On życie spokoyne,
Iuż polubił; on ganił, Adrástowi woynę.
Widźiał koniec fatalny. Krol niebespiecznieyszy,
Słáby, nieuk, niż ktory, sam umieiętnieyszy.
Bo ten, swych Faworytow, rzecz widźi, oczami,
Y o wszystkim z pysznemi radźi, podchlebcami.
Y niechcąc, da się w woynę okrutną, wprowadźić,
Nie będąc sobie Pánem; może wam záwadźić.
Y słowa, iáko woli, gdy wam nie dotrzyma,
Zgubi lub was, lub śiebie, sam się nie otrzyma.
A nie lepiż? nie pewniey? Czy nie bardźiey słusznie?
Dać Daunom Krola, co go, od was prágną dusznie,
Y ktory, Ieden może, pánowáć Im godnie.
Ná te słowa wszyscy się podpisali zgodnie.

Y záráz do Dauńczykow, Iednego posłáli:
Że Krolem Polidamas, ktorego żądali.
Gdy Imie Polidama, oni usłyszeli,
Posłowi Colligatow, ták odpowiedźieli:
Teraz dobrze widźiemy! że z námi cnotliwie;
Postąpić Colligáći chcą, y nam życzliwie,
Pokoy wieczny utrzymać; kiedy nam tákiego,
Zá Królá proponuią, Páná cnotliwego.
A gdyby niewieśćiucha, nam proponowali,
Zdrády w ofiárowaniu, mybyśmy się bali.
Mniemaiac, że obalić cáły Národ, myślą,
Gdy ná skázę praw nászych, nieuká nam przyszlą
Zá tákiby proceder, y tak pełny zdrady,
Byłoby się spodźiewać, między nami zwady.
Lecz kiedy Polidama, Krolem obieraią,
O szczerey ku nam chęći, znak nam pewny daią.
Y wzaiem wszystko dobre żeby mieli, trzebá,
Od nas, kiedy nam daią Królá, iákby z Niebá.
Ktory się, nic wolnośćiom naszym, nie sprzećiwi.
Zá tym się protestuiem, o! Bogowie żywi!
Że się wprzod do swych zrzodeł, názad rzeki wrocą,
Niż się násze przyiaźni, wżdy zwami przewrocą.
Day Boże! áby náśi, wieczni Potomkowie,
Pamiętni, zá was swoie, pokłádáli zdrowie.
Y niechay, pokolenia nasze, odnawiaią
Złoty wiek, co zrąk waszych, z Hesperyi maią.
Potym prośił Telemak, áby Arpos dali
Dyomedowi; Czego nic nie odmawiali.
Ten Lud, ktory z nim przyszedł (tak Im mowi) będźie
Zá uczynność, powinien bydź, wam wdźięcznym wszędźie.
Pamiętayćie, że Ludźie, kochać wzaiem maią
Ludźi drugich; Y co Im, źiemi użyczaią,
Nic nie trácą. Bo záwsze sąśiádow mieć muszą,
A lepiey mieć tákowych, ktorzy sercem, duszą,
Wdźięcznemi zá kray będą. Y wy się lituyćie,
Nad Krolem nieszczęśliwym, źiemi nie żáłuyćie,
Temu, ktory więzámi, wdźięcznośći y cnoty,
Nie zbędźię, do Pokoiu wiecznego, ochoty.
Y ktory was, do tego, mocnieyszemi spráwi,
Y śił waszych przyczyni, y po świećie wsłáwi.

Widźićie Daunczykowie! Ze iák było trzebá,
Tákiegośmy wam Królá dáli, co pod Niebá,
Sławę wászą wynieśie; Y wy też dla tego,
Daycie ten kray Krolowi, co iest godźien Iego.
Dauni odpowiedźieli: że Telemakowi,
Nic odmowic nie mogą; Iego affektowi
Dodać wszystko powinni, że Im zrobił Pánem,
Polidama, od wszystkich, dawno pożądanym.
Po ktorego, zárázem, wszyscy się ruszyli,
By go, wźiąwszy z pustyni, ná tron osadźili.
Ale nim odiechali, kray Dyomedowi,
Arpos oddali, onemu, osadzać Krolowi.
Colligaći, kontenći, z tego dáru byli;
Ze Grecką Colonia nową, się zmocnili.
Gdyby się Daunczykowie, porwać kiedy chćieli,
Y záczepki złey, przykład, od Adrástá wźięli.
Ták gdy woynę, pokoiem, szczęśliwie skonczyli,
Colligaccy Krolowie; Náto się zgodźili:
By w Salenćie, oglądać, Mentorowe spráwy,
Y swe formować Páństwa, do Iego ustáwy.
Lecz gdy kázdy, wprzod swoy Dom widźieć, uśiłuie,
Sam Telemak, się wdrogę, spiesznο wyprawuie.





TELEMAKA XIĘGA DZIESIATA

SUMMARYUSZ KSIĘGI DZIESIATEY

TElemak, pożegnawſzy Krolow idźie do Sálentu. Gdźie ſtánąwſzy, dźiwuie ſię odmianom, radą Mentora poczynionym. Czyni mu relacyą woyny z Adrástem: Mentor, pokázuie mu błędy Iego, y obiecuie mu prędko widźieć Oyca. Telemak mu odkrywa miłość, do Anthyopy Corki Idomena. Mentor to approbuie, y prorokuie mu, że będźie Zoną Iego. Telemak prośi o Okręt Idomena, y otrzymuie go. Ruſza ſię z kráiu Salentynow. W tym okręćie, Mentor dáie mu nowe Lekcye. Przypływaią do Iedney wyſpy, ná branie świeżey wody; Tam zástáią Człowieká nieznáiomego, ktory, ze skáły ná skáłę chodźił, niechcąc ſię

Im

Im dáć poznáć. Telemak niewiedząc przyczyny, ſam ſię w ſobie mieſza. Mentor nie powiada mu, że to był Uliſſes, áż kiedy z tey wyſpy popłynał. Záli ſię oto Telemak ná Mentora, ktory w tymże momenćie, poſtáć odmienia, y Minerwą ſię bydź pokázuie. Telemak zádumiony, pádá do nog, y dźiękuie Minerwie. Tá Bogini, podnośi go łaskáwie z źiemi, y nowe Inſtrukcye mądrośći, cnoty, y boiaźni Bogow, mu dáie; A potym z oczu Iego niknie, y zoſtàwuie Telemáka, przeniknionego wdźięcznośćią dobroći ſwoiey. Telemak ruſza ſię záráz, przypływa do Itáku; gdźie záſtáie Uliſſeſá Oycá ſwego, u wiernego Eumeuſza.

TElemak, nie bez płáczu, w drogę ſię zábiera;
Wſzyſtkich ſercá zá ſobą poćiąga, y zbiera.
Meżnego Dyomeda żegna, y ſtárego
Neſtora, w żalu ſwoim, nieukoionego.
Toż czyni z Philoktetem, ſtrzał Herkula, godnym
Dziedźicem. Wſzyſtkich żegna, affektem dowodnym.
Młody Syn Uliſſeſa, do Mentora śpieſzył,
Bo że z nim, znaydźie Oycá w Itáku, ſię ćieſzył.
Gdy zbliżał do Sálentu, zdźiwił ſię nie máło,
Ze polá w okolicy, co mu ſię doſtáło
Zoſtáwić nie ſpráwione, iak w Iakiey puſtyni,
Záſtáie iáko ogrod, co pożytek czyni.
Pełno w nich robotniká, káżdy śieie, orze;
Záwołał! twe to dźieło, o mądry Mentorze!
Ale gdy w Miáſto wchodźi, mniey już robotniká,
Do *wſpaniałych* budynkow, że *widźi*, nárzeká.
Bo Telemak, wſpániałość, Sam lubił z nátury,
Miaſt ozdobę, fortece, w nich *Pompę* y mury,

Ale prędko w tey myśli, on się reflektował,
Y miásto tey nágány, wnet się urádował.
Iednak, lubo ták mężnie ná woynie obstáwał,
Przećie się on, Mentora przymowki, obawiał.
Im się bárdźiey przybliżał, do Mentora swego,
Pilno z oczu uważał, ieśli kontent z niego.
A náprzod go Idomen, iáko Syná ściská;
Potym Telemak, zbiegszy do Mentora, zbliská,
Uchwyćił go zá szyię, y kropił ia łzami;
Ale mu Mentor rzecze: Twemi akcyami,
Dosyć mię kontentuiesz; prawda, złegoś siłá,
Nárobił, w swoich zwadach; ále ći to byłá
Okázya, poznania, samego się z sobą;
Często błąd gdy z popráwą, stáie się ozdobą.
Człowiek z błędu, pożytku, przy dobrym fráfunku,
Pod czas więcey dostáie, niż z cnych dźieł tráfunku.
Albowiem, cne uczynki, y akcye sławne,
Prowadzą w prezumpcyą, y nádęćie iáwne.
A błędy, reflexyą Człowiekowi dáią,
Y rozum, przez fortunę strácony, wrácáią.
Teraz ći nie dostáie, tylko páść ná nogi,
Y iedne tylko, głośno, chwalić Swięte Bogi.
Chwał Ludzkich nie potrzebuy; A Ia sam przyznaię,
Ześ wielkie czyny zrobił, że ći się udáię.
Ale przyznay, że nie twych rąk, to było dźieło,
Ze nie z twoich śił, męstwo tákie, wychodźiło.
A zażeś Ich nie psował, przez twoie prędkośći!
Y znaczney prezumpcyi, złe popędliwośći?
A záześ sam nie uczuł? że Minerwy Swiętey,
Przemieniony zostáłeś ręką, y uięty!
Od nieyś, był wywyższony, áż nad twoie śiły,
Od niey, twe błędy ná czas, záwieszone były.
Iako Neptun, gdy burze chce uśmierzyc cále,
Wprzod wichry pozámyká, y ugłaszcze fale.
Gdy Idmen, Creteńczykow swoich, wypytywał!
Iáko z niemi Telemak, zwyćięstwa nábywał?
Telemak w swym Mentorze, cále utopiony,
Rad słucha, y mądrośći Iego, doświadczoney.
Potym, pátrząc ná Miásto, bardzo się dźiwuie,
Ze dawney wspaniałośći, w nim nie obserwuie.

Pyta się: Czy nieszczęście, nie było tu iákie!
Ze gmachow opuszczenie, widzę w Mieście tákie?
Z kąd że to! że ni srebra nie widzę, ni złota!
Gdźie się cudna, z marmurow, podźiáłá robotá?
Suknie proste u Ludźi, á budynki mnieysze,
Rzemieślnika o male, miasto mniey Ludnieysze.
Uśmiechnie się tu Mentor, y ták mu odpowi:
Przypatrzył żeś się polom! y w koło kráiowi
Miástá! Rzecze Telemak: *Prawda*, uważałem,
Wielką prácę oracką, y grunta *widźiałem*,
Zárosłe, już dobyte. Coż tedy lepszego!
Mowi Mentor: Czy miásto, od złota pysznego,
Lśnące się, á zaś pola, bez chlebá ubogie?
Czy Miásto, skromne w gmachy, á w obfitość drogie?
Miásto wielkie, y pełne, tego Rzemieślniká,
Z ktorego roskosz wszelká, Mieszkańcow wyniká;
A to Miásto, nie żyznym kráiem, obtoczone,
Y w role, y w ogrody, w koło opuszczone,
Iest to monstrum, ktorego głowa, zbyt nabrzmiáłá,
Iest wielka, á zaś członki, schną y wiedną, ćiáłá.
Liczbá to, nie budynki, pospolstwa kárnego,
Wprzod w prace, z tąd w owoce, obfituiącego,
Czyni mocnym *Krolestwo*, prawdźiwie bogatym;
Y Idomen, że przestał, zdániu moim ná tym,
Teráz, ma niezliczony Lud, y prácowity,
A kray cáły ná koło, żyzny y obfity,
Iest iák Miásto. Y Sálent, co śiedźiał w pustyni,
Ośiadłych wśi y gęstych, teraz centrum czyni.
Im więcey kráiu, tamże, Ludźie osadzaią,
Tym więcey y owocow, z źiemi dobywaią.
To kráiu osadzenie, większe pomnażanie,
Páństwa czyni, niż nowych Páństw, záwoiowanie.
Z miástá nic nie wygnano, tylko te rzemiosłá,
Ktore ná świát dla Ludźi, rospustá przyniosłá.
Ktore to chlebá szukać, ubogim, nie dáły,
A ktore zaś bogátych, we zbytkach psowały.
Y tak teráz Idomen, będźie się znaydował
Możnieyszym, niż gdyś Iego pompie, się dźiwował.
Bo tá pompa powierzchnia, słábość Iego kryłá,
Ktoraby Páństwo Iego, prędko wywrócíłá.

Teraz, wiecey poddánych ma, y pożywienia,
Ktorzy bedąc do pracy, y chlebá robienia,
Wuczeni, beda ginać, przez cnych praw ochrone,
Aby dáli, kráiowi żyznemu, obrone,
Ktory sami sprawili. Tak, co ći sie zdały
Puste kráie, sa lepsze, w Hesperyi cáley.
Pámietay Telemaku, y miey to ná pieczy,
Ze w rządach, niebespieczne Krolom, sa dwie rzeczy:
Pierwsza wola Krolewska, niesłuszna gwałtowna,
A druga, zbytkow iest moc, w Ludźiach nie hamowna.
Kiedy sie Krole wucza, nic nie dbać ná práwo,
Tylko ná swoia wola, y przy niey stać żwawo,
Gdy cugle swoim żadzom, cale wypuszczaia!
Prawda, że moga wszystko, ale sie nie znaia:
Ze, ta moca tak zbytnia, fundament możnośći
Podbieraia, przez passyj swoich, zuchwałośći.
Sami z śiebie, nie maia reguły, do rzadu,
A człowieká nie maia, do poprávy bładu.
Káżdy sie, do pochlebstwa, przed drugim ubiega,
A nikt złemu, swa dobra ráda, nie zábiega.
Bo, z poddanych uczynił, w káżdym niewolniká,
Co madry, to ućieká, y Dworu uniká.
Aż wnet, rewolucya błyśnie, niespodźianie,
Ktora skroći zbyteczna moc, y Panowanie.
A czesto, kiedy sie chce, w przypadku rátować,
Tym samym, czym chce powstać, muśi wszystko psować.
Y nie iest, do upadku, nic sposobnieyszego,
Iáko moc Pánowania, niepowściagnianego.
Iako łuk nálożony, kiedy go nie spuszcza,
Ztwardnieie y łomie sie; Tak Pan Bog dopuszcza;
Y ná tego Idmena. Lub zbytnia powagá,
Rozum w nim, ze słusznośćia, gwałtownie przemaga,
Y lubo go, Iako wiesz, z Tronu oyczystego,
Zpedźilá, lecz nie mieni, w nim nálogu Iego.
Aż nas przysłać, Bogowie, w te kráie muśieli,
Abyśmy te moc zbytnia, y ślepa odieli,
Co Ludźiom nie przystoi. Ieszcze było trzebá,
Ná otwarćie mu oczy, iák wiesz, cudu z Niebá.
Druga rzecz, nieszczęśliwa, ktorá Páństwa psuie,
Iest zbytek. Bo iáko, moc zbytnia, Krolow truie,

Ták zbytek, Národ cáły. Ci bowiem mawiaią,
Ze zbytki, Lud ubogi, żywią zbogacaią;
Nie wiedząc, że ubodzy, więceyby zyskáli,
Gdyby z ziemi owocow, co ráz dobywali.
Nie mnożąc roskoszami, bogatych rospusty,
Miáłby się każdy dobrze kray, nie byłby pusty.
A tak zbytek, już zá rzecz, do życia potrzebną
Máią, y wymyślaią, iáko rzecz chwalebną
To, co się ná nic nie zda. Obeyść się nie mogą,
Bez tego, co dla zbytku, muszą kupić drogo.
Te zbytki, zowią modą, inwencyą rzadką,
Cwiczeniem rzemiosł Páństwa, polityką gładką.
Ten nałog, co występkow, z śiebie, siłá rodźi,
Zowią cnotą, bez ktorey, już się żyć nie godźi.
Co, iák powietrze, wszystkim zadaie zárázy.
Krewny Krola, náprzod się, náśládować waży,
Krolewskiey wspaniałośći; á Krewnych Pánowie;
Pánow Szlachta; á tych záś, Chudźipáchołkowie.
Nikt się piędźią nie mierzy, y káżdy się sadźi,
Więcey czynić niż może; Co fortunie wadźi.
Iedni, całe przez pychę, y bogactw pomocy,
Drudzy z wstydu; Tak iedno, zá drugim się toczy.
Nawet y ći, co tylo, w tym rozumu maią,
Ze ten nierząd powszechny, w drugich potępiaią;
Tylo serca nie maią' by głowę podnieśli,
Y mądrym swym przykładem, te występki znieśli.
Národ się ruinuie, stány się mieszaią,
Gdy z Pánámi, podleyśi z Pospolstwa, rownaią.
A passya, mieć dosyć, ná expensy prożne,
Psuie poććiwych, daiąc inwencye rożne.
Nioczym się nie myśli, tylko bydź bogatym,
Pożycza się, nie wraca, y nie dosyć nátym,
Tyśiąc sztuk nie godźiwych, ná zysk się záżywa,
Y z głowy, á nie z pracy, pieniądz się dobywa.
Iakoż to złe uleczyć! kedy wszyscy błądzą!
Chyba się Im cne prawa, przykładem sporządzą.
Czego nikt nie uczyni, chybá Krol rozumny,
Bardźiey rzeczą Philosof, niźli pompą dumny.
Y ktory, uskramiaiąc sam, Krolewskie czyny,
Záłoży przez swoy przykład, ná zbytnikow winy.

Ich potępi, á mądrych, swym przykładem, Ludźi,
Ze od mod nie potrzebnych, oderwą się, wzbudźi.
Co gdy słyszy Telemak, iak ze snu porwany,
Uznał prawdę tey mowy, nieoszacowaney.
Ktora się, ná umyśle iego, rysowałá,
Iak złotem ná marmurze, sztuka doskonała,
Co affekt prawie, z życiem, w kamieniu wyraża;
Kto dobrze, delikatność skulptora uważa.
Iednak, nie odpowiedźiał on nic, Mentorowi;
Ale myśl swą poddawszy, Iego dyskursowi,
Obiegł miásto oczyma, y nowe odmiany
Uważaiąc, do niego, tak rzekł, zádumiany:
Widzę, że Idomena, mędrszym uczyniłeś,
Między Krolmi Inszemi; Tak go odmieniłeś!
Ze ni Iego, ni Ludu, w cale nie poznawam;
A ia zaś, to coś zrobił z nim, większą uznawam
Rzecz, niżeli zwyćięstwo, cośmy otrzymali,
Ktore moc, y przypadek, ná woynie nam dały.
Sukcess, lubo szczęśliwy, kiedy iest ná woynie,
Zawsze gorzki, y przećie łzy wytacza hoynie;
Lecz twe dźieło, iest dźieło, Niebieskiey mądrośći,
Wszystko miło, spokoyney, pełne uprzeymośći.
O Ludzie! ktorzy sławy, usilnie szukáćie!
Czemu się, dobrze czynić Ludźiom, nie stáráćie!
Iak się nie znaćie sami? gdy świat plondruiećie!
Y krew Ludzką niewinną, tak chćiwie leiećie.
Mentor radość pokazał, y że mu iest miło,
Telmakowi, zwyćiężać, że się uprzykrzyło,
W wieku młodym; w ktorym to, będąc zaiuszony;
Był sławą tak wysoką, świeżo uwieńczony.
Potym przydał to Mentor: Prawda to, że chwały,
Godno wszystko, co widźisz, lecz nie doskonałey.
Iesczeby lepiey, mogło w prawić się, w tym rządźie.
Idomen, w prawdźie, trzyma ná wodzach, swe żądze,
Y Lud swoy moderuie; Lecz iesżcze nie mało,
Iest błądu, co z dawnego nálogu zostáło.
Gdy Ludźie, złe rzucaią, w sobie obyczaie,
Zły nałog, przećie od nich, nie záráz odstáie.
Y nátura słábieie, pod błędow dawnośćią,
Ani się da uleczyć, y cnoty miłośćią.

Szczęśliwi! ktorzy nigdy, iey nie odstąpili,
Doskonalszemi tacy, y będą, y byli.
Bogowie, Telemaku! więcey potrzebuią
Od ciebie, niż Idmena; Bo tobie skázuią,
Z dźiećinstwa prawie cnotę; Y że ći nie dáli,
Zbytnym szczęśćiem śię psować, ktorym go skárali.
Idomen (mowił Mentor) iest dość oświecony,
Ale, wkażdą rzecz weyzrzeć, zbytnie iest *włożony*.
Nie myśli generalnie, iak prowadźić správy,
Ale sam wszystko robić, swey mniemą bydź sławy.
Ten ktory rządźi Ludźmi, nie wtym sprawny będźie,
Kiedy sám wszystko czynić, chce dokázać wszędźie.
Y iest to gruba prożność, chćieć wyperswadować,
Że prawie bez pomocy, może kto pánować.
Krol iest mądry, gdy takich, dobrze *wybrać* umi,
Ktorzy po nim, są zdolni, gdy takich rozumi,
Pilnować y prowadźić. Niech oni pracuią,
A niech mu śię, z naymnieyszey akcyi, rachuią.
Cudne to pánowanie, mądrość niepoięta,
Wybrać Ludźi do rządu; Iakie ma tálenta,
Kto do czego; A tych zaś ministrow, pilnować,
Utrzymywać y rządźić, w błędach poprawować,
To sztuka; Lecz káżda rzecz, rostrząsaiąc prawie,
Iest to zázdrość, nieufność, tak szkodząca sławie,
Iáko y czas bioraca, co zaprożnia głowę,
Nie sposobna ná wielkie rzeczy. Nie gotowe
Czyni sławne Imprezy, ktore potrzebuią
Wolney myśli; A tey zaś drobiazgi uymuią.
Te pomnieysze, kolace, tak ćieżą zábáwy,
Że umysł zawikłany, w te pomnieysze správy,
Nie iest cale sposobnym. Iako drożdże z *wina*,
Mocy w sobie nie maią; Tak wigor odćina,
Myśl w wiele podźielona. Ktorzy tak panuią,
Same tylko, przytomne rzeczy, upátruią,
A *w* przyszłe, nie śćiągaią, obszernych swych myśli;
Siedzą nad tym, co teraz, ná przyszłe nie wyszli,
Z opatrznośćią powinną. Zabawni, Iednego
Dnia robotą, y tylko też, pilnuią tego.
Sprawy zaś polityczne, chcą czasu złożenia,
Y mądrego swych Intryg, z sobą ziednoczenia,

Swym porządkiem porownać, iedno z drugim trzebá,
Y w tym, gdźie applikować ſię? wiedźieć potrzebá.
Kto tey reguły nie zna, *w* ſwoim pánowaniu,
Podobien muzykowi, ktory ku śpiewaniu,
Znaleźć tonu, mądrego śpiewania, nie umi,
Y tonow zebrać w kupę, dobrze nie rozumi.
Ieſt y Architektowi, takowy podobien,
Ktory mniema, że páłác zbudował ozdobien,
Kiedy kolumn nawoźi, kámieni ćioſowych,
A nie ma, ułożonych proporcyj, gotowych,
Ani w głowie budynku; Y gdy ſalę zdobi,
Nie myśli nic o wſchodach, ni koło nich robi.
Albo, o ſrzednim myśląc, y buduiąc gmachu,
O bokach zápomina, y o słuſznym dachu.
Zgołá, Iego robota, ieſt tylko zebranie
Sztuk pieknych, á nie madre, onych układanie.
Y co miało bydź, iego, monumentem chwały,
Ieſt wſtydu, nie nauki, dokument nie mały.
Pokazuiac, że zbierać, miał doſyć nauki,
Kámienie, ale składać dobrze, nie miał ſztuki.
Taki, umysł ieſt krotki, nie daleko śiaga,
A ni ſię ná rząd drugich, dobrze nie rozściaga.
Lepiey ſię zda do zdźierſtwa, niż do rozkazania.
Niewątp, o Telemaku! że do pánowania,
Harmoniy, iak w muzyce, potrzebá ſpoſobnych,
Y iak w Architekturze, Inwencyj ozdobnych.
Zebyśmy, komparacyj tychże, ieſzcze daliy,
Do rządu takich Krolow, nieco záżywali!
Ten, co Iedną pieśń śpiewa, tylko ieſt śpiewakiem,
A nie Kapelmagiſtrem, co rządźi orſzakiem,
Muzykow Inſzych wſzyſtkich; Iako y w budynku,
*T*en, co ſię bawi, koło kámieni uczynku,
Y kawałkow robotą, tylko ieſt mularzem,
Nie całym Architektem, albo budynkarzem.
Tak, y tacy Krolowie, co ſami prácuią,
Co naymnieyſzą rzecz piſzą, y expedyuią,
Naymniey (wierzay mi) rządzą; Y lepiey ſię zdadzą,
*P*odlegać tym, co robić za ſię, Im nie dadzą.
*P*rawdźiwy umysł, do Pańſtw rządzenia dobrego!
Ieſt tego Królá, ktory, nie zdą ſię niczego

Czynić,

Czynić, á ſam, niechcacy myśli, Inwentuie,
Przeſzłe rzeczy roſtrząſa, przyſzłe prowiduie.
Ktory składa, y czyni proporcye, z czaſu,
Y gotuie, ná wſzyſtkie przypadki, zawczaſu.
Co ſię duża z fortuną, śiłą ſwey mądrości,
Iak pływacz przećiw rzecę; takiey on byſtrośći.
Zgoła, ktory nic, ná los fortuny, nie dáie,
Lecz ią związać rozumem, myśląc nie przestaie.
Rozumieſz Telemaku! że ow Malarz głowny,
Ktoremu to w robotach, nie iest żaden rowny;
Ze pracuie dźień y noc; myliſz ſię nieboże,
Cudna Imaginacya, trwać w pracy nie może.
Zgasłaby delikátność, zbytnia praca, Iego,
Więcey myśl, niźli reká, ſpráwi dowćipnego.
Rozumieſz, ze trze farby, y pędzle gotuie!
To on, uczniom więc ſwoim, tylko zostáwuie.
Sam, w Imaginacyi, mądrze utopiony,
Myśli, áby był affekt, śmiało wyrażony.
By figury Heròòw, iakby były żywe,
Ieſzcze, ogniem Marſowym tchnęły, zwyćięſtw chciwe.
Ná czaſy ſię przenośi, w ktorych oni żyli,
Circumſtancye zważa, w ktorych, w ow czas byli.
Wſzyſtko mądrze połączy, y to proponuie,
Układa, więcey głową, niż ręką maluie.
Rozumiey Telemaku! że umysłu tylo,
Y konceptu w cnym Krolu, trzebá żeby było,
Iak w Malarzu uczonym: A zatym zábáwy,
Krola ſą, myślić; á sług, exekwować ſprawy.
Telemak mu odpowie: Iać dobrze poymuię,
Co mi twoia, wymowna mądrość, opiſuie;
Ale mi ſię zda przećie, że gdyby tak rzeczy
Szły, y Krol, weyzrzeć wſzędźie, nie miał w ſwoiey pieczy,
Częſtoby ſię oſzukał. Sam ſię bardźiy myliſz,
(Rzecze Mentor) gdy ſię, w ſwym zdaniu, trzymać śiliſz.
Generalną znaiomość, rządzenia całego,
Kiedy ma Krol, w ſwym Pańſtwie, doſyć ieſt ná niego.
Krolowie, co reguły ſpraw, nie zákłádaią,
Y ktorzy, rozeznania dowćipow, nie maią,
Chodzą w ſprawach iak ślepi; Y to ſzczęśćie tylo,
Kiedy ſię w rządach ſwoich, y wſprawach nie mylą.

Nie wiedzą, do kąd ciągną! co chcą! o co stoią?
Kiedy Ludźi poććiwych, strzegą się y boią,
Co się Im z przećiwiaią. A owe zuchwałe,
Konserwuią pochlebce, co Im dáią chwałe.
Krolowie zaś, co maią, rządzenia osnowę,
Tacy wiedzą, do Poselstw, iaką wybrać głowę;
Záráz zważą, ieśli ći, ktorych to wybráli,
Dobrym się Instrumentem, do usługi zdali.
Ieśli się, ná zamysłach Pańskich, dobrze znaią!
Y ieśli, tam gdźie chce Pan, sprawy wyćiągaią.
Bo, że ći Krole, małych rzeczy, rostrąśnieniem,
Nie bawią się y prożnym, onych doścignieniem,
Czas y głowa, Im wolna, że iak iednym okiem,
Wszystko rázem, więc doyzrzą, y dościgną krokiem.
Wraz widzą wszystko dźieło, y ieśli / gdźie mierzą,
Swą głową, y swych sprawcow, do kresu uderzą.
Ieśli się w tákim rządźie, pokáże zákáłá,
To pewnie nie zbyteczna, ále bárdzo máłá.
Do tego, nie podlegli są, owey zázdrośći,
Ktora, znakiem więc bywa, dowćipu miałkośći.
Gdy chce, bez naymnieyszego, rządźić oszukánia,
Ktore pochodźi, z Ludzkiey nátury, stáránia.
Pod czas, więcey się tráći, tych się wystrzegaiąc
Co oszukać więc mogą, niż Im dozwalaiąc,
Oszukania małego. Y dość ten szczęśliwy,
Co ná małe, pobłażny, lecz ná wielkie żywy.
Wtym się, wielkość człowieka, pokázuie cnego,
Znać się ná francie, y strzedz, nie strzegąc się iego.
Nákoniec Telmakowi, Mentor odpowiedźiał:
Ze ćię lubią Bogowie, dawnom Ia to wiedźiał.
Pełne mądrośći rządy, y Páństwoć gotuią
A co twoie tu oczy, widząc obserwuią,
Nie ták się to, ná chwałę Idomena, stáło,
Iak dla twey Instrukcyi y náuki dźiało.
Mądre práwa, co widźisz, mym postánowieniem,
W Sálenćie, tylko to są, iednym práwie ćieniem;
Co ty zrobisz w Itáku, ieźli więc, odpowiesz
Wyrokom, twoią cnotą / więcey się wżdy dowiesz.
Teraz wiedz, że czas myślić, ztąd o nászey drodze;
Iest okręt już gotowy, com się stáráł srodze.

Tak

Ták Mentor, Telemaká myśli, rosporządźił
Momentá, y uczył go, áby dobrze rządźił.
Y ná żadnym go mieyscu, dłużey nie strzymywał,
Tylko, gdźie wiádomośći, y cnoty nábywał.
Gdy usłyszał Telemak, o drodze już bliskiey,
Otworzył sercá swego, (lub z wstydem) ućiski:
Ze mu ćięszko, z Sálentu wyieżdżáć, przychodźi.
Zgromisz mię pono! [rzekł mu] że me łátwo wodźi
Serce Inklinacya; leczbym, zá winnego
Miał się, gdybym przed tobą, Ia miał co taynego.
Kocham Corkę Idmena, Anthyopę miłą;
Nie rozumiey, áby to, ślepą żądzą było,
Iak owo u Kalipsy. Gdźie mię uleczyłeś,
Y tak dobrze, tych żądzy, ty mię oduczyłeś,
Ze uznawszy, iak byłá głęboká ma ráná!
Z stráchem teraz Eucharys, iest u mnie wspomniana.
Dawność czasu, wpamięći moiey, nie zmazáłá,
Ze twa mądrość, strzedz mi się y śiebie kázáłá.
Lecz, co do Anthyopy,, moie serce czuie,
Nic nie ma podobnego, áni mię to truie.
Ta miłość nie z passyi, ále iest z szacunku,
Z rozumu pochodząca iest, á nie z frasunku.
O iákbym był szczęśliwym! gdybym wiek z nią tráwił!
Gdyby Bog, Oycá znaleźć, moiego mi spráwił,
Obráć Zonę pozwolił! nie Innaby byłá,
Tylko tá Anthyopę; Ktorey cnot, ták śiłá,
W sercu miłość wznieciły. Iey mądre milczenie,
Modestya, w pokoiu, ustáwne śiedzenie,
Robota y poięćie, w szyćiu, háftowaniu,
Y dźiwna iey ostrożność, w gospodarowaniu,
Ktore mądrze u Oycá, ná dworze prowadźi,
Od śmierći Mátki swoiey, y w niwczym nie wadźi.
Do tego, iák stroiami gardźi, zbytecznemi!
Iak gardźi urodami, wstydliwie swoiemi!
Gdy Idomen, Iey káże, táńce z Creteńczyki
Wodźić, to te prowadźi, Iáko Pallas szyki.
Gdy tę Corkę prowadźi, ná łowy, kochaną,
Rownay ią, miedzy nymphy, zápewne z Dyaną.
Ták ksztáłtnie, y poważnie, ćiągnie łuk z ćięćiwy,
Nic nie widźi do śiebie, gdy wszyscy, te dźiwy.

Kiedy wchodźi do Templow, gdźie ſię czczą Bogowie,
Y w koſzach, Swięte rzeczy, nieśie więc ná głowie;
Mniemałby, ktoby nie znał, że iáká Bogini,
Mieyſca tego Swiętego, wchodźi goſpodyni.
Z iáką Swiętą boiáźnią, ofiáry dáwáłá!
Gdy z prezagiow ſmutnych, gniew Bogow błágáłá.
Ná koniec, gdy ią widźim, po między Pánnámi,
Máiącą Igłę złotą, po nad krośienkámi.
Mniemałbys, że Minerwa, w Iey poſtáći ſamá,
Przyſzłá, tych robot uczuć, co tá robi Dámá.
Bo iednym pokázuie, te do prácy budźi,
Przyśpiewuie, że żádná, w roboćie nie nudźi.
Bo Ich práwie záchwyca, głoſu melodyą,
Kiedy Im wyśpiewuie, Bogow hiſtoryą.
A kiedy wyhaftowáć cudnie, ſię pokuśi,
Naygładſze malowanie, uſtąpić Iey muśi.
Kogo Hymen z nią złączy, o iák ten ſzczęśliwy!
Bać ſię nie ma niczego, krom śmierći ſtráſzliwey.
O moy miły Mentorze! biorę w świadki Bogi,
Ze odieżdżam, lecz przećie, Anthyopy drogiey,
Do śmierći nie zápomnę. Lubo, do Itáku
Powroćić, nie zábroni, bez miłośći znaku.
Ale ieśli kto Inſzy, weźmie ią tym czáſem,
Dni moie konczyć będę, z gorzkośćią y z kwáſem.
Z tym wſzyſtkim, lub wiem, że ią ſtrácę odieżdżaiąc,
Ani Oycu, áni Iey, nie rzekę nic, táiąc
Miłość moią; Tobie ią odkrywſzy Iednemu,
Poki Oycá nie znaydę, ktoremu drugiemu,
Zwierzę ſię ſwey miłośći; y otrzymam z niego,
Konſens, z approbácyą, ożenienia tego.
Z tąd widźiſz, iák tá miłość od owey dáleká,
Co ślepo do Eucharys, wiodłá mię człowieká.
Mentor mu odpowiedźiał: Widzę Telemáku?
Maſz rácyą kochania, y dobrego ſmaku.
Rożnicę z Eucharydą, y iá tu uznáie;
Bo Anthypę skromna, ſtátek, obyczáie,
Ma Pánieńskie, y ręce Iey, nie poprożnuią,
Y w rzeczach goſpodarskich, wſzyſtko opátruią.
Umie milczeć, y Iedno, ták po drugim robi,
Ze uſtáwnie zábáwna; co tknie to ozdobi.

Ani ſię to zágmatwa, bo wſzyſtko porządkiem
Czyni, Dom Oycá żywiąc, cudownym obrządkiem.
Y lubo, ták wielkiego, ma dworu ſtáránie,
Dźiwna rzecz, że ſię żaden nie poskárży ná nię.
Tego muśi nápomnieć, odmowić drugiemu;
Co ieſt rzecz nienawiśna, záwſze, rządzącemu.
A ile Białeygłowie; Owſzem ią kochaią
Bo, bez żadney paſſyj, ią bydz uznawaią.
Ani złego humoru, áni ma lekkośći,
Przywarow, Białogłowskiey nátury, krewkośći.
Iednym práwie weyzrzeniem, posłuſznemi czyni,
Z dobroćią nápomina, kiedy kto záwini.
Nigdy nic nie rozkáże, tylko rzecz podobną;
Zgołá, dźiw ieſt! tak mądrą bydź wraz, y nádobną.
Y Oycowskie też ſerce, ták ná niey ſpoczywa,
Iak ćienia, w upał słońca, kto w gaiu záżywá.
Więc słuſznie, Telemaku, wtak miłey oſobie,
Miłość ty w Anthyopie, záłożyłeś ſobie.
Ieſt to skarb, by naydaley, ſzukáno go, godny,
Umysł piękny, przy twarzy, ták dźiwnie urodney,
Prożnośćią nie ſtroioney; A dowćip, lub żywy,
W ladá uśćiech dyskretnych, ieſt práwie ná dźiwy.
Wſzyſtkie wdźięki, w ſzczerośći, z uſt Iey wypływuią,
Y rozum, by przećiwny, zárázem krempuią.
Gdy co mowi, ći milczeć, co słuchaią, muſzą,
A w niey, z wſtydu miłego, słowa ſię zaś duſzą.
Gdy widźi Attencyą, co Iey słowom dáią,
Ledwo ſię da usłyſzeć, słowa Iey uſtáią.
Pámiętaſz Telemaku! kiedy Oćiec w gniewie,
Záwołáł iey, oná ſzła, ſama po co! nie wie;
Cienkim welum ſpuſzczonym, okrywa ſwe oczy,
Ze coś Oycu, niewolnik, gniewliwemu kroczy.
Kázáł go bić okrutnie; Iak mądrze przyznałá,
Ze ſię słuſznie rozgniewał, tak go ugłáskáłá.
Ná koniec, winowayce wymawiaiac trochę,
Záwstydzą Oycá, że miał Impety, dość płoche.
Tak go, do kompaſſyi, y słuſznośći wiodłá,
Ze go áni w reſpekćie, ni w ſpráwie nie bodłá.
Thetys, Stárca Nerea, gdy głáſzcze wſpániale,
Nie prędzey uſpokaia, poburzonę fale.

Wiem, że gdy Anthyope, władać bez przymuſy
Sercem będźie Małżonka, do cnoty go wzruſzy,
Iak teraz, lirę ſwoią, ná wdźięk więkſzy ſtroi.
Więc słuſznie, Telemaku, iá miłośći twoiey
Przyznawam, że ma oczy; Iuż ći Ią Bogowie,
Przeznaczyli, maſz miłość, w rozumney oſnowie.
Czekayże Uliſſeſa, áż ći z rąk Ią odda.
A lub ſię Iey, ſerce twe, iáko widzę, podda,
Tay przed nią, iákeś táił, do tych czas, rozumnie;
A to wiedz, że choćbyś iey odkrył był to dumnie,
Odrzućiłáby byłá; ſtráćiłbyś eſtymę
U niey, bo ona Żoną bydź, ſię nie podyjmie
Nikomu. Ani ſię też, komu obiecuie,
Czekáiąc, áż Ią Oćiec, ſwą mocą dáruie.
Kto Bogom mił, y Oycu, y we wſzelkim wſtydźie,
O nią ſię ſtáráć będźie, Ten do niey przynidźie.
Uważałześ! tak iak Ią? Od powrotu twego,
Mniey chodźi, uchodzący, ſpoyrzenia Ludzkiego;
Wie twą sławę woienną, y twe urodzenie,
Twe przypadki, y twoie, Bogom zálecenie,
Y to w niey skromność czyni. Telemaku! dáliy,
Wracaymy do Itáku. Procz tego coć dáli
Bogowie; Tylkoć, Oycá znaleźć, nie doſtáie,
Y Zonę, ktora złoty wiek, wrácá, y dáie.
Choćby Krola Sálentu, tá Corka nie byłá?
Lecz Páſterką z Algidy; dośćby Cię ſzczęśćiłá.
Te słowa, Telemáká ſerce, zápáliły,
Aby ſię do Itáku, czym prędzey śpieſzyli.
A że okręt, gotowy był, do Ich poiazdu,
Naglili Idomena, pozwolić wyiazdu.
Mentor go wygotować, już dawno roskázáł,
Lecz Idomen, gdy Gośći tych, miłych uważał.!
Iak mu byli potrzebni! wzbraniał ſię ich puśćić,
A potym, żal do ſerca, tak ćięſzki, przypuśćić
Muśiał! Ze kompaſſyi był godźien każdego;
Pragnał, z melankolij, mieyſca nayskrytſzego.
Ięczał, wzdychał, y chlipał, y łzy leiąc rzewnie,
Pokarmu zapominał, y ſnu, potrzeb pewnie.
Zgołá wyſechł, z tey troski, ſerce ſwe kolącey;
Iak drzewo wielkie, ktore, robak więc toczący,

Wkorze

W korzeniu ſok wypija, lub to czyni z dálá,
Przećie go on uſuſzy, y wkoniec obálá.
Czego wiatry nie mogły, śiekiera nie śmiáłá,
Ktore źiemia, z roskoſzą, długo karmić chćiáłá.
Traći liśćie, ſchnie wgałaź, y wſzelką ozdobę,
A nikt doyść go nie może, z kąd tę wźięło dobę.
Y z drzewa, tylko ſię pniem, nie odźianym ſtáie,
Y przez skorę opádłą, uſchłość widźieć dáie.
Tak Idomen w ſwym żalu, Im ſię pokázywał.
Ale y ſam Telęmak, już ſmutnieyſzy bywał.
Bał ſię już dnia wyiazdu, y iak mogł odwłuczył.
Ale go Mentor ná to, z zápomnieniem, uczył:
Kontentem, że ćię widzę, ták odmienionego;
Znałem ćię, bez litośći, pyſzno zrodzonego,
Nic ćię, procz Intereſu twego, nie tykáło,
Y tylkoć ſię, wygody twoiey, Braćie chciało;
Ale widzę ćię teraz, człowiekiem łagodnym,
A doznawſzy ſam złego, bydź drugim wygodnym,
Poczynaſz. Bez dobroći, wiedz, y bez litośći,
Nie maſz cnoty, y wſzyſtkich, rządu ſpoſobnośći.
Lecz iey zbytnie záżywać, y słabym, w przyiaźni,
Nie trzebá bydź. Poniewaź, ten odiazd ćię drażni!
Więc, Ia wezmę ná śiebie, pożegnać Idmena,
Y ochronić ćię w żalu, z tego rozłączenia.
Ani zbytnia ſurowość, niechći nie pánuie,
Lecz y przyiaźń, rozumem niech ſię temperuie.
Bez potrzeby, utrapić Ludźi, ſię nie godźi;
Ale ich zaś żal chłodząc, ktory Ich uwodźi,
Gdy go odiąć nie można, pocałować trzebá;
A to czynić, y tam iść, gdźie nas wiodą Niebá.
Telemak rzekł: Dla tego, żalu umnieyſzenia,
Wolę że ty odkryieſz, náſze z tąd ruſzenia.
Błądźiſz miły Telmaku, (Mentor mu odpowi)
Gdy woliſz, bym Ia, nie ty, odkrył Idmenowi
Odiazd naſz. Oto widzę, iakoś ſię urodźił,
Ná Tronie, takbyś życzył, być każdy wygodźił.
Dźieći Pańskie, turbacyj znać niechcą, y ſmutku,
Ani znieść, co ćieſzkiego, tylko w guſtow skutku.
Onić w prawdźie, o Ludźie nie tak bardzo dbaią;
Ani Ich ſwą dobroćią, w ſmutkach ochraniaią;

Tylko dla swego wczasu, smutnych niechcą widźić,
Ani się, utrapieniem Ludzkim, myślą brzydzić.
Byle nie w Ich to oczach, widowisko było,
Y skargą Importunną, serca nie smućiło.
Zeby się Im podobać, wszystko mowić trzebá,
Ze wszystko dobrze idźie, czynią z źiemi Niebá.
Dopieroż, gdy roskoszą, są iaką zábáwni,
Nie przerwą im poćiechy, dworacy ich dawni.
Kiedy kogo, upomnieć trzebá, y poprawić?
Y niesłuszne skracaiąc żądze, człeká zbáwić?
Tákie, komu iaszemu, komissye dáią,
A sami w przykrych rzeczach, się zas ochrániáią.
Y wolą pod czas, łáski, dać sobie wydźierać,
Nie słusznie, niż to serce, tak możne przybierać;
Aby się, promocyi nie słuszney, oparli,
Y z prośby importunow, po Krolewsku zdarli.
Ktorą słábość Ich widząc, każdy profituie,
Długo importunuiąc, tandem otrzymuie.
Náprzod Im, przez pochlebstwa, ustáwicznie kadzą,
Konfidencyą kradną, gdy co Pan chce radzą;
A przez nią zaś, do wielkiey powagi, przychodzą,
Daleko Ich prowadzą, y zá nos Ich wodzą.
Często ieczą w tym iarzmie, postrzegszy, Krolowie,
Radźi by tego mola, zbyć się, swoiey głowie;
Ale muszą to dźwigać, przez wiek práwie cáły,
By rozum swoy ochronić, wtym niedoskonały:
Ze się dáią im rządźić. Przećie są rządzeni,
Y nie mogąc bydź bez nich, nic się nie odmieni.
Są iak winne gałeźie, co w swoiey posturze,
Utrzymać się nie mogąc, pną się więc po murze.
A zátym Telemaku! ia zćierpieć nie mogę,
Abyś rządźić maiący, wpadł w słábośći srogie.
Mniemam, że będąc miętkim, pożegnać Idmena,
Nie będźiesz go żałował, gdy nie uyzrzysz ćienia,
Miastá Iego Sálentu. Nie żal iego, rusza,
Ale ćię, widok Iego, męczy y ususza.
Idź, żegnay Idomena, męskim y státecznym
Sercem, w szczerey przyiaźni. Bądź ná to bespiecznym,
Coś umyślił raz czynić. Pokaż mu żal, z twego
Odiazdu, lecz potrzebę nie zbitą, wraz iego.

Tele-

Telemak nie śmiał ſprzeczyć, nic ſię Mentorowi;
Ani też, ná żegnanie iść, ku Idmenowi.
Wſtydźił ſię ſwey boiaźni; y ledwie krok idźie,
Wraca, z nową rácyą, w ſwey ſię mieniąc bidźie.
Ale iedno poyzrzenie, uſtá zápierało,
Y te wſzyſtkie pretexty prożne, rozpędzało.
Rzekł Mentor: Y ty żeś to, Daunczykow Wiktorze!
Y wielkiey Heſperyi, Ty Liberatorze!
Tyś Syn cnego Uliſſeſa! náſtępca cnot iego!
Y kráiu, oraculum, co maſz bydź Greckiego!
Nie śmieſz rzec Idmenowi, że odiechać trzebá?
Do Oycá! do oyczyzny? gdźie iść każą Niebá.
O! Itáku narodźie! tożeś nieſzczęśliwy!
W ktorym to, ma Pánować, Krol ták nie życzliwy;
Ze dla złego tu wſtydu, y dla marney rzeczy,
Niechce do was odiechać, tak ma was na pieczy!
Patrzayże Telemaku! iako to rzecz rożna,
Bydź w bitwie meżnym, á gdy wſprawach! boiaźń prożna.
Niebałeś ſię Adráſtá, á boiſz ſię ſmutku
Idmena! y to to ieſt, bydź sławnym bez skutku.
Tak twe mężne akcye, nikną wraz y giną,
Kiedy tylko, woienną sławą, w świećie slyną,
A w małey okazyi, słabość pokázuią,
W ktorey, prośći więc Ludźie, mężniey ſię ſtáwuią.
Telemak, prawdę widząc, y temi zarzuty,
Porwał ſię, y ſam poſzedł, w skroś niemi ukłuty.
Lecz, ledwo ſię pokazał, gdźie Idomen śiedźi,
Z ſpuſzczonemi oczyma, ná nowo ſię biedźi.
Oba ſię boiąc pátrzyć, ieden ná drugiego,
Zrozumieli, nie mowiąc oba, chcieli czego?
Bał ſię káżdy przemowić; Aż Idmen, w żałośći
Okrutney krzyknał: A coż po cnoćie miłośći?
Ná co iey ſzukać! kiedy nam, tak źle nadgradza!
Pokázáwſzy mi, iako! ma ſzkodźiłá włádza!
Odkrywſzy błędy! teraz, ták mię odſtępować!
Ani tego, że ſię złe wroći me, żáłować!
Pewnie wpadnę w nieſzczęśćia, ktore przed tym były;
Ani me, do dobrego rządu, zdolne śiły;
Y Ludźie mi obmierźli. Lecz ty Telemaku!
Czego ſię ſpieſzyſz iechać, do twego Itáku?

Oćiec twoy już nie żyie; y ſzukaſz go dármo,
Itak już w cudzych rękach, tam ſię kuśić marno.
Z twych kto ſię nieprzyiaćioł, z twą Mátką ożenił;
Zginieſz od nich, ieżeliś drogi nie odmienił.
Zoſtań tu, króluy ze mną. Przynaymniey Mentora
Zoſtaw mi, troskow moich, y błędow Doktora.
Mow! odpowiedz! á ſerca nie zátwardzay mego!
Y lituy ſię człowieká, naynieſzczęśliwſzego.
Iáko! nic mi nie mowiſz? Ach rozumiem ſmutny,
Ze mi Bog (niźli w Crećie) tu bardźiey okrutny,
Gdym Syná przebił ſwego. Telemak mu głoſem
Cięſzko ſmutnym odpowie, y ſpuſzczonym noſem:
Iam nie ſwoy, y wyroki, do Oyczyzny wiodą,
Znaleźć Oycá, com ſzukał, źiemią go y wodą.
Mentor, Bogow mądrośćią, będąc napełniony,
Tak káże; á coż chceſz, bym czynił, utrápiony?
Mamże ſię, Matki, Oycá, wyrzec! wraz y Pánſtwa!
Y co nad ſię przekładam, wiernego Poddáńſtwa?
Urodzonym, bydź Krolem, nie ná mieyskie życie
Przeznaczony, ni moiey woli im użyczę!
Azaś mię nie obiebał wroćić, do oyczyzny?
Zaź nie w twey obietnicy! śmiercim ſzukał blizny!
Przećiwko Adráſtowi, w ſwey biedźie woiuiąc!
Czas, ábym ſwego ſzukáł, zá to ſię uymuiąc,
Znieść nieſzczęśćia w ſwym Domu; Mentora Bogowie
Przydali, ná pełnienie wyrokow, w mey głowie.
Chceſz bym ſtráćił Mentora? kiedym wſzyſtko ſtráćił!
Piekniebyś mi, mą przyiaźń, Idmenie zápłáćił.
Nie mam dobr retyraty, Oycá, Mátki, áni,
Tylko ieden człek zoſtał, co złe we mnie gani.
Mądry wraz y cnotliwy, dar Iowiſza sławny,
Patrzay ieśli moy dyskurs, nie ieſt prawdy iawney.
Czy mogę go odſtąpić? ſpuśćić ſię ná śiebie!
Pierwey śmierć, niż wydarćie to, przyjmę od ćiebie.
Im dłużey mowił Telmak, tym ſię głos w nim mocni,
Y boiaźń uſtąpiłá, z twarzy mu widoczniey.
A Idmen, odpowiedźieć ná to, mu nie umiał,
Ani też tych słow, co mu przynośił, rozumiał.
Y tak więcey nie mowiąc, y nic niegadaiąc,
Chciał go zmiękczyć jeſtami, ręce doń składáiąc.

Tym

Tym czaſem, Mentor wchodźi, ktory temi słowy,
Tak ćieſzył Idomena: Naſz odiazd gotowy,
Ty iednak, tak ſię nie trap; myć w prawdźie rzucamy,
Ale Boskiey opiece, ćiebie oddawamy.
Mądrość, ktora ná rádách Bogow, rezyduie,
Tá zoſtáie przy tobie, y tá ćię pilnuie.
Szczęśliwyś! że nas Iowiſz, tu przysłał do ćiebie,
Y żeś zá radą, z błędow twych, przyſzedł do śiebie.
Philokles, ktoregośmy, názad ći oddali;
Służyć będźie ći wiernie; Y wielcy, y mali,
Tego człeká kochaią, bo ma w myśli ſwoiey,
Y w ſercu ſwym, ſmak cnoty, y Bogow ſię boi.
Ma miłość ku poſpolſtwu litość nad bliźniemi,
Naybardźiey, przez fortunę złą, ućiśnionemi.
Słuchay go, záżyway go, uſtnie bez zázdrośći,
Wiedz, że dowod naywiękſzy, Iego życzliwośći,
Odbierzeſz, gdy mu káżeſz, áby ći odkrywał,
Błędy twoie, áni ich, iák zwyczay, pokrywał.
Bo, dźielność ſerca w Krolu, w tym ſię pokázuie:
Takiego przyiaćiela, gdy ſobie znayduie.
Iesli ſię tą dźielnośćią, twe ſerce powodźi,
Szczęśliwyś! y naſz odiazd, nic ći nie záſzkodźi.
Ale, ieżeli zázdrość, ktora na kſztałt węża,
Wmyká ſię w Ludzkie ſercá, y one zwyćięża,
Znowu ſię wkradnie w ſerce, iáko przedtym, twoie?
Spráwi diffidencyą! (czego Ia ſię boie)
Toś zginiony; Lecz teraz, nie day ſię obáláć,
Zálowi, á od cnoty, niechciey ſię oddáláć.
Iam wſzyſtko opowiedźiał, ſam Philokleſowi,
Czym ći ma dopomagać, y co ći ieſt zdrowiy.
By twey konfidencyi, ná złe nie záżywał;
Bogowie ći go dáli, ábyć usługiwał,
Iak mnie Telemakowi; Ręczę ći zá niego,
Trapić ſię nie potrzebá, bo wyroku ſwego,
Káždy ſię winien trzymać. Iesli mey pomocy,
Kiedybyś potrzebował? Gdy, przy Boskiey mocy,
Oddam Oycu Telmaka, y w Dom go przywrocę,
Ná twoie záwołanie, do ćiebie ſię wrocę.
Guſtu Ia mieć nie mogę, ná świećie więkſzego;
Ia powagi nie ſzukam, ni dobra żadnego

 Nie

Nie pragnę, tylko pomoc tym, ktorzy szukáią,
Z cnotą sprawiedliwośći; co się w niey kocháią.
Y czy mogęż zápomnieć! ufności łáskáwey!
Ktorąś mi świadczył? zá tym, żyjże pełen sławy.
Ná te słowa, Idomen, stał się odmieniony,
Iák Ocean, Neptuna Trydentem, uśpiony;
Kiedy czarno pieniące, iak buntowne wały,
W obłoki prawie, z hukiem, burżliwie pryskáły.
Tylko w nim, żal spokoyny, y ćichy zostáwáł,
Y bardźiey smutek, niż żal, żywy się wydáwáł.
Cnota, Nadźieia, Męstwo, Ufność w Bogow śile,
Poczynały się rodźić, w sercu Iego mile.
Więc tedy, moy Mentorze! wszystko strácić trzebá!
Serca iednak nie tráćić, czekáiąc śił z Niebá.
Przynaymnieyże, pámiętay ná mnie, Idomena!
Kiedy stániesz w Itáku. Niech ćię nie odmienia,
Szczęśćie, twoią mądrośćią, słusznie przyćiągnione!
Nie zápomniy, że Salent twych rąk, wystáwione
Iest dźieło; y że, Krolá zostáwiasz Swiętego,
Nieszczęsnego, y w tobie ufność maiącego.
Idź, Synu Ulissesá! nie trzymam ćię dłużey,
Wracam Bogom skarb w tobie, ktory mi nie służy.
Idź y Ty, cny Mentorze! y naymędrszy z Ludźi!
Ieżeli, twa postáćia, Bostwo nas nie łudźi!
Ieśli się, twą Bog twarzą, iáki nie pokrywa!
Y ieśli Ludzka mądrość, ták wysoká bywa.
Idź, prowadz Telemaká, przez to szczęśliwszego,
Ze ćię ma, niż że zábił Adrastá dumnego.
Więcey już mowić nie śmiem; Idźćie me kochania,
A odpuśććie, tak słuszne, po sobie wzdychania.
Zyjćie już szczęśliwemi! mnie nic nie zostáie,
Tylko miłe, żem was miał w domu, pamiętanie.
O piękne! y szczęśliwe dni! z wami strawione,
Mnie nie oszacowane, á prędko skończone.
Iużeż się, o dni miłe! do mnie nie wroćićie!
Y wy oczy! już więcey, Ich nie obaczyćie.
Mentor, w te skargi, moment wźiął, do odiechania;
Philoklesa śćisnąwszy, pełnego z łez łkánia.
Telemak, chćiał Mentora wźiąć zá rękę, ále
Idomen między niemi, postawił się cále.

Idąc z niemi do portu, pozierał wzdychaiac,
Chciał żegnać, nie dokończał, słow nie domawiaiac.
Wtym, zmieszany krzyk Flisow, napełniaią brzegi,
Y liny wyciągaia, y żagle ná biegi,
Ná wiatr dobry podnoszą; Iuż też pożegnali,
Krola w porcie, Telemak z Mentorem, y daliy
Wyciągać kotwie kázą. Ziemia Im ucieka,
A Krol goni Ich okiem, darmo stoiac czeka.
Doświadczony Ich Szyper, już Lukáry gorę
Rozeznaie, ktora to w czarną wnośi chmurę,
Głowę swą lodowatą. Y tę gorę widźi,
Akroceraunu, ktora, czołá się nie wstydźi,
Ku Niebu wystáwować, y swą długą szyię,
Choćiaż wnię częsty piorun, y ták gęsto bije.
Pod czas náwigacyi tey, dyskursy mieli,
Telemak, y cny Mentor, ktore z tąd poczęli:
Záczął tedy Telemak: Iuż mi się też zdaie,
Zem poiął maniery (co twa mądrość dáie)
Do rządu Państw; y widzę, że co mi się zdały
Iáko sen, teraz iasny sposob, mi y cały.
Iako wszystkie obiekta, pod Iutrzenki zorze,
Wćiemnym się wystawuią, nie znacznym kolorze,
A potym, kiedy wozem, do nas się zbliżaią,
Iasnym, świátłá słoneczne, one oświecaią,
Y niby przywracaią im własne kolory;
To y w oczach się lepiy, ich wydadzą wzory.
Gruntowniem umocniony, że pierwszy Punkt rządu,
Wtym zawisł, áby obrać Ludźi, cnych, bez błądu.
Y sposobnych, do czego applikować chcemy,
Zeby mieli talenta, z przymioty własnemi,
Do tego właśnie dźieła. Lecz ieszcze mię tego,
Iako się znać ná Ludźiach! naucz ćiekáwego.
Ná to Mentor odpowie; Ná Ludźi poznanie,
Praktyká iest potrzebna, y ich záżywanie.
Pánowie, z poddanemi, sami niech tráktuią,
Poufale niech mowią, ich rády probuią,
Małemi wprzod roskázy, raczey funkcyami,
W ktorych, niech ich doświadczą, własnemi uszami.
Zeby poznać, ieżeli dosyć uczynili,
Mnieyszym rzeczom, y wiekszych czy godnemi byli!

Iakżeś poznawał konie, miły Telemaku?
Wszak widząc ustáwicznie sam! bedąc w Itáku;
Dźielność Ich lub nárowy? Ile doświadczonych
Iezdzcow im przybieraiąc. Nie inaczey, w onych
Sprawach Pánstwa, postepuy; z Ludźmi poććiwemi,
O złych, y dobrych gaday, y náucz sie z niemi,
Co w nich są zá przymioty? Tá długa praktyká,
Ludzki umysł, w poznaniu, zupełnie odmyka.
Dowiesz sie, czego możesz, z Ludźi sie spodźiewać?
Y ná iákie urzedy, możesz ich záżywać.
A co dáie! Póetow dobrych, rozeznawać?
Ieśli nie, w złych y dobrych, czytanie sie wdáwáć?
Co ći, także w Muzycce, rozeznanie dało?
Tylko to, że muzykow rożnych, sie słuchało.
A iakosz my, y Ludźi, dobrze rządźić mamy!
Kiedy ich, wprzody dobrze, y wskroś nie poznamy.
A Ich zaś, iak poznamy? ieżeli żyć z niemi,
Nie bedźiemy! probować, sposoby rożnemi.
To zaś, nie iest żyć zniemi, gdy chcemy publicznie
Znać ich tylko, gdźie wszystko robią, politycznie,
Z sztuką sie pokrywaiąc. Trzebá ich osobno
Poznawać, y wyćiągnąć, kształtnie y nádobno.
Z sercá, tayne sprężyny, ktore pokrywaią;
Doznawaiac ich maxym, co ie w sercu maią.
Byś zaś, dobry o Ludziach, sąd formować umiał!
Trzeba, abyś, iákim ma bydź człowiek! zrozumiał.
Trzebá wiedźieć wprzod: Ná czym tá godność záwisłá!
By słuszność rozeznania, náleżyćie przyszła.
Kto ma godność? kto nie ma? Wprzod sprawiedliwośći,
Rozumu, wszelkiey cnoty, y doskonałośći,
W sobie założ fundament; To potym rozeznasz,
Kto cnotliwy, y dobry! łatwiuśieńko poznasz.
Maxymy dobrych rządow, wprzod sie náucz cále;
A potym sam zrozumiesz, kto ie doskonale
Ma w sobie; czyli finta, pod pokrywką cnoty,
Fałszywą subtelnośćią, złośliwe przymioty,
Tai, chcąc rządźić. Słowem: Iáko ná zmierzenie
Rożnych ćiał, y wielkośći onych, doświadczenie,
Pewney miary potrzebá; Tak też y do rządu,
Potrzebá mieć reguły; Do ktorych bez błądu

Prowa-

Prowadźić trzebá. Ná to, żywota Ludzkiego
Koniec, powinien ieden bydź, co Uććiwego.
A ten koniec, nie inſzy ieſt, w rzadzeniu Ludźi:
Tylko ten, do ktorego, cnota iedna budźi.
Lecz y ten bydź powinien, ſzczegulny, iedyny
Zebyśmy, nie pragneli powagi, z przyczyny
Swego tylko honoru. Bo pychę Tyrańska,
Ta ſyći Intencya, á nie sławe Páńska.
Ale ſię, świećić trzebá, ná prace trudliwe,
Aby, rzadnie czynić Seym, y Ludźie ſzczęśliwe.
Gdy tego końca, nie ma Pan, omacku chodźi,
Iak okręt, co bez Szypra, wiatr po morzu wodźi.
Co nie wie, iákie gwiazdy? y ſąśiedzkie brzegi?
Rozbićiem ſmutnym kończy, ſwe błędliwe biegi.
Krolowie, gdy nie wiedzą, w czym záwisłá cnota,
Y ktora Iey prawdźiwa, nie zmyślna robotá,
Nie wiedza, czego w Ludźiach ſwoich, ſzukáć maią;
A kiedy iaka oſtrość, w cnotliwym uznaią,
Ktora ſię, poddać żądzy Krolewskiey, nie umi,
Záráz ſię Krol iey lęka, bo iey nie rozumi.
A z tąd ſię, do pochlebſtwa maia, fálſzywego,
Gdźie, ni cnoty nie znayda, áni nic ſzczerego.
Potym ſię przyzwyczaia, prawdy nie znać w świećie,
Bo nie słyſzą inſzego, tylko kto im plećie.
A iáko dobrzy, ná złych, wybornie ſię znaią,
Tak źli, dobrych ná świećie, nie rozeznawaią.
Tacy Krole, zárowno, wſzyſtkich ſię więc ſtrzegą,
Zámykáią ſię, chronią, zázdrośni káżdego.
Boią ſię zgołá ludźi, z świátłá ućiekáią,
Ni tego, co w náturze ſwey ſą, odkrywaią.
A lub ſię chcą ukázáć, ták nieznaiomemi,
Przećie ſię skryć nie mogą, nic przed poddanemi.
Tych ćiekáwość złośliwa, doydźie Páná ſwego,
A nikczemność Krolewska, nie zna z ſwych żádnego.
Ci, co maią Interes, Páná w oblężeniu
Trzymaią, y kontenći, widźieć go w zámknieniu.
Nie przypuſzczą ich oká, żeby przeyzrzeć miáło;
A falſzami, plotkámi, y skárgą zuchwała,
Poććiwych obwiniaią. W dźikiey wſpaniałośći
Pędzą látá, y ćiemney, tacy nikczemnośći.

Kkkk 2 Boiąc

Boiąc się oszukania, w nim są ustáwicznie,
Y godni są, że z nich drwią Poddani, oblicznie.
Kiedy, z mało co Ludźi, więc kto konwersuie,
Tylko tych, w się passye bierze, y przyjmuie;
Ná dyskrecyą tákich plotkárzow, się dáie,
Ich Igrzyskiem, iáko chcą, mizernym się stáie.
Tych, ktorzy rzecz naydroższą, mieniaią w truciznę,
Y nie ták leczą ránę, iák rozrzewią bliznę.
Ktorzy to, z muchy słonia, y złe wszystko robią,
A swoią rzecz iedynie, w oczach Páńskich zdobią.
Niegodney ćiekáwośći, tworźliwego Páná,
Ná żart, y zysk záżyią, iáko to Tyranna.
Rozznaway Telemaku, y doświadczay Ludźi!
Z káżdym gadać, y pytać, niechći się nie nudźi;
Probuy z wolna káżdego, nie day się żádnemu
Wmoc zupełną, ufaiąc, áż doświadczonemu.
Kiedy się zaś oszukasz, w twoim rozsądzeniu,
Oducz śię bydź skwapliwym, w prędkim uwierzeniu,
Ze ten dobry, álbo zły. Zły śię pokryć umi,
Y żeby dobrych zgubił, złość kryie y tłumi.
A ták, twa ćię omyłka, uczyni ostrożnym.
Kiedy zaś, znaydźiesz cnotę szczerą, w kim pobożnym,
Záżyway go z ufnośćią. Bo Ludźie poććiwi,
Estymy y ufności, bardźiey záwsze chćiwi,
Niż bogactw. Iednak, zbytnia władza, ich popsować,
Strzez śię. Y nie raz, wiedz to, dáło śię probowáć:
Ze poty Człowiek, szczerze, był trwale cnotliwym,
Poki śię zbytnią władzą, nie uznał szczęśliwym.
Ktory Krol? ták iest Bogom przyiemny, y miły?
Zeby śię trzech poććiwych, do niego przyszyli?
Gdyby miáł trzech, práwdźiwych Przyiáćioł, ná Dworze,
W Mądrośći y dobroći, dość statecżney porze;
Łátwiy znaydźie y drugich, ktorzy podobnemi,
Im śię stáną y mnieyszych urzędow godnemi.
Przez tych dobrych, ktorym my, zupełnie ufamy,
Co sami nie możemy, przez tákich poznámy.
Ale (rzecze Telemak) czy może zażywáć
Złych Ludźi byle zgodnych? Tak śię tráfia bywáć;
W potrzebie, Człowiek, muśi (Mentor mu odpowi)
Powierzyć spráw y złemu, podczas Człowiekowi.

W Náro-

W Národźie, więc nie rządnym, Ludźie oszustowie
Zli w myśli, á dowćipni, y udátni w mowie,
Przychodzą do powagi; y urzędy máią,
Ktorych odiąć nie można; mocno śię trzymáią
W przyiaźni z mocnieyszemi; ktorych ochraniaiąc,
Y tych znośić potrzebá, głębiey nie patrzaiąc.
Y tákich Sceleratow, gdy się ich boiemy,
Ochraniać, y záżywać, lecz ná czas, muśiemy.
Potrzebá zaś, z daleká, záwsze myślić o tym,
Aby niepotrzebnemi ich poczynić, potym.
Szczerey konfidencyi, strzeż się, mieć zaś do nich,
Tylko to powierzchownie pokaż, że dbasz o nich.
Bo gdyby, do sekretu twego, się dobrali,
Iák w łańcuchu żelaznym, w nimby ćię trzymali.
Do spráw przemijaiących, dobrze ich záżywáć,
A ichże pássyami, ich wiáry nábywáć,
Przy dobrym tráktámenćie. Lecz do rad táiemnych
Nie przypuszczay. A im zaś, sposobow przyiemnych,
Záżyway, ábyś iák chcesz, onemi obrácáł,
Kiedyś już ich pássye, y żądze námácáł.
Ale klucza, od sercá, nie daway im twego;
Bo złośliwi, złośliwie, záżyią onego.
Kiedy zaś Pánstwo, w dobry rząd, się uspokoi,
Y twa rádá, w cnotliwych mędrcow, się przystroi;
Zli Ludźie, ktorych przez gwałt, muśiałeś záżywáć,
Stáną się nie potrzebni? y ksztáłtnie ich zbywáć
Możesz; Lubo záś záwsze dobrze ich tráktowáć
Trzebá, y wdźięczność usług, choć złemu dochowáć;
Y lub dobrze tráktuiąc, czyniąc ich dobrymi,
Możesz znośić, Ludzkośći, pomnieysze w nich winy;
Nie daway iednak, robić im, otwárćie złego,
Ani im daway mocy, czego szkodliwego.
Ták sobie postępuiąc, Krol mądry, uważny,
Wspráwiedliwość, y w dobry rząd, biegle poważny,
Przyjdźie z czásem, że tákich Ludźi, się pozbędźie,
Oszustow, y skáżonych, á dobrych nábędźie.
Ale ná tym nie dosyć, gdy dobrych wybierze,
Kiedy nowych, w národźie swoim, nie dobierze.
Trzebá, tym zaś podobnych, záwczasu formowáć.
Rzecze Telemak: To nas, muśi zbyt kosztowáć!

Iák żywo. [odpowiedźiał Mentor] Twe ſtáránie,
Y twe, cnotliwych Ludźi, godne wyſzukánie,
Drugich wzbudzą do cnoty; y kto tálent w ſobie
Czuie, ten ſię pokázáć chce, w cnoty ozdobie.
Iák śiłá Ludźi gnije, w gnuśnym opuſzczeniu?
Ktorzy Ludźmi wielkimi, byliby w Imieniu,
Gdyby Emulacya, y pewność nadgrody,
Ich wiodłá, przez wdźięczności, w innych cne dowody.
Iák śiłá drugich znowu? ktorych nędza, bieda,
Wiedźie w zbrodnie, gdy cnota ná nic ſię nie przyda.
Gdy tedy rekompenſy, bogactw y honoru,
Do cnoty przywiązywać będźiez, y humoru!
Sámi ſię wnet poddani, z ćię formować będą,
Sámi, doskonáłości potrzebney, nábędą.
Formować, y ty będźieſz; Kiedy ich powoli,
Z ſtopnia ná ſtopień, wodźić będźieſz, z Páńskiey woli.
A ták ich ćwiczyć będźieſz, tálentu doznaiąc,
Szczerey cnoty, y cnego rozumu mácáiąc.
Gdy w tákie tám dyskurſy z Mentorem zábiegli,
Ieden okręt Pheácki, z daleka poſtrzegli,
Ktory ſtánął u wyſpy, y puſtey y dźikiey,
Opaſaney, przez ſtráſznych skał, ſterczących ſzyki.
Wten moment, wiatr Im uſtał, y Zefiry miłe,
Náwet dechu letkiego, záwárły wnet śiłę.
Wſzyſtko morze ſtánęło, rownie, iák zwierćiádło,
Zágle prożne od wiátrow, iáko prześćierádło
Záwieſzone, okrętu popychać nie mogą,
Y Fliſowie uſtáli, pod prácą ták ſrogą,
Z ſwoiemi łopátámi. Do tey wyſpy tedy,
Záwinąć okrętowi przyſzło, tylko z biedy;
Ktora bardźiey rozbićiu, niż Ludźi mieſzkániu
Przyzwoita. W inſzy czas, byłoby w ſtárániu,
Zdáleká ią omijáć. Pheácy, co ſtáli,
Z rowną niećierpliwośćią, ná wiátry czekáli,
Iáko y Sálentyni, dla kończenia drogi.
Telemak, skoro wyśiadł ná brzeg, skáły ſrogiey,
Idąc ku nim, potyká, y pytá, pierwſzego:
Czyś Uliſſa nie widźiał w drodze? Królá mego?
Ten, ktorego on pytał, ták ſię mu tráfiło,
Nie Pheák cudzoźiemiec był, á w twárzy miło

Powagi

Powagi coś Krolewskiey, się pokázywało,
Lecz się to smutkiem wielkim, z myślą, pokrywało;
Ktorą on zámyślony, ledwo to pytánie
Uważał, przećie respons táki, mu dał ná nie:
Niemyliſz się że Uliſs, był dobrze przyięty,
Ná dworze Pheáckiego Krola, kędy Swięty
Iupiter, ieſt uczczony, y kędy w ludzkośći,
Gośćia záwſze przyjmuią; Lecz ten Krol, do włośći
Swych, Itáku, powroćił. Ieżeli Bogowie
Ubłágáni, dopuſzczą, iego biedney głowie,
Powitać swe Penaty, swe domowe Bogi,
Po fatydze ták długiey, y fortunie srogiey.
Ledwo, odpowiadaiąc, skończył słowa smutne,
Wpadł záraz w geste lasy, y w skáły okrutne.
Z kąd pátrzał, w dal od Ludźi, w swym żalu ná morze,
Tęskniąc, że w tak spokoyney, woda byłá porze.
Telemak, w niego wlepił, ćiekáwe swe oczy,
Im bardźiey w niego patrzy, tym żałośniey toczy,
Myśl o nim, z kompaſsyą, wraz y z podźiwieniem.
Rzekł: Mentorze! Ten człowiek, choć swoim imieniem,
Nie znaiomy, y że mi, tak sam odpowiedźiał;
Iakby nie słyſzał, y sam co mowi, nie wiedźiał,
Widzę pełen ieſt żalu; A ia zaś żałuię,
Káżdego nieſzczęsnego, gdy się nim bydź czuie.
Serce moie, nie wiedząc samo, zkąd? y czemu?
Lituie się zbyt nad nim, y ma się ku niemu.
Dołyć mię on źle przyiął, serce iednak moie,
Wzdycha, życząc by skończył, on nieſzczęśćie swoie.
Mentor się uśmiechaiąc, wnet mu tak odpowi:
Oto ná to, potrzebne nieſzczęśćia, człekowi;
Czynią Pánow skromnemi, wiodą do litośći,
Nad drugich turbacyą, w ich nieſzczęśliwośći.
Poki tylko, trućizną ſzczęść, się nápáwáią
Zá Bogow, á nie Ludźi, ná świećie się máią.
Chcą, aby ná ich wolą, gory się zmnieyſzały,
Ludźi wſzyſtkich rachuią, iak zá proſzek máły.
Z natury całey, sobie żartuią, ſtworzenia,
Zá sen máią, gdy słyſzą rodzaie ćierpienia.
Między złym, między dobrym, nie znáią rożności,
Tylko iedne nieſzczęśćia, nadać im ludzkości,

 Mogą,

Mogą, y serce twarde iak opoka skáły,
Przemienić ie, w ludczeysze, y w humor wspaniały.
Dopiero, że są Ludzmi, w biedźie doznawaią,
Ludźi sobie podobnych, wtedy ochraniaią.
Ieśli ćię nieznaiomy ieden, tak pobudźił,
Do litośći? że sobą iak ty, wdrodze nudźił?
O iako ći należy, tey litośći znaku,
Záżywać, nad twym Ludem, ćierpiącym w Itáku!
Ten Narod, ktory dadzą, pod twoy rząd Bogowie,
Iako trzody Pásterzom, zwierzaią Pánowie,
Podobno przez twą pychę, zbytki, nie uwagę,
Stanie się nieszczęśliwym! Bo tę miey uwagę:
Ze pospolstwo nie ćierpi, tylko Krolow błądem,
Ktorzy maią oddalać ich ućisk, swym rządem.
Gdy tak Mentor rozmawiał; Telemak, w żałośći
Utopiony, záwołał! Więc Krolow godnośći,
Stan iest zbyt nieszczęśliwy? Ieśli to prawdźiwa?
Niewolnikiem ći on to, tych samych wżdy bywa,
Ktorym się zda panować! ni sobie stworzony,
Ale im bydź powinien, y ich obćiążony
Potrzebami, y żyie dla Ludu całego,
Y znowu w osobnośći, dla człeka káżdego.
Do słabośći ich, skłaniać, powinien się zgołá,
Po Oycowsku poprawiać, w wesołośći czołá.
Skromnemi, szczęśliwemi, ma się stáráć czynić,
Ich kłopotami, swoich kłopotow przyczynić.
Powaga, ktorą się zda mieć, tá nie iest iego;
Y czynić nic nie może, dla gustu swoiego.
Bo, pod práwą bydź władzą, iemu bydź posłusznym;
Muśi bydź dla przykładu, ieśli chce bydź słusznym.
Słowem, iest práw obrończą, by te krolowały,
Strzedz, prácować powinien, káżdy Krol wspániáły.
Ze wszystkich swych poddanych, on nayniewolnieyszy,
A z Krolestwa cálego, nayniespokoynieyszy.
Wszystko to prawda [rzecze Mentor] że Krol Krolem,
Tylko ná to, by wszystkich zástąpił swym bolem.
Aby miał, o národźie, stáránie tákowe,
Iák pásterz o swey trzodźie; álbo iak domowe,
Dobry Gospodarz rzady, prowadźi z pilnośćią,
Ale ty Telemaku! z twoią rostropnośćią,

Rozu-

Rozumieſz ? że táki Krol, ieſt ták nieſzczęśliwym ?
Ktory ták śiłu, może czynić dobrze? *Zywym*
(Kárząc złych, dobrym płacąc) ieſt Bogow obrázem,
Gdy do cnoty prowadźi, ludzkie plemię rázem.
Azaż mało ma sławy, kiedy ſtrzeże práwa ?
Nad ktore ſię wynośić, ieſt to prozność żwáwa,
Ktora godna kontemptu, y iey obrzydzenia,
Muśi bydź nieſzczęśliwym, z tákiego rzadzenia.
Gdyż pokoiu, w ſwych rządach, zły Krol mieć nie może,
Ktorego naśladować, ſtrzeż ćię mocny Boże.
A kiedy zaś ieſt dobrym, to práca cnotliwa,
Napełni go poćiechą; Nad to, ſię ſpodźiewa,
Rekompenſy od Bogow, w nieśmiertelney chwale.
Ná te wſzyſtkie racye, Telemak, rzekł: Ale
Coż rzeczeſz? ná niewdźięczność Ludźi, naturalną ?
Iáko Ia, mam zadawać pracę ſobie, walną ?
Bym był od nich kochany ? á oni nie będą
Mnie kochać; A dopieroż, niecnotliwą zrzędą,
Co im dobrze uczynię, oni ná me ſzkody,
Záżyią dobrodźieyſtwa, przez złośći przywody.
Mentor rzekł: Niewdźięczności, trzebá ſię ſpodźiewać,
A przećie dobrotliwym, nie przeſtawać bywać;
Nie tak dla nich, im służyć, iak dla Bogow chwały;
Dobrym, nigdy nie zginie, uczynek wſpaniały.
Ieśli Ludźie zápomnią ? nie zapomnią Niebá;
Co od Ludźi nie przyjdźie, czekać z gory trzebá.
Do tego, ieśli ow gmin Ludźi, poſpolity,
Nie odda twey wdźięczności, pracy należytey ?
Będą zawſze poććiwi, co ſzacować cnotę,
Będą umieć. Y ſam gmin (choćiay te motłotę,
Za odmienną trzymamy) będźie ſpráwiedliwy,
Y uznawſzy twą cnotę! będźie ći życzliwy.
Ale przećiw niewdźięcznym, tak przezornym byway:
Zebyś ich, tych nałogow oduczył ? zażyway
Tego: Abyś, nie ieno w tym, záwſze prácował,
Byś ich w bogactwach, w sławie, w woynach promowował;
Bo buyność, y doſtátek, czyni *Ludźie* złemi,
A potym, tá roſpuſtá, prędko niewdźięcznemi;
Lecz ſię bardźiey applikuy: złe ich obyczáie
Poprâwiać, y te znioſſzy, nie dobre zwyczaie,
Wkorzeniać w umysł ſzczerość, y ludzkość w skromności,
Boiaźń Bożą, y słuſzność, przy godney kárności.

Dobremi gdy ich zrobiſz, wdźięcznemić bydź muſzą,
Bo práwe im daſz dobro, gdy daſz cnotę z duſzą.
Tá gdy będźie ſtáteczna, do miłości Tego,
Ich wiedźie, tákie dobro, máią od ktorego.
Czy trzebaż ſię dźiwowáć? że Ludźie tym Pánom,
Są niewdźięczni? ktorzy ſą powodem, ſwym ſtánom.
Do pychy, nieludzkośći, zázdrośći z ſąśiady,
Do ambicyj, złey wiáry, do woyny, do zwády?
Táki Pan, czegoż ſię ma ſpodźiewáć inſzego?
Od poddanych? Tylko, ſam náuczył ich czego.
Gdyby zaś, ſwym przykładem, czynił ich dobremi,
W cnoćie ich, miałby owoc, prácy ſwoiey, z niemi.
A przynaymniey, w ſwey cnoćie, y w Bogow wdźięczności
Znalazł by ſwą poćiechę, żywey ſzczęśliwośći.
Pod czas tego dyskurſu, Telemak obracał,
Częſto oczy ku morzu; ná ktore ſię wracał
Wiátr znowu, y burzył go, podnaſzaiąc wáły,
Y bieląc piáną morską, brzegowe tam skáły.
Okręt záráz Phéácki, podniosł ná wiatr żagle,
Krzyk Fliſow, brzmiał ná odiazd, niećierpliwych nágle.
A w tym, on nieznaiomy, z ktorym Telmak gadał,
Y co mu, ták wielki żal, y zdumienie zádáł,
Gdy ſię błąkał po leśie, y z wierzchołku skáły,
W wielkiey melancholij, w nieprzeyrzany cáły,
Morza proſpekt ſię patrzył; A Telemak z niego,
Nie ſpuśćił oká, káżdy krok ráchuiąc Iego;
Ten, mowię, gdy obaczył, gotowość okrętu,
Ze skał zbiegł, bez uwagi, záwiłego krętu.
Z táką dźiwną chybkośćią! Iák Pheb złotowłoſy.
W przepaść leći Licyi, zá poranney roſy,
Szyiąc dźiki, Ielenie; Tak ow nieznaiomy,
Wbiegł ná okręt, y ſtał ſię dopiero widomy.
A z nim okręt, słonych wod, kraiąc miętkie wáły,
Od źiemi ſię oddalił, w czas krotki y máły.
Potáiemna moc żalu, Telemaka wźięłá,
Oczy łzami, nie wiedźieć zá co, mu poczęłá
Zálewáć; y już nad płacz, nie ma nic milſzego;
W ten czas, gwałtem odrywa, oko ſmutne z niego,
A obraca, ku ſwoim Fliſom zaś, z Sálentu,
Spiących y zmordowanych, budźi do okrętu.
Ci leżeli ná trawie, y zbyt twardo ſpali,
Sny słodkie, wſzyſtkie członki, Ich opanowały.

Bo

Bo Minerwa mak ſenny, ſwoiey wielkiey mocy,
Wdźień nasłała, co tylko, ſchodźi Ludźiom w nocy.
Telemak zadumiony, że Sálentynowie,
Spią iakoby zarznięći, kiedy Phèákowie,
Tak pogodnego wiatru, zażyć pilni byli,
A iego zaś Fliſowie, chwilę opuśćili.
Ieſzcze iednak, mu trudniey, oderwać się było,
Od patrzenia ná okręt, ktory widźieć miło.
Tandem, z oczu mu znika; nie wiedźieć co trzyma,
Afekt Iego, tak śćiga ſercem, y oczyma
Ow okręt; ktorego ſię, ledwo żagiel bieli;
Sam nie ieſt on przy ſobie; myśli go obięły,
Ze Mentora nie słucha, co gada do niego;
Podobien do ſzaleńſtwa [tak rzekę] owego,
Co ſwawolne Menades, Thyrs w ręku trzymaiąc,
Wgorach ćierpią Rhodopy, ſzalenie wołaiąc.
Przećie troche przychodźi, z tego zachwycenia,
Ale ſię mu łzy rzucą, znaki utrapienia.
A w tym Mentor: Nie dźiw mi, Telemaku! rzecze,
Ze tak gęſta łza, z oczu ſmutnych twoich ćiecze;
Zalu twego przyczyna, tobie nie widoma,
Lecz twemu Mentorowi, ieſt dobrze znaioma.
Nátura ſię odzywa, y czuć ći ſię dáie,
Ktora ſerce twe ſmući, y niby go kráie.
Nieznaiomy, ktory ćię záſmućił, bez znáku,
Ieſt Uliſſes twoy Oćiec; ktory do Itáku
Płynie, y już ieſt blisko, tych mieyſc pożądanych;
Po laſach, y ták długich drogach, opłákanych.
Twoie oczy (iáko ći, niegdy przerzeczono)
Widźiały go, lecz tylko, pod ſmutną záſłoną.
W krotce go ſam obaczyſz, oba ſię poznaćie;
Ale teraz Bogowie, dość łáskáwi ná ćię,
Nie mogli wam pozwolić, gdźie Indźiey poznania,
Tylko w ſamym Itáku, gdźie końiec wygnania.
Y Iego nie mniey ſerce, iak twe ſię wzruſzyło,
Ale on nie dopuśćił, żeby ſię odkryło,
Zyiącemu ná świećie, ná mieyſcu takowym,
Gdźieby zdradom złych Ludźi, y Inſultum nowym,
Gachow ſwey Penelopy, mogł by bydź podległy.
Uliſſes, cny twoy Oćiec, mądry zbyt y biegły;
W ſercu iego iak ſtudnia, ieſt Sekret głęboki,
Tym zwyćiężył ſurowe, ná śiebie wyroki.

Lubi prawdę, y nic Iey, nie rzecze przećiwnie,
Ale tey, bez potrzeby, nie powie. Ta dźiwnie
Mądrość, iáko pieczęćią, záwárłá mu ustá,
Że z nich wyniść nie może, nigdy mowa pustá.
Y teraz, gdyś się z niego, o nim samym badał?
Gdy ćię słyszał y poznał! wiesz iák máło gadał!
Aby się był nie wydał. O! co patrząc ná ćię,
Nie wyćierpiał! z tąd smutnym był, iak widźisz, Bráćie.
Telemak pomięszany, ná Mentora słowa,
Rozchlipał się, że mu áż, zámknęłá się mowa.
Lecz po łzach długich krzyknie! Ach Mentorze drogi!
Czułem, w tym nieznaiomym, táki affekt srogi!
Ze wnętrzności me wzbudzał, y ćiągnął do niego!
Lecz ty, czemuś nie przestrzegł, przed odiazdem Iego,
Że to moy był Ulisses? kiedyś go znał cále;
Czemuś z nim sam nie gadał? y ná moie żale,
Puśćił go iákbyś nie znał. Co zá táiemnicę?
W tym Bogowie mieć chćieli? Lubo Im nie przyczę.
Tákże záwsze, nieszczęślnym, będę! y mnie Bogi,
Gniewliwi trzymać będą! iák Tantala w srogiey
Wodźie? ktora mu od ust, uschłych ućiekáłá?
Ulissie! twe widzenie, iák poćiecha máłá!
Ponoś ućiekł na záwsze, więcey ćię nie zoczę!
Gachowie Penelopy, (ná co Ia łzy toczę,)
Podobno ćię w te śidłá, záśadzki zchwytáli!
Ktore mnie nieszczęsnemu, zdradliwi stáwiáli.
Gdybym był z nim poiachał, z nim bym był y zginął;
Ulissie! iákmi ćiężko! żem się z tobą minął.
Czy ćię burza, o iáką skáłę, nie rozbije?
Ná fortuny záwźiętość, ták mi serce bije;
Lękam się, by y Twoie, tákie przeznaczenie,
Nie było! * Agamnemnon, iákie miał zginienie.
Alec, czemuś Mentorze, szczęśćia mi zázdrośćił!
Iuż bym go teraz śćiskał, z nim w Itáku gośćił.
Bilibyśmy Naiezdczow, w społeczney dźielności.
Mentor rzecze: Ná probę twoiey ćierpliwośći,
Bogowie záwieśili, umysł utęskniony;
Ty kłádźiesz, ten czas krotki, iáko zá strácony,
A on naypotrzebnieyszy; bo ći cnoty życzy,
Ktora tych, co chcą rządźić, w ćierpliwośći ćwiczy.
Kto rządźić chce sam drugich, rządźić się ma sobą,
A tego tylko doydźie, ćierpliwośći probą.

* *Agamemnon. Hetman Grecki pod Troia, z tryumfem po wroćiwszy do Domu, od Clitemnestry Żony swoiey, zabity, dla Gacha Egista.*

Niećierpliwość, co ſię zda, z wigoru pochodźić,
Ieſt słábość, ktora Ludźi, ná złe zwykła wodźić.
Kto czekać, y kto ćierpieć, prawdźiwie nie umi,
Ten y ſekretu trzymać, milcząc, nie rozumi.
A zá tym y śił nie ma, ná ſwe utrzymanie.
Iak tego, ieſt daremne, do mety bieganie,
Ktory nie ma rąk śilnych, by konie zhukane,
Zatrzymał, gdy potrzeba, w zawod przypuſzczane;
Bo wędzidła nie czuiąc, kiedy ná łeb lecą,
Zgruchotanym powozem, woznicę wzad miecą;
Tak y niećierpliwego, żądze nie wſtrzymane,
Wćiągną w przepaśći nieſzczęść, mu nie opłákane;
Im więkſza moc ieſt Iego, tym mu fatalnieyſza.
Nie ćierpliwość, nie słucha nic, (á co ſtráſznieyſza)
Nie pozwala nic czaſu, ná pomiarkowanie,
Gwałtownie łamie rzeczy, ná ukontentowanie.
Łamie gałąź, niźli ſię, owoc mu doſtoi!
Łamie drzwi, nie czekaiąc, otwarćia podwoi!
Chce kośić z pola kłoſy, kiedy oracz śieie!
Co chce nagle, wſzyſtko źle, z nim w ſprawach ſię dźieie.
Nic trwałego nie może bydź; Iak umysł iego
Puſty, tak ſą y dźieła. Zamysły takiego,
Są takie, ktory mniema, że mu wſzyſtko wolno,
Co zle mocy záżywa, z chęćią nie udolną.
Y ćiebie Telemaku! ćierpliwym Bogowie,
Uczą bydź, y ćwiczą ćię, y w skutku, y w mowie.
Dobra, co ſię ſpodźiewaſz, ći ſię pokazuią,
Y záraz, iak ſny letkie, z rąk twych odlatuią;
Abyś ſię ſam nauczył, że co w ręku trzymać
Rozumieſz? ginie prędko, nie da ſię poimać.
Naymędrſze, Uliſſeſa, tyłoby nauki,
Nie dały ći, iako te, złey fortuny ſztuki.
Niebytność iego, z pracą ktorey ſzukaſz dawno,
Będźie ći, pożyteczną Miſtrzynią, y sławną.
Telemak, tych słow słuchał, zgorzkośćią wtey porze,
Iuż nie widźi okrętu, przećie ſię ná morze,
Obracą; A gdy oczy, ná Mentora wrući,
Zápłákáne, y w mowie, iego ieſzcze ſmući;
Obaczy, áż tu razem, twarz Mentora iego,
Nową poſtać w ſię bierze; y ſtárca owego,
Giną marſzczki już z czołá, iako nikną ćienie,
Gdy jutrzenka, rożowe palce, ná wſchodzenie

Słońca, do bram przyłoży, Niebieskich podwoi,
Y ogniem zápálony, horyzont ustroi.
Oczy iego zápádłe, w błękitne się mienią,
Y Niebieską słodyczą, w Boskie się płomienią.
Broda śiwa zniknęłá, ná tych miast wspaniała
Twarz wdźięków pełna, w oczach, rázem záiáśniáłá,
Telmaka zdumionego. Ktory wnet poznaie,
Twarz śliczney Białeygłowy; á tey płeć się zdáie
Gładsza niźli kwiat, teraz, od słońca rozwity.
W niey roża, y lilia, kolor znamienity
Mięsza. W tey twarzy, wieczna młodość, zákwitnęłá,
Majestat naturalny, y niedbały wźięłá.
Zápách Ambrozyj, z włosow rospusczonych, idźie,
Nuż, gdy ná suknie poyzrzeć, zdumionemu przyjdźie?
Zywemi kolorámi, te się tak świećiły,
Iák obłoki maluie Phebus, cudnie miły.
Ze zaś Bostwo, nic źiemi nie tyka, nogámi,
Ale iáko Ptak dźielny, wznośi się skrzydłámi.
W mocarskiey ręce, Lańce trzymáłá, świecące,
Pod ktoremi drżą Woyská, Miástá woiuiące.
Mars, sam by się Iey był zląkł. Głos skromny y miły,
Przyiemny, iednak mocny, y potężny w śiły.
Słowa iey, iák pośiski z ognia, przerażáły
Serce ene Telemaka, y umysł wspaniały.
Wraz mu, zádáiąc iákiś żal, z roskoszą wpoły,
Pomięszane z poćiechą troski, y mozoły.
Ná głowie szyszak, ná nim, gruba z Athen, sowa,
Ná pierśiach zaś, iaśniáłá Egida surowa.
Po tych znákách, Telemak poznawa Minerwę;
Rzekł: O! Bogini! Tyś to! (że swoię łzy przerwę)
Tyś to! Syna Ulissa, dla miłośći iego,
Prowadźićies raczyłá? A w tym, słowa z niego
Wyniść daley nie mogły; Ustá się ruszáły,
Y słowa się, z impetem wielkim, dobywáły,
Zgruntu serca y gęby; Lecz Bostwo przytomne
Zmięszało go, czyniąc mu, ustá tak ułomne.
Był, iak Człowiek, co we śnie, przez krwi náćiśnienie,
Chce wołać, á nie może, tracąc odetchnienie.
Ná koniec mu Minerwa rzekła, takie słowa:
Tá ostátnia do ćiebie, dźiśiay moia mowa:
Słuchay, Synu Ulissa! nikogom ná świećie,
Z taką nie wychowáłá pilnośćią, iák dźiećie;

Wiodąc ćię Ia zá rękę, przez rozbićia Morskie,
Przez kraie nieznaiome, przez Intrygi Dworskie,
Przez boie krwawe, y to, co tylko ſprobowáć
Serce Ludzkie wżdy mogło, chćiałam ćię ſalwowáć.
Oczywiſte przeyzrzenie, Lekcye życzliwe
Dawałam: Co maxymy dobre? lub fałſzywe?
Są ći do Panowania; A nieſzczęśćia twoie,
Były ći, iak y błędy, potrzebne oboie.
Bo ktoryż Człowiek! mądrze może ſam pánowáć!
Ktory nic nie ućierpiał? ktory náprawowáć
Przez błędy ſwe, nie umi? Tyś tak przypadkámi,
Iak twoy Oćiec, nápełnił źiemię, y z morzami.
Idź teraz, iuż godźieneś, wſtąpić wſtrzemię iego,
Iuż krotki, do Itaku przeiazd, maſz do niego,
W ktorym, ſtanął iuż Oćiec. Woiuy wraz z nim, żwawie,
A bądź mu tak posłuſznym, iak poddany práwie.
Day przykład drugim z śiebie; On ći da zá Zonę,
Anthyopę; ſzczęśliwſzy przez nią, niż koronę,
Będźieſz. A to, żeś więcey uważał, w niey ſtátek,
Niż urodę y piękność, y Páński doſtátek.
Gdy zaś záczznieſz pánowáć! ſtáráy ſię wprzod o to:
Abyś przywroćił pamięć wiekow złotych, złotą.
Słuchay! wſzyſtkim wierz mało, á zaś naymniey ſobie;
Záwſze ſię boy oſzukáć; iednak w mądrey dobie.
Nie wſtydź ſię, żeś pobłądźił, drugim pokázowáć,
Kochay twoy Lud, y nad tym, nie leń ſię prácowáć.
Aby ćię Lud twoy kochał, y boiaźń potrzebna,
Kiedy miłość uſtáie, w poddanych chwalebna;
Ale iey tylko záżyj, iak lekow gwałtownych.
Uważay, á z daleka, z uwag cnych y głownych,
Wſzyſtko, co ſię ſtać może. Kiedy co poczynaſz!
Upatruy ſrogi záwod, gdy dźieło nápinaſz.
Wiedz, że w tym ieſt odwaga, y prawdźiwe meſtwo:
Strzedz ſię [á gdy nie można] znieść niebeſpieczeńſtwo.
Bo, kto tego niechce znáć, ten ſerca meżnego
Nie ma, aby to widźiał, co mu trwożliwego.
Ten zaś, co go ſam ſobie, ná oczy przekłada,
Co oddala iak może; A kiedy ſię nada,
Nie wzruſzenie ſię kuśi, áby go zniosł, cáły!
Ten ſzczegulnie ieſt mądry, meżny, y wſpaniały.
Roskoſzy, dum, rozrzutow, ſtrzeż ſię, iak niecnoty.
Sławę twoią pokładay, w iſtoćie proſtoty

Cnoty. Dobre akcye, niech będą ozdoby,
Dworu, pałacu twego, y twoiey osoby.
Te gwardyą twą będą. Niech się káżdy z ciebie,
Wczym szczęście stoi, uczy, y formuie siebie.
Nie zápomniey! że Krole, nie dla się pánuią,
Ale dla dobra Ludu: Y co zostáwuią
Dobrego? To ná wieki naydalsze, Im słynie,
Iáko, y złe co czynią, nigdy zaś nie zginie,
Po rodzaiach naydalszych. Boy się Telemaku
Bogow; Przy tey boiazni, szacowanym znaku,
Skarb w sercu chowáć będźiesz; A z nią poydźie pewnie
Mądrość, y spráwiedliwość, pokoy, rádość, rzewnie,
Ućiechy czyste, szczera wolność, buyność miła,
Y spráwa bez przymowki, y dobrego śiłá.
Ia ćię, Synu Ulissa, zostáwuię; Ale
Moia mądrość, nigdy ćię nie odstąpi, cále.
Byleś czuł, że się bez niey, nic czynić nie godźić.
Iuż czas, ábyś się uczył, sam bezemnie chodźić.
Dla tego, w Phenicyi z tobą, y w Sálenćie,
Odłączyłam się, ábyś, uczył się w odmenćie,
Bez tey mey żyć słodyczy, Iáko odłączaią
Dźieći od mamek, gdy ich w potrawy wuczaią.
Ledwo dyskurs ten mądry, Bogini przećięłá,
Wzniosłá się ná powietrze, w obłok uwinęłá,
Złoty, y lazurowy; w nim niknąc, się toczy;
A Telemak zdumiony, nie śmiąc podnieść oczy,
Wzdycha, y sam tak ćiężko, padł twarzą ná źiemię,
Ze ręce tylko, w Niebo wznosił, chyląc ćiemię.
Potym pobiegł, y wzbudźił, swoie Towarzysze;
Ruszył się, y w Itáku stánął, w zbyt poćisze.
Gdzie, u Eumea, prędko, swego Oycá poznał,
Szczęśliwy! po ták długiey biedźie, ktorey doznał.

